

Konferençeye
i ncuži
reklamasyonıne







KONFERENCYE
I
NAUKI REKOLEKCYJNE

NAPISAŁ

Ks. Stanisław Załęski. 1843-1908

WYDANIE CZWARTE NIEZMIENIONE.

KRAKÓW.
NAKŁADEM WYDAWNICTW TOW. JEZUSOWEGO.
CZCIONKAMI DRUKARNI A. KOZIAŃSKIEGO.
1911.

DENUO IMPRIMI POTEST.

Neo-Sandeciae 31/5. 1910.

Włodimirus Piątkiewicz

Praep. Prov. Gal. Soc. Jesu.

Nr. 4284/910.

REIMPRIMATUR.

Ab Ordinariatu Principis Episcopi.

Cracoviae, die 27 Junii 1910.

L. S.

† J. Card. Puzyna.



Słowo do Czytelnika.

Od lat jedenastu dostała mi się w udziale praca nader wdzięczna przewodniczenia rekolekcyom, czyli ćwiczeniom duchownym braci kapłanów, klas wykształceńszych naszego społeczeństwa, inteligencji zwłaszcza miast i miasteczek Galicyi.

Z niemałą pociechą mej duszy patrzałem na cudowne prawie owoce tej mojej nędznej pracy, a zgłębiając rzecz do dna, przekonałem się, że nie potęgą ludzkiej wymowy, ale siłą i niespożyta moc prawdy Bożej w przemowach rekolekcyjnych systematycznie ujętej i jasno przedstawionej, stała się, przy odrobinie dobrej woli słuchających, źródłem i przyczyną tych nadzwyczajnych skutków, jakimi są: odnowienie i spotęgowanie gorliwości w służbie Bożej, obudzenie i wskrzeszenie życia religijnego, powrót do dawno nieraz zaniedbanych praktyk reli-

gijnych, i co zatem pójść musi, odmiana na lepsze i reforma obyczajów.

Mówiło się o prawdach wiecznych i o błędach rozumu ludzkiego, o prawie Bożem i nędzy serca ludzkiego, o obowiązkach i powinnościach z tych prawd i z tego prawa Bożego wynikających, o zбочeniach woli, mających swe źródło w namiętnościach i niskich człowieka instynktach. A mówiło się z serca i do serca, z przekonania, prosto i pojedynczo, bez przyboru i ornamentyki oratorskiej, przed ludźmi nieraz naukowo wysoce wykształconymi, częściej jeszcze dla wiary i Kościoła źle lub niechętnie usposobionymi, ale przynoszącymi z sobą zawsze szczyptę dobrej woli. Bóg tej maluczkiej pracy widocznie błogosławił, bo nie wspominając już nic o braciach kapłanach, którzy rok rocznie po kilkuset na rekolekcyje w różnych miejscach się zbierali, bywało na onych naukach rekolekcyjnych w Krakowie, Tarnowie, Przemyślu, Rzeszowie, Lwowie, Stryju, Jarosławiu, Stanisławowie i indziej, po kilkaset osób, cała niemal inteligencya miasta, nie wyłączając nawet różnowierców i izraelitów wykształconych. Na konferencyach męskich we Lwowie w marcu 1887 r. gromadziło się od dwóch do trzech tysięcy osób z wszystkich warstw wykształconych, od najwyższych urzędników i dygnitarzy, aż do studenta. Nie dosyć, że przemowom tym pilnie się przysłuchiowano, ale z nielicznymi stosunkowo wyjątkami, gromadnie przystępowano do Sakramentów świętych, dając tym aktem religijnym publiczny wyraz katolickich swych przekonań. Wrażenie z tych rekolekcyi

odniesione bywało wielkie, głębokie, powszechne; niejedna z prawd słyszanych utkwiała dobrze w umyśle i sercach -- ale każde choćby najzbawienniejsze wrażenie osłabia się czasem, paraliżują je wrażenia coraz to nowych wypadków i wpływów. Chcąc tedy utrwalić i ugruntować, o ile siły ludzkie starczą, te rezultaty i błogie skutki konferencji rekolekcyjnych w umyśle tych, którzy je słuchali, oraz zachęcić tych, którzy o rekolekcyach niejasne albo mylne mają pojęcie do korzystania przy wydarzonej sposobności z ich dobrodziejstw — postanowiłem ogłosić je drukiem, a ogłosić tak, jak się mówiło, bez balastu szumnej uczoności, bez wyszukanej ozdoby oratorskiej, prosto i pojedynczo, pocziwie i po Bożemu. Wiem, że co pismo to nie żywe słowo — wiem, że rekolekcyje czytane nie mogą tego zdziałać, co rekolekcyje należycie odprawione, którym towarzyszy wyjątkowe skupienie, gorętsza modlitwa, a nad to wszystko szczególnie łaska Boża — a jednak ufam, że i tak one trafią do rozumu i serca czytelnika, tak jak trafiały do przekonania słuchających.

Wzywano mnie też do ogłoszenia drukiem tych konferencji ze stron wielu. »Dlaczego nie spisałeś, mówiono mi, tych prawd Bożych, które nam prawiłeś, człowiekby to sobie odczytał wolną chwilą, przetrawił należycie i skorzystał więcej, podałby i drugim do przeczytania«. Ofiarowano nawet pieniądze na pokrycie kosztów druku; ofiary nie przyjąłem, bo w pieniądzu Bóg opatrzy, byle rzecz była napisana po Bożemu.

Zadość więc czyniąc tym pocziwym życzeniom,

tak zgodnym zresztą z pragnieniami mego serca, puszczam w imię Boże tę drobną książeczkę w świat, niczego w tem nie szukając, tylko większej chwały Bożej i pożytku dusz ludzkich, *majorem Dei gloriam et salutem animarum*.

Ty zaś miły czytelniku przyjmij tę drobną pracę sercem życzliwem, bo z życzliwego serca wypłynęła. Zabierz się do czytania ochoczo, znajdziesz tam cokolwiek pokarmu zdrowego dla rozumu i serca, a przy łasce Bożej, postąpisz walny krok naprzód na drodze uzacnienia i zbawienia twej duszy.

Kraków, dnia 2. Lipca 1887.

W S T Ę P.

Co to są konferencye? — Cel rekolekcyi. — Z jakim przygotowaniem należy do nich przystąpić?

»Bo cóż pomoże człowiekowi, jeśliby
wszystek świat zyskał, a na duszy swo-
jej szkodę podjął? albo co za odmianę
da człowiek za duszę swoją.
(Mat. XVI. 26).

Wytłómaczyć się muszę z tytułu, jaki dałem niniejszej książeczce, z nazwy: *Konferencye rekolekcyjne*.

Wyraz *konferencya* od łacińskiego *conferre* oznacza rozprawę lub rozmowę, wśród której wymieniają i ścierają się zdania i opinie; przeniesiony do życia religijnego oznacza sposób opowiadania prawd Bożych, odmienny nieco formą od zwykłych kazań kościelnych. Kaznodzieja na ambonie występuje w imieniu Kościoła jako mistrz i nauczyciel, głosi dogmat wiary lub zasadę moralną, motywując ją i dowodząc jej prawdziwości z Pisma św., z powagi Ojców Kościoła lub orzeczeń soborów powszechnych, posługując się tu i ówdzie argumentami czerpanymi z rozumu, które w języku teologów zowią się *ratio theologica*, a mając przed sobą liczne ale mieszane, często nawet bardzo pstrokate grono słuchaczy, ograniczać się musi w zastosowaniu dogmatu lub zasady moralnej do większości swego auditorium. Po miastach zwłaszcza, sta-

nowisko kaznodziei niesłychanie trudne, bo to, co jasne i wystarczające, albo co pożytecznym morałem dla ludu, wyda się dla tak zwanej inteligencji mdłym i powierzchownym, albo niewłaściwym i rażącym. Odwrotnie, gdy się kaznodzieja wzniesie do pojęć wykształconej klasy, stanie się często niezrozumiałym i nudnym dla prostaczków, a jednak tak on mówić powinien, ażeby przynajmniej większość jego słuchaczy z kazania rzetelny pożytek odniosła. Cóż się więc dzieje? Oto to, że po naszych miastach ogół inteligencji nie uczęszcza wcale na kazania. W ślad zatem idzie ignorancja i zobojętnienie religijne u klas wyższych, zaniedbanie Sakramentów św., luzność zasad i obyczajowa swawola, słowem: upadek wiary a powrót do pogaństwa.

Gorzej nierównie, jak u nas, bywało w Francji, gdzie po rewolucji wielkiej zapanowało takie zdżiczenie obyczajów, że już nietylko po miastach, ale i po wioskach nikt z mężczyzn do kościoła nie chodził, a w Paryżu spotykano 70-letnich starców nie ochrzczonych jeszcze. Pragnąc zaradzić złemu, zaprowadzono około 1840 r. najprzód w Francji, potem w Belgii i Niemczech tak zwane *konferencye religijne*, t. j. przemowy miewane przez księży z ambon w kościołach albo w salach obszernych dla klas wykształconych lub napół wykształconych. Tematem tych konferencyj bywały przeróżne zagadnienia rozumowe, naukowo-estetyczne. Talent oratorski konferencyjnego kaznodziei, potęga jego rozumowań i jego wymowy imponowała masom; przebaczano mu, że był księdzem, szanowano i uwielbiano jego talent, słuchano go łakomie. Chodziło też przedewszystkiem o to, aby ludzi odwykłych od domu Bożego i kapłana, ściągnąć do kościoła i przyzwyczaić do widoku sutanny, która ich raziła na ulicy i wywowyłała nierzadko szykanę lub czynną zniewagę. Dominikanie: O. Lacordaire i O. Monsabré, Jezuici: O. Ravignan i O. Feliks, zasłynęli swemi konferencyami, które miewali w kościele katedralnym *Notre Dame* w Paryżu przez długi szereg lat wobec tysięcy słuchaczy, z których zaledwo drobna część wierzyła w Boga. Ksiądz Ravignan dopiero po dwóch latach takich konferencyj

odważył się na wymówienie z ambony imienia *Jezus* i dzięko-
wał Bogu, że go zato nie wygwizdano. Z wstąpieniem na tron
Napoleona III zmieniała się postać rzeczy. Duchowieństwo
świeckie, zwolnione nieco od krępujących je więzów rządowej
władzy, rozwinęło szeroką działalność; biskupi zajęli należne
w Kościele stanowisko, zakony dawne wracały, reformowały
się i rozwijały; zawiązywały się nowe zgromadzenia i kongre-
gacye religijne; z ambon kościołów stolicy i prowincyi mógł
już brzmieć spokojnie głos kaznodziei, opowiadający wiarę
w Jezusa Chrystusa — pomimo to licząc się z zbyt racyo-
nalnym kierunkiem, jaki obrała sobie nauka i wiedza ludzka
i z resztkami religijnego sceptycyzmu z porewolucyjnej doby,
zatrzymano we Francyi zwyczaj mówienia konferencyi religij-
nych, a przekonawszy się o jego użyteczności, przeniesiono go
na grunt innych krajów, nie żywcem, ale z zastosowaniem do
potrzeb miejscowych. Francya i wielka część jej społeczeństwa
odstąpiła, zaparła się wiary — i skutkiem skażenia obyczajów
stała się niesposobną prawie, aby pojąć cokolwiek nadprzy-
rodzonego, a cóż dopiero Bożego. Stąd treść konferencyi naj-
sławniejszych kaznodziei francuskich zakrawa prawie na wy-
wody czysto naturalistyczne, a forma ich odpowiedna duchowi
francuskiemu, błyskotliwa, pełna niespodzianych zwrotów i ży-
wego nieraz dowcipu. W Niemczech, gdzie, powstały na gruncie
protestanckiego *liberum examen*, dowolnego badania pisma św.,
racjonalizm doprowadził przemądrych filozofów do tego sto-
pnia zarozumiałości, że w ciężko uczony sposób poczęli samych
siebie czynić twórcami Bóstwa, a zarazem dowodzić, że być
i nie być jest jedno i to samo, konferencye nabrać musiały
barwy rozpraw ściśle naukowych, ciężko filozoficznych i ab-
strakcyjnych. Nie brak wszelako i tam dzieł równieuczonych
jak wymownych i zajmujących, które, jak kilkutomowa *Apo-
logia Chrystyanizmu* profesora würzburgskiego ks. Hettingera,
na obce języki przełożone zostały.

U nas w Polsce, u samych nawet niedowiarków, niewiara
czasem bywa prostą przechwałką, częściej tylko nieznanomością
pierwszych pojęć katechizmowych i nauki Kościoła, najczęściej

zobojętnieniem pochodzącem z lenistwa, zamiłowania wygody albo też bezmyślnego hołdowania hasłom przyniesionym do nas z Zachodu. Ale u wszystkich prawie na dnie serca nie przestała tleć iskra wiary przez pocziwą niegdyś matkę i przez tradycyę ojczyste głęboko zapuszczona. Stąd u nas konferencye w rodzaju francuskim gorszyłyby, w niemieckim zanudziłyby na śmierć. Konferencye na ziemi polskiej, jeżeli dobrze rozumiem, z tamtymi tyle tylko mają wspólnego, że są tak jak one zwrócone na pierwszym miejscu, albo nawet i wyłącznie do ludzi wykształconych. Ale nie potrzeba nam ani dowodzenia pierwszych i zasadniczych prawd nadprzyrodzonych, bo chociaż tu i owdzie wiara gdzieś się zapodziała, to pozostał nam jeszcze prawie nietknięty zdrowy rozum; ani też ciężkiego naukowego balastu i długich bez końca racjonalistyczno-rozumowych wywodów, gdyż nasze wąpliwości przeciw wierze najczęściej nie z przebrania miary w nabywaniu nauk powstały. Nam, rzadkie odliczywszy wyjątki, potrzeba jasno zrozumieć najprzód, co Bóg objawił i przez Kościół św. do wierzenia podaje; a powtóre, że to objawienie Boże i nauka Kościoła w niczem się nie sprzeciwiają, ale najzupełniej zgodne są ze zdrowym rozumem — a tem samem wiara się w nas ocknie i odżyje. Za wiarą zaś obudzi się rychło sumienie i serce otworzy się dla Boga, przylgnie do Niego i pójdzie za Jego prawem.

Stąd może kto powie, że przemówieniom moim zbyt szumną dałem nazwę Konferencyi. Nie są one w stylu francuskim, ani też niemieckim — nie sięgam daleko: Braci moich po krwi i duchu pragnę tylko pozyskać Panu Bogu.

Tak pojęte konferencye nie są kazaniem pełnem powagi i namaszczenia, uroku i majestatu poselstwa Bożego i nauczycielstwa Bożego, jakie sprawuje kapłan na ambonie, ale są to sobie swobodne, dobrze jednak obmyślane i konsekwentnie przeprowadzone pogadanki o tem i o owem; o prawdach wiecznych, o najważniejszych zagadnieniach człowieka; ale też i o zarzutach, jakie rozum ludzki przeciw tym prawdom podnosi i o rozwiązaniach, jakie na one zagadnienia daje lub dać usiłuje. Cechą ich charakterystyczną jest aktualność, że odpo-

wiadają pojęciom i potrzebom chwili, i przedstawiają rzecz w formie tej, jaka w danej chwili ludziom wykształconym zwyczajna i dlatego przystępna i budząca żywe zajęcie. Koniecznym dlatego warunkiem jest tutaj jak wogóle w kaznodziejstwie, nietylko głęboka znajomość serca ludzkiego, które stare jak świat, zawsze jest jedno i to samo, a jednak tak rozmaite i zmienne, ale nadto potrzeba znać dobrze choroby i cierpienia wieku, aby umieć zrobić ich diagnozę i podać na nie zaradcze środki. Wziąć też w rachubę należy zdobycze nowoczesnej wiedzy, aby oddzielić rzetelną prawdę od nęcącego fałszu i wykazać, że wiara a wiedza to nie są dwie na przeciwnych biegunach wrogie potęgi, ale że wiara uzupełnia wiedzę, ta zaś dopomaga do głębszego zrozumienia tamtej. Potrzeba wreszcie, i to przedewszystkiem, pojąć i zrozumieć to społeczeństwo, wśród którego i do którego się mówi, i ukochać, umiłować je, bo tylko wtenczas, gdy wywodom i wymowie kaznodziei towarzyszyć będzie ono „szerokie, jak Skarga się wyrażał, wielkie serce“, umiejące kochać i umiejące przebaczać, wtenczas zrozumieją go słuchacze, i jak mówił łacinnik: *ab ore ejus pendebunt*, od ust jego zawisną. Zła to metoda niektórych zbyt może gorliwych kaznodziei, powstając na błędy, łajając błędzących, i niewykazawszy dowodnie, gdzie prawda, gdzie fałsz, z góry odmawiać słuchaczom rozumu i nauki lub podsuwać im upór i złą wolę. Jasne, spokojne, przedmiotowe wykazanie prawdy, pobłażliwa wyrozumiałość dla tych, którzy jej dotąd nie znali, albo ją odtręcali niebacznie, poważne i pełne szacunku obejście się z ludźmi przeciwnych przekonań lub doktryn, skuteczniej zdobywa rozумы i serca, niż gwałtowne inwektywy i wystąpienie piorunujące. Brać należy ludzi takimi, jakimi oni są, wejść w trudne niekiedy warunki ich życia, zrozumieć i uszanować ich walkę moralną, współcierpieć z ich duszy boleścią, jaką wyrzut sumienia zadaje, pouczyć ale i podźwignąć, pocieszyć na duchu; słowem: „mieć serce i umieć patrzeć w serce“, oto, co zapewnia pomyślny wynik konferencyom, co czyni je konkretną, aktualną i dlatego zajmującą prawdą.

Nazwałem te konferencye „rekolekcyjnemi“. Cóż to ma znaczyć? Czemże są te osławione do niedawna „rekolekcyje“, o których mniemano, że tylko są dla wielkich grzeszników przeznaczone? Łacińskie słowo *recollectio mentis* od *recolligo* znaczy wogóle skupienie, zebranie ducha. *Pluribus intentus minor ad singula sensus*, powiada rzymski poeta, im na więcej przedmiotów rozprószony umysł, tem powierzchowniej je zdoła objąć. I tkwi to w ograniczoności natury ludzkiej, że ilekroć razy człowiek chce jakąś ważną sprawę obmyśleć i przeprowadzić, potrzebuje usunąć się na chwilę od wiru i zgiełku zajęć, zamknąć się sam w sobie, skupić i zebrać umysł i dopiero wtenczas układa plan i środki, ocenia i usuwa trudności i rzecz do skutku szczęśliwie doprowadza. Rekolekcyje więc jako skupienie umysłu w celu przeprowadzenia i dokonania jakiejkolwiek ważnej sprawy są tak stare, jak stary jest rodzaj ludzki.

Najważniejszą ze wszystkich jest sprawa zbawienia mej duszy. My sobie powiemy osobną konferencyę o duchowości i nieśmiertelności tego, co nazywamy duszą ludzką, na razie bierzemy tę prawdę jako udowodniony już z góry pewnik. Otóż to, co jest *pars praestantior mei*, przedniejszą częścią moją, co stanowi moje ja czyli jaźń, jak ją filozof Trentowski nazywa, to jest duch mój nieśmiertelny; jego uzacnić i udoskonalić, jemu egzystencyę wiecznie szczęśliwą zapewnić, oto zadanie godne człowieka, oto cel życia. „*Quid prodest homini, bo cóż pomoże człowiekowi, powiada Zbawiciel Pan, jeśliby wszystek świat zyskał, a na duszy swej szkodę podjął*“. (Mat. XVI. 26). Ilekroć więc razy myśl moja oderwie się od świata i tych rzeczy ziemskich, a zajmie się Bogiem, duszą moją, wiecznością, tyle razy takie skupienie umysłu w celu zbawienia swej duszy nazywa się rekolekcyą i w tem znaczeniu pojęte jest ono tak stare, jak chrześcijaństwo.

Chrystus pierwszy dał nam przykład takiej rekolecyi, „zawiedzion na puszcza od Ducha“ (Mat. IV. 1) przygotowując się tam przez dni 40 modlitwą i postem do publicznego Swego wystąpienia jako mistrz i nauczyciel. Za przykładem Chrystusa

idą Apostołowie; przez dni 9 zamknęci w wieczniku, „trwali jednomyślnie na modlitwie z niewiastami, z Maryą, Matką Jezusową i z bracią Jego“ (Dzieje apost. I. 14), przygotowując się tą rekolekcyą do przyjęcia łask i darów Ducha św. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa pustelnicy idą na taką wieloletnią rekolekcyę do Tebaidy nad brzegi Nilu, zakładają tak zwane ławry czyli pustelnie i monastery, a nie mając dosyć na tym zbożnym, twardym, odciętym od świata żywocie usuwają się nawet od towarzystwa swojej braci i w jaskini lub pieczarze zamknęci, poświęcają tygodnie i miesiące całemu rozpamiętywaniu rzeczy Boskich i zbawieniu swej duszy. Bazyli święty, zanim założył swój wielki, jedyny na Wschodzie zakon, dwa całe lata przepędza na takiej pobożnej rekolekcyi nad Pontem. Czyni to samo uczony Hieronim św., Ojciec i Doktor Kościoła, osiadłszy na pustyni pod Betleem. Franciszek z Asyżu, najwznioślejsza postać XIII. w., lubo zawsze wiódł żywot umartwiony i świątobliwy, miał zwyczaj skradania się na dni 40 na górę Alwernią, aby wyłącznie Bogu i zbawieniu swej duszy służyć i właśnie podczas takiej rekolekcyi otrzymał od Boga one cudowne rany czyli stygmaty, przypominające żywo mękę Zbawicielową; dziwo i cudo współczesnych i późniejszych pokoleń.

Za przykładem Świętych idą książęta i książniczki, magnaci, dygnitarze i wielcy tego świata; dźwigają z fundamentu wspierałe klasztory, osiadają w nich lub przy nich „na dewocyi“ i w skupieniu ducha czyli rekolekcyi, gotując się do szczęśliwej śmierci, sprawują dzieło zbawienia swego. Pełne są o tem nasze i obce kroniki i *Silvae rerum*.

Rekolekcyje tedy nie są rzeczą nową, są one tak dawne jak chrześcijaństwo. Św. Ignacego Lojoli zasługa — jeżeli o zasłudze mowa tu być może — jest w tem, że te luźnie rozstrzelone medytacye i prawdy ujął w ścisły, logiczny, umiejętny system, tak, że medytacya pierwsza *o celu i końcu człowieka* jest gruntem i podstawą wszystkich medytacyi; druga uzupełnia pierwszą i przygotowuje umysł do medytacyi trzeciej; ta zaś dopełnia dwie poprzednie, a przysposabia umysł

do następnej t. t. d. — dopokąd pod siłą i potęgą i nieodproszoną loiką tych prawd, jak pod uderzeniami taranu, którym tłuczonoongi muru zdobywanego miasta, nie rozwali się *stary człowiek, homo peccati*, a na ruinie jego nie wzniesie się *człowiek nowy*, przyobleczony w Chrystusa, *homo DEI*. Święty Ignacy zamknął swój system rekolekcyjny w malutkiej ale iście złotej książeczce *Ćwiczeń duchownych, Exercitia spiritualia*; papież Paweł III. przeczytawszy ją uważnie, zawołał w uniesieniu: *Digitus DEI est hic*, palec to Boży, który wskazuje drogę do nieba milionom¹⁾.

¹⁾ W myśl św. Ignacego rekolekcye czyli ćwiczenia duchowne rozpadają się na 4 odłamy. Część pierwsza, która odpowiada temu, co dawniejsi asceci nazywali *via purgativa*, droga oczyszczająca, obejmuje szereg prawd wiecznych, mających na celu oczyszczenie duszy z występ-ków, nałogów grzesznych i nieporządných skłonności — i tej części poświęcony tydzień cały. Tak oczyszczoną duszę prowadzi św. Ignacy do Chrystusa Pana: oto twój wzór i model, „albowiem dałem wam przykład, powiada Chrystus, abyście jakom ja wam uczynił, tak i wy czynili“ (Jan XIII. 15) i już jej od tego Chrystusa nie oddziela, ale studyować jej każe życie jego ukryte i publiczne we wszystkich odcieniach. i z tego niezrównanego wzoru każe jej zbierać pokarm i „duchowny obrok“ dla siebie. Tej drugiej części rekolekcyei, którą nazwacby można *via illuminativa*, drogą oświecającą, przeznaczonych dni kilkanaście.

Powzięte w niej dobre postanowienia należy ugruntować i umocnić. W tym celu prowadzi św. Ignacy duszę do Chrystusa Pana cierpiącego, każe jej śledzić i badać Jego mękę i śmierć okrutną, podjętą nie z potrzeby, ale jedynie z miłości dla niej. Mówi jej niejako: „patrzże, jako cię twój Jezus umiłował, iż dla ciebie na szubienicy krzyża zawisnął, a więc *amantem redama*, — miłującego umiej kochać, i z miłością ku Bogu podejmij pracę i trud zbożnego życia, poświęć się dla bliźnich i chwały Bożej“. Tej trzeciej części, którą nazwano *via unitiva*, drogą łączącą nas ściślej z Chrystusem, poświęcić należy dni 7 lub 8.

Ale taka jest natura serca ludzkiego, że nie tyle wpływa na nie piękność cnoty lub obawa kary, jak raczej przemawia do niego silnie nadzieja nagrody. Św. Ignacy wyborny mistrz potraça i o tę strunę, i w *czwartej* części ćwiczeń, *via gloriosa*, drogą chwalebną nazwanej, prowadzi duszę do rozpamiętywania chwały zmartwychwstałego i uwielbionego Zbawiciela. „Patrzyłaś, mówi jej, na mękę i cierpienie, patrzże na chwałę i uwielbienie“, według słów św. Pawła: „jeżeli jednak spóćcierpimy, abyśmy też spóć byli uwielbieni“. (Do Rzym. VIII. 17).

Nie nam lepiej nie odda natury i znaczenia rekolekcyi jak własne słowa św. Ignacego. Oto co mówi w pierwszym zaraz objaśnieniu czyli annotacyi: „Pod nazwą ćwiczeń duchownych rozumieć należy każdy sposób badania własnego sumienia, rozmyślania i modlitwy ustnej lub duchownej i innych zajęć duchowych, jak to się powie niżej. Jak bowiem przechadzać się, podróżować i biegać, ćwiczeniami są ciała, tak też każdy sposób przygotowania i przysposobienia swej duszy do tego, aby *usunąć od siebie wszelkie źle uporządkowane skłonności*, a po usunięciu takowych, aby *zrozumieć i znaleźć wolę Bożą* co do stanu swego życia i zbawienia duszy, nazywa się ćwiczeniami duchownemi“.

W tych także słowach jest wypowiedziany właściwy i główny cel rekolekcyi.

Całą zaś tę prześliczną budowę ćwiczeń duchownych zakończy św. Ignacy jakby wspaniałą kopułą, rozmyślaniem o miłości bożej. To główny motor, to właściwy cel człowieka na ziemi, a istotna nagroda w niebie.

Oto w głównych zarysach całokształt *Ćwiczeń duchownych* św. Ignacego. Wszystko to dziwnie mądre, loiczne, konsekwentne, a na wskrós duchem Chrystusowym przejęte i w tej loice tkwi niespożyta siła, moc i tęgość rekolekcyi. Św. Ignacy, mąż szerokiego umysłu, przeznaczył na nie dni 30, ale dodał zaraz, że kto nie może tak wiele, to niech poświęci im dni 10 lub 8 albo 3 przynajmniej, hyle pierwotny program był zachowany.

Z książeczki: *Exercitia spiritualia* wyrósł i wykwitnął: *Institutum Societatis Jesu* duch i reguła zakonu Jezuitów, który św. Ignacy założył. Wszystkie zakony i korporacje duchowne przyswoiły sobie zwyczaj odprawiania ćwiczeń duchownych. Z biegiem lat, w XVII i XVIII wieku, rekolekcyje rozpowszechniły się wśród wszystkich klas i warstw społecznych, od królów i monarchów, aż do więźniów i skazanych na galary. U nas w dawnej Polsce nie było inaczej. Zwyczaj ten przetrwał i porozbiorową dobę i kasatę Jezuitów; poszedł w zapomnienie dopiero w pierwszych dziesiątkach XIX wieku, kiedy wywroty polityczne i przesładowania religijne stłumiły u nas na chwilę życie katolickie. W Galicyi dzięki rozporządzeniom Józefa II, które przeszły w system, rekolekcyje utrzymały się, ale prawie tylko jako kara na występnych księżu. Dopiero od lat kilkunastu przywrócono im właściwe znaczenie wśród kleru, a od lat kilku smakować sobie w nich poczynają i ludzie świeccy.

Jest on podwójny i podwójną nakłada pracę: ujemną, negatywną i dotatnią, pozytywną. Tak jako na wiosnę ogrodnik, chcąc uporządkować swój ogród, rozpoczyna naprzód od oczyszczenia go z tej brudnej skorupy zimowej, którą wytworzyły słoty jesienne, śnieżyce i wichry północne, a dopiero usunawszy te śmieci i naleciałości zabiera się do uprawy roli, do grządek, kłębów i trawników, zasiewa i sadi, i za tygodni kilka ogród staje w całej swej okrasie przeróżnych kwiatów i drzewek owocodajnych. — Tak samo rzecz się ma z ogrodem serca ludzkiego. Wyplewić należy z tej niewdzięcznej roli wszystko to, co jest w niej poziome, niskie, brudne, namiętne i występne, a dopiero usunawszy te źle uporządkowane skłonności *male ordinatas affectiones*, jak się Ignacy św. wyraża, można i należy przystąpić do posiewu zdrowego ziarna prawd Bożych, które nam wolę Boga i zakon Jego we wszystkich warunkach i szczegółach życia jasno przed oczy stawia, *ad quaerendam et inveniendam voluntatem divinam in vitae suae dispositione ad salutem animae*.

Przyznaję, że ta praca negatywna, to plevienie, wyrwanie i karczowanie jest dla skażonej natury naszej pracą trudną, niewdzięczną, bo to wojna domowa, a nie wstrętniejszego, jak *bellum civile*. Inaczej jednak być nie może. W każdym z nas jest jakby podwójny człowiek o dualistycznym pierwiastku; jeden wyższy, duchowy, Boży; drugi niski, poziomy, cielesny, człowiek-zwierzę. I w każdym z nas odbywa się walka tego dualizmu; ciało przeciw duchowi, instynkta niskie i grube przeciw rozumowi. Doznał tej walki na sobie Paweł św. „Lecz widzę inszy zakon w członkach moich, sprzeciwiający się zakonowi umysłu mego, i biorący mnie w niewolę w zakonie grzechu, który jest w członkach moich“. I zrozpaczony woła: „nieszczęsny ja człowiek, kto mnie wybawi od ciała tej śmierci?“ (Do Rzym. VII. 23, 24). I rzym-

ski poeta wołał: *Video meliora proboque, deteriora sequor*. Widzę to, co lepsze i pochwalam je, a idę za tem, co gorsze.

Przypatrzmy się bliżej, zróbmy diagnozę tego niższego człowieka, „człowieka grzechu“, jak go św. Paweł nazywa. „Albowiem wszystko, co jest na świecie, powiada Jan św., jest pożądliwość ciała i pożądliwość oczu i pycha żywota (List I. r. II. 16). To są te trzy namiętności, które tkwią w każdym z nas, z nami na świat przychodzą, rozwijają się i rosną, i z nami idą do grobu. U jednych przeważa zmysłowość, *concupiscentia carnis*, u drugich chciwość, *auri sacra fames*, jak ją Horacy nazywa, u innych duma i wyniosłość, *superbia vitae*; w różnych dozach i w różnych kombinacyach, ale one są w nas i są macierzą i zatrutem źródłem wszystkich złych skłonności, wad charakteru i przywar, upadków moralnych i zbrodni. Do tego każdy wiek ma sobie właściwe złe skłonności. Prześlicznie je opisał Horacy w liście do synów rzymskiego konsula Pizona: „Dzieciak kocha się w pustocie i krotochwilach, śmieje się naprzemian i płacze i zmienia humor co chwila.

....*gestit paribus colludere et iram
Colligit ac ponit temere, mutatur in horas.*

Młody wiek żądny wrażeń, zabawy, rozkoszy; jak najmniej pracy i trudu, jak najwięcej przyjemnych wrażeń i używania, bawić się i jeszcze bawić, używać świata póki służą lata, a ten świat zepsuty przychodzi mu w pomoc z dewizą: „młodość musi wyszumieć — die Jugend muss austoben“. Burzy się też i szumi często z utratą zdrowia i fortuny i z rozmarnotrawieniem najpiękniejszych talentów i zdolności:

*Imberbis juvenis, tandem custode remoto,
Gaudet equis canibusque et aprici gramine campi.
Cereus in vitium flecti, monitoribus asper,
Utilium tardus provisor, prodigus aeris,
Sublimis, cupidusque et amata relinquere pernix.*

W dojrzałym wieku bierze górę duma i wyniosłość, żądza sławy i popularności; „na paluszkach wzdętej pychy“ chciałoby się i Boga z nieba strącić:

*Quaerit opes et amicitias, inservit honori,
Jura negat sibi nata, nihil non arrogat armis.*

Zgrzybiała starość przynosi z sobą inne wady: zręczność i marudztwo, chciwość grosza i zbytnią troskę o daleką wrzekomo, a w gruncie zbyt bliską przyszłość. I znów prześlicznie Horacy:

*Multa senem circumveniunt incommoda: vel quod
Quaerit et inventis miser abstinet et timet uti;
Vel quod res omnes timide gelideque ministrat.
Dilator, spe longus, iners, avidusque futuri,
Difficilis, querulus, laudator temporis acti
Se puero, censor castigatorque minorum.*

Oto nędze i biedy natury ludzkiej, oto źródło cierpień i nieszczęść i pojedynczych ludzi i rodzin i narodów całych. Niemądry, kto się nie chce znać do tej nędzy; rozumieli ją dobrze starzy poganie, ale środków zaradczych podać nie umieli. I oto pierwszy cel i pierwsze zadanie rekolekcyjnej pracy, *poznać siebie samego*, jakie i które są we mnie namiętności, jak głęboko zapuściły one we mnie korzenie, do jakiego stopnia im ulegałem, która z nich jest we mnie przemożną, *passio praedominans*, jakby hersztem i komendantem innych, aby wyrwać je i wyplenić; jakie i które są we mnie szlachetne popędy i skłonności, aby je rozwinąć i pielęgnować, iżby się wyrobił ze mnie człowiek zacny i prawy, wierzący i pobożny — i na tem polega drugi — dodatni już i pozytywny cel rekolekcji. Γνωθι σεαυτόν, poznaj samego siebie, nawoływał Sokrates swoim uczniom; to studyum godne filozofa, godne człowieka i do tego samopoznania i świadomości siebie, zmierza cała praca rekolekcyjna, szereg konferencyi czy rozmyślań, rozwiązujących fundamentalne zagadnienia, przedstawiających

w ścisłym, loicznym związku prawdy wieczne, wzniosłe, Boże, które pouczają i oświecają rozum, jakby ci kto jasną lampę w mózg wsadził. Za rozumem pójść musi wola. Władza ta z natury swojej ślepa, *facultas caeca*, idzie tam, dokąd rozum jej wskaże; stąd aksjomat starych filozofów: *nil volitum quin praecognitum*, nie można chcieć tego, czego się nie poznało. Badaniem i rozmyślaniem prawd Bożych oświecony rozum nakłania wolę, aby odwróciła się od tego, co poziome i występne, a zwróciła się do tego, co szlachetne i zacne, czyli innemi słowy: aby opanowała zmysłowe chucię, chciwość i pychę a walką i pracą wewnętrzną zdobywała sobie coraz to nową cnotę, której piękność i moralną konieczność wskazuje znów szereg prawd, badań i rozmyślań. Jestto formalna gimnastyka ducha; wszystkie władze wyższe i niższe człowieka wchodzą tu w grę, pracują i ścierają się z sobą, dopokąd tą wewnętrzną pracą nie wyrobi się człowiek według serca Bożego. I oto cel rekolekcyi: odnowienie i odrodzenie się duchowe *renovatio et regeneratio spiritus*; nawrócenie się szczere do Boga, gdy się lata może długie daleko od Niego pielgrzymowało; ściślejsze połączenie się z Bogiem i doskonalsze życie, jeżeli się już przedtem drogą przykazań Bożych chodziło: słowem odmiana całego człowieka na lepsze.

Z jakim przygotowaniem przystąpić mamy do tej pracy rekolekcyjnej?

Na to odpowiada św. Ignacy: *animo magno et cum liberalitate erga creatorem ac Dominum suum* (adnot. 5) z animuszem wielkim, odważnym, hojnym dla Boga, zdolnym i gotowym do ofiary i poświęcenia. Ignacy był z zawodu rycerzem. W wojnie hiszpańsko - francuskiej 1518 r. jako komendant zamku Pampelony, ranny kulą działową w nogę, dostał się do niewoli, ale nieprzyjaciel umiał uszanować jego męstwo i puścił go wolno. Ten duch wojskowy, animusz iście rycer-

ski, pozostał w Ignacym po jego nawróceniu, tchnął on go i wlał w zakon, który założył, i chciał, aby tym wielkim animuszem *animo magno ac liberali* owiany był każdy, kto ćwiczenia duchowne odprawia. Dlaczego? Bo to walka i pasowanie się z sobą, walka wiary i rozumu z zmysłowością i miłością własną, obowiązku i powinności z uczuciem i instynktami serca. Przyjdzie nieraz zdusić, wyrwać i wypłenić to, co nader miłe i wdzięczne, co się stało drugą naturą i potrzebą życia; przyjdzie przeprowadzić zupełną, na wszystkich punktach reformę obyczajów, słowem: *oportet ire contra naturam*, wypadnie pójść przeciw inklinacyom i prądom skażonej natury, jak się wyraża lakonicznie św. Ignacy. Miłość własna pocznie wrzeszczeć i protestować: „daj mi pokój, zostaw mnie, tak mi tu dobrze w tych nałogach i w tej kałuży występku, poco mnie z niej wyrzucasz?“ I wywiąże się w tobie walka i borykanie się, jakoby cię kto na dwie połowy rozdzierał. Zabierz się tylko szczerze do zreformowania i naprawy samego siebie, zobaczysz, ile się napocisz i natrudzisz, zanim z tego lichego materiału skażonej twej natury ludzkiej wykrzeseasz człowieka wedle rozumu i wiary. Potrzebny więc animusz dzielny, wspaniały, rycerski, któryby się tej walki nie uląkł, ale stoczył ją zwycięsko.

Co więcej, w trakcie pracy rekolekcyjnej wypadnie nieraz zdecydować o wyborze stanu. Różne są powołania: jedno wyższe do stanu duchownego lub zakonnego, drugie, to zwyczajne świeckie i światowe, uświęcone jednak Sakramentem małżeństwa, a w nim znów różne odcienia i stany: obywatelski, urzędniczy, kupiecki, rzemieślniczy i t. d. Które powołanie jest mojem? jaki wybór mam uczynić? Ważna to sprawa, rozstrzygająca o doczesnem szczęściu mojem, a często i o zbawieniu duszy. I wnet ci staną przed oczami duszy ponęty i przykrości, nadzieje i zawody, przywileje i obowiązki, które każdy stan z sobą przynosi. Zepsuta natura ludzka ciągnąć cię będzie do tego, co przedstawia więcej rozkoszy i używania — ale do czego woła cię Bóg?... I znów wywiąże się w tobie walka głosu Bożego i głosu miłości wła-

snej, pierwiastku wyższego, który pcha do abnegacyi siebie i poświęcenia dla drugih, a egoizmu, który zawsze i wszędzie szuka tylko siebie, swoich wygod i korzyści, a o drugih nie pyta. Potrzebny znów animusz tęgi, hart niezłomny duszy — inaczej w tej walce stehórzysz i zamiast pójść drogą, którą cię Bóg woła, pójdziesz tym szerokim bitym gościńcem zmysłowości i występku, którym idą tysiące ludzi, a który do ruiny moralnej i zguby dusznej prowadzi.

To sobie bracia wszyscy powiedzmy: nie wtenczas do-brze są odprawione rekolekcyje, kiedy się w nich czujesz zimnym, chłodnym, spokojnym, a apatycznym i bezbarwnym, ale wtenczas, kiedy duch twój, jak ta łódka na fali morskiej przeciwnymi wiatry gnana i tłuczona, pracuje, walczy, szamoce się i boryka, bo taka walka oczyszcza duszę, przyprowadza ją do równowagi, wyrabia silne charaktery; wyjdiesz z niej odrodzony, duży i silny, przetrawiony i przemacero-wany, zdolny do wszelkiej ofiary. Daremna rzecz, „bojowa-niem życie człowieka na ziemi“ (Job. VII, 1), powiada Pi-smo św. A pogański poeta stwierdza to samo: *multa tulit fecitque puer sudavit et alsit*; należy od lat chłopięcych znieść i przecierpieć niejedno, napocić się i namarznąć, jeżeli chce się wyrósć na zacnego męża. Bez walki niema zwycięstwa, bez zwycięstwa niema tryumfu — kto chce przez fale tego życia przesunąć, przeslizgnąć się bez pracy, bez trudu, miękko i rozkosznie, ten dzieciakiem niemądrym na zawsze pozosta-nie, choćby lat 50 wieku liczył; obowiązków człowieka, oby-watela - chrześcianina nie spełnił nigdy; wyjdzie na pasożyta i nikczemną istotę w społeczeństwie — chcijmy to zrozumieć.

Obok tej wielkoduszności potrzebne jeszcze *prawdziwe skupienie ducha*, inaczej praca rekolekcyjna nie uda się. Dziwnie mądry i loiczny ten św. Ignacy; żąda on, aby ten, kto rekolekcyje odprawia, nietylko usunął się od wszelkich nieko-niecznych zajęć, od wizyt, teatrów, zabaw i roztargnień, a całą myśl swoją zwrócił do Boga i swej duszy, ale nadto domaga się, aby nawet ta pobożna myśl nie była skierowana gdzie-indziej, tylko do tematu konferencyi albo rozmyślania, żeby

słyszane tam prawdy, umysł przeżuł, przetrawił, przyswoił sobie i praktyczne z nich wyprowadził wnioski. To też zwyczajem jest, że rekolektanci zamykają się w celi klasztornej lub cichym zakątku swego domu i w milczeniu i skupieniu ducha oddają się rekolekcyjnej pracy. W Belgii np. zbiera się corocznie do dwóch tysięcy panów w kolegium jezuickiem w Tronchiennes i przez kilka dni tam mieszkając, odprawia rekolekcyę, jako przygotowanie do wielkanocnej spowiedzi i Komunii św. Dzieje się to samo w innych kolegiach i domach zakonnych męskich i żeńskich w Francyi, Anglii i indziej. U nas zwyczaju tego przestrzegają panie wyższego towarzystwa, podejmowane przez Siostry Towarzystwa Serca Jezusowego we Lwowie, Wiedniu i Pradze, tudzież pensjonaty żeńskie klasztorne i różne pobożne stowarzyszenia osób świeckich. I za czasów też dawnej Rzeczypospolitej zamykano się na rekolekcyę w klasztorach, czyli, jak się wyrażają stare kroniki i *Silvae rerum*, „osiadano na dewocyi“ zwłaszcza w czasie wielkiego postu. Ogół jednak odprawiających rekolekcyę, zwłaszcza po miastach prowincjonalnych pozostać musi w domu, przy swoich obowiązkach i zatrudnieniach, tem też pilniejszej potrzeba baczości, aby rozproszony z konieczności umysł skupiał się, zbierał przynajmniej w tych kilku godzinach wolnych od obowiązków, odłożywszy na czas późniejszy wszelkie wizyty, widowiska, spacer y i zajęcia nie tak bardzo pilne¹⁾.

¹⁾ Porządek rekolekcyj ten zwyczajnie w ostatnich latach zachowywany:

Dla pań.

Wieczorem około 5-tej *Veni Creator*, Konferencya wstępna, po której Litania do Najśw. Maryi Panny i błogosławieństwo Najśw. Sakramentem.

Przez trzy dni następne:

o godzinie 8^{1/2} Msza św.

„ 9—10 Konferencya pierwsza.

„ 3—4 Konferencya druga.

Wreszcie temu przygotowaniu i tej pracy rekolekcyjnej towarzyszyć ma częstsza modlitwa, słuchanie Mszy św., nawiedzanie Najśw. Sakramentu. Jest to artykuł wiary, że „łaska Boża do zbawienia potrzebna“, że bez tej łaski Bożej żaden uczynek dobry, zasługujący na niebo, nie jest możliwy. Tembardziej zbożne dzieło rekolekcyi, będąc czynem nawskróś chrześcijańskim, walnym krokiem naprzód na drodze zbawienia swej duszy, potrzebuje koniecznie tej pomocy i wsparcia z góry. Łaska Boża daje się wskutek modlitwy, „proście, a weźmiecie, proście, a będzie wam dano“ (Jan XVI. 24, Mat. VII. 7), powiada Zbawiciel, dlatego też rekolekcyje rozpoczynają się od wezwania Ducha św. *Veni Creator Spiritus*, od modlitwy przed Najśw. Sakramentem; modlitwa ta ponawia się przez dni następne, oprócz tego pozostawia się pobożności każdego, aby jak najwięcej czasu poświęcił modlitwie i wysłuchał codziennie Mszy św. z uwagą i nabożeństwem. Jeżeli kiedy, to w naszych czasach, gdzie modlitwa u wielu poszła w zapomnienie, przypomnieć jej potrzebę należy w czasie rekolekcyi.

Litania do Najśw. Maryi Panny i błogosławieństwo Najśw. Sakramentem.

Dla panów.

Wieczorem o 7-mej Konferencya wstępna, Litania loretańska, błogosławieństwo Najśw. Sakramentem.

Przez trzy dni następne:

o godz. 12 Konferencya pierwsza.

„ 7 wieczór, Konferencya druga, Litania loretańska, błogosławieństwo Najśw. Sakramentem.

Dla młodzieży uniwersyteckiej w Krakowie i dla panów we Lwowie obrano godzinę 7-mą wieczorem, ale zamiast trzech dni, przeznaczyło się na konferencye rekolekcyjne dni sześć.

Mało tego i ktokolwiek może, niechby wziął udział w rekolekcyach w klasztorze jakim należycie i po formie urządzonych, a z pewnością za łaską Bożą znaczną korzyść odniesie. Kto zaś nie może, temu Pan Bóg i przy takich publicznych i jakkolwiek odbytych rekolekcyach w miarę jego dobrej woli dopomoże.

Wytlómaczywszy sobie znaczenie i cel konferencyj reko-
lekcyjnych i wszystko to, co pożądaný skutek zapewnić im
może, przystąpmy już do rzeczy samej, do tych prawd Bo-
żych, wiecznych, od których zrozumienia postęp nasz na
drodze cnoty i zbawienie nasze zawisło.

KONFERENCYA I.

Po co i na co człowiek na tej ziemi? — Systemy starych i nowych filozofów sprzeczne z sobą i niemądre. — Zbiorowy rozum ludzki kwestyi tej nie rozwiąże. — Potrzebna pomoc rozumu wyższego, objawionej wiary. — Przynosi ją Chrystus Pan. — Służba i cześć oddawana Bogu jest celem i zadaniem człowieka na ziemi. — Środkiem do celu, spełnienie prawa Bożego. — Nagrodą za to, częściową tu na ziemi, własne uzacnienie i uświętobliwienie, a stąd spokój sumienia. — Zupełna nagroda w życiu pozagrobowym.

»Bądźcie tedy doskonali, jako i Ojciec wasz niebieski doskonały jest«.
(Mat. V. 48).

»Stworzony jest człowiek na to, aby Pana Boga swego wielbił i czcił, i Jemu służył, a to czyniąc, aby zbawił duszę swoją«.
(Św. Ignacy).

I.

Skąd człowiek i po co człowiek na tej ziemi? Około tego pytania, jako koło osi zwrotnej, obracają się dzieje myśli ludzkiej, systemy i szkoły filozofów przed- i pochrześcijańskiej doby. I nic w tem dziwnego, bo to pytanie zasadnicze, fundamentalne, obchodzące z bliska moje ja, wnikające w istotę i treść mego życia; a od rozwiązania onego zależy moralna wartość moja, doczesne i wieczne szczęście moje, los pojedynczych ludzi i społeczeństw całych.

Pojęcia i myty religijne barbarzyńskich i klasycznych ludów od starych Egipcyan aż do Greków i Rzymian są także

niczem innym tylko próbą rozwiązania tej zagadki: Skąd i po co człowiek?

Zbiorowy rozum ludzki wysilał się na to, aby dać na nią odpowiedź, a tej odpowiedzi dać nie umiał.

Badając tę sprawę rozumu ludzkiego nad rozwiązaniem początku i końca człowieka, odkrywa się trzy wielkie systemy filozoficzne: materyalizm, panteizm i racjonalizm, stare jak ludzkość, powtarzające się w ciągu wieków w różnych odcieniach i zmianach po dziś dzień, bo nic nowego pod słońcem, *nil novi sub sole*. Skąd człowiek i po co człowiek? pytał grecki filozof Epikur, żyjący 2.200 lat temu. I odpowiedział sobie: człowiek zwierzęciem tylko i niczem więcej, to, co w nim nazywamy duszą, to tylko wynik, to siła wypadkowa jego sił organicznych czysto materyalnych, życie jego kończy się śmiercią, poza grobem nicość. A celem człowieka używanie, *ἡδονή*, która niczem innym nie jest, jak zdrowiem ciała i równowagą umysłu *ἡ τοῦ σώματος ὑγίεια καὶ τῆς ψυχῆς ἀταραξία*¹⁾ *ἐπεὶ τοῦτο τοῦ μακρίως ἔχει ἐστὶ τέλος*¹⁾, — należy jednak umiarkowanie używać przyjemności, aby jej mózdz używać jak najdłużej.

Uczniowie jego zapamiętali tylko pierwszą część doktryny swego mistrza, zapomnieli o drugiej, używali też i nadużyli wszystkiego i wyrosli niebawem na skończonych rozpustników; jeden z nich, najprzedniejszy poeta rzymski Horacy nie wahał się nazwać sam siebie „prosięciem z trzody Epikura“, *Epicuri de grege porcus* (Ep. ad Tibullum).

Wygodna ta doktryna, puszczejaca wodze wszystkim niższym instynktom człowieka, przyjęła się wybornie w całej Helladzie; z cywilizacją grecką dostała się i do światowładnej Romy, zapanowała we wszystkich warstwach społeczeństwa, od konsulów i cesarów aż do niewolnika. Napróżno zwalczał ją wymowny Cicero w swych rozprawach *de finibus*, *de senectute*, *de natura deorum*. Znalazł się inny Rzymianin, poeta Lukrecyusz, który w poemacie *De rerum natura*, sy-

¹⁾ Syntagma Epicuri III. 4.

stem Epikura uwiecznił, a w erotykach swoich krzewił wyuzdaną rozpustę.

A nie byli oni, Epikur i Lukrecyusz, pierwszymi, którzy ten materialistyczny system filozofii odkryli. Jeszcze na pół tysiąca lat przed nimi żyli praktyczni wyznawcy materializmu. Wykażemy to zaraz w następnej konferencji.

A za dni naszych, azali nie napotykamy tę samą epikurejską szkołę t. z. materialistów i pozytywistów, rozwielnioną na katedrach uniwersyteckich, w dziennikarskiej publicystyce, w politycznym i prywatnym życiu? Negacya Boga, duchowości duszy ludzkiej i zagrobowego życia jest tak starą, jak deprawacya i przewrotność serca ludzkiego, nie jest to żadna „nowa“ zdobycz nauki, ani postęp wiedzy. Dziwne nawet uderzające jest podobieństwo między zasadniczymi punktami materializmu Epikura, a doktryną dzisiejszych materialistów jak Büchner: i tu i tam odwieczność materii (Urnebel), przypadkowość wirowego ruchu atomów, wytwarzająca cudowną celowość i misterny organizm ciał, roślin i zwierząt. I tu i tam najdowodniej postawiona hipoteza nieskończenie długich przestrzeni czasu i nieskończenie drobnych, niewidzialnych, a jednak rzeczywistych zmian i przemian, jakie się w świecie dokonywają i wyprowadzone z tej chimerycznej hipotezy stopniowe rozwijanie się, emanacya czy ewolucya doskonalszych z mniej doskonałych; wreszcie tu i tam sofistyka zuchwała, beczelna w rozumowaniach i dowodach mających wykazać, że między zwierzęciem a człowiekiem nie zachodzi żadna różnica istotna *jakościowa*, tylko różnica przypadkowa *ilościowa*, czyli, że wszystko to, co jest w człowieku, jest i w zwierzęciu, tylko w stopniu niższym, że więc człowiek jest zwierzęciem tylko, a celem i treścią jego życia *walka o byt*. Powiemy o tem obszerniej, mówiąc o nieśmiertelności duszy. Ale jeżeli tak, jeżeli człowiek zwierzęciem tylko, a celem jego walka o byt, używanie i rozkosz, to cóż się stanie z pojęciami moralnemi winy i zasługi, kary i nagrody, występku i cnoty, poczytalności i odpowiedzialności za swe czyny?

Jakie znaczenie i wartość mieć mogą: wolna wola człowieka i sumienie, cnota, miłość ojczyzny, poświęcenie, ofiara? A jednak są to pojęcia przyjęte przez zbiorowy zmysł moralny ludzkości całej; na nich się opiera rodzina, społeczeństwo, państwo; one są treścią obyczajowego, podstawą naukowego i politycznego życia i ludzi pojedynczych i narodów całych. *Communis consensio omnium nationum lex naturae putanda est*, stary to aksyomat Cicerona i filozofów pogańskich; powszechne zgodne zdanie wszystkich ludów uważać należy jako prawo natury, a tem samem jako niezbite znamię prawdy, bo zbiorowy rozum ludzki z natury dążyć do błędu nie może. Skoro więc w przekonaniu wszystkich ludów i narodów człowiek ma wolną wolę i sumienie, jest odpowiedzialny i poczytalny za swe czyny i dlatego zdolny winy i występku, zasługi i cnoty, kary i nagrody — to nie może być celem jego na ziemi zwierzęca walka o byt i zwierzęce używanie. System więc Epikura i jego epigonów nie rozwiązuje pytania skąd i po co człowiek?

Pójdźmy do innej szkoły filozofów, do panteizmu. Holdowali tej szkole Stoicy z greckim Zenonem i rzymskim Seneką na czele¹⁾. W wieku naszym panteizm miał znakomitych przedstawicieli w Niemczech: Hegla, Fichtego, Schellinga i Kanta i dowiedziona dzisiaj rzeczą, że panteizm filozoficzny głoszony z berlińskiej katedry uniwersyteckiej, przygotował grunt pod panteizm polityczny, czyli wszechwładzę państwa. Poczciwy nasz polski filozof Kremer, próbował pogański ten system na chrześcijańskie sprowadzić tory i na miejsce Boga panteistycznego postawić osobowego Boga, ale próba ta udać się nie mogła. Panteizm, jak i materyalizm z biegiem wieków przebywał różne fazy, ale we wszystkich swych odcieniach to ma wspólne, że Boga identyfikuje z wszechświatem a czło-

¹⁾ Nazwa stoików od *στόα ποικίλη*, t. j. od krużganku z kolumnadą w Atenach, ozdobionego malowidłami Polignota, na którym Zenon zbierał swoich uczniów.

wieka z Bogiem, przytem odmawia człowiekowi i znosi jego wolną wolę. Człowiek według tej doktryny sądzi się być „częścią bóstwa“ *pars Dei*, jak mówi stoik Seneka¹⁾, albo „momentem w rozwoju bóstwa“, jak twierdzi Hegel, bo tym bogiem jest wszechświat, a człowiek częstką wszechświata, nie ma więc żadnego pana nad sobą, jest *absolutem*, może sobie tworzyć i zmieniać prawa, może nawet odebrać sobie życie, gdy mu ono przykre albo niepożyteczne, a to tem bardziej, że porzuciwszy byt cząstkowy, odosobniony przez śmierć, powraca do bytu ogólnego, który według panteistów, jest nierównie lepszy, czysto boski, bezwzględnie doskonały²⁾. Doktryna ta toruje otwartą drogę do samobójstwa, ale i do wszelkiej samowoli. Z drugiej zaś strony panteizm stoików znosi wolną wolę człowieka, przyjmując nieubłaganą, nieodproszoną konieczność przyczyn i skutków czyli *fatum*. Posłuchajmy znów Seneki: „Cóż innego jest natura, jak Bóg i boski rozum wpleciony w świat cały i w części jego... Boga tego gdy nazwiesz *fatum*, nie pomylisz się, skoro bowiem *fatum* niczem innem nie jest tylko szeregiem splecionym przyczyn, to on (Bóg) jest pierwszą wszystkich przyczyną, od której zależą inne... Ale ten sam wszystkich rzeczy twórca napisał wprawdzie *fata*, sam im jednak podlega; zawsze jest im posłuszny, raz tylko kazał“. A na innem miejscu pyta: „Co rozumiesz przez *fatum*? rozumiem konieczność wszystkich rzeczy i wszystkich czynności, której żadna siła nie przerwie... *Fata* nas wiedą i co komu spełnić przystało, już w pierwszej chwili narodzin jego jest przeznaczone. Przyczyna zawisła od przyczyny, prywatne i publiczne sprawy długi szereg przyczyn prowadzi. Dlatego odważnie wszystko znieść należy, albowiem nie przypadkiem dzieje się wszystko, jak mniemamy, ale przychodzi

¹⁾ Dlaczego nie mam przypuścić coś boskiego w tym (człowieku), który częścią Boga jest *qui Dei pars est*? Wszechświat ten, w którym się znajdujemy i czemsiś jednym jest i Bogiem jest i towarzyszami jego jesteśmy i członkami. (List 92).

²⁾ Dr. Ueberweg. *Geschichte der Philosophie I*, 198.

do nas pewnym porządkiem. Co jest rzeczą dobrego męża? Oddać się w ręce *fatum*. Wielką to pociechą jest porwanym być ogólnym prądem świata. Cokolwiek jest to, co nam ka-
zało tak żyć i tak umierać, to tą samą koniecznością wiąże
bogów, nieodwołalny bieg toczy zarówno ludzkie jak boskie
sprawy¹⁾. Stąd to u starych owe wyrażenia: *fatorum ferreus
ordo, inexorabile fatum, sic erat in fatis, desine fata Deum
flecti sperare precando*, żelazna konieczność losu, nieublagane
losy, takie moje *fatum*, przestań spodziewać się, że modlitwą
zmienisz przeznaczenie bogów“. Wiara w żelazne, nieublagane
fatum w chwilach wielkich cierpień wlewa siłę bierną, od-
porną, niemą rezygnację, jak znów w momentach gwałtownej
namiętności popychała do zbrodni, zawsze jednak druzgotała
jakby taranem wolną wolę człowieka i cały ten moralny porzą-
dek, który na niej się opiera. Nowsi panteiści mniej jaskrawo,
ale równie stanowczo zaprzeczyli wolną wolę: „Wolność, którą
się wszyscy chępią, powiada Spinoza, zależy tylko na tem,
że ludzie świadomi są swego chcenia, a nie są świadomi przy-
czyn, które nimi powodują“. Hegel naucza, że wszystko dzieje
się z bezwzględnej konieczności, a wolność woli subiektywnej
czyli podmiotowej jest tylko wewnętrzną świadomością różnych
determinacyi, pochodzących z istoty woli bezwzględnej z bez-
względną koniecznością. „*Der subjective Wille ist insofern
moralisch frei, als diese Bestimmungen innerlich als die sei-
enden gesetzt und von ihm gewollt werden*“²⁾. I jakież według
tej panteistycznej szkoły cel człowieka na ziemi? Celem czło-
wieka, dowodzi stoiczny Seneka jest cnota, *virtus a viro
dicta*; szlywna, zimna, bezlitosna, (bo litość i współczucie sła-
bością) umiejąca cierpieć i umierać, zawsze sobie samej wierna,
stała i jednakowa, hartowna by ze stali. *Beata est vita con-*

¹⁾ *Seneca de beneficiis l. IV, de providentia c. 5.*

²⁾ *Encyklopädie der philos. Wissenschaft III. Theil, 2 Abt. B. § 503.*

veniens naturae suae, (ἐμολογούμενος τῇ φύσει ἑῇ) szczęśliwe życie, które odpowiada własnej naturze; to wtenczas tylko możliwe, gdy duch zdrowy i w ustawicznym swego zdrowia posiadaniu; dalej gdy dzielny i odważny, piękny i cierpliwy; dający się nagiąć do okoliczności, ciekawy poznać swe ciało i co do ciała należy, ale przytem spokojny; pilny w poznaniu tego, co kształci życie, niczemu się jednak nie dziwując; używa darów losu, ale nie jest ich niewolnikiem... Wyniknie stąd trwały spokój, swoboda, skoro odsunie się co nas miesza albo straszy. Albowiem w zamian za rozkosze i to, co małe a kruche i w samych występkach szkodliwe, nastaje wielka radość, niczem nie wstrząśnięta, a jednostajna: spokój i równowaga ducha, wielkomyślność obok łagodności; wszelka bowiem srogość z słabości pochodzi... Najwyższe szczęście to duch gardzący tem, co przypadkowe, wesoły cnotą; to niezwykła siła ducha, świadoma rzeczy, spokojna w działaniu z wielką uprzejmością i pieczę dla otaczających siebie... To duch swobodny, podniosły, nieustraszony i stały, bez bojaźni i bez namiętności; cnota jego jedynem dobrem, występki jedynem złem, ani nie umniejsza ani nie doda nic szczęśliwemu życiu, przychodzi i odchodzi bez powiększenia i bez ujmy najwyższego szczęścia. Kto tak ugruntowany, temu chce czy nie chce, towarzyszyć musi ustawiczna swoboda, wzniosła i z wyżyn płynąca dla swoich... Pytasz, czego ja szukam w cnotcie? samą cnotę, bo nic nad nią lepszego, sama nagrodą jest swoją. Czy to nie dosyć wielkie? Gdy ci powiem: największem szczęściem, to niezłomny hart duszy i przezorność i przenikliwość i zdrowie i swoboda i równowaga i wdzięk i okrasa, czy żądasz co nadto więcej, do czego by się to odnosić mogło? Po co mi tu o rozkoszy wspominasz? szukam szczęścia człowieka nie brzucha, który u bydła i zwierząt obszerniejszy jest¹⁾.

Treściwiej i jędrniej to samo wyśpiewał Horacy:

1) *Seneca de vita beata*, c. 5, 6, 9.

*Justum ac tenacem propositi virum...
Etiam si fractus illabatur orbis
Impavidum ferient ruinae (Ode).*

Pisze się to mądrze, czyta się mile i z pewnym podziwem, ale w praktyce? Ten sam Seneka, który tak mądrze o cnocie rozprawia skończył samobójstwem. Na rozkaz Nerona zażył truciznę, gdy ta nie skutkowała, wszedł do gorącej łaźni i żyły sobie poderżnąwszy, upływem krwi żyć przestał. Inny również jak on znakomity stoicyzmu zwolennik, Kato z Utyki, zakończył swój żywot także samobójstwem. Przeżyć nie mógł „rzeczypospolitej zgniecionej przez Cezara“. Stoicka cnota okazała się bezsilną, rozpacz włożyła mu samobójczy sztylet do ręki. Cóż mi to za hartowna męska cnota, która wobec grozy nieszczęścia małoduszne samobójstwo doradza? A nadto czy Seneka, czy którykolwiek ze Stoików wyrobił w sobie rzeczywiście: *animum liberum et erectum et imperterritum et stabilem, extra metum, extra cupiditatem positum?* Taka niezależność ducha od otaczającego nas świata, od wrażeń i własnych namiętności, siłami czysto ludzkimi wyrobiona jest utopią, marzeniem¹⁾. Prawdą za to jest to, co inny Rzymianin, Owidiusz, powiedział:

*Video meliora proboque,
Deteriora sequor,*

i każdy z nas tej smutnej prawdy doświadczył na sobie. Cnota dla cnoty cóż to znaczy? Ja cnotliwy, dla siebie samego cnotliwy, boć ta cnota nie istnieje gdzieś w powietrzu, ale jeżeli ma być rzeczywistością, zrealizować się musi we mnie lub w podobnych mi ludziach, a więc ja sam jestem celem samego siebie. Czy to być może? Czy ponademnie niema już nic wyższego? Jest przecie społeczeństwo, a ponad niem

¹⁾ Przyznali to zresztą sami stoicy i rozróżniali: niemądrych i dążących do mądrości. (Dr. Ueberweg I, 199). A nadto w tych rozumowaniach stoickich jest nieloika: znoszą bowiem wolną wolę człowieka a domagają się wysiłku tej wolnej woli w dążeniu do cnoty.

jest jeszcze jakiś Bóg? Ażali w całej przyrodzie nie widzimy tej cudownej celowości, że każda rzecz, każde żyjątko ma oprócz zachowania lub udoskonalenia własnej egzystencji cel jeszcze inny do spełnienia, a wszystkie te rozstrzelone, przeróżne cele sprowadzić się dadzą do ogólnego celu, jest zaś nim: służyć człowiekowi. Pozostanie więc na zawsze zagadką: cały świat ten dla człowieka, a człowiek dla kogo?

Rozprawić nam się teraz wypada ze szkołą t. z. spirytystów, uznających istnienie osobowego Boga i duchowość duszy ludzkiej. Pomijam tu greckich sofistów (σοφισται) jak Protagoras, Hippias, Trasimach, szkołę pośrednią między materialistami a panteistami, dla której szermierka dyalektyczna była żywiołem, a która wiarę i cnotę podporządkowała pod korzyść materyalną i interes państwa. I tak np. najznakomitszy zwolennik sofistycznej szkoły Kritias, rządca Aten, twierdził głośno: „że wiara w bóstwo jest wynalazkiem rozumnego męża stanu, który okrywając prawdę oszustwem, zdobywał przez to chętne posłuszeństwo u obywateli“ διδαγμάτων ἀριστον εἰσπηγέσθαι, ψεύδει καλῶς τε τὴν ἀληθειαν λόγῳ. Pilno mi za to do koryfeuszów starożytnej mądrości, jak Sokrates, Plato, Aristoteles z Greków, eklektyk Cicero z Rzymian. Wszyscy oni mają to wspólne, że uznają istnienie osobowego Boga i duchowość duszy ludzkiej, że szczerze szukają prawdy, a gnani tą gorączką odnalezienia jej idą po nią i do starych Egipcyan i do Żydów, z których ksiąg świętych zaczępnęli bardzo wiele. Wszyscy wreszcie pomimo swego rozumu i swej szlachetności serca, nie umieją dać jasnej, pewnej odpowiedzi na pytanie po co i na co jest człowiek, jaki cel jego na tej ziemi? Każdy z nich miał swoich zwolenników, stworzył osobną szkołę. Sokrates za swoje przekonania o Bogu i sumieniu skazany przez sąd ateński na wypicie trucizny, przekazał swoje zasady i swoje wątpliwości uczniowi swemu „boskiemu“ Platonowi, który je streścił w swoich *dyalogach*. Sokrates i Plato uczą: świat nie jest odwieczny, ale stworzył go najwyższy Bóg, (θεμιουργός) z dobroci swojej i wlał w niego duszę, φρόνησις. Człowiek także stworzony od Boga,

obdarzony duszą nieśmiertelną, której siedziba w głowie. Najwyższem szczęściem człowieka nie jest rozkosz, nie jest, nawet wiedza sama, ale coraz wyższe udoskonalenie siebie na podobieństwo Boże, które jest dobrem najwyższem. Ten też jest cel moralny człowieka na ziemi. Droga do tej stopniowej doskonałości człowieka jest wrodzona duszy ludzkiej zdolność do cnoty, która w pięciorakim objawia się kierunku: jako zdolność zdobywania wiedzy σοφία, zdolność przedsięwzięcia rzeczy wielkich i trudnych ἀνδρία, zdolność opanowania i utrzymania w równowadze swych instynktów i pożądliwości σωφροσύνη, poczucie prawa i słuszności δικαιοσύνη, a wreszcie zmysł religijny i zdolność i potrzeba oddawania czci Bóstwu εὐσιότης. Wszystko to na pozór jakby z katechizmu katolickiego wyjęte, a jednak ani onym mędrcom ani ich uczniom rękojmi prawdy nie dawało; na dnie tych mądrych rozumowań kryje się niepewność, wątpliwość, bo rzucone one są nie jako pewniki niezbite, mające sankcyą nieomylną powagi, ale jako hipotezy i ludzkiej omylnej wiedzy teorye: przekonamy się o tem niżej.

Platona uczniem był Arystoteles. Najbardziej to zbliżony do chrześcijaństwa mędrzec. Pisma jego służyły św. Tomaszowi z Akwinu, ojcu scholastycznej szkoły, za podstawę do badań. Według Arystotelesa, Bóg jest niezłożoną, odwieczną formą, czystą działalnością, rozumem pojmującym siebie, absolutnym duchem, którego jako najwyższą doskonałość wszystko miłuje i wszystko dąży stać się doń podobnem. Ten wieczny Bóg stworzył świat od wieków i wiecznie trwać mający, jest on nietylko formą świata (*immanente Form*), jak porządek jest formą w wojsku, ale jest on w świecie jako samoistna istota nakształt wodza w armii. Wszystkie organiczne stworzenia nawet najniższe mają coś cudownego, pięknego i Boskiego w sobie, a każde ma swój cel odrębny. Nie rozwijają się one stopniowo, ale powstają gatunki z gatunków, ἐκάστη ἐκ συνονούμων γίγνεται ἡ οὐσία... ἄνθρωπος γὰρ ἄνθρωπον γεννᾷ. Dusza jest pierwszym pierwiastkiem ciała fizycznego organicznego, zdolność życia w sobie mającego, którą dusza do aktu

doprowadza, ἐστὶν οὖν ψυχὴ ἐντελέχεια ἢ πρώτη σώματος φυσικοῦ ζῶντος ἔχοντος δυνάμει, τοιούτου δέ, ὃ ἂν ᾖ ὁργανικόν. Celem człowieka na ziemi i jego najwyższem dobrem jest szczęśliwość. Ta zaś polega na rozumnej czyli cnotliwej działalności duszy w pełnem trwaniu życia; której to działalności uwieńczeniem i dopełnieniem jest duchowa rozkosz. Cnota jest to łatwość pełnienia czynów zgodnych z rozumem, opiera się na wrodzonej zdolności, nabywa się ćwiczeniem i jest albo obyczajową, etyczną, czyli usposobieniem woli poddającej pożądlivość pod głos rozumu: jak męstwo, mierność, hojność, a przedewszystkiem prawość i sprawiedliwość, albo rozumową, dianoetyczną: jak rozum, wiedza, sztuka i zmysł praktyczny czyli rozsądek. Życie oddane zmysłowemu używaniu jest zwierzęcem, życie etyczno-polityczne, czyli obyczajowo-towarzyskie jest ludzkim, życie zaś naukowe jest boskiem.

Uczniowie Arystotelesa perypatetykami zwani, przestroili się w ciągu lat kilkudziesięciu w stoików, o których wspominałem wyżej, z tych zaś wyrosli sceptycy wątpiący o wszystkim, nawet o istnieniu własnem, i eklektycy rzymscy czyli filozofowie racjonalisci, wybierający z każdej szkoły to, co się im stosownego i prawdziwego zdało; Cycero jest ich najprzedniejszym przedstawicielem. Znakomity ten orator i filozof, mąż stanu i patryota, zwalczał piórem materjalizm epikurejski przeniesiony na grunt rzymski, dowodził istnienia osobowego Boga, duchowości i nieśmiertelności duszy ludzkiej, wykazywał piękność cnoty, którą stawia wyżej nad wszelkie dobro, wątpił jednak, azali ona wystarczy do szczęśliwości człowieka i w żadnym może z filozofów starożytności nie czuć w tak wysokim stopniu tej niewiary w własny rozum, tego biedzenia się z samym sobą i systemami szkół różnych, tego jednym słowem niedołęstwa i niedostateczności rozumu ludzkiego w rozwiązywaniu kwestyj palących, bo obchodzących z bliska człowieka i ludzkość, jak w rozprawach Cicerona. Zwolennik idealizmu Platona i jego szczęśliwości opartej na cnocie, rozpisuje się w listach swoich do Attyka *Epistolae ad familiares* nad nieśmiertelnością chwały ludzkiej *immortalitas gloriae*, mieni ją

być jedynym celem godnym człowieka i właściwem szczęściem jego na ziemi i błaga na wszystko swego przyjaciela Attyka, aby mu przecie wyjednał u ludu wjazd tryumfalny do Rzymu. Litość bierze, kiedy się czyta, jak człowiek tak mądry i szlachetny mógł być do tyła próżny i w owacyach niestatego ludu widzieć najwyższe szczęście swoje i cel życia na ziemi.

Zatrzymałem się dłużej nad wybitniejszymi systemami i ludźmi starożytnej mądrości, bo w nich to widzi się jak na dłoni niedostateczność rozumu ludzkiego wobec głównych zagadnień człowieka. Nowsi bowiem filozofowie albo zaczerpnęli coś z objawionej wiary, albo chociaż sami niedowiarkami byli, mimowolnie nasiąkli tradycjami chrześcijańskich społeczeństw, wśród których żyją — ale tamci o wierze objawionej nie zasłyszeli nigdy, a nawet święte księgi żydowskie były dla nich tylko czysto ludzkim źródłem naukowym: skazani więc byli i ograniczeni na siły czysto ludzkiego rozumu i z pracy swej wyszli wszyscy — zwątpieni i złamani. Nietylko bowiem, że pomimo całych swoich wspaniałych rozpraw o zacności cnoty i ideałach doskonałości na wzór Boga, doradzali występki: Seneka chwalił samobójstwo, Cycero rozwiódł się z pierwszą i drugą żoną, a Plato skazywał nowonarodzone chore dzieci na śmierć; ale niewątpliwy wyraz tego zwątpienia o prawdziwości swoich doktryn zostawili nam w swoich własnych pismach. Seneka np. w liście 82 podając powody, dla których obawiamy się śmierci, wymienia między innymi obawę, ażeby razem ze śmiercią ciała i duch nie umarł. „To co tu jest, już znamy, tego zaś dokąd przejść mamy, nie znamy zgoła, a strach mamy przed tem, czego nie znamy. Nawet gdyby kto nie wierzył w baśnie poetów o piekle, to inny strach ogarnia. Równie bowiem obawiają się, aby nie byli w piekle, jak aby nie byli nigdzie (przestali więc istnieć) *aeque enim timent, ne apud inferos sint, quam ne nusquam*“. A więc niema pewności, azali dusza ludzka jest nieśmiertelną. Nawet ów Cycero tak wspaniale zwalczający grubą filozofię Epikura nie jest pewny o prawdziwości dowodów swoich i najpiękniejszą rzecz o nieśmiertelności duszy kończy powątpiewaniem. „Jeżeli myślę

się wierząc w nieśmiertelność dusz, to chętnie się mylę i nie dozwolę wydrzeć sobie tego błędu, którym pocieszam się jak długo żyję“, (*De Senectute*). Plato zaś w dyalogach *Alcybiades secundus*, wyraźnie powiada, że rozum ludzki nie wystarcza tam, gdzie chodzi o określenie stosunku człowieka do bóstwa, a jednak celem człowieka na ziemi ma być udoskonalenie siebie na wzór bóstwa. „Dokąd spieszysz Alcybiadesie? pyta Sokrates swego ulubieńca. Spieszę bogom złożyć ofiary. A skąd ty wiesz, że są bogowie, że żądają ofiar? Nie wiem — powiedz-że mi Sokratesie, co mam czynić, abym snąć sam siebie nie oszukał, składając bóstwu niemiłe ofiary i zamiast rzetelnego dobra pragnąc złego“. Na to Sokrates: „Czekać należy dopokąd nie nauczy nas kto, jak się zachować mamy tak względem Boga jako i ludzi“. — „Kiedy to będzie o Sokratesie, pyta gorączkowo Alcybiades, i któż będzie tym mistrzem? Z największą bowiem chęcią pragnę poznać człowieka tego, ktokolwiek on jest“. — Sokrates na to: „Ὁ θεός ἐστιν, ὃ μέλει περὶ σου..“ Ἀλλὰ μὴν κακείνος θαυμαστὴν ὁρσὴν περὶ σου προθυπῶν ἔχει. Ten jest, który ma pieczę o tobie... A więc jak cudowne ma on (Bóg) staranie o tobie“. Jest to, jakby z ust wyjęte Izajasza proroka: „*Ipse Deus veniet et salvabit nos*, Bóg sam przyjdzie i zbawi nas“ (Isai r. XXX).

Oto ostatnie słowo, ostatnia odpowiedź, na jaką się zdobył zbiorowy rozum ludzki. Nie wiem i jeszcze raz nie wiem, po co i na co jestem na tej tu ziemi — potrzeba mi pomocy Rozumu wyższego, potrzeba, żeby Bóg zstąpił na ziemię i nauczył i zbawił nas.

II.

I tym rozumem wyższym, tym Bogiem, który zstąpił na ziemię i zbawił nas, jest Jezus Chrystus i oto, co do nas woła: „*Estote perfecti*, bądźcie tedy doskonali jako i Ojciec wasz niebieski doskonały jest“. Celem tedy człowieka na ziemi jest uzacnienie, udoskonalenie, uświętobliwienie siebie na wzór

Boga; „Albowiem ta jest wola Boża, pisze Paweł św. do Chrzescian w Tessalonice, poświęcenie wasze, *sanctificatio vestra*“ (I. Tes. IV. 3). Odgadywali ten cel, jak wspomniałem wyżej, niektórzy filozofowie pogańscy, ale nie umieli sformułować go jasno, wskazać drogę i podać środki potrzebne. Czy to jednak możliwe, czy są we mnie warunki po temu, abym udoskonalił siebie na wzór Boga? Są i bardzo są. Czytam w księdze Genesis: „*Faciamus hominem ad imaginem secundum similitudinem nostram*. Rzekł Bóg, uczynimy człowieka na wyobrażenie nasze, według podobieństwa naszego“ (Gen. I. 26). W czym ten obraz, to podobieństwo moje z Bogiem? Jużci nie wedle ciała mojego, bo Bóg jest duchem, a jam z duszy i ciała złożony, ale już to ciało moje jest najmisterniejszym, najpiękniejszym ze wszystkich organizmów i co jeno wdzięku, krasy i piękna po wszystkich stworzeniach rozrzucone, to zebrane jakby skoncentrowane w ciele ludzkim; i dla tej piękności jego organizmu nazwali starzy człowieka malutkim światem *μικρὸν κόσμος*, jakby całe cudo świata w nim było zamknięte; i rzymski poeta śpiewa: *Os homini sublime dedit, coelumque tueri*.

Fecit et erectos ad sidera tollere vultus.

„Bogowie dali człowiekowi postać wzniosłą, patrzeć w niebo mu kazali i nosić głowę podniesioną ku gwiazdom“, na znak, że nie dla ziemi, ale dla nieba stworzony jest. Właściwe jednak podobieństwo moje z Bogiem jest w tem, że Bóg jest duchem, „*Spiritus est Deus*, duch jest Bóg“ (Jan IV. 27): i we mnie jest duch nieśmiertelny; Bóg jest prawdą: *Ego sum veritas* (Jan XIV. 6) i we mnie jest rozum, który naturalną swoją siłą dąży do poznania prawdy; *intellectus humanus*, powiada Arystoteles, *naturaliter tendit in verum* i cieszy się kiedy tę prawdę odnajdzie. Stu wołów ofiarę złożył Pitagoras bogom, ciesząc się i dziękując, że odkrył i udowodnił znane wszystkim twierdzenie geometryczne. Bóg jest doskonałością samą i źródłem wszelkiej doskonałości „*Ego Dominus sanctificans*, iżem ja jest Pan, który poświęca“ (Ezech. XX. 12) i we mnie jest wolna wola, która naturalną siłą dąży do tego, co dobre; *voluntas humana*, powiada znów stary Arystoteles

naturaliter tendit in bonum; tkwi we mnie zmysł moralny nakazujący mi uszanować i ukochać to co piękne, wzniosłe, idealne, a potępić i odrzucić co poziome, brudne i występne. Chcę czy nie chcę, prawdomówność, męstwo i poświęcenie uszanować muszę choćby w wrogu moim; kłamstwo, tchórzostwo, prywatę potępić muszę choćby w najdroższej mi osobie, choćby w sobie samym. Bóg jest miłością, *Deus charitas est*. (I. Joan. IV. 16) i stworzył Aniołów i ludzi i tę prześliczną maszynę świata, aby miał komu dobrze czynić — i we mnie tkwi ta potrzeba miłowania i to pragnienie mózdz kochać i być kochanym. I są różne miłości: miłość dwojga serc, na których się opiera życie rodzinne, miłość małżeńska i macierzyńska; jest miłość koleżeńska i przyjacielska wyniesiona z ławki szkolnej, z obozu lub z murów więzienia, lub wspólnością prac, trudów i poświęceń stworzona. I cieszy to człowieka, kiedy może coś dobrego komu wyświadczyć, jak znów ten, któryby nikogo i nic nie kochał, potworem jest. Widzimy czasem natury jakieś chorobliwe, dziwaczne, które nie kochając ludzi, miłość swoją przelewają na pieska lub kotka, lub ptaszynkę faworyta — tak to jest prawdą, że człowiek koniecznie miłować coś i kochać musi. Bóg jest szczęściem i źródłem wszelkiego szczęścia — i człowiek naturalnie dąży do szczęścia *homo naturaliter desiderat esse beatus*, mawiali starzy, nawet wtenczas kiedy źle czyni, upija się lub kradnie, szuka w tem chwilowego szczęścia, i niema człowieka, któryby nie chciał być szczęśliwym. Bóg wreszcie istnością jest i bytem samym: *ego sum, qui sum, ego sum vita* (Exod. III. 14. Jan IV. 24), i nieśmiertelnym jest; i człowiek pragnie ratować to życie, żal i wstręt go bierze na samą myśl śmierci; i tkwi w nim ta żądza żyć w potomości, być nieśmiertelnym. I stąd to człowiek tak bardzo pragnie zostawić pamięć po sobie; *non illacrimatus abibo*, pocieszali się starzy „nie umrę, nie zostawiwszy żalu po sobie“. Stąd to widzimy innych, którzy nie mogąc uwiecznić swej pamięci czynem szlachetnym, zbrodnie popełnili, jak on Herostrat, szewc grecki, który sławną świą-

tynię Dyany w Efezie spalił, aby przecie wiedziano o nim w potomnych wiekach, że żył na świecie.

Jest więc pomiędzy mną a Bogiem podobieństwo wielkie, a celem życia mego na ziemi: wykończenie, udoskonalenie tego obrazu Bożego we mnie, umodelowanie samego siebie na wzór Boży „*Estote perfecti*”, bądźcie tedy doskonali, jako wasz Ojciec niebieski“, to mandat i rozkazanie Chrystusa. Skoro więc Bóg jest wzorem, modelem moim, skoro ja ten wzór odportretować, odmalować mam na własnej duszy — to pierwsza rzecz, muszę poznać tego Boga. Najbiegły malarz artysta nie wykona portretu mego, nie przypatrzwszy się pierwemu i nieuchwyciwszy dobrze rysów moich; muszę mu pozować albo wierną fotografią posłać, inaczej zamiast portretu, karykaturę mi namaluje. Podobnie ma się rzecz z nami i Bogiem. Jeżeli mam tego Boga odwzorować na mej duszy, to muszę Go poznać, uchwycić Jego rysy, zrozumieć Jego ducha, przymioty i własności Jego. Jakże ja to uczynię? „*Deum nemo vidit unquam*”, Boga żaden nigdy nie widział, (Jan I. 18), nie objawił mi się, nie widziałem Go, jakże Go poznam? Czy nawet mogę poznać Go w jakikolwiek sposób? Bóg istotą nieskończoną, a jam ograniczony, nawet tej ziemskiej ludzkiej wiedzy nie obejmę wszystkiej. To co nieskończone, jak się pomieści w tem, co skończone? Wody rzeki Wisły kto wyczerpie szklanicą lub dzbankiem? Tak zaiste, zupełnej znajomości Boga *cognitionem adaequatam Dei*, jak mówią teologowie, nie mamy i mieć nie możemy, bo Bóg jest nieskończony, niepojęty; ale przecie jakąś znajomość tego Boga mieć możemy i mamy. Poznajemy Boga naprzód naszą moralną naturą ludzką i jest to artykuł wiary, ogłoszony w Syllabusie Piusa IX i w dekretach Soboru watykańskiego, że człowiek naturalnem światłem rozumu przyjść może do poznania istności Boga i głównych przymiotów Jego i prawdą pozostanie na zawsze, co dwa tysiące lat temu powiedział rzymski filozof Cicero: „*opinionum comenta delet dies, naturae iudicia confirmat*”, zmyślane mniemania niszczy czas, sądy natury umacnia. I dlatego w naszym narodzie i we wszystkich innych istnieje cześć bogów i świę-

tość religii z dniem każdym większa i lepsza“ (*De nat. Deor.* II. 2). Pomówimy o tem obszerniej w konferencji następnej.

To też, gdy pytano jednego z pogańskich mędrców, co to jest człowiek? odpowiedział: jest zwierzęciem religijnem, *homo est animal religiosum*. Pojęcie Boga jest jakby wrodzone moralnej naturze ludzkiej i stąd to powiedzenie Tertuliana: „każda dusza z natury swojej jest chrześcijańską, *anima naturaliter christiana*“. Stąd też pochodzi, że dzieci nasze tak łatwo naginają się do pobożności, tak prędko pojmują Boga i to, co się do Boga odnosi, byle ich nie psuto rozmyslnie.

Dziecko z natury swojej łąnie do Boga i do tego, co Boże najprzód wyobraźnią swoją. Matka lub piastunka okaże mu krucyfiks lub obrazek św. i powie: „pocałuj to, bo to Bozia“, a kładąc je do snu powie, „pokłoń się Bożi“; dziecię całuje, rączką się kłania i woła „pa Boziu“. — To pierwszy kult religijny, to pierwsza modlitwa dziecięcia. W miarę jak się rozwijają jego władze umysłowe, rozjaśnia się to pojęcie o Bogu, potęguje się to uczucie religijne. I znowu matka jest tutaj pierwszym kapłanem, pierwszym katechetą; ona składa do modlitwy rączęta dzieciny, przepowiada „Ojcze nasz i Zdrowaś“, dziecię źle domówionymi wyrazami powtarza najprzód machinalnie, potem coraz lepiej pamiętając, coraz jaśniej rozumiejąc słowa pacierza. W szóstym roku życia, niekiedy już w piątym, umie i „Wierzę w Boga“ i „Dziesięcioro przykazania Bożego“, a wtenczas to kilkoletnie dziecię chrześcijańskie jest według słów św. Augustyna mądrzejsze, niż wszyscy filozofowie pogańskiego świata razem wzięci, bo dziecię wie, po co i na co jest na tym świecie, a pogańscy mędrzy nie umieli na to pytanie dać odpowiedzi. W siódmym, ósmym roku rozpoczyna się wychowanie szkolne. Niestety, tylko w Galicyi ksiądz katolicki ma wstęp do szkoły ludowej; gdzieindziej świecki nauczyciel często innowierca w obcym języku wbija w pamięć, ale nie w serce dziecięcia prawdy wiary, katechizm. Za to tem większy ciężar na rodzicach obowiązek dopilnowania nauki religii w domu, nawet tam, gdzie jak w Galicyi kapłan wy-

klada naukę religii w szkole. Nauka ta bowiem nie może być dostateczną. Wykład szkolny zajmuje zaledwie 2 godziny na tydzień, a dzieci bywa w klasie po 50 i więcej: katecheta nie zna ich często nawet z nazwiska, jakże się może zająć gruntownie ich religijnem wychowaniem? W szkołach średnich zdarza się nierzadko, pomimo że regulamin szkolny tego zabrania, że dziecko słyzy w szkole z ust nauczyciela zasady i doktryny wręcz przeciwne temu, co ks. katecheta naucza; częściej znajdują się zli koledzy, obyczajowo popsuci i przewrotni, którzy wiarę twego dziecięcia osłabiają i zwichną. A dopieroż uniwersytety i wyższe zakłady naukowe — te nacechowane są już wprost bezwyznaniowością. Powiedzieć to samo należy o wielu pensjonatach żeńskich, mianowicie dla materialnych widoków założonych. Tu już młodzieniec, panienska, nietylko że nie utwierdzi swych przekonań, nie spotęguje swych uczuć religijnych, ale traci często najprzód dobre obyczaje, niewinność myśli i uczuć, a potem konieczną logiką faktów traci wiarę, staje się sceptykiem, pozytywistką.

I znów religijne ciepło domowego ogniska, znów matka pobożna zastąpić musi i wyrównać brak szkolnego wychowania pod tym względem. Pomówimy o tem obszerniej, wykładając czwarte przykazanie Boże. Tu dosyć nam zaznaczyć, że drugim sposobem poznawania Boga jest wychowanie religijne w domu i szkole.

Ale właściwym edukatorem jest człowiek sam sobie. Ksiądz, rodzice, mistrze i mistrzynie wskazują tylko drogę, ułatwiają pracę, ale ty sam tej pracy imać się musisz i ty sam twoje religijne wychowanie wykończyć musisz. Nie ustaje ono ze szkołą, ale dopiero się właściwie rozpoczyna. A środkami tego samouctwa religijnego są: lektura pobożna, modlitwa i święte Sakramenta.

Widzę uśmiech na ustach waszych, gdy mówię: lektura pobożna. Ona już dawno wyrugowana z domów inteligencji polskiej. Głowę moją daję, że gdybym obszedł salony i pokoje wasze, to znalazłbym tam sporą ilość pism ilustrowanych, literackich, stosy całe powieści choćby tak brudnych jak „Ta-

jemnice klasztoru“ lub „Decameron“ włoskiego Boccacio, dziennik jaki o liberalnej barwie, albo naukowe dzieło, ale nie w przedmiocie religii. Z dzieł pobożnych jeżeli zabłąka się jakie do biblioteczki domowej, to pokrywa je gruba na dwa palce warstwa pyłu lub karty jeszcze nie rozcięte. Czy nie tak? Bądźmy z sobą szczerymi, przeszukajmy szafki, stoliki i biórka, ile w nich i na nich literackiej lichoty, jak mało pożywnej naukowej strawy — a religijnej zgoła nic; a nie rzadko fanatyzmem antyreligijnym zaprawione książki i broszury są nam najsmaczniejsze. Nie tak bywało w dawnej Polsce. Lat temu 300 napisał złotousty nasz Skarga *Żywoty świętych pańskich*. Jeszcze za życia jego doczekały się dziewięciu wydań. Któż je czytał? Nie chłopiek wiejski, rzadko nawet małomieszczanin, bo ci nie umieli wtenczas czytać, ale czytano je po dworach pańskich, magnackich, po domach szlacheckich, i było staropolski zwyczaj, że pani domu, choćby kasztelanowa lub wojewodzina, poważna matrona polska, zbierała wieczorem całą rodzinę i czeladkę domową na czytanie wspólne *Żywotów Skargi*, *historii św.*, *katechizmu rzymskiego*, albo *Postyli* (kazań) *Wujka*. Gdzie dzisiaj spotkasz ten zwyczaj? Prawda, odbywają się nieraz wspólne lektury panienek przy szyciu, albo domowników podczas długich wieczorów zimowych, ale czytają tam nowellę lub powieść opieprzoną skandalem, dziennik lub nawet nie zawsze humorystycznego „Djabła“. Poważna książka, a dopiero religijna, pobożna nudzi nas — „ach jakże to nudne“ wołają skrzywione panienki, poziewiają starsi. Znak to chorego żołądka, jeżeli sobie nie smakuje w zdrowym pokarmie, ale w narkotykach i słodyczach tylko. Pokarmem duszy to książka rozumna a pobożna, my sobie w niej nie smakujemy, nie umiemy jej nawet czytać i coś dziwnego, że znajomości Bożej nie mamy, że Bóg i życie duchowe, wewnętrzne, religijne, jest dla nas *terra incognita*, krainą nieznaną. Olbrzymią też jest zato ignorancja, nieuctwo religijne nawet u osób skądinąd wykształconych. Roku 1869 miewał kazania postne w akademickim kościele w Wiedniu sławny kaznodzieja, Jezuita Józef Klinkowstroem. Dwór cesarzowej śp. Zofii, panowie

i panie z arystokratycznego świata bywali na nich; przysłuchiwali się i żydkowie z redakcyi *Neue freie Presse*, która umieszczała w swych fejletonach — rozpoczynała się bowiem wówczas nowa era liberalna — całe ustępy z tych kazań. Otóż w jednym takim kazaniu powstawał kaznodzieja na ignorancją religijną w sferach wyższego towarzystwa, a dosadną swą reprimendę zakończył słowy: „*Ihr kennet den Katechismus nicht. Man muss den Leuten die Wahrheit sagen bis sie mit der Nase an die Wand anrennen — sonst verstehen sie es nicht**”. Nie pogniwano się nań, bo mówił prawdę. Jabyśmy do naszej polskiej inteligencji to samo mógł powtórzyć: przezacni panowie moi, umiecie wiele, jesteście doktorami prawa; filozofii, wszech nauk lekarskich; jesteście znakomitymi urzędnikami, zawołanymi gospodarzami, ale nie umiecie katechizmu i to jedna z przyczyn obojętności waszej religijnej. A żony wasze i córki może są i piękne i nadobne i czytane, w muzyce i tańcu wyćwiczone, ale katechizmu nie umieją i dlatego pojmują wiarę i religię powierzchownie, ze strony uczuciowej, sentymentalnie; ona dla nich jest formą tylko i modą, ale nie treścią życia.

Katechizm to malutka książeczka, ale wielka filozofia i wielka, bo Boża mądrość; powinna się znajdować w każdej rodzinie, w każdym ręku; czytać ją i odczytywać należy, aby dawne, dziecięce, zwykle niejasne pojęcia religijne odświeżyć i uzupełnić. Dziwnie też ubogą jest literatura nasza religijna, bo na co przyda się pisać i drukować mądre religijne książki, kiedy ich krom księży i zakonnic nikt czytać nie będzie. Podczas gdy Włosi, Francuzi i Niemcy znakomite w tej mierze napisali dzieła, to my ledwie na kilkanaście tłumaczeń zdobyliśmy się i to właśnie w tych prowincjach, gdzie warunki życia religijnego są utrudnione. Mówię tu o książkach religijno-naukowych, bo ludowe pobożne pisma i książki, te Bogu dzięki w tysiącach egzemplarzy się rozchodzą, ale czyta je lud wiejski i małoimiejscy obywatele; inteligencja, mężczyźni zwłaszcza, pomiata niemi. Na domiar złego nie słuchamy zgola lub bardzo rzadko kazań i nauk w kościele, tłumacząc się tem, że

to wszystko już wiemy, albo, że kaznodzieja zbyt prosto każe. Dziwni my doprawdy ludzie. Lekarz czy prawnik, nawet po uzyskaniu stopni doktorskich, czytać musi i uczy się ustawicznie, aby szedł zarówno z postępem wiedzy, która z każdym rokiem się rozszerza, inaczej nie odpowie swemu zadaniu. Nauka o Bogu i rzeczach Bożych obszerna, nieskończona jak Bóg jest nieskończony, księża uczą się jej całe cztery lata w seminariach i na uniwersytetach, a jeszcze czytać i uczyć się jej muszą, jeżeli chcą na ambonie i poza nią godnie wystąpić; my tej nauki coś nie coś liznąwszy w szkole, już potem przez resztę życia do żadnej książki religijnej, do katechizmu nie zaglądnjemy nawet, a jednak chcemy być katolikami, owszem bawimy się nieraz w teologów, dyskusye religijne wszczynamy chętnie, naukę i przepisy Kościoła krytykujemy. Osądźmy sami, azali takie postępowanie jest mądre?

Obok lektury religijnej, modlitwa i częste sakramenta Pokuty i Komunii św. dziwnie nas do znajomości Boga prowadzą. Modlitwa jest rozmową, konwersacją z Bogiem, a jak w codziennem życiu tem lepiej poznajemy i dajemy się poznać ludziom, im częściej a otwarciej z nimi rozmawiamy, tak też częste przestawanie z Bogiem na modlitwie prędko zapoznaje nas z Bogiem i prowadzi do wielkiej znajomości rzeczy Bożych. *Pietas ad omnia utilis*, pobożność do wszystkiej wiedzy dziwnie pomaga. Św. Teresa nie uczyła się na żadnej akademii, a w teologicznej wiedzy była tak biegłą, że po radę i naukę przychodzili do niej najzawołani teologowie hiszpańscy. Katarzyna Seneńska także uniwersyteckich nauk nie słuchała, a była tak mądrą i spraw publicznych świadomą, że Papieże rady jej i pośrednictwa w zawitych kwestyach kościelno - politycznej cechy używali. Skąd te ciche, pojedyncze zakonne panienki nabyły tej wiedzy i tego rozumu? Modlitwą; były w niej pilne i ustawiczne. Pytał niegdyś św. Tomasz z Akwinu niemniej uczony i święty Bonawentura: „gdzie twoja biblioteka, z której tyle cudownie mądrych rzeczy czerpiesz, iż pisma twoje w siedm olbrzymich foliantowych tomów urosły?” A Tomasz św. poprowadził go do krucyfiksu, przed

którym codziennie kilka godzin się modlił — „oto, rzecz, biblioteka moja“. Modlitwa dźwiga od ziemi, jakby na skrzydłach unosi, uduchowia i uzacnia człowieka, a tem samem umysł jego czyni sposobniejszym do zrozumienia i przyjęcia wszelkiej prawdy. My się niesłuchanie mało modlimy, nie rozumiemy modlitwy, nie smakujemy sobie w niej, mniemając, że to rzecz księży, mnichów i bab starych, a ono modlitwa — to najwznioślejszy akt ducha ludzkiego.

Dopieroż Sakramenta św., częsta a godna spowiedź, godnie przyjęta komunია św., te zmuszają nas wejść w siebie, poznać siebie, rozpatrzeć się w gospodarstwie duszy naszej, ukorzyć przed Bogiem, zbliżyć, złączyć się z nim ściślej i zjednoczyć. Nie zrozumie tego, kto sam na sobie tego nie doświadczył. Przeważna część inteligencji naszej obywa się nieraz długie lata bez Sakramentów św., uważa spowiedź i Komunię św. wielkanocną za ciężar nieźnośny, albo za rzecz doradzoną tylko, a ona jest mandatem Chrystusa, obowiązkiem katolika. Bogiem a prawdą wszyscy dziwnie skąpymi dla Boga i dla duszy naszej jesteśmy. Nic wymowniejszego, jak cyfry. Biorę tu człowieka pobożnego tą średnią, przeciętną pobożnością światową. Otóż rok ma 8760 godzin. Z tych jedną trzecią, t. j. 2920 godzin przespaliśmy, na modlitwę poświęcamy dziennie kwadrans czasu, pół godziny tygodniowo na wysłuchanie Mszy św., dwie godziny rocznie na przyjęcie Sakramentów św. koło Wielkiejnocy — co wszystko razem wynosi 144 godzin rocznie poświęconych Bogu i duszy; reszta t. j. 5676 godzin obraca się na jadlo, zabawę i pracę. Czyśmy się zastanowili nad tą dysproporcją? A jednak to, co jest przedniejszą moją częścią, *pars praestantior mei*, co moje ja stanowi i co żyć będzie po śmierci mego ciała, to jest duch mój nieśmiertelny — jakże więc jestem niemądry, zaniedbując to, co przedniejsze na korzyść tego co podlejsze? Jak jestem dla samego siebie srogi i okrutny, podając mej duszy pokarm w takiej odrobinie, iż ledwo wegetuje? A iluż znajdziesz takich, którzy i tej codziennej krótkiej modlitwy nie odmówią i miesiące całe bez Mszy św. i lata całe bez Sakra-

mentów św. zbywają? Miejmyż wždy rozum i nauczmy się modlitwy. O tyle człowiek człowiekiem, o ile się modli; zwierzę nie modli się nigdy. Modlitwa jest formalną potrzebą serca ludzkiego, niezepsutego jeszcze nawskróś; i są chwile w życiu, chwile cierpienia lub tęsknoty nie do opisania, gdzie człowiek chce, czy nie chce, modlić się musi, stąd przysłowie u starych: *qui nescit orare, eat in mare*.

A Sakramenta św., spowiedź i Komunia? Miły Boże! jakże zaniedbanie nasze w nich straszne? Jak długo katecheta za rękę prowadzi do nich, to idziesz i to często z niechęcią; skoro wstąpisz na uniwersytet lub do urzędu, lub do praktyki jakiej, to je latami całami zaniedbujesz, aż do dnia ślubu. I wtenczas więcej dla formy to czynisz i znowu lata i at dziesiątki mijają bez Sakramentów. Innych gniewa to nawet, że żona lub córka częściej do Sakramentów przystępuje: „po co te dewocye, mówią, po co się to naprzykrzać Bogu“, jakby spełnienie obowiązku katolickiego było czemś przesadnem i fanatycznym. I znów to błąd wielki naszego wieku mniemać, że Sakramenta św. są tylko rzeczą doradzoną, a nie nakazaną, że przyjmować je można, gdy się ma ochotę, usposobienie po temu. Tak nie jest — mandat to i rozkaz Chrystusa; *accipite et manducate*; a Kościół rozkazał pod grzechem ciężkim, aby przynajmniej raz koło Wielkiejnocy do tych Sakramentów św. przystępować. Powiemy o tem obszerniej na innem miejscu. W wędrówkach moich misyjnych spotkałem parafie przez gorliwych proboszczów rządzone; dziewczęta i chłopcy wiejscy tak doskonałą mieli znajomość życia religijnego, duchownego, tak wybornie umieli rozróżnić myśl złą, odrzuconą i przyzwolenie na nią, zmysł moralny i sumienie tak w nich delikatne i wyrobione, że daj Boże, aby my księża w takim stopniu je mieli. Skąd u nich ta umiejętność, ta znajomość Boga? czytać zaledwo umieją i to nie wszyscy, księgami się nie bawią, ale ci ludzie modlą się wiele, często a szczerze do Sakramentów św. przystępują i żyją pocziwie — oto źródło ich znajomości Bożej i dlatego to powiedziano: „błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają“ (Mat. V. 8). My zaś zbyt mą-

drzy, dumni i wyniośli swą niewiarą, gardzimy modlitwą, jako rzeczą niegodną wykształconego człowieka, uciekamy od Sakramentów św., jak dyabeł od święconej wody, żyjemy Bóg wie po jakimu — i coś dziwnego, że ani tej znajomości Boga nie mamy, ani życia chrześcijańskiego, duchownego nie rozumiemy. Ignorancya nasza jest dobrowolną i dlatego występna. — Opatrzmyż się, a złe poprawmy.

III.

Poznawszy Boga, możemy już łatwiej wyrobić. wymodelować siebie na wzór Boży i spełnić mandat Chrystusowy: „*estote perfecti*, bądźcie tedy doskonali jako Ojciec wasz niebieski doskonały jest“. A to jakim sposobem? Jaką drogą dojdę do tej perfekcyi Bożej? Drogą przykazań Bożych: „Prowadź mnie ścieżką mandatów Twoich, woła Psalmista Pański, bom jej pragnął“ (Ps. CXVIII. 35). O tych przykazaniach Bożych powiemy sobie na innem miejscu; na razie dosyć nam zaznaczyć genezę i moc obowiązującą tych przykazań. Patrzcie bracia: pomiędzy Bogiem a człowiekiem zachodzi wielkie podobieństwo, jak to widzieliśmy wyżej; co się sprzeciwia nieskończonej doskonałości Bożej, sprzeciwia się tem samem moralnej naturze człowieka i psuje ją, jest więc złem i Pan Bóg *musiał* to złe zabronić. Odwrotnie, co się zgadza z doskonałością Bożą, zgadza się tem samem z moralną naturą ludzką i uzaenia ją, jest więc dobrem i Pan Bóg *musiał* to nakazać. Na tej więc relacji człowieka do Boga, na tej nieskończonej doskonałości Bożej z jednej, a na podobieństwo Boże stworzonej moralnej naturze ludzkiej z drugiej strony, opiera się prawo Boże znane pod nazwą dekalogu, dziesięciosłowa czyli dziesięciorga przykazania Bożego. Któż je z nas nie umie? zna je sześćioletnie dziecię chrześcijańskie. Tym dekalogiem opisany człowiek od stóp do głów we wszystkich stanach i warunkach swego życia; spełniając je, uzacnia tem samem, udoskonala moralną naturę swoją; przekraczając

i łamiąc je zuchwale, dogadza temsamem grubym swym instynktom, niskim chuciom i pożądlivościom, psuje więc i degradowuje moralną naturę ludzką. Tak więc wypełnienie prawa Bożego wiedzie prostą drogą do udoskonalenia siebie, do spełnienia onego mandatu Chrystusowego: „*estote perfecti*“, bądźcie tedy doskonali jako wasz Ojciec niebieski“. Jest ono zarazem aktem czci, posłuszeństwa i miłości naszej względem Boga i dlatego to katechizm rzymski na pytanie: „Na co Pan Bóg stworzył ludzi“, odpowiada: abyśmy go czcili, jemu służyli, jego miłowali i przez to zbawili swoją duszę“, co też i święty Ignacy na wstępie swoich Ćwiczeń duchownych wypowiada: „Stworzony jest człowiek na to, aby chwalił Boga, Pana naszego, Jemu cześć oddawał, Jemu służył, *a to czyniąc*, aby zbawił duszę swoją“. Tak więc te dwa na pozór różne teksty oznaczają rzecz jedną i tę samą. W teoryi te trzy pojęcia: czcić, służyć, miłować, są od siebie różne, *conceptus disparati*, jak powiada Arystoteles, ale w praktyce, w stosunku naszym do Boga, indentyfikują się. Wtenczas czczę prawdziwie Boga, służę mu i miłuję go, kiedy wypełniam wolę Bożą, a ta wola Boża objawiona mi w przykazaniach jego, w dekalogu, uzupełnionym przez Chrystusowy zakon: „Będziesz miłował Pana Boga twego nadewszystko, a bliźniego, jak siebie samego“. Wszak już tu na ziemi, w życiu rodzinnem nie to dziecko jest dobrem dziecięciem, które pieści się i tuli i woła: „papo, mamo, ja ciebie bardzo kocham“, a przytem jest zuchwale, krnąbrne i niesforne i na przekór ojcu i matce wszystko robi; ale to, które nagina się we wszystkim do woli rodziców, odgaduje ich życzenia i niczego się tak nie lęka, jak zasmucić rodziców czynem przeciwnym ich woli. Podobnie rzecz się ma z Bogiem; Pan to nasz ale i Ojciec i Ojcem go też Chrystus nazywa. Wtenczas prawdziwie dobrymi jego dziećmi jesteśmy gdy wolę jego zawsze, wszędzie i we wszystkim spełniamy.

Stwierdza to i Chrystus Pan: „jeżeli przykazania moje zachowacie, będziecie trwać w miłości mojej. Wy jesteście przyjaciela moi, jeżeli czynić będziecie co wam rozkazuje. (Jan XV, 10, 14). Skoro mnie więc spytasz: po co i na co

ja tu jestem na tej ziemi? to ci powiem: Na to tu jesteś, abyś zawsze, wszędzie i we wszystkim wypełnił przykazanie Boże; zachowanie prawa Bożego oto cel twój na ziemi, przez nie udoskonalisz siebie na wzór Boga, przez nie też oddasz Bogu cześć i służbę powinna i dasz dowód, że go miłujesz prawdziwie.

Spytasz mnie jeszcze, ale jaka nagroda czeka mnie za to? Wszak chcąc zachować prawo Boże muszę się tyle napracować, nawalczyć, naborykać z sobą, łamać się z memi złemi skłonnościami, odmówić sobie tyle przyjemności, narazić się na tyle przykrości, nieraz na utratę majątku, sławy, wolności, zdrowia, życia nawet samego; jakaż mnie za to spotka nagroda? Jaka? spokój sumienia, jedyne prawdziwe acz niezupełne szczęście człowieka na ziemi, innej nagrody tu nie ma. Co to jest spokój sumienia? Zrozumiemy może lepiej co to jest wyrzut sumienia? Kto z nas nie doznał w życiu wyrzutów sumienia? Jestto nic innego jak tylko krzyk protestu moralnej natury ludzkiej odciętej od Boga, jakby zaporą jaką, grzechem. Podobnie jak dziecko na ręku matki wesołe i rozkoszne, bawi się i uśmiecha, ale niechże obcy jaki człowiek zechce wyrwać je z objęć matki, wnet ono płacze i wrzeszczy i rączkami i nóżkami się broni, bo mu dobrze było u matki — tak dzieje się z duszą naszą. Dziecięciem Bożem ona jest i jak długo żaden występki od Boga jej nie dzieli, tak długo swobody i szczęścia doznaje — oto spokój sumienia: ale skoro grzech od Boga ją oderwie, wnet niepokój, trwoga i rozpacz ją ogarnia — oto wyrzut sumienia. To też już starzy mawiali: *bonum testimonium conscientiae, ea vera beatitudo est*. Ten spokój sumienia przyjdzie nieraz okupić walką, cierpieniem, niełaską i prześladowaniem ludzkim, mimo to człowiek szczęśliwym się czuje; jak znów gdy grzech w duszy to i wśród wiru zajęć, wśród gwaru zabaw i oklasków ludzkich robak sumienia odzywa się, gryzie i toczy i człowiek wśród najwyższego powodzenia czuje się nieszczęśliwym jak gdyby całe piekło w sobie nosił. Potęga sumienia jest tak wielką, że

widziano zbrodniarzy dobrowolnie oddających się w ręce sądu, bo znieść dłużej nie mogli wyrzutów sumienia.

Powiedziałem, że spokój sumienia to jedyne prawdziwe szczęście na ziemi. Co to jest szczęście? Zaspokojenie wszystkich władz umysłu, wszystkich pragnień serca, pewna równowaga i harmonia w całym jestestwie człowieka, bez żadnej obawy utraty kiedykolwiek tego błęgiego stanu. Potrzebaż wspominać, że takiego szczęścia tu na ziemi nie ma, że go być nie może? Władze nasze umysłowe nigdy zaspokojonemi być nie mogą, im więcej wiem, tem jaśniej widzę, że mnóstwa rzeczy nie wiem i nie dowiem się nigdy, bo rozumek mój ograniczony, a ogrom wiedzy nieokreślony, a Mędrzec pański dodaje: „tym, że w wielkiej mądrości, wiele jest kłopotu, a kto przyczynia umiejętności, przyczynia i pracy. (Ekl. I. 18). Żądze serca mego jedne są szlachetne i zacne, inne niskie i wszeteczne. Miłość np. ta zacna miłość serc dwojga, na której opiera się życie rodzinne, ile w niej trosk, obaw, niepewności, ażali dozna się wzajemności, ażali źli ludzie intrygą jej nie rozerwą, ażali związkiem ślubnym zostanie uwiecznioną? Została nareszcie, narzeczeni są już małżonkami i ludzie mówią, ach jakże oni szczęśliwi. I długoż tego szczęścia? Wnet choroby, kłopoty domowe, troska o wychowanie dzieci, obawa o ich życie; a znów gdy tych dzieci nie ma, to pustka w domu, próżnia w sercu i smutek, bo się nie ma celu życia przed sobą. Dopieroż gdy śmierć zabierze ukochane dziecko, albo męża albo żonę, jakie żale i rozpacz i osierocenie jakie. Oto szczęście ludzkie! Bogactwa i dostatki i one cię nie uszczęśliwią. Pracować musisz i trudzić się, aby je nagromadzić, kłopotać się i troskać, aby je utrzymać i pomnożyć; róże są na pozór piękne i wonne, ale pod tem kwieciami kolce trosk i kłopotów, a do tego choroby i starość użyć ci ich do syta nie pozwolą, a śmierć obdrze cię ze wszystkiego. Cóż mi to za szczęście tak fraszobliwe a tak krótkotrwałe. A sława i wziętość u ludzi, za którą tylu tak gorączkowo goni, że dla popularności i przekonań swoich i sumienia odstąpią? Te same usta i pióra, które dzisaj cię chwala, jutro

blotem obrzuca, i widziano wielkie męże u szczytu sławy sporniewierane i zdeptane nienawiścią ludzką. Mądrze śpiewał stary Owid: „*Et tantum constans in levitate sua*, sława stałą jest tylko w niestałości swojej“, a Mędrzec pański, który wszystkiego użył i wszystkiego nadużył, u schyłku życia rozgoryczony wołał: „*vanitas vanitatum* marność nad marnościami i wszystko marność“. (Ekl. I. 2).

A dopieroż gdy zechcesz szczęścia szukać w brudnej rozkoszy i używaniu występniem, obaczysz w jakie morze przesytu, goryczy i zwątpienia się pogrążysz. Pójdźmy do szpitali i więzień, a zobaczymy to szczęście, do którego pójście za złemi namiętnościami prowadzi. Choćby już nie innego, to obawa śmierci wisząca jak miecz Damoklesa nad nami, zatruwa nam tę odrobinę ziemskiego szczęścia, którego czasem zakosztujemy, bo też to życie to walka, i wygnanie, *militia hominis vita super terram, vallis lacrimarum, exilium*. Jedyne więc prawdziwe szczęście człowieka na ziemi spokój sumienia, ale nie jest ono zupełne, tylko jakby początkowe szczęście; śniadanie to, jak się złotousty Skarga wyraża, a właściwy obiad, szczęście zupełne poza grobem z Bogiem i w Bogu, zbawienie duszy, niebo.

Ale czyto pewne, że jest Bóg, że poza grobem jest życie? *Non totus moriar* nie umrę wszystek“, wołał rzymski filozof ale pewności o tem nie miał. Wątpią o tem niekiedy i dzisiejsi chrześcijanie, zwłaszcza, że materyalistyczny prąd czasu i literatura pozytywistyczna mnoga a hałaśliwa, podkopała wiarę w istnienie Boga i nieśmiertelność duszy. Godzi się więc tym prawdom poświęcić kart kilka.

KONFERENCYA II.

Czy jest Bóg? — Przyczyny ateuszostwa. — Dowodem istnienia Boga moralna natura ludzka, celowość i byt tego świata.

„Rzekł głupi w sercu swoim: nie masz Boga. Popsowali się i obrzydłymi się stali w nieprawościach“. (Ps. LII, 1)

„Rzeczy jego niewidzialne od stworzenia świata przez te rzeczy, które są uczynione, zrozumiane, bywają poznane i wieczna też moc jego i bóstwo, tak iż nie mogą być wymówieni, gdyż poznawszy Boga, nie jako Boga chwalili, ani dziękowali; ale znikczemnieli w myślach swoich i zaćmione jest bezrozumne serce ich“.
(Do Rzym. I, 19—21).

I.

Czy jest Bóg? Nie bez pewnego wstrętu stawiam to pytanie i zabieram się do odpowiedzi na nie, samo bowiem postawienie jego zawiera coś bluźnierczego w sobie. A jednak taka jest niegodziwość i czasów i ludzi, że za pożyteczną rzecz uważam, pomimo wstrętu jaki czuję, postawić pytanie i dać na nie odpowiedź. Godzi się przedewszystkiem zastanowić nad genezą, źródłem i przyczyną ateuszostwa za dni naszych.

Przecy zazwyczaj istnieniu Boga człowiek moralnie zesputy, albo przewrotny, rozpustnik na wielką skalę, którego pismo Boże nazywa słusznie *głupim*, podając zarazem powód tej jego głupoty, a jest nim nieład w głowie i sercu, *nieprawość życia*. Może się myśle, ale na wieloletniem doświadczeniu

oparty mam to przekonanie, że w naszym polskim społeczeństwie rzeczywistych ateistów, to jest takich, którzyby stale i z głębokiego przekonania przeczyli istnieniu Boga, niema wcale. Znajdzie się zato zbankrutowany moralnie młodzieniec czy starzec, rozpustą przepalona młoda czy starsza kobieta, która w chwili szału namiętności, lub pod nadmiarem hańby i nędzy, zwyczajnych towarzyszek rozwiąłości, *wmawia* w siebie i w drugih, że Boga niema, i tę fikcyę biorąc za rzeczywistość, wierzyć nareszcie poczyna i drugim wierzyć każe w swój własny ateizm; na dnie jednak tej zepsutej duszy odzywa się raz po raz głos tajemny, ale silny: *tak i ten Bóg jest*. Przesuwały się przez moje ręce egzemplarze takich ateistów i ateistek; „piłem, rozpustowałem, żyłem jak zwierzę i nie wierzyłem w Boga, dziś porzuciłem zły nałóg i towarzyszków grzechu i wyrzutami sumienia gnany, pragnę przebłagać tego Boga, któremu bluźniłem“ — oto zwyczajna ich mowa. Niejeden pobożny dziś starzec, za młodu bawił się w ateusza i niejedna dziś emancypowana panienka lub dama światowa, która naczytawszy się Draperów, Spencerów, Büchnerów i brudnych piśmideł do woli i rozluźniwszy się w obyczajach na dobre, która dzisiaj z pewną efronterią woła: niema Boga — gdy młodość przeminie, a namiętność się przepali, a świat odepchnie ją jak zużyty towar, w modlitwie do tego Boga, któremu bluźniła, szukać będzie ulgi znękanemu sercu. Proszę mi księdzu wierzyć, że tak bywa: ateuszem jest się tak długo, jak długo żyje się niemoralnie, choćby to było i do późnej starości; skoro się niemoralnego życia zaniecha, znika ateizm, a wraca wiara w Boga. To też grecki filozof Plato powiada trafnie: „Nikt jeszcze, kto w młodości twierdził szalenie, że niema bogów, nie wytrwał aż do śmierci w swem mniemaniu“. (De leg. X. 888).

Jest jeszcze drugi niebezpieczniejszy, bo upartszy ateizm: ateizm pychy. Dziecku nie dano w domu dosyć gruntownego religijnego wychowania, albo je zaniedbano zupełnie; w szkołach i na pensyi dano go jeszcze mniej, lub nie dano wcale, a umysł młody, żądny wiedzy, próżny i ambitny rzuca się na

oślepił do książek i czytania. Ta książka zda mu się najlepsza i najmądrzejsza i najsmaczniejsza, która najzuchwalej przeczy Bogu, i prawdom na nim opartym, a przytem zaprawiona skandalem; czyta ją więc łakomie, czyta jedną, drugą i dziesiątą, polyka truciznę w wielkich dozach; nadyma się umysł młodzieńczy oną wrzekomą wiedzą jak pęcherz, podoba sam w sobie, i woła: „jakiś ty mądry“. Uwierzywszy raz w swój własny rozum, już mu wszelka inna powaga rozumowa nieznosna, zrzuca ją więc powoli, powagę matki, Kościoła, Boga, aż wszystką odrzuci i dojdzie do ateizmu. Patrzałem zbliżając się na ten proces ateistyczny w młodych duszach, przestrzegałem i upominałem i niejedną może za łaską Bożą uratowałem od ruiny, ale wielom brakło tej pomocy i przepadli. Czy na zawsze? Bogu to wiadomo. Kilka lat takiej ateistycznej lektury, a przytem obcowania z ludźmi ateistycznego kierunku, kilka lat takich uwielbień dla własnego rozumu i wiedzy — a zarozumiałość i pycha nieznosna stanie się drugą naturą i wyrośnie w taką upartą potęgę, że jej już żadna perswazyja choćby najżyczliwsza, żadne rozumowanie, choćby do muru przypierające nie obali. Ateizm to upor, miłości własnej i pychy a nie przekonania, wzmaga się z latami i towarzyszy czasem aż do grobu, i dlatego to tak jest niebezpieczny.

Wiedzieć i to należy, że nikt odrazu nie staje się ateistą. Rozpoczyna się ten proces najprzód wątpliwościami w poszczególne dogmata wiary, a potem w to, co jest ich podstawą, w istnienie Boga. I tak powątpiewa o Bogu, nie zepsuty jeszcze ale nadpsuty moralnie młodzieniaszek, lekkomyślny i grzechom tajemnym i zmysłowościom występny oddawać się poczynający; panienka płoża i próżna, a lekturą przewrotną lub niemoralną obalamucona; żona rozromansowana i kokieta; mąż niewierny, szukający przyjemności poza domem — u tych wszystkich wątpliwości o istnieniu Boga są niczem innem, tylko próbą zagłuszenia głosu własnego sumienia, które protestuje przeciw popełnionemu złemu, a które znów namiętność uciszyć usiłuje, każąc rozumowi wynajdywać coraz to nowe argumenta przeciw Bogu, który to złe moralne potępia i ka-

rze. Tym wszystkim powiadam: zaniechaj grzechu, powróć do cnoty i dobrych obyczajów, a wróci wiara w Boga; wszystkie inne lekarstwa na nic się tu nie zdadzą.

Bywają znów dusze w gruncie znaczne ale słabe; te w chwilach powodzenia i pomyślności wierzą i modlą się Bogu, ale gdy spadnie na nich nieszczęście, śmierć dziecka lub innej ukochanej osoby, utrata majątku; gdy nędza i niedostatek dokucza, wtenczas popadają w rodzaj prostracyi duchowej, zwątpienia i pytają z goryczą serca: „czy jest Bóg? nie, to być nie może, aby Bóg był tak okrutny i tak strasznie mnie doświadczał i znęcał się nademną — chyba tego Boga niema“. Ci wszyscy, co proces powątpiewania przeżywają, nie śmieją zaprzeczać wprost Boga, nie mają często odwagi zwierzyć się z swym sceptycyzmem nawet przed zaufanymi osobami, są rozrywani jakby na dwie połowy; instynkt moralny i stara wieków całych wiara każe im wierzyć, że jest Bóg, a znów z głębin duszy wydobywa się jakiś złowrogi głos: „a może i tego Boga niema“ i ta rozterka wewnętrzna jest wielką katuszą i udręczeniem. Pod wrażeniem tego nad wyraz przykrego uczucia budzi się w nich pragnienie: „ach żeby to znalazł się ktoś, ktoby mi tę wątpliwość rozprószył, i przywrócił dawną wiarę i ufność w dobrego Boga“. Pociesze się, znajdzie się na to sposób. A jaki? Modlitwa, zrazu mdła, niedowierzająca, jakby wbrew tobie, z rewoltą rozumu twego, a potem coraz żywsza i żywotniejsza; dla usunięcia zaś buntu rozumu zrywającego się do wątpienia albo nawet aż do przeczenia istnieniu Boga, oto tych kart kilka, które odczytaj uważnie.

II.

Czy więc jest Bóg? Jest, był i będzie na wieki. Głos to powszechny moralnej natury ludzkiej, tak stary, jak stara ludzkość, a ten powszechny głos natury nie może się mylić, bo wtenczas natura jako taka wiodłaby do błędu, i ludzkość

nie miałyby sposobu i narzędzia dojścia do prawdy. Głos to, powtarzam, powszechny moralnej natury człowieka. Nie twierdę, jakoby idea Boga była nam wrodzoną, ale wrodzoną nam jest skłonność poznania i uznania Boga, tak jak wrodzona nam skłonność poznawania tego co dobre i złe i całego tego moralnego porządku, który się na tych pojęciach opiera. Podniętą pierwszą tej skłonności, jakby obudzeniem jej ze snu jest wychowanie religijne, pobożność matki lub niańki mówiącej dziecięciu o „Bozi“ i okazującej mu tego „Bozia“ w obrazach świętych i krzyżu zbawicielowym. Im wcześniej mówi się dziecku o „Bozi“ im częściej składa się rączęta jego do modlitwy, tem prędzej i jaśniej skłonność wrodzona wierzenia w Boga wyrabia się w pojęcie Boga jako jakiejś niewidzialnej, tajemniczej, nieskończenie wielkiej istoty. Pojęcie to zrazu niejasne, do zmysłowych znaków przywiązane, rozwija, wydoskonala nauka katechizmu czyto przez pocziwą matkę w domu czy w szkole i kościele przez nauczycieli i kapłanów podana. Gdyby tej wrodzonej skłonności poznania Boga w nas nie było, to wszelkie wysilenia matki i tradycje religijne domu nie potrafiłyby wyrobić pojęcia Boga i tych pojęć moralnych, które się na tamtem opierają, w dziecięciu, niezdolnem jeszcze do tworzenia sobie abstrakcyjnych pojęć.

Że taka wrodzona skłonność wierzenia w Boga, nazwijmy ją instynktem religijnym, w naturze ludzkiej istnieje, na to mamy dowody wszystkich wieków i ludów. Świadczą o tem najstarsze ludzkości pomniki, które dzisiejsza nauka z zapomnienia, a po części i z ziemi wydobyła. Cztery tysiące lat przesunęło się nad nimi, a gdy je zbadano bliżej, przekonano się z ich napisów i symbolów, że już wtenczas ludzkość wierzyła w Boga i to w jednego Boga. Gruntowny starożytności badacz Wawrzyniec Fischer w dziele: *Heidenthum und Offenbarung*: opowiada, że u Indusów w najdawniejszych pieśniach Rig Wedy znajdują się np. takie ustępy: (ks. X, hymn 10. ks. VII, hymn 87).

Waruna wytknął słońcu proste szlaki,
Spienionym wodom naprzód płynąć kazał,

Dniom i godzinom pewne tory wskazał
I dierży w ręku jak jeździec rumaki.

Ciszej, znów głośniej całe ludzkie plemię
Na cześć Waruny szle swe pieśni w górę,
Co, niby rzeźnik z wołu zdjętą skórę
Wielki pan świata rozciągnął tę ziemię.

Ciemnemi błękit on przetkał obłoki,
Rumakom siłę, a krowom dał mleko,
Rozum ze sercem, ogień złączył z rzeką,
Na niebo słońce, kwiat dał na epoki.

U Persów w Zend-Aweście Zaratustra modli się temi słowy do Ahura Mazdy: „Ahuramazdo, niebieski najświętszy, *stwórczo światów przybranych w ciała*, czysty! Jakiemiż słowami przemówiłeś do mnie Ahuramazdo. Tyś jest nad niebiosami, przed wodami, przed ziemią, przed wszystkimi dobrami z czystego płynącemi źródła, stworzonemi przez Mazdę“. (Burnouf Commentaire sur le Yaçna). U Egipcyan w ich najstarszych pomnikach znajdują się najwznioślejsze zdania o stwórcy. I tak w sławnym „papiirusie turyńskim“ (nr. 11) czytamy: „Jest ktoś, kto światła niebieskie pozapalał; jest ktoś, co dla sług swoich uścielił ścieżkę, gwiazdami posypaną, co utkał arcydzieła w domu najwyższego; ten jest święty nad świętymi przywódzca wasz“. Asyryjskie tabliczki z klinowem pismem zawierają takich ustępów mnóstwo. Na tablicy V, przechowanej dobrze w British muzeum czytamy: „Wszystko, co wielcy bogowie zdziałali, co wielcy bogowie urządzili, wspa-
niałem było. Gwiazdy pojawiły się jako rozkazał w kształtach zwierzęcych... Położył granice pomiędzy stanowiskami gwiazd wędrujących, aby każda swą drogą szła i świeciła... I otworzył wielkie bramy w ciemności pozostające z silnemi zawiasami po prawej i lewej stronie. Rozkazał wyjść bogowi Uru (księżycowi) opiekującemu się nocą, i wyznaczył mu, aby był światłem nocnem aż do świtania“. Twórca najnowszej z nauk, historii wszech religii, Maks Müller po długich studiach nad zabytkami zamierzchłej przeszłości i nad spostrzeżeniami podróżników wśród dzikich plemion, przyszedł w końcu do

tego przekonania, że religijność jest faktem powszechnym w rodzaju ludzkim i że pochodzi z dwóch pierwiastków; podmiotowo z właściwej człowiekowi zdolności poznawania Boga *sensus numinis* — i przedmiotowo, z wspaniałych zjawisk przyrody, które tę zdolność budzą i do czynu powołują¹⁾.

Na tysiąc pięćset lat przed Chrystusem, pisze Mojżesz swoją historję świata i streszcza w niej podania religijne rodzaju ludzkiego od Adama i Noego aż do swego czasu, a czytając uważnie te karty, napotykamy w samych zawiązkach ludzkości wiarę w Boga i kult jakiś religijny. Klasyczne narody starożytności Grecy i Rzymianie kult ten religijny podnieśli i wcielili do idei państwa i wraz z Ciceronem mieli to przekonanie „że niema narodu tak dzikiego i barbarzyńskiego, który chociażby nie wiedział jakiego Boga czcić należy, ale do tego się nie znał, że jakieś bóstwo w ogóle czcić powinien“ (Quaest. Tusc. 2. 19). — Seneka w 117 liście pisze: „Wszystkim wrodzona jest wiara w bogów (de diis opinio) i nie masz narodu tak z wszelkich praw i obyczajów wyzuteego, iżby w jakich bogów nie wierzył“. — „Przeszedłszy całą ziemię, powiada Plutarch, znaleźć można miasta bez murów, bez szkół i sądownictw, bez pałaców i monety; miasta, któreby bogów i świątyń nie miało nikt jeszcze nie widział; i sądzę, że prędzej możnaby wybudować miasto bez gruntu, jak aby utworzyć się mogła gmina czy wieś bez wiary w jakieś bóstwo“. (Adv. Colot. 31). Słusznie powiada Nicolas w swoich *Badaniach Chrystyanizmu*: „ród ludzki zostaje w posiadaniu idei Boga, niechże przeto ci, którzy jej zaprzeczają, sami dowiodą, że Boga niema“ (t. 1, rozdz. 2), a Tertulian w swojej Apologii Chrześcijaństwa (r. 17) zapytuje swego czasu ateuszów pogan: „czy żądacie, abyśmy istnienie Boga z wielości i różnaitości dzieł jego udowodnili, dzieł, które nas otaczają, utrzymują, rozveselają albo i strachem przerażają? Albo z świadectwa naszej własnej duszy, która chociaż w więzieniu ciała zamknięta,

¹⁾ Celowość w naturze. — M. Morawskiego. — Kraków 1887, str. 155, 156.

falszywemi doktrynami bałamucona, chuciami i namiętnościami przepalona, kultem fałszywych bogów spodłona, a jednak Boga jego prawdziwem imieniem natychmiast wzywa, skoro tylko przyjdzie na chwilę do siebie, i z szału, snu i niemocy swojej się ocknie. Wielki Boże! dobry Boże! co Bóg da! to na ustach wszystkich. Także jako sędziego każdy go wzywa; Bóg tego świadkiem, Bogu to oddaje, Bóg mi to zapłaci! O przecudne świadectwo duszy, która z natury jest chrześcijańską, a wymawiając te słowa, to nie pogląda na kapitol, ale ku niebu; bo świadomą sobie jest siedziby Jego; od Niego i stamtąd zstąpiła na ziemię“. Do tej to świadomości i wrodzonej skłonności wiary w Boga apelował Paweł św., gdy w areopagu ateńskim prawił onym mądrym Grekom o Bogu nieznanym: „Bóg, który uczynił świat, i wszystko co na nim, ten będąc Panem nieba i ziemi, nie mieszka w kościołach ręką uczynionych. Ani rękoma ludzkiemi bywa chwalon... I uczynił z jednego wszystek rodzaj ludzki... aby szukali Boga... chociaż *od każdego z nas nie jest daleko. Albowiem w nim żywiemy i ruszamy się i jesteśmy*, jako i niektórzy z waszych poetów powiedzieli: *Jego bowiem i rodzajem jesteśmy*“ (Dzieje Ap. XVII, 24—28).

Nie skończyłbym, gdybym chciał wszystkich pogańskich mędrców i wieszczów i chrześcijańskich filozofów zdania przytoczyć, stwierdzające tę wielką prawdę i fakt niezaprzeczony, że na dnie duszy każdego z nas spoczywa wrodzona skłonność do wierzenia w Boga, i że ta skłonność podnieca się wychowaniem, tradycją rodzinną i otaczającym nas światem, zamknę ten wywód słowami wielkiego myśliciela chrześcijaństwa Karteziusza: „Z tego jedynie, że każdy z osobna i wszyscy to pojęcie Boga, jako pierwotne w naszym ograniczonym i skończonym duchu nosimy, że to pojęcie Boga niejako do istoty naszej rozumnej natury należy — z tego musimy wnioskować, że ten Bóg jest, i że do nas przez to pojęcie Boga ustawicznie i tajemniczo przemawia. Ślady to są tych rąk, które duszę stworzyły, przypominanie to sobie swojej ojczyzny (nieba), odgłos tego słowa, które Bóg wyrzekł do duchów

w pierwszy dzień ich stworzenia, a które duch ludzki usłyszał i zapomnieć je nie może“. (Princ. phil. III. med. 3). Skłonność ta wierzenia w Boga, której wszyscy świadomi sobie jesteśmy, wskazuje na wyższy jak ludzki początek — a niepodobna, aby cała ludzkość się myliła.

Ale właśnie na ten fakt sam z siebie w oczy bijący, zgodzić się nie chcą materyaliści i usiłują dowieść, że znajdowały się i znajdują podziśdzien plemiona i ludy całe, które nie tylko że żadnego pojęcia o Bogu nie mają, ale nawet nie-sposobne są przyswoić sobie od misjonarzy chrześcijańskich to pojęcie. Koryfeusz niemieckich materyalistów Büchner przytacza aż na 9 stronicach (403—412) w swej książce: *Kraft und Stoff* świadectwa różnych podróżników i uczonych badaczy stwierdzające powyższe mniemanie. „Nawet Europa, powiada on, nie jest wolną od plemion całkiem bezreligijnych. Ostatnia podróż Cesarza Austrii po swoich krajach zaprowadziła go, jak donoszą dzienniki, do miasta Kołomyi w Galicyi, w pobliżu którego mieszka wspaniałe zbudowane plemię Huculów. Chociaż ci ludzie są bardzo dobrze uformowani, to ledwo jakie pojęcie mają o religii, i na kilka mil wokoło ledwo jaki kościół dostrzedz można. Tylko raz do roku objeżdża pop, którego oni ledwie znają, wioski, i chrzci nowonarodzone dzieci. A jednak żyją ci ludzie swobodnie i moralnie, umierają bez pociech kościoła i dostają się do nieba, jeżeli jakie niebo jest, tak dobrze, jak ci którzy cztery razy do roku się spowiadają. Także rozproszeni po Europie jak i po połowie świata Cyganie są według dokładnych badań G. Lelanda zupełnymi ateistami i nie mają nawet śladu religijnej wiary, nawet tam nie, gdzie od wieków pośród religijnie usposobionej ludności mieszkają“. (Kraft u. Stoff str. 412). Na miły Bóg, jeżeli wszystkie na onych 9 stronach przytoczone przez Büchnera przykłady ateuszostwa Indyan w Kalifornii i Brazylji, Abepoinów, Payaguas'ów, Gran-Chaco, Negrów Oukanyamy, Kafrów i Hottentottów tak są prawdopodobne, jak relacje o ateizmie naszych Huculów i Cyganów, to darmstadzki lekarz-filozof Büchner i jego koledzy są zwykłymi kłamcami.

Huculów znamy, są przeważnie katolikami greckiego obrządku a w części prawosławnymi, mają cerkwie, księży, służbę bożą, sakramenta święte i zdziwiliby się nie pomalu, gdyby im powiedziano: jesteście bezbożnikami. Cyganie chrzczą swoje dzieci, biorą śluby kościelne, sam ich nieraz słuchałem spowiedzi, skądże więc tak ogólne i śmiałe twierdzenie, że „ślądu nie mają religijnej wiary“. *Semel mendax, semper mendax*, kto raz mi skłamał, drugi raz mą nie wierzę i stąd nie przywiązuje wagi do relacyj onych podróżników i antropologów p. Büchnera o ateuszowstwie różnych dzikich plemion. Nawet dajmy na to, że są takie plemiona ateuszowskie czy to wskutek zepsucia obyczajowego i zezwierzęcenia, czy też wskutek zewnętrznych złych wpływów. Cóż stąd? Świat liczy dzisiaj tysiąc czterysta milionów ludzi; plemiona te wrzekomo ateistyczne choćby wyniosły jeden milion całej ludności świata, to stosunek ateuszów do wierzących w Boga będzie jak 1 : 1400 a więc tak drobny i małoznaczny, że niepodobna z niego wnioskować na ogół cały. Wszak nierównie wyższy jest procent obłąkanych albo chorych umysłowo od urodzenia, a przecie nikomu na myśl nie wpadnie wnioskować stąd, że cała ludzkość obłąkana i na umyśle chora. Bądźmyż więc loicznymi i tym zuchwałym naigrawaczom z rozumu ludzkiego nie dawajmy łatwo wiary. Świadectwa ich są bardzo podejrzaney wartości, bo albo nie umiając języka tych plemion dzikich i rozmówić się z nimi nie mogąc, do rzetelnego poznania ich pojęć religijnych dojść nie mogli; albo też sami obojętni w wierze i niedowiarkami będąc, badali u tych dzikich ludów wszystko inne tylko nie religię ich; albo badali ją bardzo powierzchownie, i poprzestając na pozorach, radzi byli znaleźć zatwierdzenie swojego własnego niedowiarstwa w żywych egzemplarzach. Zauważyć proszę i to, że ci panowie z lubością powtarzają, iż bardzo „wielu“ antropologów i podróżników przekonało się o ateizmie wielu dzikich plemion, tymczasem przytaczają nazwiska zaledwie kilku: Büchner powołuje się na Darwina, Darwin znowu na „świadeństwo wielu“, których bliżej nie wymienia i tak jeden za

drugim powtarza ateuszowski pacierz. Świadectwu tych panów, pozbawionemu wszelkich cech autentyczności, mogę przeciwstawić świadectwa misjonarzy katolickich, którzy nie tylko podróżowali, nie tylko wśród dzikich latać żyli, ale się i ich mowy wyuczyli, i nad ich wykształceniem religijnomoralnem pracowali, a nie rzadko zawód swój misyonarsko-cywilizacyjny krwią zapieczętowali. Otóż ci wszyscy zgodnie stwierdzają, że nawet u najbardziej zezwierzęconych ludów, które zrazu zabijają misjonarzy i pożerają ich, można odkryć pewien zmysł religijny i jakieś, chociaż potworne pojęcia o Bóstwie. Bawił temi czasy w Krakowie ks. Karol Schaff T. J. misjonarz przez lat 15 w Indyach, który w trzech językach, uryackim, bengalskim i santhalskim ułożył i wydrukował religijne książki dla ludu; prosiłem go tedy, aby w całej szczerości i prawdzie dla mojej własnej informacji powiedział mi, azali w wędrówkach swoich misyjnych napotkał na jakie plemię nieznające Boga? Odpowiedział mi pisemnie to, co następuje: „Moje własne doświadczenie obejmuje obszar ziemi od Kalkuty do Komorinu i do Kurrachee; mam zaś do mojej dyspozycji doświadczenie misjonarza chińskiego księdza Bernarda Vigano, mieszkającego obecnie w Monticello w Lombardyi, który długie lata pracował w Tybecie i Chinach. Mam także bardzo dokładne relacje urzędników angielskich, którzy jużto wskutek wieloletniego urzędowania swego, już to z własnej ciekawości mieli sposobność przypatrzeć się zbliska indyjskim plemionom odciętych od wszelkiej cywilizacji. Niemniej wiarogodne mam relacje agentów kupieckich przebywających stale na Filipinach i wyspach sąsiednich. Winienem dodać, że ci panowie należeli przeważnie do indyferentystów religijnych i materyalistów praktycznych. Znana mi jest rozmowa sławnego badacza Afryki Stanleya z królem Mtesa i jego relacje o tradycjach religijnych i zabobonach dzikich w części ludożerczych plemion nad brzegami Kongo. Otóż na podstawie własnych doświadczeń i autentycznych na miejscu zebranych wiadomości odpowiadam: podczas piętnastolecia mego żywota misyonar-

skiego od 1872—1887 znalazłem wiele dzikich plemion zamieszkałych od niepamiętnych czasów w głębokich lasach, nie dotkniętych żadną cywilizacją angielską lub jakąkolwiek inną chrześcijańską, ale wśród tych dzikich nie znalazłem żadnego plemienia, któreby nie oddawało czci jakiejś *wyższej, niewidzialnej Istocie*, czy to przez bojaźń, czy to w nadziei otrzymania dobrodziejstw, czy to wskutek tradycji i wielowiekowego nawyknienia, czy też wskutek wszystkiego tego po trochu. Istotę tę najwyższą niewidzialną różni różnie nazywają; Kohlowie około Chaybassa zwą ją Singhbonga, u Santhalów nazywa się ona Bhogman, najnowsza sekta indyjska Bromhosomay nazwała ją Bromho. Znajdziesz i takich, którzy w języku swym nazwy odpowiedniej pojęciu Boga nie mają, ale instynktownie tę najwyższą istotę pojmują, do niej się modlą i nie umiając jej dać właściwej nazwy, próbują ją opisać po swojemu. I tak znalazłem w lasach moich plemię, które nazywało Boga: właścicielem słońca, twierdząc, że jak każda chałupka ma swego właściciela tak i słońce musi mieć swego. Pytałem ich: „jakże się nazywa ten właściciel słońca?“ Oni na to: „Jego imienia my nie znamy“. Co więcej, znalazłem plemię dzikich pozornie całkiem ateuszowskie z pokolenia Tamlia w Królestwie Mohurbhumy. Dzicy ci mówią zwykle: niema Boga, bo gdyby był, toby nie dozwolił nam żyć w takiej nędzy, w tylu chorobach i śmierciach, i dlatego przyjmują raczej istnienie jakiejś złej i przewrotnej istoty szkodzącej. Ażeby zaś ona mniej złośliwą i szkodliwą była, modlą się do niej i ofiary jej składają. Jest to formalny kuli szatana, nie jako najwyższej istoty, ale jako szkodnika, którego udobruchać trzeba, aby się nie znęcał zbyt złośliwie. Otóż z tego plemienia na pozór ateuszowskiego, przyszedł do mnie człowiek i pyta: „za czym rozkazem gwiazdy wschodzą i zachodzą?“ Ja na to: „Skąd tobie ta ciekawość?“ — „Bo gdy krowy i woły w porządku na paszę idą i z niej wracają w porządku, to wiem, że postępuje za nimi pasterz, otóż i te gwiazdy porządkiem swoim wychodzą i wracają, kto ich pasterzem, jak on się nazywa?“ Nie odpowiedziałem mu ben-

galskim wyrazem Iszor t. j. Bóg, bo ten dziki przeczy istnieniu Iszora, ale polskim wyrazem *Bóg*. Dziki był rad z odpowiedzi jak to dziecko małe, ciekawe dopytać się wszystkiego i z każdej odpowiedzi zadowolone; tak to wrodzona człowiekowi żądza poznania Boga. U bardzo wielu plemion dzikich pojęcia ich o Bogu są wielką przeszkodą nie tylko dla misjonarzy, ale dla wszelkiej pracy cywilizacyjnej. Tak np. dziki Santhal trzyma się upornie swego ubioru, (kawał zgrzebnego płótna 8 stóp długi, 2 stopy szeroki), swego pługa, swego języka, swoich zwyczajów, nawet swego piwa, nie dlatego, że to prastary zwyczaj ojczysty, ale dlatego, że sama Boska istota ich tego nauczyła i przykazała surowo trzymać się tych tradycji. Czy ten Bóg nazywa się: Singhbonga, czy Pan Słońca, czy Bhogman t. j. ten, w którym najwyższy majestat, czy Marangboru t. j. największy między wielkimi, to rzecz podrzędna, dość, że wszyscy mają pojęcie o jakimś Bogu, od którego oni są zależni i względem którego poczuwają się do pewnych obowiązków. Stąd też i chrześcijanami być nie chcą; zgodzą się na Boga w Trójcy jedynego, na Zbawiciela świata, na karę piekła i nagrodę nieba, wszystko to im się bardzo podoba, ale gdy im kto powie „to są nowe rzeczy, nie od Bhogmana, ale od innego, albo gdy uwierzycie w to, co was szahab (ksiądz) naucza, to zostaniecie chrześcijanami“ — to oni wnet zaprotestują wszyscy: „nie, nie zostaniemy, bo nie chcemy rozgniewać Bhogmana“. Lud Kurmi ma swoich braminów i całą liturgię, zwłaszcza podczas zasiewu i żniwa, piętnuje sobie czoło na cześć bóstwa, a wołom maluje końce rogów na czerwono. Gdy im próbowano wykazać niedorzeczność tych obrzędów, oburzyli się: „coż ty sądzisz, że my nie mamy religii? czyśmy to tak głupi, żebyśmy nie wiedzieli, że gdy deszcz pada, to z rozkazu Boga zbierał się pierw w obłokach, zanim zrosił nasze pola? Co myślicie, że my wszystko słońcu przypisujemy? ażali my nie wiemy, że i słońce dostało swe miejsce, gdzie wschodzić ma i zachodzić od Boga i musi się kręcić tak, jak Bogu się podoba. Wołom malujemy rogi, dziękując Bogu, że tym wołom dał siłę, aby

nią mogły dla nas pracować i właśnie dlatego, że czcimy Boga, nie chcemy przejść do was, ale stoimy przy naszej od Boga ojcom danej religii“. Łatwiejsza już sprawa z ludem Kohl, który chociaż czei także Singhbonga, Boga słońca, ale nie mając kastowości i nie ulegając wpływow brahminów, łatwo brata się z misjonarzami, pożywa ich potrawy i przystępny jest każdemu rozsądnemu przedstawieniu rzeczy. Ludy Hindus aż do VIII wieku po Chrystusie wierzyły w istnienie jednego Boga Brahma. Od VIII wieku pojawiają się liturgiczne i święte księgi ze składem wiary bardzo podobnym do chrześcijańskiej, jest tam coś nakształt Trójcy św., Chrystusa Pana i Najśw. Maryi Panny tak dalece, że gdy misjonarze do nich przyjdą, to wręcz im mówią, wyście religią waszą od naszej pożyczyci. Stało się przeciwnie, wiara chrześcijańska przez św. Tomasza dotarła i do Indyj, ale dla braku biskupów i kapłanów rozwinąć się i utrwalić nie mogła, przechowywały się tylko jej tradycje, spaczone i skrzywione dodatkami starego pogaństwa. W najnowszych czasach powstała sekta Hindusów, odrzucająca starą wiarę w Brahme, Wisznę i Chiwę, a przyjmująca tylko jednego Światoboga (Blubon ischor) pod nazwą Brombo i do niego się modli. Ateuszów prawdziwych napotykałem 1) w domach waryatów i obłąkanych; 2) tam gdzie opium, gandzia (owoc upajający), onania i rozpusta tyle popsuła mózgu, że już tam o myśleniu poważnem i mowy niema; 3) u tych, którym od dzieciństwa w domu i w szkole kładziono na oba uszy, że Boga niema, a oni sami dosyć byli bezmyślni, aby się nad niedorzecznością podobnej negacyi zastanowić“.

Już niech mi darmstadtzki lekarz-filozof i jego towarzysze darują, że więcej wiary przywiązuję do zeznań naocznego wieloletniego świadka, kapłana-misjonarza, który w nagrodę 15-letnich prac nad dzikimi przywiózł skolatanę zdrowie, skórę i kości do Europy, aniżeli ich twierdzeniom, czerpanym z dzienników i opowiadań podróżników arcywątplivej nieraz wartości moralnej.

Podobnie jak skłonność wierzenia w Boga, tkwi w nas skłonność poznania prawdy, dobra i piękna czyli innemi słowy: nosimy w sobie pewne ogólne zasady, które są podstawą każdej naszej myśli i takową regulują. Są one najpierwsze i najogólniejsze i wszelkie nasze poznawanie i wiedza z nich się wyprowadza. Każda prawda jest wieczną: „dwa razy dwa jest cztery; część jest mniejsza jak całość; każdy skutek musi mieć swoją przyczynę; to co dobre, należy czynić, złego należy unikać; nie czyni drugiemu, co tobie nie miło“ itd., to są prawdy starsze jak ludzkość, były przed nią tak, jak są prawdą przed przyjściem na świat każdego z osobna człowieka, i pozostaną prawdą, chociażby wszyscy ludzie co do jednego wymarli. Tak samo pewniki harmonijnej całości, czyli piękna, są odwieczne, i na nich to opiera się wszelka sztuka, arcydzieła pędzla i dłuta. Skąd się te prawdy wzięły, co jest ich podstawą i fundamentem? Nie człowiek, bo każdy z nas przychodzi do nich, jak do gotowego, czuje je jakby wrodzone w sobie, potrzeba tylko podniety z zewnątrz, aby użył całą ich świadomość i zastosował je w duchowym i fizycznym życiu. „Gdybym ja prawdę stworzył, zauważył trafnie św. Augustyn w swoich *Wyznaniach*, tobym mógł powiedzieć: moja prawda. Ale któż kiedy tak mówił? Prawda nie jest moją ani twoją ani kogoś trzeciego, ona jest prawdą nas wszystkich. Ty nas, o Boże, nawołujesz wszystkich do wspólności w prawdzie, i pouczasz nas przez to, abyśmy prawdy nie uważali za naszą własność wyłącznie, i nie utracili jej przez to na zawsze“ (Conf. I. XII. c. 25). Co się tu o prawdzie mówi, rozumieć należy o pojęciu dobra i piękna. Nie są one własnością tylko moją, ale całej ludzkiej natury.

I dlatego musi być jakiś wyższy pierwotny rozum, z którego te prawdy i te zasady pochodzą. Musi być najwyższa i najpierwsza prawda, która przed wszelką myślą ludzką istniała i która nigdy nie zaginie. Musi być jakaś nieskończona dobroć i świętość, która według swej woli oznaczyła, co dobre a co złe; i przyjąć koniecznie należy jakąś wieczną doskonałość, która według nieodmiennych praw usta-

nowiła warunki i cechy piękna. I ta wieczna prawda, ta wieczna dobroć i świętość, ta wieczna doskonałość złożyła jakby odbłask swej istoty, pojęcia prawdy, dobra i piękna w ludzką duszę, na podobieństwo swoje stworzoną, aby się stały nieodmiennem prawem, według którego ludzie myśleć i działać powinni. Wyrazem tego wewnętrznego prawa obyczajowego, które w każdym z nas istnieje, jest sumienie, t. j. świadomość swoich własnych myśli, słów, czynów i sąd wewnętrzny orzekający o ich moralnej wartości, azali są, były lub będą złe lub dobre, godziwe lub nie, dozwolone lub wzbronione. W samem zaraniu życia, budzi się ono w człowieku. Występuje raz jako mistrz i pedagog zachęcając do tego co dobre, przestrzegając przed złem. Inną razą, gdy się zwłaszcza co złego popeliño, występuje silniej i wyraźniej jako oskarżyciel i sędzia bezstronny i orzeka o zasłudze lub winie, o nagrodzie i karze. Karę tę samo wymierza, niepokojem duszy, wyrzutami, trwogą jakąś niewypowiedzianą, trapiącą w dzień i w noc; nagrodę także samo oddaje dziwną jakąś swobodą serca, błogością i szczęściem. W miarę troskliwego lub zaniedbanego wychowania, sumienie to odzywa się wyraźniej lub słabiej, prawdziwą lub fałszywą nutą; jest czule i delikatne albo grube i jakby stwardniałe, jest prawdziwe albo błędne, ale *jest*, a człowiek bez sumienia jest okazem niesłychanie rzadkim, możliwym tylko tam, gdzie rozwiązłość i występki zabił wszystkie pierwiastki ludzkości. To też i u pogan, jak trafnie zaznaczył Paweł św., sumienie jest mistrzem, oskarżycielem i sędzią: „poganie, którzy nie mają zakonu (wiary objawionej), z przyrodzenia czynią co zakon zna... okazują dzieło zakonu napisane na sercach swoich, *gdy im sumienie ich świadectwo daje**. (Do Rzym. II. 14, 15).

I na nic się tu przyda mówić z Schopenhauerem, Büchnerem i materyalistami, że to co nazywamy sumieniem, jest tylko przesądem wychowania *eine Kinderschulens-Moral*, albo grą wyobraźni¹⁾. Wychowanie daje podniętę,

¹⁾ Kraft und Stoff, str. 391, 392.

budzi i wyrabia, ale nie stwarza sumienia, tak jak nie stwarza wzroku i słuchu, ale te zmysły muszą już pierwej istnieć w dziecięciu, aby je na znawcę barw i tonów wyrobić można. Musi więc przed wszelką rutyną i doktryną pedagogiczną być ten zmysł moralny w dziecięciu i ta skłonność i zdolność pojmowania dobrego i złego i wyrobienia w sobie sumienia. Wyobraźnia jest wielką, fatalną nieraz potęgą, ale ażeby ogół ludzkości chorował na jedną i tę samą grę wyobraźni, to przecie rzecz niemożliwa. Gdyby jeszcze to sumienie zawsze nas tylko chwaliło, toby z niejakiem prawdopodobieństwem przypuścić można, że wygórowana miłość własna wytwarza taką grę wyobraźni; ale sumienie bardzo często strofuje potępia, gorzkie czyni wyrzuty, przed którymi opędzić się niepodobna — nie, to już chyba nie gra wyobraźni, ale coś realnego, trwałego i potężnego tkwi na dnie duszy człowieka, a to coś, jest sumienie.

Czegóż jednak ten powszechny fakt, istnienie sumienia w pojedynczych ludziach i w ogóle ludzkości dowodzi? Dowodzi najprzód tego, że musi istnieć jakiś wyższy sędzia, który ten wewnętrzny głos, tj. sumienie, w duszę ludzką włożył i przezeń sądy swej sprawiedliwości już tu na ziemi częściowo wykonuje. Dowodzi powtórę, że istnieć musi jakiś moralny porządek świata tak jak istnieje świat zewnętrzny fizyczny. Moralny bowiem wewnętrzny zmysł jest tak samo kryterium prawdy, jak zmysły zewnętrzne; jak więc pewną rzeczą jest, że istnieje koło nas zewnętrzny świat, bo zmysły nasze o nim świadectwo nam dają, tak pewną być musi rzeczą, że istnieje wyższy, moralny świat, o którym sumienie nas poucza. Pięknie tę prawdę podniósł poganin-filozof Cicero: „Było to powszechne przekonanie wszystkich prawdziwie mądrych mężów, że prawo moralne nie jest czemsiś od ludzi wymyślonem, albo od ludów wprowadzonem, ale jest wieczne, i według niego cały świat rządzić się musi. Ostatnia jego podstawa jest w Bogu, który rozkazuje i zakazuje. A prawo to tak stare jak duch Boży sam. I dlatego, prawo, na którym wszelki

obowiązek spoczywa, jest prawdą, a przedewszystkiem jest duchem najwyższego Bóstwa“. (De legibus II, 4).

Wszystko to razem, badanie własnej natury ludzkiej, powszechna zgoda ludów i narodów całych, moralny porządek istniejący w świecie, przekonuje nas aż nadto, że jest Bóg. Dowód ten w języku filozofów i teologów nazywa się podmiotowym i historycznym. Przejdźmy do innego dowodu, zaczerpniętego nie z nas, ale otaczającego nas świata; dowód ten nazywa się przedmiotowy, także kosmologiczny.

III.

Kilka tygodni temu wyszła książka p. t. *Celowość w naturze*¹⁾. Autor tego studium znany z innych prac filozoficznych i świeżo teraz na profesora uniwersytetu krakowskiego powołany, daje nam najprzód pojęcie tego, co nazywamy: *celowością*: „Człowiek w działaniu swoim zamierza w myśli pewne dobro, które *celem* nazywa; ku osiągnięciu tego dobra obmyśliwa i podejmuje dzieło, zwane *środkiem*, przez które do celu dochodzi. Dzieło to w zamiarze celu podjęte, nosi zwykle znamiona mniej lub więcej widoczne swej odnośni do celu: gdy spotykamy domy, mosty, studnie z żurawiami, domyślimy się, że to rzeczy *umyślnie* zrobione dla mieszkania, dla przebywania suchą nogą rzeki, dla czerpania wody. Czasem też znajdujemy przyrządy, których celu odgadnąć nie możemy, z powodu jednak sztucznego ich układu, znamionującego jakąś myśl, nie wahamy się ich również uznać za dzieła celowe“.

„Otóż i w przyrodzie spotykamy co krok utwory noszące ten sam charakter odpowiedniości do celu: znajdujemy jakies domy, mosty, ubrania, kuchnie i szpichlerze, systemy sznurów i dźwigni, pompy, kanalizacje, uzbrojenia zaczepne i odporne, sprężyny, soczewki i komory optyczne, nawet balony, telegrafy, lampy elektryczne — ręką natury wykonane“.

¹⁾ Celowość w naturze. Studium przyrodniczo-filozoficzne. Napisał X. Maryan Morawski T. J. Kraków 1887.

„Istotnie też po wszystkie czasy utrzymywało się przekonanie, że i w naturze, niemniej jak w dziełach ludzkich, panuje celowość: w tych ustrojach naturalnych widziano dowód, że i one dla pewnych celów utworzone zostały. Postęp umiejętności jako taki nie umniejsza tego przekonania, lecz owszem coraz więcej je potęguje i uzasadnia. Celowość przyrody przystępną jest dla każdego umysłu; ale im głębiej zapuszcza się rozum z pochodnią umiejętności w tajniki przyrody, tem wyżej piętrzy się w jego oczach, tem szerzej się przed nim roztacza ta wspaniała hierarchia celowych urządzeń... Wszystkie nauki przyrodnicze, tem się przeważnie zajmują, żeby omówić: na co ten, na co ów szczegół w organizmie albo w ekonomii przyrody istnieje, jak tu pokarm opatrzyła natura, tam ochronę ważniejszych organów, tu broń przeciw częstszym wrogom, ówdzie sposoby poznawania przedmiotów, to na korzyść jednostki dała, owo dla zachowania gatunku. „Bez celowości funkcyi, mówi Chauffard, fizyologii niema, albo jest ona nonsensem“ ¹⁾. Wszyscy też uczeni i nieuczeni, chcąc nie chcąc tego języka używają, wciąż im na usta i pod pióro cisną się przyczyny i powody celowe“.

„Faktem jest tedy, że cele i działalność celową — której pojęcie mamy z własnych czynów — przypisujemy też powszechnie naturze. Powstaje pytanie: jakim sposobem do tego sądu o naturze przedsobnej przychodzimy?“

„Pojęcie o tej przyczynowości celowej posiada umysł ludzki z własnego sposobu działania, ale *powód* przypisywania takowej przedmiotom znajduje wsamychże przedmiotach. Wniosek zaś, który wówczas umysł czyni, opiera się na metafizycznej zasadzie przyczynowości i racyi dostatecznej. Znamieniem wreszcie obiektywnem celowości jest: *idealna jedność, wynikająca z mnogich i rozmaitych czynników, stosownie do niej złożonych*“.

¹⁾ La vie Etudes de biologie générale, par E. Chauffard, profes. à la faculté de Médecine de Paris. Paris 1878.

„Tak omówiwszy pojęcie i przedmiotowe znamiona celowości wogóle — stajemy wobec założenia naszego: czy panuje w przyrodzie rzeczywista celowość“.

„Kwestya ta, zwłaszcza wobec dzisiejszych teorii i zarzutów rozpada się na dwie części: 1) czy jest w przyrodzie celowy porządek? tj. czy tak wygląda przyroda, jak gdyby była z zamiarem urządzona i do jakichś celów dążyła? 2) czy ten porządek jest istotnie dowodem dążności i zamiarów celowych w naturze, albo czy może innym sposobem da się wytłumaczyć?“

W odpowiedzi na te pytania bierze autor *Celowości* w pomoc rezultaty badań najslawniejszych przyrodników i wykazuje na 40 str., że „celowy ustrój“ panuje zarówno „w świecie nieorganicznym jak w królestwie roślin i zwierząt“, uwidocznia się zaś najlepiej „w różnaitości gatunków“ słowem, że „w naturze panuje układ, który myśli celowej odpowiada“ (str. 22—62). Rozprawiwszy się następnie z materialistami i zwolennikami ewolucyjnej teorii i wykazawszy dowolnie niedorzeczność ich twierdzeń o przypadkowości i bezcelowości natury, oraz niedorzeczność systemu celowości immanentnej panteistów Hegla, Szelinga, Hartmanna, zapytuje: „czy w naturze, czy po za nią jest ten rozum nadający jej celowy układ? Czy natura w swoim działaniu tak wygląda, jak gdyby była sama w sobie rozumną, istnym rozumem logicznie się rozwijającym, czy też tak jak gdyby była dziełem istoty rozumnej?“ i dowodzi na przykładach, „że w całej naturze od góry do dołu przedstawia się charakter celowości rzeczowej, niesamowiednej, nieimmanentnej, że więc przyroda musi być rzeczą rozumnie zrobioną ale nierozumną, a tym, który ją rozumnie zrobił, jest Bóg według słów greckiego mędrca Anaksagorasa: Νοὺς πάντα διακρίνει, umysł wszystko ustroił“. (str. 116).

Od natury bezrozumnej przechodzi do człowieka i zapytuje: „czy jest i jaki jest najwyższy cel przyrody? czy człowiek czyniąc się celem i centrem świata, łądzi się tylko miłością własną — albo czy doprawdy cały ten świat widzialny dla niego istnieje i do niego z natury rzeczy się odnosi?“

I odpowiada: „kiedy celowość przyrody nie kołuje, tylko piętrzy się hierarchicznie, to oczywiście konieczną jest rzeczą, żeby był jakiś cel najwyższy, żeby ten łańcuch celów natury, idący z dołu do góry miał jakieś końcowe ogniwo! A kiedy takie końcowe ogniwo być musi, czyż nie słuszną przypuścić, że jest nim właśnie ta istota, która nawet pod względem materialnego ustroju wszystkie inne przewyższa, a umysłem nad całym światem panuje?” (str. 121). Stwierdza swą tezę powagą „fachowego antropologa“ Frédault'a i postępując krok dalej dowodzi, że są „dwa główne kierunki, w jakich urzeczywistnia się ten celowy stosunek natury do człowieka. Jeżeli świat jest dla człowieka, to oczywiście jest na to, żeby mu służył w spełnianiu jego przyrodzonego zadania: zadanie zaś to, odpowiednio do natury człowieka, jest podwójne: żyć — i myśleć (*vivere et philosophari*), utrzymywać życie, co mu jest wspólne z niższymi twórami — i myślać poznawać świat, a przez świat Stwórcę, co mu jest jako istocie rozumnej właściwe. Fałszem jest, co suponują często dzisiejsi pozytywści, że wiedza jest li tylko środkiem do podbicia natury, dla ulepszenia materialnych warunków życia; wiedza jest także sama w sobie przedmiotem żądzy ludzkiej, jak słusznie i głęboko dowodzi Arystoteles na początku swej metafizyki¹⁾). Wiedza jest samym szczytem tego ludzkiego życia, którego funkcje materialne są podścieliskiem i najniższym stopniem; samej zaś wiedzy szczytem, a przeto naczelnem umysłu ludzkiego zadaniem, jest poznanie najwyższej przyczyny, Stwórcy i Pana świata. — I stąd, tak Arystoteles wychodząc indukcyjnie z obserwacyi, jak św. Tomasz idąc dedukcyjnie z nauki objawionej, przychodzą do wniosku: że kontemplacya pierwszej przyczyny, Boga, jest końcową człowieka szczęśliwością“.

„Wobec tego podwójnego zadania człowieka, świat dla niego zbudowany ma mieć także podwójny cel: świat jest na to, żeby służył ciału i życiu doczesnemu człowieka — i jest na to, żeby karmił jego umysł i opowiadał mu wielkie imię Stwórcy“.

¹⁾ Metaph. 1.

„W jaki sposób *służy* ten świat życiu ludzkiemu, tośmy właśnie w głównych rysach nakreślili w poprzednich rozdziałach, pokazując jak wszystkie trzy królestwa przyrody stanowią jednolity celowy ustrój — w którym nie tylko główne rodzaje, ale nawet najpośledniejsze i pozornie szkodliwe gatunki potrzebne: albo przynajmniej pożyteczne są do zachowania lub rozwoju całości — całość zaś podaje człowiekowi obfite zasoby do utrzymania życia i pole do rozwijania wszechstronnie swej niewyczerpanej działalności“.

„Drugie zadanie, *opowiadania*, spełnia również świat przez te same w ogólności prawa i czynniki, któremi też życiu służy. To samo celowe urządzenie całej przyrody, któreśmy dotychczas omawiali, budzi rozum ludzki, kształci go, poucza nawet co do ulepszenia doczesnej doli — a nadewszystko do poznania Stwórcy prowadzi“.

„Lecz oprócz tego, istnieją w naturze albo ponad naturą, pewne wyższego rzędu prawa, które wpadały zawsze w oczy umysłów wyższych — jak Tomasza z Akwinu, Bakkona, Leibnitza — a które głównie, jeśli nie wyłącznie, do tego celu *opowiadania* się odnoszą. Takim jest np. to prawo *ciągłości*: *natura non patitur saltus*, zależące na tem, że typy natury wiążą się w nieprzerwane szeregi, tudzież dopełniające się prawa *jedności*, *lex unitatis*, i *rozmaitości*, *lex varietatis*, stanowiące, że w tych szeregach typów jeden wzór się powtarza i oraz miarowo w nieskończoność odmienia — co najwidoczniej jedność planu, a więc jedność Twórcy objawia. Takimi są również prawa: *oszczędności*, *lex parcimoniae* — i *najkrótszej drogi*, *lex brevissimae viae*, w których Leibnitz i Hartmann zadziwiająco wykazują racjonalność, a które wyraźnie mądrość najwyższego Architekta opowiadają“.

„Do rzędu tychże praw należy i ta *piękność* w świecie panująca — rozlana w barwach, w tonach, w ruchach i kształtach — a na harmonii i mierze tych czynników istotnie zależąca: piękność udzielona niejednakowo różnym stworzeniom, niektórym nawet zupełnie odmówiona — dlatego by przez te „cienie w obrazie“, jak mówi św. Tomasz, wystąpiła świe-

tność i doskonałość całości; — dlatego także, by człowiek, znajdując w jednych rzeczach ślad tej piękności, w drugich jej brak postrzegając, rozumiał, iż prawo piękna nie jest względne ni dowolne — ale że ponad sobą i ponad światem ma szukać przedmiotowego i absolutnego piękności pierwotnego wzoru: „*speciei enim generator haec omnia constituit*“¹⁾).

„Wreszcie do tegoż *opowiadania* odnosi się ta pozorna nieskończoność świata — tak w wielkości jak i w małości. Świat ma niezawodnie jakieś ostateczne granice, jest jednak tak wielki, że im dalej sięga oko ludzkie, coraz silniejszymi uzbrojone przyrządami, tem więcej w przestworzu ciał niebieskich odkrywa. Podobnie w kierunku małości, muszą być jakieś pierwsze i absolutnie najmniejsze składniki rzeczy, ale te są względem nas i naszych środków eksperymentalnych jakby nieskończenie małe. W najmniejszym organizmie znajdujemy jeszcze komórki, w komórce jeszcze mniejsze części ustrojowe, najmniejszą drobinę materii dzielimy jeszcze na atomy. Tak w jednym jak w drugim kierunku granice są zapewne dalej, niż kiedykolwiek nauka dosięgnie. — Tym sposobem świat przedstawia nam poniekąd *zjawisko nieskończoności*, podnosi myśl ludzką, a zarazem upokarza ją wobec Stwórcy²⁾ — i, o ile to światu materialnemu możebne, o jego nieskończoności poddaje pojęcie“.

„Ten dwojaki stosunek świata do człowieka, czyli dwojaki wzgląd przeznaczenia przyrody dla ludzkości, znacznie rozszerza i prawdziwie uzupełnia widnokrąg teorii celowości“.

„Tak więc ogniwem łączącym ten świat widomy materialny z niewidzialną duchową najwyższą istotą, Bogiem, jest człowiek, a celowość natury prowadzi konsekwentnie do pierwszej i najwyższej przyczyny“.

„Przedewszystkiem w tej kwestyi uderza fakt: że celo-

¹⁾ Sap. XIII. 3.

²⁾ „Świat poddał rozbieraniu ich: aby nie znalazł człowiek sprawy, którą uczynił Bóg *od początku aż do końca*“. *Ekkł.* III. 11.

wość przyrody jest *faktycznie* dla ogółu ludzkości dowodem istnienia Bóstwa i podstawą powszechnego o tem przekonania“.

„Natura w swym celowym ustroju objawia się umysłowi ludzkiemu jako *rzecz racjonalnie zrobiona*, więc jako dzieło istoty samowiednej, mądrej i potężnej. Stądto każdy umysł co reflektuje, widzi w świecie coś racjonalnego; a to go światem czy nieświadomie naprowadza na szukanie poza tem widzialnem tworzywem jakiejś intelektualnej potęgi światem władającej. Im lepiej umysł jedność praw i planu natury poznaje, tem łatwiej do jedności Stwórcy dochodzi; im dokładniej sprawę sobie zdaje z bezwładności i mechaniczności przyrodzonych czynników, tem wyraźniej Boga od świata odróżnia; ale zawsze, i przy niskim stopniu wykształcenia, dosyć tej przedmiotowej mądrości widzi, ażeby go to utwierdzało w przeświadczeniu o bytności mądrej i potężnej istoty, od której on sam i świat zależy — a to już jest rzeczywistem i prawdziwem pojęciem Boga“.

„Prawda, że wiadomość o Bogu otrzymują zwykle ludzie już w latach dzieciennych, przez podanie. Ale najprzód to podanie, będąc tak powszechnem jak rodzaj ludzki, musi mieć równie powszechną, w naturze rzeczy leżącą przyczynę: a po drugie to podanie może być tylko podniętą i wskazówką dla umysłu, nigdy przyczyną samowiednej pewności. Gdyby rozum dziecka, w miarę jak dojrzewa i o własnych siłach myśleć zaczyna, nie znajdował wkoło siebie powodów, któreby go rozumowo w tem przekonaniu utwierdzały, porzuciłby je niebawem, jak tyle innych dzieciennych baśni porzuca. Tymczasem przekonanie o istnieniu Boga z dojrzewaniem rozumu powszechnie uświadamia się tylko i umacnia; wypadki ateizmu nie pojawiają się jak tylko wyjątkowo, anormalnie i, jak się wyraża M. Müller, „*erratycznie*“. A nie tylko w jednostkach, ale w całej wogóle ludzkości, wraz z postępem wiedzy i rozwojem umysłowości, to pojęcie Boga uszlachetnia się, z błędów oczyszcza i uduchownia“.

„Widocznie więc rozum znajduje w świecie coś, co go rozumowo o Bogu upewnia. Znajduje to rzeczywiście dokoła

siebie, we wszystkich sferach; czasem w absolutnych prawidłach prawdy i piękna, częściej w historii i biegu wypadków, jeszcze częściej w sumieniu i prawie moralnem — bo w tych wszystkich sferach panuje wyższa celowość, i raz po raz umysłowi badawczemu w oczy wpada; — ale najprzód, najłatwiej, najnamacalniej, najpowszechniej znajduje to każdy umysł w przyrodzie; bo przyroda jest dlań pierwszym i najprzystępniejszym przedmiotem. „Pierwsze, co w tem życiu poznamy, mówi św. Tomasz, jestto istota rzeczy materialnych, która jest własnym naszego rozumu przedmiotem“ ¹⁾.

„Głos tej przyrody przeprowadza rozwijający się umysł, nieznacznie i poniekąd nieświadomie, od wiadomości o Bogu na wiarę nianiek i rodziców, do dojrzałej i samowiednej pewności. Mówię, że to się dzieje *nieświadomie*: bo faktycznie, tylko w razie narzuconych wątpliwości, albo polemiki, lub specjalnych o tym przedmiocie studyów, reflektuje człowiek nad powodami swej pewności o istnieniu Boga; w ogólności zaś ani zwraca na to uwagi, jak te powody osiadają w jego umyśle, wsiąkają, że tak powiem, wszystkimi porami w jego duszę, pomnażają się każdym zdrowym dorobkiem jego wiadomości i wytwarzają w jego rozumie pewność głęboką, rozumną umotywowaną — choć nie zawsze refleksyjną i nie zawsze zdolną na zawołanie się wytłumaczyć“ ²⁾.

„Jest więc *faktem* niezaprzeczalnym, że celowość natury,

¹⁾ Primum autem quod intelligitur a nobis, secundum statum praesentis vitae, est quidditas rei materialis, quae est nostri intellectus objectum. P. I. q. 88. a. 3.

²⁾ Stądto zdarza się słyszeć ludzi dobrej wiary, mówiących, że w Boga *wierzą*, ale o żadnych rozumowych dowodach jego istnienia słyszeć nie chcą i nawet o możliwości takich dowodów powątpiewają. Oczywiście i u tych ludzi, pod ich wiarą istnieje racjonalna *wiedza* o istnieniu Boga, na rozumowych oparta racjach i równocześnie z rozwojem umysłu wyrobiona — bo, żeby mózdz komuś wierzyć, trzeba skądinąd wiedzieć, że on jest — tylko oni nie zdają sobie sprawy z tego racjonalnego podścieliska swej wiary, i nie chcą nad niem reflektować, lękając się czy to pracy czy mniemanego niebezpieczeństwa takiego rozbioru.

czyli po szkolnemu mówiąc, *argument teleologiczny*¹⁾, jest główną podstawą przekonania ludzkości o istnieniu Boga“.

„Z tego zdobytego już stanowiska, łatwo bliżej określić stosunek Boga do celowości przyrody. Bóg jest niewątpliwie, jak teologia uczy, wszechobecny w świecie, wszystkie stworzenia nieustannie bytem obdarza, z wszystkimi ich czynami współdziała — jak dusza w ciele, wszędzie ukryty a wszędzie czynny, niewidzialny i niedotykany, a wskutkach swej mądrości jawny... Ale jednak duszą świata on nie jest. Istota jego duchowa i w sobie samej doskonała, nie jest w żadnej od świata zależności. Względem natury i jej celowości jest on, jak słusznie mówi Kant, „pierwiastkiem zewnętrznym“²⁾ — jak malarz względem obrazu, budowniczy względem gmachu — nie zaś przyczyną wewnętrzną, jak siła plastyczna rośliny względem jej rozwoju“.

„Ale, choć pierwiastek czyli przyczyna celowości jest poza naturą, sama jednak celowość jest w naturze — nie tylko odzwierciedlona, lecz rzeczywiście wcielona — i to w różnych stopniach:

„Nieżywotne stworzenia mają w sobie tylko *dążność* pewnych celów przyrody; dążność ta w ich naturze tkwi, ale cele, do których dążą, są względem nich zewnętrzne. Tak celowo urządzony jest system wodny, powierzchnia, skład gleby... nie dla siebie, tylko na korzyść istot żyjących“.

„Żywotne znów mają w sobie nie tylko dążność, ale i drugi celowości element, tj. *cel*: ustrojone są i pracują nie tylko dla drugich, ale i dla siebie — skąd znamię celowości w roślinach jest tak odrębne i wybitne“.

„Zwierzęta już mają w sobie nie tylko dążności i cel, ale też *świadomość* swych dążeń i żądzę celów, przynajmniej bez-

¹⁾ Ten sam argument u nowych scholastyków nazywa się zwykle „kosmologicznym“. Kant go nazywa „fizyko-teleologicznym“; argumentem zaś „kosmologicznym“ nazywa dowód wzięty z niekonieczności świata, w szkole zwany „metafizycznym“.

²⁾ Kritik der reinen Vernunft.

pośrednich i zjawiskowych¹⁾); — a to już jest widocznie celowością wyższego rzędu, działalnością celu wewnętrzną“.

„W człowieku na koniec celowość natury uświadamia się całkowicie, bo człowiek jeden poznaje cele natury absolutne, działa nie tylko dla przyjemności lub wrodzonej skłonności, którą natura wabi zwierzęta (i jego samego wspomaga), ale także dla istotnych celów, które natura zamierza“.

„Ostatecznie więc Bóg, chociaż nie jest, jak się powiedziało, duszą świata w znaczeniu fizycznym i ścisłym, jest jednak duszą natury w pewnym znaczeniu moralnym: bo myśl, co w naturze przeziara, jest jego myślą, cele i zamiary natury są jego celami i zamiarami. Gdy mówimy, że *natura* przez jakieś prawa do jakichś skutków dąży, że natura pewnymi środkami zapobiega pewnym wypadkom, że natura wybiera najkrótszą drogę do celu, że opatruje potrzeby stworzeń i t. p.... to zawsze znaczy (i to jedno tylko znaczyć może): że Bóg, jako twórca danego prawa, lub danego organizmu, takie ma zamiary i ślad takowych w tych rzeczach wyraził“.

„Słowo więc *natura*, w niektórych razach oznacza Boga, o ile twórcę przyrody — w innych razach stworzenie, o ile podług praw sobie nadanych o własnych siłach działające. Dlatego szkoła odróżniła te dwa znaczenia natury w dwóch nazwach, głoszących od czasów Skota Erygeny: *natura naturans* (odnośnie do Boga) i *natura naturata* (odnośnie do stworzenia)“.

„Tam dopiero ustaje w naturze ta inicjatywa i niby od-

¹⁾ Zwierzęta nie znają właściwych celów natury, tylko idą za ponętą, którą natura przywiązała do czynności, jakie dla dobra jednostki lub gatunku zamierza. To, co natura zamierza, jest celem rzeczywistym, w pewnym znaczeniu absolutnym, przynętę zaś nazwałem „celem zjawiskowym“, bo jest przedmiotem żądzy zmysłowej, i ma się do celu rzeczywistego podobnie, jak w sferze poznawczej zjawisko ma się do rzeczy samej w sobie. Człowiek sam jeden poznaje i zamierza nie tylko zjawiskowe cele, czyli ponęty, ale także cele natury rzeczywiście — co jest jednym ze znamion odróżniających go widocznie od zwierząt.

powiedzialność Twórcy, gdzie występuje druga wolna wola — człowiek — który sam też cele dowolnie wytyka i do nich siebie i nawet przyrodę w pewnej mierze stosuje — i twórcą jest własnej sztuki, którą sztuce natury przeciwstawia“.

„Ale od człowieka też poczyną się zwrot tej celowej dążności stworzenia ku Stwórcy. A to nas właśnie przeprowadza do kwestyi o drugim końcu tego łańcucha celowości, którego jeden koniec już mamy w ręku“.

„Nie przeczę, że stosunek celowy świata do Stwórcy jest trudny do pojęcia. Zauważyć jednak trzeba, że to nie jest trudność *sui generis*, temu zagadnieniu właściwa, ale jedna z wielu stron tego niedoścignętego dla umysłów ludzkich stosunku między skończonem a nieskończonem, między stworzeniem a Stwórcą. Z jakiegokolwiek strony na ten stosunek się zapatrujemy: czy w kwestyi wszechwiedzy, badamy, jak Bóg odwiecznie znać może czyny stworzeń wolne, których spełnienie zależało od stworzenia i mogło wcale nie nastąpić — czyto w kwestyi wszechmocy, zgłębiamy, jakim sposobem czyn wieczny i nieodmienny dopiero w czasie i przypadkowości skutki mieć począł — czy wreszcie w obecnej kwestyi, dochodzimy, w jaki sposób Dobro nieskończone mogło zapragnąć ograniczonych Swej dobroci odblasków — zawsze jedną i tę samą trudność w różnych tylko postaciach spotykamy: jakim sposobem Absolut, bez ujemy swej nieskończoności, schyla się aż do zetknięcia ze skończonością? — Widzimy, że ten stosunek istnieje, ale jasno go nie rozumiemy i pojmować tylko możemy analogicznie, na podobiznę stosunków między stworzeniami, uchylając jednak z tak utworzonych pojęć wszelkie niedoskonałości i ograniczenia stworzeniu właściwe“.

„To tedy przedewszystkiem pewna, że Bóg nie stwarzał z żadnej konieczności, ani z właściwej potrzeby — bo wówczas świat byłby konieczny, współwieczny Bogu, dopełniałby Boga w znaczeniu panteistycznym. Pobudkę zatem Boga w dziele stworzenia pojąć musimy w rodzaju tych pobudek, które nie sprawiają musu i nie pochodzą z braku. Taką bywa

u nas pobudką dobroć. Czyny z dobroci pochodzące mają swój powód w doskonałości podmiotu, a przytem są bezinteresowne i najwidoczniej wolne. Jest to w sferze ludzkiej najwyższy typ działania“.

„Stąd też głębsza filozofia, zgodnie z religią, szukała zawsze w dobroci Stwórcy tłumacza stworzenia. „Z jakiej „przyczyny Twórcą, pyta Plato w Tymoteuszu, rodzenie i cały „ten świat utworzył?“ — i odpowiada: bo był dobry — »ἀγαθὸς ἦν — a dobroć nie zna zazdrości (skłonna jest do „udzielenia się). Dalekim więc będąc od zazdrości, chciał „aby wszystko było wedle możności do Niego podobne.. „Kto w tem uznaje, za zdaniem mądrych, najwyższy powód „utworzenia świata, ten najsluszniej sądzi“. — A autor księgi Mądrości mówi do Boga: „Miłujesz wszystko, co jest i nie „czego nie masz w nienawiści z tego coś uczynił: bo nie „byłbyś utworzył żadnej rzeczy, którejbyś nie miłował“ ¹⁾.

„Ale ta dobroć Stwórcy, ta chęć bezinteresowna udzielania z swego dobra, nie może się bezpośrednio odnosić jak tylko do istoty rozumnej, do *osoby* zdolnej szczęścia, mogącej to dobro świadomie osiąść i dobroczynię swego znać i miłować; nie iżby Bogu ta dzięki stworzeń była potrzebną, iżby bez niej nie był szczęśliwy; ale iż tego zwrotu wymaga absolutny porządek rzeczy — i wymaga go ten rodzaj miłości, *amor amicitiae*, w którym pobudkę czynu stworzenia upatrujemy, a który z natury swojej żąda takiego odzwierciedlenia się w istocie znającej i miłującej nawzajem“.

„Ale znów ta znajomość i ta miłość Boga w stworzeniach, to właśnie jest ta chwała Boża zewnętrzna, w której teologowie cel stworzenia upatrują — i w tem się poglądy na pozór przeciwne schodzą. Twierdzenie, że Bóg stworzył świat z czystej dobroci, z miłości bezinteresownej — i twierdzenie, że stworzył dla chwały Swojej, nie stoją w sprzeczno-

¹⁾ Ἀγαπᾷς γὰρ τὰ ὅντα πάντα καὶ οὐδὲν βδελύσσει ὧν ἐποίησας, οὐδὲ γὰρ ἂν μισῶν τι κατασκεύασας. Mądr. XI. 26.

ści, jak się wydaje Spinozie i nawet Janetowi¹⁾, bo oba cele w jedno spływają. Chwała Boża jest końcowo w uszczęśliwieniu człowieka, jak chwała króla w szczęściu poddanych, uciecha ojca w szczęściu dzieci. Miłość Boga dla stworzeń wypływa oczywiście z miłości, jaką ma dla Siebie: lecz nie w ten sposób, jakoby Bóg, chwałę swoją jedynie miłując, w stworzeniach i w szczęściu ich upatrywał tylko środek do osiągnięcia dla Siebie chwały — bo przecież nie przez nie osiągnąć nie może, czegoby już w pełni nie posiadał — ale w ten sposób, że ta nieskończona miłość, jaką Bóg własną miłuje doskonałość, przelewa się na zewnętrzne tej doskonałości ślady, powołując je do bytu, obdarzając je szczęściem i miłując w nich właśnie ten refleks Swej Bożej doskonałości. — który jest chwałą Bożą w stworzeniu“.

„W niższych stworzeniach jest oczywiście tylko materiał tej chwały Stwórcy (*gloria obiectiva*) i ledwo brzask użycia — w człowieku dopiero idzie się o możliwość oddawania Bogu chwały prawdziwej (*gloria formalis*) i osiągnięcia prawdziwego szczęścia“.

„I w ten sposób stworzenia, wzięwszy początek od Boga, jako źródła bytu, zwracają się ku niemu, jako ostatniemu kresowi swych dążeń, ostatnie ogniwo celowości łączy się z pierwszym i łańcuch dzieł Bożych się zamyka“.

„Poprzednio (w VI. rozdz.) przedstawił nam się człowiek, jako *król* przyrody, obecnie widzimy, że jest *kapłanem* tego świata, pośrednikiem między Stwórcą a resztą stworzenia. Wszystkie stworzenia nierozumne dla niego istnieją i jemu służą, ale on im także tę najwyższą winien usługę, żeby z nich Bogu oddawał chwałę — chwałę, która i dla nich jest pośrednim, a najwyższym celem“.

„Wszystko co w naturze istnieje, rusza się i żyje, od rytmu fali w morzu i gry promieni w obłokach, aż do mistycznych funkcyj w żywych ustrojach — od grawitacyi planet ku słońcom, aż do żądz i wrażeń i radości życia tych miliardów żyjątek, co ziemię, wody i powietrze zaludniają —

¹⁾ Les Causes finales L. II. Ch. 5. „La fin suprême de la nature“.

wszystko to razem śpiewa jedną pieśń niezrównanej harmonii na cześć mądrości i dobroci najwyższej — wszystko, mówię, śpiewa tę pieśń, jeżeli wśród tych wszystkich głosów jest choć jedno serce rozumne, co je wszystkie pojmuje i odczuwa i do Boga ich chwałę wznosi. Bez tego serca, bez człowieka, natura nie obracałaby się wcale do Stwórcy, nie wydawałaby prawdziwej pieśni, tylko dźwięki bezmyślne — jak huczenia wiatrów w opuszczonym kościele“.

Zatrzymałem się dłużej może jak przystało, nad studyum o *Celowości w naturze*, bo nie spotkałem się z książką, któraby treściwiej, a równie pięknie jasno i ściśle filozoficznym wywodem stwierdziła tę zasadniczą prawdę katechizmu : świat stworzony od Boga dla człowieka a człowiek dla Boga. Nic więc dziwnego że i Mędrzec Pański potępia bałwochwalstwo pogan, zowiąc „nikczemnymi“ tych, w „których nie masz znajomości Bożej i z tych rzeczy dobrych, które widzą, nie mogli zrozumieć Tego, który jest; ani przypatrując się sprawom, obaczyli ktoby był sprawcą... Z wielkości bowiem ozdoby i stworzenia, jaśnie stwórcy tych rzeczy poznany być może“. (Ks. Mądr. XIII. I. 6). To samo potępienie wymyka się z pod pióra Pawła św. w liście do Rzymian: „Co jest wiadome o Bogu (τὸ γνωστὸν τοῦ Θεοῦ) jest im (poganom) jawne... Bo rzeczy jego niewidzialne od stworzenia świata, przez te rzeczy, które są uczynione, zrozumiane, bywają poznane; wieczna też moc Jego i bóstwo, tak, iż nie mogą być wymówieni. Gdyż poznawszy Boga, nie jako Boga chwalili ani dziękowali, ale znikczemnieli w myślach swoich i zaczęzione jest bezrozumne serce ich“. (Do Rzym. I. 19—21).

Jako komentarz tej prawdy niech posłuży fakt przytoczony przez uczonego Jannet'a w dziele: *Les causes finales*.

Filozof szkocki Beathie miał sześcioletniego synka, który już czytać zaczynał, ale jeszcze nie był słowa o Bogu usłyszał. Ojciec, uważał za stósowne trzymać go w tej niewiedomości, żeby mu dopiero w stósownej chwili tę największą prawdę opowiedzieć i tem silniej w młody umysł ją wpoić. Razu jednego więc, w zakątku ogrodu wykreślił rowkiem na

ziemi trzy pierwsze litery imienia dziecka, posiał w wykreślonym rowku nasionka czernuchy i przysypał wszystko ziemią. „Dziesięć dni potem, tak sam powiada, przybiega do mnie chłopiec zdziwiony i mówi: papo! moje imię wyrosło w ogrodzie! — Uśmiechnąłem się na to obojętnie i udałem, że nie przywiązuję żadnej wagi do tego, co mi mówił. Ale chłopiec nalegał, żebym przyszedł zobaczyć. Poszedłszy z nim na miejsce: W rzeczy samej, rzekłem, widzę, że twoje imię wyrosło, ale cóż dziwnego? to przypadek — i z tem słowem odszedłem. Lecz chłopczyzna szedł za mną i ciągnąc mię za surdut: papo, powiedział mi z pewną powagą, to nie przypadek, to musiał ktoś umyślnie tak zrobić. — Myślisz więc, odrzekłem, że wszystko co jest dokładnie urządzone, jak te litery, musi mieć jakąś inną przyczynę jak przypadek? — Tak myślę, odpowiedziało mi dziecko stanowczo. — A więc, mówiłem dalej, przypatrz się sobie samemu: swoim rękóm, palcom, nogóm... czy ci się nie zdaje, że to wszystko jest dokładnie urządzone i do tego użytku stósowne? czy więc to wszystko może pochodzić z przypadku? — Nie, odpowiedział, ktoś musiał mię umyślnie zrobić. — A któż taki? zapytałem. — Dziecko się zamyśliło i powiedziało, że nie wie, kto to taki. Wówczas odkryłem mu imię najwyższej Istoty, która świat stworzyła i dałem mu o Jej przymiotach naukę stósowną do jego wieku. Tej lekcyi nigdy w życiu nie zapomniał“.

Przytoczyłem ten fakt z Jannet'a ¹⁾), bo tu w naiwnej prostocie występuje rozumna siła ludzka. Jak to dziecko filozofa, tak samo cała ludzkość rozumuje: że ten przesliczny porządek, jaki panuje w świecie i ta cudowna celowość natury dowodzi istnienia jakiejś nieskończenie mądrej, dobrej a potężnej Istoty, Boga.

Nie sama wszelako celowość w świecie jest dowodem tej wielkiej prawdy. Już tem samem, że świat zewnętrzny jest,

¹⁾ Les causes finales.

wnieść muszę, że jest ktoś, z którego i przez którego on jest — Bóg. W widowym tym świecie panuje ruch, czynność, życie i dlatego musi istnieć ktoś, od którego wszelki ruch pierwotnie powstał — Bóg. Pytam słusznie: Skąd ludzie, skąd się wzięły otaczające mnie światy? Człowiek człowieka rodzi, ale skąd pierwszy człowiek? I tak się pytać możemy o każdy rodzaj i gatunek zwierząt, roślin, minerałów. Przyjmijmy cały łańcuch przyczyn, zawsze dojdziemy w tem badaniu do pierwszej przyczyny przyczyn *prima causa causarum*, a tą jest Bóg. Molechott i wielu z nim przeczą temu. „Nie mówią, niema pierwszej przyczyny, ale jest nieskończony szereg albo koło przyczyn, tak że jedno jest przyczyną drugiego, ale samo także od tego jednego bierze byt swój, daje mu życie i od niego życie swe przyjmuje“. Taka nieskończoność koła przyczyn jest niemożliwą, bo skoro to koło jest nieskończone, to się powiększać nie może, tymczasem widzimy, że ta przyczynowość rzekomo nieskończona pomnaża się w oczach naszych. Jest niemożliwą dlatego jeszcze, że w takim razie skutek byłby przyczyną swej przyczyny, czyli działałby wtenczas, kiedy jeszcze nie istnieje, wbrew odwiecznej zasadzie: *prius est esse, quam agere*. Nadto w tem mniemanem nieskończonem kole przyczyn, każda z nich nie jest całą zupełną przyczyną, ale współprzyczyną, jak ogniwo łańcucha nie jest całością, ale tylko częścią jego. Skoro więc każda z tych przyczyn nie jest całą przyczyną drugiej, ale tylko współprzyczynową, to i szereg tych przyczyn nie może mieć innej natury tylko współprzyczynową. Byłby to łańcuch przyczynowości, którego pierwsze ogniwo zawieszone na niczem, fikcyjne, a więc koniecznie przyjąć potrzeba przyczynę zupełną, od innych niezależną *causam primam*, a tą jest Bóg. Dodać i to należy, że przyjąwszy, nawet takie nieskończone koło przyczyn, musielibyśmy przyjąć nie jedno, ale tyle kół nieskończonej przyczynowości, ile jest istot organicznych, wydających podobne sobie istoty. Znalazł się filozof Czolbe, który w swej książce *Neue Darstellung des Sensualismus* tę potworność przyjmuje; według niego wszystkie gatunki kryształów, zwierząt, roślin są wieczne.

Przeciw tej nieskończonej przyczynowości mającej być twórcą świata, protestują głośno najznakomitsi badacze przyrody, protestuje historia ludzkości. Deluc, Saussure, Dailornieu dowodzą, „że obecny stan kuli ziemskiej nie jest tak dawny, jakto niektórym filozofom się wymarzyło“. A sławny przyrodnik Cuvier w dziele „*Sur les revolutions du globe*“ str. 362 powiada: „jeżeli geologia dowiodła czego, to tego, że powierzchnia naszej ziemi stała się ofiarą jakiegoś wielkiego gwałtownego przewrotu, który wydarzył się niedalej jak pięć do sześć tysięcy lat temu... Życie nie zawsze istniało na ziemi, i łatwo można wskazać ten moment, gdzie się rozpoczęło“. Przyrodnik niemiecki Liebig stwierdza to samo: „Niektórzy filozofowie utrzymywali, że życie od wieków tu istniało i nie miało początku. Dokładne badania przyrody dowiodły, że ziemia w pewnej epoce miała temperaturę, w której wszelkie życie jest niemożliwe; już przy 78° ciepła ścina się krew“.

Badania nad dziejami ludzkości stwierdzają to samo. Pewność historyczna nie sięga głębiej, jak na półtora tysiąca lat przed Chrystusem, a sztuki i nauki od bardzo drobnych początków rozwijały się aż do obecnego rozkwitu. „Czy to tylko przypadkiem stało się, zapytuje Cuvier, że tradycyjne początki assyryjskiej, indyjskiej i chińskiej monarchii zgodnie do czterech tysięcy lat przed nami odnoszą się? Najstarsza na świecie księga to Pentateuch“ (pięcioksiąg Mojżesza), a ten Pentateuch, jak twierdzi Renan w swej *Historji ludu Izraela* „zawiera dokumenta, które nas bardzo blisko do początku rodzaju ludzkiego prowadzą“. Otóż według Pentateuchu, rodzaj ludzki istnieje nie spełna od 6.000 lat.

Mniemanie tedy, jakoby nieskończone koło przyczynowości było twórcą świata, sprzeciwia się zdrowej logice, badaniom przyrody i dziejom ludzkości, jest nietylko hipotezą dowolną, ale i niedorzeczną.

Mówią mi materyaliści: „My się zgadzamy z tobą na pierwszą przyczynę, *causa prima*, ale nie jest nią twój Bóg, ale nasza materya pierwsza, *Urnebel*“. Ja im na to: Ta materya pierwsza czy miała rozum, czy nie? Jeżeli miała, wten-

czas nie była materyą, ale istotą duchową, bo rozum jako władza myślenia, tworzenia sobie ogólnych pojęć, sądów, zdań, rozumowań, wiedzy i postępu wiedzy, suponuje koniecznie substrat duchowy, jakto wykazę w konferencyi o nieśmiertelności duszy. Jeżeli zaś była bezrozumną, to jak mogła być przyczyną przyczyn i ich działalności, formującej ten świat dziwnie pięknie, harmonijnie, mądrze i celowo? Nikt nie daje czego nie ma, zwierzę nie napisze uczzonej książki, nieorganiczna materya nie wytworzy organicznej istoty, tem mniej dzieła tak misternie i mądrze urządzonego, jak ten świat widzialny z człowiekiem na czele. Są to niańczyne plotki i baśnie waryatów, stwierdzające prawdę słów Cycerona: niema głupstwa, któregooby który z filozofów nie twierdził“.

Świat istnieje nie tylko jako martwa bryła, ale pełno w nim i na nim ruchu, czynności, życia — od gwiazd niebieskich przebiegających swoje niezmierne drogi — aż do kamyka krystalizującego się w ziemi; od motyla, co z kwiatu na kwiatek przelatuje — aż do lwa ryczącego na puszczy; od robaczka czółgającego po ziemi — aż do myśli ludzkiej w duszy geniusza. Już zaś każdy ruch udziela się przechodząc z jednego na drugie; akt woli porusza ramię, ramię naciąga łuk, wyrzuca strzałę do celu. Tak więc potężny strumień ruchu czynności życia przebiega przez wszechświat, ruch mechaniczny, organiczny, duchowy; strumień ten płynąć musi z jednego źródła, z jednej przyczyny, od której wszelki ruch i wszelkie życie pochodzi, a która od nikogo nie bywa w ruch wprawioną — a jest nią Bóg, który jest życiem samem, czystą działalnością, *actus purus*.

Na zakończenie zestawmy powagi. Któż staje w obozie ateuszów? odkąd datują się ich pierwsze ślady? Najstarszy dokument historyczny, który o ateuszach wspomina, to Pismo św. (psalmy i księgi mądrości) i naznacza i poświadcza ich istnienie na lat niespełna 1000 przed Chr., nazywając ich niemądrymi, głupimi, zepsutymi, obrzydliwymi, *insipientes, corrupti, abominabiles*. Pierwszy ateuszowski filozof Diagoras

i szkoła atomistów greckich z Epikurem na czele pojawia się dopiero w VI i V wieku przed Chr. i ta nie przeczy wprost istnieniu bogów, owszem przypuszcza nawet, że mogą być bogowie, ale po za tym światem, który niezależnie od nich istnieje i rozwija się. Epikurejski ateizm znajduje zwolenników w Grecyi i Rzymie, ale proszę dobrze zapamiętać, w dobie najgłębszego moralnego upadku tych państw i wśród warstw najbardziej zepsutych. W innych pogańskich narodach może się spotyka tu i ówdzie plemię jakie ateuszowskie, ale zezwierzęcone, nie mające nic ludzkiego w sobie. Powtarzam „może się spotka“, bo relacye kilku podróżników, których wymienia Büchner, nie zasługują na zupełną wiarę, a nawet gdyby w języku tych plemion wyrazu na oznaczenie pojęcia o Bogu nie było, to jeszcze nie wynika stąd, żeby one nie miały pojęcia o jakiejś wyższej istocie i żeby były ateuszowskie, jak to wyżej wskazałem. W chrześcijańskim świecie pierwszych filozofów ateuszów spotykamy w sensualistach francuskich i to dopiero pod koniec przeszłego wieku; La Mettrie jest ich ojcem. Plemię ich wzrosło nieco w ostatnich lat dziesiątkach naszej ery: Molechott, Büchner, Vogt, Czolbe, Radenhausen są jego głośniejszymi przedstawicielami. Pospolity gmin ateuszów rekrutuje się, jak za czasów Cicerona w Rzymie, z rozpustnej młodzieży obojej płci, z utracyuszów, lekkoduchów, próżniaków i zużytych rozpustą starców, a ten ich ateizm jest więcej na ustach jak w sercu; nie mogąc się już niezem odznaczyć, pragną zwrócić na siebie uwagę ludzi wrzekomą bezbożnością swoją, albo przygłuszyć w ten sposób głos sumienia karzącego ich występki.

Za wiarą w istnienie Boga oświadcza się ludzkość cała od kolebki urodzin swoich. Stwierdza to „najstarsza księga“ pentateuch Mojżesza. Wszystkie późniejsze przeróżnych ludów dzieje i dokumenta historyczne to samo świadectwo wierze w Boga dają. Systemy filozoficzne, przynoszące zaszczyt rozumowi ludzkiemu, Sokratesa, Platona, Arystotelesa i eklektyka Cyserona, wiarę w Boga jako podstawę duchowego i moralnego życia, jako postulat konieczny fizycznego świata nam ukazują.

Potężne geniusze Augustyna, Hieronima, Grzegorzów, Leonów, Tomasza z Akwinu i scholastycznej szkoły koryfeusze nie tylko istnienie Boga, ale jego naturę i przymioty przed nami odsłaniają, a lat kilkanaście temu Sobór watykański, na którym znaleźli się biskupi całego świata, ogłosił następujące orzeczenie dogmatyczne: „Matka święta Kościół wierzy i naucza, że Bóg, który wszystkich rzeczy początkiem jest i końcem, naturalnem światłem ludzkiego rozumu z rzeczy stworzonych z pewnością poznany być może; rzeczy bowiem jego niewidzialne od stworzenia świata przez te rzeczy, które są uczynione, zrozumiane, bywają poznane“. (Do Rzym. I. 20¹⁾). Nawet akatolicecy filozofowie: Locke i Humme, Voltaire, d'Alembert, Diderot nie wazyli się przeczyć istnieniu Boga. A za dni naszych jeżeli ateizm ma swoich szermierzy, to wiara w Boga ma ich nierównie więcej, nie tylko z sfer duchownych, ale z obozu przyrodników i uczonych badaczy dziejów ludzkości. Jeżeli więc, kto czytasz te karty, stoisz na rozdrożu i o istnieniu Boga wątpisz jeszcze, to miejże rozum i nie wahaj się stanąć po stronie tej, po której powagi liczniejsze i potężniejsze, t. j. wierzących w Boga.

Drugą równie zasadniczą prawdą, na której moralny porządek, doskonałość i szczęście człowieka się opiera, jest nieśmiertelność duszy. Prawdzie tej poświęćmy kart kilka.

¹⁾ Conc. Vat. acta et decr. str. 172.

KONFERENCYA III.

Darwin i Büchner. O nieśmiertelności duszy ludzkiej. — Pomiedzy duszą ludzką a duszą zwierzęcą zachodzi różnica jakościowa, istotna, a nie ilościowa tylko. — Dowody o niematerialności czyli duchowości duszy ludzkiej. — Duch ludzki nie może być rozłożony na pierwiastki, nie może też być zniszczony. — Żyje więc poza grobem, jest nieśmiertelny.

„I natchnął w oblicze jego dech żywota i stał się człowiek duszą żyjącą“.
(Gen. II. 7).

„Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą“.
(Mat. VIII. 28).

I.

Nie myślę przeczyć temu, że za dni naszych wiara w nieśmiertelność duszy coraz bardziej chwiać się poczyną nietylko wśród męskiej inteligencji, ale co smutniejsza, wśród dam i panien. Takich, którzyby stanowczo jej przeczyli, jest w naszem społeczeństwie stosunkowo nie wielu; są to zazwyczaj ludzie zrujnowanych obyczajów i wskutek tego przewróconych pojęć religijnych, a rekrutują się zarówno ze sfer literacko-naukowych jak i z fabryk i warsztatów. Ale powątpiewających, azali to prawda, że nie wszystko kończy się ze śmiercią, ale i poza grobem jest życie i pragnących, ażeby się znalazł ktoś, ktoby tę wątpliwość rozwiał przed nimi i nieśmiertelność duszy matematycznie udowodnił — takich moc

wielka. Miałem na to dowody, bo ile razy zapowiedziałem w mieście jakim konferencyą lub odczyt o nieśmiertelności duszy, to zatrzymywano mnie na ulicy, zapytując, którego dnia, o której godzinie ten wykład będzie miał miejsce, a kościół nawet tak obszerny, jak np. katedra przemyska, nie mógł pomieścić słuchających. Snąc ta kwestya budziła zajęcie, a nie była im jeszcze dość jasną i pewną.

Coż to jest nieśmiertelność duszy? Zrozumiemy to lepiej, zapytując się, co to jest śmierć? Jest to rozkład, psucie się i ruina mechanizmu organicznego, iż już funkcyonować dłużej nie jest zdolny. Zazwyczaj im organizm jest bardziej skomplikowany, z subtelniejszych złożony cząstek, tem prędszy jego rozkład: im zaś mechanizm organizmu bardziej pojedynczy, tem dłuższe jego trwanie. Otóż nieśmiertelność jest negacyą śmierci, afirmacyą bytowania i życia; kiedy więc twierdę, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, to tem samem twierdę, że jest bez części składowych, bez mechanizmu organicznego, *ens simplex*, czyli pierwiastkiem pojedynczym. Dalej wychodząc z tego niezbitego pewnika, że skutek nie może być wyższego porządku jak przyczyna, *non est effectus supra causam*, dowodzę wnioskując z czynności umysłowych człowieka, że dusza, ta istota nie złożona z części składowych, nie może być materją; a skoro dusza jest, skoro oprócz materji istnieje tylko duch, przeto ta dusza ludzka jest istotą duchową, duchem, *anima est ens simplex spirituale*. Już zaś jako taka, dusza ludzka nie może zginąć wraz ze śmiercią ciała wskutek rozkładu albo popsucia się swoich części składowych, bo ich nie ma, tylko mogłaby być unicestwioną, *anima corrumpi non potest, sed potest annihilari*. Znicestwić coś, tego nie potrafi żadna fizyczna siła, tak jak z niczego coś stworzyć, przechodzi zakres wszystkich sił całego świata. Znicestwić może tylko ten, kto może z niczego co stworzyć, to jest Bóg.

Bezwzględnie rzecz biorąc, Bóg tak jak stwarza duszę ludzką przy poczęciu się fizycznem człowieka, tak mógłby ją zniszczyć przy fizycznej śmierci człowieka. Ale nie uczyni tego i nie może uczynić, mając wzgląd na moralne przymioty,

aspiracye i pragnienia duszy ludzkiej z jednej strony, a na mądrość i dobroć swoją z drugiej strony; owszem względ ten na naturę moralną duszy ludzkiej, domaga się koniecznie tego, aby była nieśmiertelną, tj. aby istniała i żyła zawsze.

Oto szkielet argumentacji o nieśmiertelności duszy. Na potężniejsze dowody nie zdobędzie się rozum ludzki, ale już i one wystarczają najzupełniej, aby utwierdzić filozoficznie fundamentalny artykuł wiary św.: *wierzę, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, bo nigdy nie umiera.*

Zanim dowody te rozbierzemy punkt po punkcie, zastanówić się wypada, tak jakto uczyniliśmy, mówiąc o ateizmie, nad genezą czyli źródłem tego dosyć powszechnego zachwiania się wiary w nieśmiertelność duszy.

Od lat blisko 40, po upadku filozoficznej szkoły niemieckiego panteizmu, którą reprezentował prof. Hegel w Berlinie, rzucono się do filozoficznej szkoły materjalizmu, której najwyższą powagą za dni naszych angielski przyrodnik Darwin. W gruncie rzeczy, panteizm był materjalizmem, ale w delikatniejszej formie. Hegłowski panteista powiadał: „człowieku, jesteś częstką bóstwa“, tak jak panteista rzymski, stary Seneka nazwał go *pars Dei*; gdy umrzesz, duch twój powróci do bóstwa i jak kropla wody z oceanem, zleje się z tem bóstwem w jedno. Ponieważ zaś Bogiem panteistycznym jest wszechświat, *Weltall*, *universum*, a ten wszechświat jest materją, przeto i duch twój, jako częstka bóstwa, jest materją. Cóż zaś mówi darwinistowski materjalista? Człowieku, jesteś wydoskonalonem zwierzęciem, dusza twoja różni się tylko ilością, a nie jakością od duszy zwierzęcej, jest więc jak i ona materją. Tym sposobem transcendentalna, a w gruncie panteistyczna filozofia niemiecka przygotowała grunt wyborny pod gruby materjalizm; na ruinie hegelianizmu rozpanoszył się darwinizm zarówno na katedrach uniwersyteckich jak w studiach poważnych, jak w lekkiej literaturze i publicystyce dziennikarskiej. Działo się to w Niemczech, działo się acz na mniejszą skalę i u nas. We Lwowie tłumaczył p. Masłowski

działa Darwina; w Warszawie cała plejada pozytywistów i pozytywistek z p. Świętochowskim na czele, zarzucają polską czytającą publiczność przekładami materyalistycznych broszur i książek i czasopismami w guście *Prawdy i Tygodnika*; a wszyscy: profesorowie z katedry, literaci w swoich ramotach i dzienniczkach głoszą na wszystkie tony i nuty: „słuchajcie i czytajcie; nowe zdobycze wiedzy wam przynosimy; czas już otrząść się z przesądów i fanatyzmu, bo inne są rezultaty nauki i wiedzy, a co innego uczą was księża“. Nowość ma swój urok, poczęto rozczytywać się w tych elukubracjach materyalistycznych, i jeżeli nie uwierzono zupełnie, to zachwiano się w swych przekonaniach. Stare ono, pocziwe, polskie uczucie religijne nie dozwalało odrzucić odrazu wiary w Boga, ale znów urok nowości zanadto był ponętny, metoda doktrynerów materyalistycznych zanadto śmiała i zuchwała, aby to nie pozostało bez złego wpływu na wiarę w nieśmiertelność duszy; zachwiała się ona w umysłach wielu.

Do tego ogólny prąd wieku, mający na celu jedynie materyalny dobrobyt, a nie oglądający się na żadną wyższą duchową, moralną zasadę; dyplomacya i polityka wielka, nie-szanująca ani świętości traktatów ani odwiecznych praw międzynarodowych; parlamenty i sejmy uchwalające ustawy, gwałcące sumienie i uczucia ludzi wierzących, jak owe prawa majowe pruskie 1872 — 1875 r., prawa kościelne francuskie z 1882; a wreszcie ogólny indyferentyzm religijny — wszystko to bałamuciło pojęcia, wprowadzało zamęt w umysły i dolewało oliwy na naniecony ogień nowożytnego materyalizmu. Ogarniał on potrochu i nasze polskie społeczeństwo drogami, które wskazałem wyżej, a lat temu zaledwie kilkanaście Darwin i Büchner byli dla wielu wyrocznią rozumu i prawdy¹⁾,

¹⁾ Darwin uczony przyrodnik angielski, autor wielu dzieł cennych, stał się dopiero głośnym u nas książką o *pochodzeniu człowieka* od małpy. Büchner, lekarz z Darmstadu, objechał całe Niemcy z odczytami materyalistycznymi, które zebrał i ogłosił jako broszurę p. t. *Kraft und Stoff*, a która doczekała się już 14 wydań. Darwin pisze bardzo przyzwoicie z pewną skromnością autorską; Büchner przeciwnie

Otóż wiedzieć przedewszystkiem należy, że nowożytny materyalizm czy pozytywizm — gdyż co do istoty są jedno i to samo — różnią się tylko tem, że pozytywizm nie zajmuje się zgola światem niematerialnym czyli duchowym dlatego, że ten nie podpada pod empiryę czyli doświadczenie fizyczne; materyalizm zaś przeczy stanowczo istnieniu jakiejkolwiek duchowej istoty — materyalizm tegoczesny, powtarzam, nie jest żadną nowością, żadną nową zdobyczą wiedzy ludzkiej, ale rzeczą tak starą, jak stara deprawacya serca ludzkiego, a uważany jako system naukowy liczy lat 2.200. Biorąc Pismo św. jako źródło historyczne, czytamy tam świadectwo króla Dawida i mędrca Salomona, którzy żyli lat temu blisko 2900. „Głupi rzekł w sereu swoim: nie masz Boga“. (Ps. XIII, 3). „Z niczegośmy się narodzili, i potem będziemy jakoby nas nie było, bo *dym jest duch* w nozdrzach naszych, a mowa iskra na poruszenie serca naszego, która gdy zgaśnie, popiołem będzie ciało nasze, a *duch rozwieje się jako miękkie powietrze* i przeminie żywot nasz jako ślad obłoku i *rozejdzie się jako mgła*, która rozpędzona jest od płomieni słonecznych... Mówi to, dodaje Mędrzec, rozmyślając nie dobrze u siebie“, (1. Mądr. II, 1 — 12). A więc na półtrzecia tysiąca lat i dalej przed dzisiejszym materyalizmem, byli praktyczni materyaliści, którzy przeczyli Boga, duchowość i nieśmiertelność duszy, nazywając ją dymem, powietrzem, mgłą, tak jak znów dzisiejsi materyaliści nazywają ją siłą wypadkową wszystkich sił i władz organizmu, mózgu zwłaszcza szarego. Doktryny materyalistów ujął w system grecki filozof Epikur. Złota epoka jego szkoły w Atenach przypada na r. 309 przed Chrystusem. Miał on mnogo zwolenników w Grecyi a niebawem i w Rzymie cały prawie świat literacki przyznawał się do niego.

gburowato przemawia, łaje i wyzywa wszystkich, którzy inaczej myślą jak on; najdowolniejsze hipotezy stawia śmiało i zuchwale jakby dawno już dowiedzione pewniki, fraza i błaga cechą jego stylu. Obadwaj to mają wspólne; że w rozumowaniu posługują się sofistyką; w premisach stoi; prawdopodobnie, zdaje się, możemy przyjąć za prawdę i t. p., a w konkluzyi: a więc wykazaliśmy, udowodniliśmy, niezaprzeczoną jest rzeczą itd.

Materyalizm Epikura streścił i przekazał potomnym Diogenes Laërtius w swych pismach, p. t. *Syntagma Epicuri*, a rzymski poeta Lukrecyusz uwiecznił go w swem poetycznem dziełku *De rerum natura*. Czytałem uważnie obydwa te zabytki uczonej starożytności; liczą one jedno blisko 2200, drugie 2000 lat i byłem zdziwiony ich uderzającym podobieństwem do nowożytnych rozpraw i dzieł materyalistycznych, do takiej np. ramoty Büchnera *Kraft und Stoff*. U jednych i u drugich niesłychana duma i lekceważenie swoich poprzednikówuczonych i filozofów; ta sama oburzająca lekkomyślność i zuchwalstwo w stawianiu hipotez i wyprowadzaniu z nich nielogicznych wniosków; ta sama wreszcie, co do istoty, metoda czyli sposób wyjaśniania rzeczy.

Słowem, pomimo przedziału lat 2000 nie istotnie nowego, żaden rzeczywisty postęp wiedzy, żaden nowy rezultat badań. Że tego nie mówię na wiatr, niech posłuży zestawienie cytatów, pociągnięcie paralelnej pomiędzy Epikurem i Lukrecyuszem z jednej, a Darwinem i Büchnerem z drugiej strony. I tak:

Lukrecyusz:

„Gdy życie haniebnie jęczało pod ciężkiem jarzmem religii, która z niebieskich krain wychylając głowę, straszliwem widmem trapiła ludzi — pierwszy Greczyn (Epicur) śmiertelnie odważył się podnieść oczy i pierwszy wyzywał do walki. Ani grzmoty bogów, ani pioruny, ani wzmoty niebios nie powstrzymały go, ale tem więcej zapaliły jego bystry umysł, że pierwszy ciałne bramy natury przełamać zapragnął“. (De rer. nat. lib. I).

Darwin:

„Dreszcz nas przejmując, gdy czytamy opisy tych okropnych ofiar z ludzi na cześć krwiożerczych bogów, o próbach ognia i jadu, czyli o tak zwanych ordaliach, którym podlegały tysiące istot niewinnych, wreszcie o prześladowaniu czarownic, że już nie wspominamy o innych okrucieństwach. Korzystnem jest jednak zastanowić się niekiedy nad tymi przesadami. Wykazują one bowiem, jak wiele zawdzięczamy rozwojowi naszego rozumu, postępowi nauki i nagromadzonej wiedzy“. (O pochod. człow. I. 64).

Büchner :

„Cała antropologia i cała nauka o człowieku, jest nieprzerwanym dowodem nierozdzielności pojęć o mózgu i duszy, a wszystkie brednie (*alles Gefasel*) filozoficznych psychologów o samoistności ducha ludzkiego i niezależności jego od materialnej podstawy (ciała) dotąd przytoczone — okazują się wobec potęgi wypadków zupełnie bez wartości“ (Kraft u. St. 308).

Według Büchnera, zbrodnia jest fizycznym zboczeniem mózgu (str. 502) i dlatego, idąc za innym materialistą francuskim *Saure*, powiada: „Część mieszkańców więzień powinna być umieszczoną w szpitalach obłąkanych“ i dodaje: „i dlatego po kilku wiekach, skoro ludzkość stanie się lepszą, mądrzejszą i szczęśliwszą jak teraz, to będziemy na procesa kryminalne teraźniejszości mniej więcej z tem uczuciem poglądali, z jakim dzisiaj czarownic i inkwizycji procesa średniowieczne oceniamy“ (Kraft u. St. str. 503).

Prawda, jaka to skromność, naukę Arystotelesa, Platona, Tomasza z Akwinu nazwać *ein Gefasel*, a obecnemu społeczeństwu powiedzieć w oczy: tyś głupie, skoro zamiast sądów i kryminalów nie urządzasz szkół psychiatrów i nie budujesz szpitali dla obłąkanych.

Epikur :

„Istnieją rzeczywiście bogowie, bo mamy o nich pojęcie, ale nie tacy, jak ich sobie ludzie wystawiają. Nie są to bowiem prawdziwe

Darwin :

„Nie mamy żadnych dowodów, żeby człowiek pierwotny wierzył w Boga. Posiadamy natomiast liczne świadectwa nietylko podró-

pojęcia, ale *falszywe domniemywania* ὑπολήψεις ψευδεῖς, to co ludzie mówią, jakoby bogowie złych karali, dobrymi się opiekowali i t. d. (List Epikura do Menoka).

Lukrecyusz:

„Skoro tylko twój (Epikureusza) rozum dał się słyszeć z tem, że świat ten nie jest stworzony od Boga natychmiast znikają wszelkie trwogi z serca, rozstępują się mury świata, w próżni wszechświata odbywa się wszystko.... Za to Cerber i Furie i pozbawione światła piekło, zionące z swej paszczy straszne płomienie — tego niema nigdzie i być nie może... i stąd życie pozagrobowe należy do głupców — *ista nec sunt usquam nec possunt esse profecto... Hinc Acherusia fit stultorum denique vita*“ (De rer. nat. lib. III).

żnych, bo ci zwykle pobieżnie zapatrują się na rzeczy, ale ludzi, co długo i stale mieszkali wśród dzikich, że istniały i jeszcze istnieją rasy, które nie miały żadnego pojęcia o Bogu lub bogach i w których języku niema wyrazu na oznaczenie tych pojęć. Rozumie się, że nie mówimy tu o wierze w Boga, stwórcę i prawodawcę wszechświata“ (O pochod. czł. str. 60).

Büchner:

Powtarza to samo za Darwinem, a na dowód stawia naszych pocziwych Huculów z okolic Kołomyi, „bo chociaż to są moralni ludzie, to ledwo coś wiedzą o jakiejś religii“. (Kraft und Stoff 412). A dalej tak pisze: „nikt lepiej nie wytłómaczył i nie dowiódł czysto ludzkiego pochodzenia pojęć o Bogu, jak Ludwik Feuerbach. Wszelkie pojęcia o Bogu i Boskiej istocie, nazywa on *antropomorfizmami* t. j. tworem ludzkiej fantazyi i ludzkiego sposobu pojmowania rzeczy, uformowanym na wzór ludzkiej indywidualności, a źródła tego antropomorfizmu szuka w poczuciu zależności i w zmyśle niewolniczym tkwiącym silnie w naturze ludzkiej“. Objasniając ten concept Feuerbacha, o którym zresztą wiedział i rzymski Lukrecy, wylicza różne u różnych ludzi pojęcie bóstwa: „pomyślna na niebo katolickie, gdzie spoczywająca na łonie Zbawiciela! Panna Marya, używa swej słodkiej niewieściej sztuki wymowy, na rzecz skazanych na karę (grzeszników) wobec niebieskiego sędziego“. (str. 416).

Lukrecy wyszydział Cerbera i Furie; Büchner drwi sobie z Matki Bożej i w tem nawet podobni do siebie, jak dwie krople wody. Dotyka potem z lekka panteizmu i cały rozdział o idei Boga, kończy zaiście bardzo pokornie: „Lecz dosyć tych baśni. Panteistyczny bóg, czyli wszechbóg, nie jest na jeden włos lepszy od osobowego boga teistów. Ale nasi terażniejsi filozofowie (ze szkoły spirytystycznej) lubią to, starą jarzynę odgrzewać nowymi frazesami i podawać ją na stół, jako najnowszy wynalazek filozoficznej kuchni“ (421). Bierze ochota zapytać: a pan Büchner, czy co innego lubi?

Epikur:

„Mówmy teraz o samejże duszy, od której zwierzęta są i nazywają się. Trzeba ją naprzód mieć za coś materyalnego, cielesnego. t.j. za bardzo subtelne ciało, z cząstek bardzo drobnutkich złożone. Zaiste ci, którzy twierdzą, że dusza jest niematerialną, szaleją, gdyby bowiem taką była, nie mogłaby ani działać, ani cierpieć; nie mogłaby działać, boby nie mogła niczego dotykać; nie mogłaby cierpieć, boby nic nie mogło się jej dotknąć; byłaby więc na kształt czystej próżni... Słusznie zaś nazywam ją ciałem bardzo subtelnem, złożonem z drobnutkich i cieniutkich ciałeczek, bardzo lekuchnych a okrągłuchnych — inaczej nie mogłaby (dusza) przeniknąć ciała i być spojoną z całością i pojedynczymi częściami onego. . I gdybyś sobie wystawił ją w garść dobrze ściśniętą,

Büchner:

„Dusza i wypadkowa siła żyjących i działających nerwowych kulek zwierzęcego stworzenia a więc i człowieka, są dla bezstronnego badacza równoważące pojęcia... Dusza jest wprawionym w czynność mózgiem i niczem więcej. Od materii wznosimy się do ducha za pomocą mózgu“ (Kr. u St. str. 278). „Dosyć zresztą obojętną jest dla badania rzecz, czy i w jaki sposób wyrobić sobie można pojęcie, jak duchowne zjawiska powstały z materyalnych kombinacyj albo czynności substancji mózgowej. Wystarczy, jeżeli faktami wykazaliśmy konieczny, nierozdzielny a prawidłowy związek mózgu z duszą... Wyraz dusza, nic innego nie jest, tylko zbiorowy wyraz wszystkich czynności mózgu i pojedynczych jego części i organów tak, jak słowo oddechanie jest

to zmieściłaby się w jednym prawie punkcie, albo bardzo małej skrzyneczce". (Syntag. p. III. c. X). Rozróżnia dalej, cztery składowe czynniki duszy; jest w niej coś ognio-
wego, coś powietrznego, coś wilgo-
tnego i coś bezmiennego, w czem
władza czucia ma swój początek.
Kończy zaś ten rozdział uwagą:
że „jest w ciele pewna wewnętrzna
część tej temperatury, w której, gdy
się dusza znajdzie, to nabiera szcze-
gólnej jakiejś doskonałości, która
ją uzupełnia. Tą zaś uzupełniającą
doskonałością duszy, jest sam duch,
rozum, umysł, który zwykle rozu-
mną częścią duszy nazywamy".
(Tamże).

Lukrecyusz:

Mówię tedy najprzód, że duch,
który także umysłem zowiemy, a
w którym roztropność i kierunek
życia spoczywa, niczem innym nie
jest, jak częścią człowieka, tak sa-
mo, jak ręka i noga i oczy i inne
części zwierzęcia...

Mówię teraz, że duch i dusza
ściśle z sobą związane, jedną stano-
wią naturę, lecz jakby głową i pa-
nującym w ciele całym rozsądkiem
jest to, co duchem i umysłem na-
zywamy, a siedzibę swoją ma gdzieś
w okolicy serca.. Rozum naucza,
że natura ducha i duszy jest mate-
ryalną i t. d. (De rer. nat. lib. III).

wyrazem zbiorowym czynności or-
ganów oddychania a trawienie czyn-
ności organów trawienia (316—319).
Myśl jest ruchem materii... Wy-
razy: dusza, duch, myśl, uczucie,
chęć, życie, nie oznaczają żadnych
istot, żadnych prawdziwych rzeczy,
są tylko własnościami, zdolnościami,
czynnościami żyjącej substancji,
albo rezultatami istot, które ugrun-
towane są w materialnych formach
bytu... Jakż można podać istotny
powód, że, jak to spirytualiści utrzy-
mują, materya nie może myśleć?
Żadnego — oprócz tego fałszywego,
wskutek wychowania spirytualisty-
cznego wszczepionego pojęcia, które
stało się nam niejako drugą naturą.
Owszem, jest to jawnym i jasnym
faktem, że materya myśli" (324).

„Mózg jest nie tylko organem my-
ślenia i wszystkich wyższych ducht-
wych czynności, mających wyłączną
siedzibę w szarej korze mózgowej,
ale także jedną siedzibą duszy, to
zaś słowo oznacza czynność całego
mózgu, we wszystkich jego częściach,
wraz z aktami czucia i woli wznie-
conymi za pomocą centralnego mó-
zgu szarego (*durch das Central-
grau*) i jest jakby głową całego
nerwowego systemu. Dlatego słowo
dusza, ma znaczenie szersze, ogólniejsze,
słowo zaś *duch* ciśniejsze
i bardziej szczegółowe, i dlatego
zwierzętom przyznajemy duszę *anima*
bez żadnego zastrzeżenia, ducha
zaś *animus*, tylko w bardzo ogra-
niczonej mierze" (str. 340).

Tę paralełę możnaby pociągnąć jeszcze dalej. Epikur,
a za nim Lukrecyusz przyjmują jako pewnik wieczność mate-
ryi, nieskończoną ilość atomów, powstanie ładu i wody i ciał

niebieskich wskutek przypadkowego wirowania atomów, oraz hipotezę nieskończonych przestrzeni czasu i nieskończenie małych, ale rzeczywistych zmian i odmian materji w tej nieskończonej przestrzeni. (Syntagma pd. II. c. 4—15. De rer. nat. lib. I). To samo opowiada Büchner w pierwszych rozdziałach swej książki. Różnica zachodzi w sposobie tłumaczenia niektórych faktów; Epikur n. p. umieszcza duszę w okolicy serca, każe powstać pierwszym organicznym zwierzętom a nawet pierwszemu człowiekowi z pęcherzyków nasiennych, które ziemia z siebie wydała, a wygrzało słońce i t. p. Büchner zaś umieszcza duszę w mózgu i hołduje teoryi emanacyjnej czyli stopniowemu powstawaniu istot bardziej doskonałych z mniej doskonałych za pomocą hipotezy, której nikt nawet w przybliżeniu stwierdzić nie może, o nieskończenie małych niedostrzegalnych zmianach, w nieskończenie długich przestrzeniach czasu.

Nil novi sub sole — materializm więc przeczący duchowości a tem samem i nieśmiertelności duszy ludzkiej, nie jest żadną nową zdobyczą wiedzy ludzkiej, ale rzeczą bardzo starą, nie dajmyż się więc złapać na lep i nie wierźmy zuchwałym deklamacyom obcych i polskich materialistów.

Również nieprawdą jest, co nieraz z ust zwolenników materialistycznej szkoły słyszałem: „ależ mój księżu, Darwin już dawno dowiódł, że człowiek jest udoskonalonem zwierzęciem, pochodzi od małpy, a więc tak jak małpa nie ma duchowej i nieśmiertelnej duszy“. Mowa ta dowodzi, że ci ludzie Darwina nie czytali.

Cała książka o *pochodzeniu człowieka*, od początku do końca jest tylko przypuszczenie. Zaraz na wstępie czytamy: „Jedynem zadaniem niniejszego dzieła jest najpierw zbadanie, czy człowiek zarówno jak każdy inny gatunek, powstał z jakiej formy dawniej istniejącej... *Przypuszczenie*, że człowiek również, jak każdy inny gatunek, jest potomkiem jakiejś niższej, wymarłej formy zwierzęcej, nie jest bynajmniej rzeczą nową“ (str. 2. 3), a potem na każdej niemal stronnicy i to

po kilka razy spotykamy się z wyrazami: „należy więc przypuścić, otóż zdaje się, wszak można przypuścić, prawdopodobnie, któż może zaprzeczyć, niewątpliwie“ i t. d., a najwięcej tych przypuszczeń zawarunkowanych jeszcze przez *gdyby* znajduje się właśnie w fundamentalnym ustępie, gdzie chodzi o wykazanie faktu, że człowiek powstał z małpy, (rozd. IV. str. 198—206), i gdzie Darwin wyraźnie przyznaje, że dotąd badania geologiczne nie zdołały odkryć szkieletu małpo-człowieka (str. 200). Darwin więc nie *dowiodł*, ale jak sam wyznaje *badał* o ile to *przypuszczenie jest uzasadnione*, a w tem badaniu posługiwał się najdowolniejszymi hipotezami i sofistyką niedozwoloną sumiennym a rozumnym myślicielom, zawsze więcej wnioskując w konsekwencyach, jak twierdził w premisach.

II.

Przekonawszy dowodnie, że doktryna o materyalności i śmiertelności duszy ludzkiej, nie jest nowością ani świeżą zdobyczą wiedzy ludzkiej, twierdząc dalej, że pomiędzy duszą człowieka a duszą zwierzęcia np. małpy lub pudła, zachodzi *istotna, jakościowa* nie zaś przypadkowa tylko czyli ilościowa różnica. Kwestya to wielkiej wagi; kładą na nią nacisk i Darwin i Büchner i wszyscy materyaliści, twierdząc głośno i śmiało, że wszystko co jest w człowieku, jest i w zwierzęciu, a więc i pies ma rozum, umysł, myśl, pojęcia, uczucia, świadomość siebie, religię, mowę i t. d., tylko w niższym stopniu, niż człowiek, a to dlatego, że masa szarego mózgu człowieka jest większą od masy zwierzęcego mózgu, a układ jego jest subtelniejszy. Nic mizerniejszego, jak te bezsilne próby udowodnienia tezy powyższej. Czytając np. rozdziały II i III książki Darwina, spytać musi każdy sam siebie, czy ten Anglik żartuje, czy mnie ma za obranego z rozumu, czy jemu się przewróciło w głowie? tyle tam dziecinnych rozumowań

a fałszywych wniosków¹⁾. Nie lepsze i nie głębsze są wywody Büchnera rozrzucone w całej książce, tylko, że zwyczajem swoim wypowiada je zuchwalej, bezczelniej.

Tymczasem niepotrzeba być filozofem, wystarczy zdrowy gospodarski rozum, aby przekonać się, że między człowiekiem a zwierzęciem zachodzi o całe niebo różnica; że są w czło-

¹⁾ I tak np. na dowód, że i pies ma świadomość siebie podobnie jak człowiek, stawia Darwin pytanie: „czy jesteśmy zupełnie pewni, że stary wyżeł obdarzony dobrą pamięcią i do pewnego stopnia rozwiniętą wyobraźnią, nie rozmyśla nigdy nad przyjemnościami, jakich za młodu na polowaniu doznawał? *A byłoby to pewną formą świadomości*“ (str. 58). Według Darwina, pies ma *uczucie religijne*: „Uczucie religijne jest w wysokim stopniu skomplikowane; składa się bowiem z miłości, z zupełnego poddania się istocie wyższej i tajemniczej, z silnego poczucia zależności, bojaźni, uszanowania, wdzięczności, nadziei *a może jeszcze innych czynników*... Dostrzegamy niejaki słaby odcień tego umysłowego stanu (religijności) w przywiązaniu, jakie pies czuje do swego pana: tu bowiem oprócz miłości, istnieje także zupełne poddanie się, nieco bojaźni *a może cokolwiek innych uczuć*... Profesor Braubach... przypuszcza, że pies uważa swego pana za boga“ (str. 63). Artykułowana mowa ludzka jest także według Darwina niczem innym, tylko zwierzęcą wydoskonaloną mową: „Przyszedłem do przekonania, że mowa ludzka zawdzięcza powstanie *swe naśladownictwu i modyfikacji różnych dźwięków* przyrody, głosów innych zwierząt i instynktowych wykrzykników wydawanych przez ludzi“. A dowód tego jaki? „Ponieważ małpy rozumieją wiele z tego, co my do nich mówimy, i ponieważ wydają one sygnały ostrzegające całe stado o niebezpieczeństwie, *nie więc nie byłoby dziwnego, gdyby* jakie niezwykle roztropne zwierzę, podobne do małpy, naśladowało ryk drapieżca (lwa albo tygrysa), chcąc ostrzedz swych towarzyszy o grożącym napadzie; *a gdyby się tak stało*, mielibyśmy już pierwszy krok do utworzenia mowy“ (str. 53). Toć to są przecie niańczyne baśnie a nie dowody filozoficzne; cały rozdział II. i III. przepełniony takimi iście dzicinnymi hipotezami, pomimo to, na końcu rozdziału III. czytamy: „Jakkolwiek olbrzymią jest różnica między umysłem człowieka a umysłem najwyższych zwierząt, *każdy to jednak przyzna*, że jest ona ilościową tylko, a nie jakościową, tj. że stosuje się jedynie do stopnia rozwoju. *Widzieliśmy*, że wszystkie te władze i uczucia... istnieją także u zwierząt... *Przekonałiśmy się*, że zwierzęta są zdolne ulepszać swoją organizację i t. d.“ (str. 103). Nikt myślący tego nie przyzna, i nie przekona się wywodami, które w premisach kładą

wieku czynności zupełnie z innego świata, innej sfery, których w zwierzęciu zgoła niema; że więc tem samem, różnica ta jest istotną, esencyonalną, jakościową. I tak,

Człowiek jest zdolny stworzyć sobie i tworzy rzeczywiście pojęcia ogólne, abstrakcyjne czyli oderwane, które potem stosuje do przedmiotów przez zmysły dostrzeżonych; pojęcia te czyli idee, porównywuje ze sobą, znajduje w nich

najdowolniejsze, nieprawdopodobne hipotezy, a w konkluzji stawia pewne, niezbite twierdzenie. bo to sofismata a nie rozumowania.

Już po napisaniu tych kart wpadła mi do rąk niemiecka książeczka (przekład z angielskiego) p. t. *Widerlegter Darwinismus von Sidney Herbert Lang. Leipzig 1872. str. 80.* W X krótkich rozdziałach wykazuje autor z wielkim spokojem nicość dowodów, mających stwierdzić teorię Darwina o pochodzeniu człowieka od małpy, małpy od żaby, tej zaś od ryby, ryby od wymoczka. Podobieństwo organizmu ludzkiego do zwierzęcego jest tylko powierzchowne, chemiczna analiza wykazuje istotne znaczne różnice. Taktyka Darwina, próbująca wykazać sposób, w jaki ta przemiana organizmu małpiego w ludzki dokonać się mogła, odznacza się „niedorzecznością i powierzchownością“ (rozdz. II). a cała jego metoda dowodzenia „nie tylko, że nie jest „umiejętną“ ale jest sofistyczną, bo wyprowadza pewne wnioski z najdowolniejszych przypuszczeń (rozdz. III.). Najgorzej wypadła próba Darwina usiłująca wykazać, że w duchowych czynnościach człowiek nie różni się od zwierząt istotnie, jakościowo, ale tylko je przewyższa ilością. Darwin rozmyślnie miesza pojęcie instynktu z rozumem, instynktowe czynności zwierząt nazywając duchowymi tej samej natury jak myśl ludzką (rozdz. IV—VI). Jeszcze nieudolniejsze są teorie Darwina o powstaniu mowy ludzkiej z nieartykułowanych, głosów zwierzęcych, a najnieudolniejsze są jego poglądy na tożsamość co do istoty sumienia, moralności i religijności u człowieka i u zwierząt (rozdz. VII—IX). W końcowym rozdz. X. tak rzecz zamyka: „Sir John Herschel w swej rozprawie *O postawieniu i ugruntowaniu teorii* tę stawia pewną regułę, że „każda zdrowa teoria powinna wszystkie wypadki przedstawić prawdziwie i wszystkie prawa, które do badania i wnioskowania prowadzą, w sobie zamykać“. Jeżeli, powiada Lang, darwinistowską teorię rozwoju według tej reguły chcemy ocenić, to nie tylko nie znajdziemy w niej żadnych konkludujących dowodów, ale poprostu nie wiemy, od czego właściwie zacząć — gdzie jaki wypadek, dowód jaki albo analogią jaką znaleźć, któraby zdolna była wzbudzić w nas zaufanie w tę niesłychaną, zdumiewającą teorię o pochodzeniu człowieka“ (str. 77).

łączność albo sprzeczność i wiąże je w zdania, zdania w rozumowania, rozumowanie w systemy naukowe i tym sposobem dochodzi do wiedzy i do coraz szerszej wiedzy. I dlatego zdolny jest postępu w każdej gałęzi wiedzy, czy to czysto naukowej, czy artystycznej i przemysłowej. W miarę, jak się te pojęcia ogólne w nim wyrabiają, czyli w miarę rozwoju władz umysłowych, człowiek daje im wyraz głosem artykułowanym, czyli mową i zdolny jest mowę tę rozwijać, kształcić i doskonalić. Tych pojęć ogólnych, idei, a tem samem postępu i artykułowanej mowy u zwierząt niema zgoła, ani w najniższym, ani w zaczątkowym nawet stopniu. Rozumieli to tak dobrze starzy pogańscy filozofowie, Aristoteles, Cicero, Plato, jak nasze polskie Wojtki i Bartki.

Zwierzę ma pojęcia szczegółowe tylko, za pomocą tylko zmysłów i zmysłowej wyobraźni urobione i nie jest zdolne za pomocą czysto duchowej władzy abstrakcyjnej uformować pojęcia ogólnego np. człowieka, konia, drzewa, trawy, wody itd. i dlatego wydaje tylko głosy bólu lub radości, trwogi lub irytacji, które to uczucia są czysto zmysłowe, wywołane zawsze tylko przedmiotem pod zmysły podpadającym; niezdolne zaś jest do urobienia sobie artykułowanej mowy i to nie dla braku odpowiedniego organu, bo papuga np. da się wyuczyć wymawiania mechanicznie słów kilku, ale dlatego, że pojęć ogólnych, których wyrazem są słowa, nie mają. Brak możności tworzenia sobie pojęć ogólnych, jest także przyczyną, dlaczego zwierzęta nie są zdolne do żadnego postępu. Jaskółka tak samo lepi sobie gniazdko dzisiaj, jak 2000 lat temu opisywał to Owidiusz w swoich *Metamorfozach*. Słowik, prześliczny śpiewak, co roku buduje gniazdko niziutko w krzakach, kot niecnota zjada mu młode i jego samego dusi, coś łatwiejszego, jak ażeby to gniazdko osadził wyżej, dokądby kot nie wydrapał się — a on przedsię po dawnemu, nie na szczycie drzew, ale nisko w krzakach gniazdko swe ściele. W jednym tylko kierunku wyszukania sobie żeru i podtrzymania rodzaju swego, okazują zwierzęta coś na kształt przemysłu. Instynkt zachowawczy, wrodzony także i człowiekowi, u zwierząt jest jedynym

motorem i naprowadza ich do czynności noszących na sobie jakowyś pozór dowcipu i przemysłu. Lis bardzo dowcipnie poluje na kury, kot na myszy, a wyżeł tropi zająca, ale ten lisi czy koci przemysł, taki sam dzisiaj, jak za czasów Ezopa bajkopisa lat temu także 2300. Prawda, pudel da się wyuczyć sztuk różnych, konik da się wytresować, iż nóżką przednią, gdy mu zegarek pokażą, godziny wybija — aleć to każdy widzi, że co w tem jest sztuki i postępu, to jest pracą ludzkiego ducha, a zwierzę z swej strony tylko mechaniczne ruchy wykonuje.

Taktyka materyalistów zapytujących: któż może zaprzeczyć, że pies lub koń przy onej tresurze i sztukach łamanych coś nie myśli? a pćtem wnioskujących: a więc pies myśli tak samo jak człowiek, i taką samą co do istoty ma duszę — obalamucić nikogo nie powinna. Wygląda to tak, jak gdybym rozumował: Któż może zaprzeczyć, że ja pisząc te karty nie mam 50 złr. w kieszeni, a więc ja je mam — gdy tym czasem ja mam rzeczywiście nie równie mniej, a mogę i nie mieć. Na takie sofistyczne wykręty, odpowiedzieć należy starym aksyomatem: *quod gratis asseritur gratis negatur*, twierdzeniu bez dowodów, przeczy się bez dowodów.

Większą, głębszą jeszcze, w oczy bardziej bijącą różnicą pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, jest zmysł moralny i wszystko to, co się na nim opiera: sumienie, poczucie obowiązku, miłość ojczyzny, ofiarność i poświęcenie, ideały enoty i abnegacyi siebie. Cały ten świat moralny, nie istnieje nawet w zaczątkowym stanie u zwierząt, bo się opiera na wolnej woli, a wolna wola, znowu istnieć nie może bez pojęć ogólnych, idei, których zwierzę niezdolne sobie wyrobić. Sam nawet Darwin, który tak niefortunnie aż w dwóch rozdziałach swej książki próbował dowieść tezy: że między człowiekiem a zwierzęciem, zachodzi tylko ilościowa różnica, zmuszony był wyznać, że „moralne uczucie przedstawia najwybitniejszą różnicę między człowiekiem a najwyższymi zwierzętami“ (str. 104).

Motorami czynności człowieka są idee moralne: piękność cnoty, szkarada występku, chwała ludzka, korzyść społeczeństwa, miłość ojczyzny i przywiązanie do swej ojcowizny; a dalej motywa wyższe jeszcze, nadnaturalne, jak: rozrost chwały Bożej, zbawienie dusz ludzkich, cywilizacya chrześcijańska itd. U zwierząt przeciwnie, jedynym motorem kij lub chleb, boleść lub przyjemność zmysłowa, inne argumenta nie skutkują. Człowiek obdarzony wolną wolą, może pójść za tymi szlachetnymi motorami i może się im oprzeć, a pójść za złymi swymi instynktami, za chucią i pożądlivością, lub namową obcą, i dlatego jest poczytalny i odpowiedzialny za swoje czyny; sąd opinii i sprawiedliwości albo go pochwała i nagradza, albo potępia i karze.

Zwierzę przeciwnie, odpowiedzialności za swoje czyny nie ma, ale chyba pan i właściciel jego, bo nie jest poczytalne tj. nie jest świadome moralnych warunków i następstw swoich czynów. Jeżeli pies pokąsze, bydlę szkodę w polu robi, nie zanoszą skargi na psa lub wołu, ale na ich właściciela i on płaci grzywny. Przed szkodliwością zwierzęcia, bronimy się argumentem bardzo materyalnym: kijem albo strzelbą, albo nastawioną siecią, i nikomu na myśl nie wpadnie prawić mu morały albo reprimendy, składać na nie sądy i sadzić je w więzieniu.

Do jakiego stopnia ogarnął ten szal materyalistyczny uczone wrzekomo społeczeństwo nasze, świadczy o tem fakt, o którym w swoim czasie berlińskie żydowsko-liberalne dzienniki szeroko się rozpisywały. Było to, jeżeli się nie mylę 1877 roku; do akwaryum w Berlinie sprowadzono bardzo pojętną, sprytną małpkę z gatunku szympansów. Uczonym zachciało się zadokumentować praktycznie na tej małpie stawianą w teorii tezę, że człowiek jest udoskonaloną małpą. Dalejże więc edukować ono zwierzątko. Dano jej uczonego dyrektora, osobną służbę i osobny apartament; pan dyrektor jadł, spał i przechadzał się z oną małpą, dawał lekcye grzeczności i dobrego wychowania; kiedy raz podczas obiadu zachowała się bardzo nieprzystojnie, ukarał ją aresztem odosobnionym, co

bardzo smutno miało podzielać na fantazyą małpiastego elewa. Odkrywano w nim coraz to nowe zdolności i popędy do postępu i cywilizacji ludzkiej, a dzienniki ogłaszały ten wrzekomy tryumf darwinizmu nad chrześcijańską ideą z rzadką dokładnością. Gdy małpka zaniemogła, przywołano lekarza, pielęgowano, leczono, a dzienniki podawały z wielkim współczuciem codziennie biuletyny zdrowia dostojnej pacjentki. Dowiedzą się o tem uczeni angielscy i dalejże prosić, aby ten ciekawy okaz przesłano do Londynu. Wsadzono tedy małpę wraz z panem dyrektorem do wagonu. Ale dłuższa podróż zaszkodziła delikatnemu zdrowiu, małpa zdechła w drodze na wielki smutek uczonych i dziennikarzy. Czytając w *Germanii*, dzienniku wychodzącym w Berlinie, te aberacje rozumu ludzkiego, które byłyby śmieszne, gdyby nie dowodziły tej zacieklej zawziętości, z jaką pewne sfery uczonego świata rzucają się na fundamentalne pewniki moralnego i chrześcijańskiego porządku rzeczy, pomyślałem sobie: jakże prawdą jest co mówi stare ono polskie przysłowie: „kogo Pan Bóg karze, temu rozum odejmie. *Quem Deus punire vult, dementat*“.

Czy jednak w całej tej materyalistycznej teorii ewolucyjnej niema nic prawdy? Jeżeli *dimidium veri fabula semper habet*, połowę prawdy bajka mieści w sobie, to czy podobna, aby naukowy system od początku do końca był błędem? Tak w darwinistowskiej jak w każdej innej teorii ewolucyjnej jest to prawdą, że w świecie tym panuje dziwny ład i porządek, harmonia i zgoda, najwymowniejszy dowód, jak to wyżej wykazaliśmy, że świat ten nie powstał przypadkowo, ale wyszedł z rąk dziwnie mądrego Stwórcy, Boga. I stądto u starych fizyków zasada: *natura horret saltus*, nie ma skoków w naturze, ale jest powolne, systematyczne stopniowanie od nieżywotnych i nieorganicznych do istot żywotnych i organicznych, a między temi ostatniemi organizmy najprzód proste i pojedyncze, potem coraz bardziej skomplikowane i artystyczne, tak w świecie roślinnym jak w świecie zwierzęcym; w końcu ze wszystkich organizmów najcudniejszy

i najmisterniejszy, organizm człowieka, ciało ludzkie. Ale ponieważ oprócz materialnego świata istnieje jeszcze świat czysto duchowy, przeto ta sama zasada ładu i porządku i harmonii wyrażona w onem adagium *natura horret saltus* wymaga tego, aby było stworzenie pośrednie, łączące dwa te światy czystej materii i czystego ducha w jedno, a tem jest człowiek; według ciała najdoskonalsza istota materialna, a według ducha najniższa istota duchowa. I nie sądźmy, że tylko chrystyanizm pojmuję w ten sposób świat ten i człowieka. Tej idei opatrnościowego porządku w świecie hołduje rzymski Ciceró, a z Greków Arystoteles i Plató i ich szkoły. Otóż Darwin i wszyscy zwolennicy ewolucyjnej teorii widzą ten fakt ładu i harmonii, bo jest niezaprzeczony niczem nigdy, ale wywracają kota za ogon i zamiast pójść za zdrowym rozumem i codziennem doświadczeniem i przyjąć wiarę w Boga Stwórcę i stworzenie świata, wołają wbrew rozumowi i wbrew doświadczeniu ulepić sobie niedorzeczną teorię przypadkowego zbiegu atomów, z którego cudem jakimś wyrasta dziwny ład i porządek i odwieczne a niezmiennie prawo natury, doskonalące w nieskończonych przestrzeniach czasu i wśród nieskończenie drobnych odmian małpę na człowieka.

Lecz przejdźmy już do właściwych dowodów nieśmiertelności duszy. Idą one stopniowo: wykazemy naprzód, że dusza ludzka nie może być złożoną z części materialnych, ale jest czemś jednem, niezłożonem i niepodzielnem, *ens simplex* jak mawiali starzy; a dalej, że to *ens simplex* nie może być materią jak np. atom, ale musi być niematerialną istotą czyli duchem, *spiritus*.

III.

Dowody pojedynczości duszy ludzkiej (*simplicitas animae*) tkwią w nas samych. Zwróćmy się tylko myślą do lat naszych najmłodszych do 4 lub 3 roku życia, bo już głębiej świadomość i pamięć nasza nie sięga. Od tego czasu podziś-

dzień upłynęło lat 20, 40, 60 i w ciągu tych lat wszystko się zmieniło we mnie i koło mnie. Z dziecka wyrosłem na męża, cały organizm zmienił się i przemienił wielokrotnie; bo zdaniem fizyologów zmienia się on co parę lat, najmniej co lat siedm; zmieniły się też i rozszerzyły moje pojęcia, zdania, poglądy; miliony myśli i miliony wrażeń i uczuć przesunęło się przez głowę i serce moje; byłem tu i tam w kraju i za granicą, wśród różnych ludzi i towarzystw; zmieniłem stan mój, zostałem kapłanem, mężem, żoną itd., a jednak wśród tych tysiącznych, milionowych zmian i przemian i tej ustawicznej metamorfozy całego mego jestestwa, czuję to doskonale, że jest we mnie coś, co zawsze jedno, stałe i niezmiennie, przyjmuje i bierze w siebie te wszystkie zmiany, pojmuje je, ocenia i waży i sprawę sobie z nich zdaje, to jest moje *ja* indywidualne, stanowiące moją osobę, różną od miliardu innych osób. Zmieniło się też wszystko koło mnie, postarzeli się jedni, poumierali drudzy, rówieśnicy mego wieku i zabaw; krwi ludzkiej w rzeziach, rewolucjach i wojnach rozlało się wiele; upadła wielkość Francyi, a na jej ruinie stanęła żelazna potęga Prus; zmieniła się do niepoznania karta Europy: a jednak podczas kiedy wszystko koło mnie uległo przemianie, ja czuję to doskonale, że we mnie było i jest coś, co wśród tej metamorfozy pozostało jedno i to samo, zawsze niezmiennie, i stałe, jakby ze spiżu wykute, które wszystkie te wesołe i smutne przemiany przyjmuje do wiadomości, stosuje się do nich, gdy tego potrzeba, ale zawsze jest sobą i świadome jest tej tożsamości swojej, moje *ja* czyli jak filozof Trentowski się wyraża, moja *jaźń*, a my ją nazywamy *duszą*. Czegóż dowodzi ten fakt, o którym każdemu z nas wewnętrzny jakiś, a pewny i niezawodny głos — starzy zwali go *sensus intimus* — świadectwo daje? Oto dowodzi tego, że to moje *ja*, ta moja dusza, jest czemsiś zupełnie różnem od organizmu mego ciała ulegającego ustawicznej przemianie, jest więc istotą *samoistną*. Twierdzę dalej, że ta samoistna dusza nie może być złożoną z jakichkolwiek cząstek fizycznych czyli materyalnych, bo w takim razie ta jedność i niezmiennność mego *ja*, mej du-

szy, której sobie każdy bardzo doskonale jest świadomy, byłaby absolutnie niemożliwą. Dlaczego? Wystawmy sobie, że to moje *ja*, ta *dusza* składa się z dwóch materialnych części, tak że pewna część wewnętrznych i zewnętrznych wrażeń odbijałaby się na jednej części duszy, a znów inny szereg wrażeń byłby odbierany przez drugą część duszy — pytam, jak w takim składzie rzeczy wytłómaczyć tę jedność i niezmiennność mojego *ja*, której świadomości nikt i nie mi wydrzeć nie zdoła? Chcę czy nie chcę, ale musiałbym czuć w sobie podwójne *ja*, byłyby więc we mnie dwie osoby i takby mnie pojmować musieli ludzie. Tymczasem *ja* to doskonale czuję i ludzie doskonale rozumieją, że jestem zawsze *jedną i tą samą osobą*. A więc to moje *ja* nie może być złożone nawet z dwóch, tem mniej z więcej składowych części, musi więc być *niezłożone, ens simplex*.

Teraz postąpmy krok jeden dalej. Twierdzę, że ta niezłożona z żadnych części, pojedyncza istota *entitas simplex* mej duszy nie może być materią. Dlaczego? Są to odwieczne, a prawdziwe adagia: *effectus non est supra causam; quod est in causato, est in causa causati; nihil est in effectu, quod non prius fuerit in causa; generans generat sibi simile*, skutek nie może być większy jak przyczyna; co jest w skutku, zawarte być musi w przyczynie — a wszystkie te aksjomaty wyrażają tę prostą doświadczeniem stwierdzoną prawdę, że skutek odpowiadać musi przyczynie, że więc z natury i właściwości skutków wnioskować loicznie możemy na naturę i właściwość przyczyny. I tak np. gdy widzę misternie wyrobiony zegarek, albo klasycznie odmalowany obraz, wnoszę, że ów zegarmistrz musiał być wybornym mechanikiem, a ów malarz wybornym artystą. Przeciwnie, gdy ujrzę bohomaż jaki, powiadam, cóż to za jakiś dyletant nasmarował tak brzydki obraz? Czytam mądrze napisaną książkę i wnioskuję stąd, że autor jej musi być rozumnym, wysoce wykształconym człowiekiem. Ołóż zastosujmy tę niezbitą niczem i niezawodną zasadę do duszy i jej czynności i studyjmy *naturę* skutków tej przyczyny.

Czynem duszy ludzkiej i najwybitniejszym skutkiem jej działalności jest myśl ludzka, bo że człowiek myśli, temu ani Darwin, ani żaden materyalista nie przeczy. Istotą, a raczej przedmiotem każdej myśli są pojęcia ogólne, idea: Bóg, ojciec, matka, dziecię, zło, dobro, piękno, cnota, występki itd., każde bowiem słowo mowy ludzkiej zawiera jakieś pojęcie ogólne, ideę, i w miarę jak w ludzie jakim wyrabia się i rozszerza zakres pojęć ogólnych, wyrabia się, kształci i bogaci się jego język. Sposób, w jaki się te pojęcia ogólne w duszy ludzkiej wyrabiają czyli tyle sławna *quaestio de origine idearum*, zajmowała i zajmuje najpoważniejszych filozofów i dotąd jest nierozstrzygniętą. Arystoteles poświęcił jej cały traktat, wymyślił na jej rozwiązanie dwa rozumy *intellectus agens* i *passivus*, ale jej nie rozwiązał. Nas ten sposób wytwarzania się czyli *początek idei* nie obchodzi tutaj, bierzemy fakt, że człowiek takie pojęcia ma i coraz nowsze tworzyć jest zdolny, że pojęcia te ogólne czyli idee stosuje potem do poszczególnych przedmiotów i powiada: to a to jest człowiekiem, a ten przedmiot to drzewo, a tamten to koń i t. d. Już zaś wszystkie te pojęcia ogólne, mająż one jaki kształt, kolor, zabarwienie, ważkość, ciężkość lub bryłowatość jaką? Możemyż sobie o nich wytworzyć jakiś obraz choćby w przybliżeniu tylko? Nie, i tak dalece nie, że do uzmysłowienia tych ogólnych pojęć, np. miłości, sztuki, władzy, cierpienia, zapożyczamy z materyalnego świata przedmiotów. I na tem polega symbolika artystyczna lub religijna; dwa serca wplecione w pierścień są oznaką miłości narzeczonej pary, krzyż symbolem wiary, pastorał, miecz, berło symbolem duchownej lub świeckiej władzy, bo inaczej niepodobna nam uzmysłowić tych pojęć, które nic materyalnego w sobie nie mają, lecz są czysto duchowe natury.

Postąpmy znów krok jeden dalej. Idee czyli pojęcia ogólne łączy dusza ludzka w zdania, zdania wiąże z sobą w rozumowania, te zaś w teorie i systemy, i tym sposobem powstaje i rozwija się nauka i sztuka, jednym słowem wiedza ludzka. Pytam jaki kształt i barwę, jaką postać ma np. zda-

nie: „dwa a dwa jest cztery“ ile gramów ono waży, ile przestrzeni ono zajmuje, jaka jego specyficzna ciężkość? Co w niem jest takiego, coby pod którykolwiek z pięciu zmysłów podpaść mogło? Albo w onym najprostszym sylogizmie wszyscy ludzie są śmiertelni: już zaś ja jestem człowiekiem; więc jestem śmiertelny. Niech mi Darwin czy Büchner, czy jakakolwiek powaga z materyalistycznej szkoły pokaże co tu w tem najprostszym rozumowaniu jest lub może być materyalnego? A dopieroż owe wyższe, zawile rozumowania takich niemieckich myślicieli jak Kant, Fichte, Hegel, które potrzeba kilka razy odczytać, żeby się sensu w nich domacać, albo algebraiczne kalkuły i analitycznej geometryi operacye, na których opiera się budowa dróg, mostów, kolei żelaznych, przewiercenie gór i przerżnięcie kanałów i min podsadzanie i węgla i kruszców kopalnie i cała olbrzymiejąca z dniem każdym nauka o słońcu i gwiazdach, astronomia, toć to są całkiem oderwane pojęcia czy wielkości; pod ono $a-b$ albo pod linią ab podsunąć mogę jaką chcę konkretną wielkość lub siłę; w tych formułkach algebraicznych, służących do najdokładniejszego obrachunku ruchu i przestrzeni, masy i ciężkości ciał nie masz nic bryłowatego, ważkiego, barwnego, słowem nic, coby z materyą coś wspólnego miało. A harmonia muzyki? Gra, orkiestra lub nawet cztery orkiestry naraz: łączą się, krzyżują, wpadają w siebie i znów się rozdzielają tysiące, miliony przeróżnych tonów, a z nich wyrasta całość wdzięczna, miła, harmonijna, arcydzieło sztuki. Jakże się to stało? Odpowiadamy: geniuszem mistrza. Zgoda na to, ale ten geniusz musiał naprzód w duszy odczuć i ułożyć cały utwór muzyczny, przelać go potem za pomocą umiejętnego zestawienia nut muzycznych na papier, porozdzielać role na każdy instrument inny itd. Papier, pióro, znaki czyli nuty, dęte instrumenta i tony z nich dobywane, wszystko to materyalne, ale jedność harmonijna, która stanowi arcydzieło, ta jest produktem pracy ducha, tysiąca kombinacji uczuć i myśli, które z materyą nic wspólnego nie mają. To samo powiedzieć o arcydziełach pędzla i dłuta, o klasycznych utwo-

rach poezji, słowem o każdym dziele skończonem w sobie. Skoro więc dusza ludzka zdolną jest tworzyć pojęcia ogólne czyli idee, zdania, rozumowania, systemy wiedzy i arcydzieła sztuki, skoro te wszystkie czynności nie mają w sobie nic materialnego, przeto i dusza sama, która jest tych niematerialnych czysto-duchowych skutków przyczyną, nie jest i nie może być materią, ale duchem, *anima est ens simplex, spirituale*.

A dopieroż cały świat pojęć moralnych: sumienie i wyrzuty sumienia, poczucie obowiązku, miłości ojczyzny, ideały cnoty aż do heroizmu posunięte, toć to są rzeczy, które materialnie ciężką nieraz boleść i stratę przynoszą i zwierzęcej naturze są wręcz przeciwnie. Sumienie każe mi potępić nieraz samego siebie, nieraz najdroższą mi istotę, dziecko moje własne. Widziano zbrodniarzy, którzy wyrzutami sumienia gnani, sami w ręce sądu się oddali; poczucie obowiązku zaprowadziło za dni naszych wielu najzacniejszych biskupów i kapłanów do więzienia i na tułactwo, wielu najmężniejszych żołnierzy wystawiło na rany i śmierć z ręki nieprzyjaciela, wielu najdzielniejszych obywateli miłość kraju do ofiar z czasu, pieniędzy, a nieraz ze zdrowia i życia popycha. Toć są fakta, którym materialści przeczyć nie mogą. Pytam, co w tych moralnych pojęciach jest materialnego? jakiej formy czy kształtu, jakiej barwy i wagi jest np. sumienie, albo owe motywa moralne: chwała lub nagana ludzka, piękność cnoty, zadowolenie ze spełnionego obowiązku? A ta walka wewnętrzna, którą każdy, kto chce być w czynach swoich człowiekiem, przebywać musi, walka namiętności z rozumem, uczucia ze sumieniem, zachcenia z obowiązkiem, jakiejże ona natury, co w niej z materji, ile przestrzeni zajmuje, ile waży, jak wygląda, jak nawet można ją sobie plastycznie przedstawić? Nawet w symbolice musimy ją przyoblec w postacie ludzkie. I dlatego prześlicznie streszcza te prawdy rzymski filozof Cicero: „Duchów ludzkich początków na ziemi nikt nie znajdzie. Nie masz bowiem w nich nic złożonego i konkretnego, albo coby z ziemi (materji) zrodzonem albo zleptonem być się

zdało; nie, coby było wilgotne albo powietrzne albo ogniste. W tych bowiem własnościach nie masz nic, coby posiadało siłę pamięci, chcenia, myślenia, coby i minione rzeczy przechowywało i przyszłe przewidzieć mogło, i objąć mogło razem rzeczy terazniejsze — wszystko to boskiem jest, i nie dociecze się tego nigdy, skądby to do ludzi przyjść mogło, jeno od Boga. Badając zaś ducha wątpić nie możemy, chyba żebyśmy w rzeczach fizycznych nieukami byli, że w duchach nie masz nic zmieszanego, nic konkretnego, nic złożonego, nic pozlepianego, nic podwójnego. Co gdy takiem jest, zaiste nie może być ani rozłożonem, ani podzielonem, ani rozerwanem, ani rozciągnionem, a tem samem zaginać w żaden sposób nie może“. (Tusc. 28, 29).

Mówią mi materyaliści: Mylisz się mój księże, bo nie znasz anatomii tak, jak nie znał jej Cicero: „*Materja myśli, Die Materie denkt*“, woła pompatycznie Büchner. „Najnowsze bowiem mikroskopijne badania mózgu, są jego słowa, wykazały, że mózg nie tworzy pojedynczej jednolitej masy, ale tak jak cały system nerwowy składa się częścią z nieprzeliczonej prawie liczby nerwowych czyli prymitywnych włókien (*Nerven oder Primitiv — Fasern*), częścią także z niezliczonej mnogości nerwowych celek czyli ganglijnych kulek. (*Nervenzellen, Ganglienkugeln*). Włókienka owe, których zbiorową liczbę w całym ciele obliczają na 600—1000 milionów, (Büchner bardzo jest hojny w szafowaniu hipotezami) są to nadzwyczaj cienkie i delikatne, przejrzyste jak szkło rurki, napelnione olejkowatym, łatwo ścinającym się płynem, t. z. szpikiem nerwowym (*Nervenmark*), który znów składa się z dwóch koncentrycznie otaczających się, a chemicznie różnych warstw, z tak zwanego osiowego cylindra (*Axen-Cylinder*) pośrodku i z okalającej go na kształt płaszcza rury szpikowej (*Markroehre*). Nerwowe celki albo kulki ganglijne, ten drugi włóknisty pierwiastek nerwowej masy, które się mianowicie w szarej substancji mózgu i kości pacierzowej w niezliczonej ilości znajdują (liczą jedynie tych ganglii, które w szarej mózgowej oprawie (*Gehirnrinde*) się znajdują, na 500—1000 milionów),

te odbierają wrażenia przyniesione przez włókna nerwowe z zewnętrznego świata, *przerabiają je i zmieniają w akty myślenia i chcenia* (*verarbeiten und in Denk- oder Willensacte umsetzen*). Przedstawiają też one wiele właściwości i odmian w swej budowie, a w oprawie szarej substancji mózgowej, której są główną częścią składową, ułożone są w pięć do siedmiu warstw albo pokładów; w każdym zaś pokładzie rozróżnić można w szczególny sposób ukształtowane celki i różnej wielkości... Co do stosunku celek nerwowych (ganglii) do prymitywnych włókienek, to są one tak z sobą związane, że każdy nerw kończy się celką, czyli kulką ganglijną, a z każdej zaś celki rozchodzą się przynajmniej dwa nerwy, które albo do nerwowego systemu ciała przechodzą, albo pojedyncze celki ze sobą łączą. Nerwy albo rurki nerwowe mogą być trafnie porównane z drutami elektrycznego telegrafu, które już to przynoszą, już to dalej roznoszą wiadomości; kulki zaś ganglijne można także trafnie porównać z samym aparatem elektrycznym, który przyniesione z zewnątrz wrażenia przyjmuje i takowe oddaje napowrót, czyli własne swoje depesze w świat wysyła. W tych to celach czyli gangliach szukać należy właściwej siedziby czyli anatomicznego pierwiastka naszych duchowych i dusznych czynności (*geistige und seelige Processe*), nie można wątpić, że różnaitość w zewnętrznej i wewnętrznej budowie i uporządkowaniu tychże, stoi w pewnym stosunku do różnaitości tych duchowych i dusznych procesów. Prawdopodobnie znajdują się nietylko osobne włókna i celki dla czynności czucia, ruchu, pożywienia refleksyi, tak jak to wiemy, że ma miejsce w nerwach, ale że istnieją one osobno także dla różnych rodzajów wyższej, fizycznej czynności, jak rozsądek, wyobraźnia, pamięć, zmysł liczenia, zmysł lokalny, muzykalny, zmysł piękna itd., chociaż anatomia nie była dotąd w stanie, za pomocą swych grubych i niedoskonałych narzędzi odkryć takowych*. I dalej na trzech jeszcze stronicach usiłuje dowieść swej tezy za pomocą bardzo liberalnych hipotez i obrachowań, i tak rzecz kończy: „Zresztą dla naszych badań może to być rzeczą obojętną czy

i w jaki sposób wyrobić sobie można pojęcie o tem, jak zjawiska duszy powstają z materyalnych kombinacji albo czynności substancji mózgowej. Nam wystarczy, żeśmy faktami udowodnili konieczny, nierozdzielny, a prawidłowy związek pomiędzy mózgiem a duszą“. (*Kraft und Stoff*. 311—317).

Przeciw tym mądrym wrzekomo wywodom, prosta loika ma dwie rzeczy do zarzucenia. Najprzód jest tu *petitio principii*, to znaczy, że dowodzi się rzeczy tem co właściwie dowiedzionem być miało. Büchner miał nam udowodnić, że *materya myśli*, a dowodzi tej tezy prostem, gołem twierdzeniem, że one ganglijne kulki przerabiają przyniesione przez włókienka materyalne wrażenia i zamieniają na akty myśli i woli. Ależ na miły Bóg, oto właśnie tu chodzi, to trzeba tu udowodnić, że te celki czy kulki materyalne, zdolne są wytworzyć czysto duchowe pojęcia ogólne, sądy, rozumowania, chcenia, pragnienia i t. d., bo my temu wręcz przeczymy. To zarzut pierwszy; zarzut drugi ten:

Pomijając już niesłychaną lekkomyślność w hipotezach, Büchner sam sobie nie wierzy i cały ten fundamentalny w jego teorii ustęp kończy najzuchwalszym sofismatem: „mało na tem zależy, w jaki sposób mózg wyrabia myśli — nam dosyć na tem, że wykazaliśmy konieczny związek między mózgiem i duszą“. Ależ mój darmstadtzki medyku-filozofie, żaden ze zwolenników spirytystycznej szkoły, ani Aristoteles, ani Plato, ani Tomasz z Akwinu, ani okrzyczani scholastycy, nie przeczą tego związku mózgu z duszą, twierdzą tylko, że mózg jest niezbędnym warunkiem, narzędziem myślenia, ale nie sprawcą *causa efficiens* myślenia. Ty powiadasz: nie — mózg jest sprawcą myślenia — dlaczego? Bo nie można myśleć bez mózgu. Ależ nie można grać na skrzypcach bez smyczka, nie można pisać bez pióra, szyć bez igły — czy dlatego smyczek, pióro, igłę nazwiesz autorem, sprawcą koncertu muzycznego, książki uczonej, sukni misternie uszytej? Oto twoja loika. Już to, nawiasowo mówiąc, i Darwin i Büchner i Draper i co tylko czytałem autorów materyalistycznej szkoły — wszyscy mogą być dobrymi przyrodnikami, anatomami, nie wiem już

czem, ale są *nędznymi* filozofami, co krok grzeszą przeciw fundamentalnym prawidłom loiki i to tak bez zakrzuszenia się, gładko i zuchwale, licząc snąć bardzo wiele na łatwowierność czytelników.

Zamknę tę niewdzięczną polemikę uwagą wiele mówiącą. Potęgą prawdy, że czynności ducha a tem samem i natura jego, są zupełnie z innego świata, jak czynności materyi, jest tak wielką, że ciż sami materyaliści, którzy tej prawdzie przeczą, używają wyrazów, jak: duch, duchowy, umysł, umysłowy, moralność, cnota, występki, opinia ludzka i t. d., które w powszechnem rozumieniu wszystkich, chociaż trochę tylko wykształconych ludzi, oznaczają coś niematerialnego, duchowego, coś z wyższego porządku rzeczy, jak ten świat materialny. Jeżeliśmy wszyscy dotąd byli w błędzie, podkładając tym wyrazom znaczenie duchowe niematerialne, to niechże ci uczeni panowie wymyślą inną terminologią, któraby materialność duszy i jej duchowych czynności wyrażała, niech przeobrażą naturę języków europejskich, bo inaczej bałamuca i wprowadzają w błąd większą część swoich czytelników lub słuchaczy, a swojej teorii dają świadectwo niedołęstwa, nazywając rzeczy niewłaściwie, bo zapożyczanymi wyrazami. Nie dokażą tego, bo właściwości językowe wyrobiły się na podstawie pojęć i przekonań ludów i narodów, a te pojęcia i przekonania w tem są zgodne, że w przeciwieństwie do świata materyi, istnieje świat ducha, a do tego niematerialnego duchowego świata, należy także dusza ludzka — powiemy o tem zaraz.

IV.

Pewną, niezawodną jest więc rzeczą, że dusza ludzka jest istotą niezłożoną, duchową, *anima est ens simplex, spirituale*, a celem jej tu na tej ziemi, ożywiać materialny organizm ciała ludzkiego i nadać mu cechę ludzkiej, moralnej istoty, — stąd to u starych filozofów: *anima informat corpus, anima est forma substantialis corporis*. Pytanie, czy ze śmier-

cią ciała „umiera także dusza? Na to odpowiadają mi do-
wcipni medycy: umiera na pewno, widzimy po szpitalach
codziennie setki umierających, podczas operacyj, pod nożem
nam nieraz umierają — ale żaden z nas nie widział tej duszy
emigrującej z ciała na tamten świat. W prosektoryach na-
szych pokrajaliśmy tysiące trupów, rozpruli każdą żyłkę, nerw
każdy rozebraliśmy, nigdzie skalpelem naszym nie natrafiliśmy
na duszę, ani jej opróżnionej już rezydencji w organizmie
ciała nie odkryliśmy“. Ja im na to: nie widzę oczami tonów
muzyki, pokrajać skalpelem tych tonów nie mogę — a więc
ich niema, a jednak tony muzyki są i sztuka muzyczna jest.
Widzieć można to, co jest barwnego, a krajać to, co jest
masywnego — dusza będąc istotą niematerialną ale duchowną,
ani barwy, ani masy nie ma, stąd więc, żeście jej panowie nie
widzieli i nie pokrajali, nie wynika, że jej niema, albo, że
umiera wraz z ciałem, i wasz argument jest dziecinny, a je-
dnak na wielu nie pozostaje on bez niedobrego wpływu, jak
to wiem z doświadczenia. A teraz do rzeczy.

Twierdzę i dowodzę, że dusza nie umiera wraz z śmier-
cią ciała. Dlaczego? Nie może umrzeć wskutek rozkładu i psu-
cia się swych części, swego mechanizmu, jak organiczne istoty,
rośliny lub zwierzęta, bo jak dowiedliśmy wyżej, dusza jest
istotą niezłożoną *ens simplex*, a więc ani części, ani organi-
cznego mechanizmu nie ma. Nie może zginąć, unicestwić się,
bo na świecie nic nie ginie i żadna fizyczna siła tak, jak nie
jest w stanie z niczego coś stworzyć, tak nie jest w stanie
rzeczy już istniejącej unicestwić. I na to zgadzają się wszyscy
przyrodnicy, i twierdzą słusznie, że na świecie nic nie ginie,
tylko zmienia swój stan bytowania; stąd zasada u starych
fizyków, *corruptio unius est generatio alterius*, psucie się je-
dnej istoty daje początek istocie drugiej. Nawet martwe ciało
ludzkie, trup, nie ginie, nie unicestwia się, tylko wskutek
chemicznego procesu rozkłada się i przechodzi w inny stan
bytowania — jedne cząstki ulatniają się, drugie przechodzą
w żywotne soki robactwa, które trupa toczy, inne w proch
rozsypane dodają humusu ziemi i t. d. Jasna więc rzecz, że

wskutek śmierci ciała, dusza nie może umrzeć, czyli podpaść rozkładowi i przybrać odmiennego sposobu bytowania; jasna rzecz także, że żadna siła przyrody nie może jej odebrać bytu, unicestwić jej, *adnihilari anima non potest*; pozostaje więc to jedno tylko, że siła nadnaturalna, Bóg, unicestwia duszę w chwili śmierci człowieka tak, jak ją stwarza w chwili poczęcia człowieka. Już zaś, jakkolwiek bezwzględnie rzecz biorąc, to jest możliwe, to jednak zważywszy *momenta moralne*, naturę i właściwości duszy ludzkiej, możemy i musimy z całą moralną pewnością powiedzieć, że Bóg nie unicestwia duszy ludzkiej, ani w chwili śmierci człowieka, ani później, ale zostawia ją istniejącą na wieki — nieśmiertelną. Dlaczego? Bo wlał Bóg w duszę ludzką tak piękne, tak wzniosłe i szlachetne dążności, aspiracye i pragnienia, obdarzył ją tak cudownymi władzami, że ani te dążności i pragnienia zupełnego swego zaspokojenia tu na ziemi nie znajdują, ani te władze zupełnego przedmiotu swej działalności odszukać nie mogą i pozostają zawsze w jakimś stanie jakby gorączkowym, niezadowolonym i niespokojnym i dlatego musi być inny świat, inne życie, gdzie tym szlachetnym dążnościom i żądom stanie się zadosyć — inaczej Bóg byłby okrutnym tyranem, dając człowiekowi najszczytniejsze żądze i pragnienia, a nie dając mu możności zaspokojenia tychże.

I tak najprzedniejszą władzą duszy jest rozum — rozumem panuje człowiek nad otaczającą przyrodą, jest królem stworzenia. Już zaś *intellectus naturaliter tendit in verum*, powiada Aristoteles; rozum naturalną siłą dąży do poznania prawdy i dlatego dziecię małe, tak ciekawie dopytuje się o wszystko i cieszy się, gdy się coś nowego dowie. A nie tylko dziecię, ale i dorosły człowiek rad jest i kontent z nowo odkrytej prawdy. Ta żądza poznania coraz to nowej prawdy, gna ludzi do szukania mężów sławnych nauką, każe im ślezczyć długie lata nad książką, szperać w zapyłonych archiwach i bibliotekach, wyprawiać się poza morza w niegościnne kraje, często z narażeniem własnego życia, i tak w kraju nad Kongo umarło w kilku latach pięciu uczonych, należących do

międzynarodowego belgijskiego towarzystwa. Ale cóż, im człowiek więcej wie, tem jaśniej poznaje, że mnóstwo jest prawd, których nie wie, a co gorsza których się nigdy nie dowie; pozostaną one na zawsze tajemnicą dla rozumu ludzkiego. Tak np. związek duszy z ciałem, *comercium animae cum corpore*, początek i pierwotny rozwój języków, dusza zwierzęca, słońce, księżyc i gwiazdy, azali są zamieszkałe i przez jakie istoty; i tysiące innych pytań w dziedzinie przyrody, filologii, astronomii i innych naukach, są po dziś dzień, a pono na zawsze pozostaną tajemnicą dla rozumu ludzkiego. A dopieroż w porządku moralnym, w studyowaniu opatrnościowych rządów Bożych na ziemi — tam często gruba powłoka przed oczami naszymi. Prześlicznie złotousty Skarga: „Teraz (w XVI. wieku) mówim, czemu turecka moc tak wiele chrześcijaństwa pożarła i pogubiła? Czemu Chrystus nasz nie pokaże mocy swojej? Czemu się tak złym powodzi? Czemu tak nierówno Pan Bóg ludzie podzielił? Czemu na dobrego tak wiele idzie przygód? Lecz na on czas (tam w wieczności) rzeknie każdy: *sprawiedliwy Pan Bóg we wszystkich drogach swoich i święty we wszystkich dziełach swoich* (Ps. 144). Teraz na sprawy Boże się patrzym, jako na rozebrany godzinnik, na kółka i żelazka jego, nie wiedząc, gdzie się co przydać ma i rzemieślnikowi przyganiamy: ale gdy się złoży, poznamy dowiecpnego rzemieślnika i pochwalim sądy jego“. (Kaz. na 1 niedz. adw.).

I dlatego duszy ludzkiej nie może Bóg unicestwić zaraz przy śmierci człowieka, ale zostawić ją musi przy życiu, dopóki ten prawdziwy „święty głód“ poznawania prawdy nie zostanie zaspokojony.

Drugą szlachetną władzą duszy ludzkiej, jest wolna wola, która znów według słów Aristotelesa, *naturaliter tendit in bonum*, naturalnym pędem dąży do tego, co dobre, więc do wszystkiego co cnotliwe, piękne i wzniosłe. Ale i z cnotą ma się tak, jak z nauką; im usilniej kto pracuje nad moralnem uzacnieniem swej duszy, im bardziej pragnie pozbyć się nie tylko występków i wad, ale i skłonności do nich, tem

liczniejsze dostrzega w sobie niedostatki i braki, tem jaśniej poznaje, jak wiele mu jeszcze brakuje do rzetelnej cnoty i doskonałości, i to go smuci, nęka, nieraz do zwątpienia przywodzi, iż nie może być takim, jakimby siebie mieć pragnął. I stąd to czytamy o onych wielkich świętych, historycznej doniosłości mężach, jak św. Franciszku z Asyżu, że chociaż świat cały czcił i wielbił ich cnotę, to oni w swem przekonaniu czuli się być grzesznikami. Rozumieli to zresztą i poganie. Stoicy greccy postawiwszy wysoki ideał cnoty, przyznawali się otwarcie, że w praktyce do tego ideału nie dojdą nigdy i dlatego nie nazwali się σοφοί mędrcami, ale φιλόσοφοι przyjaciółmi, zwolennikami mądrości. A jednak ta chęć i żądza coraz większego udoskonalenia siebie, jest główną dźwignią postępu i rozwoju ludzkości, sama w sobie jest dziwnie piękną, a byłaby bez celu, gdyby zaspokoić jej nie było można nigdy. Tu na ziemi tego zaspokojenia niema i być nie może — musi więc być świat inny i inne życie, gdzie ta żądza zaspokojenie swoje znajdzie, a więc Bóg nie może unicestwić duszy w chwili śmierci człowieka.

A żądza szczęścia, tak głęboko tkwiąca w duszy człowieka, że nawet wtenczas, gdy życie sobie odbiera, szuka w tem uwolnienia od cierpień, spokoju, słowem szczęścia — czy ta żądza może być tu na ziemi zaspokojoną? Co to jest szczęście? Powiedzieliśmy już wyżej, jest to równowaga wszystkich (moralnie uczciwych) żądz i pragnień i wynikający stąd stan swobody i zadowolenia, bez obawy utraty onego. Ten ostatni warunek, jest konieczny do zupełnego szczęścia, sama bowiem myśl, że jakaś potęga wroga, może nas pozbawić tego, co stanowi nasze szczęście, psuje tę równowagę i to uspokojenie będące istotą szczęścia. Otóż nie potrzeba być filozofem, aby przekonać się, że tu na ziemi zupełnego szczęścia niema i być nie może. Bo pomijając już to, że każda drobina szczęścia ziemskiego, okupuje się wielką dozą cierpienia, to — starość, choroby i śmierć, wisząca jak miecz Damoklesa nad głową każdego z nas, obedrze nas ze wszystkiego, co szczęście ziemskie stanowić może. Do tego,

jak to już powiedziałem gdzieindziej, rozkosz, używanie, zabawy budzą przesyt i „najstraszniejszą z chorób ludzkich nudę“, sława zaś wytwarza coraz większą ambicję, a pieniądź coraz większy głód grosza *crescit amor nummi, quantum ipsa pecunia crescit*, a tem samem, troskę i niepokój — a tam, gdzie przesyt, gdzie troska i niepokój — tam o prawdziwem, trwałem szczęściu mowy być nie może. A jednak, jak powiedział Seneka: *homo naturaliter desiderat esse beatus*, człowiek chce być szczęśliwym, i to zupełnie szczęśliwym, dlatego, bo jest na obraz i podobieństwo Boże stworzony, a Bóg jest szczęśliwością samą — ponieważ więc tutaj szczęścia zupełnego niema i być nie może, przeto musi być inny świat, inne życie, gdzie temu potężnemu pragnieniu stanie się zadość, a więc dusza nie może umierać wraz ze śmiercią człowieka. Już zaś pełność i zupełność szczęścia wymaga, aby zniknęła raz na zawsze obawa utraty onego, jak to wspomnieliśmy wyżej i dlatego, jeżeli dusza ma być szczęśliwą to musi mieć tę pewność, że nic i nigdy szczęścia tego jej nie wydrze, że więc i ona sama nie ulegnie unicestwieniu: czyli że będzie nieśmiertelną.

Dodajmy do tego mniej może potężne ale powszechne i silne dosyć pragnienie życia i zostawienia pamiątki po sobie. *Non illacrimatus abibo*, nie umrę nie pozostawiwszy żalu po sobie, pocieszali się na myśl o śmierci poganie. I dlatego rodzice tak bardzo pragną zostawić potomstwo po sobie, chcą żyć w dzieciach i wnukach swoich. I stąd to człowiek ma wrodzony wstręt przed śmiercią, żal mu gdy nawet nieme bydle na rzeź prowadzą, albo gdy rosłe piękne drzewo topór podcina, a przeciwnie cieszy go, gdy może dokonać dzieła trwałego, z którego nie on, ale potomność korzystać będzie; i widzimy starych wiekiem a zacnych obywateli, jak budują nowe pałace lub dwory, sadzą drzewa, drenują pola, zakładają towarzystwa humanitarne lub finansowe i z pociechą mówią: już mnie tu niedługo, ale przynajmniej imię moje po śmierci wspomną pocziwie. Ta żądza wślawienia się u potomnych wieków, była głównym motorem rycerskich i oby-

watelskich czynów prawie u wszystkich zacniejszych pogan, jak np. u Cicerona; pokazuje się to z jego listów do Attyka, gdzie *immortalitas gloriae* nieśmiertelność sławy spotyka się prawie na każdej karcie. Wiemy, że malarze i rzeźbiarze i w ogóle artyści kładą nazwisko swe u spodu swego arcydzieła, aby swe imię przekazać potomności. Ta jest także przyczyna, dlaczego na grobach nieboszczyków stawiamy wspańiałe mauzolea z ciosu i żelaza, ażeby przynajmniej tak długo pamięć pozostała po nich, dopokąd *tempus edax* żab czasu nie zniszczy onych granitów i kruszców. Otóż wrodzona ta człowiekowi żądza, aby ze śmiercią nie zagasła zupełnie pamięć o nim, obok tej niespożytej i niczem wykorzenić się nie dającej żądzy szczęścia zupełnego, jest najpewniejszym dowodem nieśmiertelności duszy.

A teraz uchwycmy te wywody w ścisłą loiczną formę. Skoro Bóg jest najmędrszą istotą, to nie czyni nic na próżno, ale w myśl Bożą, wszystko musi mieć swój cel i środki odpowiedne do osiągnięcia tego celu. Skoro zaś ten najmędrszy Bóg wlał w duszę człowieka żądzę szczęścia nie dającą się w tem życiu zaspokoić, to loicznie stąd wniesć możemy, że musi być inne życie, a skoro istota tego szczęścia wyklucza ograniczenie i koniec, to zarówno wniesć możemy, że to przyszłe życie musi być bez końca, czyli innemi słowy: że dusza ludzka musi być nieśmiertelną.

Mówią mi panowie materyaliści: „ależ to jest tylko dowód moralny a nie fizyczny“. Ja im zaś na to: jako tonów muzyki nie mierzy się łokciem ani wagą, a piękności obrazów nie ocenia się uchem ale okiem, tak istoty duchowej, jaką jest dusza ludzka niepodobna badać, oceniać i dowodzić argumentami ze świata materyalnego czerpanymi, bo to są *disparata*, rzeczy różnorodne; dokazać tego można tylko dowodami z życia duchownego, a te są i muszą być natury moralnej. Niechże więc nie żądają odemnie rzeczy niemożliwej.

Owszem ja im powiem więcej i na stwierdzenie tych momentów moralnych o nieśmiertelności duszy przytoczę fakt historyczny, któremu na próżno zaprzeczyć usiłują materyalnej

szkoły zwolennicy. Faktem tym jest dziejowe zjawisko, że u wszystkich ludów nawet niechrześcijańskich spotykamy mniej lub więcej jasną wiarę w nieśmiertelność duszy. Myty religijne tych ludów naukowo badane dowodzą ich wiary w życie zagrobowe, w istnienie kary po śmierci na występnych, nagrody po śmierci dla cnotliwych. I dlatego kładli taką wagę na sprawienie pogrzebu nieboszczykom, wierzyli bowiem, że dusza tak długo błąka się nieszczęśliwa, dopokąd zwłoki uroczą się nie zostaną pogrzebane; *Inhumataque ossa jacebunt* niepochowane kości moje walać się będą po obcej ziemi, lamentuje u Wirgilego wygnaniec z Troi. Mieli tę wiarę z ludów starożytności najbardziej ucywilizowani Grekowie i Rzymianie, Homer w XI. księdze Odyssei wprowadza do podziemia Ulissea, który od ducha swej matki dowiaduje się o przyszłych losach swego domu; Wirgili w VI. księdze Eneidy każe Sibilli oprowadzać Eneasza po onem państwie duchów, patrzeć na ono wieczne więzienie potępieńców, z którego uwolnienia niema, a na drzwiach jego czytasz napis: „*discite justitiam moniti et non temnere divos*, nauczcie się tą karą sprawiedliwości i jak nie należy gardzić bóstwem“. Na tej to wierze starych Słowian w życie poza grobem usnuł Mickiewicz pierwszą część swoich Dziadów.

Czytałem bardzo ciekawe dzieło protestanta od stóp do głów uzbrojonego erudycją, katolikom zresztą dosyć niechętnego: profesora z Jeny Edmunda Spiessa p. t.: „*Historia rozwoju pojęć o stanie po śmierci*“¹⁾. W rozdziale VI-tym tej książki przechodzi dr. Spiess kolejno wszystkie ludy barbarzyńskie Afryki i Azji, rozprawia i o Eskimosach i pogańskich Litwinach i wykazuje jak każdy według stopnia swego uobyczajenia, ale wszystkie bez wyjątku, wierzyły i wierzą w jakieś życie zagrobowe, w karę i nagrodę po śmierci

¹⁾ *Entwicklungsgeschichte der Vorstellungen vom Zustande nach dem Tode auf Grund vergleichender Religionsforschung, dargestellt vom Edmund Spiess, der Philosophie Doctor, der Theologie Licentiat und Privatdocent an der Universität Jena, Jena 1877 in 8vo. Seiten 615.*

i tak ten wielce pouczający rozdział kończy: „Streszczając nasz sąd o pojęciach o przyszłym życiu, jakieśmy u tak zwanych barbarzyńskich ludów znaleźli, musimy wyznać, że po części są one bardzo zmysłowe i poziome, ale rzadko kiedy niegodne i nieczyste. Stwierdzić musimy, że o ile nasze spostrzeżenia i badania dziejowe sięgają, nie znalazł się żaden naród, któryby nie był w posiadaniu jakichkolwiek oczekiwań (wiary) życia poza grobem (*über ein Jenseits*) i że nigdzie trwanie i cel ludzkiego życia nie jest uważane jako wyczerpane na ziemi. Niechaj wielu wiarę tę przedstawia jako owoc ludzkiej próżności i krótkowidzenia, opartej na przypuszczeniach geocentrycznych i antropocentrycznych, że rodzaj ludzki wyszedł z jednego miejsca i z jednej pary ludzi — my znajdujemy w tem czysty, chociaż w wielu miejscach rdzą (*Schlacken*) splamiony kruszec; poznajemy w tem, pomimo okrywającej je powłoki, świetlne promienie wiecznej prawdy. Wstręt przed śmiercią, miłość do nieboszczyków, z wspomnień powstające marzenia, grube początki metafizycznej spekulacji, poetyczna wyobraźnia, wszystko to, pojedynczo lub razem wzięte nie jest dostateczną podstawą wiary w dalsze istnienie duszy. Tylko z odgadującego wewnętrznego głosu, z instynktowego popędu serca, z wyroku praktycznego bezpośredniego rozumu tego głosu Bożego, który nigdzie zupełnie do milczenia przywieść się nie da, tłumaczy się istnienie tej wiary u wszystkich nawet dzikich, barbarzyńskich, bałwochwalczych ludów“ (str. 172, 173). — W dalszych rozdziałach od VII—XVIII rozbiera pojęcie religijne o życiu zagrobowem Egipcjan, Chińczyków, Greków, Rzymian, Druidów i Celtów, Germanów, Słowian, a wreszcie wiarę w nieśmiertelność duszy Żydów i mahometańską naukę o przyszłym życiu. Przy każdym rozdziale podany obszerny wykaz autorów i dzieł, o tymże przedmiocie rozprawiających; całą zaś poważną tę pracę streszcza rozdział XVIII. „Widzieliśmy jak jedna i ta sama troska o życie zagrobowe, chociaż odmienna w szczegółach, stósownie do indywidualności ludzi i ludów, wszystkich, którzy z niewiasty się urodzili, zajmuje

i przygniata, i powiedzieć możemy, że wszyscy, chociaż nie bez wielu wątpliwości i wahań się, do jednej i tej samej wiary dotarli, jakkolwiek kształty jej w indywiduach, ludach i epokach zmienne być mogły. Przyjęcie dalszego istnienia duchowej niematerialnej części człowieka i różnicy stanu, w jaki wstępuje dusza stosownie do zachowania się człowieka podczas ziemskiego żywota (wiara w nagrodę i karę po śmierci), jest własnością wszystkich eschatologii¹⁾. Niechaj się dziwi kto chce, nad pstrą różnaitością pojęć o życiu zagrobowem i nad niezmierną różnicą sposobu przedstawienia sobie stanu nieboszczyków, — ale w każdym razie przyznać będzie musiał, że ludzie wszystkich wieków, o ile o nich wiadomość mamy, po wszystkich miejscach ziemi, o ile do nich badania nasze dotarły, na wszystkich stopniach religijnych pojęć, o ile te na zewnątrz się objawiły, usiłowali rozwiązać zagadkę, azali śmierć z rozkładem ciała przyprowadza także i duszę do rozkładu i zniszczenia, albo co nam ona przynosi. i że raczej drogą odgadującego przeświadczenia (*auf dem Wege divinatorischen Intuition*), jak loicznego rozumowania uzyskali to przekonanie, że nieśmiertelnej części należy się dalsze bytowanie, a stan (*Modalität*) tego dalszego życia zależy od wartości, jaka na sądzie Bożym pojedyńczym osobom przyznana zostanie* (str. 511).

Do tego rezultatu przyszedł po długich a sumiennych badaniach protestant racjonalista i stwierdził fakt, o którym wiedział przed blisko dwoma tysiącami lat rzymski filozof, gdy pisał: „*Sed ut deos esse natura opinamur, sic permanere animos arbitramur consensu nationum omnium. Omni autem in re consensio omnium gentium lex naturae putanda est.* (Tusc. I, 13, §. 35, 30). Lecz jak głosem natury wiedzeni, wierzymy w istnienie bóstwa, tak, że dusza ludzka nie umiera, wierzymy dla wspólnej zgody wszystkich narodów. Po wszystkie zaś czasy zgodne przekonanie wszystkich ludów za prawo natury uważać należy*. Z tą powszechną zgodą ludów i na-

¹⁾ Nauka wiary o rzeczach ostatecznych: śmierć, sąd, piekło, niebo.

rodów, która co do istnienia jakiegoś faktu była zawsze i jest kryterium prawdy, chcą czy nie chcą liczyć się muszą materialyści; niepodobną bowiem jest rzeczą, aby zbiorowy rozum ludzki mylił się co do istnienia tak ważnego i takiej doniosłości wypadku.

Dotąd rozprawiałem jako filozof, skończę rzecz moją jako chrześcijanin i kapłan. Wiara w nieśmiertelność duszy jest fundamentalnym dogmatem chrystyanizmu. Całe zjawienie się Chrystusa i dzieło odkupienia ludzkości nie ma sensu, jeżeli dusza ludzka nie jest nieśmiertelną. Bo jakkolwiek cywilizacyjne skutki chrystyanizmu są zadziwiające, cudowne, tak że dokąd on nie dotarł, tam jeszcze w XX. wieku panuje barbarzyństwo znane tylko u przedchrześcijańskich ludów, to jednak główny cel przyjscia Chrystusa, jego śmierci na krzyżu i jego ewangelii jest duchowe umoralnienie i zbawienie człowieka, oparte na motywach nadnaturalnych, pozagrobowych; a nawet i te błogie owoce cywilizacji chrześcijańskiej nie inaczej, tylko na podstawie tychże motywów nadziemskich, nadnaturalnych osiągnąć się dały. W księgach ewangelii św. spotykamy się z całym szeregiem tekstów, które byłyby wprost niedorzecznością, gdyby dusza ludzka nie była nieśmiertelną. „Jam jest zmartwychwstanie i żywot, powiada Chrystus do Marty wyznającej wiarę w zmartwychwstanie swego brata Łazarza, kto we mnie wierzy, *choćby i umarł, żyć będzie*, a wszelki, który żywie a wierzy we mnie, *nie umrze na wieki*“ (Jan XI. 25, 26). I Paweł św. zachęcając ucznia swego Tymoteusza do pobożności, wskazuje mu nagrodę wieczną „pobożność do wszystkiego jest pożyteczna, mając obietnicę żywota, który teraz jest i *przyszłego*“ (I. Tim. IV. 8). A w liście 1-szym do Koryntyan, rozwodzi się obszernie (rozdz. XV. 11 — 58) o wierze w zmartwychwstanie ciał, które jest niemożliwe bez nieśmiertelności duszy, i tak rzecz kończy: „boć musi to co skazitelne przyoblec nieskazitelność. A gdy to co śmiertelne przyoblecze nieśmiertelność, tedy się stanie mowa, która jest napisana (u Ozeasza proroka): gdzie

jest śmierci oścień twój, gdzież jest śmierci zwycięstwo twoje“ (XV, 53—55). Przypowieść o Łazarzu i bogaczu (Łuk. XVI. 19), przestroga o unikaniu zgorszenia, obietnica dana tym, którzy słuchają słowa Bożego i przyjmują komuniją św. (Jan VI), wreszcie upomnienie uroczyste „nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą“ (Mat. X. 28), wszystko to w ustach Zbawiciela Pana byłoby czemsiś niezrozumiałem, fantastycznym, uludnem, jeżeli dusza ludzka nie jest nieśmiertelną.

Albo więc rozbrat uczynić z Chrystusem i ewangelią i zaprzeczyć bezczelnie całej cywilizacji chrześcijańskiej, albo przyjąć jako pewnik niezbity, jako dogmat, wiarę w nieśmiertelność duszy. Środka tu niema. Zrozumiał tę prawdę, wspomniany wyżej protestant Dr. Spiess, gdy mówi: „Nikt nie będzie twierdził na seryo, że przyjęcie życia pozagrobowego po śmierci nie należy koniecznie do chrześcijaństwa. Błędem tylko jest albo byłoby mniemanie, gdyby się kto aż do tego posunął, żeby chrześcijaństwo tylko za religią z tamtego świata chciał uważać. Ale za to z gruntu jest mylnem uważać religią tego tylko świata (*des Diesseits*) za dającą się pogodzić z chrystyanizmem. Chrystyanizm jest religią pozytywną. Ma pewne fundamentalne części i nauki, które razem całość jego składają, a bez których chrześcijański pogląd na świat ostać się nie może. Ma on swoje sobie właściwe pojęcie o Bogu, swoje pewne zdanie o naturze i celu człowieka, swoją sobie właściwą naukę o grzechu i odkupieniu i swoją osobną eschatologię. Skoro wyrzucisz to pojęcie o Bogu, na którem opiera się chrześcijańska wiara w opatrzność, modlitwa i inne, i wyjdiesz z całkiem innych antropologicznych przypuszczeń, albo pojęciom grzechu i odkupienia podsuniesz inne osłabione lub przekręcone znaczenie, a wiarę w życie zagrobowe ogłosisz jako dozwoloną (*facultativ*) a nie obowiązującą chrześcijanina, to będziesz miał wtenczas jakieś tam religijne mniemania o świecie i życiu, ale chrześcijańskich pojęć już niema więcej. Nie należy przecie z taką bezdenną samowolą postępować; należy określać rzeczy według reguł loiki i za pomocą

gramatyczno-historycznego wykładu pisma, a wtenczas musi się przyznać, że chrystyanizm bez wiary w nieśmiertelność, zmartwychwstanie i zapłatę tak dobrze nie istnieje, jak nóż bez ostrza i rękojeści. Chrystyanizm nie przyjmuje też pozagrobowego życia ogółowo, ale przeciwnie, podaje wyraźnie, kilkakrotnie powtórzone nauki o przyszłym stanie i warunki zbawienia... Ale nie uwzględniając nawet pojedynczych, bądź co bądź wcale niedwuznacznych orzeczeń pisma, to jednak cały chrystyanizm, ze wszystkimi swymi poglądami, swemi premisami i konsekwencyami, swoją ekonomią zbawienia i swoją etyką, swemi urządzeniami i nadziejami spoczywa na tej podstawie, że dla pojedynczego człowieka jak dla ludzkiego rodzaju nastaje po śmierci doczesnej stan nowego, wyższego nieskończonego bytowania“ (str. 575, 576).

To mniemam wystarczy, aby przekonać każdego, w którym tli iskra katolickiego uczucia i kto niepozbawiony całkiem zdrowego zmysłu krytycznego, o tej fundamentalnej prawdzie, że dusza ludzka jest nieśmiertelną.

KONFERENCYA IV.

Co nas odprowadza od celu i końca naszego i odwodzi od Boga? —
Filozoficzne pojęcie grzechu, jego istota i skutki.

„Wszelkie ciało popsowało było drogę
swą na ziemi“ (Gen. VI. 12).

„Albowiem nieprawości moje prze-
wyższyły głowę moją, a jako brzemie cięż-
kie obciążały na mnie“ Ps. XXXVII. 5).

I.

Wykazaliśmy w konferencji I, że człowiek od Boga i dla Boga, że celem jego na ziemi wypełnienie zawsze i wszędzie wszystkich przykazań bożych a tem samem udoskonalenie siebie na wzór Boga.

„Wszystko zaś inne, co na tym świecie jest, jak mądrze powiada św. Ignacy w swej książeczce *Ćwiczeń duchownych*, stworzone jest dla człowieka, aby go wspomagało w osiągnięciu celu, dla którego stworzony. Stąd wynika, że człowiek o tyle tylko tych stworzeń używać powinien, o ile one go do celu jego (do Boga) prowadzą, o tyle zaś musi się od nich odsunąć (powstrzymać) o ile mu w osiągnięciu celu (w dojściu do Boga) przeszkadzają. I dlatego musimy w sobie wyrobić obojętność względem wszystkich rzeczy stworzonych, o ile to dozwolone a nie wzbronione jest wolnej woli naszej, tak dalece, że ile w nas jest, nie pragnęlibyśmy bardziej zdrowia

jak choroby, bogactwa jak ubóstwa, sławy jak niesławy, życia długiego jak krótkiego i tak we wszystkich innych rzeczach; tego jedynie pragnąc i to obierając, co nas skuteczniej prowadzi do celu, dla któregośmy stworzeni“. W tych krótkich słowach zamknięta cała doskonałość chrześcijańska, cała asceza zakonnego życia, ideał tej perfekcyi, do której zdążać rozkazuje Chrystus: *Estote perfecti*, „bądźcież wy tedy doskonali jako i Ojciec wasz doskonały jest“.

Gdyby to tak zawsze było, gdybym zawsze i wszędzie w myślach i słowach i czynach, we wszystkich relacjach i stosunkach do ludzi i innych stworzeń oglądał się na tę regułę i normę działania, na przykazania Boże i używał tego świata i rzeczy stworzonych o tyle tylko, o ile mnie one do Boga prowadzą, a uciekał od nich i powstrzymał się wtenczas, gdy mnie od Boga odwracają — ach, jakże byłbym szczęśliwy: spokój sumienia zapanowałby w mej duszy, równowaga i harmonia w całym mojem jestestwie, a w dodatku miałbym nadzieję pewnej nagrody w niebie. Toć już pogański mędrzec uczniom swoim stawiał dewizę: *abstine et sustine*, umiej powstrzymać się od tego co wdzięczne, miłe i rozkoszne, *abstine*; umiej przecierpieć i wytrzymać co przykre trudne i bolesne, *sustine*. Stało się inaczej. Niema ani jednego przykazania, którego bym ja nie złamał, nie zgwałcił; nie masz rzeczy, które bym nie użył i nie nadużył i powiedzieć o sobie muszę z Augustynem: „*tantillus puer tantusque peccator*, tak małe chłopiętko, a tak wielki grzesznik“ (Confes). Co tego przyczyną? Jak to się stało, że ja na obraz i podobieństwo Boże stworzony, ja człowiek, król wszystiego stworzenia na ziemi, ogniwo łączące ten świat materyalny z światem duchowym, Stwórcę z stworzeniem — ja najpiękniejsze dzieło Boże na ziemi, czuję się tak poziomym, niskim, upadłym, tak moralnie brzydkim i nikczemnym, że nieraz sam przed sobą wstręt i obrzydzenie mieć muszę? Co jest przyczyną tego mego odwrócenia się od Boga, tego skażenia mego ducha nieśmiertelnego? Odpowie na to Jan św.: „albowiem wszystko co jest

na świecie jest pożądlivość ciała i pożądlivość oczu i pycha żywota“ (list 1 r. II, 16).

Słuchajcie mnie bracia: świat ten wielki, olbrzymi przedstawia mi się jako trzy wielkie, grube warstwy ludzi daleko pielgrzymujących od Boga. Do pierwszej, najliczniejszej i najgrubszej warstwy należą ludzie hołdujący rozkoszy ciała. Ach, ta *concupiscentia carnis*, ta zmysłowość, to główne źródło niewiary i ateuszowskiego fanatyzmu — ona była zawsze, tak stara, jak stary rodzaj ludzki, ona w społeczeństwach chrześcijańskich wybierała swój haracz, ale nigdy może nie występowała z taką nagością i bezczelnością, nigdy nie była tak osłonięta opieką praw państwowych, uprawnioną pobiłżliwością opinii publicznej, jak za dni naszych. Jak brudna ława rozlała się po rodzinach i domach chrześcijańskich, wcisnęła się do instytutów wychowawczych, rozpanoszyła w literaturze i sztukach pięknych, skaziła obyczaje, zatrula szczęście domowe, splamiła świętość małżeństwa, zlamala, rozerwała więzy przysięgi ślubnej. Wszystko jej służy: teatru i publiczne widowiska, wędrownie gabinety anatomiczne, kawiarnie i szynki, publiczne ogródki i domy prostytutcy, wielkie centralne miasta i rozkoszne wille wiejskie, wszystko na to: aby nizioke instynkta i chucie zmysłowe pobudzić, karmić i nasycać. Przemysł i handel zdaje się wysilać na to, aby wynajdywać coraz to nowe rodzaje miękkiego zbytku i wystawności w meblach, mieszkaniu, ubraniu, pokarmach; słowem, aby we wszystkim dogodzić zmysłowym pociągom i żądzy używania. A nawet myśl ducha ludzkiego, nauka i wiedza odebrała sobie przeważnie kierunek zmysłowy, materyalistyczny. Które-to nauki dzisiaj bywają najbardziej pielęgowane? Czy może filozofia? Na żadnym uniwersytecie, okrom kilku katolickich uczelni w Belgii i Niemczech, nie masz katedry filozofii; jest tylko historia filozofii i to najczęściej wykładana w duchu materyalizmu, a najskrajniejszy dni naszych filozof Hartmann, głosi teorią zniszczenia narodów słabszych przez narody silniejsze. Za to nauki matematyczne, nauki przyrodnicze, te które dobrobyt materyalny, komfort i używanie zabezpieczają — te rozwijają się i kwitną

świetnie. Oto charakterystyka wieku. A między uczonymi, iluż znajdziesz, którzyby naukę dla nauki, dla ideału z zamiłowaniem uprawiali? Dla miłego grosza wyklada się z katedry i pisze grube tomy, dla chleba, dla karyery wstępuje się do szkół i akademii; nauka rzemiosłem się staje, uczeni rzemieślnikami. To nie jest przesada; bywają wyjątki, ale wyjątki tylko.

Już wychowanie domowe dziwnie miękkie, zniewieściale, pieszczotliwe, do zmysłowości i czułościowości zaprawia; w szkole złych kolegów towarzystwo do grzechów tajemnych, niemoralnych i rozpusty i wszeteczeństwa prowadzi, a nie rzadko panowie nauczyciele nie lepsi w tem od uczniów. Dopieroż młodzież rzemieślnicza, handlowa, zwłaszcza odkąd zniesiono cechy, a ogłoszono wolność przemysłu, zostawiona sama sobie, bez rygoru i opieki i bez głębszego wykształcenia — ta pełnymi żaglami płynie na słodkie wody rozkoszy, znajduje łatwo towarzyszek niecnoty wśród robotnic fabrycznych i biednych dziewcząt, rzuconych także bez opieki na bruk miejski. O ludziach wojskowych niema i co wspominać; *licentia militaris*, swawola żołnierska znaną była i starym i na tym punkcie karność wojskowa była zawsze niesłychanie wyrozumiałą. Dziś, gdy tysiące młodych i zdrowych ludzi wyrwanych z ogniska życia domowego i do kasarnianego życia wtłoczonych, ta *licentia militaris* stała się jeszcze swawolniejszą. „Ciało i krew królestwa Bożego osiągnąć nie mogą“ (1 Kor. XV. 50); to też najwięcej niedowiarków, fanatyków antireligijnych rekrutuje się wśród ludzi cielesnym występkom oddanych. To tak jest prawdą, że w miarę jak ta rozwiązłość obyczajowa rośnie, rośnie także nienawiść do wszystkiego, co boże i ta szatańska żądza wyrugowania Boga z świata i ten gniew jakiś demoniczny na widok ludzi, którzy jeszcze wierzą i modlą się. To się da psychologicznie wytłómaczyć. Rozpusta bowiem to rzecz zwierzęca, ruguje z serca wszelki pierwiastek wyższy, moralny, a tem samem i religijny w człowieku i czyni go zwierzęciem. Jak długo więc jesteś niewinnych, czystych obyczajów, tak długo wierzysz i modlisz się i do Sakramentów św. uczęszczasz;

ksiądz, zakonnik, ma dla ciebie urok i powagę — skoro tylko poczniesz oddawać się myślom nieskromnym, rozmowom nieuczciwym, wdasz się w towarzystwa lekkie i rozpustne, w przyjaźnie i poufałości występne, w miłości i rozkosze — wnet wiara twoja poczyną się chwiać, coraz to nowe wątpliwości religijne wnoszą się jak brudne miazmaty w twej duszy — modlitwa i spowiedź staje ci się nieznośną, a sam widok kapłana lub zakonnej osoby wprawia cię w gniew i wściekłość. Czy nie tak? Zastanów się tylko dobrze nad sobą, a przyznasz mi, że prawdę mówię. Spotykamy się też dzisiaj z zjawiskiem dawniej nieznanem — oto, że nawet pobożny świat niewieści, *devotus femineus sexus*, młode mężatki i panienki pałają nienawiścią do wiary i wszystkiego, co z wiarą ma styczność. „Ja nie cierpię księży i mnichów“ mówi jedna — „jabym zakonnicą nigdy nie była, to dziwaczki i fanatyczki“ mówi druga — „po co te nabożeństwa, to latanie do spowiedzi, to tylko próżniactwo i bajki, albo romanse, ja do kościoła nigdy nie chodzę“ mówi trzecia i doszło już do tego, że panienki wyszedłszy z pensyi, po dwa i cztery lata do Sakramentów św. nie przystępują, a między żeńską inteligencją miast znajdziesz takie, co lat 10, 15 i więcej bez Sakramentów św. i praktyk religijnych się obywają. Tym wszystkim powiadam otwarcie i głowę moją na to daję, że tak jest: panie moje i panienki, źle wyglądać musi z waszą cnotą i moralnością, pokiereszowana ona być musi co się zowie — inaczej niepodobna, aby z natury czułe wrażliwe serce wasze nie rwało się do Boga, nie pragnęło i nie potrzebowało modlitwy i Sakramentów i tego życia wyższego, religijnego, Bożego, które jest zawsze znamieniem dusz czystych i pięknych. *Beati mundo corde*, powiada Chrystus, „błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają“ (Mat. V. 8). Skoro ci więc nie pilno tego Boga oglądać, z Nim się w modlitwie i w Sakramentach św. połączyć, to śnać nieczyste i brudne być musi twe serce. Zapamiętaj to sobie dobrze.

Druga warstwa ludzi daleko chodzących od Boga, to klasa przemysłowców na wielką lub małą skalę, kupców i han-

dlarzy i rzemieślników po miastach zwłaszcza większych, oficyalistów i urzędników, słowem ludzi goniących za bogactwem, zyskiem lub pracujących na chleb codzienny i utrzymanie siebie i rodziny. Często są to ludzie uczciwi, porządni, zacni, ale kłopoty o chleb codzienny, pomnożenie dochodów i utrzymanie mienia, słowem o te rzeczy ziemskie, doczesne tak pochłaniają zupełnie ich myśli i serce, tak zabierają im każdą chwilę wolną, że latami całemi i lat dziesiątkami nie pomyślą o swej duszy i pielgrzymują po tym Bożym świecie bez Boga, często bardzo daleko od Niego. Ileż razy słyszałem mówiących: „ach mój księże, ja nie mam czasu na te dewocye, co innego wy księża, nic innego nie macie do roboty; ale człowiek jak ten koń w kieracie od świtu do zmroku w pracy przy handlu lub w warstacie, godzinami całemi ślęczy w biurze, albo przy działkach i domu siedzi, bo czasy ciężkie, nie mam sługi, wszystko samemu zrobić potrzeba, trójpot ciecze z czoła i dzień za krótki, nocami się pracuje“. A inni co zuchwalsi mówią: „co mi tam Pan Bóg, co mi tam kościół; w kościele pieniędzy nikt nie da, ale jeszcze wezmą, a jak sobie człowiek nie zapracuje to i Bóg nie pomoże. Niech się tam modlą panowie i panie, bo mają czas na to, i próżniaki, którym się robić nie chce: ale ja człowiek chudobny, imać się muszę oburącz mego interesu lub rzemiosła, bo z tego żyję“. Tak mówią oni. Tymczasem Chrystus powiada: *Quid prodest homini*, cóż pomoże człowiekowi, jeśliby wszystek świat zyskał, a na duszy swej szkodę podjął?“ (Mat. XVI. 26). Na co ci się przydadzą, miły bracie, one tysiące, miliony w ziemi, kamienicach, w papierach wartościowych i wertheimowskich kasach — śmierć odbierze i ogłoci cię ze wszystkiego a z duszą twoją co będzie? Na co ci się też przyda praca i zabiegi, jeżeli Bóg nie pobłogosławi, a jak ma błogosławić skoro ty zapominasz o nim? Toć przedniejszą częścią twoją jest dusza, a ty o ciele tylko i tej ziemi myślisz; toć ten sam Bóg, który ci kazał mieć staranie o żonie i działkach i czeladce, wpierw jeszcze rozkazał: „wierz w Boga, pamiętaj, abyś dzień święty święcił, będziesz miłował Pana Boga twego nadewszystko“. Gdzież tu

loika i sprawiedliwość? Ale wszystkie te przedstawienia i upomnienia puszcza się mimo uszu, a płynie się na oślep materialistycznym prądem ducha czasu. Pieniądz to grunt, to Bóg XX wieku; niemądry kto za pieniądzem nie goni, warto dlań poświęcić wszystko, choćby sumienie i duszę własną. Cóż na taką ślepotę poradzisz? — ona też przyczyną zobojętnienia w wierze i grzechów wielu ludzi. Zastanów się czy do ich cechu nie należysz, obacz się, powstań i zerwij prędko to koleżeństwo, bo ono arcyniebezpieczne.

Trzecia warstwa ludzi chodzących daleko od Boga, to klasa uczonej i półuczonej inteligencji. Nauka i wiedza zawsze była w czi i szacunku u ludzi; w wiekach nawet średnich nadawała szlachectwo plebejuszom i widziano synów kmieci i mieszczanśkich, ale stopniami akademickimi nobilitowanych, na dworach królów i książąt jako ich sekretarzy, doradców, przyjaciół, pedagogów i spowiedników. Nic też niema piękniejszego jak nauka i wiedza, bo to jakby odrobina rozumu i mądrości Bożej; w niej bardziej jak gdzieindziej uwidocznia się podobieństwo człowieka do Boga, a rzetelnie uprawiana prowadzi człowieka od ziemi ku niebu, od rzeczy stworzonych do Stwórcy. Widziano też po wszystkie czasy ludzi bardzo uczonych a głęboko wierzących i szczerze pobożnych, takich Hieronimów, Augustynów, Tomaszów, Seccich i wielu, wielu innych. Ale w naszym wieku nauce i wiedzy wytknięto kierunek wręcz przeciwny Bogu i wierze, a przyjąwszy za podstawę najmylniejszą w świecie zasadę, że rozum nie potrzebuje być w zgodzie z Bogiem, a nauka z wiarą, zrobiono sobie z nauki i wiedzy taran do tłuczenia i obalenia wszelkiej objawionej wiary, a rozumowi kazano wyprzeć się Boga. Nadawszy ten antireligijny, ateistyczny prawie kierunek nauce i wiedzy puszczo ją korytem szerokim ale płytkim.

Siła nam piszą i mówią o „zdobyczach nowożytnej wiedzy“, o rezultatach „nowszych badań“, o erze postępu i cywilizacyi, jak gdyby wszyscy ci, którzy przed nami żyli, byli nieukami, a wieki minione próżnowały tylko. Tymczasem tak nie jest. Być może, że zakres nauk był dawniej ciaśniejszy,

cyfra szkół i akademij mniejsza, zastęp uczących się mniej liczny, że pism peryodycznych, beletrystycznych, literacko-naukowych prawie nie znano, broszur zaś i ulotnych rozpraw bardzo niewiele; słowem nauka płynęła korytem ciasnem, ale za to o ileż głębszem? Dzisiaj olbrzymi procent ludności czyta i pisze, uczy się i kształci, składa egzamina, zdobywa stopnie akademickie i tytuły, zarzuca świat milionami dzienników, pism, rozpraw i książek — słowem literatów i literatek mnóstwo wielkie, iż im i wyżyć trudno, ale prawdziwie uczonych bodaj czy nie mniej jest dzisiaj, jak bywało lat temu 300. Dzieje się więc, że każdy kto z książką lub teką pod pachą nosił się do szkoły, ma się już za skończonego filozofa i mniema, że mu wolno szperać i krytykować w rzeczach wiary, odrzucać jedno, przyjmować drugie; że wielką łaskę Bogu wyświadczy i Kościołowi, jeżeli raczy rozumek swój poddać choć w części objawionej wierze; a dopieroż gdy się pomodli, mszy św. wysłucha, lub raz na lat kilka do Sakramentów św. przystąpi, to już mniema, że Bóg wie jakiego czynu niezwykłego, heroicznego niemal dokonał. To jest charakterystyka naszej doby: ludzie wykształceni zdają się formalnie mniemać, że z łaski tylko ulegają prawu bożemu i powadze Kościoła i dlatego od biskupów i księży żądają wyszukanej uprzejmości i względów dla siebie, obrażają się i zrażają lada czem, nawet wtenczas, gdy z najsluszniejszych powodów odmówić im czego potrzeba. Więcej jeszcze takich, co uformowawszy sobie z gruntu mylne sumienie, jakoby zajęcia i obowiązki doczesne uwalniały od obowiązków religijnych, takowe zaniedbują zupełnie, żyją jak im dogodniej i dziczej moralnie. Spotkać też można ludzi gruntownie uczonych, którzy mówią: „cobym ja dał za to, żebym mógł wierzyć; z całą moją nauką nie czuję się szczęśliwy, ona mi nie wystarcza na rozwiązanie tysiącznych zagadnień i zazdroszczę tym, którzy wierzą, bo ta wiara chroni ich od zwątpienia, wlewa otuchę i spokój. Ja zaś szarpany wątpliwościami, spokoju nie mam, a wierzyć mi trudno; bo nie mogę wiary pogodzić z rozumem. Na każdy dogmat rozum stawia swoje postulata i woła mi ciągle: nie, to być nie może, rezultaty

nauki dzisiejszej są zupełnie inne, jak to co uczy wiara". Zmęczeni tem szamotaniem się, dają za wygraną i wolą już nie myśleć o tym Bogu i tej wierze, której rozumem do badać się nie mogą, i zostają niedowiarkami. I takich najtrudniej do Boga przyciągnąć. Pycha rozumowa jest tą przegrodą oddzielającą ich od Boga, który „*superbis resistit*, pysznym się sprzeciwia, pokornym daje łaskę" (Jak. IV. 6).

To też tym uczonym niedowiarkom powtarzałem i powtarzam: wiara jest łaską, o łaskę prosić trzeba; zabierz się do modlitwy, zrazu ona pójdzie ci leniwo; machinalnie, powoli zasmakujesz sobie w niej, duch twój nawyknie do konwersacyi z Bogiem i powoli światło wiary przeciśnie się i rozproszy owe ciemności, które pycha rozumowa nagromadziła w umyśle i sercu. Tą tylko drogą, drogą kornej modlitwy człowiek niewierzący dochodzi do Boga i wiary.

II.

Zbadaliśmy szereg przyczyn, odprowadzających człowieka daleko od Boga. Są to te same trzy główne namiętności wymienione przez św. Jana: zmysłowość, chciwość i pycha, których już dotknęliśmy wyżej podając dyagnozę serca ludzkiego. Człowiek będąc istotą moralną, opierać się im powinien, *agere contra amorem sensualem et mundanum*, jak się wyraża św. Ignacy, a w każdej swej czynności oglądać się powinien na prawo boże. Tymczasem dzieje się inaczej: idę za mojami namiętnościami a wbrew i przeciw prawu bożemu, i to pójście za namiętnością swoją, to przekroczenie i złamanie prawa bożego, nazywa się w języku teologów *grzechem*.

Co to jest *grzech*, jaka jego natura, w czem jego istota, jakie następstwa i skutki? Warto się nad tem zastanowić tembardziej, że przy tym zamęcie pojęć i luźności zasad i przekonań, jaka dzisiaj panuje, ludzie nawet religijni, jasnego pojęcia o grzechu nie mają. I tak, grzech mówią jedni, to jest to, co szkodzi społeczeństwu, jak kradzież, oszustwo. Grzech,

mówią drudzy, to jest to, co szkodzi własnemu zdrowiu i życiu jak opilstwo, rozpusta; ale ażeby np. myśli moje, uczucia moje miały być grzechem, ażeby opuszczenie mszy św. lub zaniedbanie postu miało być grzechem, to być nie może, bo co komu do tego, co ja myślę, byłem mu wykonaniem tej myśli nie szkodził; co Panu Bogu z tego przyjdzie, że ja się modłę lub poszczę; wielki to pan, o takie drobiazgi nie dba. A nawet ciężkie i grube grzechy, jak złamanie wiary małżeńskiej, miłości i lubieźności, wszystko to się tłumaczy *słabością ludzką*. Co ja z tem pocznę, że mam tak krewką naturę *c'est plus fort que moi*. Co ja na to poradzę, że kocham, kogo kochać nie powinnam: serce, to nie regiment wojska, aby mu można rozkazywać, nie zna, nie słucha komendy, ale idzie za swym pociągami; zresztą wszystko co od natury, to dobre“. I taką szeroką, wygodną moralnością rozgrzeszamy się od ciężkich win i występków i jeszcze chcemy uchodzić za ludzi „porządnych“ a nawet gniewamy się, jeżeli i Kościół nie chce sobie przyswoić tej niemądrej teorii. I nie w tem dziwnego. W czasach, gdzie dyplomacya i wielka polityka nie ogląda się na żadne prawo moralne, a świętość traktatów szanuje się o tyle, o ile one korzyść materyalną przynoszą; gdzie powiedziano sobie: państwo jest bezwyznaniowe a w parlamentach i sejmach kuja prawo o małżeństwach cywilnych i rozwodach a wypędzaniu zakonnych zgromadzeń; gdzie rządy konfiskują majątek propagandy, najpiękniejszej instytucyi chrześcijańskiej a krucyfiks wyrzucają ze szkoły ludowej, jak to ma miejsce we Francyi — w takich czasach obniżenie się pojęcia i poczucia moralnego wśród ludzi nawet wykształceńszych jest rzeczą łatwo zrozumiałą, bo „*piscis foetet a capite*, ryba cuchnie od głowy“; nie mniej jednak jest występna i zgubna.

Cóż więc jest grzech? Słuchajmy. Bóg stwarzając człowieka, nie rzucił go na ten świat tak wolno, niezawisłe od siebie, jak np. chłopczyk złapawszy w potrzask ptaszynę i nabawiwszy się nią do syta, puszcza ją na wolność nie troszcząc się już więcej jej losem — ale opisał go prawami. Jakie to prawo, co jego podstawą i celem, jaka jego natura, o tem

powiemy sobie później; tu nam wystarczy nadmienić, że Bóg dał człowiekowi swój kodeks prawny, dekalog czyli dziesięciosłów, opisał go nim od stóp do głów we wszystkich czynnościach ducha i ciała i we wszystkich warunkach i sytuacjach życia. Otóż ile razy człowiek świadomie i dobrowolnie wyłamuje się z pod tego prawa, gwałci choćby jeden paragraf tego kodeksu Bożego, tyle razy czyn ten samowoli i buntu przeciw prawu Bożemu jest i nazywa się *grzechem*. Natura więc grzechu tkwi w tem, że jest aktem nieposłuszeństwa, buntu i rebelii i to przeciwko Bogu samemu. Weźmy przykład: złodziej który kradnie, cóż on właściwie robi? Lekceważy przykazanie siódme, mówi niejako: „Panie Boże tyś mi zabronił cudzą własnością się bogacić, ale mnie się pracować nie chce, a żyć i to dostatnio pragnę, a więc cudze mienie zabieram”. Rozpustnik i swawolnik cóż on właściwie robi? Lekceważy przykazanie szóste i dziewiąte i urąga Bogu: „Ty sobie tam dyktuj prawo moralności, ale ja pójdę za moimi instynktami i chucią, bo mi tak dogodniej”. Zaniehbuję praktyki religijne i obowiązki — cóż ja właściwie robię? Lekceważę pierwsze trzy przykazania Boże i powiadam, jeżeli nie słowem tą czynem: „niech tam inni oglądają się na Boga i niebo, mnie wszystko jedno, z Bogiem czy mimo Boga, byle mi tu dobrze było; kwituję z nieba, byłem na ziemi był szczęśliwy”. A nawet drobne grzechy są taką konspiracyją, buncikiem przeciw Bogu. Kłamię, cóż ja robię? Łamię ósmo przykazanie, które mi nakazuje mówić prawdę. Słowem każdy grzech wielki czy mały, z natury swojej jest aktem nieposłuszeństwa, niesforności, rebelii, buntu. Grzech więc nie jest czemsiś oderwanem, wiszącym w powietrzu: nie jest utopią i wynalazkiem głów ciasnych a fanatycznych, ale jest czemsiś pozytywnem, realnem, bo czynem przeciwnym prawu Bożemu, *est praeveraricatio legis* jak go Paweł św. nazywa, albo nadużyciem stworzenia *abusus creaturae*, jak Augustyn św. go określa. Wszystko bowiem co jest na świecie, ludzie i rzeczy, zwierzęta i rośliny, wszystko to dla mnie, ale o tyle tylko, o ile mnie do Boga prowadzi, a tem samem o ile z prawem Bożem się zgadza; skoro więc

używam tych stworzeń w ten sposób, że oddalam się przez to od Boga i prawo Boże naruszam, wtenczas grzeszę nie użyciem ale nadużyciem stworzenia, i stąd owo augustyańskie: *peccatum est abusus creaturae*; obydwie te definicje odmienne formą, są identyczne co do rzeczy.

Teraz postąpmy krok jeden dalej. Każdy akt nieposłuszeństwa i buntu, jest zniewagą tego, przeciw komu bunt się podnosi. I dlatego w domach, gdzie o dobre wychowanie dbają, gdy dziecko nieposłuszne i krnąbrne, to nie tylko musi zrobić to, co mu rozkazano, ale nadto przeprosić mu każą tego lub tych, wobec których ono było niesforne i niegrzeczne. Tak samo dzieje się w urzędach; jeżeli podwładny nie słucha rozkazu szefa swego a chce ująć kary, to nie tylko wykonać musi dany rozkaz, ale musi przeprosić jeszcze za wyrządzony despekt. I'e razy króle i książęta ogłaszają amnestyą politycznym przestępcom, to zawsze kładą za warunek, aby chcący z tej łaski korzystać, przyznali się do winy i prosili o przebaczenie. Wynika to stąd, że każda dysubordynacja, tem bardziej bunt formalny, zawiera w sobie pewne lekceważenie osoby piastującej władzę i dlatego jest zniewagą. Otóż każda zniewaga rośnie w miarę, jak osoba znieważona jest wyższą, znamienitszą, czy to godnością, czy osobistymi przymiotami, czy oboją rzeczą razem. Chłopczykowi, który mi źle pali w piecu, powiem: „ty błaźnie“. Jest to zniewaga, ale nie wielka i ów chłopczyk nie bardzo ją bierze do serca. Niechże ten sam niegrzeczny komplement powiem memu koledze, to już zniewaga cięższa i zapewne na czas dłuższy obrazi się i zrazi do mnie. Niechże w ten sam sposób wyrażę się o moim biskupie, to już zniewaga tak wielka, że jużbym na zawsze popadł w słuszną niełaskę i nie miał co robić w dyecezyi. A dopiero gdybym tem samem obelżyłem wyzwickiem, odezwał się do papieża lub monarchy, toby naprawdę pytano się, czy ja przypadkiem nie zwaryowałem, bo trudno przypuścić, aby człowiek przy zdrowych zmysłach, do tak szalonej posunął się zniewagi. Patrząc tedy, jedno i to samo obelżliwe słowo, a jednak zniewaga rośnie, wzmacza się, staje się cięższą i to w miarę,

jak rośnie powaga i zacność znieważonej osoby. Otóż, gdy ja grzeszę, dopuszczam się zniewagi wobec Boga, który jest istotą nieskończoną i dlatego słusznie powiada św. Augustyn: „każdy grzech ma coś nieskończonego w sobie, bo jest obrazą nieskończonego Boga“. A my tak sobie lekko ważymy grzechy; wszystko u nas drobne i małe, i kłamstwo i obmowa, dwulicowość i obluda, poniewieranie nauką Kościoła i Sakramentami, złamanie wiary małżeńskiej i swywola. Na miły Bóg, cóż u nas będzie wielkie? toć to są przecie akty nieposłuszeństwa przeciw prawu Bożemu, toć zniewaga samego Boga — cóż nam wżdy będzie wielkie i święte, jeżeli majestat Boży dla nas drobny i mały? Inaczej zapatrują się na grzech Święci pańscy i ludzie po Bożemu mądrzy; dla nich grzech jest największem złem, wobec którego wszystko inne, co nazywamy złem: choroby, nieszczęścia, śmierć sama jest czemsiś bardzo małym, niczem, i dlatego woleli i wolą utracić majątek, zdrowie, sławę, życie własne, jak obrazić choćby jednym grzechem Boga. Od owych męczenników Chrystusowych — było ich kilka milionów — żądano nieraz małej na pozór rzeczy: „ofiarujcie, mówiono im, kadzidło Jowiszowi, pozornie tylko, w duszy możecie pozostać Chrześcijanami — nie uczynicieli tego, różgi was, miecze, topory czekają“. A oni na to: „nie daj Boże, abyśmy choćby cieniem tylko grzechu obrazić Go mieli“, i chętnie nieśli życie dla Chrystusa.

Grzech jest jeszcze złem dlatego, że psuje i wywraca stosunek człowieka do Boga, psuje moralną ludzką naturę, stąd adagium teologów: *peccatum est malum proprium naturae humanae*, grzech jest złem właściwym naturze ludzkiej. Mówimy zwykle: Bóg obraża się grzechem, gniewa się na grzesznika. Jest to wyrażenie analogiczne tylko, bo my o Bogu inaczej mówić nie umiemy, jak tylko przez podobieństwo do człowieka. W rzeczy zaś samej, Bóg nie ulega tej przykrej sensacji czy uczuciu, jakiej doznaje człowiek obrażający się i gniewający, bo Bóg jest nieskończenie święty i niezmienny, zawsze jeden i ten sam; ale stosunek mój do Boga zmienia się,

gdy grzeszę. Podobnie jak słońce jest zawsze jedno i to samo, a skoro wystawisz na nie wosk, to on topnieje, skoro mokrą glinę to ona twardnieje — słońce niezienne, ale zmieniają się przedmioty i ich do słońca stosunek: tak ma się rzecz z grzesznikiem; nie Bóg, ale on sam odwraca się od Boga, a zwraca do stworzenia. I właśnie to odwrócenie się człowieka od Boga, które nazywamy stanem grzechu *status peccati* psuje i niszczy moralną naturę człowieka: rozum zaciemnia się, majaczy, rzeczy duchownych, bożych nie pojmuje zgoła; wola do rozkoszy, używania i wszelkiej niecnoty rwie się; bezsilność, niemoc formalna ogarnia ją wobec każdej cnoty i każdej pracy nad zbawieniem duszy — słowem w moralnem znaczeniu, dzieje się to, co z onym chorym na tyfoidalną gorączkę; zrywa się, wrzeszczy i szamoce, iż go nieraz i wiążą, a potem następuje reakcja, bezwładność, trupia niemoc i sil żywotnych wyniszczenie. Tam dezorganizacja ciała, tutaj deprawacja duszy.

III.

„Chcesz poznać co to jest grzech, patrz na karę“, woła Augustyn św. Skąd się wziął szatan? a najprzód czy jest szatan? — Jest. — Wszystkie ludy i narody wierzą w istnienie dobrych i złych duchów. Wierzyły w nie najbardziej cywilizowane narody starożytności. Grecy nazwali je *εὐδαίμων* i *κακοδαίμων* albo *κακοῦργος*, zło czyniący. Rzymianie zwali je *bonus et malus genius*, i stądto u nich i u innych ludów owe *libamina*, odlewanie odrobiny napoju na ziemię, aby zażegnać złe duchy, iżby nie szkodziły; co jeszcze podziśdzień czynią, acz bezwiednie, kobiety wiejskie, nabierając konwią wodę ze źródła lub rzeki. To powszechne wszystkich ludów przekonanie o istnieniu dobrych i złych duchów, znajduje zatwierdzenie swoje w piśmie św.

Pominając już stary zakon, czytamy w ewangelii, że Pan Jezus kuszony był od czarta, że on i uczniowie jego wyrzu-

cali czartów, że jest rodzaj czartów, który da się zwyciężyć tylko modlitwą i postem. Znajdujemy nawet fakt ze wszechmiar ciekawy, że Pan Jezus wyrzuciwszy legion czartów z opętanego człowieka, pozwolił im wejść w trzodeę wieprzów, które nad brzegiem jeziora Genezaret się pasły, a te złym duchem gnane, rzuciły się wściekle do wody i potonęły. Przerażeni tem Genezareńczycy, mieszkańcy onej krainy, prosili Chrystusa, „aby z ich granic odszedł“ (Mat. VIII. 28—34). Za czasów imperium rzymskiego, opętanie ludzi przez czarta było na porządku dziennym, świadczą o tem źródła historyczne, a Tertulian w swej apologii chrześcijaństwa do cesarza Aureliusza zapytuje pogan: za co nas mordujecie, czy dlatego, że ciała wasze od szatanów uwalniamy? „A kto was od onych tajemnych nieprzyjaciół, są słowa jego, którzy trapią serca i zdrowie wasze wyrывa; od djabelskich mówię najazdów, które my (Chrześcijanie) od was darmo i bez żadnej zapłaty odpędzamy? Dostyby tej pomsty nad wami było, żeby was diabłem wolno było w swej mocy mieć. A wy tego nie uważając, nie przykre, ale pożyteczne wam ludzie, za nieprzyjaciele swe poczytacie, którzy nie ludziom, ale błędom ludzkim nie sprzyjają“¹⁾.

W powszechnem pojęciu szatan to wyraz zbiorowy na oznaczenie najwyższej złości i przewrotności: żywiołem jego czynić zle i rozkoszować sobie w złem, i stąd to mówimy: zły jak szatan, przewrotny jak szatan, to szatańska złość, to wcielony szatan, to szatan a nie człowiek, jest w nim coś demonicznego itd. Skąd się ten potwór wziął? Bóg go nie stworzył, wszystko bowiem co Bóg stworzył, widział że dobre, *vidit quod bonum esset* (Gen. I, 10). Bóg szatana nie stworzył, tak jak nie stworzył grzechu i grzesznika, ale szatan sam się stał szatanem. Wiara nas uczy, że Bóg stworzył przed wiekami dobre duchy, anioły czyste, piękne, wzniosłe i szlachetne, ale wola ich nie była jeszcze utrwalona w dobrem. I tym aniołom, jak mówi pewna część ojców, objawił Bóg przed wiekami, że kiedyś Syn Boży stanie się

¹⁾ Skarga: Roczne dzieje kościelne Baroniusza pod r. 177.

człowiekiem, a oni, aniołowie, temu Bogu człowiekowi służyć będą. Część Aniołów zgodziła się chętnie na to, lecz znaczna ich część pod wodzą najprzedniejszego anioła Lucyfera (niosącego światło) oparła się temu: „jakto, zawołali, my najprzedniejsze duchy niebieskie mamy służyć człowiekowi! — nie, to być nie może, *non serviam*“. I ten akt pychy, buntu i rebelii przeciw Bogu stał się przyczyną ich odrzucenia. Rozum, wielki przenikliwy rozum, pozostał im, ale na to, aby myślał i przemyślał zło, wola pozostała im, ale już tylko na to, aby zła pragnąć, zło czynić, lubować i rozkoszować sobie w złem; cała ich natura duchowa popsuka się, skaziła, z aniołów stali się dyablami. Opisuje nam to obrazowo Jan św. w objawieniu: „I stała się wielka bitwa na niebie. Michał i aniołowie jego walczyli ze smokiem i smok walczył i aniołowie jego... I zrzucen on jest smok wielki wąż starodawny, którego zowią djablem i szatanem, który zwodzi wszystkich świat“. (Apoc. XII, 7, 9).

Jeżeli więc Bóg jest sprawiedliwy, a jest nim bezwątpienia; jeżeli za jeden grzech, myślą tylko popełniony odrzucił od siebie, ukarał wieczną katuszą i zupełnem popsuciem i skażeniem szlachetnej ich natury, miliony duchów niebieskich — a uczynił tak bezwątpienia — to grzech musi być czemś bardzo złem, największem złem. Byłem więc wielce niemądrym, dla samego siebie okrutnym, dla Boga arcyniewdzięcznym, popełniając tak płocho i lekkomyślnie nie jeden, ale tysiące grzechów i mówiąc z onymi niebożnikami w Piśmie św. „*peccavi et quid mihi mali accidit zgrzeszyłem i cóż mi się złego stało?*“ (Ekl. V, 4.) Czy i dalej tak będzie? Nie daj Boże tego.

Chcesz wiedzieć co to grzech, mówi jeszcze tenże Augustyn św. patrz na karę, na nędzę, biedę, cierpienia pojedynczego człowieka i ludzkości całej. Boże mój! dzieje całej ludzkości to jedno pasmo cierpienia, walki, pracy, trudu, krwi rozlewu, zawiedzionych nadziei, rozpacz i nieszczęść wszelakich; i dzieje pojedynczego człowieka nie inne. W małutkiej osobce, słaby i biedny przychodzi na ten świat *placząc*.

I nie biedniejszego nad to małe dziecię; kto chce może mu krzywdę wyrządzić, znęcać się nad niem; ono się nie obroni, wypowiedzieć nawet nie umie, co go boli, wrzaskiem i płaczem znać daje o tem, że cierpi i tylko instynkt matki odgadnie przyczynę tego bólu. Samo sobie w niczem nie poradzi, od zimna i głodu się nie ochroni i gdyby nie ta czuła opieka mam i nianiek, toby w pierwszych zaraz chwilach życia zgasło. A w tem maluczkim ciałeczku już zarody chorób, a chorób tych tyle, że osobni fachowi „lekarze dla dzieci“ zaradzić im nie mogą i rok rocznie tysiącami to biedactwo wymiera. Drugie się podchowają, szczebiocą, dom cały swoją małą rozkoszną osobką zapełniają, a ono śmierć sroga ich porywa, serce rodziców żalobą, dom cały pustką okrywając. Im więcej lat przybywa, tem więcej skłonności do chorób przeróżnych się objawia, lekarze już ich i nazwać po imieniu nie zawsze są w stanie. Każda część organizmu ludzkiego ma swoje a liczne choroby, samej głowy chorób naliczono już setkami. Sztuka lekarska wysiła się, aby im zaradzić; lekarze wszech nauk lekarskich coraz bardziej znikają w praktyce, a natomiast występują lekarze fachowi do chorób piersiowych, zewnętrznych, wewnętrznych, dziecięcych, itd., a przedsię choroby mnożą się i zabijają ciało. W ciągu 24 godzin umiera 95.000 ludzi, a z tych 60.000 niżej lat 30, a więc w młodym i młodziutkim wieku. Oto człowiek, nędzarz od kolebki, i przez całe życie nędzarz, a tej nędzy szczytem i zenitem śmierć. Zaglądnij do szpitala, przejdź te długie sale chorych, kalek, umierających, a zrozumiesz lepiej nędzę ludzką.

Gorsze są jeszcze biedy i nędze moralne. Na rękę jeszcze niańki, a już to dziecię łakome, obiema rączkami chwytą za każdy przedmiot i do buzi kładzie; nikt mu tej lekcji nie dawał, a umie gniewać się i od gniewu nóżką o ziemię tupać. Umie swoim stroikiem a sukienką nową popisywać się i miru u ludzi szukać trzechletnia dziewczynka. Małe to bobo, ledwo od ziemi odrosło, a już zarody brzydkich wad w niem się jawią, złe to i prózne, do zabaw i krotochwili i pustoty skore,

do pacierza i książki leniwe, nierzadko dziwnie przebiegłe, do dyplomacy i kłamstwa pochopne, siła się z niem nabiedzisz, jak powiada Skarga, i różg nałamiesz, zanim z tego małego potworka, człowieka wyrobisz; a innym ni prośba, ni groźba, ni różga nie pomoże. Bywa to, że w licznej rodzinie wszystko pocziwe i zacne, a jedno się wyrodzi, jakaś natura zła, przewrotna, demoniczna: matka błaga, zaklina, ojciec różgą ćwiczy, sprowadzają mistrzów, guwernerów, oddają do szkół i instytutów, wszystko napróżno; było i jest ładaco. Jak sobie to wytłómaczyć, tę inklinację, pochopność do złego w drobnej dziecinie, tę demoniczność natury w wyrodku? A dalsze życie człowieka — im głębiej w las, tem więcej drzew, im więcej latek przybywa, tem więcej chorób duszy i ciała. Nieprzewzyciężona żądza używania w młodzieńcach, nienasycona próżność w panienkach, płochość i lekkomyślność, a obok tego zarozumiałość i buta u wszystkich, oto wady młodego wieku, oto źródła wielu upadków i nieszczęść. A w stanie małżeńskim, zwłaszcza, gdy się charaktery nie dobiorą, lub jedno z małżonków jest istotą lichą i przewrotną, ile udręczeń, zawodów srogich, katusz moralnych, tem cięższych, że się kryć z niemi przed ludźmi potrzeba. A nawet w onych, tak zwanych szczęśliwszych małżeństwach, których nie wiem czy pięć na tysiąc naliczysz, ile kłopotów i trosk o chleb codzienny, o utrzymanie rodziny, o zdrowie i życie męża, żony, dziatki. A gdy tych dziatki Bóg nie daje, to pustki w domu i smutek ciężki, bo się nie ma celu życia przed sobą; tak, czy owak spełnia się tu dosłownie ono Pawła św. powiedzenie; „*tribulationem tamen carnis habebunt*, wszakże trapienie ciała mieć będą takowi“ (1 Kor. VII, 28). Każdy stan, każde powołanie przynosi z sobą obowiązki, pracę, trud, walkę i cierpienie. A kto chcesz mieć pojęcie o nędzy ludzkiej, o tej moralnej nędzy ludzkiej, przebiegnij okiem codzienną kronikę kryminalistyczną lub zaglądnij po kryminalów, tych szpitali chorób moralnych, przelekniesz się i przerazisz mnogością ich i potwornością. Skąd to się wzięło? jakim sposobem człowiek,

najpiękniejsze na obraz i podobieństwo Boże stworzenie, mógł dojść do takiego zepsucia i upadku?

Z jednostek składają się rodziny, z rodzin powstają plemiona, ludy, narody, państwa. Namiętności pojedynczych ludzi, wady ich i upadki stają się nierzadko przyczyną waśni, niezgód i nieszczęść domowych, długoletnich wojen, przechodzą jakby dziedzictwem na rodziny, na społeczeństwo całe i w namiętnościach jednostek szukać należy przyczyny tego, co nazywamy antagonizmem narodów, nienawiścią rasową, czy plemienną i tych wszystkich walk, prześladowań i krwawych wojen, które nękają ludzkość.

Skąd to złe w człowieku? dlaczego on tak biedny i nędzny i cierpi tyle? dlaczego i skąd w nim ta jakby dwoistość natury wyższej, szlachetnej i natury poziomej, grubej, zwierzęcej? słowem *quaenam sit origo mali*, skąd złe na świecie? Uczeni i mędracy pogańscy zadawali sobie to pytanie i nie umieli nań odpowiedzieć. Zdawało się im, że chyba niepodobna, aby bóstwo stworzyło człowieka tak nędznym i nieszczęśliwym; musiało zajść coś, co tę dobroć i szczęśliwość człowieka popsulo; ale co to być mogło? Jedni więc z Pytagorasem na czele twierdzili, że duch ludzki zamieszkiwał gwiazdy na niebie, był moralnie dobry i szczęśliwy, ale na onych gwiazdach mieszkając, dopuścił się jakiejś winy i jako za karę stracony został z onych gwiazd na ziemię i wtłoczony w organizm ludzki, gdzie musi cierpieniem ekspjować swą winę. Jeżeli jednak i w ciele ludzkim zostając, dopuści się czynów moralnie złych i występnych, wtenczas po śmierci skazany będzie ożywiać niższe organizmy zwierząt i roślin. Przeciwnie jeżeli duch ludzki w tem życiu sprawując się dobrze i zacnie, odpokutował za nieznana winę gdzieś tam na gwiazdach popełnioną, to po wyjściu z tego ciała znów na one gwiazdy powróci wiecznie szczęśliwy: *ad astra redibit*. Oto wstreszczeniu doktryna wędrówki dusz czyli metempsychozy. Hołdowali jej starzy filozofowie, jak Pytagoras, za naszych czasów wznowili niedorzeczną doktrynę metempsychozy t. z. spirytyści, którzy w naszym Lwowie tworzyli w latach 1866 do 1870 osobną lożę i wydawali

czasopismo: *Światło zagrobowe*. Metempsychoza niczego nie tłumaczy, bo się opiera na dowolnej, niczem nieuzasadnionej hipotezie o winie popełnionej, której nikt z nas sobie nie przypomina, nie był i nie jest jej świadom, nie też powiedzieć o niej nie umie.

Drudzy znów, w odpowiedzi na pytanie: skąd złe na świecie? stworzyli sobie dwóch bogów, dualizm teistyczny. Bóg dobry stworzył człowieka dobrym i szczęśliwym, ale bóg zły popsuł go i nieszczęśliwym zrobił — duch pochodzi od Boga dobrego, ciało od boga złego, stąd w człowieku dwa pierwiastki, dwa światy, jakby dwaj ludzie, a najniższe instynkta i występki cielesne nie szkodzą w niczem duchowi, można więc oddawać się swobodnie rozpucie i wszelkiej niecnocie, a przy tem zachować ducha czystym i niepokalanym. Wygodnej tej doktrynie, bo otwierającej wrota na oścież zmysłowości, hołdowali starzy Gnostycy, w erze chrześcijańskiej przebrzydła sekta Manichejczyków, do której dał się wciągnąć na jakiś czas nawet geniusz tak potężny, jak św. Augustyn. Rzecz jasna, że dwóch bogów ostać się obok siebie nie może; jest tu, jak mówią filozofowie: *contradictio in terminis*; do istoty bowiem bóstwa należy, ażeby było wszechmocne, a więc niezależne od nikogo; wszechmoc zaś i bezwzględna niezależność dzielić swej władzy z nikim nie może. Pozostaje więc zawsze nierozwiązana zagadka: *skąd złe na świecie?*

Rozwiązuje ją Paweł św. mówiąc: „przez jednego człowieka grzech na ten świat wszedł, a przez grzech śmierć: i tak na wszystkie ludzkie śmierć przeszła, w którym wszyscy zgrzeszyli“ (do Rzym. V. 12). Pierwotny człowiek wyszedł z rąk Stwórcy dobrym i szczęśliwym, obdarzonym od Niego wolną wolą; nadużył tej wolnej woli, przekroczył samowolnie prawo Boże i ten bunt przeciw Bogu stanowi istotę winy czyli grzechu. W ślad za buntem nastąpić musiała kara: odrzucenie od Boga, a w dodatku zbuntowanie się przeciw człowiekowi całej otaczającej go natury, w nim zaś samym bunt ciała przeciw duchowi; stąd praca w pocie czoła, walka namiętności, śmierć, a z nią wszystko złe. Ponieważ zaś ten pierw-

szy człowiek był przedstawicielem, reprezentantem całego narodu ludzkiego, przeto grzech jego i kara grzechu przeszła także na cały rodzaj ludzki. Oto w streszczeniu nauka Kościoła katolickiego o grzechu pierwotnym wyłożona jasno na soborze trydenckim (Ses. V. c. 1 — 5). Jeżeli więc Bóg jest sprawiedliwym — a jest nim — jeżeli jeden grzech pierwszego człowieka ukarał nie tylko na nim, ale na milionach i miliardach ludzi, którzy od niego pochodzą, zaćmieniem rozumu, skażeniem woli, osłabieniem całej jego natury moralnej, cierpieniem, chorobami i śmiercią; — a ukarał — tak to zaiste grzech musi być czemś nieskończeniem złem i słusznie powiada Augustyn św.; jeżeli chcesz poznać wielkość grzechu, patrz na karę, skoro kara nieskończona, to grzech musi być złem nieskończonem.

A ta nędza doczesna i moralna ukoronowana śmiercią, to część dopiero kary za grzech. Właściwa kara winie grzechowej należąca, jest odrzucenie od Boga, potępienie na wieki. W przedostatniej — da Bóg — konferencyi, udowodnimy sobie: *że jest i musi być piekło*, kara wieczna, tak, jak jest i musi być nagroda wieczna, czyli niebo; tu bierzemy tę prawdę, jako już udowodnioną, pewną. I znów powraca dawny argument: jeżeli Bóg jest sprawiedliwy — a jest nim bezwątpienia — jeżeli za jeden grzech ciężki karze odrzuceniem od siebie na wieki, czyli karą wieczną piekła — a karze tak -- to grzech musi być złem nieskończonem.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga. Wierzimy i powtarzamy to często: Bóg stał się dla nas człowiekiem i umarł za nas na krzyżu. Prawda owa nie ma dla nas nic nadzwyczajnego, wydaje się nam rzeczą całkiem prostą i naturalną, że Bóg za nas umarł, bo nam to od dzieciństwa naszego powtarzano, oswoiliśmy się przeto z nią i otrząskali. Ale gdy się jej przypatrzymy bliżej, rozbierzemy ją tym prostym gospodarskim rozumem, wtenczas dopiero widzimy jej nadzwyczajność i bezden. Jak to? Bóg nieskończony staje się ograniczoną, słabą istotą ludzką, cierpi jak nikt z ludzi nie cier-

piał, i umiera jako szalbierz na szubienicy, bo krzyż był podówczas szubienicą, — a to dlaczego i za co?

Słuchajcie bracia! dogmat Wcielenia Bożego mało kto dobrze rozumie — jest on wynikiem nieskończonej mądrości i dobroci Bożej, ale zarazem świadectwem, że grzech jest nieskończonem złem. Rzecz tak się przedstawia: wskutek grzechu pierwotnego cały rodzaj ludzki zawinił wobec Boga i słuszną karą został od Boga odrzucony, potępiony na wieki. Sprawiedliwość Boża domagała się tej kary nieskończonej, bo zniewaga wyrządzona Bogu jest nieskończoną. Ale znów dobroć Boża chciała przebaczenia, przyjęcia napowrót do łaski odrzuconego rodzaju ludzkiego. To się inaczej stać nie mogło, jak tylko odpowiednią winie ekspiacyą czyli zadośćuczynieniem. I w tem właśnie tkwi trudność, bo za krzywdę nieskończoną, należała się ekspiacya nieskończonej wartości — takiej ekspiacyi nie mógł przynieść ani pojedynczy człowiek, ani zbiorowy człowiek czyli ludzkość cała, gdyż z natury swojej człowiek jest istotą ograniczoną, *ens finitum*, a to co skończone i ograniczone, nie jest w stanie dokonać czynu mającego wartość nieskończoną. Z drugiej zaś strony, za grzeszny rodzaj ludzki przynieść mógł ekspiacyą tylko człowiek, a nie kto inny. Cóż tedy robi mądrość Boża? Oto Słowo przedwieczne, Jezus staje się człowiekiem; oboją tę naturę, Boską i ludzką, łączy w jednej personie Boga-człowieka i umiera na krzyżu; ekspiacya Jego jest nieskończonej wartości, bo jest prawdziwym Bogiem, ale jest ona także ekspiacyą za cały rodzaj ludzki, bo równocześnie ten Bóg jest prawdziwym człowiekiem i przeto w swej naturze ludzkiej zdolny jest za rodzaj ludzki przynieść zadośćuczynienie.

Musi więc ten grzech być nieskończenie wielkim złem, skoro potrzeba było wdania się nieskończonej mądrości Bożej i nieskończonej jego dobroci, aby wina tego grzechu ekspiowaną godnie została. I stąd powiada Bernard św.: chcesz poznać ciężkość choroby, patrz na wysoką cenę lekarstwa; musiały to być nieskończenie ciężkie rany grzechem zadane,

skoro na ich uleczenie potrzeba było nieskończonej ceny krwi Zbawiciela naszego.

Ten krzyż jaśniejący na wieżach kościołów, sterczący po drogach i cmentarzach, zdobiący ściany naszych mieszkań, to wyraz najwymowniejszy nieskończonej złości grzechu; potrzeba było nieskończonej ofiary nieskończonego Boga-człowieka, aby naprawić nieskończone zło — grzech ¹⁾.

Wywody te są jasne, przekonywujące, z rozumu niemal wyłącznie zaczerpnięte. Wobec nich, jakże jaskrawo występuje bezmyślność bardzo wielu wykształconych zresztą i t. z. porządnych ludzi, którzy zadawalają się unikaniem występków kwalifikujących się przed kratki sądowe, popełniając za to bez szkrupułu mnóstwo innych mniej rażących i kodeksem karnym nieobjętych przewinień i grzechów. Dyskursa niemoralne i antireligijne, lektura lubieżna lub bezbożna, zaniedbanie praktyk religijnych, jak słuchanie mszy św. w niedzielę, post piątkowy, spowiedź wielkanocna; dokuczanie żonie, córce lub siostrze własnej i w ogóle wyszydzanie tych, którzy przecie wierzą,

¹⁾ Mowa tu przeważnie o grzechu *śmiertelnym*, który jest dobrowolnem przekroczeniem prawa Bożego lub kościelnego w ważnej rzeczy. Ale nawet t. z. *powszedni* grzech jest do pewnego stopnia nieskończenie wielkiem złem, bo jest także aktem nieposłuszeństwa przeciw prawu Bożemu, a tem samem zniewagą nieskończonego Boga. I dlatego święci pańscy unikali z taką troskliwością nawet najłżejszych grzechów, spowiadali się z nich często i pokutę sobie za nie nakładali wielką. W wieku naszym zniknęła prawie ta delikatność sumienia chrześcijańskiego; kontentujemy się lada jaką sprawiedliwością i uważamy się za bardzo wielkich „religiantów”. jeżeli niema w nas onych grubych wielkiego kalibru grzechów śmiertelnych, wszystko zaś inne puszczamy na pytel. A ono i grzechy powszednie oprócz tego, że są zniewagą Boga, psują także moralną naturę ludzką, czyniąc ją sposobniejszą i skorszą do grzechów wielkich i występków; bo nikt od razu nie staje się łotrem i stąd stare przysłowie, „od rzemyczka do koniczka, na ostatku szubieniczka”. Grzechy powszednie zmniejszają łaskę Bożą i nieznacznie oddalają człowieka od Boga, tak, że przy lada cięższej pokusie w grzech śmiertelny popada. I dlatego kto chce być wolnym od grzechów śmiertelnych, ten unikać troskliwie musi grzechów powszednich.

modlą się, poszczą i spowiadają jeszcze, łamanie wiary małżeńskiej i stosunki występne z osobami wolnemi; próżność w strojach i kokieterya, próżniacze wizyty i życie nad stan; unoszenie się passyą, przekleństwa, wygadywania na drugich i obmowy; marnotrawienie grosza na śniadańka, grę w bilard i karty, na rzeczy zbyt kowe i wojaże; długi lekkomyślnie zaciągane i nierzetelność w wypłatach; niesumienność wreszcie w zapełnieniu pracą godzin biurowych, w zarządzie domu i wychowaniu dzieci — są wobec Boga i rozumu niemniej ciężkimi grzechami, chociaż za nie żandarm nie bierze za kołnierz i nie wlecze przed kryminal, jak za kradzież, oszustwo i publiczne zbrodnie, za które się spotkać można z sędzią śledczym i kozą. Chciejmy to raz zrozumieć i nie kontentujmy się moralnością t. z. „porządną“ ludzi, ale zdążajmy wyżej, do tej prawdziwie chrześcijańskiej moralności, która polega na unikaniu każdego grzechu, choćby tylko myślą popełnionego i w największej tajemnicy. Ona „porządna“ moralność, która nie robi nic godnego kary sądowej, mieli i poganie; nam katolikom ona nie wystarcza. Nam polecona i nakazana czystość i przejrzystość myśli i uczuć i niewinność serca, i wierność przysiędze, i sumienność w spełnieniu obowiązków stanu, i miłość rodzinna i braterska i posłuszeństwo Kościołowi, tak samo i tym samym dekalogiem, jak poszanowanie cudzej własności lub życia i zdrowia bliźniego. Nie dwa ani trzy, ale dziesięć jest przykazań Bożych, a obejmują one, jak to wnet zobaczymy, całego człowieka od stóp do głów, w każdej fazie jego życia i w każdej chwili. Łamiąc choćby jedno z tych 10 punktów kodeksu Bożego, stajemy się winni grzechu.

Czy takie były dotąd nasze w tej mierze przekonania? Co nam należy uczynić na przyszłość?... Aby na te pytania dać sobie gruntowniejszą odpowiedź, należy przypatrzeć się z bliska i rozebrać punkt po punkcie ów kodeks prawa Bożego, czyli dekalog.

KONFERENCYA V.

Zasadnicze pojęcie prawa. — Co jest podstawą moralności? — Rozbiór trzech pierwszych przykazań dekalogu w zastosowaniu do potrzeb klas wykształconych. — Pojęcie wiary i jej różnica od wiedzy. — Wiara nadnaturalna i nadprzyrodzona potrzebą natury ludzkiej. — Liberalizm religijny wobec rozumu. — Co to jest *Index*, które książki na *Indexie* i dlaczego wzbronione. — Wiara w sny i przesady niedorzecznością. — Obowiązek zewnętrznej czci religijnej i znaczenie publicznych nabożeństw. — Czem się bezceści imię Boże? — Potrójny cel niedzieli i świąt. — Lekceważenie obowiązku słuchania Mszy św. i kazań. — Bale sobotnie i festyny niedzielne. — Wyплаты robotnika i sesje gospodarskie podczas nabożeństwa. — Otwieranie sklepów. — Przykład starych Rzymian, Amerykanów i Anglików w tej mierze. — Domówienie.

„Zakon mi ustaw Panie w drodze Twojej i prowadź mnie prostą ścieżką dla nieprzyjaciół moich“ (Ps. XXVI. 11).
„Wy jesteście przyjaciele moi, jeżeli czynić będziecie, co ja wam rozkazuję“.
(Jan XV. 14).

I.

Na samym wstępie pytanie: jaki loiczny związek niniejszej konferencji z poprzedzającymi? Powiedziałem bowiem, że cała siła i moc rekolekcyjnych nauk tkwi w tym loicznym, nieodproszonym związku, jaki pomiędzy pojedynczymi naukami zachodzi. Otoż związek jest ten. Wykazaliśmy w konferencji I-ej, że celem człowieka na ziemi: służyć Bogu, cześć Mu oddawać i miłować Go, a tem samem pracować nad własnem

uświętobliwieniem i zbawieniem swej duszy — otóż wszystko to razem zdobywa się zachowaniem prawa Bożego. W konferencji IV. zrozumieliśmy, że to, co nas od Boga odwodzi i psuje moralną naturę ludzką, jest grzech czyli złamanie, przekroczenie prawa Bożego. Potrzeba więc to prawo Boże poznać z bliska, aby zrozumieć, czego właściwie ono od nas żąda, czego nam zabrania, i dlatego o tem w niniejszej konferencji rozprawimy się.

Co to jest prawo? Prawo jest to wola przełożonego dostatecznie nam ogłoszona, mająca na celu dobro ogólne oraz swoją sankcją, t. j. nagrodę i karę. Do istoty więc każdego prawa należy władza prawowita, ogłoszenie woli tej władzy dla dobra ogółu, naznaczenie nagrody lub kary. Najwyższym władcą „królem królów, panem panujących“ jest Bóg. — On nam objawił Swoją wolę, a ta wola Boża objęta jest kodeksem Bożym, niesłuchanie krótkim i dlatego nazywamy go dziesięciosłowem czyli dekalogiem, a niezmiernie treściwym, bo przepisującym modłę i regułę działania wszystkim ludziom, wszystkim stanom i na wszystkie możliwe okoliczności i warunki ludzkiego życia. Dekalog o ile wryty jest na sercu każdego człowieka, nazywa się *lex naturae*, *prawem natury*, i stąd to u wszystkich ludów i narodów spotykamy jakąś wiarę w bóstwo i kult religijny, cześć dla rodziców i poszanowanie dla władzy, jakieś acz nieraz bardzo mętne pojęcie cnoty i występku czyli moralności. Umowa zawarta między narodami a na prawie dekalogu oparta i przez wszystkich jako taka uznana i przyjęta nazywa się: *jus gentium* prawem narodów, a kodeks Justyniana tak je określa: „co naturalny rozum pomiędzy wszystkimi ludźmi ustanowił i co od wszystkich stale zachowaniem bywa“. Wreszcie tenże dekalog o ile objawiony nam jest przez Mojżesza na górze Synai i przez Chrystusa Pana, który powiedział: „nie mniemajcie, abym przyszedł rozwiązywać zakon... nie przyszedłem rozwiązywać, ale wypełnić“ (Mat. V. 16), nazywa się *lex positiva DEI*, pozytywnem czyli objawionem prawem Bożem.

I na tym to dekalogu funduje się i opiera wszelkie prawo ludzkie: kościelne i państwowe, cywilne, wojskowe i karne, wszystkie reguły zakonów i stowarzyszeń religijnych i świeckich, tak dalece, że prawo ludzkie przeciwne prawu Bożemu, nie jest prawem ale bezprawiem i nie obowiązuje w sumieniu nawet wtenczas, gdyby je uchwały parlamenty i sejmy, a zatwierdziła najwyższa w państwie władza. W dziejach świata mieliśmy i mamy mnogie przykłady takich *praw bezprawych*, bo przeciwnych dekalogowi. Kiedy w r. 1872 miał być wniesiony w parlamencie pruskim projekt tak zwanych praw majowych, wtenczas biskupi pruscy zebrani u grobu św. Bonifacego w Fuldzie, wystosowali zbiorowy memoriał do króla pruskiego i rządu, prosząc, aby onych praw niszczących wolność i swobodę Kościoła nie uchwalono, i zapowiadając z góry, że się im nie poddadzą nigdy i poddać nie mogą, gdyż prawa te naruszają świętość przysięgi, drugim przykazaniem dekalogu zagwarantowanej, jaką oni przyjmując urząd biskupi złoczyli. Nie słuchano tej przestrogi w Berlinie i wiemy co się stało — biskupi za swą wierność prawu Bożemu, poszli jedni do więzień, drudzy na wygnanie a z nimi setki poważnych wiekiem i hierarchicznym urzędem kapłanów; na księży t. z. majowych, urządzono formalne oblawy, jak na dzikiego zwierzrza; opustoszały klasztory, osierociały parafie, słowem, wywiązała się w Prusiech nieszczęsna walka religijna, która acz złagodzona nieco, trwa dotąd, a którą nawet z punktu politycznego nie tylko katolicy ale i ogromna większość protestantów, jako arcszkodliwą państwu potępić musiała.

Charakterystyką tego prawa Bożego, że jest krótkie; — dekalog, dziesięciosłów, wyucza się go na pamięć sześciolatnie dziecko, a tak doskonale, że od 6000 lat istnieje, a żadnej w nim zmiany uczynić nie było potrzeba i nie będzie, podczas gdy kodeksy prawa ludzkiego, zwłaszcza konstytucyjne prawa liczą się na setki foliowych tomów i tysiące paragrafów, a tak są niedostateczne, że co chwila uzupełniać je trzeba „ministeryalnemi rozporządzeniami“, a co lat kilka poddawać rewizyi czyli zmianie. Dał Bóg to prawo na dwóch

tablicach, nie dla tego ażeby na jednej zmieścić się nie mogło, ale aby symbolicznie uwidocznic podział obowiązków wynikających z tego prawa Bożego. Na pierwszej bowiem tablicy, wyryte trzy pierwsze przykazania określają doskonale stosunek i obowiązki człowieka względem Boga; siedm innych przykazań na tablicy drugiej umieszczonych, wyraża obowiązki człowieka względem siebie i bliźnich. Sumą czyli treścią dekalogu jest prawo miłości, *lex amoris*, przez Chrystusa Pana ogłoszone: „będziesz miłował Pana Boga twego nadewszystko, a bliźniego jak siebie samego“.

Następstwem prawa Bożego, i każdego, które się na niem opiera, jest moralna konieczność obowiązująca w sumieniu do spełnienia i unikania tego, co prawo rozkazuje lub wzbrania. W miarę większej lub mniejszej ważności nakazanej lub wzbronionej rzeczy, obowiązująca moc prawa w sumieniu jest większą lub mniejszą, a przekroczenie prawa ściąga winę (*reatum culpae*) i karę (*reatum poenae*) większą lub mniejszą. Na tych zasadniczych pojęciach ograniczyć się muszę, zostawiając obszerniejszy wywód o prawie kanonistom i prawnikom.

Nasuwa się ciekawe a ważne pytanie: czy Pan Bóg mógł dać inne prawo jak to, które dał w dekalogu? Czy mógł np. powiedzieć: „człowieku, nie wierz w Boga, nie czcij rodziców, zabijaj, kradnij, rozpustuj, siebie miłuj nadewszystko, a ludzi nienawidź i gnębij z całej siły“. Czy Pan Bóg mógł wydać takie prawo? Każdy czuje to dobrze i rozumie, że nie. Dlaczego nie? Co jest właściwie przyczyną, że Bóg takie a nie inne wydał prawo, jak dekalog, że je nawet wydać musiał, a innego wydać nie mógł? czyli innemi słowy: co jest ostateczną przyczyną, dlaczego niektóre czyny same z siebie są dobre, jak: prawdomówność, miłosierdzie, inne zaś same z siebie złe, jak: kłamstwo, okrutność — *quodnam sit principium moralitatis*? Arcyważne to zagadnienie, a dzisiejsi uczeni albo je starannie pomijają i rozprawiają o jakiejś mętnej, niejasnej moralności, albo też tę ostateczną przyczynę wewnętrznej wartości czynów ludzkich zwalają na sąd i zdanie

roзумu ludzkiego, lub korzyść społeczeństwa i mówią: to jest złe, co mi mój rozum jako takie wskazuje, albo co szkodzi społeczeństwu, jak: kradzież, kłamstwo, oszustwo publiczne, gorszące zbrodnie i dlatego, że one szkodzą, muszą być prawem zakazane, przeciwnie te czyny są moralnie dobre i prawem nakazane, które mój rozum wskazuje mi jako dobre i zacne, lub które wychodzą na korzyść społeczeństwa, jak: rzetelność, pracowitość, ofiarność i t. p.“ Tak nie jest, bo rozумы ludzkie i tak zwane subiektywne zapatrywania na jedną i tę samą rzecz mogą być i bywają różne, często wręcz sprzeczne, moralna zaś wartość jakowejś rzeczy, osoby lub czynu musi być raz na zawsze stale określoną. Nadto rozum w sądach swoich potrzebuje pewnej reguły i normy, według której o moralności orzeka, tak jak sędzia nie według swego widzimisię, ale według litery prawa sąd swój wydaje. Już zaś jasną jest rzeczą, że ta modła i reguła sądenia musi być czemsiś różnem od rozumu i od niego niezależnem. Tem mniej korzyść lub szkoda wyrządzona społeczeństwu może być podstawą sądu o moralności czynów i spraw ludzkich. W takim bowiem razie myśli i uczucia moje, o ile one pozostają aktem wewnętrznym mego ducha i nie jawią się zewnętrznym czynem, nie byłyby ani złe, ani dobre — gdy tymczasem są one prawdziwym czynem ducha, a moralna wartość zewnętrznych naszych czynów zależy przedewszystkiem od wewnętrznych aktów rozumu i woli, od intencji i zamiaru, od mniejszej lub większej rozwagi, i dlatego to IX-te i X-e przykazanie normuje myśli i żądze nasze: „nie pożądaj“. Nadto społeczeństwo — to zbiorowy człowiek, musi więc jak pojedynczy człowiek mieć prawo nad sobą i władzę, której ulega i nie może w swych czynach być niezależnem od nikogo, absolutem. Cóż więc jest ostateczną przyczyną moralności czynów ludzkich? Oto nieskończenie doskonała natura Boża, *infinite perfecta essentia Dei est ultimum fundamentum seu principium moralitatis*, naucza Tomasz św. To, co się z doskonałością Bożą zgadza, jest moralnie dobre i godziwe i dlatego Bóg musi je pochwalić i nakazać człowiekowi; to, co się jej sprzeciwia, jest

moralnie złe i niegodziwe i dlatego Bóg musi je potępić i zabronić. Z drugiej zaś strony, ponieważ moralna natura ludzka na obraz i podobieństwo Boże stworzona, przeto to, co z doskonałością Bożą się zgadza, służy także do udoskonalenia i uzacnienia człowieka, co się zaś Boskiej doskonałości sprzeciwia, psuje także, kazi i plami człowieka. Tak więc przykazania Boże mające swoją podstawę w doskonałości natury Bożej a za swój przedmiot moralną naturę ludzką, normują stosunek człowieka do Boga, do siebie samego i do ludzi i wszystkich stworzeń i są wieczne i nieodmienne, jak natura Boża jest wieczna i nieodmienna i nadają grunt i podstawę wszelkiemu prawu ludzkiemu. Obszerniej o tem rozprawiają teologowie i etycy.

Po tych zasadniczych wyjaśnieniach przystąpmy już do rozbioru pojedynczych przykazań Bożych i znów niewyczerpująco, bo by to całą księgę zajęło, ale o tyle, o ile się to wykształceńszym warstwom naszego społeczeństwa przydać może.

II.

Trzy pierwsze przykazania: „Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną. Nie bierz imienia Pana Boga twego nadaremnie. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił“ — opisują stosunek człowieka do Boga. A więc naprzód: „Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną“, czyli innemi słowy: wierz w Boga jednego. Co to jest wiara? Co innego wiara a wiedza. Wiedza jest poznanie rzeczy w jej przyczynach, *scientia est cognitio rei per causas* i nabywa się doświadczeniem i rozumowaniem. Dwa a dwa jest cztery, tego ja nie wierzę, ale wiem to rozumowo z ewidencji. I są pewne prawdy zwane pewnikami, tak jasne, że je od razu uznać musimy jak n. p. *idem non potest simul esse et non esse; quae sunt eadem unum tertio sunt eadem inter se*; nie może coś być razem i nie być; dwie dane równe trzeciej są równe między sobą. Z tych zasadniczych prawd z zasobu spostrzeżeń doświadczeniem i obserwacją nabytych, rozum nasz przychodzi za pomocą rozumowań do odkrycia coraz to nowych prawd, pojmuje ich związek i wzaje-

mną zależność, wyprowadza z nich loiczne wnioski, dochodzi do wiedzy. Na tej to rozumowej czynności ducha ludzkiego opierają się t. z. umiejętności ściśle: filozofia, matematyka, filologia i t. d. Wiara zaś jest uznaniem prawdy, nie dlatego, że rozum ją poznaje swoją własną pracą, ale dlatego, że ktoś drugi o niej mu powiada. Motywem uznanej prawdy nie jest tu moje samoistne badanie, ale powaga mówiącego — stąd to określenie starych filozofów: *fides est assensus veritati propter auctoritatem loquentis*, wiara jest uznaniem prawdy dla powagi mówiącego“. Ściśle rzecz biorąc, wiara przyczynia się niezmiernie wiele do nabycia wszelkiej naszej wiedzy. Dziecię ledwo szczebiotać pocznie, pyta się o wszystko swej mamy: „mamo, a co to?“ Mama odpowiada, a dziecko wierzy i ta powaga matki jest dla niego wszystkiem, tak dalece, że niechby ktoś obcy co innego mu o tej rzeczy powiedział, to ono mu zaprzeczy: „nie tak ale tak, bo mama tak powiedziała“. I tą drogą, tą wiarą w powagę matki dochodzi dziecię do wielu pierwszych pojęć i pierwszej wiedzy. W 6 lub 7 roku oddadzą dziecię do szkoły i znów powaga pana profesora lub nauczycielki ułatwia niezmiernie dziecięciu nabycie dalszej wiedzy; „pan profesor to powiedział“, aksjomat ten starczy za silne argumenta, bo dziecię wierzy w powagę swego mistrza. A nawet w wyższych szkołach, na uniwersytetach, wiara w uczoność mistrza, w potęgę jego rozumu jest silnym bodźcem wiedzy. W XVI wieku uczelnia wittenberska gromadziła tysiące młodzieży z różnych stron świata, bo na niej wykładał Melancthon — a wtenczas wierzono w rozum Melancthona. W naszym wieku zasłynął berliński uniwersytet wtenczas najbardziej, kiedy nauczał na nim Hegel — a wtenczas wierzono w rozum Hegla. Rozgłosnej sławie mężów uczonych towarzyszyła zawsze wiara słuchaczy w ich rozum. Po wiem więcej: na wierze w szczerość zamiarów i w słowność przyrzeczeń opierają się polityczne traktaty i międzynarodowe stosunki, a gdy tej wiary zabraknie, traktaty i najuroczyściej zagwarantowane uchwały kongresu stają się bezsilne — miecz

rozstrzyga, jak to za dni naszych widzimy. Na wierze w rzetelność i słowność zobowiązań opiera się handel i przemysł, którego warunkiem głównym kredyt, ten zaś niczem innym nie jest, tylko wiarą w rzetelność i słowność drugiego; opiera się życie towarzyskie i rodzinne, przyjaciel wierzyć musi w szczerość przyjaciela, żona wierzyć w rozum męża, mąż wierzyć w cnotę żony — jak znów niedowierzanie i podejrzliwość wprowadza ferment i rozkłada wszelką przyjaźń i szczęście domowe. Tkwi to więc w naturze ludzkiej ta potrzeba uznania za prawdę dla powagi mówiącego, potrzeba wiary w rozum, cnotę, rzetelność i słowność drugiego. Przenieśmy te pojęcia do rzeczy religijnych, do zagadnień pozagrobowych. W kwestyach tych rozum ludzki sam sobie nie wystarczy, potrzebuje koniecznie pomocy innego, wyższego rozumu. Ten rozum wyższy, Boży, przychodzi mu rzeczywiście w pomoc szeregiem prawd objawionych i ogłoszonych przez Chrystusa Pana, sformułowanych wyraźnie, objaśnionych i wyłożonych przez Kościół św. katolicki. I tej to *objawionej prawdzie*, tej nauce Kościoła katol. powinien się rozum ludzki poddać — wynika to z natury rzeczy i stąd przykazanie pierwsze: *wierz w Boga jednego*. A wiara w ten wyższy, nadnaturalny sposób pojęta określa się, „że jest cnotą nadnaturalną, wlaną, składającą rozum do uznania prawd, które Bóg objawił, a Kościół naucza, dla powagi objawiającego je nam Boga“, albo podmiotowo wzięta jest „aktem rozumu i woli uznającym za prawdę to, co Bóg objawił, dla powagi objawiającego Boga“.

Sprzeciwia się temu nadnaturalnemu pojęciu wiary tak zwany liberalizm religijny, albo co u nas przynajmniej na jedno wychodzi, katolicyzm liberalny, któremu przeważna część inteligencji polskiej, zwłaszcza mężczyźni do pewnego stopnia hołduje. Otóż nic nie jest bardziej niemądrego i nieloicznego, jak ten katolicyzm liberalny, który tak powiada: „o ja jestem katolikiem, *ale* nie podoba mi się to, albo owo“. Słuchajcie mnie bracia! — w wierze naszej św. katolickiej jest wszystko tak ściśle, loicznie złączone, że skoro odrzucisz jeden dogmat, zaprzeczysz jednej prawdzie moralnej, to siłą tejsamej loiki

odrzuć musisz wszystko. Całokształt wiary św. to jak prześliczna gotycka świątynia; usuń, wyrzuć choćby jeden filar. a cała budowa runie. Tak z wiarą. Powiadasz: „jestem katolikiem, *ale* nie podoba mi się spowiedź; dobra dla dzieci, kobiet i prostaków, dla mnie skończonego, mądrego człowieka niepotrzebna“. Ktoś drugi powie: „mnie się nie podobają posty; ludzie słabi, żołądki chore, drożyzna wielka, nieraz i w święta paska przyciągnąć trzeba, co tu o postach rozprawić“. Ktoś trzeci wielki sawant zapyta: „po co te nabożeństwa wystawne, ornaty, świece i kwiaty na ołtarzach, muzyki i śpiewy — to dobre dla ludu, ale człowiek wykształcony w cichości i skupieniu pragnie się modlić“. Pytam, jaką loiką to twierdzisz? Jeżeli nauka Kościoła katolickiego myli się co do spowiedzi świętej i dobrych uczynków, to któż ci zaręczy, że ona się nie myli co do dogmatu o Trójcy św. albo o Bóstwie Chrystusowem? Jeżeli Kościół omylny w jednym to we wszystkim, *semel mendax semper mendax*. Więc albo *wszystko przyjmij* i wierz jak i co Kościół uczy, albo *wszystko odrzuć* — to wtenczas będzie loika. Ale przyjmować jedno, odrzucać drugie, dzisiaj to twierdzić czemu się wczoraj przeczyło, zmieniać przekonania i zdania religijne jak rękawiczki, to rzecz niemądra, niegodna rozumnego człowieka. I dlatego od was, którzy te karty czytacie, niczego nie żądam tylko jednej rzeczy: *loiki i jeszcze loiki*, a będziecie katolikami prawdziwymi bez tego nieszczęsnego *ale*.

W parze z liberalnym katolicyzmem idzie liberalizm w konwersacyi i liberalizm w lekturze. Już to najulubieńszym tematem rozmów w naszych salonach, to wycieczki na Kościół i mędrkowania religijne. Rej wodzą tu młodzi a czasem i starsi panowie, wtorują im postępowe damy i panienki; wszyscy tanim kosztem bawią się w teologów, a katechizmu nie umieją. Powiem wam jeden wielki sekret: nigdy człowiek moralny, uczciwych obyczajów nie wyraża się o rzeczach wiary lekko-myślnie, z przekąsem lub szyderstwem, bo to rzecz dla niego zanadto święta, którą on umie uszanować w sobie i w drugich. Skoro więc słyszysz, że ten lub ta dowcip-

kuje z wiary, filozofuje niesmacznie i niemądrze, to z góry możesz być pewny, że to osobistość licha, obyczajów nadszarganych i dlatego naprzód nie przywiązuj żadnej wagi do słów jego, a powtóre nie mieszaj się do tej niemądrej rozmowy, a po trzecie staraj się zręcznie sprowadzić temat rozmowy na pole inne. Rozmawiaj o czem chcesz: o powietrzu i pogodzie, o polityce księcia Bismarka lub najnowszej jakiej ramocie, która opuściła prasę drukarską, byle nieszczęsny temat religijnych dyskusyi został usunięty. Panie domu nie powinny nigdy tego zcierpieć, aby w ich salonie poniewierano religią; jeżeli się nie da w delikatny sposób temu zapobiedz, niech powagą pani i matki domu skarcą śmiałka; taka nauczka przyda mu się nieraz na całe życie, a dla innych będzie ostrzeżeniem.

Co do lektury czyli czytania książek, to taka jest w tem polityka Kościoła katolickiego. Kościół nie boi się książek, nie jest nieprzyjacielem nauki i wiedzy. Przeciwnie, Kościół katolicki przechował nam klasyczne wzory starej literatury rzymskiej i Greków, pielęgnował nauki wtenczas, kiedy państwo zostawiało je odłogiem, zakładał szkoły przy kościołach katedralnych, akademie w Bononii, Oksfordzie, Paryżu, Wiedniu. Pradze, Krakowie i t. d.; dostarczał uczonych mężów ze stanu duchownego; słowem wykołysał, wypielęgnował owe dzikie barbarzyńskie ludy Celtów, Gallów, Germanów, Słowian, na cywilizowane narody Francyi, Niemiec, Polski i t. d.

Protestanczy pisarze, jak Ranke oddają w tej mierze największe pochwały Papieżom i Kościołowi. I dzisiaj Kościół katolicki z Leonem XIII na czele, niesie pochodnię nauki i wiedzy wśród pogan centralnej Afryki zarówno jak wśród wykształconych narodów Europy — i dzisiaj jeszcze nie masz gałęzi nauki i wiedzy ludzkiej, któraby nie miała znakomitych przedstawicieli w łonie duchowieństwa katolickiego, że tu tylko wspomnę Jezuitę ks. Secchi, który pozostanie na długo powagą dla przyrodników i astronomów. Zaledwo dwa lata temu, nawoływał Leon XIII osobną bullą cały stan duchowny do pielęgnowania ojczystej literatury i nauk wyzwolonych.

Kościół więc nie ma wstrętu przed książką, owszem chce tego, aby i kler i lud jego był czytany i mądry. Ale Kościół jest matką; matka nie da dziecieniu swemu, jakkolwiek pragnie, aby ono było wykształcone i mądre, książki niemoralnej i przewrotnej, bo wie, że zamiast wiedzy, trucizny moralnej z niejby się napiło. I dlatego Kościół uzupełniając prawo Boże, które nam zabrania narażać się dobrowolnie na utratę wiary i moralności, nie pozwala swoim wiernym czytania wszystkich książek bez różnicy, ale już w XVI wieku na podstawie dekretu soboru trydenckiego ustanowił papież Pius V, uorganizował do reszty Sykst V, osobną stałą kongregację czyli komisję złożoną z kardynała prezesa, kilku biskupów konsultorów i kilku teologów referentów, którzy sortują książki; złe książki spisują czyli kładą *na index* i w imieniu Ojca św. ogłaszają takowe jako wzbronione do czytania wiernym. Są to tak zwane książki *Indice prohibiti*, zakazane przez św. Kongregację Indeksu i ogłaszane corocznie w osobnym spisie czyli wykazie, stąd nazwa *Index*.

Któreż więc książki są *Indexem* zabronione? Najprzód wszystkie książki jakiegobądź autora, a więc nawet katolika broniące herezyi i książki, które wyszły z pod pióra autora akatolickiego, a traktują z zasady o religii i zawierają błędy przeciwne wierze katolickiej. Oto odnośny ustęp z konstytucyi Leona XIII. *Oficiorum ac numerum*, z 25. stycznia 1897. art. 2. „Książki przez Apostatów, heretyków i jakichkolwiek pisarzy wydane i broniące herezyi, lub schizmy... bezwzględnie są zakazane;“ art. 3. „Również zakazuje się książek przez akatolików wydanych“, a traktujących z zasady o religii (*qui ex professo de religione tractant*), chyba by nie ulegało wątpliwości, że nie zawierają nic przeciwnego wierze katolickiej“. Dlaczego? bo innowierca zazwyczaj nie może gruntownie i prawdziwie rozprawiać o rzeczach wiary, będąc sam w mylnej albo fałszywej wierze. Tak np. nam katolikom nie wolno czytać, a nawet i słuchać kazań pastorów protestanckich, ksiąg ich religijnych i katechizmów. Do tej kategorii zakazanych książek należą także książki wrzekomo naukowe, ale wywra-

cające z gruntu podstawy religii (*ipsa religionis fundamenta utcumque evertentes* n. 2.), jak np. istnienie Boga, duchowość i nieśmiertelność duszy, możliwość cudów, moc dowodową właściwą cudom, broniące materyalizmu, sceptycyzmu i t. p. Do takich dzieł zaliczyć należy np. Rénana, o Chrystusie Panu i Apostołach, albo książkę Ferrière'a *L'âme est la fonction du cerveau*, Darwina o pochodzeniu człowieka. Książki autorów akatolickich, które o religii nie traktują z zasady, lecz z lekka tylko prawdy wiary poruszają, choć błędzą w ich tłumaczeniu, na podstawie n. 4. konstytucyi powyższej prawem kościelnem nie są zakazane dopóty, dopóki osobnym wyrokiem nie zostaną potępione; są jednakże zakazane prawem natury dla tych, którzy je czytając, narażają się na utratę wiary. Należą tu one wielkie encyklopedye Meyera Brockhausa, którymi każdemu wolno zatem się posługiwać, chyba, żeby mu ich czytanie szczególną szkodą we wierze groziło.

Powtórę zakazane są indeksem wszystkie książki traktujące o rzeczach wprost niemoralnych jak n. p. osławiony romans Zoli Nana, albo powieści i romanse z tendencją niemoralną, jak np. pisma pani George-Sand usprawiedliwiające występki, apoteozujące każdą niską namiętność. Te zabronione są §. 9. powyższej konstytucyi, który opiewa: „Książki, które o rzeczach rozwiązłych i niemoralnych z zasady traktują, opowiadają, pouczają, zupełnie są zabronione, gdyż należy mieć wzgląd nietylko na wiarę ale i na obyczaje, które czytaniem podobnych książek łatwo się psują ¹⁾. Wyjątek

¹⁾ Pierwszy *Indeks* czyli spis książek przez Kościół zakazanych sporządzić kazał na polecenie Soboru Trydenckiego Paweł IV. Drugie, trzecie i czwarte wydanie dokonane za Klemensa VIII., Aleksandra VII. i Benedykta XIV. Piąte wydanie za Leona XII. 1828r. Szóste za Grzegorza XVI. 1836 r. Wreszcie Indeks opracowany został przez Tomasza Essera, sekretarza kondregacyi Indeksu i urzędowo wydany w Rzymie r. 1900. Od czasu do czasu spis potępionych przez kongregacyą Indeksu książek ogłaszają *Moniteur de Rome* i *Acta S. Sedis*.

Podaję tu niektóre książki położone na indeksie, wraz z datą ich potępienia: *Balzac*: wszystkie powieści (1841, 1842, 1864). *Bois*: *Le satanisme et la magie* (1896). *Comte*: *Cours de philosophie positive* (1864).

stanowią (objęty §. 10. konstytucyi), „dzieła *Klasyczne* autorów staro- i nowo-żytnych“. Te jako arcydzieła sztuki i stylu wolno czytać ludziom fachowym pracującym na polu, w którym znajomość tych dzieł jest wymagana — a więc pisarzom, krytykom, profesorom. Jednakże nie wolno takich dzieł czytać innym, ani nieocyszczonych podawać do rąk uczącej się młodzieży, nawet akademickiej (Génicot *Theologia Lovannii* 1900 str. 432). Dlaczego? Bo książka to jak przy-

Diderot, D' Alembert: Encyclopédie ou dictionnaire raisonne des sciences.. (1758, 1759). *Dittes*: Lehrbuch der Psychologie (1879). *Döllinger*: (pseudon. Janus): Der Papst und das Concil (1869). *Draper*: History of the conflicts between religion and science (1876). *Dumas*: (ojciec i syn): wszystkie powieści (1863). *Ferriere Emile*: L'âme estèla fonction du cerveau; Les apôtres; Le darwinism; Les erreurs scientifiques de la bible; La matière et énergie; Paganisme des Hébreux..; La vie et l'âme (wszystkie r. 1892); Les mythes de la bible (1893). *Feydau Ernest*: wszystkie powieści (1864). *Fleury Jules* (pseud. Champfleury): wszystkie powieści (1864). *Frohschammer*: Über den Ursprung der menschlichen Seelen (1875). *Graf*: Il diavolo (1892); Miti, legende e superstizioni del medio evo. vol. I. (1893). *Heine*: De l'Allemagne; De la France; Reisebilder (wszystkie 1836); Neue Gedichte. Hamburg 1844. (1845). *Hugo Victor*: Notre Dame de Paris (1834); Les misérables (1864) *J'supret* (fils). Catholicisme et spiritisme (1892). *Kant*: Kritik der reinen Vernunft (1827). *Lacaze*: A Lourdes avec Zola (1895). *La Fontaine*, Jean de: Contes et nouvelles en vers (1801). *Lamartine*: Jocelyn (1836); Souvenirs... (1836); La chute d'un ange (1838). *Lamennais*: Paroles d'un croyant (1834); Affaires de Rome (1837); Le livre du peuple (1838); Discussions critiques (1741); Esquisse d'une philosophie (1841); Amsehaspandes et Darvands (1843); Les évangiles (1846). *Lessing*: Religion saint-simonienne (1835). *Maciejowski*: Historya prawodawstw słowiańskich; i Pamiętniki o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian (1858). *Michelet*: Mémoires de Luther (1840); Du prêtre, de la femme, de la famille (1845); L'amour (1859); La sorcière (1863); Bible de l'humanité (1866); Le prêtre — Les jésuites (1896). *Mickiewicz*: L'église officielle et le messianisme; i L'église et le Messie (1848). *Mill Stuart*: Principles of political economy (1856). *Mourra Secco*: Angelo (1865). *Negri, Ada*: Fatalità (1893). *Negri Gaetano*: Meditazioni vagabonde; Rumori mondani; Segni dei tempi (wszystkie r. 1897). *Osiander*: wszystkie dzieła (1671 i 1757). *Pascal*: Les provinciales (1657); Pensées, avec les notes de m. de Voltaire (1789). *Quinet*: Ahasvérus (1835); Le génie des Religions (1844); Allemagne et

jacieli; dobra książka, to dobry przyjaciel, wiecie ku temu co mądre, pocziwe i zacne; zła książka, to zły przyjaciel, wszelkiej niecnoty i zbrodni nauczy. — „Ale mnie złe książki nie szkodzą, ja wszystko czytać mogę“, mówią mi młode panie, zwłaszcza młode jeszcze panienki. — To nie jest prawdą. Psychologiczne to niepodobieństwo, aby czytając np. takiego Darwina, gdzie od początku do końca swej książki, traktuje mnie jako zwierzę małpiaste, z kłami, ogonem i sierścią, aby nie uczuć degradacyi całego jestestwa swego — a to jeszcze książka przyzwoicie i z pozorną uczonością na-

Italie (1848); La révolution (1866); *Ranke*: Die römischen Kämpfe (1841); *Rénan*: Le livre de Job; Averroës et l'averroïsme; Études d'histoire religieuse; Histoire général; De l'origine du langage; Le cantique des cantiques; Vie de Jésus; Les apôtres; Saint Paul; Questions contemporaines; Les évangiles; L'antechrist; L'église chrétienne; Marc-Aurèle; L'Ecclésiaste; Nouvelles études d'histoire religieuse; Histoire du peuple, d'Israël; Souvenirs d'enfance et de jeunesse; Feuilles détachées... (od r. 1859 — 1892). *Rohling*: Der Zukunftsstaat (1897). *Rousseau*: Émile (1762); Du contract social (1766); Lettre à Christophe de Beaumont archevêque de Paris (1766); Lettres écrites de la montagne (1767); Julie ou la nouvelle Héloïse (1806). *Sand George* (pseudon): wszystkie powieści (1840, 1841, 1842, 1863). *Schell*: Katholische Dogmatik; Der Katholicismus als Princip des Vortschritts; Die göttliche Wahrheit des Christentums; Die neue Zeit und der alte Glaube (wszystkie z 1898). *Schwegler*: Geschichte der Philosophie im Umris (1865). *Soutié*: wszystkie powieści (1864). *Spinoza*: Opera posthuma (1690); Tractatus theologico-politicus (1679). To ostatnie dzieło, wydane przez Kalb'a pod tytułem: Theol.-politische Abhandlungen v. Spinoza. Freie Übersetzung u. mit Anmerkungen begleitet, zostało potępione r. 1826. *Straus*: Das Leben Jesu (1838). *Sue*: wszystkie powieści (1852). *Towiański*: Biesiada 17. stycznia 1841. Do rodaków tułacz kończący tułactwo (1863). *Voltaire*: Lettres philosophiques (1754); Oeuvres, nouvelle édition.... A Dresde 1748 (1752); Histoire de croisades (1754); Abrégé de l'histoire universelle (1755); Essai sur l'histoire universelle (1755); Précis de l'Ecclésiaste et du Cantique de Cantiques en vers (1759); Romans et contes (1804); L' A. B. C. dix-sept dialogues traduits de l'anglais (1776); Catéchisme de l'honnête-homme (1765); La défense de mon oncle (1771); Dictionnaire philosophique (1765); L'évangile de la raison (1765); La pucelle d'Orléans (1757); Saul et Dawid (1765); it. Z pomiędzy dzieł Voltaire'a nie są zakazane: Brutus, Henryada, Historia Karola XII., Merope, Zadig, Zaire. *Zola Emil*: wszystkie powieści (1894 — 1898).

pisana. Cóż dopiero one rozpasane, rozhukane opowieści w guście: *Tajemnic klasztoru* albo *Le baron Miroël* Daudet'a, albo: *Igiene dell'amore, Fisiologia dell'amore* Pawła Mantegazza, jakżeż te bez śladu w młodej, żywej wyobraźni i gorącym sercu przejść mogą? Nas księży się pytajcie, to wam opowiemy, jaką ruinę i spustoszenie w duszach wyrządza jedna nieraz nędzna ramota, jak np. u nas w Galicyi w latach 1868—70, licha broszura darmstadzkiego eskulapa Büchnera *Kraft und Stoff*, głosząca gruby materyalizm i zaprzeczająca brutalnie Boga, ducha ludzkiego i cały ten świat moralny, który na tych pojęciach się opiera. Są dalej objęte indeksem książki, w których uczy się lub zaleca magię, wywoływanie duchów (art. 12); broniące pojedynków, samobójstwa, rozwiązalności małżeństwa (art. 14). Trzeba też wspomnieć gazety, miesięczniki, kwartalniki, które z umysłu napadają na religię lub psują obyczaje (art. 21) np. *Prawda* Świętochowskiego. Spyta kto: „jako, więc nawet dla celu dobrego np. dla zwalczenia błędu, nie wolno katolikom czytać książki na *Index* położonej? — Wolno, ale za pozwoleniem swojego biskupa, o które należy prosić osobiście, albo przez swojego proboszcza, albo spowiednika — inaczej nie wolno, i nic na tej niewoli nie stracimy. Tyle, Bogu dzięki, drukuje się ksiąg mądrych i uczonych i przyjemnych i zabawnych, a uczciwych i nieprzeciwnych wierze, że bez żadnej szkody dla wiedzy, możemy nawet z tytułu nie znać tych książek, które na *Indexie*, jako niebezpieczne moralności i wierze są wskazane; a znów kosztem zachwiania wiary i pokiereszowania moralności chcieć wzbogacić zakres swej wiedzy, to rachuba arcy-niemądra i pierwszym przykazaniem Bożem wzbroniona.

Wiara we sny, horoskopy i numera na loteryą stawiane, które z senników wyprowadzamy, ciągnięcie kabały przez stare baby dobrze opłacone, zabobony i przesady — wszystko to napotyka się wśród inteligencji naszej częściej, niżby kto mniemał, pomimo naszych deklamacyi o postępie, oświacie i mądrości XIX wieku — a wszystko to przykazaniem I-em dekalogu wzbronione. Dlaczego? bo uwłacza to rozumowi ludz-

kiemu, moralne skutki przypisywać przyczynom czysto fizycznym, które w żaden sposób z niemi związku nie mają i mieć nie mogą.

Nietylko wiarę, zupełną wiarę w objawioną prawdę Bożą, ale to I. przykazanie nakłada na nas jeszcze obowiązek kultu religijnego, czci zewnętrznej Boga. Wynika to z natury rzeczy. *Cały* człowiek od Boga stworzony i *cały* człowiek temu Bogu służyć i cześć oddawać powinien. Już zaś człowiek złożony z duszy i z ciała; z ducha swego tj. z rozumu i woli przynosi Bogu służbę i ofiarę, gdy ten rozum poddaje pod objawioną prawdę Bożą, a tę wolę pod objawione prawo i przykazania Boże; z ciała swojego i władz fizycznych przynosi służbę i ofiarę, gdy składa Bogu kult zewnętrzny religijny. Tkwi to wreszcie w naturze ludzkiej, że co serce czuje, to na zewnątrz się objawia, i jestto potrzebą natury człowieka, wewnętrzne usposobienie uwidocznić znakami zewnętrznymi. Stąd to powstały formy towarzyskie, zwyczaje i obyczaje narodowe, ceremoniały przy ważnych uroczystościach, jak koronacje królów, homagia lennych książąt, oddawanie kluczy zdobytego miasta; stąd wreszcie godła, herby i cała symbolika artystyczna, obyczajowa i religijna. Skoro więc w stosunku do ludzi i otaczającego go świata człowiek potrzebuje form zewnętrznych, to i w stosunku do Boga bez nich obejść się nie może; domaga się tego poprostu jego natura ludzka. Stąd też w Kościele katolickim znajdujemy ofiarę mszy św., publiczne procesye i nabożeństwa odbywane w siedmiu różnych liturgiach czyli formach służby Bożej. W myśl Kościoła ten zewnętrzny kult religijny jest publicznem, uroczystem wyznaniem wiary katolickiej, bo wyraźnie powiada Chrystus, „który się mnie zaprze przed ludźmi, będzie zaprzany przed anioły Bożymi“ (Łuk. XII. 9), a ponieważ I. przykazanie nakazuje nam *wierę w Boga*, przeto nakazuje nam ono i *wyznanie tej wiary*.

Nadto publiczne nabożeństwa, praktykowane w Kościele katolickim, dziwnie przyczyniają się do ożywienia i spotęgowania wiary nietylko w ludzie ale i u osób wykształconych. Mamy na to dowód między innymi na Julianie Ursynie

Niemcewiczu. Znakomity ten literat i mąż polityczny, wychowany był do 10 roku życia bardzo pobożnie przez swoją matkę. Oddany do szkoły kadetów w Warszawie, a potem na wielki a zepsuty świat warszawski rzucony i w wir politycznych robót i dyplomatycznych zabiegów porwany, więzień stanu, a potem tułacz po Ameryce, Niemczech, Francyi i Anglii, przejął się zasadami libertynizmu filozofów XVIII wieku i mógł powiedzieć z Mickiewiczem: „już dawno nie wiem, gdzie moja podziała się wiara“. Cóż się stało? Oto wskutek amnestyi cesarza Aleksandra I wrócił do dziedzicznego Ursynowa i jako człowiek humanitarny dla dania przykładu swoim poddanym, poszedł do kościoła na niedzielne nabożeństwo. Wyszła suma, a po niej zaśpiewano suplikacye, ono staropolskie *Święty Boże*. Nasz Niemcewicz stał zrazu zimny i milczący, ale śpiew ten przypomniał mu lata dziecięce i dziecięcą wiarę, ukląkł mimowolnie, głos swój połączył ze śpiewem ludu — i zapłakał. I z tą łzą i tą modlitwą wróciła jego dawna wiara: Niemcewicz stał się pobożnym, gorącym katolikiem i przez resztę życia, przez lat przeszło 20 służył innym za budujący przykład wierzącego człowieka. Prześliczny żywot jego zostawił nam książę Adam Czartoryski.

Panowie i panie, nie bawmy się w filozofów, sceptyków czy racjonalistów, bądźmy tem, czem nas Bóg stworzył, Polakami o szlachetnem a czułem sercu, które potrzebuje Boga, modlitwy, kościoła, nabożeństw i towarzystwa nabożnego. Niech nam nie będzie wstydno pójść z świecą w rękę w procesyi za Najśw. Sakramentem; bo ta procesya to publiczne przyznanie się do tego, żeś katolikiem, bo ta świeca płonąca, która oświeca i grzeje, to symbol wiary i miłości. Niech nam nie będzie wstrętno godzinę czasu poświęcić Mszy św. śpiewanej z asystą, albo nieszporem, bo te ceremonie i te szaty kościelne, wszystko to ma swoje głębokie a wzniosłe symboliczne znaczenie. Nie wstydzmy się różańca, szkaplerza i bractw kościelnych. Różańcem okręcał prawicę, którą dzierżył walecznie buławę polną, hetman Jerzy Lubomirski, bohater z pod Chocima;

szkaplerzem i ryngrafem Matki Boskiej Częstochowskiej zbroili pierś swoją rycerze Sobieskiego z pod Wiednia; do bractw religijnych, do Sodalisów Maryi wpisywały się króle polskie, jak: Zygmunt III, Władysław IV, Michał Korybut, magnaty i pany jak: Koniecpolski, Opaliński, Klemens z Ruszczy Branicki. Mam księgę tych imion Sodalisów Maryi z 1606—1773 roku w mej celi. Obojętność ta religijna, wstręt ten i formalne uciekanie od nabożeństw i to pozowanie na filozofów i na postępowe damy, to rzecz niepolaska, to naleciałość obca — dajmy sobie z tem spokój a raczej powróćmy do onej staropolskiej, prostej a szczerzej pobożności, do kościołów, do Mszy św. i nabożeństw, do modlitwy i śpiewów, do Sakramentów świętych i bractw religijnych — i dobrze na tem wyjdziemy.

II.

Drugie przykazanie: *Nie będziesz brat Imienia Pana Boga twego nadaremnie*. Zakazuje się niem wszelka niecześć Bogu wyrządzona. Bezcześci się imię Boże a godność Chrześcijanina każdym ciężkim grzechem, choćby najbardziej ukrytym i tajemnym, dlatego, że grzech, jak to w konferencji IV wykazaliśmy, z natury swojej jest aktem buntu i rebelii przeciw Bogu. Tembardziej grzechy grube a jawne, szerzące dokoła zgorszenie, jak przekleństwa i wszelka nieobyczajność — te w wyższym jeszcze stopniu beczeszczą Imię Boże, bo nas katolików, którzy składamy dom i czeladkę Bożą, podają na pośmiech i urągowisko innowierców, bo gorszą maluczkich i prostaczków, którym my ludzie inteligencji, dobrym przykładem przyświecać powinniśmy.

Bezcześci się Imię Boże szyderstwą, obmową i poniewieraniem księży i zakonów,* bo stan duchowny jest jakby wyrazem zewnętrznym tej wiary, którą Bóg objawił, i w szczególniejszy sposób przeznaczony do służby Bożej urząd Boży na ziemi sprawuje. Zniewaga urzędnika jest zniewagą rządu, któremu służy, i bywały nieraz krwawe wojny za krzywdę

wyrządzoną urzędnikowi tego lub owego państwa. U nas nie-słychana w tej mierze luźność i swoboda; córeczki od swoich mam uczą się obmawiać księży; synkowie od swoich tatków uczą się wygadywać bezceństwa na księży, na klasztory i zakony. Czy nie tak? W wagonie czy salonie, w partykularzach i miastach najsmaczniejsza gratka łatkę przypiąć księdzu. Bywają niestety księża nieprzykładni, jak bywają obywatele, urzędnicy, męże i żony nieprzykładni, ale to nie uprawnia do obmowy, wymysłań i wygadywań na cały stan duchowny lombardziej, że nie brak też księży przykładnych i uczciwych. Jest to oznaką złego wychowania, a częściej jeszcze zepsutych obyczajów, ten fanatyzm anti-księży. Tu także należą one niedowcipne dowcipy wyszydzające obrzędy kościelne, przekręcające cytaty pisma św., anegdoty niekiedy tłuste o świętych Pańskich i t. p. konwersacje rzekomo wesołe, a w gruncie niemądre i niesmaczne, mające za przedmiot rzeczy święte religijne, które nigdy nie obejdą się bez zgorszenia i dlatego mogą się stać nawet ciężką obrazą Boga.

Właściwymi jednak grzechami przeciw drugiemu przykazaniu są krzywoprzysięstwo i świętokradcze łamanie ślubów. „Nie będziesz krzywoprzysięgał, powiada Chrystus, ale oddasz Panu przysięgi twoje“ (Mat. V, 33).

Przysięga, to wzywanie Boga za świadka, godziwa jest i aktem czci Bożej jest, jeżeli ją składamy w rzeczy ważnej, prawdziwej i zawezwani do tego przez prawowitą władzę. Składać przysięgi w rzeczach błahych, samowolnie i lekkomyślnie jest grzechem; składać je na kłamstwo lub fałsz, jest najcięższym grzechem, krzywoprzysięstwem, od którego niech nas Bóg ochroni. Bo nie tylko kodeks karny wymierza na krzywoprzysięcę karę kilku lat więzienia, ale zazwyczaj Bóg już tu na ziemi karze go niepowodzeniem, ruiną majątkową, wyrzutami sumienia i rozpaczą. Przestrzedz jednak muszę, że formuły: „jak Boga kocham, jak Matkę Boską kocham, jak mamę, albo jak dzieci moje kocham, sumiennie i t. p.“ nie są przysięgą w ścisłym tego słowa znaczeniu, tylko próżnym wzywaniem Imienia Bożego, albo zwykłą formą mówienia,

i nawet na twierdzenie rzeczy kłamliwej użyte, nie są grzechem śmiertelnym, jeno co najwyżej powszednim.

Co do łamania ślubów, to stają się tego świętokradztwa winni małżonkowie i to w rozmaity sposób. Rota przysięgi małżeńskiej u stóp ołtarza wymówiona zawiera to troje: 1) wierność i nierozdzielność dozgonną w pożyciu małżeńskim; 2) miłość obopólną; 3) uczciwość małżeńską. Wierność małżeńska łamie się nie tylko stosunkiem występny z inną osobą, ale nawet afektem, przywiązaniem namiętnem do innej osoby jak mąż i żona. Miłość małżeńska łamie się gburowatem, niedelikatnem obchodzeniem się i zaniedbaniem żony; formalnem uciekaniem z domu, ile razy się tylko da, kłótnią, swary i przekleństwami. Uczciwość małżeńska łamie się obcowaniem małżonków wbrew prawom natury i właściwemu celowi małżeństwa; jest to ten obrzydliwy, t. z. *Zweikindersystem*, który w Francji i Niemczech zatrul i skaził rodzinę i który wraz z krzywoprzysiężnem łamaniem wiary małżeńskiej grasuje już potężnie i w naszym więcej wykształconem społeczeństwie. Niewstrzeźliwość mężów, przesadna troskliwość o zdrowie i próżność żon i wstręt przed macierzyństwem trudem, obawa wreszcie finansowych kłopotów w wyżywieniu liczniejszej rodziny: oto motywa popychające małżonków do tych świętokradztw. Mówić o tem trzeba, jakkolwiek mówić o tem wstrętno, bo na domiar złego wyrobiły się w tej mierze sumienia fałszywe, bardzo szerokie i luźne; latami całemi popełniają się te grzechy, a nawet na spowiedzi nie oskarżają się z nich winni; kobiety przez wstyd fałszywy, mężczyźni przez libertynizm i swawolę; do starych grzechów przybywają nowe świętokradcze spowiedzie i Komunie; zło rośnie, a gniew i kara Boża nie zaśpi.

Równie obowiązujące, a lekkomyślniej jeszcze łamane bywają przysięgi i przyrzeczenia, składane przy objęciu pewnych urzędów, wymagających zwłaszcza rzetelności i dochowania tajemnicy.

Trzecie przykazanie: *Pamiętaj, abys dzień święty święcił*, a drugie przykazanie kościelne objaśniające to III przykaza-

nie Boże, powiada: *w niedziele i święta Mszy św. i kazania z uwagą i nabożeństwem słuchać*. Potrójny jest cel niedzieli i świąt: 1) złożenie czci i hołdu Panu Bogu; 2) nakarmienie duszy modlitwą, nabożeństwem i słowem Bożem; 3) wypoczynek od pracy. Stąd wypływają obowiązki: uczęszczanie na Mszę św. i nabożeństwa, które są aktem publicznym czci oddanej Bogu; powstrzymanie się od ciężkich robót i hałaśliwych zabaw, spędzenie dnia tego ucziwie i zbożnie. Najistotniejszym obowiązkiem jest wysłuchanie Mszy św. *całej* w niedziele i święta i to pod grzechem śmiertelnym. Jedynie chorooba obłożna, albo obowiązek pielęgnowania ciężko chorego w domu, albo fizyczna niemożliwość, jak złe, nieprzebyte drogi, uwalnia od tego obowiązku. Dlaczego ten obowiązek, dlaczego pod grzechem śmiertelnym? Msza św. jest ofiarą, tą samą co do istoty, którą Chrystus spełnił na krzyżu i świat zbawił, tylko co do sposobu odmienną, i jako taka jest istotnym aktem religijnym; jest jakby ogniskiem całego naszego życia religijnego. Usuńmy Mszę św., a z nią Najśw. Sakrament z naszych kościołów i kaplic, a przestaną nam być świątynią, staną się jakimś lokalem publicznym, zborem lub synagogą. I dlatego Kościół obowiązuje nas w sumieniu i pod grzechem, abyśmy we Mszy św. uczestniczyli obecnością swoją. Należy być na *całej* Mszy św., tj. przynajmniej od ewangelii do komunii kapłańskiej. Sztukować Mszy św. słuchając jednej, np. od podniesienia do końca, a drugiej od początku do podniesienia, nie można; bo Msza św. jest jedną, całą, zupełną ofiarą, której dzielić nie podobna.

Obok Mszy św. słuchanie kazań, przynajmniej od czasu do czasu jest obowiązkiem katolika. Dlaczego? Bo żywe słowo Boże na ambonie jest tym naturalnym organem, przez który dochodzi do nas objawiona prawda Boża, wiara. Z żywym słowem Bożem a nie z księgami i pismem wysłał Chrystus Pan Apostołów na świat cały: *euntes praedicate* idąc nauczajcie wszystkie narody. Z żywym słowem, z kazaniem, a nie z księgami i pismem, przyszedł Bonifacy do Niemiec, Ansgar do Szwecyi, Augustyn do Anglii, Cyryl i Metody do Słowian, Wojciech św. i Stanisław do nas Polaków; z żywym słowem,

z kazaniem idą dzisiaj misyonarze do zaatlantyckich krajów, do ziemi afrykańskiej Kongo. I Paweł św. upomina ucznia swego Tymoteusza, biskupa Efezu: „*Praedica verbum*, przepowiadaj słowo, nalegaj w czas albo nie w czas, karz, prosz, łaj z wielką cierpliwością i nauką“. (Timot. IV, 2).

Sobór trydencki poleca Biskupom, aby sami osobą swoją kazania czynili, a jeżeli tego nie mogą, aby mieli swoich kaznodziei teologów (Ses. V. de Reform. c. 2). I był ten zwyczaj po wszystkie czasy, że królowie i pany mieli swoich nadwornych kaznodziei, nie dla parady tylko, ale dla pożytku. Słuchał pilnie nasz Batory i dwór jego łacińskich kazań ks. Sokołowskiego, Zygmunt III i rodzina i dwór jego natchnionych kazań Skargi. Sejmy i trybunały rozpoczynały się Mszą św. i kazaniem i mamy prześliczne, a dziwnie mądre sejmowe kazania Skargi, że o wielu innych tu nie wspomnę. Po dworach polskich i domach mieszczańskich był zwyczaj, że wieczorem zbierała się rodzina, czeladź i domownicy do izby, a syn lub córka rodziny powtarzał treść słyszanego w kościele kazania. Dzisiaj rzeczy postać inna; inteligencya nasza, panie nawet wcale nie chodzą na kazania i nie robią z tego żadnej tajemnicy, owszem chępią się. Dlaczego? A bo księża mówią zbyt prosto, nieuczenie, dla ludu tylko a mówią zbyt długo, nudno ich słuchać. To znów mają się za bardzo mądrych i uważają za poniżenie swej godności słuchać pod amboną, co tam lada księżyk prawi. „Jam skończony prawnik, jam technik, jam doktor patentowany, jam chodziła na pensyą lat 8, a ja w klasztorze się uczyłam, wszystko wiem, ksiądz mi nic nowego nie powie“. A rezultat tego rozumowania jaki? Olbrzymia ignorancya rzeczy religijnych wśród naszej inteligencji, zubożenie w wierze a zdziczenie w obyczajach. I nie może być inaczej. Słuchając słowa Bożego odświeża się to, czegoś się w szkole nauczył. Będąc też teraz i starszym i poważniejszym, lepiej zrozumiesz wzniosłe prawdy Boże, które dzieckiem lub podlotkiem będąc, powierzchownie, pamięciowo tylko pojmywałeś. Księża też kaznodzieje mając przed sobą audytorium inteligentne, z większą staran-

nością i erudycją obrobią swoje kazanie, iż tobie i słuchać będzie miło. „Do słuchania słowa Bożego, powiada złotousty Skarga, mamy przystępować, nie jako do słuchania oracyi albo komedyi, albo lekcyi, ale jako do jakiego Sakramentu, jako do słuchania wielkiego posła od Pana nieba i ziemie. Przepowiadanie słowa Bożego ma w sobie tajemnicę wielką: z wierzchu zda się być słowem ludzkim, a ono wewnątrz jest słowem Bożem... usta są ludzkie, ale sprawa Boska“ (Kaz. na sexag.).

Powiesz mi, ale ustawa austriacka z 1868 r. zniósła święcenie niedzieli; urzędnikom kazano chodzić do biura a urzędom funkcyonować nawet w największe święta od 9 — 12 rana; kupcom, przemysłowcom i rękodzielnikom pozwolono kupować, sprzedawać, frymarczyć i pracować nawet podczas głównego nabożeństwa i dopiero ostatniemi czasy ograniczono nieco pracę i handel niedzielny. Wszystko to niestety prawda, ale cóż stąd? Trzecie przykazanie Boże: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił“, starsze i wyższe nad wszelkie prawa i ustawy ludzkie, a przykazanie kościelne o słuchaniu mszy św. i święceniu niedziel nie przestało obowiązywać w sumieniu nas katolików dlatego, że Rada państwa w Wiedniu od tego obowiązku nas zwolniła. Zresztą ustawa z 1868 r. nie nakazuje gwałcić niedzieli, ale wypowiada to tylko, że policya i żandarmi nie będą już pilnowali zamykania sklepów, szynków i warstatów o 9-tej godzinie rano w niedziele i święta, jakto przed 1868 r. bywało, a sądy nie będą za to przekroczenie karały, czyli innemi słowy: że państwo usuwa swe świeckie ramię i nie troszczy się już więcej o święcenie niedziel; ale ani prawa Bożego ani przykazania kościelnego ustawa ta nie znosi, bo to nie jest w jej mocy. Panowie urzędnicy niech raczą wstać wcześniej, a pójdą bardzo wygodnie na ranną Mszę św., która zwykle po miastach i miasteczkach o godz. 7 lub 8 się odprawia. Po większych miastach jak Lwów i Kraków jest o 12, t. z. pańska Msza św. to prosto z biura, zamiast na koniaczek i przekąskę można pójść do kościoła. Byłe się tylko szczerze chciało, znalazłby się czas na mszę

św., ale nam tak wygodnie zastawić się to ustawą, to biurem to już nie wiem czem, bo nam do modlitwy i praktyk religijnych leniwo.

Panie i panienki nasze bywają na Mszy św., ale nie zawsze, t. j. nie *każdej* niedzieli i święta; zależy to często od usposobienia, od humoru i kaprysu, wystarczy im lada przyczyneczka, aby na nią nie pójść. „Dzisiaj zbyt zimno, jutro zbyt gorąco w kościele, więc zostanę w domu. Nie uszyto mi sukni, nie nadesłano modnego kapelusika, więc zostanę w domu. Pani X. przyszła z wizytą, krewni zjechali na święta, więc nie wypada wychodzić z domu itd.” Wysiłamy się na to, aby wynaleźć racją niepójścia do kościoła, a jednak słuchanie *całej* mszy św. w niedziele i święta jest obowiązkiem i to pod grzechem ciężkim, nie zapominajmy o tem. Nie chodzi tu, drogie moje panie, o wystawę waszych strojów i popisywanie się toaletą, ale o akt religijny, o modlitwę i cześć oddaną Bogu; zrozumiejmyż to raz przecie i nie bądźmy tak niemądre, abyśmy rzeczą tak wzniosłą jak ofiara Mszy św. i kościół, posługiwały się do zaspokojenia próżności kobiecej.

A teraz co sądzić o balach sobotnich, o festynach i zabawach ludowych w niedziele i święta? Powiem krótko: inwencya to masonska, antychrześcijańska, obliczona na to, aby odciągnąć ludzi od kościoła, odzwyczaić ich od nabożeństwa i odchrześcijanić powoli. A to jak? Bardzo prosto. Przez całą noc sobotnią tańcząc i skacząc aż do 6 rano, śpi się potem do południa, o słuchaniu Mszy św. mowy tu niema. Przygotowania do festynów ludowych albo zabaw i widowisk niedzielnych pochłaniają czas i uwagę licznych widzów i uczestników tychże; nie kościół im w głowie, ale toaleta i przyjemności i zabawa. Aby klasy robotnicze jeszcze skuteczniej odwieść od kościoła i nabożeństw, wprowadzono zwyczaj całotygodniowej wypłaty robotnika w niedziele i to podczas sumy. Praktykuje się to po fabrykach, warsztatach, nawet po dworach polskich zagnieździł się ten niechrześcijański zwyczaj. Już przedzwoniono na wieży kościelnej, wyszła suma, huczą organy, słychać śpiewy pobożne, a tu gromada ludu stoi przed

dworem, czekając na ów grosz ciężko zapracowany albo na kwitek; dziedzie tymczasem z panami oficjalistami odbywa w kancelaryi sesję gospodarczą. Ranek niedzielny spędziwszy na wypłatach i sesjach, po obiedzie wyprawia się fornalki to do lasu po drzewo, to do młyna, to z odstawą zboża żydowi na kolej. Napróżno ks. proboszcz upomina i prosi; zamiast poprawy, gniewy na proboszcza, bo fanatyk. I dziwimy się potem, że niema błogosławieństwa Bożego, że na fortunach szlacheckich rozsiada się brudne żydowstwo; jak ma nam Bóg błogosławić, kiedy my wyraźny rozkaz Jego „pamiętaj, abyś dzień święty święcił“ depcemy, i z dworu zgorszenie rozsyłamy na wieś całą. I nie należy mniemać, że takie dwory, gdzie o święceniu niedzieli nic nie wiedzą, należą do wyjątku; przeciwnie, do wyjątku, u nas przynajmniej w Galicyi, należą dwory, gdzie od pana i pani aż do stangreta i pastucha wszyscy są na mszy św. i nabożeństwie niedzielnem. Proszę mi wierzyć, bo prawdę mówię.

A dopieroż z kupcami i przemysłowcami naszymi w Galicyi, to istna plaga Boża. W luterskich Prusiech surowe prawa i kary zmuszają do zamykania sklepów i lokalów publicznych w niedziele już o 9 rano. Dzieje się to w protestanckiej Anglii, w bezwyznaniowej Ameryce, tylko w naszej rzekomo katolickiej Austrii od 1868 r. dzieje się wręcz przeciwnie. Handel, praca, roboty publiczne i formalne targi trwają w najlepsze podczas nabożeństwa niedzielnego. Galicyjskie miasta i miasteczka poszły za przykładem Wiednia. Napróżno zawiązały się we Lwowie i Krakowie stowarzyszenia w celu święcenia niedzieli, napróżno wskazywano im na przykład żydów, którzy z natury cheiwi zysku, w szabasy i święta swoje nie tylko wszystkie sklepy zamykają, ale nawet żadnej podróży bliższej lub dalszej nie przedsięwzimą; ten i ów zamknął swój handel przynajmniej podczas sumy, ale ogół kupców i przemysłowców chrześcijańskich zostawia je otworem aż do godziny 12 i dłużej. Ustawa państwowa z roku 1885 ma na celu *wypoczynek* niedzielny, a nie *święcenie* niedzieli i dlatego pozwala, aby po dawnemu szynki i lokale

publiczne, skąd najwięcej szerzy się niemoralności i najwięcej przeszkód do święcenia dnia pańskiego, zostały przez cały dzień otwarte; handle korzenne i wiktuałów przez cały ranek, wszystkie zaś inne handle do godz. 10 rano. To też nawet w takie uroczystości jak Zielone Świątki i Boże Ciało miasta i miasteczka nasze mają raczej fizyonomię dnia jarmarcznego, jak dnia świątecznego. I znów pytam: cóż dziwnego, że handel z rąk chrześcijan się wymyka, że w rynkach i głównych ulicach świecą gęsto i coraz gęściej żydowskie sklepy; że słyszymy raz po raz o upadku firm chrześcijańskich starych i nowszych? Tak być musi, bo skoro człowiek hardo się stawia Bogu i powiada sobie: „z Bogiem czy mimo Boga, ale ja bogatym być muszę“, to rzecz jasna, że Bóg, jako wielki Pan usunie od niego błogosławiącą rękę swoją i zostawi go jego własnej niemocy.

To sobie wszyscy dobrze zapiszmy w pamięci: do zachowania niedzieli i świąt przywiązał Bóg błogosławieństwo swoje, jak znów pogwałcenie niedzieli i święta karze Bóg już tu na ziemi niepowodzeniem, ubóstwem, nędzą i ruiną majątkową, bo oto tak On mówił w swoim czasie do Izraela: „Sabatów (świąt moich) strzeżcie, ja Pan Bóg wasz... Sabatów moich strzeżcie, a świątnicy mojej bójcie się: Jam Pan. Jeżeli w przykazaniach moich chodzić będziecie., będziecie jeść chleb wasz w sytości i bez strachu mieszkać będziecie w ziemi swej. Dam pokój w granicach waszych. Będę chodził między wami i będę Bogiem waszym i wy będziecie ludem moim. A jeżeli mnie nie usłuchacie i nie zachowacie wszystkich przykazań moich... Ja też wam to uczynię... próżno siał będziecie siew, który od nieprzyjaciół pożarty będzie, upadniecie przed nieprzyjaciół waszymi i będziecie poddani tym, którzy was mają w nienawiści. I zetnę pychę zatwardzenia waszego i dam wam niebo z wierzchu jak żelazo, a ziemię miedzianą, w niwecz pójdzie praca wasza... miasta wasze obrócę w pustynie i spustoszę świątnice wasze, a was rozprószę między narody i dobędę miecza za wami; a będzie ziemia wasza pusta, a miasta wasze

zburzone* (Levit. XIX, XXVI). Część tych grózb Bożych spełniła się i spełnia po dziś dzień na narodzie naszym.

A nie tylko Żydzi, ale i starzy Rzymianie, naród klasyczny, wysoce politycznie i naukowo wykształcony, przestrzegali skrupulatnie świąt swoich. W ferye, t. j. w dni świąteczne wszystkie subselia i magistratury zawieszały swą czynność, ustawał wszelki ruch handlowy, wszelki targ pieniężny; *numularii*, dzisiejsze nasze kantory wymiany, zamykali swoje stoły, słowem cisza uroczysta zalegała stare *forum* rzymskie, bo to dzień poświęcony bóstwu, stąd też i nazwa *feriae*, czas wolny od zatrudnień. Jeżeli więc poganie, jeżeli za dni naszych bezwyznaniowe, a przemysłem żyjące Amerykany albo protestanckie kupieckie Angliki, przestrzegają surowo święcenia niedzieli, iż nawet towarowym pociągom stanąć każą i nie tylko lokale publiczne, ale i wystawy przemysłowe, jakto miało miejsce w Filadelfii, zamykają; toć słuszną i sprawiedliwą, abyśmy naród od lat tysiąca katolicki, nie poszli za przykładem obcych niedowiarków i ateuszów, ale wznowili prastary zwyczaj polski i o ile w nas jest, przywrócili niedzieli i świętom ich dawny charakter *dnia Bożego*, dnia Bogu, modlitwie i zbawieniu duszy przeznaczonego.

Na tem ograniczam rozbiór trzech pierwszych przykazań, określających obowiązki nasze względem Boga. Teraz pilno mi do rozbioru reszty przykazań, normujących stosunek nasz do bliźniego i do siebie samych.

KONFERENCYA VI.

Dalszy rozbiór dekalogu. — Obowiązki rodziców. — Wady domowego u nas wychowania. — Prawa rodziców w wyborze stanu swych dzieci. — Obowiązki panów względem sług. — Powinności dzieci względem rodziców. — Obowiązki nasze względem Kościoła, kraju i państwa.

„Słuchaj synu mój ćwiczenia ojca twego, a nie opuszczaj zakonu matki twojej; aby była przydana łaska głowie twojej, a łańcuch szyi twojej“.

(Ks. Przyp. I. 8. 9).

I.

Pierwsze miejsce po Bogu, rodzice. Bóg jest Stwórcą człowieka, ale życie mu daje przez ojca i matkę i dlatego zaraz po trzech przykazaniach, określających stosunek człowieka do Boga, przykazanie IV. o czci rodziców i to pod grozą utraty błogosławieństwa Bożego: *Czcij ojca i matkę swoją, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi.* Przykazanie to, to miecz obosieczny, nakłada obowiązki dzieciom, ale równie obciąża sumienie rodziców, którzy na ziemi miejsce Boga zastępują. Jakież są obowiązki rodziców względem dzieci?

Rodzice winni dzieciom: 1) miłość; 2) wychowanie; 3) sposób do życia. Winni swym dzieciom najprzód afekt serdeczny, bo to kość z ich kości, krew z krwi ich, bo i nieme

zwierzęta miłują swoje młode przynajmniej tak długo, jak te ich opieki potrzebują. Winni wszystkim swym dzieciom *równą* miłość, i grzeszą, jeżeli zaniedbując inne, jedno, zazwyczaj najmłodsze, kochają nad miarę i faworyzują. Gagatkowi temu wszystko wolno; wolno z gniewu tupać nóżką o ziemię, i w kułak ścisnąwszy rączkę bić siostry lub braci, i swywoilić i dokuczać sługom i próżniaczyć, bo to faworyt mamy, faworytka papy. Zazwyczaj takie krzywdą innego rodzeństwa wypieszczone córki i synki źle się udają, trują życie rodzicom na stare lata, bo psute za młodu, nie nawykłe do karności i pracy i zaparcia siebie. Gorzej jeszcze, jeżeli rodzice jedno lub drugie z swych dzieci zgoła zaniedbują, źle się z niem obchodzą, każą mu być „kopciuszkiem“ w domu, patrzą obojętnie na psoty i krzywdy wyrządzane mu przez resztę rodziny i domowników. Takie obejście się z dzieckiem wyrabia charakter zamknięty w sobie, skryty, nieufny i nienawidzący drugich; a najczęściej spotyka to dzieci upośledzone od natury, tępego umysłu, kaleki, chrome, niemowy lub głuchonieme. A ono wręcz przeciwnie być powinno; im bardziej niedołężne, chore, kaleka, tem większa dla niego miłość i opieka matki. Znałem panią zacnego domu, która mając trzech synów, dzisiaj doktorów praw, miłowała wszystkie, ale najstarsze, ułomne wskutek nieostrożności piastunki dziecię szczególniejszą otaczała miłością i pieczą: „dość już upośledzone kalectwem, mówiła, niechże mu moja matczyzna miłość wynagrodzi choć w części tę ujmę“. To prawa matka, szlachetna matka i Bóg jej też błogosławił. Zazwyczaj jednak mamy polskie grzeszą nie brakiem, ale zbytkiem miłości względem swoich synów, zwłaszcza jedynaków. Zbyt czule i zbyt troskliwe o zdrowieczko synka, pieszczą, chuchają, karmią dzień cały, trzymają do późnych lat przy spodnicy i wychowują na niewieściuchów. Synalek uczyć się nie chce, urwis i nicpoń; to guwerner, profesor winien, koledzy winni, on, broń Boże, niewinniątko, baranek, ideał dowcipu, rozumu, doskonałości. Patrzałem na takie mamusine syny i nie było z nich pociechy; owe niewieście pierwsze wychowanie wyci-

snęło im piętno na całe życie, piętno nieporadności, niedołęstwa, słabej woli; szczęście, jeżeli się ożeniwszy dostali się pod pantofel rozumnej żony. Córeczki zaś domu wychowują się na ideał egoizmu. Niema podobno większych na świecie egoistów wyrafinowanych, jak te nasze panienki. Psuje je papa pobożnością i we wszystkim dogadza, bo to słabe, delikatne stworzenie; psuje mama pieścizkami, a dopieroż babcie, ciocie, kuzynki jak zaczną dziecku dogadywać, że tak grzeczne a rozkoszne a mądre; domownicy i przyjaciele jak zaczną schlebiać urodzie i wdziękowi — tak już to siedmioletnie dziewczętko pełne miłości własnej i pretensyi. A dopieroż gdy rzeczywiście ma talentu i wdzięku trochę, to ją już na jakąś nadzwyczajną istotę wystrychną. Panienka rośnie a z nią miłość własna, egoizm. W świat ją prowadzą, więc wszyscy domowi i domu przyjaciele biegną w zawody, aby pannie przyjemność jaką zrobić, młodzież pali grzeczne komplementa, a panna wierzy i rozdyma się próżnością i egoizmem. Czy nie tak bywa? I z tej czczej, próżnej, chciwej przyjemnych wrażeń egoistki ma być żona pełna poświęcenia i matka i pani domu pojmująca swe ciężkie obowiązki poważnie, wykonywująca je rozumnie?

Winni rodzice dzieciom wychowanie i to wychowanie chrześcijańskie, na bojaźni Bożej i wierze katolickiej oparte, cnotliwe i skromne, a winni je dać najprzód przykładem swoim, potem nauką i upominaniem, a jeżeli potrzeba i karaniem. Niestety, zazwyczaj dzieje się inaczej. O przykład dobry trudno, zwłaszcza ze strony ojców. Rzadko dziecię widzi ojca swego odmawiającego pacierz klęcząco; rzadziej jeszcze przystępującego do Sakramentów świętych; natomiast z ust jego słyszy dowcipki przeciw wierze, docinki matce lub siostrze, lub gderania na służkę, że za długo siedzi w kościele, za często się spowiada, za wiele naprzykrza się Bogu i nudzi księży. Czy nie tak? Nawet w szczęśliwych małżeństwach zajść mogą jakieś nieporozumienia, coż dopiero, gdy się charaktery nie dobiorą. Otóż te spory i wojny domowe odbywają się wobec dzieci, które są świadkami i złego humoru papy i lez matki;

uczą się ich nie szanować, dzielą się na partye i za przykładem rodziców kłócą się i gryzą między sobą. A dopieroż, gdy papa uniesiony gniewem, mama rozdrażniona żalem, miotać poczną przekleństwa, wyzwiska, wymawiać sobie do oczów wiarołomstwo — bo i to bywa — co wtenczas? jaki to wpływ zbawienny na charakter dziecka, które młode, wrażliwe, wszystkiego słucha ciekawie i pamięta dobrze? To znów zbierze się liczniejsze towarzystwo, mówi się to i owo, powtarza kokomeraże i skandaliki małomiejskie — a dzieci w salonie, bo gdzieżby były, trzeba się niemi przecie popisać, niby to się bawią roztargnione, a słuchają wszystkiego uważnie; czego nie zrozumieją, o to spytają sługi, lokaja, ci im dopowiedzą reszty. Drogie matki moje, miejcież litość nad waszemi dziećmi, siła złego im wyrządzą tem przedwczesnem wprowadzaniem ich w towarzystwo starszych i tą niesłychaną nieostrożnością, z jaką się wobec nich zachowujecie same i mężowie wasi. Pogański filozof powiedział: „*puero et seni debetur reverentia*, dziecięciu i starcowi należy się szacunek, starcowi dla wieku, dziecięciu dla jego niewinności“. Uszanujmyż wždy tę ich niewinność; dosyć ich potem świat napsuje i zepsuje, dlaczegóż ojciec i matka przykładąć ręki mają do tej bezbożnej roboty? Cóż dopiero, gdy pani mama żadna wizyt i zabaw, strojem i lekturą romansów zajęta, dzieci zostawia na opiekę bon. piastunek, i bab wiejskich? Dokąd one z niemi pójdą w jakie nieraz towarzystwo wejdą — to i strach pomyśleć. Wychowanie dziecięcia do lat 7 to święty obowiązek matki; ona rączki jego składa do pacierza, ona uczy grzeczności ona grosz mu wtyka w rączkę, aby go dało ubogiemu, ona prowadzi do kościoła i kolanka zgina przed ołtarzem; słowem, ona jego pierwszym katechetą, mistrzem, pedagogiem i braku tego pierwszego macierzyńskiego wychowania żadna obca ręka nie zastąpi. Zapamiętajcie to sobie drogie mamy. Od 7-go roku rozpoczyna się edukacya szkolna; tu już oboje rodzice czuwać muszą, aby szkolne towarzystwo, często bardzo niedobre i niesforne, nie popsuło snąć tego, co dało dobre domowe wychowanie; aby w miarę nabywania nauk, rosła pobożność; aby

tlumić i tępić rozwijającą się próżność, zmysłowość, egoizm i blagę, a rozwijać zamiłowanie prawdy i pracy, aby przede-wszystkiem wpoić w nie *poczucie obowiązku*, słowność i wy-trwałość; przymioty, o których wychowanie nasze domowe i szkolne prawie zapomina. Trudne to zadanie, ale istotne, w sumieniu obowiązujące rodziców — z rąk waszych domagać się będzie Bóg duszy dziecięcia.

Włócząc się po różnych miejscach i stronach naszego kraju i patrząc z blizka na wychowanie dzieci w domach zwłaszcza obywatelskich, a nadto jako spowiednik i kapłan od lat 17, przekonałem się, że trzy są ogólne niemal wady naszego wychowania: czułośćkowość, nerwowość i egoizm u dziewcząt; miękkość, nieporadność i wstręt do pracy u chłopców; brak poczucia obowiązku i powinności u obojga. Wady te fatalne mają następstwa na przyszłość i są przyczyną braku ludzi politycznych, obywatelskich, na który się słusznie skar-żymy. Zauważono, że obywatelska młodzież zwykle nie kończy studyów, przerywa je przed maturą, na pierwszym lub dru-gim roku uniwersyteckich nauk i kontentuje się zazwyczaj słuchaniem kursu agronomii i praktyką gospodarską. Jakież tego rezultat? Obniżenie poziomu umysłowego, nieuctwo, iż niezadługo trudno nam będzie znaleźć zdolnych kandydatów na tych kilkudziesięciu posłów do rady państwa, do parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego. Zauważono, że młodzież szla-checka w Galicyi, nie garnie się wcale do karyery wojskowej, chociaż ta dzisiaj stoi przed nią otworem; snąc jej nie do smaku rygor wojskowy, a bardziej jeszcze nie do smaku stu-dya i egzamina do stopni wyższych oficerskich wymagane; nie chce się jej uczyć i nie chce słuchać; po roku lub kilku latach wojskowego rzemiosła porzuca je, i podczas kiedy Wę-grzy, Kroaci i Czesi, Morawce, liczni mają zastęp wyższych oficerów, to my Polacy w całej czynnej armii austriackiej na dziesięciu palcach policzyć ich możemy, regimentom galicyj-skim hetmanią obcokrajowcy, nie przez niechęć rządu, ale przez brak wyższych oficerów Polaków. Za to po dworach i miastach tej młodzieży pełno — cóż ona tam robi? Nibyto

gospodaruje, niby szuka zajęcia i „pracuje w biurze“ a w gruncie bawi się i nudzi naprzemian, grosz i czas traci i marnieje, bo i gospodarskie warunki smutne, i o zajęcie i biurową pracę trudno; znajdują się do niej i bardziej uzdolnieni i bardziej pilni. A źródłem złego: miękkość domowego wychowania, pieściotliwość mam, pobłażliwość ojców.

Przestrzedz się jeszcze mają, matki zwłaszcza, przed zbytnią bezpieczeńścią o cnotę swoich podrosłych już synów i panienek. Niech tej ich cnocie zbyt nie ufają, niech je sam na sam z kuzyneczkami i kuzynami nie zostawiają. Pod pozorem kuzynostwa czy pokrewieństwa, wywiązuje się pewna zażyłość w obcowaniu; krew nie woda, w młodym wieku kipi od namiętności, o złe nie trudno; z zażyłości do poufałości, z poufałości krok jeden do występku i utraty tej cnoty, której się zanadto dufało. Mnie księdzu wiercie, ja wiem co mówię.

Wreszcie winni rodzice dzieciom dać sposób do życia. Co to znaczy? Masz syna, wykształć go odpowiednio do jego talentu i ochoty a twego majątku, albo na rzemieślnika uzdolnionego, albo na urzędnika i oficjalistę, albo na obywatela, ale w każdym razie niech ma ten twój synek *kurs nauki skończony*, niech będzie wykształcony fachowo. Nie szkodliwszego, jak młodzieniec o nieskończonych studiach; — w charakterze jego pozostanie na zawsze coś niedowarzonego, połowicznego, chwiejnego; przeciwnie jakikolwiek kurs nauk, byle skończony, czy to kurs prawa, czy techniki, czy agronomii i leśnictwa, czy handlu i przemysłu, czy rzemiosło dobrze wypraktykowane, dając coś całego i zaokrąglonego, kształci prawdziwie i wyrabia umysłowo.

Masz córkę, oblicz się najprzód, ale sumiennie, azali i jaki posag jej dać możesz, i odpowiednie do jej rodowego i majątkowego stanowiska daj jej wychowanie. Bo w tem właśnie tkwi całe nieszczęście, że dzieci nasze wychowujemy nad stan i możność, a sprawę edukacji panienek przeholowaliśmy co się zowie. Proszę się tylko przypatrzeć uważnie jakto się edukują nasze panienki. Czy to obywatelska zamożnego domu

córka, czy córeczka oficjalisty lub średniej fortunki mieszcza-
nina, czy to panienka wysokiego dygnitarza, czy średniego,
a nawet niskiego urzędnika — wszystkie te dziewczątka muszą
brać lekcye tańca, fortepianu i francuskiego, i kończyć eduka-
cyą wyższą, ile możności na pensyi albo nawet w domu; mu-
szą być modnie wystrojone, bywać na balach i teatrach, pro-
menadach i wieczorkach, a nie rzadko dawszy wmówić w sie-
bie, że są geniuszami, pozują na artystki, poetki, malarki,
śpiewaczki. O domowym gospodarstwie, o kuchni i spiżarni,
o szyciu i garderobie ani mowy — któżby to się tem zajmo-
wał, to rzecz szafarek i pokojówek. Skończy się edukacya
i dorosła panna nie wie, co ma ze swoją figurą zrobić; brzdąka
całemi godzinami na fortepianie, czyta romanse i — nudzi się
szalenie, albo marzy o ideałach szczęścia, które się nigdy nie
zrealizują, a potem gniewa się i poczynia żal mieć i nienawiść
do ludzi, że są okrutni, bo się na niej poznać nie umieją
i szczęściu jej przeszkadzają. Czy tak nie bywa? Wychowanie
staranne i pańskie dobre jest, gdy fortuna i posag potem;
gdy posażek chudy, albo gdy go wcale niema, to wykształć swoją
córkę, czy to na nauczycielkę — chociaż tym nauczycielkom
hiperprodukcya grozi — czy na uzdolnioną krawczynią, czy
w innym, byle uczciwym zawodzie, ale niech ma chleb w rękę,
a przede wszystkim niech będzie poradną, obrotną, pracowitą
a w domowym gospodarstwie dobrze wyćwiczoną. Widziałem
nawet pańskie domy, ale w niedostatku, bo pani domu wy-
chowana na wielką damę, na niczem się nie znając, we wszy-
stkiem na sługi się spuścić musiała, którzy też ją kradli nieli-
tościwie. Przeciwnie w skromnej nieraz fortuny rodzinach
dostatek panuje, bo pani domu obrotna i pracowita, sama
wszędzie pójdzie, zagładnie, dopilnuje i robi.

A teraz ważne pytanie: w wyborze stanu dzieci, jakie
prawa przysługują rodzicom: Czy może powiedzieć ojciec lub
matka: synużeń się z tą a z tą, córko wychodź za mąż za
tego, ja ci to każę, albo: nieżeń się, nie wychodź za mąż
i to pod grozą odmówienia ci błogosławieństwa mego; zostań
księżdem, zostań zakonnicą, albo odwrotnie, nie pozwalam ci

pójść na księdza, nie pozwalam do klasztoru“. Czy mogą tak mówić i tak działać rodzice? — Nie mogą — przechodzi to zakres ich rodzicielskiej władzy. Wybór bowiem stanu to rzecz, która się tylko między Bogiem a człowiekiem samym odbywa. Trzy są stany: małżeński, duchowny i zakonny, a wreszcie stan dozgonnego panieństwa.

Małżeństwo w myśl Chrystusa Pana, jest symbolem tego duchowego związku, jaki między Chrystusem a Kościołem zachodzi. Chrystus jest głową Kościoła, *caput, sponsus Ecclesiae*; Kościół jest oblubienicą Chrystusową, *sponsa Christi*; Chrystus miłuje Kościół, i jest przez Kościół umiłowany, związek to mistyczny, związek miłości. Otóż i małżeństwo opierać się powinno na wzajemnej miłości, na tym rzetelnym, szczerym, miłosnym związku dwojga serc szanujących się wzajemnie i lgnących do siebie. Już zaś afektu tego, miłości tej szlachetnej a głębokiej wywołać na komendę nie można, a więc i rozkazać nie można. Rota przysięgi ślubnej brzmi: „ślubuję ci wiarę, *miłość* i uczciwość małżeńską“, a więc *miłość*, a więc małżeństwo bez miłości jest krzywoprzysięstwem, zbrodnią, do której nikt nie ma prawa popychać, tem mniej rodzice swe dzieci. Rodzice mogą robić przedstawienia, radzić lub odradzać, wskazywać na smutne lub pomyślne następstwa związku, ale jeżeli tylko starający się o rękę córki młody człowiek jest moralny, uczciwy i ma chleb w ręku, jeżeli jednym słowem, nie jest to co nazywamy megalians, bronić i to pod grozą odmówienia swego błogosławieństwa, nie mają prawa, jak znów nie mają prawa zmuszać, jeżeli dziecko nie ma przywiązania, albo czuje wstręt lub odrazę do tego lub do tej, któregooby oni zięciem lub synową mieć pragnęli. Słowem: w ożenieniu się syna lub zamążpójściu córki rodzice mają głos doradczy, a nie decydujący i rozkazujący.

Stan duchowny i zakonny, jest moralnie wyższy i doskonalszy od małżeństwa, bo to stan wysokiej abnegacyi, ofiary i poświęcenia się dla drugich, to spełnienie już nie tylko przykazań Bożych ale rad Chrystusowych, o których powiedziano: „*qui potest capere, capiat, kto może pojąć niechaj pojmuje*“ (Mat. XIX. 12). I jest osobne powołanie kapłańskie i zakonne.

Niestety wyrobiło się u nas w tej mierze niesłychane skąpstwo dla Boga, i coraz rzadsze są powołania wśród klas majątnych i wykształconych, a i te okupione zazwyczaj długą walką i formalnym targiem z rodzicami i familią. Pytam, kto dał prawo ojcu i matce bronić dziecku pójść za głosem powołania Bożego? Wolno im to powołanie wypróbować, doświadczyć, ale z góry odmawiać swego pozwolenia i błogosławieństwa nie lża.

Jest jeszcze trzeci stan dozgonnego dziewictwa. Czasami jest ono dobrowolne, ale częściej wywołane zbiegiem okoliczności i dlatego stare panny są przedmiotem docinków, żartów i szykan ludzi światowych. — Całkiem niesłusznie. — Dziewictwo nawet u pogan zostawało w wielkiej czci i szacunku, czego dowodem Westalki, które po imperatorach i konsulach pierwsze na igrzyskach publicznych zajmowały miejsce. W myśl Chrystusa jest ono zacniejsze, jak małżeństwo; sam Chrystus był dziewicą, za matkę sobie obrał dziewicę, ukochany uczeń jego Jan św. był dziewicą. W pierwszych wiekach chrześcijańskich, owszem, aż do VII wieku nie było zakonów żeńskich, a mimo to, napotykamy długi szereg panienek książeńcych, senatorskich i pańskich rodów w Rzymie i w wszystkich krajach rzymskiego imperium, które urodziwe i bogate, mając przed sobą świetne zamążpójście, dziewictwo swe poślubiły Chrystusowi, owszem wołały wolność utracić, pójść na wyszukane męki i śmierć samą, jak wieniec paniński na czepiec zamienić: owe Domicele, Katarzyny, Barbary i inne, o których czytaj kto chcesz *Żywoty Świętych Skargi*. Mogą się i teraz znaleźć charaktery wyjątkowe, którym małżeństwo wstrętne, a zakonne życie zbyt twarde, te więc pozostają w świecie w panieństwie do śmierci. Mogą się znów znaleźć i znajdują rzeczywiście sytuacje wyjątkowe, że się nie może oddać ręki temu, którego się kocha, a nie ma się znów sumienia oddać jej temu, który o nią prosi, bo się go nie kocha. Nieraz śmierć nielitościwa zabierze ukochanego; nieraz familijne albo finansowe i higieniczne względy stoją związkowi na przeszkodzie, pozostaje się więc panną do śmierci.

Pytam, cóż w tem zdrożnego, co ubliżającego dla panny albo dla jej rodziny? Owszem, takie starsze a nawet stare panny, byle tylko same nie uważały się za pokrzywdzone i poniżone, są czci i szacunku godne; swobodniej i goręcej służyć mogą Bogu, pielęgnują to starych rodziców, to młodsze wychowują rodzeństwo, to poświęcają się czynom miłosierdzia, nauczaniu ubogich dzieci, odwiedzaniu chorych i są nieraz prawdziwym skarbem i dobrodziejstwem nie tylko dla domu, w którym zostają, ale dla miasta, wsi i okolicy całej. Śmieszniemi stają się wtenczas dopiero, kiedy się wstydzą swego panieństwa, kiedy starsze laty bawić się chcą w młodzietkie panienki, kiedy są pełne pretensyi, próżne, kosztowne, złośliwe a obraźliwe.

Podobne obowiązki, jak rodziców względem dzieci, nakłada IV przykazanie na panów względem sług. Panowie winni sługom uprzejmą życzliwość, winni dbać o ich moralną kondytę i religijne potrzeby, powinni im dać utrzymanie odpowiednie i zapłatę umówioną. „A jeżeli kto o swoich, powiada Paweł św., a najwięcej o domowych starania nie ma, wiary się zaprzął i gorszy jest niż niewieray“ (I. do Timot. V. 8). Dawniej po dworach i domach polskich, słudzy trzymali się latami całemi i pokoleniami całemi, zrosli się niejako z rodziną, byli nietyle sługą jak przyjacielem, a na późne lata znajdowali przytułek. Jeszcze teraz napotkałem w kilku polskich domach stare sługi, co to za ojca i dziada służyli i na rękę swego pana lub panią wypiaستowali. Mówią o swoim państwie i ich dzieciach nie inaczej tylko: *my*; *jakeśmy* tam byli, tu pojechali, jak *nas* to nieszczęście nawiedziło i t. d., miło to słuchać i miło patrzeć na ten stosunek iście chrześcijański pana do sługi, dzisiaj coraz rzadszy. Dzisiaj bowiem wynajmujemy sługę jako konia i wołu, płacimy siłę jego roboty, i zmieniamy niemal co miesiąca. I stąd to po miastach wielka ilość starych, wiekiem lub pracą steranych sług bez miejsca, skazanych na nędzę i żebractwo. To znów przyjąwszy sługę, dbamy tylko o to, aby zrobiła co do niej należy, i pozwalamy na wszystko i na znajomości występne i na muzyki

i na nocne wycieczki. Tylko w daniu pozwolenia do kościoła na mszę św., lub do spowiedzi św., panie nasze są zazwyczaj trudne. „Ja jej, mówią, i za niedzielę płacę“. Azali i za duszę sługi płacisz? O, tej nie zapłacisz choćby stem dukatów, bo ona drogą krwią Chrystusa odkupiona; nie masz prawa jej bronić spełniania katolickich obowiązków, owszem dopilnować powinnaś, aby je wypełniła sumiennie; wtenczas i dla ciebie wierniejszą będzie.. Gorzej jeszcze bywa: sługa ze swoją modlitwą kryć się musi przed państwem, bo ją wyszydzą, wyśmieją, wyrzucą z domu. „Ja się boję sługi pobożnej“. A to dlaczego? „bo ona chce pościć w piątek, a ja dwóch obiadów nie będę gotowała, ona mnie i dzieciom kazania prawi, ona nudna i lada żartem mego męża się obraża“. Czy to jej grzechy? to właśnie dlatego ją bierz i trzymaj, bo to pocziwa sługa, dom twój i ciebie do Boga i zwyczajów katolickich przywiedzie.

Zatrzymuję się przydłużej nad tem, bo dom, rodzina to podstawa społeczeństwa, braki i wady rodzinnego życia mszczą się na kraju całym a siła moralnego i materyalnego złego wyządzają jednostkom; patrzałem na to z bliska.

Tuby było miejsce rozebrać z punktu katolickiego owe usiłowania różnych rządów i parlamentów pragnących zażegnać groźną kwestję socyalną ustawami o opiece nad okaleczalymi robotnikami, o funduszach dla chorych, o skróceniu godzin pracy w fabrykach i ograniczeniu pracy niedzielnej i t. p.; ale kwestya ta, bardzo zresztą zajmująca i pouczająca za dalekoby nas zawiodła. Nadmienię tylko, że cała ta groza, w jakiej kwestya socyalna i stosunek robotnika do fabrykanta dzisiaj przed Europą stoi, wynikła z zapoznania tego chrześcijańskiego pojęcia obowiązku pana względem sługi. Robotnika i w ogóle całą klasę pracującą za najm przestano uważać jako człowieka, któremu się miłość i opieka moralna i materyalna należy, ale za zwierzę robocze, płacono jego siłę i pracę i wyzyskiwano je — o resztę nie dbano. W tem tkwi źródło złego, to klucz do zrozumienia socyalizmu i jego następstw.

II.

A teraz zapytajmy, jakie są powinności dzieci względem rodziców? *Czcij ojca i matkę*; cześć ta opiera się na szacunku i miłości, a objawia się uległością i posłuchem. Winne więc dzieci rodzicom; 1) miłość; 2) posłuszeństwo; 3) pomoc i ratunek w potrzebie. A więc najprzód miłość i to nie tylko wtenczas, kiedy dziecię małe, koszulkę w zębach nosi, opieki mamy i pieniędzy taty potrzebuje; ale i wtenczas kiedy syn dorósł, wąsy poza ucho, kiedy córka sama już matką dzieciom; bo nie powiedziano *czcij ojca i matkę* póki jesteś małym, albo dopokąd mleka matki potrzebujesz, ale powiedziano uniwersalnie raz na zawsze *czcij*, i bez żadnego wyjątku. A więc nawet wtenczas, gdyby czego nie daj Boże, ten ojciec był nałogowym człowiekiem i marnotrawcą, gdyby ta matka była złą i lekkomyślną kobietą, to jeszcze wtenczas nie wolno dziecku poniewierać ojcem, łajać i gderać na matkę, a tem mniej skarżyć się na nich i wygadywać przed ludźmi; bo to ojciec i matka, bo nie powiedziano: *czcij dobrego ojca i dobrą matkę*, ale ojca i matkę, jacykolwiekby oni byli. Wiem ja to, jak wielka boleść ściska serce dziecka, gdy ma złego ojca lub matkę niedobłą, ale niema rady na to, jak cierpieć w milczeniu i modlić się do Boga o ich nawrócenie.

Grzeszą przeciw miłości winnej rodzicom synowie, kiedy ich ciężko smucą i martwią swywolą, lenistwem i lekkomyślnością swoją, w szkołach każdą klasę dubeltują, skończywszy szkoły do żadnej pracy szczerze się wziąć nie chcą, tylko im gry, karty, bilard, tylko zabawa, pijatyka i zabawa w głowie. Grzeszą jeszcze kiedy dobiwszy się własną pracą wyższego stanowiska, urzędu lub majątku, wstydzą się rodziców, że są kmiecego albo małomiejskiego stanu; takim dzieciom Bóg nigdy nie błogosławi. Był przed 50 laty biskupem w Tarnowie ks. Wojtarowicz, syn włościanina z dóbr księcia Sanguszki z Szynwałdu. Kiedy go instalowano na biskupstwo, żył jeszcze ojciec jego. Na uroczystość instalacyjną zjechali wyżsi urzędnicy i panowie. Obok nich i zawsze do stołu biskupiego

zasiadał ojciec staruszek w wieśniaczej kapocie. W pałacu biskupa miał swoje mieszkanie, a gdy zasłabł, to syn biskup odwiedzał go po kilka razy dziennie i pielęgnował; gdy staruszek umarł 1845 r. sam mszą św. żalobną celebrował i kondukt pogrzebowy prowadził. Oto przykład godny naśladowania, a był ten ks. Wojtarowicz jedną z najpiękniejszych postaci biskupich naszego kraju w tym wieku.

Córeczki dzisiaj bardzo uczone i bardzo mądre, bo z teką pod pachą lat ośm i więcej chodziły do szkoły, zazwyczaj z góry patrzą na swoje mamy, które nie uczyły się tyle; mruczą pod noskiem i są z niemi prawie w ustawicznej wojnie domowej. — Tak być nie ma. — Nie powiedziano czcuj *mądrą* matkę, ale czcuj matkę choćby prostaczkę i nieuczoną, tembardziej, że gdyby ta matka nie nakarmiła cię, nie obszyła, nie okryła, nie posłała do szkoły, odejmując nieraz od ust własnych chleba, tobyś ty mądra panienko nie była mądrą, ale gąską nieumiejącą. Zresztą czy to prawda, żeś ty jest tak bardzo mądrą? Patenta nauczycielskie nawet na szkoły wydziałowe, świadectwa nawet z akademii wydane nie zawsze dają rozum i mądrość; tyś się uczyła lat ośm czy dwanaście, a matka twoja przeszła tymczasem inną lepszą szkołę, bo szkołę doświadczenia, szkołę cierpień i przeciwności, szkołę krzyża, która niesłychanie wiele nauczy. Panienki drogie, zarozumiałość jest zawsze dowodem głupoty, pamiętajcie o tem, a dla waszych matek, im jesteście bardziej uczone, tembardziej bądźcie uprzejme i uległe; obok pobożności złożycie w tem dowód prawdziwego rozumu.

Winne dzieci rodzicom posłuszeństwo; czy bezwzględne, czy zawsze? Trzy są wyjątki: 1) gdyby rodzice, czego nie daj Boże, rozkazali dziecku to co jest grzechem: n. p. synu wyzwij na pojedynek, bo wymaga tego honor domu; córko staraj się podobać panu N., bądź trochę kokietką i zmyślaj, inaczej nie wyjdiesz za mąż — wtenczas dziecko oprzec się musi rozkazowi rodziców, bo „więcej trzeba słuchać Boga niż ludzi“. (Dz. Ap. V. 29). 2) Gdyby rodzice zmuszali siłą lub moralnie do wyboru stanu, do zamażpójścia lub do

klasztoru, na księdza lub do żeniaczki, dzieci słuchać ich nie mają, bo wybór stanu to rzecz Boża, przechodzi zakres rodzicielskiej władzy. 3) Gdy dziecko jest pełnoletnie, już ma być niezależny albo jest samo głową rodziny. Wtenczas ustaje rozkazująca władza rodziców; mają oni wszelako zawsze prawo dawania rad, przestróg i upomnień, bo nie przestali być ojcem i matką. W ogóle mówiąc Bóg zawsze błogosławi dzieciom, które nawet dorósłszy i na wysokiem stanowisku będąc, uszanować umieją nie tylko rozkaz ale i życzenie, nieraz może kapryśne, byle nie złe moralnie rodziców i starają się zawsze i wszędzie odsunąć od nich wszelką przykrość, a sprawić im jak najwięcej przyjemności; bo też do żadnego przykazania tylko do IV dodana obietnica błogosławieństwa doczesnego, „abyś długo żył i dobrze ci się powodziło na ziemi“. Jest to owa *pietas erga parentes*, pobożność dziecięcia, którą poganie stawiali zaraz na pierwszym miejscu po pobożności względem bóstwa, *pietas erga deos*; o której mówiono u starzych: *parentibus atque magistris nunquam satis*, rodzicom i nauczycielom nigdy nie można okazać dosyć wdzięczności. U nas w Polsce ten rygor rodzicielski i ta subordynacya dzieci miała coś w sobie imponującego. „Jaśnie Wielmożna Pani, a mnie wielce miłościwa Pani Matko i Dobrodziejko“ — pisał syn rycerz wojownik z obozu do swojej matki. Nawet w wyborze stanu wola rodziców odgrywała prawie decydującą rolę: wierzano, że co ojciec, co matka chce, to Bóg chce i to najlepsze. Dziś rzeczy postać inna; dziś mówi się: „co mamie do tego, nie nudź mnie ojciec, ja mam swój rozum“. Wina to ducha czasu, wina dzieci, ale też i wina wychowania, które jest zanadto luźne, miękkie i niekarne.

Jest wreszcie świętym obowiązkiem dzieci, nieść rodzicom pomoc i ratunek, gdy tego potrzebują. Oj nasłuchiwały się uszy moje skarg i lamentów starych ojców i starych matek na synowe i zięcie, na syny i córki, u których na starość przytułku szukać musieli. Słowa im dobrego nie dadzą, gorzej służy pracować kazać, łyżkę strawy wypomną, mówią im wprost „a bo to już nie możecie umrzeć ojcie, matko, ja

mam swoje dzieci, dopokądże was chować będę?" I płacze biedny ojciec i płacze stara matka na ciężką dolę swoją, a ta ła spadnie przekleństwem na ciebie i na dzieci twoje — pamiętaj o tem. I nie sądźmy, że podobne wypadki okrucieństwa dziecięcego wydarzają się tylko w klasach niższych, nie, i wśród inteligencji naszej są one niestety nierzadkie; mnie księdzu wiercie. Pismo Boże śmiercią karze dzieci obchodzące się źle z rodzicami swemi: „Ktoby uderzył ojca swego albo matkę swoją, niech śmiercią umrze... Ktoby złorzeczył ojcu swemu albo matce swojej, śmiercią niechaj umrze“. (Exod. XXI. 19. 21). Przeklęty, który nie czci ojca swego i matkę swoją: i rzecze wszystkim lud Amen“. (Deut. XXVII, 16). Słuchaj ojca twego, który cię spłodził, a nie gardź gdy się zestarzeje matka twoja“ (Przyp. XXIII, 22).

O całym ośmnastoleciu życia Chrystusa Pana w Nazarecie to jedno zanotowała ewangelia, że był posłuszny rodzicom, *et erat subditus illis*. (Łuk. II, 51).

III.

Czem rodzice w porządku naturalnym, tem Kościół w porządku nadprzyrodzonym. Kościół jest nam matką; rodzi nas dla Chrystusa i nieba przez Chrzest św., karmi nas Sakramentami św., wychowuje nauką Chrystusową, przykładami Świętych i przykazaniami swemi. I dlatego Kościołowi należy się od nas jak matce, i to na podstawie IV przykazania, miłość, posłuszeństwo i pomoc w potrzebie. Polacy odznaczaliśmy się zawsze dziecięcem przywiązaniem do Stolicy św. i Kościoła; świadczy o tem historia królów jak: Jagiello, Batory, Zygmunt III, Jan Kazimierz, *orthodoxus* i Jan III; takich mężów stanu jak: kanclerz Zamojski, Lew Sapieha, Jerzy Ossoliński i setki innych. Przywiązanie to stało się charakterystyką naszą tak dalece, że Polak a katolik są synonimem, że nawet w parlamencie berlińskim zarzuty nam stąd czyniono, i przyznano się otwarcie z ławy ministeryal-

nej, że chcąc stłumić życie narodu w księstwie poznańskim, zmuszony jest rząd pruski z większą niż gdzieindziej zawziętością prowadzić tam kulturną walkę, i prowadzi ją też dotąd. Pomimo to jednak w społeczeństwie naszym, zwłaszcza galicyjskiem, wyrobił się pewien chłód i obojętność, że nie powiem niechęć i wzdarda dla Kościoła. Wpłynęło na to wiele okoliczności: duch czasu, liberalne prądy wiejące z Zachodu, dziennikarstwo niesforne wypisujące niestworzone rzeczy na takich nawet papieży jak wielkiej pamięci Pius IX, mentorujące biskupów, zohydzające zakony i kościelne instytucje. Nie dawne to jeszcze czasy, gdy znaczna część inteligencji naszej uczyła się katechizmu z żydowskiej *Neue Freie Presse* i *Gazety Narodowej*. Od lat kilku widoczna zmiana na lepsze, a wspaniały tego zwrotu objaw mieliśmy na sejmie galicyjskim 8 stycznia 1886 r. Jeden z biskupów ruskich wystąpił z mową tak biskupią, iście katolicką, jakiej dotąd nie słyszano w sejmowej izbie nigdy. Po skończonej mowie posłowie najrozmaitszych frakcyj otoczyli biskupa tłumnie winszując i dziękując, że ich własnym uczuciom dał wyraz tak znamienity. Postępujmyż dalej tą drogą zwrotu ku onej starej, zacnej czei i miłości dla Kościoła. Niech znikną ze stolików naszych książki niereligijne, paszkwile na papieży, księży i zakony; niech się nie powtórzą więcej dyskusye uwłaczające powadze Kościoła, wyszydające jego przepisy i zwyczaje; niech nam nie będzie wstydno zapalić lampkę przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej, jak to dawniej bywało a ściany naszych salonów ozdobić wizerunkiem Ukrzyżowanego. Miłujmy Kościół jako matkę, bo dobrą nam matką jest; dobremu dziecku nie wolno być obojętnem na los matki. Wszystko co się w tym Kościele Bożym dzieje żywo nas obchodzić powinno; cieszymy się jego dołą pomysłną i rozwojem w krajach wolnych jak Anglia i w ziemiach zamorskich, smućmy się jego cierpieniem i prześladowaniem, które sroży się na wielu punktach naraz, a tak blisko nas i wśród nas.

Nie dosyć afektu i miłości, winniśmy Kościołowi posłuszeństwo i to we wszystkim, co się do sprawy wiary św.

odnosi. Prawa te Kościoła, o ile one obejmują ogół wiernych, streszczone są w pięciu przykazaniach kościelnych, które obowiązują wszystkich bez wyjątku katolików pod grzechem śmiertelnym: są zaś te: „1) Postanowione od Kościoła Bożego dni święte święcić. 2) W niedziele i święta mszy św. i kazania z nabożeństwem i uwagą słuchać. 3) Przynajmniej raz w rok koło Wielkiejnocy spowiadać się i do stołu pańskiego przystępować. 4) Posty w czasy nakazane zachować. 5) W czasy zakazane wesel i hucznych zabaw nie odprawiać“. Powtarzam, te przykazania obowiązują na sumieniu pod grzechem ciężkim: jeżeliś katolikiem, winienesz je zachować wszystkie, zawsze i wszędzie. O dwu pierwszych mówiłem w konferencji V, o trzecim powiem później w konferencji IX. Tu wspomnieć wypada o poście. Post w szerszym znaczeniu *abstinentia*, jest powstrzymanie się od potraw mięsnych, w ścisłym znaczeniu *jejunium strictum* dozwala tylko jednorazowego dziennie posiłku do syta. W Królestwie Polskiem, na Litwie i w zabranych krajach, w Księstwie Poznańskiem i Prusiech zachodnich przestrzegają się dosyć wiernie posty w polskich domach; u naszej galicyjskiej inteligencji poszły prawie zupełnie w zapomnienie i pogardę. Najprzód o poście ścisłym, obowiązującym do powstrzymania się nie tylko co do jakości ale i co do ilości od potraw mięsnych, nikt prawie i wiedzieć nie chce; w zachowaniu zaś postu od potraw mięsnych popełniamy dziwną nieloiczność. I tak zachowujemy post w środę popielcową, w wielki piątek, czasem nawet w piątki adwentowe i wielkopostne, a przez wszystkie inne piątki i soboty zjadamy smacznie mięso. To znów bywają domy, gdzie papa i synkowie jedzą mięso, a mama i córki i sługa poszczą. Pytam jaką loiką? Albo prawo Kościoła obowiązuje wszystkich i we wszystkie piątki i soboty, albo nie; jeżeli obowiązuje to chowajże post w piątek i sobotę przez *cały* rok i ty i syn twój i żona i córka, bo takie jest prawo; jeżeli nie obowiązuje, to nie chowaj postu nigdy; ale raz pościć, innym razem nie, według swego widzimisie, kobietom kazać pościć, a mężczyznom nie, to nie

loika. Powiesz mi: „ja tak dobrze zajadę do nieba na wole jak na szczupaku“. Albo: „mnie wszystko jedno co ja jem, i dlatego w piątek jadam mięso, ale za to cygara nie palę, owoców nie jem, bo to dla mnie umartwieniem“. Ależ na miły Bóg, tu nie o wołu ani o szczupaka ani o cygaro chodzi, ale o *posłuszeństwo Kościołowi*, chciejże to raz zrozumieć. Post jest nietylko umartwieniem, ale publicznem wyznawaniem wiary; domy, w których poszczą, przyznają się jawnie do tego, że są katolickie. Znam w Księstwie obywatela, do którego w piątek przyjechał z wizytą wielki dygnitarz pruski, protestant, zastawiono mu obiad postny na dowód, że to dom katolicki, i tak być powinno. Powiesz mi: „ależ miły księżu, ja na katar żołądka cierpię, żona i dzieci anemiczne, post nam szkodzi“. Powiesz jeszcze: „drożyzna wielka a pensya szczupła, kawałkiem mięsa jakoś się prędniej obdzieli“. A ja na to: lekarze to stwierdzili, że zmiana pokarmu bardzo zdrowa dla żołądka; oszczędzonymi 10 centami na mięsie zamiast nabiału nie uratujesz twej fortuny; ale dajmy na to, że masz zupełną słuszość, to proś o dyspensę twego proboszcza, ale sam się od postu nie dyspensuj. Już tem samem, że o dyspensę prosisz, dajesz dowód posłuszeństwa Kościołowi. W wypadku obłożnej choroby, możesz i w wielki piątek jeść mięso, bo post jest dla zdrowych a nie dla chorych. Spytasz: „a w podróży czy post obowiązuje? a w domu obcym, gdy w piątek mięso podadzą, co mam zrobić?“. Podróż kolejną nie uwalnia od postu, w domu obcym bez dyspenzy łamać postu nie godzi się, proś, aby ci podano co z postem. Na te i tym podobne wypadki, najbezpieczniej prosić o dyspensę, księża proboszczowie nie są w daniu jej trudni. Niekiedy spowiednicy mają przywilej udzielania dyspenzy od postu, ale tylko w konfesyonale i dla osoby spowiadającej się, i udzielają jej bez długiego targu.

Z tego przywiązania i czci dziecięcej dla Kościoła wyrasta formalna potrzeba przyjscia w pomoc, świadczenia usług Kościołowi. „A czy Kościół potrzebuje tej pomocy?“. Potrzebuje i bardzo, najprzód *modlitwy* twojej. „A Piotra cho-

wano w ciemnicy, lecz modlitwa bez przestanku działa się od Kościoła do Boga za nim*. (Act. Ap. XII. 5). I cóż się stało? Oto otwarły się wrzeczadze więzienia, opadły okowy, a Piotr ujrzał się wolny i swobodny wśród braci. Dlatego to papież i Pius IX i Leon XIII nawołują świat katolicki do modlitwy, rozpisują jubileusze, aby modlitwą ludów katolickich uprosić sobie i Kościołowi pomoc i ratunek w twardej doli. Dlatego i teraz przy każdej mszy św. odmawiamy 3 Zdrowaś Marya i *Salve Regina*, prosząc o sukurs z nieba, bo tu na ziemi napróżno się za nim rozbijać. Nasza inteligencya, zwłaszcza męska, mało się modli w ogóle, a za potrzeby Kościoła i Stolicy św. nigdy — symptom to złego synowstwa względem Kościoła.

Nie tu koniec. Przykazanie IVte nakłada na nas obowiązki względem rodzinnego kraju i państwa, pod którego rządem żyjemy. Winniśmy ojczystemu krajowi miłość i przywiązanie do tej ziemi, na którejśmy się zrodzili; winniśmy poszanowanie ojczystego języka, zwyczajów i obyczajów; winniśmy posłuszeństwo prawom i władzom krajowym, o ile te nie naruszają sumienia naszego; winniśmy wreszcie nieść pomoc krajowi sumienną, organiczną pracą, każdy w swoim zawodzie i płacenie podatków. Dla państwa w ogóle, jakakolwiek jest forma jego rządu, monarchiczna, czy monarchiczno-konstytucyjna, czy republikańska, winniśmy posłuszeństwo prawom, o ile one nie sprzeciwiają się prawu Bożemu, i podatek ze krwi i mienia. Te są nasze obowiązki, jako obywateli i poddanych; opierają się one nietylko na przykazaniu IV, ale na wyraźnej nauce św. Pawła, który w liście do Rzymian pisze: „*Omnis anima potestatibus sublimioribus subdita est*, wszelaka dusza niech będzie poddana wyższym zwierzchnościom; albowiem nie masz zwierzchności jedno od Boga, a które są, od Boga są postanowione. Przeto, kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu (do Rzym. XIII. 1, 2). W myśl tej nauki Kościół katolicki jest i był zawsze nieprzyjacielem wszelkich spisków, konspiracyi, buntów i rewolucyi — dlatego też, jak to dowodzi historia trzech zwa-

szcza ostatnich wieków aż do najnowszych czasów, gdziekolwiek wybuchła rewolucya, czy to płynąca z góry czy idąca z dołu, tam zawsze Kościół katolicki odbierał cięgi; biskupów wleczo do więzień lub wyganiano, rozwiązywano zakony, grabieżono dobra kościelne. Patrzymy na to za dni naszych we Włoszech, Francyi, w Prusiech i indziej.

Stąd łatwo każdy pojmie, jak ciężkiej winy przeciw IV przykazaniu dopuszczają się obywatele, którzy życiem nad stan, niedołęstwem i utracyszustwem majątki i realności swoje w obce oddają ręce; którzy niesfornością i warcholstwem tamują bieg krajowego prawa; którzy nierozważnymi spiski i lekkomyślnie podjętymi powstaniem, ściągają na kraj niesłychane klęski i srogi odwet państwa, pod którego rządem żyją. Są to ciężkie winy i zbrodnie, za które się odpowie przed Bogiem i przed sądem historyi.

Powiedziałem, że winniśmy posłuszeństwo prawom krajowym i państwowym, o ile te nie naruszają sumienia naszego, o ile te nie sprzeciwiają się prawu Bożemu — i nie cofam tego słowa. Stoi bowiem wyraźnie w piśmie św. „a odpowiadając (przed najwyższą władzą żydowską, która zakazała opowiadać Ewangelię Chrystusową), Piotr i Apostołowie rzekli: *Więcej trzeba słuchać Boga a niż ludzi*“. (Dzieje Ap. V. 29). A racya tego bardzo jasna, gdyż przeciw sumieniu dobrze uformowanemu, nigdy działać nie godzi się; wszelkie też prawo ludzkie o tyle jest prawem, o ile zgadza się z odwiecznem prawem Bożem, a to właśnie dlatego, że wszelka władza od Boga.

Ale stąd niechaj nikt nie wnosi, że w podobnych wypadkach dozwolony jest opór zbrojny, albo skryte spiski i knowania. Dozwolony jest tylko *opór bierny* t. j. legalnymi środkami, jak np. protesty wniesione przez reprezentację krajową na sejmie lub w parlamencie, jak to od lat 14 czyniło katolickie centrum w Berlinie, albo protest prawowitej władzy, jakim np. był protest biskupów pruskich, zebranych u grobu św. Bonifacego w Fuldzie, w przededniu walki kulturalnej przeciw projektom do praw majowych. A jeżeli legalne środki

nie pomogą, co wtenczas? Wtenczas pozostaje to, co pozostawało chrześcijanom pierwszych trzech wieków: cierpieć, pójść do więzienia, na wygnanie, choćby na rusztowanie wstąpić. Ta jest nauka Kościoła katolickiego o posłuszeństwie dla świeckiej władzy, stwierdzona praktyką wieków.

Na tem kończę wykład o IV. przykazaniu, a teraz do ostatnich czterech przykazań pospieszmy.

KONFERENCYA VII.

Dokończenie rozbioru dekalogu. — Przykazanie V. — Grzechy nie miane za grzechy. — Pojedynek wobec zasad moralności i rozumu. — Samobójstwo nie jest aktem odwagi, jego moralna przewrotność. — Zgorszenie, jego natura, rodzaje i stopnie. — Przykazanie VI. i IX. — Różnica moralności pogańskiej a chrześcijańskiej. — Myśli złe kiedy są grzechem. — Grzechy przeciwne VII. i X. przykazaniu. — Obowiązek jałmużny i miłosierdzie masonskie. — Ofiarność dla celów religijnych. — Przykazanie VIII. — Kłamstwo i zastrzeżenie myślnie. — Obmowa, potwarz i obelga. — Domówienie.

»A chodźcie w miłości jako i Chrystus umiłował nas... A porubstwo i wszelka nieczystość, albo łakomstwo niechaj nie będzie ani pomieniono między wami, jako świętym przystoi, albo sprośność, albo głupia mowa, albo żartowanie, które do rzeczy nie należy, ale raczej dziękowanie« (Efez. V. 2—f)

I.

Ze wszystkich naturalnych darów człowieka najdroższe życie, bo skoro mu życie odbierzesz, świat ten z całą okrasą, wdziękiem, pożytkiem i rozkoszą i wszystkie piękne przymioty umysłu i serca przestają dlań istnieć — nie masz ich. I dla tego V przykazanie boże bierze to życie ludzkie w obronę mówiąc: *nie zabijaj*. Zabić można na ciele i duszy, bo człowiek z ciała i duszy złożony. Zabija się na ciele nie tylko

pałką, mieczem, kulką karabinową albo trucizną, ale każdym cięższem lub lżejszem dobrowolnem uszkodzeniem ciała i każdym lekkomyślnem narażeniem albo psuciem zdrowia bądź to cudzego bądź własnego.

Wspomnieć tu można grzechy nie miane za grzechy, a jednak V przykazaniem wzbronione, bo szkodliwe zdrowiu lub życiu ludzkiemu. I tak one namiętne karnałowe zabawy, tańce nocne do dnia białego trwające, bywają często przyczyną ciężkiej choroby zapalnej lub piersiowej. Pamiętam, że wskutek bardzo hucznie przetańczzonego karnawału w Krakowie 1869 r., ośmiu młodych ludzi, przeważnie akademików, zanieśiono w tym jeszcze roku do grobu. A nie tylko tańce, ale wszelkie niepomierne wysileniem przedsiębrane zabawy, jak zbyt forsowne wycieczki górskie, ryzykowne ćwiczenia gimnastyki i pływania, zwłaszcza jeżeli organizm wątły, bardziej jeszcze niemądre i niemoralne przepijanie się winem lub innym trunkiem o zakład, długie nocne pijatyki i kawiarniane zbytki, wszystko to podkopuje i w ciągu lat niewielu przyprawia organizm o choroby chroniczne, które się potem udzielają potomstwu. A jednak nikt z młodych ludzi nie uważa sobie tego za grzech, owszem poczytuje tę hulaszczość, tę „tężyznę“ młodzieńczą, jak ją nazywają, za coś niewinnego, normalnego, przez co każdy młody przejść musi. Panienki zaś i młode osoby szkodzą swemu zdrowiu przez próżność. W jesieni i na wiosnę, broń Boże ciepło się ubrać; wszelkie upomnienia i prośby nic tu nie skutkują, bo w zimowem ubraniu jest się niezgrabną, talia i wdzięk źle się wydaje. Przeziębiamy się więc co chwila, a stąd katary i chrypki, zapalenia płuc i inne przewlekłe niemoce, które młode zdrowie rujnują. To znów w latach dojrzałych, chcąc uniknąć tuszy, piją octy, mocne herbaty, głodzą się formalnie i t. p. szkodliwych zdrowiu używają środków. Bywa i to, że aby dokuczyć mamie albo mężowi, to naumyślnie w jakibądź sposób ściągają sobie chorobę. To znów, kiedy się jest prawdziwie chorą, ukrywa swe cierpienia przed domownikami i lekarzem i wpędza siebie przez to w daleką cięższą, nieraz śmiertelną niemoc. Inną razą lekarstwa wylewa się za

okno, oszukując lekarzy i na koszt niepotrzebny narażając rodziców. Wszystko to się u naszych kapryśnych pań i panien dzieje i wcale sobie tego nie poczytują za grzech, a jednak to jest grzechem i V przykazaniem wzbronione.

Grzeszy się znowu zbytkiem troskliwości o zdrowie, a wcale się tego niema za grzech. Coraz to więcej mnoży się wśród inteligencji skrupulantów zdrowia, a panowie lekarze podbijają im bębenka. Katary żołądka, anemie, nerwowe cierpienia — choroby, o których nie wiedziały nasze dziadki i prababki — wszystko to grasuje teraz epidemicznie. A więc broń Boże pościć, post szkodzi; broń Boże chodzić do kościoła na mszę św., do spowiedzi, bo w kościele wilgoć i przeciągi, ale za to dla zdrowia pozwala się, owszem poleca się młodym ludziom mieć od czasu do czasu stosunki zabronione przykazaniem VI i tego wcale nie mają za grzech ani ci, co takie rady dają, ani ci, co za takimi radami idą, a to są przecie grzechy ciężkie i bezecne.

Inny jeszcze, ciężkiego kalibru grzech, a bardzo często nie miany za grzech, to ów strach i lęk żon i mężów przed licznem potomstwem. Liczą te dzieci zanim je Pan Bóg dał i tak żyją ze sobą, aby tych dzieci więcej nie było. I to się praktykuje w bardzo wielu małżeństwach latami całemi. Jest to grzech ciężki, bo to zabójstwo zamierzone, *homicidium intentionatum*; karze Bóg tę zbrodnię nieraz śmiercią najukochańszego dziecka, albo wymarciem wszystkich dzieci.

Wogóle wiedzieć należy, że wszelkie zboczenia moralne przeciw naturze, czy to z samym sobą, czy z innymi popełniane, szkodzą niesłuchanie zdrowiu i są ciężkim grzechem, nie tylko przeciw VI ale i V przykazaniu. Natura bowiem mści się za każde przekroczenie swego prawa chorobami i ruinowaniem sił. Dalej wszelki zbytek w napojach i jadle, wszelkie nadużycia zmysłowe, brudne i rozkoszne i występne stosunki, roznamietniając i rozpalając organizm, niszczą soki żywotne i skracają życie. Dlatego każdy pijanica i każdy rozpustnik grzeszy także przeciw V-mu przykazaniu.

„A pojedyunki, spytasz, co o nich sądzić? Świat się ich domaga jako rzeczy honorowej, wy księża powiadacie, że są grzechem — kto ma słuszość?“ — Spróbujmy tę sprzeczność wytłumaczyć. Co to jest pojedynek? Walka dwóch w prywatnej sprawie prywatną powagą i za umową bronią odpowiednią do zabicia podjęta. Moralny moment pojedynku tkwi, ale pozornie tylko, w tem, że ja dla obrony honoru mego lub drugiej mi osoby, narażam własne zdrowie i życie. Niemoralność zaś rzeczywista pojedynku polega na tem, że ja nie mam prawa narażać w ten sposób swego życia t. j. moją własną powagą i dla prywatnej sprawy, bo to życie nie do mnie należy, ale naprzód do Boga, który mi je dał, potem do społeczeństwa, którego ja częścią jestem. Jam nie jest właścicielem mego życia, ale używaczem *usufructuarius* i dlatego poświęcić mogę to życie tylko wtenczas, gdy mnie prawo Boże lub publiczna prawowita władza do tego upoważni np. we wojnie w obronie kraju.

Świat nie ogląda się na niemoralność pojedynku, ale chwytą za ten moment jego pozornie moralny; uznaje i chwali odwagę pojedynkujących się, tak, jak czci i słusznie odwagę żołnierza, bohatera; Kościół zaś katolicki, a z nim każdy nieuprzedzony rozum potępia pojedynek, jako rzecz niemoralną a w dodatku niemądrą i ciężkimi karami, bo klątwą obkłada nie tylko pojedynkujących się, jakkolwiek bronią białą czy palną, na śmierć czy do pierwszej lub drugiej krwi, ale i sekundantów i tych, którzy przy pojedynku są obecni, do niego nakłaniają lub pochwalają go. Są o tem wyraźne listy papieży i soboru trydenckiego dekret, który przytaczam dosłownie: „Obrzydliwy zwyczaj pojedynków zaprowadzony przez szatana, aby krwawą śmiercią ciała duszy także zgubę osiągnął, niechaj będzie z świata chrześcijańskiego zupełnie wygnany. Cesarz, królowie, książęta, wodzowie, margrabiowie, hrabiowie z jakiegokolwiek tytułu panowie ziemscy, którzyby na pojedynek między chrześcijanami w kraju swoim zezwolili, niechaj tem samem będą wyklęci... niech pojedynkujący się i ich sekundanci podpadną karze klątwy, utraty majątku i wiecznej infamii; karani zaś być mają jako mężobójce według świętych

kanonów, a jeżeli w samym pojedynku zginęli, niechaj na zawsze pozbawieni będą pogrzebu kościelnego. Ci także, którzyby doradzali pojedynek pewnie (tj. że z prawa jest dozwolony) albo czynnie, albo w jakikolwiek sposób do niezgody zachęcali, także i widzowie, niechaj będą ekskomuniką i przekleństwem na zawsze związani, bez względu na jakiekolwiek przywileje albo zły zwyczaj choćby od czasów niepamiętnych“ (Ses. XXV. de reform. c. XIX). Cóż nad ten dekret obowiązujący na sumieniu jaśniejszego?

Nazwałem pojedynek rzeczą niemądrą, bo jest nią i to z kilku przyczyn. Najprzód dlatego, że w porządku dóbr ziemskich naturalnych, życie jest najwyższem dobrem, honor zaś i wszystko inne schodzi na plan drugi — już zaś nieloiczną jest rzeczą dobro wyższe poświęcać dla dobra niższego. I żeby to zawsze o honor chodziło; najczęściej spór o lekką kobietkę, czasem o rzecz zupełnie błahą; w Peszcie strzelało się niedawno dwóch oficerów o klacz, jeden twierdził, że będąc arabskiej rasy, jest lepszą od klaczy angielskiej rasy, drugi przeczył. Niemądrą jest jeszcze dlatego, że bardzo często poszkodowany na honorze dostaje cięgi i jako naznaczony w pojedynku nie bardzo może pokazywać się ludziom, albo też ginie w pojedynku, a tak i honor i życie traci. Niemądrą wreszcie dlatego, że ta mniemana odwaga, którą nazwałem „pozornie moralnym momentem“, dla której świat pochwała pojedynek, jest w gruncie rzeczy tchórzostwem. Mam bowiem do wyboru, albo przyjąć pojedynek i odzyskać wobec opinii świata utracony honor, albo nie przyjąć pojedynku i narazić się na pogardę niemal powszechną. Czuję to i rozumiem, mówiono mi nieraz, że przyjęcie pojedynku jest rzeczą niemoralną, że więc nie powinienem tego czynić; czuję i to, że sąd opinii świata w tej mierze jest niemądry, ale jak tu stawić czoło potępiającej mnie niemądrej opinii świata — a więc w gruncie rzeczy jestem tchórzem. Oj widziałem ja tych wrzekomo odważnych pojedynekowiczów na kilka dni przed rozprawą; jakie tam u nich tremy, trwogi i strachy, ile nocy bezsennych, jaka bladeść twarzy i nerwów rozstrój; nie tak to bohaterstwo ta

odwaga wygląda, gdy się jej z bliska przypatrzysz. Nie można też twierdzić, żeby już cała opinia świata pochwałała pojedynek; przeciwnie bardzo wielu, których głos znaczy coś w opinii, uważa je za rzecz arcyniemoralną. Znam młodych ludzi, którzy dlatego, że reputację pojedynkowych awanturników sobie wyrobili, przez długi czas nigdzie żony dostać nie mogli; dokąd uderzyli, wszędzie podawano im czarną polewkę, bo żaden rozumny ojciec nie chciał ich mieć zięciem, a mamy i panny lęk miały przed nimi, jak przed mężobójcami.

Dla społeczeństwa pojedynek jest formalną plagą. Za Ludwika XIV naliczono we Francyi 36.000 ofiar pojedyńku i my ich oplakujemy sporo, że tu tylko wspomnę Ireneusza Żaluskiego, młodzieńca wielkich talentów i wielkiej przyszłości, który wskutek rany otrzymanej w pojedyńku z ręki swego najukochańszego przyjaciela, umarł przed kilkunastu laty w Dreźnie. Dzisiaj w polskich przynajmniej ziemiach pojedynki wydarzają się rzadziej nie tyle może przez wzgląd na przykazanie V i na cenzury kościelne, jak dlatego, że młodzież teraz jest miękka, wygodna, nawet do awantur leniwa. Prawa państwowe zabraniają pojedyńku pod karą kilku lat więzienia. Cóż z tego, kiedy tych praw egzekucyi niema. W Austrii zazwyczaj skargi nikt nie wytacza, a gdy skargę zaniósł i sąd karę wymierzy, to kara drogą łaski monarszej bywa zniesiona. W Prusiech prawo zabrania pojedyńku, a cesarz Wilhelm wydał do armii ordynans, aby oficer nieprzyjmujący pojedyńku, natychmiast opuścił służbę. Złe więc mnoży się bezkarnie.

Pytano mnie nieraz: „co czynić kiedy znajdzie się w takim położeniu, że wobec wymagań świata muszę wyzwąć na pojedynek, albo częściej bywa, kiedy winnie czy bezwinnie wyzwą mnie na pojedynek?” Na to odpowiadam. Człowiek dobrze wychowany a uczciwy nigdy się nie narazi na to, aby nawet wobec wymagań świata potrzebował wyzywać na pojedynek; wyzwany zaś do pojedyńku przyjąć nie może ale ma dwie drogi przed sobą: może się domagać sądu honorowego i to jest droga najprostsza, albo może zaproponować swemu przeciwnikowi, że przy wybuchu pierwszej wojny, gdziebykolwiek

ona nie była, obadwaj zaciągną się do armii na plac boju ruszającej, lub też, że obadwaj pójdą służyć w szpitalu zaraźliwych chorób, jak tyfus plamisty, cholera, przez tydzień cały. W obydwu wypadkach jest prawdziwe a godziwe narażenie własnego życia, ten pozorny moment moralny pojedynku, i czytałem w dziennikach, że podczas cholery 1885 r. w Paryżu, spór honorowy dwóch młodych ludzi z katolickich rodzin usługą w szpitalu został załatwiony. Z tem wszystkiem przyznaję, że potrzeba nie lada odwagi cywilnej, aby ofiarowanego pojedynku nie przyjąć; a na sprostowanie niemądrej opinii świata w sprawie pojedynku nie widzę praktyczniejszego środka jak ten, aby panie należące do wyższych sfer towarzystwa, połączonemi siłami działały w kierunku wręcz przeciwnym. tj. aby odważnie i głośno potępiały pojedynek, jako rzecz niemoralną i niemądrą, panów zaś pojedynkujących się albo biorących czynny lub bierny udział w pojedynku, aby nie przyjmowały w swych salonach a znów starannie i umiejętnie łagodziły spory, których przedmiotem najczęściej one same bywają, a które popychają do pojedynku.

O ile pojedynki stały się w obecnej dobie rzadszymi, o tyle rozpowszechniły się samobójstwa. Prasa peryodyczna wielkich zwłaszcza miast, podaje codziennie długą listę samobójców. Trują się, wieszają, topią i strzelają studenci i panienki, wojskowi i dyplomaci, chłopcy z terminu i wiejskie chłopcy, oszuści i bankruci, z przyczyn przeróżnych: z przesytu życia, z zawiedzionej miłości, z obawy kary, z utraty majątku, z nędzy i ubóstwa; właściwą jednak wszystkich samobójstw przyczyną jest brak, stopienie moralnego zmysłu a rozpasanie się namiętności. Nieraz zabijają się we dwójkę, mianowicie zakochane pary — *Doppeltselbstmord*. Co jeszcze ciekawsza, tym samobójcom towarzyszy współzucie opinii publicznej, rodzaj nawet czci i uwielbienia, jakby samobójstwo czynem bohaterstwa było. Kiedy przed kilku laty w Krakowie młody medyk otrul się wraz z swoją ukochaną szwaczką, to kilkotysięczne tłumy towarzyszyły pogrzebowi, grób okryto wieńcami i przez kilka

dni odbywano doń formalne pielgrzymki. Świadczy to o wielkiem zbałamuceniu pojęć — katechizmu nie umiemy.

Otóż wiedzieć należy, że samobójstwo jest grzechem ciężkim przeciw V przykazaniu; że jest czynem nie odwagi, ale tchórzostwa, choćby sam akt samobójczy odbywał się, jak to wielu mniema, prawie zawsze w nienormalnym, zwicznym stanie umysłowym; że wreszcie przynosi szkodę społeczeństwu. Jest więc najprzód grzechem; bo V przykazanie powiada: *Nie zabijaj*, tj. nie zabijaj każdego, kto jest człowiekiem: już zaś ty sam jesteś człowiekiem — a więc zabijać siebie nie możesz. Jest to argument Augustyna św. bardzo jasny i trafny. Nadto samobójca odbiera sobie to, czego sobie nie dał, lecz wziął od Boga i co jest własnością najprzód Boga a potem społeczeństwa; staje się więc uzurpatorem, złodziejem. Jest czynem tchórzostwa. Nikt bowiem życia sobie nie odbiera w chwili szczęścia i wesela, ale w chwili ciężkiej smutku, twardej doli, zasłużonej lub niezasłużonej hańby, słowem w chwili cierpienia. Otóż nie mając odwagi tego cierpienia przetrzymać, odbiera sobie życie w mylnem mniemaniu, że ze śmiercią wszystko się skończy. Jestże to bohaterstwo czy tchórzostwo? niech każdy osądzi. Jest wreszcie krzywdą społeczeństwa, bo ileż to w ostatnich np. czasach ludzi zasłużonych, uczciwych, zdolnych i pożytecznych, przedwczesnie do grobu samobójstwem wstąpiło; z jaką szkodą dla nauki, dla sztuki, dla rodzin, dla kraju, każdy łatwo zrozumie.

Z tych tedy powodów Kościół katolicki potępia samobójstwo, jako czyn wielce niemoralny; samobójcy odmawia kościelnego pogrzebu i publicznych modlitw, nie dlatego, żeby go żywcem do piekła posyłał — sąd o tem zostawia Panu Bogu — ale dlatego, że czynem tym wyparł się nauki i zasad Kościoła, i wzgardził jego pociechami¹⁾. I niesłuszne są żale i oburzenia na nas kapłanów, że w pogrzebie samobójców udziału brać nie chcemy, bo sługami Kościoła będąc, praw

¹⁾ Samobójstwo w stanie pomieszania zmysłów albo gorączki gwałtownej popełnione, nie jest samo przez się grzechem i dlatego nie podpada karom kościelnym.

jego słuchać musimy. Współczucie i litość dla samobójcy jest dozwolone, boć to człowiek prawdziwie nieszczęśliwy; modlić się nawet za spokój duszy samobójcy rzecz godziwa, byle nie publicznem ostentacyjnem nabożeństwem w kościele, lecz w cichości, prywatnie; ale uniewinniać samobójstwa, podnosić go do czynu bohaterstwa i samobójcom owacye i demonstracyjne pogrzeby wyprawiać, to rzecz niechrześcijańska i arcyшкоdliwa, bo odejmuje grozę tej zbrodni, a tem samem ośmiela płoche i niemądre umysły do jej popelnienia, jak to niestety codziennie niemal widzimy.

Jest jeszcze inne zabójstwo V przykazaniem wzbronione, zabójstwo na duszy — nazywamy je *zgorszeniem*. Co to jest zgorszenie? Mowa lub czyn taki, który bliźniego do złego ośmiela i niejako upoważnia lub od dobrego odwodzi. Im kto na wyższem stoi stanowisku, im powołanie jego wznioślejsze i świętsze, tem łatwiej i skuteczniej dać może zgorszenie. Najłatwiej dać je możemy my kapłani, bo oczy wszystkich na nas zwrócone i dlatego wielkiej nam ostrożności i roztropności i w mowie i w czynie i w obcowaniu z ludźmi potrzeba, według tego co Paweł św. powiada: *omnia mihi licent, sed non omnia expediunt*, wszystko mi się godzi, ale nie wszystko pożyteczne; wszystko mi się godzi, ale ja się w moc niczemu nie poddam“. (I. Kor. V, 12). Tuż za kapłanami idą wszyscy, którzy władzę, wpływ, znaczenie i poważanie mają; życie ich jest także na świeczniku, wcześniej — później najskrytsze złe czyny wyjdą na jaw, a zgorszenie stąd tem większe, im większej przedtem czei i szacunku u ludzi zażywali. Niech to sobie dobrze zapamiętają rodzice, którzy wobec dzieci nieogłędne dyskursa prowadzą, spory i kłótnie domowe toczą, przykład nicdowiarstwa i lekkomyślności dają, na teatru ślizkie i widowiska nieprzyzwoite je prowadzą, do próżności swe córki, do dumnej ambicji swe syny prowadzą. Cóż dopiero mówić o tych młodych i młodziutkich gorszycielach i gorszycielkach po warstatach, szwalniach, szkołach i zakładach wychowawczych; jedno takie moralnie zepsute dziecko zatruje i skazi cały zakład, grzechy tajemne i wszelkiego rodzaju nie-

moralności, jak brudna lawa rozlewają się i do szpiku kości psują to młode pokolenie; strach o tem myśleć, wstrętno o tem pisać. Dochodzą rzeczy do tego, że młodym panienkom usłudźni młodzi ludzie, nibyto przyjaciele domu, czy kuzyni, najgorsze i obrzydliwe książki do rąk wpychają, naturalnie poza plecami mamy lub ochmistrzyni. „Przeczytaj to pani, to bardzo piękna książka, to bardzo uczzone dzieło“. A to *Nana Zoli*, albo *Drapera* niemądra ramota. Gorzej jeszcze, gdy moralne zepsucie wychodzi od tych, którzy przykład nieskażonej cnoty dać powinni, od nauczycieli, guwernerów i guwernantek, którzy w elewów swoich zasady przewrotne, antireligijne i wprost bezbożne wpajają; od panów i chlebobawców i przełożonych, którzy swe służące i młode robotnice do rozpusty namawiają i do niej srogiem obchodzeniem się, lub groźbą wydalenia zmuszają. Są to grzechy o pomstę do nieba wołające, po miastach i miasteczkach i dworach częste niestety aż nadto; — mnie księdzu wierzcie. Posłuchajmy, co ten dziwnie łagodny i miłosierny Chrystus Pan, który wyznaje, że nie przyszedł „potępiać, ale zbawiać“, o zgorszeniu powiada: „niepodobna jest, aby zgorszenia przyjść nie miały, ale biada temu, przez kogo przychodzą. Pożyteczniej mu jest, gdyby młyński kamień zawieszono na szyi jego i wrzucono go w morze, niżliby miał zgorszyć jednego z tych malutkich. Mieścież się na pieczy“ (Łuk. XVII, 1). Któż się tych słów nie ulęknie? Kto wobec tego strasznego wyroku będzie miał jeszcze odwagę zgorszeniem zabijać czyste, niewinne dusze?

Rozróżniamy jeszcze zgorszenie niewłaściwe tak nazwane: faryzeuszowskie i zgorszenie maluczkich. Faryzeusze nienawidzili Chrystusa „podstrzegali Go“, jak się wyraża pismo i brali Mu za złe Jego dobre uczynki, tak np. gorszyli się tem, że w sabat uzdrawia, że z grzesznikami przestaje. Otóż gorszyć się zacnymi, moralnie dobrymi postępками drugiego, nazywa się w języku teologów: *scandalum pharisaicum*; nie ten grzeszy kto je daje, ale ten, kto je bierze. Takich faryzeuszowskich zgorszeń dzisiaj namnożyło się wiele. Gorszą się niektórzy politycy i mężowie stanu z papieża i bisku-

pów, że praw Stolicy św. i Kościoła bronią; z katolickich frakcyi sejmowych, że w obronie wolności religii jedynie prawdziwej i nie przedawnionego prawa narodów stawają i to im za brak patriotyzmu poczytują. Gorszą się po faryzajsku wrzekomo uczeni racjoniści i materyaliści z nas katolików wierzących, że rozum nasz i wiedzę pod objawioną prawdę Bożą i naukę Kościoła poddajemy; z nas kapłanów, że z postępek i liberalnemi pojęciami wieku w kompromis wchodzić nie chcemy, ale po staremu przy odwiecznych dogmatach i zasadach moralnych chrześcijaństwa stoimy. Gorszą się po faryzajsku światowe damy i swawolne panicze z surowych obyczajów, niewinności i cnoty, którą oni skrupułami i przesadą nazywają, z naszych dawnej daty matron i po Bożemu wychowanych panienek. Gorszą się po faryzajsku małomiasteczkowe filozofy z swoich proboszczów, gdy ci dla przeszkód legalnych ślubu dać, lub pogrzebu wyprawić wzbraniają się, albo za swe czynności parafialne należytych opłat żądają; gorszą się z nas kaznodziei, że rzeczy nazywamy po imieniu, i nie oglądając się na osoby karcimy błąd i występki; zowią nas za to fanatykami.

Zgorszenie maluczki *scandalum pusillorum* jest wtenczas, kiedy mowa lub czyn sam z siebie nie jest złym, ale przez otaczających, n. p. przez dzieci albo lud nieoświecony mógłby być źle tłumaczony lub ujemny wpływ wyrzucić, i w takim razie roztropniej go zaniechać.

II.

O VI i IX przykazaniu z powodów łatwo zrozumiałych rozpisywać się nie mogę; są to rzeczy, które należy brać przez szczytce. Powiem więc krótko: dwoma temi przykazaniami zakazuje się o tem myśleć i pragnąć, o tem mówić i czynić, czegobyś nie miał odwagi głośno myśleć i pragnąć, jawnie mówić i czynić wobec ludzi poważnych i zacnych, np. wobec ojca lub matki. Każda myśl i żądza taka, która gdyby stała

się wiadomą, wstydemby cię oblała; każda rozmowa i każde zachowanie się z sobą lub z drugimi takie, że się z niem kryć musisz przed ludźmi, szukasz do nich miejsc samotnych, lękasz się świadków, wszystko VI i IX przykazaniem Bożem wzbronione. Zmysłowość ciekawa złego, żądza rozkoszy wrodzona dziecięciu, rozwija się bezwiednie latami i szuka zaspokojenia, a przywołana do świadomości przez towarzystwo z zepsutymi moralnie ludźmi, albo przez czytanie nieobyczajnych i lekarskich książek, staje się potęgą straszną, i do potwornych zbrodni popycha. Już dzieci małe mają bezwiednie inklinacyą do nieprzyzwoitości, i jeżeli oko matki i bony nie jest bardzo czujne, bawią się między sobą nieskromnie. Wrodzony zmysł moralny ostrzega je o złem, bo kryją się z oną swoją brzydką zabawą, ale zła skłonność przemaga. Podsyca tę bezwiedną zrazu zmysłowość wychowanie miękkie i czułościowe, długie wyleganie się w puchach, słodyczne i wykwintne a obfite pokarmy, a dalej salonowe rozmowy o romansach, zakochanych parach, o rozwodach i małżeńskich nieporozumieniach i skandalikach, którym się one ciekawie przysłuchują; dalej jeszcze albumy z fotografiami nibyto arcydzieł sztuki, a w gruncie rzeczy nieobyczajnemi i ohydnyemi, które one ciekawie przeglądają: dokonuje zaś rozwoju zmysłowości teatr, tańce i lektura lekka, powieścio-belletrystyczna z ilustracyami bez wyboru. Tą drogą doszliśmy do tego, że studenciki trzynastoletnie zamiast o gramatyce, rozprawiają poważnie o wdziękach panien, a panienki podlotki wiedzą i szepczą sobie do ucha o tem, o czem ledwo jako mężatkom wiedzieć im przystało. Mówię prawdę i ani słowa z tego nie cofnę. W dalsze szczegóły tej już dobrze świadomej siebie zmysłowości, która w dojrzałym organizmie znajduje dla siebie naturalną podniechę, wchodzić nie mogę. Ostrzegam tylko przed tą, jakby ją nazwać, maskowaną, występłą zmysłowością, która pod dozorem pielęgnowania sztuk nadobnych, szukania ideałów piękna, albo znów pod pozorem nauki, lubuje sobie w nieprzyzwoitych widokach i obrazach, w towarzystwach lekkich i więcej jak światowych, w książkach lekar-

skich i zwiedzaniu anatomicznych zakładów czy gabinetów. Nie o sztukę, nie o piękno i nie o naukę to chodzi, ale o zaspokojenie zmysłowości i niskich instynktów. Przestrzedz także muszę przed zbyt szerokiem sumieniem, jakie sobie w tym drażliwym przedmiocie ludzie światowi czynią. Zwala się tu wszystko na słabość natury ludzkiej, mówi się: „*c'est plus fort que moi*, cóż ja za to mogę, że we mnie krew nie woda, że mam zbyt bujną wyobraźnię; za serce swoje kto odpowiada?” Opinia nawet publiczna jest dla młodych ludzi w tej mierze niesłychanie pobłażliwą; niech tylko nie zakłóca spokoju domowego, bo wtedy już im i świat nie przebacza, to na wszystko inne patrzy się przez palce. Tak być nie ma. Pogańska to moralność, która tylko spokój domowego ogniska przed swywołą zabezpieczony mieć chciała. Chrześcijańska moralność nie zna i nie pozwala innego stosunku, jak tylko związek małżeński, wszystkie inne potępia i surowo zabrania.

W końcu jedna jeszcze kwestya. Myśli złe, przeciwne niewinności, uczucia i żądze nieskromne czy zawsze są grzechem ciężkim? Jest to ważne pytanie, bo pewną jest rzeczą, że nieraz szczerze pobożne i moralnie żyjące osoby doznawać mogą tego rodzaju myśli lub uczuć. Wprawia je to w wielki niepokój, bo rozumieją, że grzeszą śmiertelnie. Niechże się uspokoją. Wszelka myśl i żądza nieczysta jest grzechem, kiedy sobie sami do niej dajemy okazyą i powód, np. czytaniem lub rozmową nieprzyzwoitą, zbytnią poufałością w obcowaniu, patrzeniem na nieprzyzwoite przedmioty, i doznawszy w sobie onej złej myśli czy żądz, mamy pewne zadowolenie, bawimy się nią i podobamy w niej sobie; gorzej jeszcze, gdy gotowi nawet jesteśmy w czyn ją wprowadzić, gdyby nas względ ludzki albo obawa następstw od tego nie powstrzymywała. Przeciwnie, jeżeli te myśli i uczucia źródło mają w fizycznym lub chorobliwym stanie zdrowia, albo powstały przez jakąś nieostrożność twoją i ty skoro się tylko spostrzeżesz, starasz się takowe oddalić, bronisz się przeciw nim, dałbyś nie wiem co za to, żebyś od nich był wolny, to wtenczas grzechu żadnego w tem niema według nauki św. Au-

gustyna: *non nocet sensus ubi non adest consensus*, myśl lub uczucie złe nie jest grzechem, gdy niema nań przyzwolenia. Owszem jeżeli te upokarzające myśli raz odrzucone ponawiają swój napad, i ty je znów odrzucasz i do Boga modlitwą się zwracasz, to nie tylko nie grzeszysz, ale masz jeszcze zasługę przed Bogiem. Najlepszy sposób, gardzić niemi, nie zważać wiele na nie, ale zająć się jakąś robotą i zwrócić umysł do Boga krótką modlitwą. Czy należy spowiadać się z podobnych myśli? Jeżeli się miało w nich upodobanie i dało się na nie przyzwolenie, to należy je jak każdy ciężki grzech wyznać na spowiedzi? jeżeli zaś przyzwolenia nie było, to niema obowiązku, ale jest pożyteczną i wielce doradzoną rzeczą odkryć się z nich na spowiedzi dla większego upokorzenia naszego i dla usunięcia wszelkiej wątpliwości, gdyż w materii tak delikatnej nie zawsze jest jasną ta granica winy od bezwiny.

Zamykam ten przedmiot słowy Pawła św. do Efezów: „a poróbstwo i wszelka nieczystość... niechaj nie będzie ani pomieniono między wami jako świętym przystoi. Bo to wiedzieć, iż wszelki porubca, albo nieczysty... nie ma dziedzictwa w królestwie Chrystusowem i Bożem. Niechaj was nikt nie zwodzi próżnemi słowy; albowiem dlatego przychodzi gniew Boży na syny niewierności; nie bądźcież tedy uczestnikami ich“. (Ef. V, 5—8).

III.

Siódme i dziesiąte przykazanie Boże biorą w obronę *własność człowieka*. *Nie kradnij*. Co to jest kradzież? *Ablatio rei alienae rationabiliter invito domino* zabranie cudzej rzeczy whrew rozsądnej woli właściciela. Zdawałoby się, że w klasach, dla których ta książka przeznaczona, nie popełnia się grzechu kradzieży, tak ona jest brzydką. Być to może, ale mimo to wydarzają się i wśród najbardziej inteligentnych warstw czyny VII i X przykazaniem surowo wzbronione. Bo nie tylko kradzież pospolita, ale wszelkie zamierzone lub

faktyczne naruszenie lub uszkodzenie cudzej własności, wszelkie w jakibądź niesprawiedliwy sposób wzbogacenie siebie cudzem mieniem, rubryką VII przykazania objęte. I tak marnotrawienie majątku grą hazardową, lekkomyślnością i próżniactwem; wystawne prowadzenie domu, życie nad stan, niepohamowana próżność w strojach i ubiorach u pań, lekkomyślne zaciąganie długów, brak rachunkowości w dochodach i wydatkach, hazardowe operacje pieniężne narażające na pewną stratę a niepewne zyski, słowem wszystko to co spowoduje ruinę majątkową, jest grzechem przeciw VII przykazaniu. Dlaczego? Bo majątek ziemski i mienie nie jest twoją bezwzględną własnością, ale użyczoną ci od Boga na to, abyś jej używał roztropnie i z miarą na pożytek Kościoła, kraju, twojej rodziny i ubogich. Tracąc fortunę z własnej winy, okradasz swoją żonę i dzieci, do których ona także w części przynajmniej należy, krzywdzisz kraj twój rodzinny, zwłaszcza jeżeli majątek ziemski w obce przechodzi ręce. Nawet opinia świata z pogardą wyraża się o takich marnotrawcach i utracyuszach.

Synowie i córki, którzy się leniwo biorą do naukowej pracy, tracą rok szkolny jeden i drugi, nie zdają egzaminów, słowem pomimo nakładu i ofiar rodzicielskich, do niczego się nie usposobili, albo którzy roztrzepaniem i nieuwagą swoją niszczą książki i odzienie, psują sprzęty domowe, albo domagają się od rodziców eleganckich modnych sukien, wykwinnych pokarmów i zbytków, grzeszą, chociaż nie zawsze śmiertelnie, przeciw VII przykazaniu, i są do pewnego stopnia złodziejami. Rodzice bowiem muszą być niechętni wydatkom, z których korzyści niema, albo które możność ich przechodzą.

Nierzetelne lub nie w swoim czasie wypłacanie należności kupcom, rzemieślnikom i sługom, przyprawiające ich o zawód i straty; niesumienna i niestaranna administracja majątku cudzego, wdów zwłaszcza i sierót; niedbalstwo oficyalistów i urzędników przynoszące straty znaczne bądźto fortunie prywatnej, bądź publicznej, wszystko to są grzechy VII przykazaniem wzbronione. A one rachunki wygórowane, które

się podaje właścicielom albo władzom wyższym tytułem kosztów podróży, dyet i nadzwyczajnych wydatków, czy nie są niesprawiedliwie nabytym zyskiem, a więc grzechem przeciw VII przykazaniu? Zamilczam owe łapówki, branie kubańów, wyderkafy i wszelkie nieprawne zyski, bo te już i opinia świata potępia i jako rzecz brzydką, bardzo zbliżoną do prostej kradzieży, piętnuje.

Obowiązki, które na nas nakłada VII przykazanie są te: najprzód obowiązek szanowania cudzej własności, a to nietylko prywatnej ale wszelkiej innej państwowej, krajowej, kościelnej, korporacyjnej. Kładę nacisk na to; zdarza się bowiem często, że bardzo sumienni w szafowaniu własnem lub cudzem prywatnem mieniem, rozgrzeszamy się łatwo, gdy chodzi o szkodę wyrządzoną skarbowi państwa i kraju lub publicznej jakiej instytucji. „Mniejsza o to, mówimy, to rządowe, to krajowe; rząd i kraj rozporządza milionami, na które się wszyscy składamy“. Państwo czy kraj, czy jakakolwiek instytucja jest właścicielem prawnym, i przysługują mu te same prawa nietykalności jego mienia i grosza, jak każdemu prywatnemu człowiekowi. Nierzetelność lub lekkomyślność w szafowaniu groszem i mieniem publicznem stała się jedną z głównych przyczyn utraty bytu politycznego dawnej Polski, a jest grzechem nietylko wtenczas, kiedy sądownie jest ściganą i karaną, ale zawsze, nawet gdy bardzo zręcznie i w wielkiej tajemnicy jest popełnioną. W miarę bowiem im niesumiennie i bezmyślniej rozporządza się groszem publicznym, rosną podatki lub umniejszają się dochody, a tem samem krzywda dzieje się ludziom prywatnym, którzy podatek ów zwiększony płacą, albo sprawiedliwego swego dochodu są pozbawieni; państwo zaś i kraj i instytucja traci jedną z głównych podstaw swego bytu, bo wcześniej — później popaść musi w bankructwo. Nie zmienia też stanu rzeczy ta okoliczność, że właściciel jest zamożny i drobnych strat nie czuje, jak to n. p. bywa w latifundjach i majątkach wielkich panów, gdyż i tutaj prawo nietykalności cudzego mienia jest to samo, a nadto przyjąwszy zasadę, że ludziom zamożnym można bez szkru-

pułu i winy drobne straty wyrządzać, przyprowadzi się ich niezdługo do zupełnej ruiny majątkowej. Niedozór z jednej a nieuczciwość z drugiej strony stały się za dni naszych powodem ruiny wielu fortun pańskich w naszym kraju.

Drugim obowiązkiem jest restytucya czyli zwrot nieprawnie nabytej własności lub odszkodowanie wyrządzonej krzywdy czy straty. *Res clamat Domino*, własność zabrana wrócić musi do pana, jest odwieczna zasada moralna. *Non remittitur peccatum, nisi restituatur ablatum*. Nie odpuści się grzech, dopokąd nie zwróci się szkody, woła Augustyn św.

Lecz w tem jest właśnie wielka trudność; jak zwrócić i komu zwrócić, aby i przykazaniu Bożemu stało się zadosyć, i honor winnego nie został na szwank narażony. Dla spowiedników jest to trudny orzech do zgryzienia, bo zazwyczaj penitenci u nich rady i światła w tej mierze szukają, a tu radzić trudno i nie zawsze oświecać wypada. Marnotrawcy oszczędnością w potrzebnych nawet wydatkach i uczciwą pracą zwrócić muszą choć część utraconej fortuny ojczyźnie i rodzinie. Niesumienni lub niedbali opiekunowie z własnego majątku zwrócić muszą szkody wyrządzone swym pupilom, tak samo oficyaliści i urzędnicy względem tych, na których chlebie żyją. „A jeżeli nie mam swego majątku, ani nawet nadziei, abym doszedł do niego, co wtenczas?“. Wtenczas masz obowiązek zapobiegliwością i podwojoną pilnością w spełnianiu twego obowiązku przysporzyć dochodów temu, którego skrzywdziłeś, czy to człek prywatny, czy instytucja publiczna. A jeżeli kto ma swój majątek, ale nie może zwrócić szkody bez narażenia siebie na ciężkie podejrzenie a nawet utratę posady, jak np. urzędnik liczący podwójne i potrójne swoje dyety, oficyalista defraudujący dochody swego pryncypała — co wtenczas? Udaj się po radę do rozumnego spowiednika, on ci powie, co masz czynić, ale szkoda zwróconą być musi. Zazwyczaj spowiednik sam się ofiaruje za pośrednika i odebrawszy od penitenta należytą kwotę, przesyła ją tam, dokąd ona przeznaczona z dopiskiem: „szkoda zwrócona przy św. spowiedzi pod tajemnicą; proszę o pokwitowanie“, a potem

kwit ów zwraca penitentowi, jeżeli on tego żąda. Jeżeli ten sposób z jakichbądź przyczyn niemożliwy, wtenczas poleca się penitentowi, aby całą tę sumę tytułem restytucyi rozdał jako jałmużnę ubogim lub na dobroczynne chrześcijańskie cele.

Trzecim obowiązkiem jest dawanie jałmużny. Wynika to nie tylko z prawa natury niesienia pomocy potrzebującemu, ale też i z chrześcijańskiego pojęcia własności i jest wyraźny rozkaz Boży dawania jałmużny. „Nie odejmuj jałmużny ubogiemu“ (Ekl. IV, 1), powiada Mędrzec pański. „Bądźcie miłosierni, jako i ojciec wasz miłosierny jest... Dawajcie, a będzie wam dano“, (Łuk. VI, 36, 38,) naucza Chrystus Pan. I na sądzie ostatecznym rzecze tenże Chrystus do potępionych: „Idźcie odemnie przekłęci w ogień wieczny“. Za co? „Albowiem łaknąłem, a nie daliście mi jeść, pragnąłem a nie daliście mi pić, byłem gościem, a nie przyjęliście mnie, nagim, a nie przyodzialiście mnie, niemocnym i w ciemnicy, a nie nawiedziliście mnie“ (Mat. XXV, 42, 43). Patrzże tedy, jak odmówienie jałmużny i miłosierdzia przyczyną jest potępienia wiecznego. Z czego i kiedy mam dawać jałmużnę? Pod grzechem ciężkim mam dawać jałmużnę z tego co ci zbywa z odpowiedniego stanowisku twemu utrzymaniu; z tego zaś, co do utrzymania twego i twojej rodziny potrzebne, masz obowiązek pod grzechem ciężkim dać jałmużnę tylko wtenczas, gdy ubogi zostaje w ostatecznej nędzy, zagrożony jest, np. śmiercią głodową. We wszystkich innych wypadkach, gdy dajesz jałmużnę, to dajesz ją nie z obowiązku ale z miłości bliźniego.

Przestrzedz tu się mamy przed owem jałmużnictwem czy miłosierdziem nowego posiewu, nazwałbym je masoniskiem, jakim się wiek nasz popisuje. Miłosierdzie XIX wieku esencjonalnie różne od miłosierdzia chrześcijańskiego; różni się motywami, sposobem i źródłem, z którego daje. Tamto daje jedynie z naturalnego, szlachetnego zresztą współczucia dla cierpiącego albo dla względów ludzkich, dla próżnej chwały i popularności; to zaś w dawaniu jałmużny chce spełnić głównie rozkaz Chrystusa i w każdym ubogim Chrystusa upa-

truje. Tamto afiszuje się w dziennikach, cieszy się reklamą, jest głośne i hałaśliwe podobne do miłosierdzia faryzeuszów, którzy otrębywać kazali po rogach ulic ile razy dawali jałmużnę; to zaś jest ciche i ukryte i niechętnie znosi, jeżeli ludzie przypadkiem o niem się dowiedzą, pomne na słowa Chrystusa: „Strzeżcie się, abyście jałmużny waszej nie czynili przed ludźmi dlatego, abyście byli widziani od nich; inaczej nie będziecie mieli zapłaty u Ojca waszego, który jest w niebiesiech. Przetoż gdy czynisz jałmużnę, nie trąb przed sobą jako obłudnicy czynią w bóżnicach i na ulicach... ale gdy czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica twoja, aby jałmużna twoja była w skrytości, a Ojciec twój który widzi w skrytości, Ten ci jawnie odda”. (Mat. VI, 1 — 15). Chrześcijańskie miłosierdzie daje ze swego i nie tylko z tego co mu zbywa, ale ogranicza swoje wydatki, odmawia sobie niejednej godziwej przyjemności, trzodzi się i pracuje, byle tylko miało więcej, aby dać więcej ubogiemu; to zaś miłosierdzie XIX wieku daje najczęściej z cudzego.

I wyrobiło się u nas ono śmiejące się, tańcujące, podskakujące miłosierdzie, co to ząbki susząc, bawiąc się w najlepsze, próżności i innym niedobrym instynktom dogadzając, łzę ociera cierpiącemu; marnuje tysiące, aby dać dziesiątkę ubóstwu. Mam tu na myśli owe teatra amatorskie, bale i fesyjny na cele dobroczynne, — istna karykatura miłosierdzia, której nawet poganie nie znali. Nazwałem to miłosierdzie masoniiskiem, nie cofam tego słowa. Mam przed sobą statuta i regulamin masonii francuskiej z r. 1873, *Constitutions, Status et Réglements généraux de l'Ordre massonique en France. Paris 1873* i na str. 113, artykuł 217 o źródłach dochodu masonii czytałem punkt 2. Drugiem źródłem jest „dochód z zabaw, koncertów, obchodów i festynów wszelkiego rodzaju, które wydają albo obchodzą loże na korzyść asystencyi masoniiskiej: *du produit des fêtes, concerts, cérémonies et solennités de toute nature, donnés ou célébrés par les Loges au profit de l'assistance maçonnique*“. Potrzebaż jaśniejszego dowodu, że owe teatra, koncerty i bale na cele dobroczynne są inwencyą sekty

masońskiej? Jać wiem doskonale, że nasi panowie i panie nie należą do sekty, ani nie żywią antychrześcijańskich zamysłów, gdy się bawią i skaczą na balach dla ubogich, dla weteranów i wygnańców, wiem także, że nie zdołam przeszkodzić dalszemu dawaniu balów i zabaw na t. zw. dobroczynne cele; ale winienem zaznaczyć źródło tego bądź co bądź niechrześcijańskiego miłosierdzia, sprostować, odświeżyć paczące się i zacierające coraz bardziej pojęcie chrześcijańskiej jałmużny i dobroczynności. Doszły bowiem rzeczy do tego, że w 1882 r. na generalnem zebraniu konferencyi św. Wincentego a Paulo w Krakowie, jeden poważny wiekiem i stanowiskiem socyalnem członek zaproponował w całej dobrodusznosci, aby dla pomnożenia funduszków konferencyi urządzić teatr amatorski, który przyniesie z pewnością znaczny dochód, gdyż on uprosi bawiącą podówczas w mieście sławną artystkę, aby w teatrze tym udział wzięła. Wytlómaczono mu, że ten sposób pomnożenia funduszu nie zgadza się z duchem św. Wincentego, ale fakt ten dowodzi aż nadto wielkiego zamętu pojęć nawet u ludzi pobożnych i światłych i dlatego mówić o tem potrzeba z ambony i w książkach. Doszło do tego, że już się nie umiemy prawie inaczej bawić, jak pozując na jałmużników, a młodzi ludzie silą się formalnie na to, aby wymyśleć jaki cel rzekomo dobroczynny i mieć przez to pretekst do urządzenia zabawy lub balu. Mówią mi niektóre miłosierne panie: „ależ my inaczej nie dostaniemy nic na ubogich“. Bardzo to smutno, ale pytam was, czy jeszcze szczelniej nie zamkną się dłonie i kieszenie, kiedy zatrą się do reszty i znikną z pośród społeczeństwa zasady i pojęcia chrześcijańskie, do czego wy waszem śmiejącem się i podskakującym miłosierdziem bardzo się przyczyniacie? Pytam jeszcze, czy nie właśnie dlatego prawdziwa jałmużna płynie tak skąpo, że na tę karykaturalną jałmużnę wydaje się bardzo wiele i nad możność? Boć nie tylko bilety zapłacić, ale i na suknie i na stroje i na bufet grubo wydać trzeba. Obliczono, że skromny bal w Sukiennicach krakowskich kosztuje w przecięciu 100.000 złr. wliczając w to wydatki na suknie i stroje i t. d., z tego dostaje się ubogim

ledwo kilkaset zlr. Szał karnawałowy, ożeniony z manią dobroczynności podskakującej, tak ogarnia młode i starsze umysły, że się zapożyczają na wysoki procent, zastawiają w banku ostatni klejnocik, grosz ostatni wydadzą, byle pójść na bal i bawić się i ratować nędzę. Rzecz jasna, że gdy potem do nich zapukasz o tę prawdziwą jałmużnę, to ci nic nie dadzą, bo są goli i sami nędzarze. Nie — już to nawet ekonomicznie rzecz biorąc, źle się przysługujemy ubóstwu owymi festynami i balami dobroczynnymi: ratując i to częściowo i chwilowo tylko nędzę niewielu, popychamy do nędzy krocie ludzi średniej fortuny, wciągając ich w zakłętą koło zabaw. Mówią mi jeszcze; „to wcale balów i zabaw publicznych nie będzie“. — Czy to tak wielkie nieszczęście? w starej Polsce nieznano publicznych zabaw, bawiono się za to tem lepiej w domu. Dzisiaj zniknęła prawie swoboda i wesołość domowych zebrań — nudzą się, poziewają, zabijają czas kartami nawet panie, nawet panienki — podlotki. Zdaje się, jak gdyby szał balów publicznych zdmuchnął swobodę i urok domowego ogniska.

Miłośnierni po swojemu dla ubogich, jesteście niesłychanie skąpi dla Boga. Ofiarność dla kościołów, klasztorów i zakonnych zgromadzeń, ta prawie do szczytu zginęła wśród inteligencji naszej. Przykład idzie z góry, bo *piscis foetet a capite*, ryba cuchnie od głowy. W ostatnich lat sto nie było jednego rządu w zachodniej i środkowej Europie, któryby się nie odznaczył konfiskatą dóbr kościelnych, rozwiązaniem i kasatą zakonów, przemianą kościołów i klasztorów na biura, więzienia, koszary, a nawet na magazyny i stajnie. Wtórowała tej wrzekomu postępowej robocie prasa w ręku żydów i masonii przeważnie zostająca, a pilnie i przez naszą inteligencją czytana; cóż dziwnego, że fundacye kościelne i zapisy nazwane przez prawodawstwo kapitałem martwej ręki, uważać poczęto za rzecz ekonomicznie szkodliwą, cywilizacyjnie zgubną, a przynajmniej nie na czasie i że się zamyka drzwi domu swego przed kwestarzem i kwestarką, albo jeżeli rzuci się grosz jaki, to z taką niechęcią i z tylu wymówek, że kwestujący zdobyć się musi na wielką dozę cierpliwości i pokory, aby to

znieść w milczeniu i powiedzieć: Bóg zapłać? Mnie to jest zupełnie jasne i nie dziwię się temu. Prędzejbym się dziwił skąpstwu inteligencji dla kościołów parafialnych i świątyń miejscowych, bo te nawet fiskalizm państw nowożytnych oszczędził i ustawy dla ich uposażenia i utrzymania popisał. Otóż faktem jest, że ile razy proboszcz zapuka o składkę parafialną lub zażąda ustawą konkurencyjną przepisanej sumy — tyle razy, nie wśród prostego ludu ale wśród inteligencji podnoszą się głosy opozycji i udanego oburzenia. Prawda, w ostatnich kilkunastu latach odnowiono lub wybudowano w Galicyi, blisko 50 kościołów i kaplic jedynie ze składek dobrowolnych — ale dawała je przeważnie uboższa klasa; u inteligencji miastowej i miasteczkowej nie wiele pożywały się komitety kościelno-budownicze. Nawet drobne ofiary z świec, wosku, ornatów i innych ozdób ołtarza znosi także klasa uboższa, rzadko kiedy pani dworska albo miastowa, słowem skąpstwo dla Kościoła wśród inteligencji naszej galicyjskiej zwłaszcza, jest obrzydliwe, snąć ten Kościół jest dla niej miejscem obojętnem, a może wstrętnem.

Popierać swoim groszem wydawnictwa albo naukowe towarzystwa i dzienniki katolickie, nikomu u nas nawet na myśl nie przyjdzie; wielka łaska, jeżeli się prenumeratę złoży, bo i ta miesiącami zalega. Katolicy Francyi i Belgii składają na cele religijno-naukowe corocznie miliony; założyli i utrzymują katolickie uniwersytety, zasilają dawne, zakładają nowe katolickie czasopisma, bursy i ochrony; w Księstwie Poznańskiem naukowe towarzystwo imienia Marcinkowskiego, do którego przeważna część szlachty i kleru należy, wychowywało przez cały ciąg walki kulturalnej corocznie przeszło 30 kleryków w Würzburgu i indziej, bo seminaria w Gnieźnie i Poznaniu były zamknięte; dla ruskiego alumnatu ks. Kalinki we Lwowie zebrano w temże Księstwie w krótkim czasie 5.000 marek; płyną tam składki i na misye bułgarskie i inne religijne cele — u nas jaka na tem polu ofiarność? Zwalamy to wszystko na lud wiejski i na sejm lwowski, z któregośmy robie zrobili wielkiego jałmużnika Galicyi. Jeżeli mi nie wiara, proszę was

panowie i panie, przeglądniście rachunki wasze z ubiegłego roku, czy tam znajdziecie rubrykę: na cele kościelno-religijne wydano tyle a tyle; a jeżeli ta rubryka w księdze waszych rachunków figuruje, to ile w niej zapisano? Podobno nie albo coś bardzo niewiele. Ubóstwem kraju się nie składajmy, bo i inne dzelnice nasze przebywają także ciężką dolę finansową — ale powiedzmy sobie prawdę: Bóg, wiara, kościoły, zakony mało nas obchodzą i dlatego nie mamy grosza dla nich. A jednak chrześcijańskie pojęcie własności, której nie jesteśmy *domini absoluti* panami, ale *usufructuarii*, włodarzami tylko i z której zdamy rachunek Bogu: „oddaj liczbę włodarstwa twego“ nakłada na nas obowiązek tej ofiarności kościelno-religijnej; była ona wielką i hojną za czasów dawnej rzeczypospolitej.

Dziesiąte przykazanie kładzie wężdzidło na socyalne namiętności. Każe się kontentować tem, co kto ma, nie pragnąć cudzego, nie unosić się zazdrością i nienawiścią względem tych, którzy więcej mają albo i wiele mają. Rzecz dziwna, już w młodziutkiem pokoleniu, w panienkach nawet objawia się nie rzadko to uczucie żalu do Boga i rodziców, że się nie ma tyle i tego, ileby się mieć pragnęło, a pewnej niechęci i nienawiści do tych, którzy mają lepiej i więcej niż oni: tak, że namiętności socyalne wiszą w atmosferze wieku. Tymczasem Chrystus powiada: „Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie. Biada wam bogaczom, bo macie pociechę waszą. Biada wam, którzyście się nasycili, albowiem łaknąć będziecie. Biada wam, którzy się teraz śmiejecie, bo będziecie narzekać i płakać“ (Mat. V, 3. Łuk. VI, 24—26). Ubogim w duchu może być i średniej fortuny i majątny człowiek, ale który nie przywiązuje się zanadto do tego co ma, poprzestaje na tem co ma, używa chętnie drugim z tego co ma, a cieszy się i raduje powodzeniem i dostatkiem bliźniego. Jak znów przeciwnie bogaczem, któremu Chrystus woła: *biada*, może być i ubogi materyalnie człowiek, ale który przykrzy sobie w swem ubóstwie, zazdrości zamożniejszemu, radby go w łyżce wody utopił, z gardłaby mu wyjął i wszelkimi spo-

sobami, „z Bogiem czy mimo Boga“, dąży do wzbogacenia siebie. Przypominać nam potrzeba te złote prawdy, bo i tu, jak w wielu innych razach duch wieku zamaćił pojęcia, iż dla wielu tylko pieniądz i bogactwo ma wartość i tylko bogaty szczęśliwym być może i tylko gonienie za groszem za cel życia stanie i dla tego grosza wszystko się poświęca: i honor i cnotę i wiarę, według tego jak śpiewał stary Horacy: *quid non mortalia pectora cogis auri sacra fames*, do czegoż nie popchnie ludzkiego serca przekłety głód złota!

IV.

Pozostaje nam jeszcze VIII przykazanie: *Nie mów przeciw bliźniemu twemu fałszywego świadectwa*. W powyższych przykazaniach bierze Bóg w obronę życie, zdrowie i własność, tutaj dobrą sławę i pocziwe imię człowieka. Zakazuje się niem naprzód wszelkiego kłamstwa, bądź to w prywatnej rozmowie, bądź też jako fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu w sądzie lub poza nim, w publicznych lub prywatnych stosunkach, a potem wszelkiej kradzieży dobrej sławy, a więc: obmowy, oszczerstwa czyli potwarzy i obelgi.

Co to jest kłamstwo? *Sermo contra mentem loquentis*, mowa wbrew temu, co się myśli. Jest ono z natury swojej i zawsze złem, bo jest nadużyciem najpiękniejszego daru Bożego, mowy, którą człowiek różni się istotnie od zwierzęcia, a która mu na to dana, aby myśli i uczucia swoje objawiał bliźnim. I Chrystus Pan powiada: „a niechaj mowa wasza będzie jest, jest, nie, nie, a co nadto więcej jest, od złego jest... Bądźcież prostymi jako gołębie“ (Mat. V, 37. X, 16). Nikt mądry nie mówi wszystkiego i wszystkim co myśli i czuje, ale nikt uczciwy i honorowy nie mówi inaczej jak myśli. Kłamstwo jest wadą hańbiącą podobnie jak kradzież i dlatego w domach, gdzie dbają o dobre wychowanie dzieci, nieczego tak nie przestrzegają, jak żeby dziecko mówiło zawsze prawdę i nieczego tak ostro nie karzą, jak gdy się z tą prawdą

mija. Kłamstwo psuje charakter, wyrabia dwulicowość i obłudę, prowadzi do plotkarstwa i brudnych intryg. Wystrzegać się go ma przedewszystkiem wiek młody, panienki zwłaszcza, u których wyobraźnia przy niewyrobnym jeszcze zmysle moralnym, podnieca skłonność do zmyślania. Z natury swojej jest grzechem powszednim, ale jeżeli ciężką szkodę przynosi drugiemu, (*mendacium damnosum*) staje się śmiertelnym. Kłamać nigdy się nie godzi, nawet dla oszczędzania wielkiej przykrości sobie lub drugim, nawet dla przyniesienia usługi lub pomocy bliźniemu, (*mendacium officiosum*) nawet dla dobra publicznego. „A jeżeli zapytany nie mogę wyjawić prawdy, albo dla tego, że skompromitowałbym przez to innych, albo że związany jestem sekretem, co wtenczas?“ Należy wręcz oświadczyć: „przebac, ale powiedzieć ci nie mogę. Czy w takim razie nie mogę odpowiedzieć: nie wiem?“ Ile razy ktoś *niepowołany* pyta mnie o rzeczy, które do niego *nie należą*, n. p. gdy kto wypytuje się niedyskretnie o moje stosunki familijne, to choćbym wiedział, mogę bez popełnienia kłamstwa odpowiedzieć: nie wiem, to znaczy: nie wiem dla ciebie; jest to więc łagodniejsza forma odpowiedzi: nie pytaj, bo ci nie do tego. Pytali raz uczniowie Chrystusa Pana, kiedy ostateczny sąd nastąpi? On im na to: „lecz o onym dniu i godzinie nikt nie wie, ani Aniołowie niebiescy, jeno sam Ojciec“. (Mat. XXIX, 36). Wiedział przecie i Chrystus Pan, ale dla uczniów wiadomość ta nie była potrzebną. Jeżeli jednak kompetentna osoba, która ma prawo i obowiązek wiedzieć pyta: n. p. gdy starszy zapytuje podwładnego w sprawie swego urzędu, to wtenczas nie mogę odpowiedzieć: nie wiem, gdyż byłoby to oczywiście kłamstwem, wyjawsz, jeśli coś było powierzone pod tajemnicą w celu zasięgnięcia mej rady. Tak samo nie jest kłamstwem, gdy każę powiedzieć niepożądanemu gościowi, pana niema w domu, a pan jest, bo to znaczy: niema mnie dla ciebie, nie chcę cię mieć w swym domu teraz, nie na rękę mi twoja wizyta.

Rzecz ta wprowadza nas w tyle głośną w wieku przeszłym kwestyę: czy zastrzeżenie myślnie (*restrictio mentalis*),

czyli tak zwany Eskobaryzm jest dozwolone? Spytajmy najprzód, czem ono właściwie jest? Jest aktem myślnym, nadającym słowom inne znaczenie, aniżeli one w powszechnem rozumieniu mają, tak, że ten kto mnie słyszy, o prawdzie *w żaden sposób* dowiedzieć się nie może i taka restrykcyja jest VIII przykazaniem wzbroniona, i żaden z Jezuitów, nawet ksiądz Eskobar, nie nauczał nigdy inaczej. Przeciwnie restrykcyja niewłaściwie tak nazwana, gdzie ja słowom moim nadaję wprawdzie inne znaczenie w myśli, jak one mają w brzmieniu, ale ten kto mnie słyszy, może łatwo zrozumieć, co mu właśnie chciałem powiedzieć, gdy n. p. niedyskretnie pytającemu odpowiadam, nie wiem, t. j. nie wiem dla ciebie, jest dozwoloną i w życiu codziennem u zacniejszych ludzi praktykowaną, a niekiedy nawet okolicznościami nakazaną. Niech n. p. kapłana zapyta kto o rzecz, którą on wie tylko ze spowiedzi, to mu odpowie: nie wiem. Tak samo urzędnicy, charakterem swego urzędu lub przysięgą do tajemnicy zobowiązani, coś innego odpowiadają zazwyczaj niedyskretnie pytającym jak: nie wiem, albo nie umiem tego panu powiedzieć. Atanazy św., chroniąc się ucieczką przed gniewem cesarza, gdy ujrzał, że okręt cesarski ściga jego okręci i niechybnie doścignie, kazał wrócić majtkom, i płynąć naprzeciw. Mijając się pyta kapitan cesarskiego okrętu: „nie widzieliście gdzie Atanazego?“ „O tak odpowie święty, dopiero co tędy przepłynął“.

A grzeczności towarzyskie: padam do nóg, całuję rączki, jakże jestem szczęśliwy, że cię widzę; albo przesadne pochwały wdzięku, urody, talentu, albo przesadne narracye awantur wojskowych i przygód myśliwskich i t. p. czy są kłamstwem? Nie, są to komplementa, i nie więcej, albo prosta blaga; niemądry kto je bierze za dobrą monetę, ale to już jego wina. W ogóle jednak wystrzegać się należy i tej przesady w grzecznościach, bo ona staje się cikliwą i wstrętną i graniczy o miedzę z obludą, i również tej blagi, bo takim pływaczom po piasku już potem, nawet gdy szczerą prawdę mówią, nikt nie daje wiary i lekko ich zbywa.

Przejdźmy do obmowy. Żaden może występek nierozpowszechnił się wśród naszego społeczeństwa tak, jak to szarpanie i uwłaczanie sławie bliźniego na różne tony i nuty. Doszło do tego, że po miastach, zwłaszcza prowincjonalnych, ludzie przestają prawie u siebie bywać, tak się boją obmowy, komerażów, bajek i plotek. „Po co tam pójde, mówią, czy po to, żeby mnie obmówili, każde moje słowo przenicowali i w komeraż mnie jaki wplątali; wolę w domu siedzieć i nudzić się“. Skłonność ta do obmów i bajek tkwi poniekąd w charakterze naszym polskim, na co historia ostatniego wieku Rzpltej aż nadto smutnych dostarcza dowodów, a przemieniła się w formalną manią okradania sławy bliźniego, dzięki panfleciarskiemu dziennikarstwu w latach zwłaszcza 1860 — 1875. Nie już prosta obmowa, ale brzydkie oszczerstwo i potwarz tak się rozwieliło w ramach liberalno-postępowej prasy, że to wywołało oburzenie wszystkich ludzi, któremu wymowny wyraz dał profesor Tarnowski w głośnym swego czasu, a wybornym artykule *Przeglądu polskiego* pod napisem: *Królowa opinia*. Przypomnijmy sobie tę smutną dobę: najpierwsze i najzacniejsze imiona w kraju, taki ś. p. książę Leon Sapieha, wybitniejsi posłowie sejmowi, jak ś. p. Szujski, zakony poczeiwie służące krajowi, jak OO. Zmartwychwstańcy, wymowni kaznodzieje, jak ś. p. ks. Golian, instytucye krajowe i prywatne, Siostry nawet miłosierdzia przy szpitalu krajowym, wszystko to było stawione pod pręgierz opinii i zniesławione. Wywlekano domowe brudy, rozmazywano skandale i skandali, które na zawsze pozostać powinny w ukryciu, wypisując winnych po imieniu i nazwisku, co nawet popelnęło do kilku samobójstw; w fejletonach p. Lama bawiono publiczność sarkazmem, panfletem i wyszydzaniem wszystkiego co święte, a równocześnie redakcye tych piśmideł gryzły się między sobą, redaktorowie wytaczali sobie publiczne procesa o kradzież, a przy ostatecznej rozprawie podali sobie ręce, godzili się, bo wart był pałac Paca, a Pac pałaca. Przez lat prawie 20 karmiło się społeczeństwo czytające tą trucizną, cóż dziwnego, że otrzaskało się ze złem i nawykło samo do

obmowy i plotkarstwa. Od lat kilku widoczny zwrot ku lepszemu, złe jednak pielęgnowane przez lat 20 tkwi jeszcze potężnie wśród nas i nie wypłeni się jeszcze tak prędko.

Złość i przewrotność wszystkich obmów, oszczerstw, paszkwilów, bajek, potwarzy, mierzy się krzywdą, wyrządzoną na sławie bliźniemu; jeżeli ta krzywda jest drobna, mała, są to grzechy zawsze brzydkie, ale powszednie tylko; jeżeli krzywda ciężka i wielka, wtenczas są to grzechy śmiertelne. Dobra sława i pocziwe imię czem ono właściwie jest? Jest to dobre mniemanie i sąd, jaki ludzie mają o życiu i obyczajach moich. To dobre mniemanie czyli opinię ludzką psuje obmowa, oszczerstwo czyli potwarz i obelga. Powiedzmy krótko o każdym.

Cóż jest *obmowa*? Jest to bezpotrzebne rozgłaszanie *rzeczywistych* wad bliźniego i jest zawsze grzechem, śmiertelnym wtedy, gdy ciężką szkodę przynosi sławie bliźniego; gdy mniejszą lub wcale drobną, jest grzechem powszednim. Dlaczego? Każdy człowiek tak długo ma prawo do dobrej sławy, dopokąd sam jej nie utracił hańbiącym, publicznie wiadomym czynem; np. oszustwem, za które wytoczono mu proces, skandalem głośnym, o którym pisano w dziennikach. Nie wolno mi więc bezpotrzebnie pozbawiać go dobrej sławy rozszerzaniem jego wad lub występków, które w szerszym kole nie były znane. Powiadam *bezpotrzebnie*, bo gdy wymaga tego dobro moralne bliźniego, gdy np. żądają odemnie informacji o człowieku, którego znam dobrze, dlatego, aby go przyjąć na guwernera do swoich synów, albo na rządcę majątku, albo na sługę domową, to wtenczas mogę bez grzechu odkryć rzeczywiste wady; owszem jestem do tego obowiązany prawem miłości bliźniego.

Podobnież, gdy chodzi o odwrócenie nieszczęścia publicznego, albo prywatnej szkody, wtenczas nie tylko wolno, ale obowiązkiem jest miłości chrześcijańskiej odkryć wady bliźniego, np. gdy wiem o gotującym się zamachu dynamitowym na budynki publiczny, albo o zмовie szajki złodziejskiej na mienie obywatela, mam obowiązek donieść o tem władzy i ostrzedz

zagrożonego. Gdy takiej potrzeby niema, nie godzi się nigdy rozgłaszać wad i grzechów bliźniego. Nawet gdy one wiadome są w jednym mieście lub okolicy, ale prywatnie tylko, nie wolno opowiadać bez potrzeby w innem miejscu, gdzie one nie są jeszcze wiadome, bo każdy ma prawo do dobrej sławy. Niechże się przestrzegą panie nasze, które opowiadają sobie na wyścigi a bez żadnej potrzeby, prawdziwe i urojone wady sług i domowników, mężów nawet i dzieci, a dopieroż sąsiadek i przyjaciółek swoich, zbierają plotki i ploteczki i w wielkim sekrecie a zawsze trochę powiększone roznoszą jak kupny towar, tak, że całe miasteczko wie, co w którym domu gotuje się na kuchni, jakie tam kwasy małżeńskie, jakie kłopoty finansowe, kto tam bywa i co mówi. Z pozorów wnioskując rozpuszczają się mylne wieści, przesadzające z góry intencje i zamiary, przekręcające słowa i czyny bliźniego; siła tu podejrzeń, domysłów, a wszystkie na niekorzyść sławy bliźniego wymierzone i graniczą o miedzę z oszczerstwem.

Młodzi ludzie, a nieraz i starsi panowie, za nic sobie mają puścić w kurs plotkę uwłaczającą niewieściej cności. Niby to niedowierzająco, ale jednak znacząco powtarzają: „złe języki o tej pani mówią to, o tej panience tamto“, a zawsze rzeczy brudne albo śliskie albo śmieszne. Babuszerya to obrzydła, niegodna starej baby, cóż dopiero ust mężczyzny. W kasy nowych rozmowach wywleka się na stół bez żadnego skrupułu wszystkie brudy kryminalistyki, choćby się sprawa przy drzwiach zamkniętych odbywała i nie była jeszcze ukończoną; wszystkie zajścia z stronami albo szetem i kolegą w biurze, wszystko to co się wie na pewno i nie na pewno, o księdzu proboszczu i plebanii, o hrabiu X. albo obywatelu Z. — *man hält kein Blat vors Maul* — a to jednak są obmowy, kradzieże dobrej sławy bliźniego w VIII-em przykazaniu surowo wzbronione.

A nawet pomiędzy osobami rzekomo pobożnymi grasuje obmowa, ale pod osłoną niby to ubolewania nad cudzym upadkiem, żalu i grozy, że Bóg tak ciężko został obrażony. „No, wystaw sobie, mówią, któżby się był spodziewał, że pan N.

lub pani X. tak zacny, tak w towarzystwie wysoko ceniony, do tyłu dzieł pobożnych należący, dopuścił się tak brzydkiego czynu, ach jakże mi go żal“. — „Cóż on, coż ona zrobiła?“ — „To nie wiesz?“ i dopiero długa narracya, co, gdzie, jak i kiedy ów pan lub owa pani popełniła złego, i ta najprostsza w świecie obmowa kończy się zwykle: „ach co za nieszczęście, jakie zgorszenie, co to za obraza Boża, i jakże nas Pan Bóg niema karać“. Zastosowaćby tu można dwuwiersz biskupa Krasińskiego, który w swej Monomachii o dewotce powiada:

„A karcąc w drugich błędy nieostrożnie,
Z cicha kaleczy, zabija pobożnie“.

Gorzej jeszcze, gdy przez nienawiść i niechęć, lub przez lekkomyślność i proste gadulstwo puszczam w świat, albo powtarzam za drugimi wady i złe postęпки bliźniego, których on niema i nie popełnił. To już nie obmowa ale *oszczerstwo*, za które wymierza karę nawet kodeks karny, i które najczęściej jest grzechem ciężkim, bo ciężką krzywdę sławie bliźniego przynosi; kradzież to moralna w całym słowa znaczeniu. Zazwyczaj na pierwszym planie księży i panienki bywają ofiarą tego nie tyle może złośliwego jak lekkomyślnego oszczerstwa. Najulubieńszy to temat rozmów: romanse księży i znajomości panienek; pełne tych narracyj każde prowincjonalne miasto. Ile w tem prostej obmowy, ile oszczerstwa, nie zawsze łatwo osądzić, ale najczęściej przeważa brzydkie oszczerstwo. Grzech to bardzo ciężki, a za grzech nie miane, bo kapłan bardziej niż kto inny potrzebuje dobrej sławy, aby spełniając wysokie swoje powołanie, mógł z otwartem czołem głosić z ambony prawdę i cnotę, a karcieć fałsz i występki i aby lud wierny miał zaufanie do niego. Dla młodej zaś panienki imię nieskalane i uczciwa reputacya jest często jedynym posagiem: nadwątlona albo tylko w podejrzenie podana, może jej zagrozić los na zawsze. Ile to lez popłynęło ukrzywdzonych ciężko na sławie niewinnych panienek; jezioro wielkie z nichbyś utworzył. Niech tylko będzie trochę żywa w ruchach, swobodna w obejściu się

•

z ludźmi, wnet ją ogłaszają jako lekką kokietkę; niech znów trochę więcej się modli jak inni, częściej do Sakramentów przystępuje, skromną będzie w mowie i stroju, wnet zrobią z niej dewotkę jezuicką, albo romans z księdzem ukują i tak ją w opinii ludzkiej zabijają. Czy nie tak się dzieje? O! upomni się Bóg tej krzywdy i tych łez, bo z biednem tem dzieckiem cierpi i płacze gorzko sędziwa matka, smuci się i nieraz zdrowiem smutek ten przypląca stary ojciec.

A nietylko duchownych i młode osoby; obmawiamy i potwarzamy urzędy i magistratury, przełożonych lub podwładnych naszych, żywym a nawet umarłym nie dajemy spokoju, ale ruszamy ich z grobu i pamięć ich zniesławiamy. Co w tem wszystkim jest zadziwiającego to ta łatwowierność, z jaką lada baśń lub plotkę, byle uwłaczającą sławie bliźniego przyjmujemy za prawdę, i to łakomstwo, z jakim formalnie czychamy na tego rodzaju uwłaczające sławie cudzej nowiny. Miejmyż wždy rozum i sumienie. Nietylko ten, kto obmawia i potwarza, ale i ten kto obmowy i potwarzy słucha, a bardziej jeszcze, kto ją bezmyślnie powtarza drugim, staje się winnym grzechu VIII-em przykazaniem wzbronionego. Cóż więc w takim razie czynić? Najprzód *nie wierz* temu, bo nie zawsze nawet połowę prawdy bajka mieści w sobie, a potem nie chciej słuchać dalszych obmów, podaj w wątpliwość ową narrację uwłaczającą, albo temat rozmów sprowadź zręcznie na inne pole, albo skarć obmowcę przypomnieniem onej starych Rzymian zasady: *de mortuis et absentibus nil nisi bene*, o umarłych i nieobecnych nie mów inaczej tylko dobrze. A wreszcie i to najważniejsza: nie powtarzaj obmowy; nie pęknieś, jeżeli nie powtórzysz jej drugim. *Crescit fama volando* powiada poeta Owidiusz, ale jak dobra tak i zła sława rośnie lataniem t. j. powtarzaniem z ust do ust.

Obelgi rzadziej się w wykształconych klasach pojawiają. Jest zaś obelga niesprawiedliwem naruszeniem osobistej czci i honoru, i może się stać albo rozmyślnem opuszczeniem należnych oznak czci, i wtenczas nazywa się *zniewagą* np. gdy się ostentacyjnie odwracam od podającego mi rękę na znak

przywitania; albo stać się może wskutek nieuwagi lub lekko-myślności i wtenczas nazywa się *ubliżeniem*, jak np. gdy przez nieuwagę nie ukłonię się osobie poważnej, znanej mi dobrze, albo wobec dam w sposób rubaszny się wyrażam. Naigrawanie się w żywe oczy i szyderstwa, wyzwiska i hańbiące wyrazy, wypominające np. niskie pochodzenie, ubóstwo, nazywają się obelgą, zelżywością. I tutaj moralna złość grzechu mierzy się krzywdą honorowi wyrządzoną. Z natury swojej obelga jest grzechem śmiertelnym, jeżeli jednak jest to tylko uchybienie z braku uwagi, albo z braku wychowania pochodzące, to wtenczas może być grzech powszedni. Kodeks też karny i opinia ludzka surowiej karze i sądzi obelgę jak oszczerstwo, bo oprócz złości i przewrotności, która ma miejsce w oszczerstwie, przymieszuya się tutaj pewne zuchwalstwo i bezczelność.

Powiedziałem, że obmowa i oszczerstwo są kradzieżą dobrej sławy, a obelga kradzieżą osobistej czci i honoru i dlatego tak jak w prostej kradzieży, tak i w tej moralnej kradzieży sławy i honoru ciąży obowiązek zwrotu, restytucyi. I w tem jest znów trudność niemała. Stąd to św. Jan Kanty wypisał nad drzwiami swej komnaty ten dwuwiersz:

Conturbare cave, non est placare suave;

Infamare cave, nam revocare grave.

Strzeż się kogo obrazić, bo niemilo przepraszać:

Strzeż się osławiać, bo ciężko odwołać.

Zasady moralne są te. Obmowca ma obowiązek naprawić niesławę wyrządzoną przez obmowę, opowiadając o tejże osobie i w temże samem towarzystwie coś dobrego i chwalebne go, tak ażeby to dobre co o niej mówi, zrównoważyło krzywdę wyrządzoną. Potwarca ma ścisły obowiązek odwołania potwarzy, tak, samo ci, którzy potwarz powtórzyli, a nadto ma obowiązek zwrotu szkody materyalnej, jaka wskutek potwarzy wyniknąć mogła. U nas w Polsce Piastowskiej srogie na potwarców były prawa: wleść musiał pod ławę, trzy razy hauknąć jak pies, — a potem odwołać. Tak Gniewosz z Dalewic odszczekiwał potwarz

rzuconą na cnotliwą Jadwigę. Prawo miejskie średnich wieków karało plotkarskie i oszczerce kobiety w ten sposób, że kat miejski uwiązawszy im do szyi wielki drewniany język, oprowadzał je na powrozie po mieście ku wielkiej ucieście, ale i przestrodze gminu. Podobny rygor prawa choćby tylko przez lat 10 przydałby się za dni naszych bardzo, jako lekarstwo na tę bezkarność szarpania sławy bliźniego.

Kto znieważył i zelżył, winien osobę znieważoną przeprosić uroczyście, jeżeli zniewaga była jawną wobec świadków, prywatnie w cztery oczy, jeżeli zniewaga nie miała cechy jawności na sobie. Winien także wynagrodzić straty materialne z wyrządzonej obelgi lub zniewagi wynikłe.

Zastanawiam się szczegółowiej nad tem, bo jak wiele innych chrześcijańskich pojęć, tak i to pojęcie szanowania prawa, jakie ma każdy do swej dobrej sławy paczy się i zacierą coraz bardziej.

Rzecz jasna, że jeżeli mam obowiązek szanować sławę bliźniego, to tem bardziej mam obowiązek szanowania własnej sławy i dlatego, kto się dopuszcza mów i czynów lekkomyślnych, lubuje sobie w awanturniczości i skandalach, rozumiejąc zuchwale, że mu wszystko ujdzie płazem; albo kto na wysokiem postawiony stanowisku nikiemnym czynem się plami, — ten grzeszy ciężko także przeciw VIII-mu przykazaniu. Zazwyczaj nemezis dziejowa spotyka naprzód potwarców i obmowców; prawie równocześnie, gdy ty sławę cudzą kradniesz, ktoś trzeci twoją własną sławę kiereszuję; ludzie wstręt i lęk mają przed jadowitym, iście gadzinowym językiem i nienawidzą oszczerce, ale i Bóg go nienawidzi, bo tak stoi w Piśmie: „Sześć rzeczy są, których nienawidzi Pan, a siódmą brzydzi się dusza jego“, a tą siódmą jest: „świadek fałszywy, który mówi kłamstwo i ten, który sieje rozterki między bracią“ (Przyp. VI. 16, 19). „Oddał od siebie usta przewrotne, a wargi uwłaczające niechaj będą daleko od ciebie“ (Przyp. IV. 23, 24). I Apostoł upomina: „Nie uwłóćcie jeden drugiemu bracia. Kto uwłacza bratu, albo który

sądzi brata swego, uwłacza zakonowi i sądzi zakon“ (list. Jak. IV. 11).

Uporawszy się w ten sposób z rozbiorem dekalogu, patrzmy na jego sankcyą, na karę jaka spotyka łamiących i gwałcących to prawo Boże.

KONFERENCYA VIII.

Następstwem grzechu śmierć, a po niej sąd Boży. — Co to jest śmierć? — Ruiną zupełną małego świata, który człowiekiem zwiem. — Odarciem ze wszystkiego, w czem człowiek kocha się i podoba sobie. — Końcem cierpienia, ale i końcem zasługi. — Progiem do wieczności. — Surowość sądu Bożego. — Kto będzie moim sędzią? — Z czego będę sądzony? — Dwa trybunały sprawiedliwości i miłosierdzia.

„I takli rozłącza gorzka śmierć?“

(I. Król. XV. 32).

„Postanowiono ludziom raz umrzeć,
a potem sąd.“ (Do Żyd. IX, 27).

»Bo się wszyscy my musimy okazać
przed stolicą Chrystusową, aby każdy
odniósł własne sprawy ciała według tego
co uczynił, lub dobre lub złe«.

(II. do Kor. V, 10).

I.

„W ślad za buntem kozackim następowała kara hetmańska“, pisze Szajnocha, w swej książce: „Dwa lata dziejów naszych“; w ślad za buntem przeciw Bogu, a takim buntem jest grzech, następuje kara Boża, a ta kara idzie w podwójnym kierunku. Bo kiedy człowiek grzeszy, to *cały* człowiek grzeszy, a człowiek złożony z duszy i ciała, kara więc Boża dosięga i ciało i duszę. Karą ciała za grzech, to choroby, cierpienia i nędze tego żywota i to co jest ich dopełnieniem, śmierć; *complementum malorum mors*. Zdawałoby się, że o tej śmierci rozprawiać nie przyda się na nic; codziennie na nią

patrzymy z bliska, bo w ciągu 24 godzin umiera 95.000 ludzi; obok każdej wioski cmentarz, obok miasta żywych wznosi się miasto umarłych, a ścieżka na ten cmentarz dobrze wydeptana, śnać codziennie setki trupów żywych stąpają po niej, aby grób wykopać trupowi umarłemu. I wszystko na świecie kończy się śmiercią, a chociaż może koniec świata nieprędko nastąpi, to jednak śmierć każdemu z nas koniec świata prędko uczyni. *Statutum hominibus semel mori*; (Hebr. IX, 27), statut to nieodmienny; człowieku, któskolwiek jest musisz umrzeć. Zła to i wielka psotnica ta śmierć, wydziera z objęć matki najukochańsze dziecię, wyrwa z łona rodziny najpotrzebniejszą, najdroższą osobę, pozbawia kraj i ojczyznę najzasłużeńszych, najzdolniejszych obywateli, a nieraz czyni to tak nagle, tak niespodziewanie, jak ten sęp unoszący się długo, wysoko w powietrzu, który potem piorunem spadając porywa drobne ptaszę.

Skąd się jednak ta śmierć wzięła na świecie? Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, uczynił go panem stworzenia, umniejszył coś mniej od aniołów; i to wszystko na to, aby ten człowiek zstąpił do grobu zimnego a ciemnego, stał się pastwą zgnilizny i robactwa? „*Deus fecit hominem, inexterminabilem*, Bóg stworzył człowieka nieskazitelnego. *Deus mortem non fecit*, Bóg śmierci nie uczynił, ani się weseli w zatraceniu żywych“, (Mądr. II. 23, 1, 13) powiada Mędrzec. Nie, Bóg od początku nie poddał człowieka śmierci. Skąd więc ta śmierć na świecie? To pytanie zadawali sobie filozofowie przedchrześcijańskiego świata i nie umieli sobie na nie odpowiedzieć; wymyślali przeróżne teorye, to o wędrowce dusz, to o dwoistym dobrym i złym Bogu, to o popsuciu i skażeniu rodzaju ludzkiego przez jakieś podrzędne bóstwo, ale przyczyna śmierci pozostała dla nich na zawsze tajemnicą. Dopiero Pismo św. rozwiązuje zagadkę: „Jako przez jednego człowieka, powiada Paweł św., grzech ten na świat wszedł, a przez grzech śmierć i tak na wszystkie ludzkie śmierć przeszła, w którym wszyscy zgrzeszyli“ (Do Rzym. V. 12). A w księdze Rodzaju czytamy: „iżes jadł z drzewa, z którego mi był kazał,

abyś nie jadł, przekłeta będzie ziemia w dziele twoim... aż się wrócisz do ziemi, z którejśś wzięty, boś jest proch i w proch się obrócisz" (Gen. III. 17, 19); a więc grzech nieposłuszeństwa przeciw Bogu przyczyną śmierci, śmierć karą za grzech. Studyjmyż bliżej, odchylmy nieco tajemnicę śmierci; bo pomimo jej codzienności, grozy i wstrętu, który budzi, jest w niej coś majestatu i powagi; księga ta otwarta przed nami prawdziwej mądrości i filozofii, umiejmy tylko w niej czytać a przeżyjemy się tem większą grozą i wstrętem przed tem, co jest przyczyną śmierci, przed grzechem.

Cóż to jest śmierć? *Rozłączenie duszy od ciała*, ale to rozłączenie jest zarazem opuszczeniem tego wszystkiego, w czem człowiek kocha się i podoba sobie. Kocha się człowiek w swoim własnem ciele, bo dusza i ciało to dwaj starzy przyjaciele, zjednoczeni w jedną osobę człowieka, bo ciało człowieka to najpiękniejszy utwór organicznego świata; piękność ludzkiego organizmu podziwiając, poganie nazywali człowieka *malutkim światem*. Otóż śmierć jest zupełną ruiną tego prześlicznego malutkiego świata, człowieka; śmierć rozrywa najprzód tę starą przyjaźń duszy z ciałem. Każda rozłąka ma coś bolesnego w sobie, coś dopiero tak starych przyjaciół? Nieraz oczy nasze patrzyły na konającego i cóżśmy widzieli? Widzieliśmy człowieka ponoszącego niewypowiedzianą katuszę: jakoby się wszystkie góry na ciebie waliły, jakoby cię wszyscy katowie w sztuki rozrywali; i Pismo św. nie zna boleści większej nad boleść „śmierci i piekła“, i my chcąc wyrazić ogrom boleści, mówimy: „myślałem, że skonam“. Biorąc rzecz na zdrowy rozum, myśmy o duszę więcej dbać powinni, jak o ciało, bo ciało to *pars inferior nostri*, to niższa częśćka nasza, a dusza to *pars superior*; ciało to jakby lepianka, a dusza to mieszkarniec; ciało to łódka, a dusza to sternik; ciało to sługa, a dusza to pani; ciało to juczne zwierzę, osiołek, a dusza to jeździec; zdrowy rozum powiada, że większe należy mieć staranie o tem, co przedniejsze, większą pieczę o sterniku, panu

i jeźdźcu, jak o łódce, słudze, i osiołku; dzieje się jednak przeciwnie. Dla duszy poświęcamy niezmiernie mało czasu i troski, zato całe nasze wysilenie na to, aby ciału dobrze się działo; pielęgnujemy je, karmimy, stroimy, dogadzamy z widoczną szkodą, nieraz ze spodleniem duszy niskim jego instynktom i chuciom. Miejmyż wždy rozum; śmierć obedrże nas z tego ciała, w którem się tak kochamy z obrazą Bożą, a krzywdą duszy. Jesteś młody, duży i silny, jesteś piękną i urodziwą, miejże rozum, a nie dufaj twej młodości, ani twej sile, ani twym wdziękom; silniejsi i nadobniejsi od ciebie legli już dawno w grobie. „Śmierć choć już stara, powiada ks. Antoniewicz, bo liczy 6000 lat, a jednak silniejsza nad życie. Jak ostrą machnie kosą, to i cienka trawka i twardy zarówno wali się burzan; a kosa śmierci ostra, nie się przed nią nie ostoi! Jak to mówi przysłowie; więcej cieląt na targu jak krów, więcej młodych na cmentarzu jak starych“. Cyfry statystyczne wskazują, że na 95.000 umierających w ciągu jednej doby, dwie trzecie, t. j. przeszło 60.000 ludzi umiera niżej lat 30, a więc bardzo młodo i w sile wieku; to się i tobie wydarzyć może. Patrząc na wesołe grono dorodnej młodozieży i nadobnych panienek, na ten urok młodości i powab wdzięków, i zawrócone tym urokiem głowy i rozmarzone tym powabem serca, przychodzi mi na myśl ów dwuwiersz Wergilego:

*O formose puer nimium ne crede colori,
Alba ligustre cadunt, vaccinia nigra leguntur.*

„O prześliczne dziecię, nie ufaj zanadto powabom; biały kwiat jarzębiny opada, a czarne jagody zbierają“. Choroby i śmierć powalą i zeszpecą to silne dorodne ciało, zamienią w trupa, a trup bezwładny, zimny, szkaradny, a jad trupi tak straszny, że odrobina jego w organizm ludzki zapuszczona, psuje go i o śmierć przyprawia. Jak tu kochać się w tem, i wynosić się tem, co tak marne, znikome i czego koniec tak strasznie smutny. „*Quid te extollis vermibus esca futura*, czego

się nadymasz przysła strawo robactwa?“ pyta bł. Jakopon. „Ujrzysz piękną niewiaścę, woła złotousty Skarga, pomyśl: gnój to jest i ropa jedwabiem przykryta“. *Memento mori*, pomnij na śmierć, wyborne to lekarstwo na ów szal namiętności zmysłowych i próżności światowej, którym porwani, o Bogu i duszy i wieczności zapominamy.

Kocha się człowiek w towarzystwie ludzkim, bo na to stworzony, *homo ad societatem creatus*. I są różne, a uczciwe miłości na świecie: jest miłość rodzinna i koleżańska i narodowościowa, narzeczonego do narzeczonej, męża do żony, matki do dziecka, miłość z obozu i ławki szkolnej lub z niedoli wygnania i więzień wyniesiona — otóż śmierć obierze nas z tych wszystkich miłości, wyrwie i wyrzuci z towarzystwa i objęć najdroższych osób; sam jeden wstąpisz do grobu, wszyscy, najbliżsi i najdrożsi twoi tylko do brzegu grobu cię odprawdzą, a nawet i ta ostatnia ich przysługa na mało ci się przyda. Straszny, nad wszelki wyraz bolesny ten rozdział od swoich i to ostatnie pożegnanie. Kiedyś, lat kilkanaście temu, we Lwowie dysponowałem na śmierć młodą 26-letnią wdowę, matkę dwóch synków. Umierała na suchoty, przytomnie. Chłopczyki bawili się na dziedzińcu, nie przewidując swego blizkiego sieroctwa. Gdy już posługę duchowną skończyłem, weszli chłopczyki do pokoju i stanęli przy łożu matki, a ona patrząc na nich i wskazując ręką, rzecze do mnie: „i to opuścić trzeba“. Oswojony już z tego rodzaju cierpieniem, nie mogłem jednak wytrzymać żałosnego widoku — uciekłem i zapłakałem, wołając w duszy, *siccine separas amara mors*, także to rozdzielasz o gorzka śmierci! Jakże więc, to już nikogo nie kochać, mieć serce zimne i nieczułe, albo być bez serca, człowiekiem potworem? Bynajmniej. Owszem miejmy szerokie i wielkie serce, miłujmy wszystkich, nawet wrogów i nieprzyjaciół naszych, ale niechaj nigdy ta miłość nasza dla ludzi nie będzie tak potężną i silną, iżby nas do pogwałcenia prawa Bożego i do obarczenia sumienia grzechem popychała; niech ma motywa wyższe, Boże, nie samą tylko korzyść lub chęć zaspokojenia potrzeb serca; słowem miłujmy ludzi, ale po Bożemu i w Bogu,

bo ta miłość pozostanie i poza grobem, a wszelka inna miłość, namiętna, zmysłowa, interesowana, z tej śmierć nas obędzie bez litości.

Kocha się człowiek w pieniądzach i dostatku; o, bo za pieniądź wszystkiego dostać możesz; nawet gdyś zły i przewrotny a bogaty, to nie jedno złe płazem ci ujdzie. Tkwi to w naturze człowieka, iż cieszy go, gdy może powiedzieć: „to moją pracą nabyłem, do tego dostatku i świetności własną zasługą doszedłem“; i znajdziesz wielu, których ta praca o chleb codzienny i zaspokojenie potrzeb życia tak pożera, że czasu nie mają pamiętać także przecie coś i o swej duszy. Widzimy inne, jak dla pomnożenia fortunki swojej, albo podniesienia świetności domu mnogie trudy i rozliczne przykrości ponoszą, do upokorzeń i prośb się nakłonia, a nieraz i do krzywdy ludzkiej i nieuczciwych praktyk się posuną. A zazdrości bogactw wśród ludzi ile, a chciwości ile, i łakomstwa ile, któż to wypowie? *Homo homini lupus*, drapieżnym zwierzem człowiek dla człowieka, w łyżce wodyby go utopił, śmiertelne zbrodnie nańby wyjawił, byle siebie na miejsce tamtego wsunąć, siebie kosztem tamtego wzbogacić, albo tamtego większym dostatkim przesadzić. O głupie i niemądre zabiegi ludzkie! Śmierć nas ze wszystkiego obędzie, cośmy z takim trudem zebrali, z taką troską przechowali. „Ty nie weźmiesz z sobą ani jednego szelągka z tych pieniędzy, coś tak chciwie zbierał, a może z krzywdą bliźnich swoich. Nie weźmiesz z sobą ani kłoska z tego pola, coś tak starannie uprawiał.. Tyś to pole zasiał, a inny z niego żąć będzie. Tyś nasadził sadowinę, inni z niej owoc zbierać będą, tak jak ty zbierasz owoc z drzew zasadzonych ręką ojców twoich. Ty siedzisz dziś pod ich cieniem, a kości ojców twoich pod cieniem krzyża na pustyni spoczywają cmentarza“ (Antoniewicz. Czyt. świąt.). Nagi wyszedłeś z łona matki, i nagi powrócisz do łona matki, ziemi. Lat kilkanaście temu umarł w Paryżu jeden z Rotszyldów, zostawił majątku dwa miliardy franków. Patrzył cały Paryż jak one miliardy pójdą do grobu; tak samo jak każdego śmiertelnika zwłoki wóz żałobny zaciągnął i owego miliardo-

wego pana na cmentarz *Père la Chaise*; ani złoto, ani papiery wartościowe nie okupiły go przed onym srogim edyktem: *postanowiono człowiekowi raz umrzeć*.

Starzy nasi Polacy, przejęci pamięcią na śmierć, takie sobie *pro memoria* ułożyli:

„Pokój twój, ziemia; grób, sklep i piwnica,
Wyprawa mary, a łóżko tarcica,
Robak towarzysz, z siedmiu łokci szata.¹⁾
Oto wysługa mizernego świata.
O świecie drogi, kto cię marnie traci,
Całą wiecznością tego nie zapłaci“.

I my, dzieci materyalistycznego XIX wieku, to *pro memoria* głęboko w pamięci i sercu sobie zapiszmy. Nie czekajmy aż nas śmierć ze wszystkiego obedrze ale miejmy rozum, i pókiśmy żywi i zdrowi, odzierajmy sami siebie z tego zbytniego przywiązania do rzeczy ziemskich, które nam każe zapomnieć o Bogu i duszy; pracujmy i starajmy się w uczciwy sposób o środki do życia dla siebie i swoich, bo to mandat Boży i obowiązek nasz, ale z myślą zwróconą ku Bogu i ku właściwej ojczyźnie naszej, którą jest niebo; mając więcej, dzielimy się chętnie z ubogim, a nigdy krzywdą bliźniego i obrażają Bożą grosza i dostatku się nie dobijajmy. Oto lekcya filozofii śmierci.

Kocha się człowiek w czci i sławie ludzkiej, a ta żądza sławy to jedna z istotnych różnic człowieka od zwierzęcia. Istotnie, czegoż nie czynią ludzie dla sławy, a jeszcze częściej dla kłamaney sławy, przez próżność. Trudzą się, fatygują, uczą i ślęczą nad książką latami całemi, kosztów nie szczędzą, a nawet zdrowia i życia; wszystko, aby jak meteor zabłysnąć chwilowo w świecie, albo zyskać marny oklask ludzki, dekoracyę lub order lub dziennikarską reklamę. A jednak cóż ka-

¹⁾ W dawnej pobożnej Polsce chowano nieboszczyków w habicie zakonnym, franciszkańskim zwykłe. Otóż na taki habit wystarczyło 7 łokci materyi.

pryśniejszego jak opinia ludzka i zależna od niej sława? Już stary Owidiusz śpiewał o niej: „*Et tantum constans in levitate sua est*, jest tylko stałą w niestałości swojej“. Otóż śmierć nas i z tej choćby najbardziej zasłużonej chwały obedrze. Jako ptak po powietrzu przeleciał i śladu po nim nie pozostało; jako okręt na morzu przepłynął i wnet zamkną się wód fale i nie wiesz którędy przeszedł; tak człowiek gdy umiera, był i już go niema i jakby go nigdy na świecie nie było. Zamknie się nad nim wieko trumny, jedna na cmentarzu przybędzie mogiła, a ta wielka maszyna tego świata pójdzie swoim torem i po dawnemu słońce, „to śliczne oko, dnia oko pięknego“ przyświecać będzie ziemi, i deszcze padać i wiatry dąć będą, i po dawnemu powrócą ludzie każdy do swoich zatrudnień, pomówią, popłaczą... zapomną. Był i już go niema, wszystko skończone! I dlatego woła Pismo św.: „Płacz nad umarłym, bo ustała światłość jego“ (Ekl. 22). Rozprysła się jak bańka mydlana wielkość, a z nią i sława światowa; tak się stało z milionem innych, uczeńszych, dzielniejszych, zacniejszych od ciebie, tak będzie i z tobą. A choćby imię twe było zapisane na kartach historyi, to i na cóż ci się to przyda? „*Laudantur ubi non sunt et cruciantur ubi sunt*; chwałą ich gdzie ich nie masz, a cierpią tam gdzie są“, powiada trafnie Augustyn św. o sławnych mężach pogańskiego świata. Bądźmyż wždy mądrzy i pomnąc na śmierć, niczego nie czynmy przez próżność i głupią żądzę popularności, z której nas śmierć prędko obedrze, ale zawsze miejmy na oku Boga i prawo Boże, i wieczność i sumienie.

„Pytajmy jeszcze, co to jest śmierć? jest *końcem cierpienia i walki*, ale też i końcem zasługi. „Cóż pomoże człowiekowi jeśliby wszystek świat zyskał, a na duszy swojej szkodę podjął?“ (Mat. X, 26). „Przetoż tedy póki czas mamy upomina Paweł św., dobrze czynmy wszystkim, a najwięcej domownikom wiary“ (Do Galat. VI. 10). „Cokolwiek czynić może ręka twoja, ustawicznie czyn: bo ani sprawy, ani rozumu, ani mądrości, ani umiejętności nie będzie w piekle (w podziemiu), gdzie się ty kwapisz“ (Eccl. V. 10). „Bogaty gdy

zaśnie, nic z sobą nie weźmie; otworzy oczy swe i nic nie najdzie“ (Job. XXVII, 19). Pełne jest Pismo św. tych upominań korzystania z czasu tego życia. Nie na to ono nam dane, aby używać, jeść, pić, bawić się i rozkoszować, bo to i nieme bydłeta czynią, gdy mogą; ale to czas pracy i walki, czas siejby i zbierania zasług; „w pocie czoła będziesz pożywał chleba twój... bojowaniem życie człowieka na ziemi“. Kto chce przejść przez to życie śmiejąc się i bawiąc, krotoczwilą i rozkoszą, ten spełna rozumu nie ma i pomimo lat wielu wieku, niemądrym dzieciakiem pozostanie na zawsze. Ścisłe rzecz biorąc, życie to nie jest życiem, ale powolnem umieraniem; z każdą godziną, którąśmy przeżyli, zbliżamy się do śmierci, a krótkie są dni życia ludzkiego. *Quotidie morior*, na każdy dzień umieram“ (I. Kor. XIV, 31) woła Paweł św.; i my sobie tę smutną piosnkę często zanuemy i bądźmy mądrzy a tego krótkiego czasu na zebranie wielkich zasług użyjmy. „Doda bowiem wielkiej otuchy do szczęśliwego umierania zupełna wzgarda świata, gorące pragnienie czynienia postępu w cnotcie, zamiłowanie karność, trud pokuty, gotowość do posłuszeństwa, zaparcie siebie i znoszenie cierpliwe każdej przeciwności z miłości Chrystusa Pana“ (De Imit. Chti I, 22).

Pytajmy jeszcze: co to jest śmierć? Jest *progiem go wieczności*, i to jest właściwie to, co ją straszną czyni. Dla wielu znękanych cierpieniem i życiem śmierć wydałaby się pożądanym gościem, dobrodziejstwem, ale obawa tego, co mnie czeka po śmierci, odejmuje ten urok spokoju, jaki śmierć pozornie mieć się zdaje. Pozornie mówię, bo ze śmiercią nie kończy się wszystko, ale przeciwnie dopiero rozpoczyna się właściwe życie. Ale jakie to życie będzie, czy szczęśliwe, czy też pełne katuszy i cierpienia? Tego nie wiem i ta niepewność przejmuję mnie trwogą i strachem. Rzymski filozof Seneka w liście 82 podając powody, dla których obawiamy się śmierci, lubo ona sama w sobie jest rzeczą obojętną, powiada: „To nas także przejmuję wstrętem do śmierci, że to, co tu jest już znamy, tego zaś, dokąd przejść mamy, nie znamy zgoła, a strach nas ogarnia przed tem, czego nie znamy. Przyczynia

się do tego naturalny wstręt do ciemności (grobu), w jaką nas śmierć wprowadzać się zdaje. Nawet gdyby kto nie wierzył w baśnie poetów o piekle, to go inny strach ogarnia. Równie bowiem obawiają się, aby nie byli w piekle, jak aby nie byli nigdzie, *aeque enim timent, ne apud inferos sint, quam ne nusquam*“. Tego *ne nusquam* my chrześcijanie nie lękamy się, ale bądźcobądź przeraża nas surowość sądów Bożych i ta niepewność tego, co nas czeka i wielka tajemniczość pozagrobowego życia. Wszelka bowiem wiedza ludzka kończy się u grobu; a wiara to jedno tylko mówi: „postanowiono ludziom raz umrzeć a potem sąd; musimy się wszyscy pokazać przed sądowną stolicą Chrystusową“. (Do Żyd. IX, 27. II do Kor. V. 10). Jak ten wyrok dla mnie wypadnie, jakie będą warunki tego nowego życia poza grobem, o tem zupełnie jasnego pojęcia wiara nie daje: dosyć mi wiedzieć, że w nagrodę za życie spędzone po Bożemu, czeka mnie życie wieczne szczęśliwe poza grobem w połączeniu z Bogiem, a jako kara za życie wbrew prawu Bożemu strawione, czeka mnie wieczne nieszczęśliwe życie poza grobem w odrzuceniu od Boga. To też ta niezupełnie jasna znajomość życia pozagrobowego, a bardziej jeszcze ta niepewność wyroku niezbadanych sądów Bożych czyni każdemu z ludzi śmierć straszną. Lękał się jej nawet taki święty Hilaryon, który sam sobie w tych trwogach śmierci otuchy dodawał: „duszo moja, czemu lękasz się wyjść z ciała; 80 lat służyłaś pocziwie Chrystusowi, dlaczego boisz się pójść do niego?“ Cóż my powiemy w godzinę śmierci, którzy w ciągu długich lat życia, ledwo może 80 godzin pocziwie służyliśmy Bogu? Dopokąd więc sił i życia staje, przygotujmy się dobrze na ten pozew Boży: *oddaj liczbę włodarstwa twego, redde rationem*; przypatrzmy się z bliska, studyjmy ściśle ten sąd Boży, aby nas snąć nie zaskoczył nieprzygotowanych.

II.

W tej samej chwili, gdy człowiek umiera, dusza jego staje przed sądem Bożym i w jednym okamgnieniu ten sąd

się dokonywa. Jeszcze ci, którzy łoże konającego otaczają nie są pewni, azali umarł; jedni szepcą „już skończył“, drudzy mówią, „nie, on jeszcze żyje“, i biorą za puls, azali bije jeszcze jakie tętno życia — a dusza już jest osądzoną i wyrok już wykonany. Albowiem czynności Boże są nieskończenie doskonałe *actiones Dei sunt infinite perfectae* jak nauczają teolodzy; to, do czego my ludzie potrzebujemy długiego zachodu i czasu i pracy, to Bóg jednym aktem swej Bożej działalności i nierównie doskonalej wykonuje. Zazwyczaj kapłani na ambonie, pobożni autorowie w książkach ascetycznych przedstawiają ten sąd Boży analogicznie, na podobieństwo sądów ludzkich. Mówią więc, że skoro człowiek umrze, duch jego staje przed trybunałem, na którym zasiada Chrystus Pan w postaci surowej, groźnej, i występuje szatan oskarżyciel i stróż anioł adwokat obrońca, i rodzice, nauczyciele nasi świadcząc przeciw nam, żeśmy ich rad i upomnień nie słuchali. A potem przyniosą księgę żywota, w której wszystkie nasze dobre i złe czyny zapisane, i wagę sprawiedliwości; złe uczynki położą na szalę jedną, a dobre uczynki na szalę drugą; która szala przeważy, według tego wypadnie wyrok. Tak sobie ten sąd Boży przedstawiamy, bo my o Bogu inaczej mówić nie umiemy tylko przez podobieństwo z człowiekiem, *per analogiam*. W gruncie rzeczy takiego przyboru trybunalskiego podobno tam nie będzie. Tam tylko sędzia Chrystus i ty, a sąd dokonywa się *in ictu oculi*, w jednym okamgnieniu, ale pomimo to z taką doskonałością i surowością, jak gdyby wszystkie trybunały świata całego zebrały się razem, aby cię sądzić i potępić. Dlaczego? A bo ten, który mnie sądził będzie, *persona Judicis*, to jest Chrystus Pan, mój Bóg i Zbawiciel. Im więcej tu na ziemi ma tytułów i praw do mej wierności i wdzięczności, tem surowszy będzie Jego sąd po śmierci. Najsurowszy sąd czeka nas kapłanów, bo nam Chrystus Pan dał nie tylko to, co wszystkim: dary przyrodzone i nadnaturalny skarb wiary i Sakramenta św. i łaski i natchnienia wewnętrzne, ale nadto powierzył nam dusze ludzkie, uczynił nas szafarzami Sakramentów św. i tak

nam zaufał, że Siebie samego wydał jakby na łaskę i niełaskę w ręce nasze. My kapłani w ofierze mszy św. tego Chrystusa sprowadzamy z nieba na ziemię, pożywamy Go sami i dajemy drugim dożywiania w Komunii św., obnosimy Go w Najświętszym Sakramencie w procesyi, zanosimy Go do chorych; słowem jest ten Chrystus Pan w rękach naszych; jak dziecię na rękę matki, możemy z nim robić co chcemy i jak chcemy; możemy sprawować te święte tajemnice i szafować Sakramenta święte godnie i pobożnie i możemy to czynić niegodnie i świętokradzko. Nam też kapłanom powierzył Chrystus zbawienie dusz ludzkich, Krwią Swoją najdroższą odkupionych, mówiąc do nas jako niegdyś Bóg rzekł do Mojżesza: „nieś je na łonie twojem, jako zwykła nosić matka dzieciątko“ (Num. XI, 12) to znaczy: karm je nauką słowa Bożego i Sakramentami świętymi, pielęgnuj je i wychowuj pracą i poświęceniem swoim, bo z rąk twoich duszy ludu mego domagać się będę. Skoro nam więc tyle powierzono i tak zupełnie zaufano jak nikomu z ludzi, to też sąd Chrystusa surowszy i twardszy czeka nas kapłanów, niż wszystkich innych. Znamy się do tej prawdy i tego sądu Bożego się lękamy, i częste kazania sobie o nim czynimy, „abyśmy snąć innym przepowiadając, sami nie stali się odrzuceni“. (I, Kor. IV, 27).

Tuż po nas kapłanach, najsurowszy sąd Boży czeka tych, którzy są ποιῆτες λαῶν wodzami i rządcami ludów, i jakkolwiek władzę zwierzchniczą dzierżą: a więc królów i książąt, mężów stanu i polityków, naczelników władz i urzędów, ojców i matek, panów i właścicieli i chlebobawców. Ci wszyscy jakoby na świeczniku postawieni; oczy wielu milionów, tysiące setek ludzi na ich czyny zwrócone, a władza ich im większa, a wpływy im potężniejsze, tem odpowiedzialność przed Chrystusem „Królem królów i panem panujących“ jest większa, a sąd ich tem surowszy. Niechże sobie tę wielką prawdę dobrze zapiszą w pamięci i sercu „potentaci tego świata“ naczelnicy ludów i naczelnicy rodzin, a niech sprawują swój urząd i władzę nie samowolnie, nie z ukrzywdzeniem słabszego, ale jako włodarze, którym kiedyś, prędzej

jednak jak się tego spodziewają, rzecze Chrystus: „oddaj liczbę włodarstwa twego, albowiem już włodarzyć nie będziesz mógł“ (Łuk. XVI, 2).

Za tymi najsurowszy sąd będzie chrześcijan-katolików, którzy powiedzieć mogą z poetą:

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie“.

Dał im Bóg i wiarę i wychowanie katolickie w domu i w szkole i przykłady budujące świętych własnego narodu, i gorliwe kapłany i przykładne pany i dwory, i świątynie i służbę Bożą okazałą, i łatwość przyjmowania Sakramentów świętych; słowem dał im wszystko, czem się człowiek do życia cnotliwego i zbożnego zachęcić i wyprawić może. Tych sąd będzie nierównie surowszy niż innych chrześcijan; inteligencya naszych miast i miasteczek nie wytłómaczy się tam na sądzie Bożym nieznajomością katechizmu i onem: „nie wiedziałem, że to grzech“. „Nie wiedziałeś, rzecze Sędzia, ale mogłeś wiedzieć i powinienes był wiedzieć, miałeś kapłany, kościoły, szkoły i księgi, ale ty z księży szydziłeś, od kościoła i kazań i Sakramentów świętych uciekałeś. ksiąg religijnych nie czytałeś, milsze ci były lekkie światowe i bezecne opowieści, a w nauce szukałeś broni przeciw Mnie i ewangelii i wierze Mojej; ignorancya twoja jest z twej własnej winy, występna; sprawże się teraz, *redde rationem*“.

Dalej, ten Chrystus Pan, który nas sądzić będzie, jest najświętszy, bo źródło wszelkiej świątobliwości. Im człowiek jest cnotliwszy, tembardziej razi go każdy a nawet drobny występpek. Panienka delikatnie a uczciwie wychowana rumieni się na słowo nawet dwuznaczne; lekkich obyczajów osoba rozkoszuje sobie w mowach rozwiązłych. Inteligencya nasza, zwłaszcza męska szerokie ma sumienie, tłómaczy sobie i uniewinnia nawet grube grzechy przeciw moralności słabością ludzką, zbiegiem okoliczności, nieszczęśliwym wypadkiem. Na sądzie Chrystusowym tych tłómaczeń i tej ekskuzy liberalno-postępowej nie przyjmą. Najświętszy Chrystus osądzi i potępi surowo nie tylko grzechy wielkiego kalibru, ale i owe według świato-

wej moralności godziwe, a w gruncie nieuczciwe myśli i żądze i konwersacye i przyjaźnie i kłamstwa i lektury nieobyczajne i widowiska nieskromne i pijatyki i szulerki i marnotrawienie grosza i czasu po kawiarniach i kasynach.

Dalej, ten sędzia Chrystus wszystkowiedzący zawyrokuje według surowej, nieubłaganej sprawiedliwości w pierwszej i ostatniej instancyi; od wyroku Jego apelacyi niema. Tu na ziemi przed sądem ludzkim możesz się ukryć, utaić, wymowny adwokat przekona sędziów o twej niewinności nawet gdyś winny, albo umniejszą winę, albo dla braku dowodów puszczają cię wolno, choćby świat cały miał cię za winnego. Tam inaczej; nie wykłamięs się i nie obronisz choćby cyce-roniańską wymową. Chrystus czyta w twej duszy, jakby w otwartej księdze i myśli najskrytsze i uczucia na dnie serca zamknięte, wszystko wyjdzie tam na jaw. Tutaj łagodzące okoliczności przyjmą sędziowie, obrońca wzruszy ich do łitości; tam dla miłosierdzia niema miejsca, ono tu na tej ziemi ma swoje pole, tam sama naga, twarda, nieodproszona sprawiedliwość Boża. Na nic się nie przyda ani protektorat Matki Bożej, ani orędownictwo świętych; stać będzie milcząco miłosierdzie i niemym świadkiem będą ci, którzy dzisiaj u Boga są orędownikami twymi. Tutaj potępiony w jednym sądzie apelować możesz do wyższego i najwyższego trybunału, a gdy i ten cię potępi, uciec się możesz do łaski monarszej. Tam wyrok bez apelacyi: „jeśli upadnie drzewo na południe albo na północy, na któremkolwiek miejscu upadnie, tam będzie“. (Ekl. XI, 3). Wyrok to życia i śmierci obowiązujący na całą wieczność; kto się tego wyroku nie ulęknie, kto zawczasu się nie opatrzy, aby ten wyrok nie wypadł dlań potępiająco, ten niemądry jest i okrutny sam dla siebie.

Z czego będę sądzony? Będę sądzony z tego, z czego i ludzie sądzą, ze złych uczynków moich. Boże mój, gdy rzucę myślą w minione lata, zawołać muszę z prorokiem: „*multiplicatae sunt super capillos capitis mei*“ rozmnożyły się nieprawości moje nad włosy głowy mojej“ (Ps. XXXIX, 13). Tyle tych grzechów, a takie brzydkie i szkaradne a tak wcześniej

od pierwszej mej młodości popełniane, że i wstyd o nich pomyśleć i rozpacz bierze. Spowiadałem się z nich, ale cóż warte były te moje studenckie i pensyonarskie spowiedzi, na komendę dyrekcyi albo katechety odprawione, lekkomyślne, nieszczerze, bez żalu i bez poprawy po nich; nowe to chyba świętokradztwa zamiast usprawiedliwienia przed Bogiem. Nie więcej warte były i te późniejsze moje spowiedzi, przedślubne, albo wielkanocne, dla formy tylko i zwyczaju jakby „za pańskie“ odbywane, po których zamiast poprawy, większa swywola i bezład duszy i zobojętnienie religijne następowało.

Z czego jeszcze będę sądzony? „*Quoniam de omni verbo otioso reddent rationem in die iudicii*“, a powiadam wam, iż z każdego słowa próżnego, któreby wyrzekli ludzie, dadzą liczbę w dzień sądny“. (Mat. XII, 36). Co to są słowa próżne? Które ani uczą, ani bawia, ale są marnotrawieniem i zabiciem czasu i nudzą. To są one banalne wizyty naszych pań i panien, które w domu usiedzieć nie mogąc ani zatrudnić się pożytecznie, długim ogonem wloką się z domu do domu i prawią nic do rzeczy, o powietrzu i pogodzie, o strojach i fatalaszkach a tak znudzą i zmarudzą, że każdy rad, gdy mu się z oczu usuną. To są owe znudzone figury bez zajęcia i pracy, łażące z kąta w kąt, słodkonudne jak lukrecya, istna plaga Boża dla tych, którzy z niemi żyć muszą. To są one przesiadywania po winiarniach, sklepikach, kawiarniach, kasynach przy kieliszku lub szklanicy godzinami całemi, nocami całemi, gdzie się i czas i pieniądz i rozum traci, a nie mądrego i trwale pożytecznego nie dogada i nie doradzi. Ty sobie tej straty drogiego czasu i tych próżnych mów za nic nie masz; zobaczysz jak surowy rachunek zdasz Bogu w dzień sądu. Jakiż dopiero sąd będzie z onych słów krzywdzących sławę bliźniego, szarpiących dobre imię, z plotek i bajek; a dalej z onych rozmów dwuznacznych, tłustych, swywolnych, gorszących, obliczonych na zbałamucenie i uwiedzenie niewinnych, a niedoświadczonych istot; z onych rezonowań bluźnierczych i antyreligijnych rozpraw, którym się przysłuchują dzieci młode osoby i jad ich połykają łakomie? Znajdują się nie-

rzadko wśród naszej inteligencji takie paskudne, nieoparzone gęby, z których nie wyjdzie tylko obmowa lub plotka, żart tłusty lub bezbożność, i to im uchodzi bezkarnie; jedni się ich boją a drudzy potakują jeszcze, oni zaś sami mają się za szlachetnych weredyków, albo wesołych dowcipaisiów. Obaczysz, ale zapóźno, jak tam na sądzie Bożym ostro wezmą i surowo potępią grzechy języka, które w tak gadatliwym społeczeństwie jak nasze, popelniają się bez liczby.

Z czego jeszcze będę sądzony? Z myśli moich, uczuć i pragnień moich najskrytszych. Policz, jeżeli możesz, te miliony myśli próżnych, ambitnych, zazdrosnych, nienawistnych, zmysłowych i lubieżnych, które się przesunęły przez głowę twoją; i te drugie miliony żądz, pragnień i uczuć samolubnych, egoistycznych, dumnych i namiętnych, występnych i bezwstydných, które się przepaliły w sercu twojem. Nie dokażesz tego, bo ty nawet sprawy sobie nie zdajesz z tego, co się w głowie i sercu dzieje; przypomną to ci i wyliczą dokładnie na dniu sądu. Myśl jest czynem ducha i ona właściwie nadaje wartość zewnętrznym czynom naszym. Ludzie nie mają prawa sądzić myśli i uczuć naszych, bo ich nie znają i znać nie mogą, chyba o tyle, o ile one się zewnętrznym aktem uwiódczą i stąd u Rzymian przysłowie: *de internis non judicat praetor*, a u Niemców: *die Gedanken sind zollfrei*. Nawet stróż anioł i szatan-kusiciel nie wie, co ja myślę i co czuję; tylko z zewnętrznych czynów moich wnioskować mogą, azali za dobrem natchnieniem poszedłem, lub za podszeptem złego. Jeden Bóg „*scrutans renes et corda*” badający się serc i nerek“ (Ps. VII, 10) ma zupełne prawo do duszy ludzkiej, bo dla Niego stworzona, zna i wie tajniki serca, i myśli ducha i on też sam jeden tak jak w kodeksie Swoim postawił paragraf 9 i 10 *nie požądaj*, tak On sam jeden ma prawo domagać się rachunku i trzymać sąd z myśli, uczuć, pragnień i zamiarów naszych.

Z czego jeszcze będę sądzony? Z dobrych uczynków, które powinienem był wypełnić, a nie wypełniłem. Codziennie w ofierze mszy św. kapłan podczas *offertorium* modli się: „Przyjmij o Święty Ojcze tę niepokalaną Hostyę za niezliczone grzechy i nie-

dbalstwa moje *et pronegligentiis meis*“, a więc zaniedbanie powinności dobrego jest grzechem, skoro za nie przynosi się jako ekspiację ofiarę mszy św. O! tych zaniedbań dobrego między nami moc nieprzeliczona, a wcale sobie tego nie mamy za grzech. Czasu mam dosyć, nie wiem co nim zrobić, powinienem dłużej pomodlić się rano i wieczór, a ja ledwo krótki paciorek i to na pół śpiąco odmówię; mogłabym codziennie być na mszy św., a mnie i w niedzielę wybrać się trudno, zawsze się spóźnię; mógłbym częściej przystępować do św. Sakramentów, a mnie i na Wielkanoc nie pilno, z roku na rok spowiedź odkładam, już i rachubę grzechów i zaniedbanych lat straciłem. Powinienem i mogłem przeczytać coś z żywotów Świętych, z literatury religijnej, wciskano mi formalnie pobożną książkę do ręki; mnie milej było rozczytywać się w dziennikarskich elukubracyach, w powieściach lekkich i ślizkich romansach. Mogłem, bo i była sposobność po temu, dać jałmużnę ubogiemu, wesprzeć użyteczną instytucję religijną; mnie pilniej było do resursy i kasyna, do teatru i na bal, a kwestarzowi drzwi przed nosem zamknąłem. Powinnam była starannie i pobożnie wychować swe dzieci; dzisiaj widzę ze zgrozą, że córki moje próżne i płocze, syny moje bez religii i zasad, niestety wołałam czas spędzać na wizytach i recepcjach, przy fortepianie i zwierciadle. Opatrzmyż się, dopokąd czas mamy. Jeżeli pogański cesarz Tytus ze smutkiem wołał wieczorem do swych przyjaciół: „*amici, diem perdidī*, straciłem dzień, bo nic dobrego w nim nie zrobiłem“; to jakżesz my, światłem wiary Chrystusowej opromienieni, możemy żyć tak z dnia na dzień, bezmyślnie, kontenci, że nic zbrodniczego nie popełniliśmy. „Póki czas mamy, upomina Paweł święty, czynmy dobrze“ (Galat. VI. 10); my ręce za pas założywszy, próżnujemy, albo temi błazeństwami światowemi drogi czas, za który wieczne i nieskazitelne dobra nabyć i niebo kupić możemy, marnujemy.

Z czego jeszcze będę sądzony? Z moich dobrych uczynków. „*Ego justitias judicabo*, ja sprawiedliwości sądzić będę“ (Ps. LXXII, 3). Sprawiedliwością moją, to moje pacierze

i modlitwy, to moje spowiedzi i Komunie św., to moje jałmużny i posty. Spytają mnie na owym sądzie, w jakiej intencji, z uwagą jaką i jaką gorącością ducha się modliłem, roztargnienia czy oddalałem, czy byłem szczerym na spowiedziach i życie po nich poprawilem? Wiara moja czy była żywą i czynami stwierdzoną? Miłość moja do ludzi czy bezinteresowna, czysta i szlachetna? Prace moje dla dobra kraju i rodziny, czy w szlachetnym zamiarze, dla Boga podjęte, czy tylko dla popularności i próżnej chwały? Słowem, jak pszeniczne ziarno na rzeszocie, tak przetrząsną moje wrzekomo dobre uczynki na onym sądzie. Cóż dziwnego, że nawet święci lęk mieli i strach przed onym sądem: „nie wchodź do sądu ze sługą twoim, woła Psalmista pański, albowiem nie usprawiedliwi się przed tobą żaden żywiący“. (Ps. CXLII, 2). Istotnie, kiedy się człowiek trzeźwo i spokojnie zastanowi nad sądem Bożym; który go po śmierci niechybnie spotka, ogarnąć go musi pewne zwątpienie i niemal rozpacz, iż pyta z przerażeniem: „Któż wreszcie znalezion będzie bez winy i zbawiony?“

Więc cóż? to już ręce za pas założywszy powiedzieć sobie mam cynicznie: kiedy już mam wisieć, to niech wiszę za obie nogi, i oddać się rozpaczy i kozackim desperacyom i żyć jak mi wygodniej? Nie daj Boże tego mówić. Ten sam Chrystus, zanim nas przed ów trybunał sprawiedliwości swojej powoła, ustanowił tu na ziemi trybunał miłosierdzia: Sakrament pokuty. Co na tym trybunale miłosierdzia wyznano, odpokutowano, przebaczone, to na tamtym trybunale sprawiedliwości jest jako *tabula rasa* tablica zmazana i w rachubę sądu Bożego nie pójdzie. Wielkie też zachodzi podobieństwo między tymi dwoma trybunałami: tam na sądzie po śmierci ty sam i Chrystus; tu w Sakramencie pokuty ty sam i Chrystus w osobie kapłana, człowieka równie a może więcej grzesznego jak ty, ale urząd Chrystusowy piastującego; tu i tam tyś winowajcą, oskarżycielem i obrońcą swoim, ale tam sąd sprawiedliwości ku potępieniu, tu sąd miłosierdzia ku

zmiłowaniu i przebaczeniu; tam ci powiedzą „*discede a me*, idź precz odemnie w ogień wieczny“, tu ci rzekną; „*ego te absolvo*, ja ciebie rozgrzeszam, idź w pokoju i nie grzesz więcej“. Im tutaj w tym sądzie surowiej siebie będziesz badał, im ściślej śledztwo sam z sobą przeprowadzisz, im szczerzej z większem zawstydzieniem i żalem siebie oskarżysz, tem pełniejszą moc mieć będzie ono kapłańskie *ego te absolvo* i tem łaskawszy będzie ten drugi sąd sprawiedliwości Bożej.

Świadomi sobie ciężkich win i grzechów, miejmy rozum: złóżmy uprzedzenie i względy ludzkie, chwyćmy się odważnie jedynej, jaka nam po rozbiciu cnoty naszej pozostała, deski ratunku, Sakramentu pokuty. Oto kościoły pod bokiem, a w nich konfesyonały i kapłani, owi sędziowie miłosierdzia Chrystusowego. Nie lękaj się ich, nie wstydz się ich. Ludźmi są grzesznymi jako ty, i sami Sakramentu pokuty potrzebują; zrozumieją twoją nędzę i współcierpią z nią: *non ignara mali miseris succurrere disco*; nędzy świadomi, nędzarzom przyjść w pomoc umieją. W trybunale *miłosierdzia* zasiadają, toć sercem litości i wyrozumiałości pełnem cię przyjmą, pocieszą, podźwigną na duszy, z Bogiem pogodzą, i spokój sumienia dawno utracony ci wrócą, tylko zaufaj im i przystąp, zbliż się do nich.

Wiem jednak, że wśród społeczeństwa wykształceniejszego tkwią silne uprzedzenia przeciw temu trybunałowi miłosierdzia, przeciw spowiedzi św. katolickiej, i dlatego przedmiotowi temu poświęcam osobną konferencyę.

KONFERENCYA IX.

Zarzuty przeciw spowiedzi św. i ich geneza. — Na czem właściwie polega istota pokuty? — Sakrament pokuty czyli spowiedź św., tak jak jest w Kościele katolickim praktykowana, jest: instytucją Chrystusa Pana, koniecznym obowiązkiem każdego katolika, odpowiada potrzebie serca ludzkiego i jest ważnym czynnikiem moralno-cywilizacyjnym. — Odpowiedź na zarzuty. Wnioski logiczne.

„Weźmijcie Ducha św., których odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie są im zatrzymane“.
(Jaa. XX, 23).

I.

Powiedzmy to sobie odrazu, i skonstatujmy fakt, że dla bardzo wielu wykształceńszych osób, mężczyzn zwłaszcza, w całej naszej wierze św. niema nic bardziej trudnego, wstrętnego nawet, nic bardziej na tysiące najniedorzeczniejszych uprzedzeń, zarzutów i napaści wystawionego, jak spowiedź św. w katolickim Kościele praktykowana. Uprzedzenia te i zarzuty dadzą się sformułować w ten sposób:

„Spowiedź, mówią jedni, wymyślili księża, można nawet oznaczyć epokę, w której się to stało; było to bowiem na soborze laterańskim IV, r. 1215. A wymyślili księża tę spowiedź dla swej ambicji i dumy, żeby się wcisnąć w tajniki

rodzin, uchwycić w swe ręce ster spraw domowych i publicznych, stać się niezbędnymi i ovladnąć nawet królów i książąt. Uczynili jeszcze dlatego, że nie mając żon i dzieci, ciekawi są niezmiernie, co się też w sercach ludzkich dzieje, i dlatego głównie kobiety ściągają do konfesjonału.

„Spowiedź, mówią drudzy, jest bardzo zbawienną instytucją, ale tylko dla umysłów słabych, dla kobiet np. i dzieci, albo dla symplicyuszów i prostaczków, jak lud wiejski i mieszczaństwo małomiejskie; ci bowiem wszyscy potrzebują otuchy i moralnego wsparcia, światła i dyrektywy, a to znajdują u księdza światłego a uczciwego. Ale dla mnie, który już jestem skończonym człowiekiem, lat 16 i więcej chodziłem do szkół, mam patent doktorskie i nauczycielskie, sam już jako stary urzędnik i gospodarz i ojciec rodziny rozumem moim i doświadczeniem podaję rady drugim i na czele biura i instytucji stoję, dla mnie spowiedź nie jest potrzebną: ja sobie sam wystarczę. Cóż mi zresztą mądrego powiedzieć może księżyna młody, niedoświadczony, albo choć starszy wiekiem to ograniczony i zaśniedział na swojej parafii; my się obydwaj rozumieć nie możemy, bo widnokreśli pojęć naszych są o cały świat różne“.

„Spowiedź, mówią inni, mogła być kiedyś tam w ciemnych średnich wiekach bardzo użyteczna, bo księża stanowili wtenczas najbardziej wykształconą warstwę społeczeństwa, ale dzisiaj w XX. wieku, gdzie nauka, wiedza i postęp szeroko płynie korytem, spowiedź nie jest na czasie; to instytucja, która jak tyle innych już dawno się przeżyła, i dlatego tylko głupi chodzi teraz do spowiedzi, ja zaś nie na to z książką pod pachą długie lata do szkoły się nosiłem, aby za głupiego być mianym“.

„Spowiedź mówią jeszcze inni, sensu nie ma, uwłacza w wysokim stopniu godności człowieka, a w wyższym jeszcze stopniu doskonałościom Bożym. Ja rozumny człowiek mam klękać przed księdzem mniej mądrym odemnie, a bardziej może występny; i mam mu się otwierać z tajnikami mej duszy, albo wyznawać na siebie rzeczy, które mnie upokarzają,

mam słuchać jego nudnych moralów albo reprimend? Nie, to za wiele, to z godnością moją się nie zgadza. I cóż zresztą powiem temu księdzu? nie zabiłem, nie okradłem, nie oszukałem nikogo, jestem sobie porządnym człowiekiem, czegoś chcą więcej odemnie, — niechże mi więc ze spowiedzią dadzą spokój, ja się nie mam z czego spowiadać. Zresztą nawet gdybym był grzesznym, to co księdzu do tego, niech on patrzy siebie. Po co ja mam udawać się do fagasa, kiedy ja wprost mogę się udać do pana; po co mi księdza, kiedy ja sobie sam rachunki z Panem Bogiem pozamykam. Wieczór przy pacierzu uderzę się w piersi, powiem: „Boże bądź miłościw mnie grzesznemu“, to więcej znaczy, niż wszystkie spowiedzi razem. Pan Bóg miłosierny i dobrotliwy czyta w mojej duszy i jeżeli mi chce przebaczyć, to nie potrzebuje jakiegos tam intermediatora księdza, któryby mnie rozgrzeszał, ale on sam, Bóg, mi przebaczy“.

„Spowiedź, mówią jeszcze inni, może jest i dobrą, ale księża nadużywają spowiedzi; wypytują się o domowe stosunki, bawią się plotkami, sieją niezgodę w małżeństwach, są grubianami i fanatykami, odmawiają za lada co rozgrzeszenia, albo znów bałamuć i przewracają głowy fałszywą dewocją i skrupułami. A żeby to sami byli zawsze przykładnymi, ale to Boże ratuj. Człowiek nawet gdyby chciał pójść do spowiedzi, to nie ma pójść do kogo. Do miejscowego księdza nie pójde, bo go znam, widzimy się często, gramy czasem w karty, posprzeczamy się nawet; do znajomego księdza ja nigdy nie pójde, bo mnie to żenuje. Księży jednych się boję, nie ufam im, bo niedosyć dobrze wychowani, szorstcy, niedyskretni w pytaniach, i także obyczaje ich nie zawsze są pewne. Do drugich za żadną cenę nie pójde, to ignoranty i darmozjady. Do innych jeszcze także nie pójde, ja się ich boję, mądrzy są może i grzeczni, ale przewrotni i nie kochają Polski, są kosmopolici“. Ulubiony to ten ostatni zarzut postępowych emancypantek, dam i panien o liberalnych pojęciach, jak znów swawolna luźnych obyczajów młodzież

tlómaczy się tem, że nie chodzi do spowiedzi, bo wszyscy księża są rozpustnikami.

Zebrałem te zarzuty *ipsissimis verbis*, w tych słowach, jak je z ust wielu i wielokrotnie słyszałem, i niejeden czytając to powie: „A niechże go Bóg kocha, to on chyba mnie podsłuchał“.

Zanim na te uprzedzenia i zarzuty dam odpowiedź, należy zapytać: co jest ich przyczyną i źródłem, jaka geneza tego lęku i wstrętu przed spowiedzią, i tego poniewierania jej i lekceważenia?

Geneza jest ta: każdy grzech z natury swojej jest aktem pychy, bo grzech, będąc dobrowolnem przekroczeniem prawa Bożego, jest rebelią i buntem. Pycha ekspiowaną być może i powinna *upokorzeniem*, i dlatego Chrystus Pan, jakkolwiek Sam na krzyżu przyniósł ekspiacyę czyli przebłaganie i zadośćuczynienie za nas, i On sam nie kto inny grzechy nam przebacza, to jednak chciał, abyśmy z naszej strony przynieśli także jakąś ekspiacyę, a tą jest właśnie to *upokorzenie*, jakie przejść każdy musi, wyznając szczerze wszystkie swoje ciężkie grzechy przed człowiekiem, ale charakter i urząd Chrystusa Pana noszącym na sobie, przed kapłanem. I to *upokorzenie*, z jakim przychodzi nam wyznać wszystkie ciężkie grzechy i żałować szczerze za nie, stanowi istotę Sakramentu pokuty czyli spowiedzi św. Tymczasem natura ludzka ma lęk i wstręt przed każdym upokorzeniem, a im kto bardziej wykształcony i charakter jego bardziej wyrobiony i indywidualizm bardziej rozwinięty, tem trudniej mu przychodzi poddać się temu *upokorzeniu*; miłość jego własna i przesadna ocena własnej godności opiera się temu i protestuje i wrzeszczy: „Daj mi pokój, zostaw mnie tak jak jestem, bo mi tak dobrze“. I stąd to ów lęk i wstręt u ludzi światowych, pewna obawa i ociąganie się nawet osób pobożniejszych, ile razy do spowiedzi przystąpić mają. To też wcale temu nie przeczę, że spowiedź jest aktem *upokorzenia*, owszem wyznam to na sobie, że lubo od lat 30 według zwyczaju co tygodnia się spowiadam, to każdą razą klękając przy konfesyjonałe czuję to upokorzenie,

jakie spowiedź ze sobą przynosi, i pojmuję doskonale ten opór natury ludzkiej, który wielu latami całemi i lat dziesiątkami od spowiedzi powstrzymuje; ale właśnie tak być powinno, pycha ludzka ekspiowaną być powinna upokorzeniem, a im to upokorzenie jest większe, tem ekspiacya jest doskonalsza. (Mówmy co chcemy: to stanie wyczekujące przy konfesyjonałe, to klęczenie przed równym sobie, lichszym może od siebie człowiekiem, to wyznanie przed nim win nieraz bardzo nas zawstydzających, tak, że na samo wspomnienie o nich rumieńcem wstydu oblicze się okrywa, te pytania, upominania i karcenia spowiednika, i to jawne, wobec ludu zebranego w kościele wystąpienie w roli grzesznika; słowem cały ten przybór spowiedzi św. jest dla wrodzonej dumy i miłości własnej każdego z nas czemsiś przykrem i wstrętnem, i widziałem panów zacnych, rosłych i silnych postawą, którzy, zbliżając się do konfesyjonału, drżeli jak liść osiki; taka się walka odbywała w ich duszy, walka wiary i rozumu z miłością własną i dumą, pychy z upokorzeniem. Ale powtarzam: o to też chodzi, pycha grzechu ekspiowaną być musi upokorzeniem wyznania, i dlatego, aby to upokorzenie było tem zupełniejsze, wyznać musisz na siebie wszystkie choćby najcięższe, najbardziej zawstydzające winy i grzechy, i przyjąć musisz i upomnienie i reprimendę kapłańską, bo choćbyś był papieżem lub królem, to przy konfesyjonałe jesteś tylko nędznym grzesznikiem, a ten kapłan, choćby syn ubogiego chłopka, choćby mało uczony i duchowo mało wyrobiony i moralnie nie wiele wart, urząd Chrystusa na sobie nosi i miejsce Jego zastępuje. (Nie gorsz się tem, ani mu tego zaszczytu nie zazdrość, bo ten sam kapłan jako człowiek grzeszny, uklęknie jako i ty u krątek konfesyjonału, i w pokornej postawie czekać będzie przebaczenia, absolucyi innego kapłana.

Oto klucz do zrozumienia spowiedzi katolickiej, ale także do zrozumienia pierwszego głównego źródła uprzedzeń i zarzutów przeciw spowiedzi, a jest niem miłość własna i pycha wrodzona, lękająca się upokorzenia, które spowiedź z sobą przynosi.

Drugiem źródłem tych uprzedzeń i tego uciekania od spowiedzi jest przewrotna a przynajmniej bardzo słaba wola nasza. Rzecz się tak ma. Każdy nieco wykształcony jasno to pojmuje, że spowiedź jest na to, żeby po niej nastąpiła *poprawa życia*; boć przecie dlatego wyznaję winy, dlatego daję kapłanowi uroczyste słowo zaniechania grzechu: „Obiecujesz poprawę? — obiecuje“, a słowa te nie są czczą formalnością, ale rzeczywistą umową, kontraktem obowiązującym, żeby przecie zwrócić się z szerokiej drogi występku na wąską ścieżkę przykazań Bożych, poprawić się i żyć po Bożemu. Otóż zdarza się bardzo często, że się tej szczerzej woli poprawy nie ma. Światowe swawolne życie tak bardzo smakuje, zmysłowe grzechy tak stały się nałogiem i jakby drugą naturą, występne stosunki i przyjaźnie tak skrępowały umysł i serce, że się ani siły ani ochoty nie ma zapanować nad namiętnością, pozrywać krępujące więzy złego nałogu, zdecydować się na walkę z sobą i towarzyszami grzechu i światowymi wymaganiami, i dlatego powiada sobie mający odrobinę wiary i szlachetnego uczucia człowiek: „Pocóż ja do tej spowiedzi pójdę, chyba na to, aby nowy grzech, świętokradztwo popełnić, to wolę już nie pójść, aż się Bóg przecie ulituje nademną, i da siłę do powstania z grzechów“. I tak się też w praktyce dzieje. Lat 10 i więcej żyje się w grzechach, a nie ma się chęci porzucić ich; a znów spowiadać się i to samo złe robić i komedję grać z Bogiem, na to nie ma się odwagi. Dopiero, gdy okazyja do grzechu w jakikolwiek sposób usunięta, wtenczas nabywa się przekonania, że przecie można być dobrym i do Boga nawrócić, i wtenczas też przychodzi się do spowiedzi. Ale w trakcie tego wewnętrznego procesu duszy i tej walki między sumieniem a namiętnością, ileż to razy z ust tego samego człowieka wyszły żarty i wymysłania różne to na spowiedź samą, to na nas księży? W gruncie rzeczy było inaczej, ten człowiek wierzył w boskość spowiedzi, tylko chciał dalej grzeszyć, i dlatego przez lata całe, zamiast swoją słabą albo przewrotną wolę wyznać, okłamywał i siebie i drugich,

wygadując na niedorzeczność spowiedzi, albo na niemoralność księży i zagłuszając w ten sposób trapiący wyrzut sumienia.

Gorzej jeszcze, gdy młody człowiek, lub młoda osoba, dając folę namiętnościom zmysłowym, i w parze z niemi idącej pysze i zarozumiałości, upadnie w grzechy przeciwne VI i IX przykazaniu Bożemu, i to nie raz, dwa, ale dziesiątki i setki razy, iż one się już stały dla nich złym nalogiem, formalną potrzebą. Wtenczas dziwny proces odbywa się w ich duszy. Zrazu protestuje sumienie, lęk i strach ogarnia przed sądem Bożym, niepokój dniem i nocą trapi i zatrzuwa wszelką przyjemność i zabawę; potem ten protestujący głos i wyrzut sumienia staje się coraz słabszym, a natomiast namiętność szuka usprawiedliwienia swego, i każe rozumowi wymyśleć kontrargumenta przeciw głosowi sumienia. (Sumienie woła: „Ta lektura, ta rozmowa, ta przyjaźń i poufałość, ta miłość i to zachowanie się z samym sobą lub z drugą osobą są grzeszne i występne” — rozum namiętnością zmysłową gnany woła: „To są uprzedzenia klerykalnego wychowania, szkrupuły jezuickie, przesadne wymagania ludzi starej daty; wszystko co od natury to dobre, na to przecie mam serce, abym kochała i była kochaną; używać świata, póki służą lata, zakosztować wszelkiej rozkoszy, kiedyż użyję, jeżeli nie teraz, póki wiek i wdziek potemu; wszystko ma swój czas; na starość wezmę torbę z książkami i koronkę i będę klepała pacierze, ale teraz niechże się zabawię i dogodzę sobie we wszystkim”. Sumienie woła: „Żle się z tobą dzieje, niewinność twoja i czystość jak szata biała zbrukana i w kawały poszarpana, wiara ostygła, stajesz się bezbożnym; zwróć się do Boga póki czas, idź do spowiedzi, popraw się” — rozum namiętnością przewrotny woła: „I co ci ksiądz pomoże? abo on lepszy od ciebie; a ta spowiedź, czy ona ma sens jaki? tyle ludzi się spowiada, a są gorsi odemnie, tylu się nie spowiada wcale, a są porządni”. Sumienie znów się odzywa, karci, protestuje; a ty, chcąc je zagłuszyć, wmawiasz w siebie, że spowiedź niepotrzebna i niedorzeczna; a ponieważ, „czego serce pełne o tem usta mówią”, dlatego wyjawiasz i przed drugimi twoje prze-

ciw spowiedzi sentymenta. To jest prawdą, że studencik czy panienka na pensyi, jak długo moralnie są niewinni i uczciwi, chętnie idą do św. spowiedzi, ale skoro tylko w ten czy inny sposób moralność ich, czystość myśli i uczuć zostanie skrzywioną i skażoną, natychmiast te podrostki i podlotki występują z zarzutami przeciw spowiedzi, bo ona jest im niedogodną. A dopieroż skończeni rozpustnicy i lekkomyślne, wiarołomne kobiety, te już o spowiedzi nie mówią inaczej, jak z pogardą i fanatyczną nienawiścią; bo czują to dobrze, że ta spowiedź jest potępieniem ich niemoralnego życia.

Czasami, ale to już rzadziej, przeczytanie jakiej niemądrej, bezbożnej lub niemoralnej książki, albo studia naukowe w racjonalno-materyalnym kierunku, albo u panien i pań zwłaszcza skądinąd uczciwych, konwersacye antyreligijne ich ojców, braci i mężów stają się przyczyną ogólnego zachwiania się w wierze, a tem samem źródłem uprzedzeń i wybieczek przeciw spowiedzi. Zazwyczaj jednak i te „mocne duchy“ są także obyczajowo bardzo pokiereszowane; tak więc i u nich owe antypatye do spowiedzi nietyle w głowie, jak w zepsutem sercu źródło swe mają.

Uporawszy się, przynajmniej co z grubsza, z uprzedzeniami i ich genezą, przystąpmy już do rzeczy samej.

II.

Mówię tedy i twierdzę, że spowiedź św. „do ucha“, tak jak jest w Kościele katolickim praktykowaną, jest instytucją przez samego Chrystusa Pana ustanowioną, obowiązującą wszystkich wiernych, skoro do używania rozumu dojdą, i w sumieniu, tak, że kto od spowiedzi się usuwa, albo nią gardzi i przeciw niej występuje, ten, pomimo nazwy, katolikiem być przestaje, i sam dobrowolnie od społeczeństwa katolickiego się wyklucza.

Przedewszystkiem bądźmy loiczni. Dla nas katolików dwie te małe książeczki, które zazwyczaj biorę z sobą na

ambonę i czytam z nich dotyczące ustępy: *Ewangelia i Dekreta Soboru trydenckiego* są powagą w rzeczach wiary, obowiązującą w sumieniu, tak dalece, że kto by tej powagi uznać nie chciał, nie jest katolikiem. Otwórzmyż książeczkę Ewangelii według św. Mateusza rozdz. XVIII, wiersz 19. Czytamy tam słowa Chrystusa do Apostołów: „Zaprawdę powiadam wam: cobyściekolwiek związali na ziemi, będzie związane i na niebie; a cobyściekolwiek rozwiązali na ziemi, będzie rozwiązano i w niebie“. Z kontekstu całego rozdz. XVIII pokazuje się, że Chrystus rozmawiał z apostołami o odpuszczaniu grzechów, w powyższych zaś słowach daje obietnicę, że kiedyś on, Chrystus, da im, Apostołom, władzę związywania i rozwiązywania sumień ludzkich. Czemże się związuje czyli krępuje sumienie? grzechami. Czemże się rozwiązuje i oswobadza? odpuszczeniem grzechów.¹ Zauważyć przytem proszę, że zdanie to jest ogólne *sententia universalis*: *cobyściekolwiek quaecumque*, tak że innej drogi do odpuszczenia grzechów niema, jak rozwiązanie czyli rozgrzeszenie apostołskie; kto go nie dostąpi, z grzechów swych oczyszczonym być nie może.

To co Chrystus Pan w Galilei bawiąc, Apostołom swoim przyobiecał, to też i dotrzymał, i w sposób nader uroczysty wykonał. Otwórzmy znów Ewangelią św. Jana rozdz. XX, w. 21—23. Było to po zmartwychwstaniu Chrystusowem. Apostołowie lękając się Żydów zamknęli się w wieczerniku, w tej samej sali, gdzie Chrystus Pan ostatnią z nimi spożywał wieczerzę. Pomimo drzwi zamkniętych i okien, stanął w środku nich i „rzekł im tedy zasię: pokój wam, jako mię posłał Ojciec, i ja was posyłam. To powiedziawszy tchnął na nie i rzekł im: Weźmiecie Ducha św., których odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są im zatrzymane“. Występuje tu Chrystus Pan jako zbawiciel, założyciel Kościoła, najwyższy sędzia i prawodawca. „Pokój wam, jako mię posłał Ojciec i ja was posyłam“; to znaczy: z tą pełnością władzy, z jaką mnie przysłał Bóg Ojciec, ja was

posyłam i wszystką na was przelewam, a na znak przelania tej władzy na apostołów „technął na nich“ i w sakramentalny sposób: weźmijcie Ducha św.“, w słowach niedopuszczających żadnej wątpliwości ani przenośni, jasnych i dobitnych przekazuje im najwyższą, jurydyczną swoją władzę, „których odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są im zatrzymane“. Wyrok to uniwersalny, obejmuje wszystkich ludzi bez różnicy stanu, a więc nie tylko prostaczków, kobiety i dzieci, ale i uczonych i wojskowych i możnych tego świata; wyklucza wszelki inny sposób i możliwość odpuszczenia grzechów. „Których odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone“, a więc kto do was po odpuszczenie grzechów nie przyjdzie, i komu wy nie odpuszcicie, ten przebaczenia grzechów nie otrzyma. Wyrok ten dany do apostołów jako takich, nie zaś *ad personam* osobiście tylko, bo przed samem wniebowstąpieniem powiedział do nich: „A oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata“ (Mat. XXVIII. 20). Wyrokiem tym władza rozgrzeszania przywiązana do urzędu apostolskiego, nie zaś do osoby Piotra, Jana, Jakóba i t. d., i dlatego tak, jak urząd apostolski trwa po dziś dzień w Kościele, i następcami apostołów w tym urzędzie są papieże, biskupi i kapłani, tak też władza odpuszczania grzechów z apostołów przechodzi na papieża, biskupów i kapłanów. Przebacza grzechy Chrystus Pan, ale instrumentem i narzędziem moralnem tego przebaczenia są apostołowie i ich następcy, tak np., jak najwyższym władcą Galicyi jest monarcha, ale narzędziem jego rządów jest namiestnik cesarski.

Z tych tedy słów Zbawiciela Pana, jasnych, niedwuznacznych, uniwersalną myśl wyrażających, wyprowadza się spowiedź św. katolicka, czyli spowiedź „do ucha“. A to jak? Bardzo prosto. Gdyby Chrystus Pan był rzekł do apostołów: „Odpuszczajcie grzechy“, i dał im tylko władzę odpuszczania grzechów, wtenczas my kapłani mielibyśmy robotę łatwą. Ci, którzyby pragnęli otrzymać rozgrzeszenie kapłańskie, zebraliby

się na placu lub w lokalu jakim, a ja ksiądz wstąpiłbym na miejsce podwyższone, aby być dobrze widzianym, i, zrobiwszy krzyż wielki nad zebranymi, zawołałbym głosem donośnym: *ego vos absolvo*, i rzecz byłaby skończona. W podobny sposób spowiadają się protestanci w swoje tak zwane *Busstage*; zbierają się do zboru; pastor prawi kazanie o złości grzechu, o miłosierdziu Bożem, zgromadzeni słuchają w skupieniu; którzy chcą, biją się w piersi na znak, że wyznają się być grzesznikami, inni czynią to tylko w myśli; pod koniec kazania modli się pastor do Boga, prosząc o przebaczenie grzechów dla siebie i dla obecnych.

Tymczasem Chrystus Pan dał Apostołom drugą jeszcze władzę, zatrzymywania grzechów czyli odmówienia absolucyi: „Którymkolwiek zatrzymacie, są zatrzymane“, przewidując słusznie, że znajdą się grzesznicy niedość usposobieni do otrzymania przebaczenia grzechów. Uczynił więc Apostolów *sędziami sumień ludzkich*. Sędzia musi rozpoznać sprawę, przeprowadzić śledztwo, spisać protokół, rozważyć *pro* i *contra*, okoliczności uniewinniające i obciążające, i dopiero po należytem roztrząśnieniu sprawy wydaje wyrok. I Chrystus Pan za życia Swego na ziemi nie wszystkich grzeszników rozgrzeszał. Przebaczył grzechy Maryi Magdalenie i choremu wskutek rozpusty na schnięcie kości pacierzowej, paralitykowi i apóstacie Piotrowi i łotrowi na krzyżu; ale faryzeuszom, ale Judaszowi, ale drugiemu łotrowi na krzyżu grzechów nie przebaczył; owszem faryzeuszów, pomimo, że się do niego zbliżali, nazwał grobami pobielanymi, rodem jaszczurczym, synami szatana, bo On wiedząc swą Boską czytał w sercach grzeszników jak w książce i, widząc u jednych szczery żal i szczerą chęć poprawy, przebaczał im grzechy; widząc u drugich przewrotność i zatwardziałość w złem, zostawiał ich w ich grzechach i nieprawościach. Ale apostołowie i następcy ich daru tego jasnowidzenia i czytania w sercach ludzkich nie mają, a jednak, sędziami sumień ludzkich będąc, muszą wiedzieć, co się w tych sercach dzieje, jaki jest stan duszy i usposobienie grzesznika, muszą się więc te serca przed nimi otworzyć, i stąd konieczność wyznania szcze-

gółowego swych grzechów, czyli spowiedzi „do ucha“. Choć widać więc nie stoi napisano w Ewangelii: „Spowiadajcie się księżom“, to jednak z władzy nadanej Apostołom odpuszczania i zatrzymywania grzechów, i ze słów Zbawicielowych w rozdz. XX św. Jana zapisanych, wynika jasno jak na dłoni ta fundamentalna Kościoła katolickiego prawda, że spowiedź „do ucha“ jest ustanowieniem Chrystusowem.

Powiesz mi: „Ależ mój księżu, przecie protestanci mają tę samą Ewangelię co my, a jednak oni inaczej te słowa rozumieją, i spowiedzią do „ucha“ brzydzą się. Któż mi może zaręczyć, że oni nie mają słuszności, i że powyższe słowa Ewangelii Janowej tak mają być rozumiane, jak ty je wyłożyłeś?“ Na to zagadnienie, które w rzeczy samej już kilka razy mnie uczyniono, odpowiadam: nam katolikom nie wolno wykładać Pisma św., według swojej głowy; *liberum examen*, wolne badanie Pisma św. które wywiesili protestanci w XVI wieku, nieznane jest chrześcijanom pierwszych trzech wieków i późniejszych, ale tłumaczem i wykładaczem Pisma św. był i jest po wszystkie czasy Kościół św. przez usta i pióra Papieży, Doktorów i Ojców Kościoła, przez uchwały i dekreta soborów i każdy kto chce być katolikiem nie z imienia tylko, ale rzeczą samą, i działać loicznie, ten rozumieć i wykładać może Pismo św. tylko tak, jak je Kościół św. rozumie i wykłada. Otóż po wszystkie czasy i Papieże i Ojcowie Kościoła tak, a nie inaczej rozumieli i wykładali one słowa: *Których odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są zatrzymane*, a tę wiarę i naukę całego Kościoła streścił sobór Trydencki. Sobór ten jak wiadomo, rozpoczęty 1545 r., zawieszony i podjęty dla rozruchów wojennych i politycznych zamieszek 1551 r., zakończony wreszcie 1564 r., i bullą Piusa IV., *Benedictus Deus* zatwierdzony, przedyskutował na nowo i sformułował wszystkie prawie artykuły wiary katolickiej, albowiem wszystkie zaatakowane zostały przez herezyarchów XV i XVI wieku: Wiklefa, Hussa, Lutra i Kalwina. Otwórzmyż tedy małą książeczkę: *Concilii Tridentini Canones et Decreta, Sessio XIV, Doctrina de Poenitentiae Sacramento. Cap. I.*

Czytamy tam słowa Ewangelii św. Jana: *Których odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są zatrzymane*. „Czynem tym znakomitym, dodaje sobór i słowami tak jasnymi, nadaną została (od Chrystusa Pana) władza odpuszczania i przebaczenia grzechów, w celu pojednania (z Bogiem) wiernych po chrzcie upadłych, Apostołom i ich prawowitym następcom; takie było zawsze zgodne rozumienie wszystkich Ojców... Dlatego Sobór św. zatwierdzając i przyjmując to prawdziwe słów Pana znaczenie, potępia mylne wykłady tych (Lutrow i Kalwinów i t. d.), którzy słowa one do władzy opowiadania słowa Bożego i głoszenia Ewangelii Chrystusowej, wbrew ustanowieniu tego Sakramentu fałszywie nakręcają“. A kilka stronice niżej *Sess. XIV, cap. V* czytamy: „Z ustanowienia Sakramentu pokuty dopiero co wyłożonego rozumiał zawsze Kościół cały, że ustanowioną została od Chrystusa Pana zupełna spowiedź grzechów, i że ona dla wszystkich, którzy po chrzcie zgrzeszyli, z *prawa Bożego jest potrzebną*“. Pytam cię zatem: jesteś katolikiem? — „Jestem“. — Zgoda — zatem uznaj i zapamiętaj sobie naukę soboru Trydenckiego, że z powyższych słów Zbawicielowych wynika, iż spowiedź św. jest instytucją Chrystusową.

A teraz postąpmy krok jeden dalej. *Canon I de poenitentia* tak opiewa: „Jeżeliby kto twierdził, że w Kościele katolickim pokuta nie jest prawdziwym Sakramentem *ustanowionym od Chrystusa Pana* dla pojednania z Bogiem wiernych, ile razy po chrzcie w grzechy wpadają, ten niech będzie wyklęty, *anathema sit*“¹⁾.

Canon VI: „Jeżeliby kto przeczył, że spowiedź sakra-

¹⁾ To *anathema* niech nas nie razi, ani gorszy. Kościół, rzucając klątwę, nie odsyła wyklętego do dyabła i piekła, ale orzeka, że dotknięty klątwą odłączony jest od społeczeństwa z Kościołem, odcięty jak gałązka sucha od pnia Kościoła, dlatego, że swoimi czynami sam się wyparł wspólności z Kościołem. Podobne *anathema* rzuca każda korporacja na niesforne swe członki, wyklucza, wykreśla ich z swej listy. Czynią to n. p. kluby i kasyna z tymi, którzy, wpisawszy się, regulaminu nie przestrzegają, albo hańbiącego czynu się dopuszczają.

mentalna nie jest ustanowiona albo nie jest potrzebną do zbawienia z prawa Bożego, *ex jure divino*; albo jeżeliby kto twierdził, że sposób spowiadania się sekretnie („do ucha“) samemu kapłanowi, jaki Kościół katolicki od początku zawsze zachowywał i zachowuje, niezgodny jest z ustanowieniem i rozkazaniem Chrystusa Pana, i jest wynalazkiem ludzkim, ten niech będzie wyklęty, *anathema sit*“.

Canon VIII: „Jeżeliby kto twierdził, że spowiedź wszystkich grzechów, jak ją Kościół zachowuje, jest niemożliwą, i że jest tradycją ludzką, którą od wiernych należy usunąć; albo że nie są do niej zobowiązani wszyscy płci obojej wierni, według ustawy soboru Laterańskiego raz do roku, i że dlatego należy skłaniać wiernych chrześcijan, ażeby się nie spowiadali podczas wielkiego postu, ten niech będzie wyklęty, *anathema sit*“.

Jakieś grzyb, to leż w kosz; jeżeliś katolik, to uznaj powagę soborów. Wóz i przewóz, środka tu niema, albo być loicznym i prawdziwie mądrym, i nazywając się katolikiem uznać spowiedź św. jako instytucję Bożą i spowiadać się; albo jeżeli spowiedzią gardzisz i latami całemi do niej nie chodzisz, to miej odwagę cywilną, przyznaj się otwarcie, że nie jesteś katolikiem, zostań lutrem czy kalwinem lub czem ci jest wygodniej, wtenczas przynajmniej będzie jakaś, choć w złem, loika. Ale tak jak ty czynisz, niby to oświadczać się z katolicyzmem i religijnością, a żyć w grzechach i Sakramentu pokuty latami i lat dziesiątkami zaniedbywać, to nie loicznie, to wielki nierozum i faryzeizm. Wiem, i to mnie cieszy, że żaden z czytających te karty nie będzie miał odwagi powiedzieć: „Nie chcę być katolikiem, przejdę do protestantów lub żydów“. Zgoda na to, i chwała Bogu za to; miejże więc, drogi bracie, droga siostrzo moja, dosyć tej szlachetnej chrześcijańskiej odwagi, i pomimo uprzedzeń światowych ludzi, pomimo zaniedbanej od lat wielu spowiedzi, zdecyduj się raz przystąpić do tego Sakramentu. (Korona ci z głowy nie spadnie, bo jej nie masz; grzeszyłeś pychą, odpokutujże upokorzeniem. Nas księży się nie lękaj i nie wstydz się nas, bo i my grzeszni, nędz i upadków ludz-

kich świadomi. Nowego nic nam nie powiesz, bo jesteśmy, jak ci lekarze starzy praktycy po szpitalach, oswojeni i otrzaskani z najstraszniejszymi chorobami i najbrzydszymi wrzodami; ani się dziwimy, ani się zrażamy grzechami i nędzami twemi; owszem im rany twej duszy bardziej zadawnione, im brzydsze i bardziej ropiące, tem współczucie nasze głębsze i tem chęć gorętsza wydzwignięcia ciebie z niemocy, poczerwienia na duchu i pojednania z Bogiem. Powiem wam, Bracia, sekret: my kapłani jesteśmy jako ci rybacy, co ryby łowią. Rybak, gdy małą ułowi rybkę, rad jest i z tego; dobre i to, myśli sobie; sprzedaje ją i to; ale gdy mu się uda wielkiego ułować szczupaka, cieszy się i raduje, bo sprzedaje go drogo na stół pański. Tak i my. Gdy do nas przychodzą do spowiedzi ludzie pobożni, którzy co miesiąc, co tydzień się spowiadają, mówimy sobie: chodź rybko mała do sieci Chrystusowej, i dziękujemy Bogu, że ma pocziwe i zacne sługi; ale gdy przyjdzie stary, wielkiego kalibru grzesznik, co to lat 10, 20 i więcej u spowiedzi nie był, a dusza grzechami pokiereszowana jak rzeszoto, o, to radość nasza wielka, bo, połów się udał, i szczupak wielki, co mniejsze ryby psuł i zjadał, dostał się do sieci Chrystusowej. „Dawnoś był u spowiedzi?“ — pyta raz spowiednik posiwiatego już jegomościa. — „Pięćdziesiąt jeden lat, od mego ślubu“, była odpowiedź. — „Chwała Bogu, żeś przyszedł“. On na to: „Ja myślałem, że mnie ksiądz będziesz łajał“. — „I za cóżbym cię miał łajać? czy za to, że się do Boga nawracasz? bądź dobrej myśli, mów ze mną jak ze starym, dobrym przyjacielem, nie bój się mnie, we wszystkim ci dopomogę“. I wypowiedział się pocziwie i serdecznie pożegnał.

Przestrzedz tu się mają bracia moi kapłani, aby tych, którzy lat kilka, kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt u spowiedzi św. nie byli, nie przyjmowali szorstko, nie łajali ich i zaraz na wstępie nie zrażali wyzywaniem i grubemi słowy. A dzieje się to czasem przez złe zrozumianą gorliwość; i właśnie ta obawa przed księdzem, aby się nie gniewał, nie łajał, a w dodatku jeszcze, aby bez rozgrzeszenia od konfesyo-

nału nie odpędził, jest przyczyną dla wielu, że spowiedź z roku na rok odkładają, albo odrazu źle przyjęci od spowiednika, z lęku i strachu grzechy tają i świętokradzko się spowiadają. My kapłani naśladować tu mamy Chrystusa, który grzeszników z wielką wyrozumiałością i miłością przyjmował. W trybunale miłosierdzia zasiadamy, i sąd nasz miłosierdziem i miłością ma być zaprawiony, a im większy grzesznik, im dłużej zwlekał pokutę, tem na większe współczucie i miłość zasługuje; chwała Bogu, że przyszedł. Potrzeba nam mieć serce matki, która, gdy opatruje rany dziecka, delikatnie się ich dotyka, aby oszczędzić bólu. Każdy człowiek ma sporą dozę miłości własnej, ma ją i ten stary grzesznik, klęczący u kratek konfesyonału. Spowiednik liczyć się z tem powinien, i oszczędzać o ile możności tę miłość własną; im wyrozumialej z penitentem postępuje, im bardziej stara się go niejako bronić przed nim samym i tłumaczyć go, że nie ze złej woli, ale z niewiedomości lub nieuwagi zgrzeszył, tem szczerzej otwierają się tajniki serca i usta grzesznika, wszystko na siebie i przeciw sobie wypowie, bo czuje to, że ma przed sobą człowieka, który go szanuje i miłuje, i któremu zaufać i zwierzyć się ze wszystkim może; miłość własna, tą szeroką, wyrozumiałą miłością kapłana ugłaskana i podbita, nie stawia już więcej przeszkody szczerości spowiedzi, prawdziwej skrusze. I to jest prawdą nie tylko u osób z inteligencyi, ale i u prostego ludu. Szacunek i miłość z jednej, zaufanie i szczerość z drugiej strony, oto konieczne warunki dobrej spowiedzi.

Spowiedź ta, jak się w Kościele katolickim praktykuje, dogadza naturalnemu usposobieniu serca ludzkiego, które potrzebuje się koniecznie przed kimś zwierzyć z tem, co mu dolega. Życie grzeszne, dalekie od Boga, pociąga za sobą wyrzut sumienia, wielki niepokój i rozstrój duszy, chyba że już grzesznik wyzuł się z wszelkiego uczucia i zmysłu moralnego, i stał się zwierzęciem, bo wtenczas wytwarza się *conscientia cauteriata*, sumienie jakby podeszwą obszyte, twarde, nieczule, i milczy. Jak długo choćby odrobina ludzkości pozostała, sumienie niepokoi, gryzie i wrzeszczy. Trapiiony wyrzutami su-

mienia umysł szuka ulgi u ludzi, wywnętrza się nieraz przed sługą swoim, nieraz przed obcym człowiekiem, którego napotka w wagonie lub w wozie pocztowym. Włóczę się wzdłuż i wszerz po Galicyi i innych prowincjach, ileż razy sam takich zwierzeń byłem powiernikiem. Mówiłem wtenczas: „Panie mój drogi, toć już wszystko złe na siebie powiedziałeś, stan twej duszy już mi znany zupełnie, potrzeba ci tylko kapłańskiego rozgrzeszenia, i spowiedź, od której tyle lat uciekasz, już skończona“. I kilka razy udało mi się takich skłonić do sakramentalnej spowiedzi. Otóż tej wrodzonej potrzebie serca wywnętrzenia się z tem co trapi i boli, odpowiada wybornie spowiedź św. katolicka. Spowiednik nie jest tylko sędzią, on jest nadto doradcą i lekarzem: nie tylko grzech odpuszcza, ale poucza i przestrzega, ale wskazuje środki zaradcze dźwiga moralnie i otuchę wlewa. I nie należy sądzić, że tylko kobiety i prostaczkowie tej porady i otuchy potrzebują; to nie jest prawdą; owszem męskie serca i męskie animusze potrzebują jej nieraz bardziej jeszcze niż niewieście, bo mniej mają siły odpornej, a wskutek mnogości i ważności swych zajęć popadają częściej w kolizyę powinności i obowiązków. I najbieglejsi lekarze mają ten zwyczaj, że gdy sami zasłabną, lub gdy im żona lub dziecko zachoruje, wzywają porady innego lekarza. Pytałem ich: „Dlaczego to czynicie?“ „A, bo widzisz ksiądz, w takim wypadku jest człowiek zmartwiony i zakłopotany i lęka się, aby w tem zamieszaniu złe nie poradził“. Zastosujmyż to do naszego przedmiotu. *Nemo iudex in propria causa*, nikt nie jest sędzią w własnej sprawie, mawiali starzy. Któż z panów choćby najbardziej uczonych i doświadczonych nie zaznał niepokoju, wyrzutu sumienia, i różnych wątpliwości w spełnieniu swych trudnych a licznych a często sprzecznych z sobą obowiązków — chorym więc jest na duszy, sam sobie złym będzie doradcą, musi się więc udać do kogoś innego. Tym innym któż może być odpowiedniejszy, jak uczciwy i światły a bezinteresowny kapłan, sakramentalnem milczeniem związany; z Bogiem cię pogodzi, wątpliwości rozwiąże, spokój duszy ci przywróci i jeszcze ci wdzię-

czny będzie za to, żeś przyszedł, bo dałeś mu tem okazyę do zasługi. Mówmy co chcemy, ludźmi jesteśmy: *homo sum, humani nihil a me alienum esse puto*, słaba panienka czy mąż poważny wiekiem i stanowiskiem, wszyscy przebywamy we-wnętrzną walkę namiętności, cierpimy moralnie, upadamy, potrzebujemy więc porady, pomocy i pośrednictwa u Boga, a to troje daje nam spowiedź św. katolicka. Ustanawiając ją Chrystus Pan, dogodził przez to potrzebie serca ludzkiego, umiemyż Mu być za to wdzięczni, i od spowiedzi, jak dyabeł od święconej wody, nie uciekajmy, ale się do niej kwapmy.

Zważyć jeszcze proszę, że spowiedź jest dla wielu, dla bardzo wielu, jedynym środkiem ratunku od moralnej ruiny. Proszę popatrzeć na te tysiące młodych sług po miastach, zwłaszcza większych, na te drugie tysiące niedoświadczonej młodzieży robotniczej. Jednych i drugich moralną stronę zaniedbuje zwykle chlebowdawca, bo on wyzyskuje ich pracę fizyczną, a o resztę nie dba; jedni i drudzy przez swój wiek młody i niedoświadczenie narażeni na utratę niewinności i cnoty, na socyalne agitacye i zepsucie szynkowni. Któż ich ostrzeże przed złem, kto nad samą pochyłością przepaści zatrzyma, kto z drogi występku zawróci? Kapłan spowiednik, przed którym to biedne stworzenie serce swoje otworzy. Rozumieją to dobrze nawet niektórzy protestanci i żydzi, i mając służbę katolicką u siebie, bardzo pilnie przestrzegają tego, aby ta chodziła do spowiedzi św. Kiedy przed kulturkamp-fem odbywały się wielkie misye ludowe w Księstwie poznańskim, to protestancy, właściciele ziemscy wraz z szlachtą polską uwalniali na całe dni swoją czeladź i ratajów, nie odciągając im zapłaty, byle tylko mogli pójść wysłuchać kazań misyjnych, i przystąpić do Sakramentów św.

Kiedy w XVI wieku herezya Lutra zniosła w Niemczech spowiedź do ucha, to wkrótce zapanowało takie zepsucie obyczajów, że sam Luter nazwał uniwersytety niemieckie *lupanaria* t. j. domami rozpusty, a magistrat miasta Augsburga prosił cesarza Karola V-go, aby dla ukrócenia swawoli

i rozpusty mieszczaństwa, zaprowadził napowrót spowiedź „do ucha“, taką, jaka jest u katolików, bo sobie z niem rady dać nie może. Cesarz odesłał ich z tą petycją do soboru, który się podówczas w Trydencie odbywał. I za dni naszych, kiedy chcąc powstrzymać socyalizm szerzący się w Niemczech, wniesiono w parlamencie niemieckim w lutym 1886 projekt przedłużenia na lat 8 praw wyjątkowych przeciw socyalistom, wtenczas nie bez słuszości odezwał się wódz katolickiej partii *centrum* dr. Windhorst: „przywróćcie wolność Kościołowi, sprowadźcie zakony, a praw wyjątkowych przeciw socyalistom nie będzie wam potrzeba“. Ambona przygotowuje, a konfesyonał dokona naprawy chorego społeczeństwa. Spowiedź jest najskuteczniejszym środkiem przeciw rozpucie i socyalizmowi, jak w ogóle przeciw rozpasanym namiętnościom tłumów, i z tego względu nosi na sobie wybitną cechę cywilizacyjną.

A jak społeczeństwom, tak świadczy ona cywilizacyjną usługę indywiduom, pojedynczym ludziom, bo zmusza moralnie do studyowania i poznania siebie, do wewnętrznej pracy nad sobą, do reformy obyczajów i poprawy życia. Już gotując się do spowiedzi, wejść musisz sam w siebie, zebrać myśl i rozpatrzyć się w gospodarstwie twej duszy, jak też to tam wygląda. Przystąpiwszy do konfesyonału zdać musisz sprawę ze stanu twej duszy; spowiednik się zapyta o to i o owo, rozstrząśnie to, co zbyt pobieżnie powiedziałeś, zwróci uwagę na to co przeoczyłeś, upomni, skarci, zachęci, twoje dobre postanowienia podśrubuje w górę, umocni w dobrem, a reszty dokona łaska Boża sakramentalna, i wyjdiesz od tej spowiedzi lepszym, i musisz wyjść takim. Pomyśl teraz, gdybyś się częściej spowiadał n. p. co miesiąc, i co miesiąc takie śledztwo ze sobą i takie studyum nad sobą odbywał, i w dobrem się gruntował, a od złego twą wolę odwracał, czy możebna jest, abys w krótkim czasie, w ciągu roku jednego nie odmienił się zupełnie na lepsze? Nie, to jest psychologiczna niemożliwość; musiałbyś być lepszym, moralniejszym i zacniejszym. Powiesz mi: „ależ mój złoty księżu, ja znam takich, którzy biegną do spowiedzi co tydzień, a są wielkie ładaco“. Jezeli

to prawda, to oni się *źle* spowiadają, a ja tu mówię o *dobrej* spowiedzi i do takiej cię zachęcam. Wiem to, że nieraz nadużywa się spowiedzi i niedosyć pracuje nad sobą, dzieje się to zwłaszcza u osób prostszych, tak, że pozostają wady rażące: nerwowość, popędlliwość, zła gęba; ale i to wiem, że pomimo tych wad osoby te właśnie dlatego, że często się spowiadają, uchronić się potrafią pomimo licznych sposobności do złego, całemi latami od grzechów ciężkich n. p. od rozpusty, kradzieży i t. p., w któreby z pewnością popadły, nie spowiadając się jak tylko rzadko bardzo, albo wcale nie. Nadużyć wszystkiego można, ale nadużycie dobrego nie odbiera mu wartości moralnej. Mów co chcesz, zdrowy rozum zgodzić się na to musi, że spowiedź byle *godnie* odprawiona, wpływa zbawiennie a koniecznie na umoralnienie człowieka.

Tak więc wszystko razem: i powaga Pisma św. i powaga soborów, i psychologia serca ludzkiego i względy cywilizacyjne, wszystko przemawia jasno i przekonuje, że spowiedź katolicka jest instytucją Bożą arcymądrą i arcyzbawienną.

Teraz dajmy odpowiedź na zarzuty i uprzedzenia przeciw spowiedzi św.

III.

Wymieniłem je zaraz na wstępie tej mowy, sprowadzić się zaś dadzą do jednego wspólnego mianownika, t. j. że odmawia się spowiedzi charakteru *Boskiej* instytucji, a chce się z niej zrobić ustawę czysto ludzką, i naturalnie że z takiego punktu widzenia spowiedź wydać się musi czemsiś niepotrzebnem i niedorzecznem. Ale skoro przywrócisz spowiedzi charakter Boski, skoro ją uznasz za to, czem ona jest, za ekspiacyjne upokorzenie, które nałożył na ciebie sam Zbawiciel Pan za twoją pychę grzechową i tym tylko sposobem chciał cię uczynić uczestnikiem odkupienia Swego na krzyżu, wtenczas wszystkie zarzuty przeciw spowiedzi okażą się arcyniemądre i ty się sam przed sobą zawstydzisz, że tak niemądrym po-

głodom tak długie lata hołdowałeś. Zdaje mi się, że po tem, co w części II-ej tej konferencji powiedziałem, już chyba tylko głupstwo i upór przeczyć może Boskiemu ustanowieniu spowiedzi; jeżeli z jednym spierać się nie można, to z drugim nie warto. Mam jednak przed sobą ludzi myślących i do-brej a przynajmniej nieprzewrotnej woli, którzy siłą prawdy i loiką rozumowania przekonani, nie będą sobie uważali za wstyd i krzywdę honoru i godności własnej, że dotychczasowe błędne opinie złożą i za prawdą poznaną pójdą. *Errare humanum est, in errore perseverare stulti*, ludzka to rzecz błądzić, ale głupi tylko trwa upornie w błędzie ¹⁾).

To zaznaczywszy, wchodzę teraz w szczegółowe zarzuty. A najprzód nie my księża ustanowiliśmy spowiedź, owszem, powiem otwarcie, że gdyby to w naszej mocy było, to my księża *pierwsi* znieślibyśmy spowiedź. Dlaczego? — bo najuciążliwszym naszym obowiązkiem jest słuchanie spowiedzi. Jabym tych panów, którzy nam wynalazek spowiedzi przypisują i jakieś tam ambitne i intryganckie cele podsuwają, posadził na godzin kilka do konfesyonału, przekonaliby się jaki to trud i umęczenie, siedzieć godzin kilka i to dniami, tygodniami, latami całemi w postawie niewygodnej, wśród ścis-ku i zaduchu, skwaru lub zimna, szeptać do ucha podczas śpiewu ludu i huczenia organu; już to samo jest wielkiem utrudzeniem fizycznym, i zdrowiu bardzo szkodzi. Cóż dopiero gdy nas zawezwą do chorego, często w noc późną, w słotę i śnieżną zamieć, do chałupy dymnej, gdzie w jednej izbie i chory i zdrowi i ludzie i krówki i kury i króliki albo do

¹⁾ Podczas rekolekcyi męskich w jednym z miast Galicyi wyszliśmy z parafialnego kościoła po konferencji o spowiedzi. Czas był zimny, godzina 8-a wieczór a więc dobrze późno, każdy nasunął czapkę na uszy, otulił się w futro i spieszył do domu. Zrobiłem i ja to samo. Za mną szło dwóch panów, których nie znałem, i którzy mnie, ile że przy zmroku, także nie poznali. Jeden z nich rzecze do swego towarzysza: „a niechże to dyabli biorą, wykazał mi jak na dłoni, że byłem głupi nie chodząc tyle lat do spowiedzi, niema rady, tylko trzeba pójść“. Sądzę, że poszedł.

wilgotnej piwnicy, jak to po miastach ubóstwo mieszka. Niech to sobie rozważą eleganci i elegantki nasze, i wtenczas niech mówią: „księża wymyślili spowiedź“. Albo gdy dżuma i zaraźliwe choroby panują, cholera n. p. lub tyfus plamisty. Lekarz przyjdzie, zdaleka chorego opatrzy a często przez okno proszki poda, jak to podczas cholery 1873 r. bywało, i pójdzie sobie, a ksiądz? Kiedy 1871 r. budowano kolej ze Złoczowa do Podwołoczysk, sześciu wyrobników Mazurów zapadło na tyfus. Umieszczono ich na dworcu kolejowym w Tarnopolu w niewielkiej, dosyć zresztą czystej i uczciwej izbie i posłano po księdza. Poszedłem do nich. Leżeli na pryczach jeden obok drugiego, iż ledwo przejść można było między rzędami. Chcąc przestrzegać sekretu spowiedzi nie było rady tylko zbliżyć się do każdego z nich musiałem tak, że twarz moja spiekłych ust chorego prawie dotykała, i cały żar gorączki tyfusowej buchał na mnie. Oprócz spowiedzi potrzeba było jeszcze każdego z nich pocieszyć, podźwignąć na duchu, bo to byli ludzie młodzi, daleko od swoich, żal im było umierać i tęskno za domem, jeden z nich prosił, aby napisać do rodziny, uwiadomić ją o nieszczęściu i rozporządzić jego majątkiem. Dobrą godzinę bawiłem w tej izbie, i byłem pewny, że tyfusu dostanę; nie dostałem i ci chorzy przy troskliwości zarządu kolei wszyscy wyzdrowieli. Każdy ksiądz na mojem miejscu byłby to samo uczynił. Czynią też wszyscy, a nie rzadko poświęcenie swoje przypłacają śmiercią, albo chorobą niebezpieczną, którą się zarazili. Bylibyśmy chyba z rozumem obrani, abyśmy się samowolnie na takie bezpłatne utrudzenie i niebezpieczeństwo życia narażali.

A nie tylko fizy cznem, ale spowiedź jest wielkiem umęczeniem umysłowem i moralnem. Do konfesyonału różni przychodzą, po jednej stronie klęczy prosty chłopiek albo wiejska kobiecina, po drugiej inteligentna osoba; tu stary grzesznik zepsuty do szpiku kości, tam młode niewinne dziecko. Każdy pojmie, że inaczej mówić należy do prostaczka, inaczej do wykwintnie wykształconego; inaczej z człowiekiem, który w występkach „doprowadził do perfekcyi“, inaczej z niewinnych

obyczajów osobą; owszem tu jeszcze większej roztropności potrzeba, abyś jakim nieogłędnem pytaniem lub słowem nie poczyć złego. Przychodzą do nas do konfesjonału sumienia skrupulatne, zawikłane, albo znów bardzo elastyczne i liberalne, przychodzą po radę i pomoc moralną z przeróżnymi kłopotami i cierpieniami; słowem każdy penitent przynosi ze sobą nowy świat ducha. Spowiednik musi zebrać i wyteńczyć wszystkie siły umysłu, ażeby odrazu się zorientować i odrazu wejść w ten świat duszy tego penitenta, mówić do niego zrozumiałym mu językiem, zyskać jego zaufanie i odprawić go zaspokojonym i zadowolnionym. To jest istne umęczenie ducha, praca umysłowa co się zowie, i nie znam nad nią bardziej utrudzającej i bardziej wyniszczającej zasób sił duchowych. A to ustawiczne słuchanie nędzy, cierpień, upadków, brudów i szkarad ludzkich, czy sądzicie, że to nie nęka, nie męczy? czy my księża bez czucia i bez zmysłu moralnego? I cały ten ogrom pracy i utrudzenia mielibyśmy samowolnie nałożyć sobie na barki, i to bez żadnej zapłaty i honorarium, daremnie? Nie, to chybabyśmy obrani z rozumu byli.

Proszę i to zważyć, że my księża nie tylko spowiadamy drugich, ale i sami do spowiedzi przystępujemy i to częściej jak inni. I papież i biskup ma swego spowiednika; rządzi Kościołem lub dycyzją jako namiestnik i urzędnik Chrystusowy, ale jako człowiek uklęka przed innym kapłanem i grzechy swe wyznaje, o rozgrzeszenie i pokutę prosi. Jeżeliby papież lub kapłani spowiedź ustanowili, toby przecie siebie samych do niej nie obowiązali, bo któryż prawodawca przeciw sobie samemu prawa pisze. Skoro zaś i papież i księża obowiązкови spowiedzi poddają się, to snąc jakaś inna wyższa władza ją ustanowiła, a tą władzą sam Chrystus Pan. Miejmyż przecie rozum, i tak bezmyślnych zarzutów jak pacierz za panią matką nie powtarzajmy.

Sobór IV laterański, mówią mi, ustanowił spowiedź. To jest wprost nieprawdą. Spowiedź istnieje od początku chrześcijaństwa, są na to dowody w historii, w biografjach Świętych, w pismach Ojców Kościoła, w archeologii wreszcie

i sztuce kościelnej. Sobór laterański nie potrzebował ustanawiać spowiedzi, bo ona już istniała, ale zapobiegając zobojętnieniu wiernych, którzy po kilka lat do Sakramentów św. nie przystępowali, wydał rozporządzenie, (cap. 21), ażeby wszyscy płci obojej wierni, skoro do używania rozumu dojdą, przynajmniej raz w rok koło Wielkiejnocy do stołu Pańskiego czyli do Komunii św. przystąpili, przygotowując się doń odprawieniem spowiedzi sakramentalnej. Stwierdza to najwyraźniej sobór Trydencki (ses. XIV cap. V.) mówiąc: „albowiem na soborze Laterańskim nie ustanowił Kościół, aby wierni spowiadali się, gdyż rozumiał zawsze, że to jest ustanowione i potrzebne z prawa Bożego, ale sobór ten rozporządził, aby przepis odprawiania spowiedzi przynajmniej raz do roku, od wszystkich i każdego z osobna, skoro do używania rozumu przyjdzie, został wypełniony“. Mamy więc niezawodną powagę za sobą, którą lekkomyślnie gardzić żaden katolik nie może.

Inne zarzuty co do nieuctwa, niedelikatności lub niemoralności księży, są dziecinne. Bo skoro wybór spowiednika każdemu do woli zostawiony, skoro nawet wielkanocną spowiedź można odprawić przed każdym kapłanem, byle przez biskupa aprobowanym, skoro w Galicyi n. p. jest przeszło 2.000 księży łacińskich i tyleż ruskich, są zakonnici księża różnych reguł, toć niepodobna, żeby wśród takiej liczby nie znaleźć odpowiedniego dla siebie spowiednika; czysty to grymas. Proszę pamiętać o tem, że się do spowiedzi nie przychodzi na dysputę ani na lekcję towarzyskiej grzeczności lub po komplementa i pochwały, ale na to i po to, aby w pokorze serca wyznać się grzesznikiem, usłyszeć słowo prawdy i skarcenia, i pogodzić się z Bogiem. Zapomnieć ci o tem trzeba, żeś uczony, albo wykwintna dama, albo herbowy szlachcic, ale na to jedno pamiętaj, żeś grzesznik, że upokorzenie i kara ci należą. W tem usposobieniu iście pokutniczem przystępując, potrafisz znieść w pokorze choćby przyostre słowo albo znalezienie się mniej właściwe spowiednika. Przeciwnie, gdy przychodzisz, jak to często bywa, w poczuciu twej wyższości, z góry patrząc na księdza i jakby łaskę mu robiąc, że się

raczysz u niego spowiadać, pełen miłości własnej i dumy, wtenczas żaden ksiądz ci nie dogodzi; ale tu winą nie w księdzu, ale w tobie. Siła w tej mierze niemądrych rzeczy prawią rzekomo mądrzy panowie i panie. „Ksiądz nie chciał mi dać rozgrzeszenia, za to, że nie poszczę, albo za to, że nie chodzę na mszę św., albo za to, że książki, jakie się trafiają, czytam, albo wreszcie, że mam przyjaźń i stosunek z pewną osobą — nie pójdę już więcej do spowiedzi.“ (Znajdą się i tacy, którzy dlatego, że im ksiądz raz rozgrzeszenia odmówił, latami całemi nie chodzą do spowiedzi.) Pytam, jestże w tem loika, i komu ty właściwie na złość czynisz? Bo jeżeli ci się spowiednik wydał za surowy i niesprawiedliwy, to idź do drugiego łagodniejszego i wyrozumialszego, a jeżeli i ten ci trudność w rozgrzeszeniu robi, to snadź po twojej stronie winą, i niema rady, tylko trzeba się poprawić, a to jest w twojej mocy, tylko chciej szczerze. Jeżeli ci wprost nie dano rozgrzeszenia, to loiczny wniosek ten: porzucić trzeba ten nałóg brzydkiej i te grzechy, za które ci odmówiono pojednania się z Bogiem; ale odgrażać się za to księżom i zaniechać zupełnie spowiedzi, toć przecie rzecz niemądra. Bywają wypadki, gdzie i najłagodniejszy kapłan nie może dać rozgrzeszenia, bo gdyby je dał, byłoby ono nieważne a on sam grzeszyłby ciężko. Weźmy przykład: przyjdzie do mnie do spowiedzi służący, który okrada swego pana. Ja mu na to: zwrócić musisz, co wziąłeś. — Kiedy ja nie mam z czego. — To przynajmniej nadal nie możesz pana twego okradać. — Kiedy ja z mej pensyi wyżyć nie mogę“, a w rzeczy samej żyje nad stan. Pytam: mogę ja temu człowiekowi dać rozgrzeszenie? On kradnie i chce dalej kraść, niema w nim ani żalu, ani chęci poprawy, i całe jego usposobienie jest grzeszne, jakże go rozgrzeszać? Albo przychodzi ktoś, co utrzymuje stosunki występne; powiadam mu: „mój drogi, musisz zerwać tę przyjaźń. — Ja tego nie mogę, to przechodzi moje siły“. Jakżeż ja go rozgrzeszę, skoro on chce żyć dalej występnie? A to najczęściej tak bywa, że ci, którym dla grzechów nieczystych odmówiono rozgrzeszenia, najbardziej na nas księży wygadują i od-

grażają się, że nawet w godzinę śmierci nie zawezwą księdza, jakby tem księdzu a nie sobie szkodzili. Istne to dzieci, ale złe dzieci i niemądre.

O niemoralności księży siła mówią i piszą. Oddawna tak było, bo to najłatwiejszy sposób odciągnięcia ludzi od Kościoła i wiary, której ksiądz jest przedstawicielem i jakby uosobieniem. We Włoszech i we Francyi z tych paszkwilów na księży możnaby sporą bibliotekę złożyć. U nas lat temu kilkanaście głośną była paskudna powieść: „Siostrzenica księdza proboszcza“, a niektóre dzienniki lwowskie zapępiały swą kronikę paszkwilami na księży. Dzisiaj to złe nie zmalało, plotki i ploteczki o księżach nie ustały po naszych miastach i miasteczkach i po podejrzanej wartości gazetach. (Nie przeczę temu) i sam niemniej niż wielu innych boleję nad tem, że nie wszyscy z nas kapłanów odpowiadamy świętości naszego powołania, ależ to tak bywa w każdym innym stanie. Proszę tylko zaglądnąć do kryminałów, znajdują się tam między więźniami i urzędnicy i oficyaliści i nauczyciele, bo gdzie ludzie, tam i ludzkie ułomności i upadki) Ale stanowczo przeczę, aby ogół duchowieństwa albo większa część jego była obyczajowo upadłą, a mogę to uczynić tem śmieiej, że dając od lat 20 rekolekcyje kapłanom we wszystkich dyecezyach Galicyi i indziej, znam trochę lepiej ten kler, od tych, którzy z pozorów sądzą. Tymczasem na stu księży, nie wiem czy znajdzie się pięciu, którymby złe języki nie przypięły łatki, nieraz brzydkiej bardzo. Niech który ksiądz siedzi w domu, pilnuje kościoła i szkoły, nazwą go odludkiem lub sknerą; niech znów udziela się i bywa w towarzystwie, wnet urośnie ploteczka o jakimś romansie i afektach. Jeżeli żyje ze szlachtą, okrzykną go dumnym arystokratą, jeżeli z dworami się nie komunikuje, zarzucą mu demagogiczne tendencye; słowem i tak źle i tak niedobrze. Dlaczego? Bo po kasynach i salonach, w towarzystwach naszych zanadto się zajmują księżmi; zanadto wiele mówi się o nich, niecuje każde ich słowo i czyn, i już młodziutkie pannenki są wprawne w tem krytykowaniu księży a w dodatku nikt sobie nie robi skrupułu sponiewierać sławę kapłańską:

jak gdybyśmy księży wyjęci byli z pod prawa miłości bliźniego. Nie lepiej, jeżeli nie gorzej obchodzimy się z zakonnikami. Nie mówię już nic o Jezuitach, bo przez sto lat ostatnich literaci nasi najgłośniejsi, od Niemcewicza poczynawszy, tyle o nich niedobrych a nieuzasadnionych rzeczy popisali, że nie dziwię się wcale i nikomu za złe nie biorę, jeżeli ma rankor i awersję do nich. Ależ inne zakony, cóż zawiniły, że ich ścigamy, jeżeli nie pogardą to przynajmniej lekceważeniem? Rzecz jasna, że skoro w kółku domowem i towarzyskiem, dając folgę złemu językowi i bezmyślnej łatwowierności, odarliśmy z dobrej sławy i uroku księży naszych, że nam ksiądz ten w konfesyionale wydaje się także czemsiś lekceważenia i wzgardy godnym i wołamy: „Księża są źli, a więc nie pójdę do spowiedzi“. Nie takby wnosić należało, ale tak: „Jeżeli są źli, to są i dobrzy księża, pójdę więc do dobrego“. Zresztą chciejmyż to zrozumieć raz przecie, że w konfesyionale nie zasiada prywatny człowiek, takich lub owakich obyczajów, ale urzędnik Chrystusowy; co mnie do tego, jak on żyje, on sam za siebie przed Bogiem odpowie; mnie dosyć na tem, że osobę Chrystusową nosi i moc Jego i władzę wykonuje.

(Zarzut nadużycia konfesyonału przez księży, wciskania się ich w tajemnice życia domowego, albo ambitne jakieś światowładne aspiracye; pierwsi podnieśli heretycy XVI wieku, powtarzali ten zarzut pesudofilozofowie XVIII wieku z Wolterem na czele — my zaś przeżuujemy tę lichą strawę i sądzimy, że coś bardzo mądrego czynim. A najprzód co do zdradzenia „tajemnicy konfesyonału“ nigdy jeszcze nie dowiedziono, aby którykolwiek kapłan stał się tej zdrady winnym. Wzbrania mu tego prawo natury, prawo Chrystusowe i prawo kościelne, a ten sam sobór Lateraneński IV, który postanowił wielkanocną spowiedź i komunią św., tak się o tem wyraża; „Niechajże się strzeże (spowiednik), aby słowem albo znakiem albo jakimkolwiek innym sposobem nie wyjawił poniekąd grzesznika; lecz jeżeliby potrzebował roztropniejszej porady, to niech to uczyni bez żadnego wymienienia osoby“ (c. 21).

(Najsurowsze kary kościelne spadają na kapłana za złamanie sakramentalnej tajemnicy, suspenza czyli zawieszenie od czynności kapłańskich raz na zawsze, i tylko Papież może od tych kar uwolnić). Bracia moi drodzy, lat 26 spowiednikiem jestem i (włóczę się po różnych krajach i miastach, i tysiące sumień ludzkich przesunęło się przez ręce moje, więc **mi** wiercie, bo prawdę mówię; my spowiednicy najczęściej nie znamy tych, którzy się u nas spowiadają, nieraz piewszy i ostatni raz w życiu swoim ich widzimy, o domowe i miejscowe stosunki się nie wypytujemy, ale rzecz jasna, że ponieważ grzechy penitentów zostają często w związku z domowymi i miejscowymi stosunkami, przeto musimy z natury rzeczy nieraz o nie potraćić, aby stosownie pouczyć, przestrziedz i uzyskać szczere słowo obietnicy poprawy życia. Powiadam: z natury rzeczy to wynika, spowiedź bowiem jest formalnym sądem, spowiednik sędzią, a winnym, oskarżycielem, świadkiem zarazem i obrońcą swoim jest penitent, i stądto zasada teologii moralnej: *oportet credere poenitenti contra se vel pro se loquenti* spowiednik wierzyć powinien penitentowi wtenczas, gdy się oskarża i wtenczas, gdy mówi co w swej obronie. W każdym sądzie odbywa się śledztwo w celu wyznania winy, a w śledztwie zawadzić musi sędzia śledczy i o prywatne domowe stosunki obżałowanego; dzieje się to więc i przy spowiedzi, ale tak, jak nikomu na myśl niewpadnie obwiniać dlatego panów sędziów o intrygę lub ambicję, tak też niełoiczną i niemądrą rzeczą jest podsuwać spowiednikom intryganckie i ambitne zamiary. Miejmyż przecie raz rozum i nie powtarzajmy bezmyślnie niemądrych zarzutów.

Mniemanie jakoby spowiedź dobrą była tylko dla pewnej klasy czy warstwy ludzi, dla kobiet i prostaków — a dla klas wykształconych, dla mężczyzn zwłaszcza była rzeczą tylko doradzoną a nie nakazaną, upada samo przez się jako z gruntu fałszywe. Nie powiedział bowiem Chrystus Pan do Apostołów: „kobietom i prostakom odpuszczajcie grzechy, mężczyźni i uczeni bez was się obejdą“; ale wyrok jego jest uniwersalny, niedopuszczający żadnego wyjątku: *quibuscunque* którymkol-

wiek odpuściecie, a więc wszyscy ci, którym wy, Apostołowie nie odpuściecie, nie będą mieli odpuszczenia. Tak też po wszystkie czasy rozumieli i spełniali obowiązek spowiedzi św. królowie i dygnitarze państwa i uczeni i wojownicy, słowem wszyscy. W dawnej Polsce prawo zwyczajowe przepisywało spowiedź św. i Komunię na Skałce u grobu św. Stanisława królom polskim w przededniu swej koronacji; nie zaniechał tego zwyczaju nawet ostatni król Stanisław i w Warszawie się spowiadał. Spowiednicy królów i magnatów mieli wielkie znaczenie na dworach, towarzyszyli im w podróżach i wojennych wyprawach. Hetmanowie jak: Żółkiewski, Chodkiewicz, Lubomirski, Sobieski, męża stanu jak: Zamojski, Lew Sapieha, Ossoliński spowydali się nietylko raz koło Wielkiejnocy, ale przed każdą niemal bitwą i przed każdą ważniejszą sprawą: czynili to samo ich rycerze i dworzanie, wszystka szlachta *bene nata et possessionata*. Pełne są o tem pamiętniki, *silvae rerum* i kroniki. I za dni naszych tak bywa; królów własnych nie mamy, ale mógłbym wymienić imiona i nazwiska mężów w publicznym zawodzie dobrze znanych, do pierwszych rodów należących, w przeróżnych gałęziach życia naukowego pracujących, którzy mieli i mają tę cywilną odwagę, że do św. spowiedzi jawnie i publicznie i nie raz na rok, ale często przystępowali i przystępują. W paryskiej katedrze Notre-Dame w wielki czwartek ujrzeć możesz dwa do trzech tysięcy mężczyzn, od ministra aż do wyrobnika, przystępujących gromadnie, dla zamanifestowania katolickich swych przekonań, do Komunii św., po odprawieniu przedtem spowiedzi wielkanocnej. Dzieje się to samo w Belgii i nadreńskich Niemczech, słowem wszędzie, gdzie katolicy są katolikami nie z imienia tylko, ale rzeczą samą.

Kończę prosząc i zaklinając każdego, kto te karty czyta: *chciej być rozumny i konsekwentny sam z sobą* i skoroś katolik, spełnijże obowiązek katolicki; tym obowiązkiem jest spowiedź św., a więc nie zwlekaj z nią, nie odkładaj na godzinę śmierci, bo ta godzina niepewna, bo nie wiesz, czy ci kapłana

przywołają, i czy on zdąży na czas; zresztą *sera poenitentia raro vera*, późna pokuta rzadko prawdziwa, woła św. Augustyn. Dopokąd więc zdrowy i czerstwy jesteś, uporządkuj rachunki twoje z Bogiem; sporo tam długów do spłaty i zawikłane kalkuły do zrównania. To, co tu w Sakramencie pokuty znalazłeś, lżąc żalu obmyśłeś, nie pójdzie już z tobą na straszny sąd i karę Bożą; deska to ratunku, ta spowiedź św. dla rozbitka okrętu, dla duszy twojej w morzu grzechów już tonącej. Uchwyci się tej deski pokuty; korzystaj póki czas z miłosierdzia Bożego, abyś nie popadł w ręce sprawiedliwości zagniewanego Boga.

KONFERENCYA X.

Sankeya prawa: kara i nagroda. — Czy jest piekło? — Na czym polega kara piekła? — Czy jest niebo? — Co stanowi istotę nagrody niebieskiej.

„I będą zgromadzone przezeń wszystkie narody“.

„Tedy rzecze król tym, którzy będą po prawicy jego: pójdźcie błogosławieni Ojca mego, otrzymajcie królestwo wam zgotowane od założenia świata“.

„Tedy rzecze i tym, którzy po lewicy będą: idźcie odemnie przekleci w ogień wieczny, który zgotowany jest dyabłu i aniołom jego“.

„I pójdą ci na mękę wieczną a sprawiedliwi do żywota wiecznego“.

(Math. XXV, 32, 34, 41, 46.)

I.

Przedewszystkiem zaznaczyć chcę loiczny związek między tą a poprzedzającymi konferencyami, powiedziałem bowiem, że między konferencyami ścisły zachodzi związek. Związek zaś jest ten:

W II. konferencyi wykazałem, że konkretnym celem człowieka na ziemi jest wypełnienie zawsze, wszędzie i we wszystkim przykazań Bożych. Spełniając to prawo Boże, człowiek służy Bogu, czci i miłuje Go prawdziwie, a równocześnie udoskonala siebie na wzór i podobieństwo Boże; w nagrodę za to czeka go tu w tem życiu *spokój sumienia*, jedyne

prawdziwe szczęście na ziemi, a w drugim życiu nagroda wieczna. To co mnie od Boga i celu mego odwodzi, jest przekroczenie, złamanie prawa Bożego, grzech. I o tym grzechu, o naturze jego i skutkach jego mówiłem w konferencji IV.

Ażeby dwie powyższe prawdy lepiej zrozumieć, rozebrałem w trzech konferencyach V, VI, VII, ten kodeks prawa Bożego, dekalog, o ile tego potrzeby klas wykształconych, dla których ta książka przeznaczona, wymagały. Powiedziałem tam, że *prawo* niczem innym nie jest, tylko „wołą przełożonego dostatecznie ogłoszoną, mającą swoją sankcyę t. j. karę i nagrodę“. Tą karą tu na ziemi są wyrzuty sumienia, cierpienia i nędzy doczesne, a wreszcie i śmierć, która jest *complementum malorum*, dopełnieniem cierpień ludzkich, ale zarazem *ianua aeternitatis* wstępem do wieczności, u której progu straszny sąd Boży czeka. I o tej śmierci i o tym sądzie Bożym mówiło się w konferencji VIII. Aby ująć tych strasznych sądów Bożych, niema innej rady tylko uciec się do trybunału miłosierdzia Bożego, do sakramentu pokuty, stąd urosła konferencya IX.

Ponieważ jednak Bóg jest wieczny, a dusza ludzka nieśmiertelną, jak tego dowiodłem w konferencji III, przeto właściwa sankcyja prawa Bożego kara i nagroda, odbywa się w życiu pozagrobowym, w wieczności; tę karę wieczną nazywamy piekłem; tę nagrodę wieczną niebem — oto geneza niniejszej konferencyi.

Pytanie więc pierwsze, czy jest piekło? „Nie, nie było i niema piekła, wołają materyaliści i pozytywiści, a za nimi cały bezmyślny tłum swywolnej młodzieży, emancypowanych pań i panienek. To wymysł księży, którzy straszą nas piekłem, jak dzieci kominiarzem. To fanatyzm średniowieczny i jezuickie androny, ale my zanadto mądrzy, żebyśmy się im uwieść dali. I miałyby też Bóg co robić, jak duszę ludzką całą wieczność w piekle smarzyć“. Nawet ludzie religijni powątpiewają coraz częściej w istnienie piekła, jako kary wie-

czej. „Mój złoty księże, mówiono mi nieraz, czy to być może, aby Bóg miłosierny karał człowieka całą wieczność? Pojmuję, że po śmierci będzie jakaś kara na złych i występnych, ale ażeby ona trwała całą wieczność, to być nie może, to się sprzeciwia miłosierdziu Bożemu“. „Piekło, tak jak je wy księża przedstawicie, jest filozoficzną niedorzecznością“, mówią inni i próbują nawet tego dowieść rzekomo mądrym argumentem: „Wszystkie czynności człowieka są czemsiś ograniczonem, skończonem, a więc i jego moralnie złe czyny mają w sobie złość i przewrotność ograniczoną i skończoną tylko, a nadto trwają krótko, często chwilę tylko jedną; już zaś sprzeciwia się sprawiedliwości Bożej, ażeby za to, co jest skończone *aliquid finitum* i krótkotrwałe, kara była nieskończona, dlatego wieczność kar piekielnych jest loicznie niemożliwą“.

Na to odpowiadam: jest piekło i musi być piekło, domaga się naprzód zdrowy, gospodarski rozum i moralny zmysł ludzki, ażeby po śmierci była jakaś kara na występnych. Azali bowiem nie widzimy mnóstwa zbrodni, za które tu na tej ziemi żadnej kary niema? Z historią w rękę wykazać można cały szereg zbrodniarzy, „jak Bóg silnych, jak szatan złośliwych“, którzy strumieniami przelewali krew ludzką, dopuszczali się krzywd o pomstę do nieba wołających, nietylko na osobach i rodzinach, ale na narodach całych, wszystko *ob rationem status* dla politycznej idei władzy lub państwa, a w życiu prywatnem byli skończonymi rozpustnikami, okrutnikami, frymarczyli sumieniem, przekonaniami, prawem; słowem wszystkim, co ludziom drogie, święte i co ich wartość człowieczą stanowi. Nietylko stara *Roma* miała swoje Sulle i swoich Dyoklecjanów, znajdują się oni wśród ludów i państw chrześcijańskich. Tu na ziemi spotykała ich czasem kara Boża, jak onego Antyocho, o którym czytamy „*orabat hic scelestus Deum, a quo non esset misericordiam consecuturus* i modlił się ten złośnik do Pana, od którego nie miał otrzymać miłosierdzia“ (2 Machab. IX. 13); wszy go żywcem zjadły; ale nie wszystkich dosięgła ta kara,

wielu z nich naturalną umarło śmiercią u szczytu sławy, która u swoich przynajmniej, i poza grobem im towarzyszyła. A jednak, jeżeli jest Bóg, a jest, jeżeli każda zbrodnia musi być ukarana, a musi, jeżeli ją w tem życiu nie spotyka zasłużona kara, a nie zawsze spotyka, przeto musi być inne życie i inne miejsce, gdzie każda zbrodnia należytą odbierze karę, a to miejsce nazywamy piekłem. Albo, ileż to wśród ludzi prywatnych popełnia się krzywd wdów i sierót, ile uwodzeń i zbezczeszczeń słabych istot, które uchodzą bezkarnie, bo albo niema, ktoby się za nimi ujął, albo sądy chociażby i najuczciwsze, ale dla braku dowodów winnego wolno puszczać. I stąd to robaczkowie ci biedni i pokrzywdzeni, nie mogąc znaleźć sprawiedliwości u ludzi apelują do Boga: „na sąd Boży cię powołuję, niech cię Bóg skarże“, a Psalmista Pański woła: „będzie się weselił sprawiedliwy, gdy ujrzy pomstę; ręce swe umyje we krwi grzesznika“ (Ps. LVIII, 11), bo jest wrodzone człowiekowi to poczucie sprawiedliwości, domagające się kary na występnych. Ta kara Boża przychodzi powoli, chromając, *pede claudo*, ale nie zawsze tutaj; i widzimy krzywdzieli wdów i sierót „jako cedr wyniosłych“, z tłumem sług i czeladzi, którzy potrząsając złotem, urągają prawu i Bogu. A jednak każda krzywda musi być pomszczoną. Skoro tej pomsty tu na ziemi niema, to musi być poza grobem, a miejsce tej mściwej kaźni nazywamy piekłem. Zważmy i to, że myśli i żądze złe, zdradzieckie, nieuczciwe i bezecne, nie podpadają zgoła pod sprawiedliwość ludzką, bo ludzie o nich nie wiedzą, a jednak te myśli i żądze będąc czynem ducha, są czemsiś moralnie złem i występniem; należy się im więc kara. Tu na tej ziemi tej kary niema, musi więc być inne miejsce, gdzie owe mściwe, niekarne i rozhukane duchy należną kaźń odbiorą — a tem miejscem, piekło.

Za głosem rozumu idzie moralny zmysł *communis consensus* wszystkich ludów i narodów bez różnicy wyznań i stopnia cywilizacyi. Świadczy o tem wspomniany wyżej protestant Spiess, który w swej książce: „*Entwicklungsgeschichte der Vorstellungen vom Zustande nach dem Tode*“, w sześciu

rozd. od XI — XVII rozprawia szeroko o Hades'ie starych Greków, o Orku starych Rzymian, o starogermańskiej Heli, o wierze starych Żydów i rabinistów w kary piekielne, o sądzie Bożym i karze na złych według nauki Mahometa. Niepodobna nam tych długich pełnych erudycyi wywodów choćby w streszczeniu przytoczyć, przekroczyłoby to zakresłony rozmiar naszej książki. Za to przytoczę charakterystyczny ustęp z ks. IV Eneidy Wergilego, który znów wzory swe zaczerpnął od poetów greckich. Pojęcia o piekle tych dwóch najbardziej w starożytności cywilizowanych narodów, przekazane nam przez ich klasycznych wieszczów, służyć mogą jako zbiorowy wyraz przekonań innych mniej oświeconych ludów o istnieniu piekła. Jakże oni sobie to miejsce kary przedstawiali?

„Pojrzy Eneasze, (wprowadzony do piekieł przez Sybillę dla odszukania ducha swego ojca) i pod nieszczęsną skałą ujrzy warownie szerokie potrójnym opasane murem. Oblewa je piekielna rzeka Flegeton ognistymi strumieniami, tocząc z hukiem skały. Naprzeciw brama olbrzymia wsparta na twardej jak dyament kolumnach... sterczy ponad nią wysoko wieża żelazna. Siedzi tu furja piekielnica Tyzyfona, przepasana suknią krwawą; bezsenna, pilnuje dniem i nocą wejścia. Stamtąd dochodzą jęki i srogie uderzenia biczów i zgrzyt żelaza i brzęk wleczonych kajdan. Sędzia śledczy Radamant (król Krety) dzierży to straszne królestwo i karci i bada postępki i zmusza do wyznania win tajemnych, nieodpokutowanych przed śmiercią i zaciągniętych wobec bóstwa. I natychmiast mściwa Tyzyfona biczami kręconemi z węzów chłoszcze potępionych i przywołuje srogi zastęp swoich sióstr furyj... Tu pokutują ci, którzy za życia nienawidzili bracią, bili rodziców, wyzyskiwali klientów, zagarnęli majątki z krzywdą spadkobierców, a tych jest liczba bardzo wielka. I ci co za cudzołóstwo zabici, i którzy niesprawiedliwe prowadzili wojny i zdradzić śmieli swych panów. A nie chcesz pytać, jaka kara i los ich spotyka. Jedni olbrzymią skałę toczą, drudzy rozciągnięci na sprychach koła wiszą. Siedzi (do skały rozpalonej przykuty)

i na wieki siedzieć będzie nieszczęśliwy Tezeusz, a nędznik Flegiasz (król Lapitów) upomina wszystkich i potężnem nawołuje głosem: *Nauczcie się tą karą upomnieni sprawiedliwości i jak niegodzi się gardzić bóstwem*. Ten za złoto sprzedał ojczyznę i potężnego tyrana jej narzucił, tamten za pieniądż nadawał prawa i znów je zmieniał... Gdybym miała (mówi to Sybilla) sto języków i sto ust i głos spiżowy, to jeszczebym nie była w stanie wyliczyć wszystkich zbrodni i nazwać po imieniu wszystkich kar¹⁾.

A więc pozbawienie na zawsze szczęścia, skazanie na zawsze na wyszukane katusze i cierpienie za to, że się w tem życiu popełniło zbrodnię, oto treść pogańskiej nauki o piekle. Charakterystyczną jest rzeczą, że prawie we wszystkich mytach pogańskich spotykamy się z wiarą w *wieczność* kar piekielnych. Miały ją z pewnością one stare klasyczne ludy; świadczą o tem ich myty o olbrzymim Tyfyonie, któremu za nieczyste zapaly do bogini Latony strąconemu do piekła, „okrutny sęp krzywym dzióbem nieśmiertelną, bo zawsze odradzającą

¹⁾ Respicit Aeneas subito; et sub rupe sinistra
Moenia lata videt triplici circumdata muro,
Quae rapidus flammis ambit torrentibus amnis,
Tartareus Phlegeton, torquetque sonantia saxa.
Porta adversa ingens, solidoque adamante columnae.
. Stat ferrea turris ad auras;
Tisiphoneque sidens, palla succincta cruenta,
Vestibulum insomnis servat noctesque diesque . . .
Hinc exaudiri gemitus, et saeva sonare
Verbera; tum stridor ferri tractaeque catenae . . .
Gnossius haec Rhadamantus habet durissima regna;
Castigatque auditque dolos, subigitque fateri,
Quae quis apud superos furto laetatus inani
Distulit in seram comissa piacula mortem.
Continuo sontes ultrix accincta flagello
Tisiphone quatit insultans torvosque sinistra
Intentans angues, vocat agmina saeva sororum . . .
Hic quibus invisi fratres, dum vita manebat,
Pulsatusque parens et fraus innexa clienti:
Aut qui divitis soli incubuere reptis,
Nec partem posuere suis, quae maxima turba est:

się wątrobę i wnętrzności pożera, i głęboko w nie, aż pod samo serce się zapuszcza; a odrodzonym trzewiom nigdy nie daje spokoju“. Albo o Iksyonie i Peritouszu, którzy za swoją srogość, dumę i chciwość wtrąceni do piekieł, tę ponoszą wieczną katuszę, że wisi nad nimi olbrzymia skała, grożąc co chwila ruiną, a jednak nie wali się na nich; a tuż przed nimi zastawione jakby na gody weselne, ze zbytkiem królewskim stoły; sięgną po nie łakomie ręką, a ono najstarsza z furii leżąc tuż przy stole, odpędza ich precz od potraw, potrząsając groźnie pochodnią i łajac twardemi słowy“ (Eneis VI). Charakterystyczny to powtarzamy objaw, ta wiara u pogan w wieczność kary; nie opiera się ona na objawieniu, którego poganie nie mieli, ale na tym głosie rozumu ludzkiego, który im każdą zbrodnię jako obrazę i krzywdę bóstwu wyrządzoną przedstawiał i który za ten zamach na bóstwo najsroższej a więc nieskończonej domagał się kary. Zobaczmy później, że nasza chrześcijańska wiara o wieczności kar piekielnych nie sprzeciwia się rozumowi.

II.

Na czem jednak właściwie ta kara piekła i ta nieszczęśliwość potępionych polega, o tem poganie światłem samego tylko

Quique ob adulterium caesi: quique arma secuti
 Impia, nec veriti dominorum fallere dextras:
 Inclusi poenam expectant. Ne quare doceri
 Quam poenam, aut quae forma viros fortunave mersit.
 Saxum ingens volvunt alii, radiisque rotarum
 Districti pendent: sedet aeternumque sedebit
 Infelix Theseus, Phlegyasque miserrimus omnes
 Admonet, et magna testatur voce per umbras;
 Discite justitiam moniti et non temnere Divos.
 Venditit hic auro patriam dominumque potentem
 Imposuit, fixit leges pretio atque refixit . . .
 Non mihi si linguae centum sint, oraue centum,
 Ferrea vox, omnes scelerum comprehendere formas,
 Omnia poenarum percurrere nomina possem. (Aeneis VI.).

rozumu wiedzeni, powiedzieć nic pewnego nie umieli. Rozumowi ludzkiemu przyjść musiał tutaj w pomoc, jak w wielu innych ważnych zagadnieniach, rozum wyższy, objawienie Boże. I oto czytamy w ewangelii św. Mateusza słowa Chrystusowe; „*Discedite omnes, qui operamini iniquitatem; discedite a me maledicti in ignem aeternum*”; odstąpcie wszyscy, którzy czynicie nieprawość, idźcie odemnie przekłęci w ogień wieczny, który zgotowany jest dyabłu i aniołom jego. I pójdą ci na męki wieczne. (Mat. VII, XXV. 41, 46). W tych słowach zamknięta istota i natura kary piekła. „*Discedite a me*, precz odemnie przekłęci, nie znam was, odpycham, odrącam was od siebie“ i to *odrzućcie od Boga* stanowi istotę piekła. „A jeżeli to tylko, powiesz, to ja sobie kpię z piekła. Ja i teraz daleko chodzę od Boga, nie dbam o Niego: „z Bogiem czy mimo Boga“ byle mi się dobrze działo, to i całą wieczność bez Niego się obejdę“. Nie mówmy tak, to mowa niemądra. My tej kary odrzucenia od Boga teraz dobrze zrozumiemy i ocenić należycie nie jesteśmy w stanie, bo nie znając Boga dokładnie *scientia adaequata*, ale tylko w przybliżeniu *tamquam in aenigmate*, nie zdołamy pojąć co to znaczy być odrzuconym od Boga; możemy jednak wyrobić sobie o tem jakieś słabe ale zawsze przybliżone pojęcie. I tak, któż z nas nie doznał w życiu wyrzutów sumienia? Doznają ich przedewszystkiem osoby pobożne, które długie lata żyły uczciwie bez grzechu, ale potem zbiegiem okoliczności i chwilowem zapomnieniem się w grzechu jako brzydki popadły. Ogarnia ich wtenczas niewypowiedziany wstyd, żal, lęk, prawie rozpacz. Czemże jest ten stan okropny? Jękiem i krzykiem duszy oddzielonej od Boga grzechem, zbrodnią, a im ten grzech brzydszy, im ta zbrodnia cięższa, im bardziej uszła bezkarnie, tem wyrzut sumienia nieznośniejszy; czują to, że wobec Boga strasznie winny, że gniew Jego nademną zaciężył — stąd niepokój, lęk, trwoga, która mi zatruwa całe moje szczęście. Przenieśmy to porównanie do przedmiotu naszego. Skoro duch mój wyjdzie z ciała, ujrzy Boga i pojmie Go tak jak On jest sam w sobie, rozmiłuje się w Nim i zapragnie z Nim być na wieki, bo w tem całe szczęście

jego — a tu mu powiedzą: „idź precz odemnie“. Domysłże się teraz, jaka boleść i rozpacz ogarnie potępieńca na ten wyrok, jakie srogie wyrzuty: „mogłem się zbawić, a nie zbawiłem się“, trapić go będą całą wieczność — oto istota kary piekła. Albo ileż to ludzi pada ofiarą tak zwanej nieszczęśliwej miłości. Cóż im się stało? Skąd ten smutek, melancholia, rozpacz posuwająca się nieraz aż do samobójstwa? „Pokochałem przezacną istotę całą moją duszą — i zostałem odepchnięty“, oto wszystko. Jeżeli więc odrzucenie od ukochanej osoby łamie człowieka na długie lata, nieraz na całe życie, coż dopiero odrzucenie od Boga, którego duch mój poznawszy dokładnie, umiłuje potężniej jak wszystkie miłości na ziemi? Nawet w codziennem życiu *odrzucenie* czy to pod formą wydziedziczenia i wyrzeczenia się ze strony rodziny, czy to pod formą wypędzenia z pod chorągwi, urzędu lub towarzystwa jest zawsze najcięższą, i najdotkliwszą karą. Napiętnowany nią oczu podnieść nie śmie, zdaje mu się olbrzymi świat cały za ciasny i za duszny, niesława i hańba jak kula galernika wlecze się za nim, dokąd pójdzie. Skoro na sądzie Bożym ujrzysz Boga „twarzą w twarz“ *de facie ad faciem*, zrozumiesz, że ten Bóg dla ciebie ojcem, matką, treścią twego serca i twojej myśli, słowem On dla ciebie wszystkim — otóż ten Bóg wyrzeka się ciebie i precz od Siebie odgania: *discede a me*.

Jeszcze jedno porównanie. We wszystkich prześladowaniach religijnych, gdzieby one nie były, zamykanie kościołów jest zawsze jedną z najdotkliwszych kar. I kiedy już ostatnia odprawia się ofiara, i najświętszy Sakrament wyniosą i lampkę wieczną zagaszą — to wśród tysięcznego tłumu ludu, jedno oko nie suche, a z piersi wydobywa się nie jęk, ale jeden ryk boleści. Cóż się temu ludowi stało? Toć przecie ma kościoły w sąsiedztwie, toć przecie Bóg wszędzie obecny, a modlić mu się można i w kurnej chacie. Tak, to wszystko prawda, ale w tej świątyni wśród wioski Bóg mieszkał wśród ludu swego: zamykając ją, zdaje się jakby temu ludowi Boga uniesiono, i od Boga go oddzielono i stąd ten żal, płacz i lament jego. Ale jeżeli zabór lub zamknięcie świątyni całą

okolicę smutkiem napełnia, cóż dopiero kiedy ten Bóg sam się od ciebie oddali i tobie pójść precz od Siebie każe, *discede a me*; pomyśl jaka rozpacz ogarnie ciebie?

A dokądże pójdziesz? *In ignem*, w ogień. Istota kary piekła: odrzucenie od Boga i ta kara w języku teologów nazywa się *poena damni*, karą utraty najwyższego dobra, Boga. Jest jeszcze w piekle druga jakby dodatkowa kara, *poena sensus*, kara zmysłów. Grzesznikowi należy się wszelka kara, bo całą swoją istotą obrażając Boga, staje się winny wszelkiej kary. To też w piekle oprócz tej moralnej katuszy odrzucenia od Boga, spotyka go kara dotkliwa ognia. Tak, w piekle jest rzeczywisty fizyczny ogień, który pali a nie spali, bo kara ma być wieczną; który pali a nie świeci, bo w piekle nie masz nic, coby uweselało a światło taką przyjemność sprawia; który pali taką napiętością siły palącej, że nasze ognie w porównaniu z onym ogniem piekielnym są jak malowidło z rzeczywistością. — „To być nie może, wołają na mnie ze stron wszystkich; nie może to być, bo słowa Chrystusowe: *discedite in ignem*, idźcie w ogień, należy brać przenośnie: podobnie jak ogień dręczy ciało, tak potępieńca duszę dręczyć będzie myśl, że jest odrzuconym od Boga. Nie może być dlatego jeszcze, że materya nie może działać na ducha; dusza potępieńca będąc istotą duchową, nie może odbierać bolesnych wrażeń od ognia, który jest istotą materjalną“.

Odpowiadam. Ogólna zasada egzegezy Pisma św. jest ta: należy brać tekst Pisma św. dosłownie, chyba żeby dosłowny wykład zawierał niedorzeczność. Otóż niedorzeczności tu niema żadnej, wykażę to teraz; w ewangelii zaś znajdujemy wyraźne słowa Chrystusowe, rozróżniające moralną katuszę piekła, jak: wyrzuty sumienia, rozpacz, od zmysłowej kary ognia. Oto co mówi o zgorszeniu: „A jeśli by ręka twa gorszyła cię, odetnij ją, lepiej jest tobie wnieść do żywota ułomnym, niż mając obie ręce, iść do piekła w ogień nieugaszony, gdzie robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie. A jeśli cię noga twoja gorszy, utnij ją, lepiej jest tobie wnieść chromym do żywota wiecznego, niż mając obie

nogi, być wrzuconym do piekła ognia nieugaszonego, gdzie robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie. A jeśli cię oko twe gorszy, wylup je, lepiej jest tobie wniść jednookim do królestwa Bożego, niżeli mając obie oczy wrzuconym być do piekła ognistego, gdzie robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie“ (Marek IX. 43—47). Znaczenie tych słów takie: chociażby tobie było coś tak potrzebnego jak ręka i noga, albo tak drogiego jak oko w głowie., ale przeszkadzało ci do zbawienia twej duszy, to musisz sam dobrowolnie wyrzec się tej rzeczy potrzebnej, zerwać z tą osobą pożyteczną ci lub drogą, inaczej narazisz twą duszę na potępienie wieczne, na ogień wieczny piekielny i na wyrzuty sumienia nieustające. Zaznaczam, że w tym jednym tekście Chrystus Pan cztery razy wspomina wyraźnie o *ogniu nieugaszonym* a trzy razy o *robaku nie zasypiającym* nigdy, dając przez to najwyraźniej do zrozumienia, że w piekle obok katuszy moralnej jest także materyalne cierpienie *od ognia* nieugaszonego. Tak też rozumieją te słowa Ojcowie Kościoła, zwłaszcza Augustyn św., który naucza, że nie tylko w piekle, ale i w czyśćcu także jest obok kary moralnej, kara ognia. Jest więc w piekle ogień materyalny i niema w tem żadnej niedorzeczności. A jeżeli mnie kto zapyta, jak może ogień materyalny działać na duszę niematerialną, to ja go zapytam: a jakimże sposobem teraz gdy dusza moja, jakkolwiek duchowa istota, odbiera wrażenie przez zmysły od zewnętrznego świata materyalnego, materya działa na ducha? Powiesz mi: dzieje się to za pomocą organizmu ciała, w którym jest ściśle złączoną. Zgoda na to, ale jeżeli nie sprzeciwia się rozumowi, żeby teraz w tem życiu na duchową moją duszę wywierał wpływy materyalny organizm ciała, to dlaczegożby tam w piekle materyalny ogień nie mógł działać na duchową istotę duszy potępionej? Czem tu materyalny organizm ciała dla duszy, tem ogień piekielny dla potępionej duszy; jest jej jakby organizmem i sprzeczności w tem niema żadnej.

Oprócz kary ognia, spotykają potępieńca jeszcze dwie inne kary. A najprzód wyrzuty sumienia straszne, rozpaczliwe,

zaznaczone słowami Zbawiciela: „robak ich nie umiera“. „Bóg umarł na krzyżu dla zbawienia mego, a jam potępiony“, myśl ta jak robak wierci i toczy. „Mogłem się zbawić tanim kosztem, małą pracą, małym zwycięstwem nad sobą, a nie zbawiłem się; tylu innych, którzy mniej odemnie odebrali łask Bożych, nie mieli takiego religijnego wykształcenia i tyle wzniosłych nauk nie słyszeli, i tak często do Sakramentów św. przystępować nie mogli jako ja — a oni są zbawieni; ja zaś potępiony, biada mi, biada! Chciałem się zgubić, zgubiłem się — a za co? „dla garści jęczmienia, dla sztuki chleba, dla potrawy soczewice... dla trochę miodu“ (Ezech. XIII. 19, Gen. XXV. 34. I. król. XIV. 43), goniąc zapamiętałe za majątkiem i karierą, za zyskami niesprawiedliwymi, za miodem rozkoszy i używania — otom teraz w wiecznych mękach piekła. I rzuciłem się w nie „napracowawszy się na drodze nieprawości i zatracenia i chodząc drogami trudnemi“ (Mędr. V. 7). Drożej mnie kosztuje piekło, aniżeli by kosztowało niebo. Teraz dopiero rozum mój pojmuje całą marność i znikomość i przewrotność minionego życia na ziemi; niestety za późno, przed sobą mam wieczność straszną, okropną, a wycofać się z niej niema sposobu. Wola moja „pragnie zawsze tego co nigdy nie będzie, nigdy chcieć nie będzie tego, co zawsze będzie; nigdy mieć nie będzie tego co chce, a zawsze mieć będzie czego nie chce“ (św. Bernard). Udział mój i „część moja będzie w jeziorze gorejącem ogniem i siarką“ (Obj. XXI. 8), gorze mi, gorze!“

Trzecia jeszcze dodatkowa kara, towarzystwo z potępionymi duchami i szatanami. Jak ono jest nad wszelki wyraz przykre, wstrętne, okropne! Swobodnie, miło i prędko płyną godziny w dobranem, wesołym gronie przyjaciół i towarzyszek, albo ukochanych, drogich sercu osób; ale gdybym cię zamknął do izby więziennej wśród zbrodniarzy i wyrzutków społeczeństwa, albo gdybym ci kazał w sali szpitalnej, gdzie ciężko chorzy na zaraźliwe, cuchnące wrzody konają — a skonać nie mogąc, jękiem i charczeniem powietrze zapelniają, to jedna godzina w towarzystwie takim, całym rokiem by ci się wy-

dała. Otóż duchy potępione to najwięksi zbrodniarze, to wyrzutki od Boga, to nędzarze najnędzniejsi, w bluźnierstwach i złorzeczeniu napróżno szukają jakiejś ulgi, rozpacz sroga ich pokarmem — i ty czuć będziesz ich obecność, rozumieć ich katuszę, a to towarzystwo z nimi spotęguje stokroć jeszcze twoje potępienie. Śpiewa poeta rzymski: „*interdumque juvat socios habuisse dolorum*” pociechą bywa czasem, gdy się ma towarzyszy boleści“, ale tam w piekle to towarzystwo powiększa tylko mękę.

Wszystkie te kary piekielne razem wzięte są straszne, przerażające, gdyby tylko rok jeden, lat kilka trwały; tymczasem one trwają wieczność całą „idźcie precz w ogień wieczny... ogień nieugaszony... robak ich nie umiera, ogień nie gaśnie... Któż z was ostać się może przed ogniem pożerającym, kto z was ostać się może przed płomieniem wiecznym? *quis habitabit ex vobis cum ardoribus sempiternis* (Isai. XXXIII. 14)*? Co to jest wieczność? My o tem pojęcia nie mamy. Pismo Boże wspomina wyraźnie i napewno o dwóch potępionych, o Kainie i o Judaszu. Sześć tysięcy lat odkąd Kain ponosi karę piekielną za to, że zrozpaczył o miłosierdziu Bożem: „większą jest nieprawość moja, niżbym miał odpuszczenia być godzien“ (Gen. IV 13). Sześć tysięcy lat, coto za przesterzeń czasu! Ile to ludów i narodów, ile pokoleń przesunęło się na powierzchni ziemi, ile państw potężnych powstało, upadło, a na ich ruinie dźwignęły się nowe ludy, nowe państwa, na to, ażeby znów ruiną swoją przygotować powstanie państwom innym; ile to zbrodni się popełniło, ile krwi ludzkiej przelało, ile łez wypłynęło, ile to bied i nędz się przecierpiało — kto to wszystko wypowie. Tomy całe i księgi grube spisano, a jeszcze dzieje tych sześciu tysięcy lat i tych miliardów ludzi, którzy żyli, działali i cierpieli w setnej części nie są niemi objęte. Sześć tysięcy lat! a to dopiero początek wieczności.

Judasz zdrajca, który także zwątpił o miłosierdziu Bożem i z rozpacz „obwiesiwszy się, rozpukł się na poły i wypłynęły wszystkie wnętrzności jego“ (Dz. ap. I. 18), dwa tysiące blisko lat pogrzebany w piekle. Dwa tysiące lat ery chře-

ścijańskiej! nowe ludy, nowy porządek rzeczy, zmieniła się kilkakrotnie postać całej Europy, odkryto nowe światy, porobiono nowe wynalazki, podniesiono naukę, sztukę, przemysł, handel, słowem cywilizację całą; czasu tyle i pracy ludzkiej tyle, a to wszystko początek wieczności. I nowe jeszcze zdźwigną się państwa i karta Europy i świata całego nie raz jeden jeszcze się odmieni, i nowe setki i tysiące lat liczyć będzie można „od zbawienia świata“ a to wszystko początek wieczności. *O aeternitas, o aeternitas!* Przecież złośliwiec Skarga w kazaniu na niedz. I-szą adwentu: „I zatem usłyszą on piorun z ust Chrystusowych: *Odstąpcie odemnie przekłęci.* A oni krzykną: Izali nas przeklinasz Twórcu i Odkupicielu nasz? Gdzież one wnętrności miłosierdzia Twego? wspomnij jakoś dla nas umarł, abyś nas od tej wiecznej śmierci wybawił? A Pan też rzecze: Wczas było miłosierdzia szukać; precz przekłęci. A gdzież nam każesz? W ogień. A długoż? Na wieki wieków. Wždy po sto tysięcy lat nas wyzwól. Niech ptaszek z góry wszystkiego świata, co tysiąc lat ziarneczko piasku do nas nosi, a gdy wybierze góry wszystkie, wždy nas w ten czas wolnymi uczynisz a zmiłujesz się? Nie. Na wieki wieków nie zmiłuję“. Ileżby to tysięcy, milionów lat potrzeba, aby wróbelek ziarnko po ziarnku przenosząc, całą tę olbrzymią bryłę ziemi przeniósł gdzieś za światy?... a jednak to początek wieczności.

I nie mówmy: wieczność piekła sprzeciwia się rozumowi, bo skoro wszelka czynność ludzka jest krótko trwała i ograniczoną, to choćby za najgorsze czyny, nie może być kara wieczna i nieskończona. Złość bowiem i moralna przewrotność nie mierzy się fizycznym wysiłeniem, albo materialnym trwaniem czasu, ale krzywdą, jaką ona wyrządza społeczeństwu i Bogu. I dlatego za zabójstwo popełnione jednym pchnięciem sztyletu, jednym uderzeniem pałki, jednym wystrzałem z rewolweru — a są to czynności fizyczne krótko trwałe, materialnie same z siebie nie złe, sprawiedliwość ludzka karze odebraniem życia na zawsze; innej cięższej kary już ona wymierzyć nie jest w stanie. Można by tysiące przytoczyć przy-

kładów, gdzie materyalnie rzecz biorąc, czynność drobna, krótkotrwała, pociąga za sobą następstwa, lata i wieki całe trwające. Stąd więc, że grzesznik żyjąc w przestrzeni i czasie, i ograniczonym będąc jak we wszystkich swych czynnościach, tak i w złości i przewrotności swojej jest i musi być ograniczony nie wynika wcale, aby za tę jego złość nie mogła go spotkać nieskończona, wieczna kara. Owszem rozum przypuścić musi jako rzecz bardzo prawdopodobną, że za niektóre przynajmniej zbrodnie, zwłaszcza wprost przeciw Bóstwu wymierzone jak n. p. bluźnierstwa, Bóstwo karać musi na wieki. I stądto u starych klasycznych ludów było to religijne mniemanie, że Giganci, którzy bóstwo z nieba strącić chcieli, na samem dnie piekła kalusze ponoszą:

*Hic genus antiquum terrae, Titiana pubes,
Fulmine dejecti fundo volvuntur in imo* (Aen. VI).

Stąd u nich wyraźna wiara w wieczność kar piekielnych, jak to zaznaczyłem wyżej. Już to rozumem samym walcząc, wieczności kar piekielnych nie obalimy.

Na mało się też przyda odwoływać się na miłosiernego Boga. Dla miłosierdzia Bożego tu na ziemi szerokie pole, i Pismo św. wychwala je wielokrotnie: „*confitemini Domino quoniam bonus, quoniam in aeternum misericordia ejus*, wyznawajcie Panu, bo dobry jest, bo na wieki miłosierdzie Jego“ (Ps. CVI. 1), ale tam sama naga, nieodproszona sprawiedliwość Boża i ta domaga się kary *wiecznej*. Dlaczego? Najprzód dlatego, że jak to wykazałem w konferencji IV., każdy grzech będąc z natury swojej aktem buntu, a więc zniewagą nieskończonego Boga, jest tem samem czemśś nieskończenie złem, *omne peccatum habet in se aliquid infiniti*. Za winę nieskończoną należy się kara nieskończona. Ponieważ dusza potępionca jest czemśś ograniczonem, ale nieśmiertelną, przeto nie może ją spotkać kara nieskończona co do swej napiętości, *infinita quoad intensitatem*, ale za to należy się jej kara nieskończona co do swej rozciągłości czyli trwania, *infinita quoad extensionem*, dlatego kara piekła jest i musi być wieczną.

Powtórę dlatego, że gdy ja umieram w stanie grzechu, to tem samem odpycham i odrzucam od siebie Boga i w tym stanie dobrowolnego odwrócenia się od Boga przechodzę do życia pozagrobowego, gdzie już miejsca do zasługi niema; „poki czas mamy, czynmy dobrze“ (Galat. VI. 10), upomina Paweł św., dając tem jasno do zrozumienia, że po śmierci zasłużyć sobie niczego nie można. Jakże tedy być może, aby Pan Bóg przyjął mnie kiedykolwiek do Swej chwały wiecznej? Ja trwając do śmierci w stanie grzechu, wołam: „precz odemnie Boże, nie chcę Cię znać, nie dbam o Ciebie i Twoje niebo“, a Bóg ma do mnie się wpraszać i do nieba gwałtem ciągnąć i mówić mi: „*veni benedictae Patris*, pójdź błogosławiony Ojca Mojego i posiądź królestwo przygotowane tobie od wieków?“ Nie, to być nie może, to się sprzeciwia godności Bożej. Bóg, wielki pan, uragać Sobie nie da; tu na ziemi woła: *convertimini ad Me*, nawróćcie się do Mnie, a ja nawrócę się do was“, ale gdy głosu tego nie słuchamy, a zatwardziwszy serca nasze daleko od Boga w złem i złościach naszych aż do ostatniego tchnienia życia trwamy, to On nam powie i powiedzieć musi: „nie znałeś mnie i znać nie chciałeś za życia, nie znam ja ciebie w wieczności — precz odemnie w ogień wieczny“. To też Izajasz prorok nawołuje lud swój: „Nieprawości wasze rozdzieliły między wami, a między Bogiem waszym, a grzechy wasze zakryły oblicze Jego od was“ (Iz. LIX. 2).

Skoro więc umieram w rozterce z Bogiem, w odwróceniu się od Niego, to całą wieczność w tym stanie pozostać muszę, a tem samem kara odrzucenia od Boga, *poena damni* i towarzysząca jej kara zmysłów *poena sensus* trwać musi całą wieczność. Oto loiczny wywód o wieczności kary w piekle, wszystkie sentymentalne kontrargumenta o miłosierdziu Bożem nie tu nie pomogą.

Są to prawdy straszne — i Paweł święty przestrzega: „straszność jest wpaść w ręce Boga żywego“. (Do Żyd. X. 31). Jest piekło i musi być piekło i to piekło wieczne; domaga się tego głos rozumu i zmysł moralny wszystkich ludów i narodów; stwierdza to wymownie Ewangelia i nauka

Kościola. Mędrkujmy i dysputujmy jak chcemy, ile chcemy, prawdy tej nie obalim. Prawo Boże i cały ten moralny porządek w świecie nie miałyby znaczenia i racyi bytu, gdyby na przestępców tego prawa i tego moralnego porządku nie spadała odpowiednia kara, jako sankcya kodeksu Bożego. Tej *odpowiedniej* kary tu na ziemi niema i być nie może, musi więc być w drugim życiu — i jest.

III.

Ta sama sankcya prawa Bożego i ta sama sprawiedliwość Boża domaga się także odpowiedniej nagrody dla tych, którzy to prawo Boże zawsze i wszędzie i we wszystkim wiernie wypełniają. Tą nagrodą tu w tem życiu jest *spokój sumienia*, jedyna odrobina prawdziwego szczęścia na ziemi; nie rzadko towarzyszy mu błogosławieństwo doczesne, łaska i dobre imię u ludzi. Jest to wszelako, jak Skarga powiada, „śniadanie“, zanim Pan Bóg wspaniałego obiadu chwały niebieskiej nie zastawi. Właściwą, odpowiednią nagrodą jest *niebo*.

O tem niebie często mówimy; staropolskim zwyczajem życzymy sobie tego nieba przy gratulacjach noworocznych i imieninach; kaznodzieje prawie każde kazanie kończą życzeniem żywota wiecznego, a więc nieba; pomimo to mówimy o tem niebie z jakimś niedowierzaniem, jakby ono nie dla nas było, albo nie było takie, jak nam je wiara św. przedstawia. Wątpiąc o istnieniu piekła, powątpiewamy analogicznie, a raczej nie dbamy o niebo. Otóż wiedzmy, że *niebo jest*.

Domaga się zdrowy rozum ludzki, ażeby po śmierci spotkała cnotliwych nagroda zasłużona. Widzimy bowiem tu na tym świecie mnóstwo dobrych, zacnych, szlachetnych czynów, które nie są wynagrodzone dostatecznie, owszem bywają całkiem zapoznane, co gorsza, ścigane karą. Największem z poświęceń ludzkich jest poświęcenie matki dla dziecięcia. Ile trudu i cierpień, kiedy je nosi w żywocie, jakie

boleści konania, kiedy je na świat wydaje, ile nocy bezsen-
nych, ile trwóg i obaw iście śmiertelnych, zanim je odchow-
a i wychowa. I jakaż nagroda za to? Często życie dziecięcia
okupuje matka życiem własnem; często odchowane już, szcze-
biotliwe, rozkoszne dziecię zabiera śmierć nielitościwa, pustka
w domu i pustka i boleść niewysłowiona w sercu osieroconej
matki; często takim trudem i ofiarą macierzyńską wychowane
dzieci nie uda się, wyrosnie na łotra, zatruje serce matki, iż
ta w chwili żalu woła: „wolałabym cię widzieć na katafalku,
niż tak złym i nieczemnym, okrywającym niesławą i hańbą
mnie matkę i rodzinę całą“. A jednak każda cnota musi być
wynagrodzona: tej nagrody tu na ziemi niema, a więc musi
być inne miejsce, gdzie poświęcenie chrześcijańskiej matki od-
bierze swoją nagrodę — tem miejscem niebo. Albo poświęcenie
siostry miłosierdzia obsługującej chorych w szpitalu: potrzeba
patrzeć na to zblizka, aby zrozumieć jak wielkie ono jest
a jak bezinteresowne. Przyniosą z ulicy żebraka; od wszy
i gadu ruszają się łachmany na nim, skóra wrzodem pokryta,
by skorupą. Siostrzyczka nędzarza onego omyje, do czystej
pościeli ułoży, pielęgnuje by matka najcudniejsze swe dziecię.
Patrzałem na to oczami mojemu — kto jej to poświęcenie
zapłaci? Albo podczas wojny, zwożą rannych z roztrzaskaną
głową, poszarpanymi członkami, kupa to mięsa krwawego,
a nie człowiek. Siostra miłosierdzia przy operacyi lekarskiej
stoi, pomaga, choremu służy, rany opatruje, gorączkę czem
może gasi, cieszy się każdym polepszeniem zdrowia jego, by
własnem, jest mu aniołem pocieszycielem, nie sługą, ale sio-
strą, lub matką. Pytacie żołnierzy np. francuskich z wojny
krymskiej, to wam odpowiedzą. Mamy nawet historyczny do-
kument tego poświęcenia. W marcu roku 1855 w Luneville
umarła siostra Klara, panna miłosierdzia reguły św. Karola,
obsługująca podczas wojny krymskiej lazarety francuskie.
Urządzono jej żołnierski pogrzeb, bito pogrzebowe salwy i żoł-
nierskie czyniono honory. Jenerał Jacquemin, który z swoim
sztabem i oddziałem dragonów, ułanów i artyleryi towarzyszył
pogrzebowi, przemówił nad grobem: „Nie żadnemu możnemu

tego świata, ale skromnej i pobożnej panience, jednej ze sióstr miłosierdzia ostatnią posługę oddać, złożyć braterskie pożegnanie przychodzimy. Żołnierze, któż lepiej od was siostrę miłosierdzia ocenić zdoła? Czyliż w niej nie jaśnieją cnoty wyrzeczenia się siebie, pogardy niebezpieczeństw, ofiary życia dla dopełnienia obowiązku, jej i nam wspólne? O święte, szlachetne, odważne panny, które się napotyka wszędzie, gdzie jest boleść do ukojenia, do zwalczenia zabójcza zaraza. Znajdujemy je przy sobie i po szpitalach i w ojczyźnie i w Algierze i w odległych koloniach i nawet pod armatnimi strzałami Sebastopola. Kiedy którego z nas niemoc na łóżko powali, ich ręce obmywają krew z ran ciekącą, a ich słodkie wyrazy rezygnacyę zalecają. W godzinę śmierci zastępują nieobecną rodzinę i pomagają umrzeć, pobożnie oczy zamykając. Zbyt często niestety śmierć sprząta biedne siostry z pomiędzy zajęć anielskiego posłannictwa; zaraźliwe choroby, wśród których ciągle żyją, dziesiątkują ich szeregi srożej jak nasze. Bohaterskie panny, szpital jest dla was zaszczytnym placem boju. Siostra Klara, której grób za chwilę się zamknie, praktykowała wszystkie cnoty św. Wincentego a Paulo, tego popularnego założyciela bractw miłosiernych i jak tyle innych jej młodych towarzyszek, znalazła śmierć u łóżka chorego. Chcąc go uratować, dała mu życie własne i jeszcze go błogosławiła. Żegnam cię, siostro Klaro. Tak jak całe twoje zgromadzenie należałaś do naszej wojskowej rodziny. Miłość w Bogu, ten wzniosły owoc chrześcijaństwa, uczyniła z ciebie siostrę ukochaną dla nas i kiedyś nas otaczała troskliwem pielegnowaniem, Bóg cię odwołał ze świata. Aniele niebieski, dziś się modlisz za braci twoich żołnierzy. Ja cię żegnam wyrazem ich wdzięczności¹⁾.

Była to jakaś część nagrody to uznanie rycerskie nad grobem, ale nie wszystkie siostry miłosierdzia były tak szczęśliwe jak siostra Klara; owszem wszystkie żyją mało znane światu i umierają nieznane, a nawet tej nędznej płacy jaką u nas Wydział krajowy rocznie daje, nie odbiera taka siostra

¹⁾ Przegląd poznański r. 1855, str. 618.

na rękę, do własnej dyspozycyi, ale oddaje ją klasztorowi, który jej nader skromne opatruje utrzymanie. A jednak taka ofiara, tak bezinteresowna, tak mało uznana tylu tysięcy poświęconych Bogu i cierpiącej ludzkości panienek, musi być godnie wynagrodzoną — skoro tej nagrody niema na tej ziemi, a niema jej, to musi być inne miejsce dla niej — tem miejscem niebo.

A za dni naszych azali nie patrzyliśmy na kary ciężkie za czyny znaczne i wspaniałe? Przypomnąć sobie tylko proszę ostatnie trzynastolecie kulturkampfu w Prusiech i indziej. Książąt Kościoła, Biskupów, kapłanów posiwiących w pracy wleczono przed sądy, zamykano na długie miesiące zarówno ze zbójcami i złodziejami do więzień — za co? Nie chcieli złamać przysięgi biskupiej, zdradzić niczem nieprzedawnionych praw Kościoła. A jednak jeżeli jest Bóg sprawiedliwy, a jest nim, jeżeli każda cnota musi być wynagrodzoną, a musi, jeżeli tu na ziemi zamiast nagrody spotyka ją dotkliwa kara, a bywa tak i działo się tak przed oczyma naszymi — to musi być inne miejsce, gdzie tej cnocie należyta wymierzona zostanie nagroda, a tem miejscem niebo. Jest więc niebo.

Za głosem rozumu idzie sumienie wszystkich ludów i narodów. Mogę się tu znowu powołać na protestanta Spiessa, który w tej samej książce i w tychże samych rozdziałach, gdzie rozprawia o piekle, wypowiada także i ocenia krytycznie mity starych ludów o niebie. Najdawniejszej starożytności Indyanie przedstawiali sobie bóstwo jako przeważnie miłosierne i nagradzające poza grobem. Każdy naród w miarę stopnia swej cywilizacyi przedstawiał sobie to niebo inaczej. Starzy Germanowie wierzyli, że w Walhali uganiać będą za zwierzem, a pić wdzięczny napój z czaszki zabitego w wojnie jeńca. Mahometanie niebo swoje upatrują w zmysłowej rozkoszy. Grecy i Rzymianie elisium swoje pojmowali jako stan niczem niezamąconego spokoju i radości, odpowiedniej temu zawodowi, jakiemu oddawali się za życia. Oto co pisze o tem Wergili:

„Przyszli (Sybilla z Eneaszem) do miejsc wesołych i przyjemnych zarośli i gajów szczęśliwych, do siedziby błogosła-

wionej. Przeczyste tu powietrze purpurowem światłem okrywa pola; znają tu i swoje słońce i gwiazdy swoje. Jedni (z owych błogosławionych) ćwiczą się na murawie w szermierce, staczają harce, i na żółtym mocują się piasku. Drudzy wyprawiają skoczne tańce i nuca pieśni. Tu kapłan tracki (Orfeusz) w szacie poważnej gra i śpiewa na siedmiostrunnej lirze, uderzając po niej naprzemian palcami lub smyczkiem z kości słoniowej. Tu (używa szczęścia) ród starożytny Teukrów, dorodne młodzieńce, wielkoduszne bohaterzy zrodzone za lepszych czasów: Ilus, Assarakus i założyciel Troi Dardanus. Opodal od nich podziwiać możesz broń mężów i puste wozy; sterczą wbite w ziemię dzidy, a wolno puszczone na pola pasą się konie. Ta rozkosz jaką za życia sprawiały im wojenne wozy i zbroje i ta troska o pasące się lśniące konie, towarzyszy im w podziemiu. Pojrzy (Eneasze), a oto na prawo i lewo rozłożeni na murawie wśród wonnego wawrzynowego gaju biesiadują i wesołym chórem nuca zwycięską pieśń wojenną, a obfity Erydan (rzeka niebieska) toczy z gór wzdłuż gaju swe fale. Są to ci, którzy w obronie ojczyzny walcząc rany odnieśli; którzy za życia czystymi byli kapłanami; którzy byli pobożnymi wieszczami i godne Febusa śpiewali pieśni, albo nowymi wynalazkami cywilizowali świat i zasługami swemi zasłużyli sobie na pamięć innych. Wszystkich tych skronie otacza biały jak śnieg wieniec¹⁾. (Eneis. VI).

¹⁾ Devenere locos laetos et amoena vireta
 Fortunatorum nemorum sedesque beatas.
 Largior hic campos aether et lumine vestit
 Purpureo: solemque suum, sua sidera norunt.
 Pars in gramineis exercent membra palestris:
 Contendunt ludo et fulva luctantur arena.
 Pars pedibus plaudunt choreas et carmina dicunt,
 Nec non Threicius longa cum veste sacerdos,
 Obloquitur numeris septem discrimina vocum;
 Iamque eadem digitis, jam pectine pulsat eburno.
 Hic genus antiquum Teucris, pulcherrima proles,
 Magnanimi hereos, nati melioribus annis:
 Ilusque, Assaracusque et Trojae Dardanus author.

Słowem, każdy po swojemu, ale wszystkie ludy wierzyły silnie i niezachwianie, że po śmierci jest jakieś miejsce nagrody za dobre czyny, niebo.

Pismo św. i Ewangelia Chrystusowa stwierdza tę prawdę. Można przytoczyć długi szereg tekstów Pisma św. świadczących o istnieniu nieba i wymieniających, na czym ta nagroda niebieska zależy. Niebo nazwane tam żywotem wiecznym, królestwem niebieskiem, Bożem, Chrystusowem, domem ojca, rajem, miastem świętem, nowem Jeruzalem¹⁾, bo w niebie Bóg w szczególniejszy sposób mieszka, Chrystus tam króluje, bo tam radość nie opisana i spokój cudowny i miłość taka, jaka między ojcem a rodziną. Paweł zaś św. powiada: „oko nie widziało i ucho nie słyszało, i na serce ludzkie nie wstąpiło, co nagotował Bóg tym, którzy go miłują“. (I. Kor. II. 9).

IV.

Jest więc niebo. Na czym ta nagroda niebieska polega? Tego nam rozum sam nie powie, na to potrzebne objawienie

Arma procul, currasque virum miratur inanes,
Stant terrae defixae lancae, passimque soluti
Per campos pascuntur equi. Quae gratia currum
Armorumque fuit vivis, quae cura nitentes
Pascere equos, eadem sequitur tellure repostos.
Conspicit ecce, alios dextra laevaue per herbam
Vescentes laetumque choro Paeana canentes
Inter odoratum lauri nemus: unde superne
Plurimus Eridani per sylvam volvitur amnis.
Hic manus ob patriam pugnando vulnera passi;
Quique sacerdotes casti, dum vita manebat;
Quique pii vates et Phaebo digna loquuti;
Inventas aut qui vitam excoluere per artes;
Quique sunt memores alios fecere merendo:
Omnibus his nivea cinguntur tempora vita. (Aeneis VI).

¹⁾ Mat. VI. 33; XXI. 43, XXII. 2.

Marek I. 14.

Jan XVIII. 36, XIV. 2.

Do Efez. V. 5.

Do Kolos. I. 13.

Boże. To też Chrystus przychodzi nam w pomoc nauką swoją: „*Venite benedicti Patris, pójďte błogosławieni Ojca, odziedziczcie królestwo wam zgotowane od założenia świata*“. (Mat. XXV. 34). Istotą więc i treścią nagrody niebieskiej jest połączenie się z Bogiem „widzenie Boga uszczęśliwiające“ duszę, *visio beatifica Dei*. I znów powiedzieć trzeba, że my w tem życiu tej nagrody ani dostatecznie zrozumieć ani ocenić nie jesteśmy w stanie, dlatego, że Boga nie poznajemy dokładnie, tak jak on jest sam w sobie, ale tylko w przybliżeniu jakby w obrazie, *tamquam in aenigmate*. Możemy jednak o tem szczęściu duszy połączonej z Bogiem wyrobić sobie przybliżone pojęcie. Powiedzieliśmy kilkakrotnie, że jedynem, prawdziwem acz niezupełnem szczęściem człowieka na ziemi jest spokój sumienia. Czemże jest ten spokój sumienia? Pewien błogi stan duszy świadomej tego, że między nią a Bogiem niema przedziału i rozłąki, ale panuje owszem harmonia i zgoda a im ściślej ta czysta, wolna od grzechu dusza łączy się z Bogiem, modlitwą, świętymi Sakramentami, tem to jej wewnętrzne szczęście i zadowolenie staje się zupełniejszem. Doświadczali tego przedsmaku niebieskiego szczęścia święci pańscy, owe Franciszki z Asyżu i z Ksaweru, owe Katarzyny z Sienny i Terese, jak to w ich żywotach opisują Bolandyści. Doświadczają tego i dusze pobożne bez różnicy wieku i stanu, a nawet wielcy grzesznicy w pierwszych zwłaszcza chwilach swego nawrócenia, po dobrze odbytej spowiedzi i godnie przyjętej Komunii św., czego my kapłani nie raz jeden świadkami jesteśmy. I pod wrażeniem tego spokoju duszy i tej duchownej pociechy wszelka ziemska rozkosz i przyjemność maleje i niknie; z królami świata nie mieniałbyś się, za żadną cenę nie oddałbyś tej pięknej drogiej chwili życia. A jednak ja tego Boga na ziemi nie widzę, rękami Go się nie imam, wiarą tylko i moralną naturą ludzką jakby instynktem odgaduję Go i odczuwam; cóż dopiero będzie, gdy w onem drugim życiu Boga oglądam tak jak On jest sam w sobie, pojmem Go, ukocham, i zapragnąwszy z Nim zawsze być, z Nim też się połączę i nie mnie już od Niego nie oddzieli?

Najwyższe szczęście w pojęciu światowem to miłość serc dwojga, na której rodzina i szczęście domowe się opiera. Treścią i koniecznym warunkiem tej miłości obopólne a najściślejsze połączenie się, łączność i wspólność myśli i uczuć, przekonań i zachceń, trosk i pociech, kłopotów i przyjemności, bo już starzy mawiali: „*idem velle atque idem nolle ea demum vera amicitia est*: to samo chcieć i tego samego nie chcieć oto prawdziwa przyjaźń“, a przyjaźń także rodzajem miłości jest. Za tą łącznością i jednością duchową idzie połączenie i wspólność życia, iż się jedno bez drugiego obejść nie może, stąd smutek i smętek i tęsknota niewypowiedziana, gdy się jest oddalonym od osoby umiłowanej. Bóg jest miłością *Deus charitas est* i wszelkie zacne miłości ludzkie od tej miłości początek swój biorą i dlatego zupełne połączenie się z Bogiem po śmierci stanowi pełność szczęścia dla duszy wybranej i to wyrażają słowa Chrystusowe: „*venite benedicti Patris, pójdźcie błogosławieni Ojca mego*“.

W jaki sposób to połączenie się z Bogiem i widzenie Boga, ta *visio beatifica Dei* uszczęśliwić może duszę, da się to do pewnego przynajmniej stopnia rozumowo wytłumaczyć. Rozum nasz bowiem naturalną siłą dąży do poznania prawdy, ale im więcej dąży, im więcej tej prawdy poznaje, tem jaśniej pojmuje, że jeszcze jest bardzo wiele prawd, których nie wie i co gorsza, których się nigdy nie dowie, i to nam psuje tę radość, jakiej doznajemy skoro nową odkrywamy prawdę. Bóg jest prawdą, *Ego sum veritas*, (Jan XIV. 6) powiada o Sobie Chrystus; poznawszy Boga tak jak On jest sam w sobie, rozum mój pojmie i zrozumie w Nim wszelką prawdę i to co było i co jest i co będzie i tajniki natury i pracę myśli ludzkiej: *in lumine tuo videbimus lumen* (Ps. XXXV. 10): w świetle jasności Bożej ujrzymy światło wszelkiej prawdy. Tak więc najprzedniejsza władza duszy, władza poznawania prawdy znajdzie w tem widzeniu Boga zupełne zaspokojenie swoje, a więc szczęście. Co tak objaśnia złotousty Skarga: „Pan Bóg chcąc się ludziom świętym z dobroci Swojej zjawić, oczy duszy ludzkiej mdłe i ciasne umacnia, i światłością oświeca, iż nad

swoją naturę stają się sposobne na objęcie widzenia Boga. I zatem Pan Bóg nie przez fantazye (tj. wyobrażenia) ale Sam przez się w rozum nasz wchodzi i tem nadnaturalnem złączeniem, widzieć się sama w sobie i przez się natura Boska daje; a nie tylko widzieć się daje, ale przez rozum ludzki do duszy wchodząc, duszę samą i wszystkie jej siły i ciało wszystko człowieka świętego Bóstwem napęlnia. Stąd to idzie, że dusza święta, Boga pełna, choć natury swojej nie traci, a przecie Boskiej natury uczestnikiem jest, i w niej więcej Boga widzi, niżeli ową własną naturę“. (O chwale nieb.).

Również wola nasza naturalną siłą dąży do tego, co dobre, a tem samem i piękne tą pięknością duchową, moralną. Niestety, tu na ziemi wszystkie nasze cnoty, wszystkie czyny piękne i szlachetne mają przymieszkę ziemskości i zmysłowości, są niedoskonałe, a nadto umysł nasz zdolny wytworzyć sobie i odczuć ideały cnoty tak szczytne i wzniosłe, że ich w rzeczywistości nie dosięgnie nigdy. I ta niedoskonałość cnoty i ta bezsilność wobec ideałów cnoty upokarza i zamąca tę radość, jakiej podniosły umysł doznaje, gdy zacny i szlachetny czyn spełni. Otóż Bóg jest źródłem wszelkiej cnoty, doskonałością samą, *essentia Dei infinite perfecta*; połączywszy się z tym Bogiem duch mój odrazu obejmie i umiłuje wszelką cnotę, i stanie się podobny Bogu, a tak druga duchowa władza, pragnienie tego, co moralnie dobre i piękne, zaspokojoną zostanie w zupełności, a więc będzie szczęśliwą.

Są w nas jeszcze władze zmysłowe, za pomocą których człowiek wstręt ma do cierpienia, a rwie się do przyjemności i używania. Mówię tu o przyjemnościach moralnie godziwych, dozwolonych prawem Bożem. Rozróżnić w nich należy to co jest w nich zmysłowego, t. j. organa ciała i te zmysły, które są narzędziem tylko, od tej przyjemności i rozkoszy, która właściwie jest duchowa. Ściśle rzecz biorąc, każda nasza nawet naukowa, duchowa przyjemność, jakiej n. p. doznajemy z konwersacyi z ludźmi uczonymi, dowcipnymi, a dobrze wychowanymi, ma coś zmysłowego w sobie: zewnętrzna postać, ułożenie, intonacya głosu tych ludzi, wszystko to umniejsza

albo powiększa duchową radość wynikającą z ich mądrej rozmowy. Otóż w niebie będą te wszystkie przyjemności, jakich tu na ziemi godziwie zażyć możemy, ale jakby obrane ze wszystkiego, co trąci zmysłowością, uduchownione i do setnej potęgi podniesione. „Szczęśliwość bowiem, jak za Augustynem św. powtarza *Katechizm rzymski*, zależy na wyzwoleniu się od wszelkiego cierpienia, a osiągnięciu wszelkiego dobra. I taka szczęśliwość według tradycyi świętych Ojców jest w niebie. Że wykluczone tam wszelkie cierpienie, o tem świadczą jasne teksty Pisma św. stoi bowiem w Apokalipsie: Nie będą łaknąć, ani pragnąć więcej, ani na nie słońce przypadnie, ani żadne gorąco“. (Objaw. VII. 16). Będzie zaś tam niezmierna chwała świętych, i niezliczone trwałej radości i rozkoszy rodzaje; a ponieważ ani wielkości tej chwały pojąć nasz umysł nie może, ani też ona dusz naszych przeniknąć nie jest w stanie, przeto my do niej, to jest do radości Pana wejść musimy, abyśmy nią oblani, wszelkie pragnienie ducha obficie zaspokoiłi* (de XII symb. fid.).

I to widzenie Boga uszczęśliwiające, *visio beatifica Dei* stanowi istotę nagrody niebieskiej, o czem znów tak się wyraża *Katechizm rzymski*, mówiąc o XII. artykule wiary: „Trwała szczęśliwość, którą istotną nazwać można, na tem polega, że Boga widzimy i jego pięknoscią się cieszymy, albowiem On jest źródłem i początkiem wszelkiej piękności i doskonałości. *A ten jest żywot wieczny*, powiada Chrystus, *aby Ciebie poznali samego Boga prawdziwego; któregoś postać Jezusa Chrystusa* (Jan. XVII, 3), które to słowo tłómaczyć zdaje się Jan ew. mówiąc: *Najmilsi, teraz synami Bożymi jesteśmy, a jeszcze się nie pokazało, czem będziemy. Wiemy, iż gdy się okaże, podobni Mu będziemy, iż Go ujrzymy jako jest*“. (I. Joan. III. 2). Tem daje poznać, że szczęśliwość składa się z tego dwojga; raz, że Boga widzieć będziemy jakim jest w naturze i istocie swojej, powtóre, że sami jakby bogami się staniemy. Ci bowiem, którzy się Nim cieszą, chociaż swoją własną istotę zachowują, to jednak cudowną jakąś i prawie Boską postać na siebie przyjmują, że raczej bogami aniżeli ludźmi

być się zdają“. Do tej istotnej nagrody widzenia Boga należy jeszcze to, co się w języku teologów nazywa *lumen gloriae coelestis*, uwielbienie, którego symbolem jest ona obwódka promienna około głowy na obrazkach świętych Pańskich. Stopień ten chwały niebieskiej odpowiada stopniowi zasług zebranych tu na ziemi. Podobnie bowiem jak w piekle cięższe jest potępienie kapłana jak zwykłego katolika, cięższe potępienie chrześcijanina jak poganina, dlatego, że tamci więcej łask odebrali i więcej mieli środków do zbawienia, tak też i w niebie ten stopień chwały jest w miarę zasług bardzo różny. Najniższy stopień chwały spotyka dusze dzieciąt zaraz lub wnet po chrzcie św., przed używaniem rozumu pomarłych, bo one swoich osobistych zasług z sobą nie przyniosły i jedynie zasługą Chrystusową są zbawione. Wyższy stopień chwały mieć będą dusze tych, które Bogu pocziwie za życia służyły; ale nadto nic więcej powiedzieć się nie da. Tajemnica to nieskończonej mądrości i sprawiedliwości Bożej to rozdawnictwo chwały niebieskiej. Nie sądźmy jednak, że z tej nierówności chwały niebieskiej jakowa zazdrość albo niezadowolenie wśród świętych Pańskich wyrośnie. Tego tam niema, ale przeciwnie najmniejszy święty Pański, ludzkim naszym mówiąc językiem, cieszy się chwałą największych świętych, jakby swoją; miłość tam i radość nieopisana, braterstwo i prawa równość pomimo różnicy stopnia chwały panuje, wszyscy w onem błogosławionem widzeniu Boga szczęście swoje zupełnie znajdują.

Prawda ta gruntuje się na słowach Chrystusa Pana: „idę, gotować wam miejsce; w domu Ojca mego jest mieszkania wiele“ (Jan XIV. 2, 3), i nauce Kościoła katolickiego o zasłudze z dobrych uczynków płynącej. „Jedyny bowiem sposób, naucza *Katechizm rzymski* (de symb. fid. XII) poznania Boskiej istoty jest ten, że ona łączy się z nami, i niewypowiedzianym jakimś sposobem władze nasze umysłowe tak podnosi, że nas czyni zdolnymi do coraz doskonalszego poznawania Jej natury. Do tego zaś dochodzimy uwielbieniem, *lumine gloriae*; jasnością tą oświeceni Boga światło prawdziwe w jego świetle ujrzymy. Błogosławieni bowiem Boga zawsze

obecnego widzą i tym to darem, ze wszystkich największym i najznamienitszym stają się uczestnikami Boskiej istoty, a tem samem prawdziwej i trwałej szczęśliwości dostępują“. Jednakże „tej samej nagrody bez różnicy nie wszyscy święci jednak zażywają. Albowiem *w domu Ojca mego*, mówi Pan, *jest mieszkania wiele*, w czym daje się znać, że większa lub mniejsza nagroda daną będzie w miarę tego, jak kto zasłużył. *Kto skąpo sieje, skąpo też żąć będzie, a kto sieje w błogosławieństwach, z błogosławieństw też żąć będzie*“ (II. Kor. IX. 6).

Oprócz tej nagrody widzenia Boga i chwały niebieskiej, jest jeszcze inna jakby dodatkowa nagroda, według słów Pawła św. „Chwała i cześć i pokój wszelkiemu czyniącemu dobrze“ (Rom. II. 10), wynikająca z onego miłego nad wszelki wyraz wdzięcznego i pociechy pełnego towarzystwa z Chrystusem Panem, Najświętszą Panną i Świętymi Pańskimi. Złotousty Skarga w kazaniach swoich „O chwale niebieskiej“ przedstawia nam niebo nakształt rzeczypospolitej polskiej: jest król Jegomość Chrystus Pan, jest Jejmość królowa Najświętsza Panna, jest „dwór tego Pana wielkiego, roty one i chóry dziewic, wdów, pustelników, wyznawców kościelnych, Doktorów, męczenników, Apostołów, proroków, patryarchów, którzy tu na ziemi rozmaitem nabożeństwem Panu Bogu służyli“. Są „roty anielskie na trzy hufce rozdzielone“ jakby rycerstwo polskie. I w onej rzeczypospolitej niebieskiej dusza moja ubłogosławiona znajdzie miejsce i staniczek dla siebie; a jeżeli nas tutaj cieszy i uwesela widok wspaniałego, lśniącego złotem i przepychem dworu monarszego; jeżeli nas cieszy i animuszu dodaje widok rycerstwa zbrojno i strojno postępującego w zwartych szeregach; jeżeli nas uwesela uczestnictwo w gronie rozbawionych, rozkosznych a zacnych gości i biesiadników, to jakież upojenie szczęścia będzie z tego uczestnictwa radości i uwielbienia mieszkańców nieba? Tam bowiem, jak powiada *Katechizm rzymski*, „będzie miał każdy jasną świadomość o szczególnej a znamienitej godności każdego z osobna i wszystkich“.

Niezbędnym warunkiem nagrody niebieskiej, jest wieczność nieba. I nie może być inaczej. Człowiek naturalnie pragnie szczęścia, goni za niem całe życie i całe życie nie znajduje go. Odrobina tego szczęścia to spokój sumienia, ale i ten okupiony być musi pracą wielką, cierpieniem. A jednak ta żądza szczęśliwości musi być zaspokojoną, inaczej Bóg byłby okrutnym, wlewając szlachetne pragnienia, a nie dając możliwości ich zaspokojenia. Już zaś zupełność szczęścia wymaga, aby ono było trwałe, wieczne; obawa, że je mogą utracić kiedykolwiek, choćby za lat tysiące, popsułaby i zrujnowała całe szczęście. Dlatego też niebo nazywa Chrystus „żywotem wiecznym, królestwem przygotowanym od wieków“, a *Katechizm rzymski* dodaje: „gdyby to posiadanie (nieba) nie było trwałe i pewne, toby raczej trapić musiało największem udręczeniem bojaźni“.

V.

Jest więc piekło, kara wieczna i jest niebo, nagroda wieczna. Co teraz czynić, aby ująć piekła, a dostać się do nieba? W podobny sposób zapytał młody człowiek ksiązęcego rodu Chrystusa Pana: *magister bone, quid faciens vitam aeternam possidebo*; Nauczycielu dobry, co czyniąc otrzymam żywot wieczny? A Chrystus na to: *Mandata nosti*? Umiesz przykazania? i tu mu cytuje dekalog, ten sam, któryśmy w konf. VI, VII i VIII wyłożyli sobie. „Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie świadcz fałszywie, czcij ojca twego i matkę“ (Łuk. XVIII, 18—20). Innej odpowiedzi i ja wam, drodzy bracia, dać nie mogę. Kto chce ująć piekła, a dostać się do nieba, musi naprzód na wzór onego ewangelicznego młodzieńca *myśleć* o tem. Żyjemy z dnia na dzień, kłopotujemy się, jak owa Marta w ewangelii o wiele, *sollicita circa multa*, „troszczysz się i frasujesz około bardzo wielu, a jednego potrzeba“ (Łukasz X. 41. 42), a to jedno to ciągła, ustawiczna, a poważna myśl o zbawieniu swej duszy. Myśl

o piekle to jest jak ten bat na rozhukane zwierzę, poskromi
chęć złą i pożądliwość, odstraszy od grzechów cielesnych
i występnych rozkoszy, od niesprawiedliwych zysków i wszel-
kiej krzywdy. Myśl o niebie nauczy nas lekce sobie ważyć
wszystko co ziemskie, bo marne to i przejściowe, bo wszyst-
kie godziwe nawet przyjemności i wesela światowe w porów-
naniu z oną radością i chwałą niebieską, to jak garść błota
i pyłu, zawsze z nich coś zmysłowego i brudnego do duszy
przyłgnie. Myśl o niebie zaprawi nas siłą i mocą i hartem
ducha do zwalczania naprzód niższego człowieka grzechu,
który w nas jest, a potem do pokonania ponęt i pokus do
złego, które z zewnątrz od świata i złych ludzi biją. *Quid
hoc ad vitam aeternam* i czemu są w porównaniu do tej nie-
skończonej nagrody w niebie one małe czy wielkie cierpienia,
doczesne, on trud w przewyciężeniu siebie i panowaniu nad sobą
i praca nad duchowem uzacnieniem i uświętobliwieniem sie-
bie; czemu choćby nawet krwawe prześladowania pozbawia-
jące wolności, mienia i życia, w porównaniu do tego szczę-
ścia i tej radości niebieskiej, której oko nie widziało, ucho
nie słyszało, serce ludzkie nie pojmie? Drobiazgi to te boleści
wobec ogromu wesela.

Myśl o niebie zachęci nas do zbierania coraz to wię-
kszych zasług. „Cokolwiek czynić może ręka twoja, ustawicznie
czyń“ (Ekl. IX. 10) upomina Pismo św., tyle mojego, ile tu
zbożnych czynów dokonam; „kto skąpo sieje, skąpo też żąć
będzie, kto obficie sieje, obficie też żąć będzie“ upewnia Pa-
wel św. Im więcej się tu nabiedzę, napracuję, napoświęcę
się dla drugich, tem większa moja chwała, tem pełniejsze moje
szczęście. Niemądrym dzieciakiem, kto za małą cenę królestwo
całe kupić może, a z rąk je wypuszcza: za maluczką pracę
Bóg mi nieskończoną zapłatę w Swej hojności daje, a jabym
do tej pracy miał się lenić?

Nie dosyć myśleć, ale wziąć się należy do czynu; *serva
mandata*. Już to daremnie bracia mili, niema na to rady,
tylko oburącz tego kodeksu Bożego, dekalogu, chwycić się mu-
simy, inaczej i piekła nie ujdziem i do nieba się nie dostaniem.

To co Mojżesz ludowi Izraela napisał, a co lud ten po dziś dzień, acz materyalnie tylko wykonuje, to my w duchowym rozumieniu wykonać musimy: „I będą te słowa (przykazania) w sercu twojem i będziesz je powiadał synom twoim i będziesz w nich rozmyślał siedząc w domu twoim i idąc w drodze, śpiąc i wstając. I przywiążesz je jako znak do ręki twojej i będą i ruszać się będą między oczyma twemi. I napiszesz je na podwoju i na drzwiach domu twego“, (Deut. VI. 6—10). I myśli moje i uczucia moje i słowa moje i czyny moje i stosunki moje z ludźmi, wszystko to poddać muszę pod strychulec prawa Bożego. Sankcyą tego prawa, dla wykonujących je, niebo, dla przekraczających je piekło; wóz i przewóz wybieraj co chcesz. Nie dbasz o prawo, urągasz mu, depcesz je nogami na każdym kroku — wiedzże, że piekło twoim udziałem, ono cię nie mine niechybnie. Przestrzegasz wąskiej ścieżki przykazań Bożych, nie zbaczając ani na prawo, ani na lewo na szeroki, bity gościniec występku i grzechu, pomimo pokus wielu, pomimo trudności i walk wielu — bądźże pocieszonym: niebo twoim udziałem, ono ci się dostanie z pewnością. Obieraj, co chcesz.

KONFERENCYA XI.

O naśladowaniu Chrystusa Pana. — Związek z poprzedzającymi konferencyami. — Chrystus Pan jest prawdziwym Bogiem. — Jest wzorem do naśladowania. — Noty charakterystyczne Chrystusa, Boga-człowieka, w stosunku do Ojca swego niebieskiego — do najbliższego swego otoczenia — do tłumów ludu i maluczkich u świata — do grzeszników i do nieprzyjaciół swoich.

„Albowiem dałem wam przykład, abyście, jakom ja wam uczynił, tak i wy czynili“ (Jan XIII. 15).

„I mówił do wszystkich: jeśli kto chce za mną iść, niech zaprze samego siebie, a weźmie krzyż swój na każdy dzień i niech idzie za mną“. (Łuk. IX. 23).

I.

Ostatnią konferencyą zamknęliśmy cykl prawd wiecznych. Stanął nam jasno przed oczyma wzniosły, godny zaiste człowieka cel życia na ziemi, i to co nas od tego celu odwodzi i godność ludzką poniewiera, grzech. Studiowaliśmy ten grzech w jego istocie i w jego skutkach, przebiegliśmy prawo Boże, regulujące życie nasze na ziemi i zrozumieli sankcyą tego prawa. Prawdami temi przerażona zrazu, a potem i skruszona i oczyszczona dusza, może już teraz swobodniej wznieść się do ideału cnoty chrześcijańskiej; pojąć, zrozumieć i umiłować go. Tym ideałem Bóg-człowiek Jezus Chrystus, Bogiem jest prawdziwym i dla tego nauka Jego nieomylną i społeczeństwo

które założył, Kościół — Boski ma początek i Boskie posłannictwo. Człowiekiem jest prawdziwym, na własnej osobie stwierdzającym naukę Boską, którą głosił, i dlatego naśladować Go należy: „*exemplum enim dedi vobis*, albowiem dałem wam przykład, odzywa się Sam do nas, abyście jakom ja wam uczyniłem, tak i wy czynili” (Jan XIII. 15). Skoro dany przykład, to pójść za nim musi naśladowanie. I o tem naśladowaniu Boga-człowieka słów kilka sobie powiemy.

Utwierdzić nam się jednak pierwej należy w wierze w Bóstwo Chrystusowe. Nie taję tego przed wami: jest wśród naszego polskiego społeczeństwa wielu, którzy o Chrystusie Panu przesłicznie rozprawiają, cenią jego naukę, szanują nawet księży i instytucję Kościoła, ale to wszystko dla nich jest czemsiś czysto ludzkim. I ów Chrystus „najszlachetniejszy z ludzi” albo jak go nazwał paryski profesor Michelet „największy rewolucjonista” w dobrem znaczeniu słowa — ale człowiekiem tylko; i wiara chrześcijańska najwznioślejsza ze wszystkich wyznań religijnych — ale mytem tylko „głowy ludzkiej wynalazkiem”, *hominis inventum*; i Kościół katolicki z hierarchią swoją i organizacją wyda się im najmędrszą instytucją, ale ludzką tylko, bez sankcyi Bożej i Boskiej misyi. Znałem takich i znam jeszcze dzisiaj wielu takich chrześcijan-pogan ze świata męskiego zarówno jak niewieściego. Nie mają oni odwagi, raczej tyle mają taktu, że z tem swoim czysto-ludzkim pojmowaniem Chrystusa i jego wiary nie występują jawnie, acz czasem i to bywa, ale to nie zmienia stanu rzeczy. *Malum serpit*, złe szerzy się powoli, cicho, ale zatruwa nie rzadko nawet młodziutkie umysły, jeżeli nie zupełną niewiarą, to zachwianiem się w wierze, niedowierzaniem.

Otóż wiedzmy bracia, że doktryna, jakoby Chrystus Pan nie był Bogiem, ale człowiekiem tylko, nie wylęła się dopiero za dni naszych w głowie apostaty Renana i nie jest zdobyczą krytycyzmu nowszej historyi. Na lat 40 przed Renanem narodził równie tyle hałasu i stał się głośnym, protestant Dawid Strauss

dwutomowem dziełem swoim: *Das Leben Jesu*, które wydał w Tybindze 1835 r.¹⁾ Zapomniano już dawno i o autorze i o książce. W wieku przeszłym cała szkoła rzekomych filozofów francuskich encyklopedystów zaprzeczyła Bóstwu Chrystusa, a Voltaire nazwał Go: *bezecnym*. W XVII-tym wieku hiszpański panteistyczny filozof Spinozza, uczynił to samo. Za czasów Zygmunatów naszych bluźniono na Chrystusa, przecząc mu Bóstwa, w Krakowie naszym i w Wilnie i w onych „Atenach arianських” w Rokowie, i indziej, a złotousty Skarga gromiąc wskrzeszonych Aryanów, Socynianów i Nowochrześciców wołał w onem swoim przesłicznym *Wzywaniu do pokuty Obywateli Korony polskiej*: Zelżony i zbluźniony jest w tem królestwie Pan Bóg nasz w Trójcy jedyny. Z ojców starych chrześcijan wyszli synowie niewierności, którzy się Boga chrześcijańskiego zaprzeli, z Turki a Żydy bluźnią przenaiejwalebniejszą Trójcę Boga jedynego, i Pana naszego Zbawiciela z Bóstwa zdzierają... i tureckie i żydowskie obrzydliwości wprowadzają. To czyni szlachta gęsta na Podgórzu, w krakowskiej, w sędimirskiej, lubelskiej ziemi, a w Litwie najwięcej się tej niewierności i bluźnienia znajduje“. A jeżeli sięgniemy pamięć-

¹⁾ Dawid Strauss był protestanckim teologiem, studia kończył w Berlinie. Następnie w protestanckim seminaryum w Tybindze pełnił obowiązek korepetytora i tu r. 1835 napisał dwutomowe dzieło *Das Leben Jesu*. Strauss przeczy wprost istnieniu Chrystusa Pana nawet jako osoby historycznej, a jego *Leben Jesu* nie jest biografią, ale wrzekomo uczonym traktatem, mającym dowieść, że cztery ewangelie są niczem innem tylko fikcją bez żadnej podstawy historycznej, dorobione analogicznie do mniemanych przepowiedni mesyańskich starego zakonu; wartość ich taka, jak każdej innej mytologicznej legendy. Symboliczna postać Chrystusa oznacza nie jakąś indywidualną osobistość, ale ludzkość całą oświecającą się i postępującą naprzód. Nawet protestanci oburzyli się tą ramotą, i gdy Strauss starał się o katedrę profesorską w Zurychu, to wniesli przeciw temu protest opatrzony 40.000 podpisami. Książka Straussa narobiła chwilowo trochę hałasu, w krótkim czasie doczekała się w Niemczech czterech wydań, przetłumaczono ją na język francuski, ale też znalazła należną odprawę tak w Niemczech jak we Francyi. Dziesięć lat nie upłynęło, a zapomniano o Straussie i o jego książce, która dzisiaj tak jest rzadkim okazem, że nawet w publicznych bibliotekach nie zawsze znajdziesz jej egzemplarz.

cią do dawnych wieków, to spotkamy u kolebki chrześcijaństwa bluźnierców Bóstwa Chrystusowego. Toć przecie za ledwie w lat kilkadziesiąt po wniebowstąpieniu Chrystusowem pisał Jan św. ewangelią swoją, dowodząc z ksiąg starego zakonu przeciw Ceryntynianom i Elbionitom rekrutującym się z sekt żydowskich, Bóstwa Chrystusowego: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a *Bogiem było Słowo*“, Chrystus. I naliczyć można w pierwszych zaraz trzech wiekach kilkanaście przeróżnych sekt błędzących koło Bóstwa Chrystusowego. W IV wieku zjawia się ksiądz aleksandryjski Ariusz, Chrystusa Pana nazywa człowiekiem tylko, w którym chwilowo złączył się Bóg, zyskuje sporo zwolenników; „i zdumiał się świat, jak powiada Hieronim święty, gdy się ujrzał arikańskim“. Powstał przeciw niemu sobór powszechny w Nicei 325 r., na którym znalazło się 118 biskupów — męczenników z dyoklejanowego prześladowania, o wylupionem oku, obciętem uchu, okulawionej nodze.

Sobór nicejski zbadawszy dokładnie rzecz całą, rzucił *Anathema* Aryuszowi i jego nauce i ułożył nowy skład wiary, tak zwane *Symbolum fidei Nicenum*, który my kapłani odmawiamy podczas Mszy św., a Kościół orientalny cały powtarza po dziś dzień. Stoi tam wyraźnie: „wierzę... w Jezusa Chrystusa, Boga z Boga, światło z światłości, Boga prawdziwego z Boga prawdziwego“. W 100 lat potem patriarcha Konstantynopolitański Nestoryusz dzieli Chrystusa Pana na dwie osoby; Jezus powiada, jest Bogiem, ale Chrystus jest człowiekiem tylko. I znów sobór efezki 431 r. potępia to bluźnierstwo, zatwierdzając symbol nicejski w całości a najświętszą Pannę nazywając *Matką Bożą*, dlatego, że porodziła człowieka, który zarazem był Bogiem, dwie natury, Boską i ludzką łącząc w jedną osobę Boga-człowieka. *Nihil novi sub sole*. Dzisiaj bluźnierstwa Renana zwracają głowę, a muszą to być płytkie i nietęgłe te głowy, bo w samejże książce Renana *Życie Jezusa* znajduje się dowód najsilniejszy Bóstwa Chrystusowego. A to jak? Renan przyjmuje cztery ewangelie jako autentyczne źródło historyczne; według niego ewangelisci a zwła-

szcza Łukasz św. byli dość wykształceni ludzie, uczeni, słowem ich można wierzyć¹⁾. Zgoda na to. Otóż otwórzmy ewangelią, i pominąwszy kilkanaście innych tekstów, jak np. ten z 1-go listu Jana św. V. 20. „wiemy, że Syn Boży przyszedł... Ten jest prawdziwy Bóg i żywot wieczny“, gdzie najwyraźniej powie-

1) „En somme j'admets comme authentiques les quatre Évangiles canoniques“. (Introd. XXXVII).

„L'Évangile de Luc est une composition régulière, fondée sur des documents antérieurs. C'est l'oeuvre d'un homme, qui choisit, élague, combine“. (Introd. XVI.). Trudno sobie wystawić książkę napisaną z bardziej wyrachowaną przewrotnością i obłudą. Czytałem ją kilkakrotnie uważnie, i nawet z ambony wobec młodzieży uniwersyteckiej i panów krytycznie rozbieierałem, Sofistyka idzie w parze z obłudą. Przyjąwszy cztery ewangelie jako autentyczne źródło historyczne, tłumaczy je wbrew brzmieniu tekstu i naciąga do swoich błuźnierstw. Renan nie przeczy tak jak Strauss istnieniu Jezusa, jako postaci historycznej, ale odmawia Mu natury Boskiej. Ale i ta czysto ludzka postać Jezusa wychodzi z książki jego zkarykaturowana, zdegradowana jak rzadko. Jezus, według Renana nie jest to mąż o charakterze wielkim, silnym, świadomy czego chce i do czego dąży, ale to natura miękką, nerwową, uczuciową, dająca się łatwo powodować drugim, czerpiąca swoją siłę nie z siebie, ale ze zbiegu okoliczności, zniżająca się aż do odegrania fikcyjnej roli Zbawiciela. Jezus, prostaczek wielki i simplicyusz, zrazu nie marzył o tej świetnej karierze Mesjasza, on tylko wyrobił sobie teorię „królestwa Bożego“ polegającą na tem, „że między Bogiem a człowiekiem zachodzić ma jakiś stosunek domowy, familijny, a stąd wynika przesadna wiara w potęgę człowieka; dwa piękne błędy, które stały się źródłem Jego siły. (str. 41). Wyśmiany w Nazarecie jako senzat, udał się do miasteczek, położonych nad jeziorem Genezaret. Doktryna Jego o „królestwie Bożem“ znalazła tu gorliwych zwolenników. Mieszkańcy zwłaszcza Kafarnaum zaczęli wmawiać w Niego, że jest Mesjaszem. Chrystus przyjął tę rolę, a ponieważ według prorocत्व Mesjasz miał być z rodu Dawida, przeto począł się nazywać „synem Dawidowym“: podczas kiedy przedtem kontentował się skromną nazwą „syna człowieczego“. Wrażliwy i skory do wierzeń w cudowność i w djably Chrystus zapragnął zasłynąć jako cudotwórca. Korzysta więc z ignorancyi i łatwo-wierności ludu i leczy różnych chorych „przez sympatyę magnetyczną“. Sława Jego nabyła rozgłosu, uwierzył sam w swoją wielkość i począł się już nazywać „synem Bożym“. Przyjaciele Jego namówili Go, aby okazał się w Cezarei i Jerozolimie i tam „królestwo Boże“ głosił. Ale góralski prostaczek nie umiał znaleźć się w Cezarei, czuł się tam jakby w nieswoim żywiole, wnet też to miasto opuszczył, niczego niedokazawszy.

dziano, że Syn Boży prawdziwym Bogiem, a więc tej samej, co On Boskiej natury jest — wymienimy dwa tylko, gdzie Pan Jezus sam wyznaje się być Bogiem. W drodze do Cezarei Fili-powej pyta uczniów: „czem mienią być ludzie syna człowie-

Nie lepiej wiodło mu się w Jerozolimie; owszem niewczesną swoją gorliwością oburzył na siebie urzędową synagogę i ściągnął wyrok zaocznego potępienia — na razie też kazano Go uwięzić. Jezus salwował się ucieczką w krainę zajordańską, ale okoliczność ta zachwiała bardzo Jego powagę, uczniowie poczęli Mu niedowierzać. Potrzeba więc było ratować swą sławę zręcznie ułożoną komedią wskrzeszenia Łazarza. Cud ten rzeczywisty, który nam ewangelia św. Jana bardzo szczegółowo opowiada, Renan przedstawia w ten sposób: „Zdaje się, że Łazarz był chory, i że to się stało wskutek uwiadomienia siostr, zaalarmowanych tem, że Jezus opuścił Pereę. Radość z powrotu Jego mogła przywrócić Łazarza do zdrowia. Może także gorące pragnienie, aby zamknąć usta tym, którzy uporczywie zaprzeczali boskiej misji ich przyjaciela, uniosła te namiętne osoby (siostry Łazarza) ponad wszelkie granice. Może Łazarz błdy jeszcze z swej choroby, kazał się obwiązać chustkami jakby umarły i zamknąć w swym grobie familijnym. Groby te były obszerne komnaty wycięte w skale, do których się wchodziło kwadratowym otworem, zamkniętym olbrzymią płytą kamienną. Marta i Marya wyszły naprzeciw Jezusa, i nie dopuszczając Mu wejść do miasta, zaprowadziły Go do groty. Wzruszenie jakiego doznał Jezus przy grobie swego przyjaciela, wziąć mogli obecni za ten rozruch i to wstrząśnienie, jakie zwykło towarzyszyć cudom, gdyż mniemanie ludowe wołało widzieć moc Bożą w człowieku, jak epileptyczną i konwulsyjną przyczynę. Jezus (zawsze w przypuszczeniu, że Łazarz umarł) pragnął jeszcze raz oglądać tego, którego miłował, i skoro usunięto kamień, wyszedł Łazarz z swemi podwiązaniami i głową zakrytą chustą. Rzecz jasna, że to zjawienie się jego uważać musiano za wskrzeszenie zmarłych... Łazarz i dwie siostry jego przekonane do głębi o tem, że Jezus był cudotwórcą, mogli mu pomóc w zrobieniu cudu, podobnie jak tylu ludzi pobożnych, przekonanych o prawdziwości swej wiary, próbuje tryumfować nad uporem ludzkim środkami, których bezsilność dobrze poznaje“ (361, 362). Tak więc według Renana, Marya i Marta urządziły z Łazarzem niegodną komedię, na której nie poznał się Jezus, przyjął ją za dobrą monetę i rad był, że tym rzekomym cudem podreperował nadwątloną swą reputację. W gruncie rzeczy, dodaje Renan, wyszło mu to na złe. Najwyższa bowiem rada przerażona nowym rozgłosem i wziętością Jezusa, postanowiła bądźco bądź sprzątnąć Go ze świata i dzięki zdradzie Judasza plan ten wykonała. Jezus pojmany stanął przed sądem rady, władzy bądźco bądź prawowitej zwłaszcza w kwestyach wiary, przed którą więc

czego? A oni rzekli: jedni Janem Chrzcicielem, a drudzy Eliaszem, a inni Jeremiaszem, albo jednym z proroków. Rzekł im Jezus: „a wy kim mnie być powiadacie?” Na to odzywa się w imieniu wszystkich Piotr święty

należało prawdę mówić. Znamy dokładnie treść śledztwa i odpowiedzi Chrystusa. Renan zbywa krótko to decydujące świadectwo ewangelii: „jeżeli można wierzyć opowiadaniu, miał Go wtenczas najwyższy kapłan zapytać, azali on jest Mesyaszem. — Jezus miał się przyznać do tego i ogłosić wobec zgromadzenia blizkie przyjście swego Królestwa niebieskiego“ (397). Osądźmy teraz sami, azali psychologicznie możliwą jest rzecz, aby osobistość tak chorobliwie wyęgzaltowana, słaba i niedołężna, bawiąca się w jakiegoś proroka, odgrywająca kłamliwą rolę Mesjasza i syna Bożego nie z własnego popędu ale z natchnienia i moralnej presyi drugih i ginąca za to na szubienicy, aby dokonać mogła olbrzymiej przemiany pojęć i obyczajów w całej ludzkości i natchnąć mogła miliony ludzi odwagą do bohaterskiej ofiary z mienia, wolności i życia i do poświęceń bez granic? Nie, prosty rozum i doświadczenie wieków stwierdza, że to być nie może. Renan w swym cynizmie powiada, że tak jest i ohydne swe bluźnierstwa nietylko przeciw Bóstwu ale przeciw nieskałanemu charakterowi Jezusa rzucone, kończy obłudną adoracją: „Tę wzniosłą osobistość, która każdego dnia przewodniczy jeszcze w losach świata, godzi się nazwać Boską — nie w tym sensie, jakoby Chrystus pochłonięty został przez to, co Boskie, albo był z niem jedno i to samo... ale w tem znaczeniu, że Jezus jest osobą, która uczyniła na swój sposób największy krok ku temu co Boskie... Jezus jest najwyższą z tych kolumn, które wskazują człowiekowi, skąd pochodzi i dokąd dążyć powinien... Jakiegolwiek mogą być niespodziewane zjawiska przyszłości, Jezus będzie nieprześcigniony. Kult Jego odmładniać się będzie nieustannie; legenda jego wywoła łez bez końca; cierpieniami Jego wzruszą się najlepsze serca: wszystkie wieki okrzykną, że pomiędzy synami ludzкими nie urodził się większy nad Jezusa“ (459). I w tej obłudnej adoracyi jeszcze bluźnierstwo: trudno, powtarzam, spotkać się z bezecniejszą ksiązką. I nie w tem dziwnego. Renan bowiem wychowany bardzo pobożnie w domu, jak to u Bretończyków bywa, a następnie odznaczający się postępem w naukach i pobożnością w seminariach duchownych zwłaszcza w teologicznym zakładzie św. Sulpicyusza w Paryżu, gdzie przez dwa lata słuchał teologii, przystępując co tygodnia do św. Sakramentów — zmienił nagle z powodu jak się zdaje, jakiegoś romansu, swe zapatrywania, porzucił stan duchowny, a nawet i wiarę katolicką, utworzył sobie jakiś nowy chrystyanizm, a wreszcie zwątpił o wszystkim i w poemacie swoim *Natan*, szerzy już sceptycyzm najprostszy. Tak zawsze bywa: *corruptio optimi pessima*.

„*Tu es Christus, filius Dei vivi*, Tyś jest Chrystus Syn Boga żywego“. Pan Jezus nie przeczy tego, ale owszem utwierdza uczniów w wierze w Bóstwo swoje, „a odpowiadając Jezus rzekł mu: błogosławionyś jest Szymonie Barjona: bo ciało i krew nie objawiła tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebieszech“ (Mat. XVI, 15—18). I przez całe trzy lata Chrystus Pan utrzymuje Swych uczniów i utwierdza w tem mniemaniu, że synem Bożym a więc Bogiem jest. Za syna Bożego mają Go też tłumy ludu, które szły za Nim nauki Jego słuchając. Co więcej, pomiędzy zarzutami, które synhedrin, najwyższy sąd żydowski zadał Chrystusowi, figuruje ten: *quia filium Dei se fecit* (Jan XIX, 7). Na walnem zebraniu tego sądu, najwyższy sędzia arcykapłan Kaifasz, widząc, że zeznania świadków są sprzeczne, a z sali sądowej głosy oburzenia przeciw krzywoprzysiężnym sędziom coraz śmielej się odzywają, powstawszy z swego miejsca, rzekł do Chrystusa skępowanego łańcuchy i stojącego jako ciężko obżałowany zbrodniarz: „Poprzysięgam Cię przez Boga żywego, abyś nam powiedział, jeśliś ty jest Chrystus syn Boży?“ Słowa te: „syn Boga żywego“ należy brać w dosłownem znaczeniu, wszyscy bowiem Żydzi uważali się za lud wybrany i adoptowane syny Jehowy, nie byłoby więc w tem żadnej zbrodni ani żadnego bluźnierstwa, gdyby i Chrystus Pan uważał siebie za Syna Bożego w znaczeniu przenośnem, nie potępiłby Go synhedrin, i nie rozdzieraliby szat swoich sędziowie. Snać więc nazywał siebie synem prawdziwym nie przybranym tylko Boga żywego, skoro mu to pytanie najwyższy sędzia stawia. Cóż na to Chrystus? „*Tu dixisti*. Tyś powiedział“. Na to wrzasnął arcykapłan: „zbluźnił, coż dalej potrzebujemy świadków? otoście teraz słyszeli bluźnierstwo. Co się wam zda?“ i na znak oburzenia, iż w obecności jego wymówiono bluźnierstwo, rozdarł szatę swoją od dołu do góry, wszyscy zaś sędziowie a było ich 72, rozdarli szaty swoje od góry do dołu, dając tem wyraz oburzeniu swemu i krzyknęli chórem „*Reus est mortis*, winien jest śmierci“. Opowiada to Mateusz w ewangelii swojej w rozdz. XXVI w 55—67, a wychwalany tyle przez

Renana Łukasz św. w rozdz. XXII, 67—71. Flawiusz Żydowin w swych *Starożytnościach narodu żydowskiego* stwierdza acz oględnie to samo¹⁾. Mamy więc przed sobą dylemat taki: albo Jezus Chrystus jest najszlachetniejszym z ludzi, jakim Go Renan i zwolennicy jego przedstawiają, a wtenczas nie kłamał, lecz mówił prawdę, tem bardziej, że pytany był o nią przez legalną władzę, arcykapłana, do którego z prawa i urzędu religijne sprawy należały; a więc Jezus Chrystus jest Bogiem. Albo nie mówił prawdy, tylko przez trzy lata uwodził lud i uczniów swoich, a nawet przed najwyższy legalny sąd postawiony, miał bezczelność wyznawania się tem czem nie był, a wtenczas nie jest najszlachetniejszym z ludzi, ale zwyczajnym oszustem, szalbierzem na wielką skalę.

Cóż na to Renan? Postawiłem ten dylemat jegomości pewnemu, który Chrystusa Pana tylko człowiekiem być mienił. On mi na to: „polityczne względy nakazywały Chrystusowi udawać się za Boga“. Wobec takiej loiki ustaje wszelka poważna dyskusya. Dla polityki czy interesu, kłamca i oszust pozostanie zawsze takim i nie można go nazywać „najszlachetniejszym z ludzi“. Renan jednak miał tę przezorność, że opisując w r. XXIV, „aresztowanie i proces Jezusa“ pominął ten ważny szczegół śledztwa Kajfaszowego, napomknął tylko: „że arcykapłan miał go zakłąć, aby wyznał, azali on jest Mesyaszem“. Nie o mesyanizm, ale o Bóstwo toczyło się śledztwo.

Oprócz tego *argumentum ad hominem* t. j. dowodu czerpanego ze słów przeciwnika, mamy jeszcze cały szereg dowodów teologicznych i historycznych, stwierdzających jasno, że

1) „W tymże czasie, są jego słowa, był Jezus, mąż mądry, jeżeli jednak godzi się go mężem nazwać. Był bowiem cudownych rzeczy twórcą i mistrzem tych, którzy chętnie przyjmują prawdę i miał wielu zwolenników tak między żydami, jak poganami. Chrystus to był, którego zaskarżyli narodu jego książęta, a Piliat skazał na krzyż; pomimo to nie przestali go miłować ci, którzy od początku Go miłowali. Okazał się im bowiem dnia trzeciego żywy, jak to i wiele innych cudownych rzeczy o nim z natchnienia Bożego przepowiedzieli prorocy — i aż podziśdzień, nazwany od niego ród chrześcijański, nie upada“ (De Antiq. Jud. I. XVIII. c. 4).

Jezus Chrystus jest Bogiem. Dowody teologiczne polegają na tem, że tekst Pisma św. starego zakonu, zwłaszcza tak zwane *proroctwa mesyańskie*, rozbiera się punkt po punkcie według zasad egzegezy (nauki o wykładzie Pisma św.) i wykazuje się, że te proroctwa mesyańskie na Chrystusie Panu rzeczywiście się spełniły, że więc jest prawdziwym Synem Bożym. Drugi teologiczny dowód jest ten, że biorąc ewangelie św. w rękę, mianowicie tekst ewangelii św. Jana, na podstawie tych tekstów, objaśnionych i komentowanych przez Ojców Kościoła wykazuje się prawdziwość Bóstwa Chrystusowego. Trzecim dowodem, nauka ojców Kościoła od I-go wieku poczynawszy i dotyczące dekreta i kanony soborów powszechnych, zwłaszcza soboru nicejskiego; dalej inne dokumenta kościelne, potępiające błędy, herezye i autorów przeciw bóstwu Chrystusowemu występujących. Oto dowody teologiczne; w bliższy ich rozbiór zapuszczać się nie mogę, raz, że zrozumienie wykładu tych dowodów, zwłaszcza przepowiedni mesyańskich i tekstu Jana św. wymaga studyów przedwstępnych teologicznych, których u ogółu czytelników domagać się niepodobna, a powtóre dlatego, że rozszerzyłoby to znacznie rozmiary książki, wbrew założeniu memu. Nadmienię tylko, że w ewangelii znajdują się przepowiednie, których zrealizowania nie może nikt zaprzeczyć. I tak Najśw. Panna przepowiada o sobie: „albowiem oto odtąd błogosławioną mnie zwać będą wszystkie narody“ (Łuk. I. 48). Przepowiednia ta ziściła się wspaniałym kultem hiperdulijnym, jaki Matka Boża w całym Kościele wschodnim i zachodnim od początku chrześcijaństwa po dziś dzień odbiera. Przepowiedział Chrystus zburzenie Jerozolimy i zapłakał nad jej ruiną: „albowiem przyjdą na cię dni i otoczą cię nieprzyjaciele twoi walem i oblegą cię i ścisną cię zewsząd i na ziemię cię obalą i syny twoje, którzy w tobie są; a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu, dlatego, żeś nie poznało czasu nawiedzenia twego“ (Łuk. XIX. 43, 44). W kilkadziesiąt lat potem przyszedł Wespazyan i Tytus z wojskiem, obległ miasto, zmusił głodem do poddania, spalili je, a lubo rozkazał oszczędzić świątynię, to jednak przypadkowe rzucenie

pochodni do jej wnętrza, spowodowało jej pożar i ruinę. Dokonał zniszczenia cesarz Julian odstępca, który chciał na przekór przepowiedni Chrystusowej „iż nie zostanie w tobie kamień na kamieniu“ odbudować świątynię. Przepowiedział Chrystus, że zbudowany na opoce Piotrowej Kościół Jego trwać będzie aż do skończenia świata: „a ja tobie powiadam, iżęś ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go“ (Mat. XVI. 18), i trwa ten Kościół lat blisko dwa tysiące, i rozrasta się z dniem każdym bardziej. To są fakta, którym nikt przeczyć nie może, a przepowiedziane na lat wiele przedtem. Świadczą one i o Boskości ewangelii, i o Bóstwie tego, którego ta ewangelia opowiada, Jezusa Chrystusa.

Gdyby jeszcze Chrystus Pan przyniósł naukę schlebiającą zmysłowości i niskim instyktom człowieka, gdyby dla jej rozkrzewienia użył siły zbrojnej jak to uczynił Mahomet, albo zastępu uczonych ludzi, tobyśmy jeszcze upatrywać w Nim mogli niezwykłego człowieka, ale człowieka tylko. Stało się przeciwnie: nauka Jego wypowiada wojnę na zabój zepsutej naturze ludzkiej, domaga się od niej zaparcia rozumu i woli, opanowania zmysłów i pożyteczności; co więcej, obala z gruntu pogańskie pojęcie wszechwładzy państw i dlatego ściąga na siebie krwawe prześladowanie, a na rozkrzewienie tej twardej nauki wybrał Chrystus dwunastu pocziwych ale prostych, niewykształconych rybaków. Wytłumaczże to sobie po ludzku, kto możesz.

Jeżeli Chrystus człowiekiem tylko, to i założone przez Niego społeczeństwo, Kościół, jest tylko instytucją czysto ludzką. A wtenczas jak sobie wytłumaczyć, że ten Kościół, trwa lat prawie dwa tysiące, liczy blisko 300 milionów wyznawców, a to pomimo srogich prześladowań cesarów rzymskich, perskich szachów, bizantyjskich i przeróżnych innych potężnych władców; pomimo przebiegłości polityków i mężów stanu, którzy go ujarzmić i służebnicą państwowej władzy uczynić chcieli; pomimo herezji i rozdwojeń w własnem łonie, a często pomimo wad i błędów tych, którzy na czele jego

stali i nim rządili? Jak sobie wytłómaczyć ten fakt dziejowy, że temu „rzemieślnikowi z Nazaretu“ najpotężniejsze geniusze się poddały, że całymi wiekami najbardziej cywilizowane ludy Bogiem Go być wyznały i jako Boga czcili i czczą po dziś dzień? Jak sobie wytłumaczyć, że w obronie Bóstwa Chrystusowego kilka milionów męczenników położyło swe życie wśród mąk najwyszukańszych? A byli między nimi wielcy dygnitarze państwa, jak starosta rzymski Chromacyusz; byli wojsk hetmanowie i zawołani rycerze jak Eustachiusz, Markus i Marcelin, Sebastyan i Maurycy; byli uczeni i prawnicy filozofowie jak Justyn; były pierwszych rodzin matrony i pаниenki jak Sabina, Łucya, Domitylla, Barbara, nie mówiąc już nic o tłumach różnego ludu, które, jak to np. miejsce miało w Smyrnie, tysiącami całymi ginęły od ręki kata za to, że wyznawały, iż Jezus Chrystus Bogiem jest. Fanatyzm religijny zrozumiały jest u pojedynczych ludzi, trwa chwilę krótką, ale ażeby miliony przez trzy całe wieki porwać się dały fanatyzmem, wolność, majątek i zdrowie dla szalbierza i dla samowznającego jakiegoś Boga kładły — to psychologiczne niepodobieństwo. „Chore to być muszą i naruszone głowy“, jak się Skarga o Socynianach swego czasu wyrażał, które czytając ewangelią, choćby tylko jako źródło historyczne, wertując dzieje dwóch tysięcy lat Europy i krajów innych, śmiały jeszcze twierdzić, że Jezus Chrystus nie jest Bogiem, ale człowiekiem tylko. Argument to historyczny ale przekonywujący; jedynie zła wola albo chory rozum może mu stawiać opór.

Bogiem więc jest Chrystus, ale i człowiekiem zarazem. Człowieczeństwa Chrystusowego dowodzić nie potrzebują; oprócz bowiem Docetów I i II i Apolinarystów IV wieku, którzy nauczali, iż Chrystus fantastyczne tylko miał ciało, i człowiekiem prawdziwym nie był; oprócz kilku przewróconych głów jak Dawid Strauss, które wogóle fakt istnienia Chrystusa Pana przeczyły; wszystkie nietylko chrześcijańskie wyznania, ale i mahometańskie sekty uczą, iż Jezus Chrystus był prawdziwym człowiekiem.

Zato nam tem lepiej uchwycić charakterystyczne rysy tej najpiękniejszej bezwątpienia Bosko-ludzkiej postaci króla i pana, hetmana i mistrza naszego Jezusa Chrystusa. Z olbrzymim krzyżem na zbitych pokaleczonych ramionach, z cierniową koroną na głowie postępuje On przed nami, a zwracając się do każdego z nas woła: *qui vult post me venire, abneget semetipsum quotidie, tollat crucem suam et sequatur me*. Kto chce za mną iść, niech zaprze samego siebie, a weźmie krzyż swój na każdy dzień i niech idzie za mną“ (Łuk. IX. 23).

II.

Celem i treścią życia Chrystusowego na ziemi, dewizą Jego czynów i Jego przemówień była: *gloria Patris*, chwała Ojca niebieskiego. Pełne są o tem wszystkie cztery ewangelie. Ten Ojciec niebieski ustawicznie na ustach Jego; modlitwę swojego układu rozpoczyna od słów: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje“ (Mat. VI. 9). Największe cudo, wskreszenie Łazarza, rozpoczyna od dania chwały Ojcu niebieskiemu: „Ojcze dziękuję Tobie, żeś mnie wysłuchał a — ja nie wiedział, że mnie zawsze wysłuchasz, ale m rzekł dla ludu, który około stoi, aby wierzyli, iżes Ty mnie posłał“ (Jan XI. 41, 45). Ilekroć tłumy ludu dziwią się Jego nauce, wielbią Go i sławią za nowy cud dokonany, chcą nawet królem swym uczynić, Chrystus całą tę wielkość i sławę swoją na Ojca niebieskiego przelewa, sam zaś usuwa się od tłumu, kryje w ogrodzie oliwnym lub na górze jakiej i noc całą trawi na modlitwie do Ojca swego niebieskiego.

Wszystko co się tego Ojca tyczy obchodzi Go żywo, a każda krzywda Jego, boli Go niesłychanie. Najlepszym był synem dla swej przeczystej Matki dziewicy, a jednak przykrość jej nie małą wyrządził, zostając w 12 r. swego życia przez trzy dni w kościele jerozolimskim. Szuka Go strapiona matka, znajduje wreszcie wśród grona doktorów, uczonych w piśmie i faryzeu-

szów i rozżalona woła: „Synu, cóżes nam tak uczynił?“ a Chrystus na to: „cóż jest żeście mnie szukali? Nie wiedzieliście, iż w tych rzeczach, które są Ojca mego potrzeba żebym był?“ (Łuk. II. 48, 49). Kochał matkę, ale droższą mu była chwała Ojca niebieskiego. Chrystus najłagodniejszy z ludzi, uniósł się gniewem na widok świątyni zbezczeszczonej jarmarczłą frymarką. „Dom mój dom modlitwy jest, a wyście go uczynili jaskinią zbójców“ (Łukasz XIX. 46) i wzięwszy zwitek powroźów powypędzał przekupniów i powywracał stoły kramarskie.

A cała męka Jego, to jest jednym aktem czci Ojca niebieskiego. Rozpoczyna ją modlitwą w ogroju: „Ojcze, jeżeli chcesz, przenieś odemnie ten kielich“ (Łuk. XXII, 42). Heroiczny akt tej czci spełnia, gdy zapytany przez arcykapłana w imię Ojca niebieskiego, azali jest synem Bożym, nie milczy, chociaż na wszystkie przedtem zarzuty milczał wymownie, ale odpowiada: „Tyś rzekł“ i tą odpowiedzią wydaje dekret śmierci na siebie. A już rozpięty na szubienicy krzyża, trzygodzinną swoją agonię rozpoczyna i kończy modlitwą: „Ojcze odpuść im, boć nie wiedzą co czynią... Ojcze, w ręce twoje polecam ducha mego“ (Łuk. XXIII. 34, 46). Ażebyśmy zaś nie mieli żadnej wątpliwości, że chwała Ojca niebieskiego była celem i treścią życia Chrystusa, to On nas sam o tem chciał upewnić. Oto na ostatniej wieczerzy po spożyciu baranka wielkanocnego i ustanowieniu najśw. Sakramentu rozpoczyna Chrystus oną swoją prześliczną testamentarną modlitwą, zapisaną u Jana św. w rozdz. XVII: „*Pater, venit hora, clarifica Filium tuum... Ego te clarificavi super terram*, Ojcze, przyszła godzina, wsław syna twego“... albowiem »jam wsławił ciebie na ziemi“ (Jan XVII. 1, 4).

Bracia, przypomnijmy sobie konferencyą I; powiedziano tam, że celem człowieka na ziemi: poznać Boga, służyć, miłować i czcić Go — a więc chwała Boża. Chrystus Pan życiem swoim stwierdza tę prawdę; i dla Niego celem i treścią żywota na ziemi była: chwała Ojca niebieskiego. Naśladujmyż Go w tem. Zazwyczaj w czynach naszych nawet dobrych, po-

wodujemy się motywami czysto ludzkimi, bojaźnią kary; żandarm, sędzia i kryminal dla wielu jest jedynym hamulcem przeciw złemu. Co zaciejsi powodują się obawą ludzkich języków i aby na nich nie pokazywano palcem; albo żądzą chwały próżnej, popularności i uchodzenia za porządnego człowieka, uczciwą kobietę; albo nadzieją zysku i materialnego dobrobytu. To i poganie tak czynili, i tem przeważnie różni się sprawiedliwość i moralność pogańska od chrześcijańskiej, że poganie byli cnotliwymi jedynie z motywów ludzkich, ziemskich utilitarnych; chrześcijanin przeciwnie unika złego a czyni dobre dlatego, że tak Bóg rozkazał, a on temu Bogu przypodobać się pragnie i całym życiem swoim chce mu oddać chwałę i cześć należną. I dlatego co dnia przy porannym pacierzu uczynić należy dobrą intencję: „Panie Boże mój, wszystkie czynności, słowa i myśli dnia tego Tobie ufiaruję i z zasługą nieskończoną męki Chrystusowej moje maluczkie cierpienia i prace i zasługi moje nędzne połączam“, a w ciągu dnia należy tę dobrą intencję odnawiać modlitwą strzelistą: „wszystko dla ciebie mój Boże, i to co wesole i to co smutne i to co boli i to co przyjemne“. Tym sposobem zajęciom naszym zwyczajnym nadaje się charakter wyższy Boży i zasługi też mnogo przybywa według słów Pawła św. „choć teraz tedy jecie, choć pijecie, choć co innego czynicie, wszystko ku chwale Bożej czyńcie“. (I. Kor. X. 31).

Tak jak *gloria Patris*, była celem i dewizą życia Chrystusowego, tak regułą, normą i modłą działania była dlań *voluntas Patris*, wola Ojca niebieskiego. Z woli Ojca niebieskiego Chrystus Pan przychodzi na świat w maluczkiej, wzgardzonej osobce dziecięcia. „Wyniszczył samego siebie powiada o Nim św. Paweł, przyjąwszy postać sługi sam się poniżył, stawszy się posłusznym aż do śmierci a śmierci krzyżowej (Filip II. 7, 8). Wszystkie ważniejsze ustępy Jego życia, jak ucieczka do Egiptu, pozostanie w świątyni, pobyt wieloletni, cichy, ukryty a pracowity w Nazarecie, wszystkie drobne nawet szczegóły Jego męki, wszystko to było spełnieniem woli Ojca niebieskiego „*ut impleretur scriptura* aby wypeł-

niło się pismo“. Przenieśmy się na chwilę myślą do ogrodu oliwnego. Rozklęczony na modlitwie Chrystus mając już rozpocząć swoją mękę, stracha się i lęka na widok śmierci: *coepit pavere, taedere et moestus esse*, dając tem dowód, że jest prawdziwym człowiekiem i jako człowiek lękający się instynktowo cierpienia i śmierci, woła; Ojcze, jeżeli chcesz, przenieś odemnie ten kielich“, ale jako prawy syn posłuszeństwa dodaje: „wszakże nie moja ale twoja wola niech się stanie“ (Łuk. XXII. 42), Agonia się wzmaga, modlitwa trzykrotnie się ponawia, a zawsze jedno i to samo zupełne poddanie się woli Ojca niebieskiego: „nie moja ale twoja wola“. Dochodzi ono kulminacyjnego punktu na Golgocie: „Ojcze w ręce twoje polecam ducha mego“ (Łuk. XXIII. 46) i na dowód i znak, że całe życie był posłusznym woli Ojca „*inclinato capite tradidit spiritum*, skłoniwszy głowę ducha oddał“ (Jan XIX. 30).

I znów ażebyśmy nie mieli żadnej wątpliwości, że ta wola Ojca jest regułą i modłą życia Chrystusa, to mamy o tem Jego własne świadectwo. Przypomnijmy sobie spotkanie Jego z Samarytanką u studni Jakóbowej. Chrystus zmęczony drogą i głodem usiadł, a uczniów wysłał na zakupno żywności do miasta. Wrócą uczniowie i znajdą Chrystusa rozmawiającego sam na sam z niewiastą, zdziwią się tem i milczą; ale gdy się rozmowa przeciąga, zniecierpliwieni zbliżą się do Chrystusa i rzekną: „Rabbi jedz“. Chrystus im na to: „*meus cibus est, ut faciam voluntatem illius, qui misit me*; mój pokarm jest, abym czynił wolę tego, który mnie posłał“ t. j. Ojca niebieskiego (Jan IV. 31, 34). Możnaż mieć nad to wymowniejsze świadectwo? Czem jest pokarm dla ciała? koniecznym warunkiem życia. Otóż koniecznym warunkiem życia Chrystusowego na ziemi, wypełnienie woli Ojca niebieskiego.

Cóż innego powiedzieliśmy w konferencji 1-ej? Służę Bogu, czczę Go i miłuję i tem samem spełniam rozkaz Chrystusowy: „bądź doskonały jako twój Ojciec niebieski doskonały jest“, jeżeli zawsze, wszędzie i we wszystkim zachowam przykazanie Boże. A te przykazania czemże są? Wolą Bożą ogłoszoną dostatecznie, a mającą swoją sankcyę t. j. nagrodę

i karę: powiedzieliśmy to w konferencji V-tej. Patrzcież bracia jak życie Chrystusa Pana jest stwierdzeniem i zrealizowaniem fundamentalnych prawd Bożych, a tem samem jak jest wybranym przykładem do naśladowania. Wodniste teorye moralistów pogańskich, choćby takiego Platona, albo doktryny tegoczesnych racjonalistów o moralności przyrodzonej, na nic się tu nie przydadzą — bo tym wszystkim pięknym słowom i sentencyom braknie sankcyi Bożej, a tem samem tej siły życiodajnej, która innych do walki przeciw złemu i do pracy nad tem, co cnotliwe i dobre, popchnąć zdolna. Jedynie *prawo Boże*, dekalog, sankcyą Bożą mające, i żywym komentarzem przykładu życia Chrystusowego objaśnione, ono tylko jedno zdolne człowieka uświętobliwić i do czynów wielkich natchnąć; przykłady bowiem ciągną, *exempla trahunt*. To też te tysiące świętych Pańskich, których czcimy na ołtarzu, nie inną drogą doszły do cnót heroiczych i wysokiej świętości, jak tylko spełnianiem sumiennem woli Bożej w przykazaniach Bożych objawionych i rozpamiętywaniem życia Chrystusowego, które tych przykazań Bożych jest jakby uosobieniem.

Z tej żarliwej chęci o chwałę Ojca niebieskiego i tej synowskiej iście uległości Jego woli wynika w Chrystusie Panu potrzeba częstej z tym swoim Ojcem rozmowy. Chrystus Pan modlił się jako człowiek, a modlił się często i długo. Według starej legendy chrześcijańskiej, długie lata w domku nazaretańskim przechodziły Mu szybko, podzielone na pracę ręczną cieśli i na modlitwę. Publiczny swój zawód Mistrza-Zbawiciela rozpoczyna Chrystus od 40-dniowego odosobnienia się od ludzi, aby na puszczy tem swobodniej oddać się modlitwie. Miał On swoje ulubione miejsca modlitwy, jak ów ogródek oliwny Getsemani i Pismo Boże wspomina, że nieraz jeden „*in oratione erat pernoctans*“, i nocował na modlitwie Bożej“ (Łuk. VI. 12), a Judasz wiedząc o tem, właśnie ten ogród naznaczył na miejsce wykonania swej zdrady. Modlitwa towarzyszy Chrystusowi, gdy cuda czyni, modlitwą uzbraja się do męki Swojej — a trzy godziny konania na krzyżu były jedną ciągłą modlitwą za Siebie i drugih: „Ojczy odpuść

im... Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił... Ojcze, w ręce Twoje polecam ducha mego". Cóż to za przykład do naśladowania dla nas; dla nas, którzy modlimy się niesłychanie mało, a z wielkiem rozproszeniem i nudą — a jednak człowiek o tyle człowiekiem a nie zwierzęciem, o ile się modli; a jednak ta rozmowa z Bogiem na modlitwie i umysł oświeca, iż nam łatwiej poznać stan duszy naszej, i serce od grzechu odwraca i obrzydliwym mu go czyni, a do tego co czyste, wzniosłe i Boże zapala. Miejmyż wždy rozum i nie chcąc być uczniem mądrzejszym nad mistrza, za przykładem Chrystusowym czasy pewne na modlitwę sobie naznaczmy, i nie zaniedbujmy jej lekkożylnie.

III.

Najbliższe otoczenie Chrystusa składali: przeczysta Matka Jego i przybrany ojciec Józef św., a dalej Apostołowie. Całe lat 30 przebył Jezus pod okiem Józefa i Maryi; *et erat subditus illis*, a był im poddany" (Łuk. II. 51), oto wszystko co się o tem trzydziestoleciu da powiedzieć. Pomimo to, ukryte życie Jezusa w Nazarecie pozostanie na zawsze niewyczerpanem tematem do rozmyślań pobożnych a budujących dla każdej duszy szlachetniejszej. Najlepszy z synów, kochał i swoją matkę zaraz po Ojcu swym niebieskim; na jej życzenie, pierwsze czyni cudo a jeszcze na Golgocie losem się jej opiekuje, oddając ją Janowi św.: „oto matka twoja" (Jan XIX. 24). Józefowi św. pomaga w pracy, zamyka mu powieki i usługę pogrzebową oddaje. Synowie i córki nauczcie się od tego Bożego Syna miłości i uległości dla rodziców; młodzieniaszkowie i panienki nauczcie się szacunku i czci należytej starszym od was wiekiem, stanowiskiem i urzędem, bo wam na tej cnocie, którą poganie *pietas erga parentes et natu majores* pobożnością dla starszych zwali, bardzo zbywa. Nauczmy się wszyscy z przykładu Boga, który był posłuszny ludziom, uległości, karności i posłuszeństwa dla Kościoła św.,

którego zawiązkiem i symbolem zarazem był ów ubożuchny domek nazaretański; niech nam nie będzie trudno słuchać nauki i rozkazu biskupów i kapłanów Bożych, skoro Bóg-człowiek słuchał rozkazu biednego cieśli i ubogiej dziewicy-matki.

Z Apostołami nie mało trudności zażył Chrystus. My sobie wystawiamy Apostolów jako mężów pełnych nauki, szerokiego umysłu i wielkiego serca. Byli oni takimi, ale dopiero po wstąpieniu na nich Ducha św., przedtem zaś były to sobie natury góralskie w gruncie pocziwe, ale nie pojmujące zgola ani mesyańskiego posłannictwa Chrystusa, ani wzniosłych nauk Jego o potrzebie odkupienia, ani ducha Jego szerokiej, wielkiej miłości bliźniego. Wyrzucał im to acz bardzo łagodnie Chrystus; „nie wiecie jakiego ducha jesteście... nie wiecie o co prosicie“. Była u nich i próżność i srogość i wszystkie te wady, które w naturach pocziwych, ale niewyrobionych i uformowanych jeszcze w danej chwili się objawiają. A między nimi znalazł się i Piotr, o którym wiedział Chrystus, że stanie się acz na chwilę tylko, jego zaprzańcem, apostatą; był i Judasz od samego początku „złodziej mający mieszek“ pieniężny (Jan XII. 6), skończony, wyrafinowany łotr. A jednak patrzmy z jaką cierpliwością znosi ich wady, z jaką wyrozumiałą dobrocią ich upomina, jaką iście matczyną miłością ich miłuje. W przededniu swej śmierci zdaje się jakby nie miał nic innego na myśli, jak tylko los swoich uczniów. I Piotra miłośnie przestrzega i Judasza z wielką oględnością upomina, a do wszystkich odzywa się tak, jak chyba tylko najczulsza matka w przeddzień swego na czas dłuższy odjazdu do ukochanego dziecka mówić potrafi. Całe cztery rozdziały ewangelii św. Jana XIII—XVII, zapelnione są tą ostatnią testamentarną rozmową Chrystusa Pana z uczniami: „Umiłowawszy swe, którzy byli na świecie do końca je umiłował... Synaczkowie, jeszcze maluczko jest z wami... Mieszkajcie we mnie, a ja w was... Jam jest winna macica, wyście lato-rośle... Jako mnie umiłował Ojciec i ja umiłowalem was, trwajcież w miłości mojej... Wy jesteście przyjaciele moi...

Już was nie będę zwał sługami, lecz przyjaciółmi“. A zwróciwszy się modlitwą do Ojca swego woła: „Ja za nimi proszę; nie za światem proszę, lecz za tymi, któreś mi dał, bo są twoi... Ojcze, któreś mi dał, chcę, aby gdzieś ja jest i oni byli ze mną, aby oglądali chwałę moją, którąś mi dał“. Cóż to za piękne, czule i szlachetne to Boskie Serce Jezusowe, które niezrażone ani zdradą jednego, ani odstępstwem drugiego, ani niedoskonałością wszystkich — wszystkich do siebie garnie, tuli i na zawsze przywiązać pragnie. Pociecha to wielka dla nas, bo w Apostołach myśmy wszyscy miłością i modlitwą Chrystusa objęci, wszak On nas sam o tem upewnia wołając do Ojca: „A nie tylko za nimi (uczniami) proszę, ale i za tymi, którzy przez słowo ich uwierzą w mię. Aby wszyscy byli jedno, jako ty Ojcze we mnie, a ja w Tobie, aby i oni w nas jedno byli“. (Jan XVII. 20, 31).

Wiem ja to moi bracia, że w każdej rodzinie są i muszą być pewne kwasy, starcia i nieporozumienia wskutek niedobrych charakterów, albo wad i przywar brzydkich. Cóż się zazwyczaj dzieje; zniechęcamy się jedni do drugich; mąż do żony, córka do matki, brat do brata; z niechęci tej wyrabia się w duszy jakiś ferment wstrętu, nienawiści, żądzdy odwetu, zemsty, który zatrzuwa nam i drugim życie. Pełno tego fermentu niezdrowego w rodzinach, więcej jeszcze w korporacjach, klubach, stowarzyszeniach naszych politycznych, naukowych, przemysłowych i t. d., zwłaszcza, gdy wielkie i małe ambicje nadymać zaczęły i rozsądzać umysły, wtenczas *homo homini lupus*, człowiek bliźniemu swemu staje się wilkiem. Miejmyż rozum. Należy ludzi brać takimi jakimi oni są, z ich wadami, próżnościami, ale też i z dobrymi przymiotami; to co w nich ujemnego, ignorujemy, znośmy cierpliwie, co zaś w nich stroną dodatnią, to uchwycimy jakby dobry jaki przewodnik, po którym zbliżyć się do nich i miłą zgodę utrzymać zdołamy. Samych siebie nie zawsze jesteśmy w stanie zrobić takimi, jakimi się widzieć pragniemy, jakimże więc cudem stać się może, abyśmy wszystkich innych na nasze kopyto nabić i po swojemu przerobić mogli — nie wszy-

scy do mnie, ale ja do wszystkich stosować się i nagiąć muszę i to we wszystkim, co nie sprzeciwia się zasadom wiary i moralności, bo tam kompromis niemożliwy. — Oto praktyczna filozofia życia, zgodna zresztą zupełnie z zasadą miłości chrześcijańskiej, która według słów Pawła św. „*benigna est, patiens est*, miłość cierpliwa jest, łaskawa jest, miłość nie zajrzy, nie nadyma się, nie szuka swego, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się nadziewa, wszystko wytrwa, nigdy nie ginie“. (I. Kor. XIII. 4—8). O tę jedność i zgodę modlił się Chrystus w przededniu śmierci „aby wszyscy byli jedno“; nakazał ją surowo „przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali“; uważa ją jako znak charakterystyczny chrześcijanina: „po tem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeżeli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu“ (Jan XIII 34, 35), skoro więc uczniami i wyznawcami Chrystusa być chcemy, nie z imienia tylko, ale rzeczą samą, to zdobyć się musimy na tę wyrozumiałą cierpliwość w znoszeniu błędów drugich, tłumacząc je na lepsze, i ofiarą miłości własnej podtrzymywać musimy miłość bliźniego.

Studyujmy jeszcze Chrystusa Pana w stosunku do innych ludzi. Nazwano Go „wielkim rewolucjonistą“ i jest w tem coś prawdy. Zupełny przewrót wprowadziła nauka Chrystusa Pana w umysłach i sercach ludzkich i w dotychczasowym porządku rzeczy, a naukę Swoją stwierdził czynami, przechodził, jak mówi Pismo (Dz. ap. X. 38, Mark. VII. 37), wsie i miasta „dobrze czyniąc i uzdrawiając.. dobrze wszystko uczynił“. Otóż jednym z pogańskich pojęć była pogarda dla ubogich. U Rzymian ubóstwo uważane było za karę bogów i dlatego w onej starej Rzymie znalazłeś wszystko: pałace, gimnazya, cyrki, łaźnie, ale napróżno szukałeś szpitala lub ochrony dla starców i sierot. Podczas kiedy magnat rzymski na jeden obiad wydawał 40.000 talarów naszej monety, to ubogi tłum setkami całemi zalegał wysepkę Tybru i marł głodową śmiercią. Za to pieniądź stanowił wszystko; w ślad za pieniądzem szło brzydkie obżarstwo i wyrafinowana rozpusta, a patrycyusze rzymscy na to tylko brali w zarząd obszerne prowincye świata,

aby je obedrzeć z zabytków sztuki, imieniem ich obywateli wzbogacić własną fortunę, którą znów marnotrawili lekkomyślnie. Chrystus pierwszy występuje w obronie ubogich. „Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie“ (Mat. V. 2), a bogaczom łakomym a nieludzkim i okrutnym nawołuje: „Biada wam bogacze! umarł bogacz i pogrzebion jest w piekle“ (Łuk. VI. 14, XVI. 22). W ubóstwie wielkiem i nie w swojej chatce Sam przyszedł na świat, ubożuchną była Jego matka-dziewica, ubogim mniemany ojciec Józef św.; pierwsi, którzy Go powitali na ziemi, byli ubodzy pastuszkowie, na pierwszych uczniów Swoich powołał obogich rybaków; umarł jak żył ubogim, bo nie na własnem łożu, ale na szubienicy krzyża, postawionej za pieniądze z publicznego skarbu. Najmilsze też Jego towarzystwo to tłumy ubożego ludu, które ciągną za nim dokąd się obróci, nauki Jego chciwie słuchają, czując jakby instynktowo, że znalazły w Nim Zbawiciela swego. Kiedy wysłańcy Jana Chrzciciela pytają, azali On mesyaszem, to On znak swego mesyaństwa podaje im, że *pauperibus evangelium praedicatur* — ubogim ewangelią opowiadają“ (Mat. XI. 5).

Jest to zawsze charakterystyką szlachetnego serca, delikatna, czuła miłość dla dzieci, co i poganie rozumieli, mówiąc: *puero debetur reverentia propter ejus innocentiam* — dziecięciu cześć się należy dla jego niewinności. Pomimo tej pięknej maksymy świat pogański poniewierał dziecięciem. Uważano je za rzecz; słabe, chore dzieci, albo nieuznane przez ojca, gubiono, topiąc je w Tybrze, a dzieci niewolników sprzedawano jak towar na rynku rzymskim. Chrystus bierze w obronę godność i niewinność dziecięcia, stawia je jako wzór prostoty i prawdy uczniom swoim, „jeżeli nie staniecie się jako dziatki, nie wnikdziecie do królestwa niebieskiego... A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię Moje, Mnie przyjmuje. A ktoby zgorszył jednego z tych małych, którzy we Mnie wierzą, lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński u szyi jego, i zatopiono go w głębokości morskiej“ (Mat. XVIII. 3 — 7). Chrystus dziwnie też miłował dzieteczki,

i chętnie się niemi otaczał. Znosiły Mu tę drobną ciżbę matki na rękę, prosząc, aby je błogosławił. A gdy uczniowie litując się nad swym mistrzem, który kazaniem długiem był zmęczony, precz je oddalić chcieli, to Chrystus na to: „*Sinite parvulos ad me venire*, — zaniechajcie dziecię, a nie zabraniajcie im przychodzić do Mnie, albowiem takich jest królestwo niebieskie (Mat. XIX. 14).

Sponiewieraną także i pohańbioną była godność niewiasty. Świat pogański uważał niewiastę za rzecz, za materiał dla przyjemności i brudnej rozkoszy mężczyzny. Matrony rzymskie najzaciejsze nie inaczej nazywały swych mężów, tylko *dominus*, *herus*, panem, władcą swoim. Chrystus pierwszy przywraca godność niewiasty; ma ona w rodzinie zająć miejsce obok męża, nie sługa ale towarzyszka jego życia, i na tym to związku równorzędnym dwojga serc opiera się świętość i nierozzerwalność małżeństwa, zaćność i niepokaćność rodziny. „A ja powiadam wam: iż wszelki, który patrzy na niewiastę, aby jej pożądał, już ją cudzołożył w sercu swoim... wszelki, który opuszcza żonę swoją... czyni, że cudzołoży“ (Mat. V. 28, 32). Sam też przykładem Swoim uzacnił godność niewiasty, obierając za matkę Sobie przeczystą Panienkę, przypuszczając do grona Swoich uczniów, pobożne niewiasty, zaszczycając życzliwą przyjaźnią dom Marty i Magdaleny w Betanii. W samych więc podwalinach społeczeństwa ludzkiego, w rodzinie, dokonał Chrystus olbrzymiej przemiany, podnosząc małżeństwo do godności Sakramentu, przywracając prawa należne niewieście i dziećciu.

Miłościwy patron ubogich, słabej dzieciny, i sponiewieranej niewiasty, Chrystus Pan, nie sądzmy, że był wrogiem klas majątniejszych i głosił socyalistyczne zasady. Bynajmniej. Chrystus gromił tylko bogaczy łakomych, niesprawiedliwie i z krzywdą ludzką gromadzących złoto, bogaczy bezlitosnych, nieczułych na nędzę drugich, skąpych a okrutnych. Przeciwnie, majątnych ludzi, ale sprawiedliwie nabytem mieniem, ale ludzkich i miłosiernych, tych zaszczycał swoją przyjaźnią. Takim był Łazarz, szlachcie zamożny z Betanii, o którym

powiada Chrystus: „Łazarz przyjaciel nasz śpi“, którego też potem z martwych wskrzesił. Takimi byli dwaj faryzeusze Józef i Nikodem z Arymatei, którzy Chrystusowi pogrzeb uczciwy wyprawili. Socyalistą Chrystus Pan nie był, i napróżno zwolennicy dzisiejszych doktryn o równości majątkowej szukają dowodów na poparcie swoje w ewangelii. Nie znajdują ich tam. Owszem Chrystus błogosławi ubogich, ale nie wszystkich, tylko ubogich „duchem“, t. j. tych, którzy w swoim ubóstwie nie przykrzą sobie, nie zajązają bogatszym, poprzestając na tem małym, co mają i co uczciwą pracą mieć mogą. Nie powiedział też Chrystus bogaczom: oddajcie wszystko, co macie biedniejszym od siebie, bo „własność jest kradzieżą“. Tego im nie mówi, ale z tego, co im zbywa, jałmużnę jako dobrowolną daninę dawać każe, i do niej zachęca: „Pókiście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili“ (Mat. XXV. 40). Rzucam tu tylko te wielkie prawdy, bo aby je rozwinąć należycie, osobną książkę napisaćby trzeba.

W społeczeństwie naszym dzięki tej katolickiej wierze, którą wyznajemy, przepaść między klasą majątną a ubogą, między plutokracją zbytkującą a demokracją pracującą a jednak gołą i nędzną, nie narysowała się tak wyraziście jak w innych krajach, jak np. w Niemczech; pomimo to nurtują głęboko i u nas niechrześcijańskie prądy. Arystokracja rodowa i pieniężna, chociaż nieskąpo szafuje groszem na jałmużny i składki, na prywatne i publiczne cele dobroczynne, bywa jednak zawsze przedmiotem niechęci, i pewnego niedowierzania warstw, które się mianem demokracji nazywać i chęć zwykły. Jakoś je rażą i trudno przechodzą przez gardło tytuły rodowe pańskie; książę, hrabia, szlachcic, są dla nich synonimem nienasyconych ambicji i obludy, próżności i próżniactwa. Jest może w tem i odrobina prawdy, ale pytam, czy wśród demokratów naszych tych samych wad i przywar nie znajdziesz równie tyle a może więcej? Konia z rzędem dam temu, kto mi pokaże znanego w świecie naszym demokratę, a wolnego od pewnej dozy ambicji i gonienia za popularnością. Tu i tam

wady te same, tylko pod inną formą, bo wszyscy ludźmi jesteśmy, a więc i próżność i zmysłowość i, cheiwość ma do nas przystęp. Bądźmyż sprawiedliwymi i zamiast rozsądzać do reszty już i tak rozbite biedne społeczeństwo nasze fermentem socyalnych niechęci i waśni, połączmy się raczej w zwarty szereg oną wielką szeroką miłością Chrystusową, która i bogatego pana szanuje i życzliwością otacza i dla chudopacholka przystępną, uczynną i miłosierną się czyni.

III.

Dwa jeszcze rodzaje ludzi otaczały Chrystusa: grzesznicy i faryzeusze a uczeni w piśmie. Dla grzeszników okazał się Chrystus dziwnie łagodnym i miłosiernym, bo też dla nich przyszedł na ten świat: „Bom nie przyszedł, mówi, wyzwać sprawiedliwych, ale grzesznych... nie przyszedłem, żebym sądził świat, ale żebym świat zbawił“ (Mat. IX, 13. Jan XII, 47). Chętnie przestawał z nimi, zapraszał się nawet do nich na obiady, jak to z Mateuszem celnikiem uczynił, aby ich pozyskać sobie i nawrócić. Gorszyli się tem faryzeusze i „szemrali mówiąc: iż ten przyjmuje grzeszniki i jada z nimi“ (Łuk. XV, 2), nazwali go obżartuchem i pijanicą. Nie zważał na to Zbawiciel, ale z wielką, prawdziwie Boską miłością przyjmował grzesznika, który się do Niego zbliżył. Magdalenę głodną z lekkomyślnego życia przyjmuje do Swej łaski, pozwala jej przypaść do nóg Swych, obmyć je łzami i osuszyć włosami. Zdziwił się faryzeusz, w którego domu to się stało, i myślał u siebie: „By ten był prorokiem, wždyby wiedział, która i jaka jest niewiasta“. A Chrystus, który czytał myśli jego, przyzwie go i powie: „Szymonie mam ci coś powiedzieć... Widzisz tę niewiastę? odpuszczają się jej wiele grzechów. iż wielce umiłowała“. A zwróciwszy się do niej rzecze: „Odpuszczają się tobie grzechy“ (Łuk. VII. 39—48). Niedość że grzechy przebaczył i do łaski Swej przyjął, ale jeszcze o ho-

nor się jej zastawia, i nawet myślą krzywdzić nie dopuści. Oto szlachetne a miłosierne Serce Zbawiciela.

Inną razą przyniosą Mu człowieka, który snąc dla rozpustnego życia cierpiał na schnięcie kości pacierzowej, i leżał na noszach bezwładny. Chrystus nie łąje go, nie prawi moralów: „A dobrze ci tak rozpustniku, na coś broił; czemu kto zawinił tem też niech pokutuje; teraz gdyś kaleka, przywlokłeś się do Mnie, a gdy zdrów byłeś, obrażałeś Boga zuchwale“. Nic mu takiego nie mówi, ale, czytając w duszy onego paralityka żal szczerzy i skrucę za grzechy, z wielką oną miłością Swoją rzecze mu: „Ufaj synu, odpuszczając się grzechy twoje“. Zgorszą się faryzeusze; jakto, krzykną, czy on Bogiem jest, że grzechy odpuszcza, „ten bluźni“. A Chrystus „widząc myśli ich, rzekł: przecz myślicie złe w sercach waszych, a iżbyście wiedzieli, że moc ma syn człowieczy na ziemi odpuszczać grzechy“, rzecze onemu nędzarzowi: „Wstań, weźmij łoże twoje a idź do domu twego“ (Mat. IX. 2—7). Synem onego rozpustnika nazywa, grzechy mu odpuszcza, zdrowie przywraca, i jeszcze za narzędzie rozkrzewienia wiary o Bóstwie swoim używa.

To znów przywiodą Chrystusowi niewiastę przychwyconą na złym uczynku, za który według prawa kamienowaną być powinna, i pytają: „Ty tedy co mówisz?“ Chrystus nie powiada: prowadźcie ją na plac egzekucyi i ukamienujcie, ale rzekł im: „Kto z was bez grzechu jest, niech na nią pierwszy rzuci kamień“, a schyliwszy się, pocznie pisać na posadzce świątyni wysypanej piaskiem grzechy tych, którzy oną niewiastę oskarżyli. Patrzą faryzeusze, każdy czyta swoje własne grzechy wypisane, i zawstydzony uchodzi chyłkiem, „i został sam Jezus, a niewiasta pośrodku stojąca. A podniósłszy się Jezus rzekł jej: żaden cię nie potępił? — Żaden Panie. — I ja ciebie nie potępię. Idź a już więcej nie grzesz“ (Jan. VIII, 3—12).

Piotra apostatę, który trzykroć zaparł się mistrza swego, „*coepit anathematizare* — począł kląć i przysięgać, iż nie znam człowieka tego, o którym powiadacie“ (Mar. XIV, 71),

nietylko że pierwszy bez prośby i błagania przyjmuje do Swej łaski, „a Pan obróciwszy się spojrział na Piotra“ (Łuk. XXII, 61), ale nadto czyni go księciem apostołów, namiestnikiem Swoim na ziemi, i z dziwną delikatnością daje mu sposobność, aby trzykrotną swą winę trzykrotnem wyznaniem naprawił. „Szymonie Janów miłujesz mnie więcej niżeli ci? — Tak Pa-
nie, ty wiesz, że cię miłuję — Paś baranki... paś owce moje“ (Jan XXI, 15—18).

A z Judaszem — co za pobłażliwość i miłosierdzie jakie! Wszystkie miłosne przestrogi na wieczerzy ostatniej nic nie skutkowały; zdrajca na czele żołnierzy i podkacików zbliża się do Chrystusa, i wydaje Go pocałunkiem. Każdy z nas na taką bezczelność zawrzałby gniewem i wybuchnął przewzi-
skiem — a Chrystus? „*Amice, ad quid venisti* — przyjacielu na coś przyszedł?“ (Mat. XXVI, 50), przyjacielem nazywa, jakoby mu mówił: wrogiem Mi śmiertelnym i zdrajcą jesteś i gubisz Mnie, ale jeszcze przyjacielem moim być możesz, tylko uznaj twą winę i żałuj i nawróć się.

Na szubienicy krzyża rozpięty wisi Zbawiciel i kona. Każde konanie ma coś majestatu w sobie; choćby konał zbrodniarz największy, uszanować jego katuszę należy, bo to kara. Milionowy tłum węzowymi kręgi otacza Gólgotę. Cóż, czy z piersi tego miliona wydobędzie się choć jeden głos współczucia, litości? Gdzie tam. „I stał lud patrząc, a na-
śmiewali się z Niego przełożeni z nimi mówiąc: inne wyba-
wiał, niechże się sam wybawi, jeżeli ten Chrystus, niech zstąpi z krzyża“. Zamiast oddać złem za złe, zamiast zlorze-
czyć i przekląć lud bogobójczy, Jezus woła: „Ojciez odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią“ (Łuk. XXIII, 34, 35). Przy-
kład to przedewszystkiem dla nas kapłanów, z jaką miłością i łagodnością przyjmować mamy grzeszników, gdy do spo-
wiedzi św. przychodzą, jak współczuć ich nędzę, jak podpie-
rać cierpliwie ich słabość, jak ich ratować i leczyć z niedo-
brych nałogów. Im większy grzesznik, im dłuższe lata daleko
błądził od Boga, z tem większą uprzejmością i miłością przy-
jając go należy — oto taktyka Chrystusowa. Nauka też stąd

dla wszystkich, jak pobłażliwymi być mają w sądach swoich, i wyrozumiałymi na widok ludzi upadłych, wplątanych przez nieostrożność w zbrodnię czy w przemieszanie i brudny interes. „Grzechów nienawidźmy, dla grzeszników współczucie miejmy“, upomina św. Augustyn.

Łaskawy dla grzeszników Zbawiciel okazał się twardym i surowym dla faryzeuszów, nazywa ich „grobami pobielanymi, rodem jaszczureczym“, nawołuje im „biada wam biada“, dlaczego? Bo „opuszczali sąd t. j. sprawiedliwość i miłość Bożą“ (Łuk. XI. 42), *quia charitatem non habebant*, bo miłości nie mieli, tłumaczy Augustyn św. Istotnie, tak jak nam ich ewangelia przedstawia, faryzeusze odznaczali się nieznosną dumą i próżnością, lekceważeniem prawa Bożego, podejrzliwością i złośliwym podsuwaniem niecznych zamiarów. Troskliwi aż do przesady w zachowaniu drobnych przepisów ceremoniału zakonnego, nie dbali o to, co gruntem i podstawą wszystkiego, „o sprawiedliwość i miłość“; wysokiej swej w Kościele godności używali samolubnie do wynoszenia siebie ponad drugich, a największą ich zbrodnią było, że świadomie a zawzięcie sprzeciwiali się prawdzie objawionej, Chrystusowi Panu, „czyhając nań i szukając, żeby co uchwycili z ust Jego, aby Go oskarżyli“ (Łuk. XI. 54). Wyrzucał im tę zbrodnię Chrystus: „Biada wam biegłym w zakonie, iżście wzięli klucz wyrozumienia; samiście nie weszli, a tych, którzy wchodzili, hamowaliście“ (Łuk. XI. 52). Niechże się przestrzegą i przełkną faryzeusze dni naszych: owi zwolennicy Renana, bluźniący piórem i słowem Bóstwo Chrystusowe i Boskość Jego wiary; owi publicyści i dziennikarze ze szkoły Darwina, wywracający w swych pismach podstawę wszelkiej religii i wszelkiej moralności, wiarę w nieśmiertelność duszy i osobowego Boga. Niech się przełkną Chrystusowego: „biada wam biada“, oni rzekomi mędrcy, co to młodym panienkom i studentkom nieletnim wpychają do rąk książki bezbożne i bezeczne powieści; albo oni nakładce i księgarze, co dla zysku skandaliczne książki tłumaczyć każą na polskie, i niedoświadczonym jako towar pojętny zachwalają. Grzech to przeciw Du-

chowi św. objawionej wierze rozmyślnie się sprzeciwiać, który ani na tym ani na tamtym świecie odpuszczonym nie będzie. Duma i wyniosłość zgubiła faryzeuszów; niechże się opatrzą wcześniej ci, co to z uśmiechem politowania na ustach mówią: „W nie nie wierzę, czego nie rozumiem, tylko głupi wierzą i modlą się“; co to kapłany i ludzie zakonne mianem faryzeuszów piętnując, w pogardę u świata podają. Dla tych rozmyślnych najgrawaczy wiary Chrystus nie jest miłosiernym Zbawicielem, ale sędzią surowym.

Oto na kilku kartkach przebiegłem charakterystyczne rysy króla i wodza, Zbawiciela i mistrza naszego. Koniecznym warunkiem, *conditio sine qua non*, naśladowania Chrystusowego jest *abnegacya*— „kto chce pójść za mną, niechaj zaprzęsamego siebie, *abneget semet ipsum*“ (Mat. XVI. 24), — a więc zaparcie rozumu, *abnegatio intellectus*, a poddanie go objawionej prawdzie przechowanej w Kościele katolickim; zaparcie własnej woli, *abnegatio voluntatis*, swego chce mi się, widzi mi się — a poddanie jej pod wolę Bożą, objawioną w dziesięciorgu przykazania Bożego; zaparcie a raczej opanowanie swoich huci i niskich instynktów— „*subtus te erit appetitus tuus et tu dominaberis illi*, pod tobą będzie pożądlivość twoja a ty nad nią panować będziesz“ (Gen. IV. 7) — i poddanie ich pod surową moralność chrześcijańską. Chciejmy raz to zrozumieć, że bez tego zaparcia siebie, i tego panowania nad sobą, człowiek nie jest człowiekiem ale zwierzęciem tylko, tem mniej może się stać uczniem Chrystusowym, chrześcijaninem.

A dalej co? „*Tollat crucem suam* — niechaj weźmie krzyż swój na każdy dzień“. Krzyżem naszym są obowiązki stanu i powołania, a przedewszystkiem obowiązki katolika wierzącego i praktykującego swoją wiarę, a potem ojca, matki, syna, córki, pana, sługi, obywatela, urzędnika, kapłana, czem kto jesteś. Sumienne i wytrwałe wypełnianie obowiązków stanu wymaga pracy, fadygi, walki i wytrwałości, bo każdy stan, choćby monarszy, ma swoje przykrości, a im kto wyżej postawiony, tem

tych przykrości więcej i odpowiedzialność cięższa; napocisz się i natrudzisz wiele, zanim podołasz wszystkiemu. Oto krzyż na każdy dzień twój, weźmijże go na swoje ramiona, nie lękaj się go ani upadaj na duchu, nie ty sam krzyż swój dźwigasz, ale Chrystus postępuje ze Swoim ciężkim, sążnistym krzyżem przed tobą, mistrz twój i wzór twój; łaską Swoją podeprze niemoc twoją, przykładem Swoim pokrzepi małoduszność twoją, zaufaj Mu tylko i bądź Mu wiernym. *Quid igitur times tollere crucem?* — kończę z autorem złotej książeczki o naśladowaniu Chrystusa — „dlaczego więc obawiasz się wziąć krzyż, który do królestwa prowadzi? W krzyżu zbawienie, w krzyżu życie, w krzyżu obrona od nieprzyjaciół, w krzyżu źródło niebieskiej słodkości, w krzyżu moc umysłu, w krzyżu wesele ducha, w krzyżu szczyt cnoty, w krzyżu doskonałość świętości. Nie masz zbawienia duszy, ani nadziei wiecznego żywota, jeno w krzyżu. Weź więc krzyż twój i idź za Chrystusem, a znajdziesz do żywota wiecznego“ (Ks. II. r. 12).

KONFERENCYA XII.

O miłości Bożej. — Miłość Boża ku nam objawia się najwymowniej w ustanowieniu najśw. Sakramentu ołtarza. — Dowody z ewangelii i historyi o prawdziwej, rzeczywistej, istotnej obecności Chrystusa Pana w tym Sakramencie. — Obowiązek Komunii św. wielkanocnej. — Przygotowanie do niej i dziękczynienie. — Jej skutki. — Domówienie.

„Jam jest chleb żywy, którym z nieba zstąpił“...

„Jeżelibyście nie jedli ciała Syna człowieczego i nie pili krwi Jego, nie będziecie mieć żywota w sobie“ (Jan VI, 51, 54).

I.

Deus autem Charitas est — Bóg jest miłością. Z miłości, aby miał komu dobrze czynić, stworzył Anioły i ludzi, i tę prześliczną, misterną a olbrzymią maszynę świata widomego; z miłości, aby podźwignąć upadły rodzaj ludzki, stał się człowiekiem, cierpiał i umarł na szubienicy krzyża; z miłości ustanowił Kościół i Sakramenta św., „z ran Zbawicielowych wypłynęły Sakramenta św., a Kościół z boku Jego“, powiada Augustyn św. A najwymowniejszy dowód tej miłości Swojej ku nam dał na ostatniej wieczerzy, ustanawiając najświętszy Sakrament; „umiłowawszy swe, którzy byli na świecie, do końca je umiłował“ (Jan XIII. 1); słuszna też i sprawiedliwa, abyśmy cykl naszych konferencyj zamknęli nauką o tej miłości Chrystusowej ku nam w najśw. Sakramencie, i do wza-

jemnej miłości i ukochania się w Nim zachęcili; *amantem redama*, miłującego miłuj wzajemnie.

Przedewszystkiem utwierdzić się musimy w wierze w prawdziwą, rzeczywistą i istotną obecność Boga-człowieka z Bóstwem i człowieczeństwem Swojem w najświętszym Sakramencie. Żaden artykuł wiary naszej nie wymaga takiej zupełnej ofiary rozumu, jak ten o obecności Chrystusa Pana w Sakramencie ołtarza. W wierze bowiem naszej są prawdy, których rozumem osiągnąć możemy, jak np., że jest Bóg, że jest jakaś nagroda i kara po śmierci, że dusza ludzka nieśmiertelna; ale są też prawdy takie, których rozum ludzki nie przeniknie nigdy, i dlatego nazywamy je tajemnicami, *mysteria fidei*. Takich tajemnic jest kilka, jak dogmat w Trójcę św., Wcielenie albo wczłowieczenie się *incarnatio* Syna Bożego; opatrnościowe rządy Boże w świecie, i szafarstwo czyli rozdawnictwo łaski Bożej, a wreszcie tajemnica najśw. Sakramentu. Ze wszystkich tych tajemnic ta ostatnia, powtarzam, wymaga najwyższej, zupełnej abnegacyi rozumu. Dlaczego? bo innych tajemnic wiary św. jakkolwiek przeniknąć rozumem nie zdołam, to jednak znajduję jakoweś ich wyjaśnienie i analogię, i to we mnie samym. I tak: Bóg troisty a jeden, i we mnie trzy władze duchowe: rozum, wola, pamięć, a dusza jedna. Bóg-człowiek o dwóch naturach, Boskiej i ludzkiej, a jednej osobie; i we mnie są jakby dwie natury: zwierzęca, ciało moje, i duchowa, dusza moja, a jednak jedną tylko moją indywidualną składają osobę. Ale chcąc choćby w przybliżeniu wytłómaczyć tajemnicę najśw. Sakramentu, rozum mój wychodzi z tej pracy zawstydzony i złamany. Niczego się nie dowie, nie domaca, owszem w otaczającym go świecie widzi rzeczy wręcz przeciwne, bo każde ciało potrzebuje przestrzeni, i na wielu miejscach naraz być nie może. Dlaczego się Chrystus Pan tej zupełnej ofiary z rozumu odeninie domaga? A, bo On „wyniszczył Samego siebie, *exinanivit Semetipsum*, według słów Pawła św., przyjąwszy postać sługi, sam się poniżył, stawszy się posłusznym aż do śmierci, a śmierci krzyżo-

wej“ (Filip II. 7); siła loiki tego żąda, abym i ja też, płacąc za tę Jego ofiarę, przyniósł Mu ofiarę z tego, co mam najdroższego, z rozumu mego.

Pomimo tej bezsilności rozumu mego wobec tajemnicy najśw. Sakramentu, wiara moja w ten dogmat nie jest ani bezrozumną, ani upokarzającą, bo ja wiem, dlaczego tak a nie inaczej wierzę, mam *authentica motiva credendi*. Żaden bowiem artykuł wiary naszej nie jest w Piśmie św. tak ugruntowany, jak ten. Teksta ewangelii o rzeczywistej obecności Chrystusa Pana w najśw. Sakramencie są tak liczne a tak jasne, że albo muszę całą ewangelią św. precz odrzucić i wyprzeć się imienia chrześcijanina, albo, przyjąwszy ewangelią jako źródło wiary, muszę, chcę czy nie chcę, muszę koniecznie wierzyć i wyznać, że Jezus Chrystus jest rzeczywiście obecnym w najśw. Sakramencie.

Otwórzmyż ewangelią. W rozdz. VI św. Jana znajdujemy tam słowa obietnicy *verba, promissionis*, któremi Chrystus Sam siebie obowiązuje i przyrzeka, że w pewnym danym czasie ustanowi najśw. Sakrament. Rzecz się tak miała. Na kilka tygodni przed ostatnią wielkanocą Chrystus Pan uczynił cud wielki na górze obok jeziora Tyberiady, nakarmiwszy pięciu chlebami i dwiema rybami rzeszę ludu 5.000 mężów, nie licząc niewiast i dzieci. Patrząc na owo cudo, lud zawołał: Prorok to wielki, mesyas, i chciał porwać Jezusa i okrzyknąć królem. Ale Pan Jezus usunął się z tłumu, i schronił się na górę. Nazajutrz te same tłumy ludu przyjdą nad brzeg jeziora, pytają gdzie się podział Chrystus? Powiedzą im rybacy: udał się z uczniami swymi do miasteczka Kafarnaum. Biegna tam tłumy i, znalazłszy Chrystusa w synagodze, pozdrowią Go uprzejmie. Chrystus je z razu skarcił, iż przyszli tu, aby ponownie chlebem je nakarmił, a potem zacznie im prawić o chlebie, „którego kto pożywa, nie łaknie nigdy“. Lud rozumiał to o chlebie pszennym albo jęczmiennym i woła: „Panie daj nam zawždy tego chleba“, my biedny lud ubogi, jak się raz tego chleba najemy, to już nie będziemy nigdy głodni, a pieniądze, którebyśmy na zakupno pożywienia wydać mieli,

obróćimy na inne nasze domowe potrzeby. Pan Jezus prostuje ich mylne zrozumienie i powiada: „Jam jest chleb żywy, którym z nieba zstąpił. Jeżeliby kto pożywał tego chleba, żyć będzie na wieki. A chleb, który Ja dam (*quem ego dabo*, słowa obietnicy), jest moje ciało na żywot świata“. Lud milczał, bo nie rozumiał odrazu znaczenia słów Zbawicielowych, ale faryzeusze, którzy się włóczyli za Chrystusem Panem i „podstrzegali Go“, wzięli te słowa w literalnem znaczeniu, t. j. że on ciało swoje da na pokarm ludziom, i poczną się tem gorszyć. „Swarzyli się tedy żydowie między sobą mówiąc: jakoż nam Ten może dać ciało Swe ku jedzeniu? Pan Jezus nie prostuje ich mniemania, nie powiada: „Uspokójcie się, bo Ja tu tylko w przenośnem mówię znaczeniu“, ale przeciwnie utwierdza ich w tem zdaniu: „Zaprawdę wam powiadam: jeżelibyście nie jedli ciała Syna człowieczego i nie pili krwi Jego, nie będziecie mieć żywota w sobie. Kto pożywa ciała mego i pije krew moją, ma żywot wieczny... Albowiem ciało moje prawdziwie jest pokarm, a krew moja prawdziwie jest napój. Kto pożywa mego ciała, a pije krew moją, we Mnie mieszka, a Ja w nim“ (Jan VI. 53—58).

Mamy więc przed sobą jawną, publiczną obietnicę Chrystusa Pana, że kiedyś da chleb z nieba, a ten chleb ciałem Jego jest, rzeczywistem, mięsnem ciałem a nie symbolicznem, bo w takim znaczeniu o rzeczywistem ciełe zrozumieli mowę Jego faryzeusze, a Chrystus nietylko że ich rozumienia nie sprostował, ale owszem zagroził im utratą zbawienia, jeżeliby ciała Jego pod postacią chleba nie pożywali. Zrozumiał teraz i tłum ludu, że Chrystus Pan o pokarmie z rzeczywistego mięsnego ciała Swego mówi, i zgorszony tem począł się rozchodzić. Pozostał tylko Chrystus Pan i uczniowie. „Zali i wy odejść chcecie?“ pyta ich Chrystus. Gotowy był rozpuścić nawet Swoich uczniów, gdyby w obietnicę Jego o chlebie z nieba, który ciałem Jego jest, wątpić chcieli. Oni też nie wątpili, bo w imieniu wszystkich odezwał się Piotr: „Panie, do kogóż pójdziemy? słowa żywota wiecznego masz. A my wierzymy i poznaliśmy, żeś ty jest Chrystus syn

Boży“ (Jan VI. 68—70). Czy może być co jaśniejszego nad te słowa obietnicy ustanowienia najśw. Sakramentu?

Co Chrystus Pan obiecał, tego też i dotrzymał. Wnet potem nadechodziła wielkanoc. Chrystus zebrał w sali swego przyjaciela uczniów, i pożywał z nimi baranka wielkanocnego, mistyczny symbol Swej śmierci na krzyżu. A po spożyciu baranka, jak to trzej ewangelistowie: Mateusz, Marek i Łukasz zgodnie opowiadają, „wziął chleb i błogosławił, łamał i dawał uczniom swoim i rzekł: bierzcie i jedzcie, to *jest* ciało Moje. A wzięwszy kielich, dzięki czynił i dał im rzekąc: pijcie z tego wszyscy. Albowiem to *jest* krew Moja nowego testamentu, która za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów“ (Mat. XXVI. 26, 28; porównaj: Marek XIV. 22—25, Łukasz XVII. 17—21). To znaczy: chleb ten, który trzymam w ręce, nie jest już więcej chlebem, ale *jest* rzeczywistym, prawdziwym, istotnym ciałem mojem: wino w kielichu, które trzymam w dłoni, nie jest już więcej winem, ale *jest* rzeczywistą, prawdziwą, istotną krwią moją.

Tak rozumieli te słowa Apostołowie, a mianowicie Paweł św. Chrześcijanin bowiem z Koryntu, jako *Graeculi leves*, płochy lud grecki, poczynali sobie bardzo lekkomyślnie, i bogatsi z nich urządzali t. z. agapy czyli uczty miłości wystawnie i zbyt kowo, upijali się nawet, a potem szli na Mszą św., i zwyczajem pierwszych chrześcijan komunikowali. Gromił ich za to Paweł św.: „Albowiem ja wziąłem od Pana, com też wam podał, iż Pan Jezus tej nocy, której był wydan, wziął chleb, a dzięki uczyniwszy łamał i rzekł: bierzcie a jedzcie: to jest ciało moje, które za was będzie wydane... Także i kielich po wieczerzy mówiąc: ten kielich nowy testament jest we krwi mojej... A tak, ktobykolwiek jadł ten chleb, albo pił kielich Pański niegodnie, będzie winien ciała i krwi Pańskiej... sąd sobie je i pije, nie rozsądzając ciała Pańskiego“ (I. Korynt. XI. 23—30). To znaczy: źle sobie poczynacie Koryntyanie, przyjmując niegodnie ciało i krew Pańską, albowiem czeka was sąd surowy za to i potępienie, że nie znacie różnicy między zwyczajnym pokarmem a ciałem i krwią Zbawiciela,

i dlatego: „*Probet seipsum homo*, niechajże doświadczy samego siebie człowiek. a tak niechaj je z chleba tego i z kielicha pije“ (Tamże 28). Miałyby te upomnienia Pawłowe i groźby sens jaki, gdyby tylko o symbolicznem pożywaniu ciała i krwi Chrystusa była tu mowa? Paweł św. wyraźnie powołuje się na tradycją starszych od siebie Apostołów, i swoją do Koryntyan o tajemnicy naukę stwierdza raz jeszcze, i grozi sądem Bożym na świętokradców.

Jest po dziś dzień w Rzymie więzienie mamertyńskie, *carcer mamertinus*, na podziemną kaplicę przemienione. Z tego więzienia nie wychodziło się za czasów starej Romy tylko na rusztowanie; tam też wrzucano chrześcijan, skazanych na śmierć. O!óż do tych więźniów mamertyńskich kapłani rzymscy posyłałi przez chłopczyka lub dziewczynkę najświętszy Sakrament, i odrazu więzienie zamieniało się w świątynię. Uradowani męczennicy Pańscy, iż mają ciało i krew Zbawicielową pośród siebie, rzucali się na kolana, modlili i śpiewali długo, a potem przyjęciem tego chleba Bożego gotowali się na dalsze katusze i śmierć męczeńską. Świadczą o tem akta męczeńskie, na których tle jeden kapłan angielski osnuł prześliczną opowieść p. t. *Więźniowie mamertyńscy*; świadczy o tem martyrologium rzymskie, wspominając te pachołęta, które, najsw. Sakrament więźniom zanosząc, opadnięci przez pogan i męczeni srodze, skarbu drogiego przecie im nie wydali¹⁾. Jest to więc fakt historyczny wielostronnie stwierdzony. Pytam, miałyby sens jaki ono pełne niebezpieczeństw przynoszenie konsekrowanego chleba więźniom, gdyby ten chleb symbolem był tylko, a nie

1) Tak n. p. pod dniem 15 sierpnia czytamy: »W Rzymie przy drodze Apiusza, św. Tarsyeyusza akolity, którego, spostrzegłszy poganie niosącego Sakrament ciała Chrystusowego, poczęli wypytywać, coby niósł takiego; on zaś, uważając za rzecz niegodną rzucać perły przed świnię, tak długo był od nich bity kijmi i kamieniami, dopokąd nie wyzionął ducha. Rozebrawszy jego zwłoki, nie znaleźli owi świętokradcy gwałtownicy żadnych Sakramentów Chrystusowych ani w rękach, ani w szatach jego; chrześcijanie zaś, zabrawszy jego ciało, na cmentarzu Kaliksta uczciwie je pogrzebali“ (Martyrolog. Rom. d. XV. Aug.).

rzeczywistem ciałem i krwią Zbawiciela? Toć przecie i u Rzymian dawano więźniom po odczytaniu wyroku śmierci t. z. *Galgenfrist*, dzień jeden lub drugi, w którym pożegnać mogli krewnych i znajomych, przyjąć od nich jadło i napitek; jeżeliby więc tylko o zwyczajny chleb chodziło, toby im naznoszono bochenki całe, ale tu chodziło o posilenie duszy Komunią św., przyjęciem najśw. Sakramentu. W onych krwawych prześladowaniach był zwyczaj, że, wierni podczas Mszy św., odprawionej w katakumbach, przyjmowali najśw. Sakrament na dłoń, a potem, uwinąwszy Go w chustę białą, zanosili do swych domów, i przechowywali starannie, aby w chwili najścia siepaczy cesarskich posilić się mogli Komunią św. do ciężkiej walki, jaka w obronie religii ich czekała.

Uderzający jest także fakt, że do zjawienia się Berengaryusza kapłana z Angers, który śmiał nauczać, że w najśw. Sakramencie Chrystus Pan nie jest prawdziwie, rzeczywiście i istotnie obecny, tylko duchowo, i to w skutek wiary przyjmujących ten Sakrament, że, mówię, aż do drugiej połowy XI wieku w obydwóch Kościołach, wschodnim i zachodnim, wiara w rzeczywistą obecność Chrystusa Pana w najśw. Sakramencie była powszechną, nigdy i przez nikogo nie zakwestyonowaną. To też, skoro Berengar błędną swą naukę słowem i piórem szerzyć począł, potępiły ją synody w Rzymie i Wercelli, w Tours i znów w Rzymie, a oburzona nią pobożność katolicka wprowadziła jako ekspiacyą za to bluźnierstwo zwyczaj, który trwa po dziś dzień, wystawiania najśw. Sakramentu w puszcze dla czei publicznej wiernych.

Uroczystość Bożego Ciała w całym zachodnim Kościele, ustanowiona bullą Urbana IV r. 1274, i dekretem Soboru wienneńskiego 1311 r., zaprowadzona w ciągu XIV i XV wieku w zachodniej Europie, u nas w Polsce uchwałą synodu piotrkowskiego 1559 r. przyjęta, obchodzona wszędzie z niewidzianą dotąd okazałością, przy współudziale królów, książąt, dygnitarzy państwa, rycerstwa, kleru i ludu, jest najwymowniejszym dowodem, pomnikiem zarazem historycznym, tej powszechnej wiary Kościoła w obecność Chrystusa Pana w najśw.

Sakramencie. Boć przecie równie bezbożną jak niemądrą byłoby rzeczą, obnosić procesjonalnie po placach i ulicach kawałek pszennego chleba, stawiać mu ołtarze, bić przed nim pokłony, i czcić na kolanach; skoro więc piepieże i sobory, króle i pany, i wszystkie stany i warstwy społeczeństwa, najśw. Sakramentowi Boską cześć publicznie oddawały i oddają, to śnać wierzyły i wierzą, „że pod tą osłoną chleba ukrywa się Bóg prawdziwy z nieba“.

W XIV jeszcze wieku wiara ta była tak silną, że angielski herezyarcha Wiklef stracił odrazu mir u króla i zamożnych, jaki mu ostre jego wystąpienie przeciw papieżstwu, zakonom i innym kościelnym instytucyom chwilowo zjednały, skoro przeciw nauce katolickiej o przeistoczeniu w najśw. Sakramencie chleba i wina w ciało i krew Zbawiciela mówić i pisać począł. Synod londyński 1382 r. potępił jego naukę jako heretycką, a w dwa lata potem sam Wiklef wzgardzony i zapomniany nędznego żywota dokonał. Dopiero herezyarchowie XV i XVI wieku, Hus czeski, Kalwin francuski, Luter niemiecki, znaleźli wśród złych katolików znaczny zastęp zwolenników swoich błędnych doktryn „o przeistoczeniu“. Przeważna jednak część królów i książąt i ludów katolickich pozostała wierną prastarej nauce Kościoła, a sobór Trydencki, kładąc tamę wylewowi złego, uchwalił na posiedzeniu XIII d. 11 paźdz. 1551 r. dekret i szereg kanonów czyli ustaw *De sanctissimo Eucharistiae Sacramento*, które znów niezem innem nie są, tylko ponownem zatwierdzeniem i dopełnieniem dekretów i uchwał soboru Konstanckiego przeciw herezyi Wiklefa i Husa.

I zaraz w 1-szym rozdz. dekretu Trydenckiego czytamy: „Naucza naprzód sobór św., i jawnie a poprostu wyznaje, że w przesławnym św. Eucharysty Sakramencie, po konsekracyi chleba i wina, Pan nasz Jezus Chrystus prawdziwy Bóg i człowiek, prawdziwie, rzeczywiście i istotnie, *vere, realiter ac substantialiter*, pod postaciami tych widomych rzeczy jest obecny“. A przytoczywszy słowa konsekracyjne: *to jest ciało moje*, dodaje: „Niegodziwą bowiem zbrodnią jest, gdy słowa te niektórzy

swarliwi i przewrotni ludzie nakręcają do zmyślonych i imaginacyjnych przerośnięć, przecząc przez to prawdziwości ciała i krwi Chrystusowej wbrew powszechnemu zdaniu Kościoła, który, będąc kolumną i firmamentem (podporą i utwierdzeniem) prawdy, te od przewrotnych ludzi wymyślone kłamstwa jako szatańskie odrzuca i z wdzięcznym, a pamiętnym umysłem najprzedniejsze to dobrodzieństwo Chrystusowe uznaje“.

W następnych rozdziałach dekretu znajdujemy zwięzły, ściśle teologiczny wykład, w jaki sposób Chrystus Pan ten najśw. Sakrament ustanowił, jak i kiedy dokonywa się ta przemiana i to przeistoczenie chleba i wina w ciało i krew Zbawiciela, jak wreszcie należy się przygotować do godnego przyjęcia tego Sakramentu czyli do Komunii św. I znów tę samą naukę formuluje sobór treściwiej jeszcze w ustawach czyli kanonach:

„Ktoby przeczył, słowa są kanonu I-go, że w najśw. Eucharystyi Sakramencie nie jest obecne prawdziwie, rzeczywiście i istotnie ciało i krew razem z duszą i bóstwem Pana naszego Jezusa Chrystusa, a więc cały Chrystus, aleby twierdził (jak to czynili Berengar i Kalwin), że jest w nim tylko jako w znaku, figurze albo duchowo tylko — ten niech będzie wyklęty, *anathema sit*“.

Kanon II: „Jeżeliby kto twierdził, że w najśw. Eucharystyi Sakramencie pozostaje istota chleba i wina razem obok ciała i krwi Pana naszego Jezusa Chrystusa (jak to nauczał Wklef i Impanatyści), i ktoby przeczył onej cudownej i szczególnej przemianie całej istoty chleba w ciało i całej istoty wina w krew, tak, że pozostają tylko postacie chleba i wina, którą to przemianę Kościół katolicki bardzo stosownie przeistoczeniem nazywa — ten niechaj będzie wyklęty, *anathema sit*“.

Kanon III: „Jeżeliby kto przeczył, że w czcigodnym Sakramencie Eucharystyi pod każdą postacią i pod każdą tejszą postacią cząstką, oddzielnie wziętą, cały Chrystus nie jest ukryty — ten niech będzie wyklęty, *anathema sit*“.

Kanon IV: „Jeżeliby kto twierdził, że po dokonanej konsekracyi (po podniesieniu jak zwykle mówimy) w przedziwnym Eucharystyj Sakramencie nie jest obecne ciało i krew Pana naszego Jezusa Chrystusa, lecz tylko w chwili przyjmowania (czyli Komunii), nie zaś przed i potem (jak naucza Luter i protestanci), i że w hostyach czyli kumunikantach, które po Komunii (we Mszy św.) zachowują się albo pozostają, nie jest obecne prawdziwe ciało Pana — ten niechaj będzie wyklęty, *anathema sit*“.

I znów pytam: „Jesteś katolikiem?“ — „Jestem.“ — To uznać musisz powagę Pisma św., i rozumieć je tak, jak Kościół św. je rozumie i wyklada; i znać musisz obowiązującą moc dekretów i kanonów soborów św., mianowicie Trydenckiego. I dlatego wierzyć musisz mocno i niezachwianie, chociaż tego rozumkiem twoim zbadać nie jesteś w stanie, że w najśw. Sakramencie jest prawdziwie, rzeczywiście i istotnie obecny Jezus Chrystus z Bóstwem i człowieczeństwem Swojem. Jeżeli tej żywej, silnej wiary nie masz, i twego rozumu pod objawioną naukę Chrystusową poddać nie chcesz, to wiedząc, że chociaż nazywałeś się katolikiem, to *de facto* przestajesz nim być, i nie należysz do żywych członków Kościoła katolickiego. Obieraj, co chcesz.

II.

Powiesz mi: „Już ja tę ofiarę z rozumu mego poniosę, i w obecność Chrystusową w najśw. Sakramencie chcę uwierzyć i wierzę, ale gdzież to Chrystus Pan powiedział: przystępujcie do Komunii św.? — Tego w ewangelii św. niema“.

Nietylko powiedział, ale rozkazał Chrystus Pan, i to kilkakrotnie, w nader silnych i jasnych wyrazach, które nam przekazała ewangelia. Czemże bowiem jest Komunia św.? Jest przyjmowaniem a więc i pożywaniem ciała i krwi Pańskiej. Przyjmowanie to dzieje się albo pod dwiema postaciami, chleba i wina, jak to czynią kapłani we Mszy św. i cały Kościół

wschodni, albo pod jedną tylko postacią chleba, jak to się praktykuje w Kościele rzymsko-katolickim. Otwórzmyż tedy znaną nam już ewangelię św. Jana. „I rzekł im — Żydom wadzącym się między sobą, — mówiąc: jakoż nam ten może dać ciało swe ku jedzeniu? Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam: jeżelibyście nie jedli ciała syna człowieczego i nie pili krwi Jego, nie będzie mieć żywota w sobie. Kto pożywa ciała mego i pije krew moją, ma żywot wieczny, a Ja go wskrzeszę w ostatni dzień“ (r. VI, 52—54). Pod grozą więc utraty zbawienia wiecznego nakazuje Chrystus pożywać ciało i krew Swoją, i wyraźnie dodaje: albowiem ciało Moje prawdziwie jest pokarm a krew Moja prawdziwie jest napój“ (VI. 55, 56). Co więcej, w chwili ustanowienia najśw. Sakramentu i równocześnie z nim wydaje rozkaz przystępowania do Komunii św.: „*accipite et manducate*, bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje. A wzięwszy kielich dał im mówiąc: pijcie z tego wszyscy“ (Mat. XXVI, 26, 27. Marek XVI. 22. Łuk. XXII. 15). Cóż jaśniejszego nad te słowa? Rozkaz to wyraźny: bierzcie, jedzcie, pijcie, i gdyby nie ten wyraźny mandat Chrystusowy, któżby z ludzi odważył się na to, czego Aniołom nawet nie dozwolono. Apostołowie zastosowali się natychmiast do rozkazu Chrystusa, komunikowali wszyscy z rąk Jego, nawet pierwszy świętokradca Judasz: i ten rozkaz Chrystusa przekazali innym uczniom i wszystkim chrześcijanom. Powołuje się na tę tradycję apostolską Paweł św., gdy w onem swoim prześlicznym upominaniu do Koryntyan pisze: „Albowiem ja wziąłem od Pana. com też wam podał, iż Pan Jezus nocy, której był wydany, wziął chleb, a dzięki uczyniwszy łamał i rzekł: bierzcie a jedzcie, to jest ciało moje, które za was będzie wydane, to czyńcie na moją pamiątkę. Także i kielich, po wieczerzy, mówiąc: ten kielich nowy testament jest we krwi mojej, to czyńcie, ilekroć pić będziecie, na pamiątkę moją. Albowiem ilekroć będziecie ten chleb jedli i kielich pili, śmierć Pańską będziecie opowiadać, aż przyjdzie. A tak ktobykolwiek jadł ten chleb, albo pił kielich Pański niegodnie, będzie winien ciała i krwi Pańskiej... sąd sobie je i pije, nie rozsądzając ciała Pań-

skiego“ (I. Kor. XI, 23—30). To znaczy: „Rozkazanie jest Chrystusowe pożywania ciała i krwi Pańskiej pod postacią chleba i wina na pamiątkę męki Zbawicielowej, ale zabierać się do tego pożywania należy godnie, a więc nie biesiadą i upajaniem się, jak to wy Koryntyjanie na waszych agapach czynicie; inaczej zamiast zadatku zbawienia, sąd i potępienie dla siebie bierzecie“. Z upominania tego widać jasno, że już za czasów apostołskich chrześcijanie, spełniając rozkaz Chrystusowy, przystępowali do Komunii św. Wspominają także o tem *Dzieje apostołskie*. Wieczernik ów, w którym Chrystus Pan ustanowił najsw. Sakrament, to pierwszy kościół, pierwsza świątynia. Przez dni 50 przebywali w nim Apostołowie, uczniowie, z Maryą Matką Bożą i innemi pobożnemi niewiastami. Cóż oni tam robili? Trwali w nauce apostołskiej i w uczestnictwie łamania chleba i w modlitwach“ (Dz. ap. II. 42), a więc wykładali jedni, uczyli się drudzy katechizmu, modlili się wspólnie, sprawowali św. ofiarę, i przyjmowali Komunię św.; wyrażenie to bowiem: *łamanie chleba*, jest klasyczne i oznacza, (jak zgodnie tłumaczą egzegeci a za nimi nasz tłumacz Pisma św. X. Wujek), „używanie najsw. Sakramentu“. Papież Anaklet, uczeń św. Piotra a następca Lina, który rządził Kościołem od 78—91 r., wydał rozporządzenie, „aby wszyscy wierni w czasie Mszy brali najświętsze tajemnice, i zagroził, aby ten z Kościoła wyrzucony był, któryby tego nie czynił“ (Skarga, kaz. o Sakr. Ołtarza). I liturgia Mszy św. zachęca wiernych do przyjęcia ciała i krwi Zbawiciela. „Ażebyśmy wszyscy, którzy z uczestnictwa tego ołtarza przyjmujemy najświętszego Twego Syna ciało i krew, napełnieni byli wszelkiem błogosławieństwem niebieskiem“. Z biegiem lat upadać począł zwyczaj codziennej Komunii św. W III i IV wieku przystępowano do niej już tylko w niedzielę, jak o tem świadczy Hieronim św., a potem rzadko i coraz rzadziej, tak, że w wiekach XI i XII po lat kilka do Komunii św. nie przystępowano. I dlatego sobór Laterański IV r. 15—17 wydał dekret obowiązujący wszystkich płeć obojczy wiernych, aby przyszedłszy do używania rozumu, *przynajmniej* raz do roku koło Wielkiejnocy Komunię

św. przyjmowali, i to pod karą klątwy, która z ambony publicznie ma być odczytaną, i na drzwiach kościoła przybitą.

A więc nie tylko najśw. Sakrament, ale i przyjmowanie jego czyli Komunii św. ustanowił Chrystus Pan, i pod grozą utraty zbawienia takowe nam polecił. Kościół św. oznaczył tylko czas, w którym koniecznie pod karą wykluczenia z społeczności katolickiej przyjmować Komunią św. mamy, t. j. przynajmniej raz w rok koło Wielkiejnocy na pamiątkę męki i śmierci Zbawiciela Pana. Nie uwodźmyż się więc ani wma- wiajmy w siebie i w drugich, że można być dobrym katolikiem, a Komunię św. latami całemi i lat dziesiątkami zaniedbywać, jakoby to był tylko pobożny zwyczaj, a nie obowiązek ścisły; rzecz doradzona tylko, a nie nakazana i to przez samego Chrystusa pod grozą utraty nieba, a przez Kościół usilnie nam polecona.

III.

Ugruntowawszy się w nauce kościelnej o najśw. Sakramencie, zapytajmy, z jakim przygotowaniem do przyjmowania tego Sakramentu czyli do Komunii św. przystąpić mamy?

A najprzód z żywą wielką wiarą: *Credo, credo Domine, adiuva incredulitatem meam*, wołać z onym ewangelicznym ojcem. Wierzę, wierzę o Panie, chociaż nie pojmuję, że pod tą odrobiną chleba obecny jesteś z Bóstwem i człowieczeństwem Swojem, Ty Pan i Bóg mój, Zbawiciel mój, ale i przyszedłszy sędzia mój i mściciel. A wierzę dlatego, bo Ty mnie Panie tak nauczyleś, i przez Kościół Twój do wierzenia mi to podałeś. Wspomagaj moją wiarę o Panie... Anielski doktor św. Tomasz z Akwinu ułożył w XIII wieku ku czci tego Boskiego Sakramentu dwa wspaniałe hymny: *Lauda Sion Salvatorem* i *Pangue lingua*, zdolne ożywić i spotęgować naszą wiarę w tę świętą tajemnicę; Kościół Boży śpiewać je każe podczas Mszy św. i w pacierzach kapłańskich, a starzy nasi Polacy, matrony nawet i panienki polskie, umieli je na pamięć, i odmawiali przy każdej Komunii św., przy każdym nawiedzeniu lub wystawieniu najśw. Sakramentu; przetłumaczyli je sobie na polskie, aby

i lud pospolity mógł je śpiewać na procesyach. Mam pod ręką *kantyczki* z XVII w. drukowane gotyką, w których się (na str. 295—312) te i inne pieśni w tekście łacińskim i spolszczone znajdują. Tę samą wiarę w najśw. Sakrament opowiadają znane i śpiewane dzisiaj pieśni nasze: *Twoja cześć, chwała; Niebo, ziemia, świat i morze*; ale wielka część inteligencji naszej nie zna ich i z tytułu, bo na nabożeństwa i procesy nie chodzi. Gdybyśmy zawsze tę żywą wiarę mieli, nie odważylibyśmy się nigdy na świętokradztwo; a jednak rzadki katolik, któryby z całą moralną pewnością mógł sobie powiedzieć: „W życiu mojem nie komuniko wałem się nigdy świętokradzko”; bo albo w grzechach ciężkich niewyspowiadanych, albo wyspowiadanych ale bez szczerzej chęci poprawy do tych św. tajemnic się zbliżamy, albo dla zwyczaju tylko, by nie dać zgorszenia lub dać przykład prostaczkom, Komunię św. przyjmujemy bez wiary w to, czem ona jest rzeczywiście, istne faryzeusze a nie katolicy. Chroń nas Boże od takiego zu chwalstwa i takiej obludy.

Obok tej żywej wiary, przyniesze do Komunii św. serce czyste, wolne od grzechów nietylko śmiertelnych ale i powszednich, wolne nawet od przywiązania do grzechu, łzami pokuty obmyte, kapłańskim rozgrzeszeniem pogodzone z Bogiem. Posyłając uczniów do urzędzenia ostatniej wieczerzy, rzekł im Chrystus: „Idźcie a potka się z wami człowiek, dzban wody niosąc. A on wam ukaże wieczernik wielki, usłany, i tam gotujcie nam” (Marek XIV. 25). Symboliczne to. Wieczernik ów, do którego Chrystus z uczniami wstępuje, aby pożywać paschę, to symbol serca, do którego wchodzi Chrystus w Komunii św. Czysty był, umięciony i wymyty ów wieczernik, jak to żydzi mają zwyczaj czynić na święta; patrzże, czy wieczernik serca twego jest obmyty z brudu grzechów i oczyszczony z pyłu wad, przewinień i ułomności sakramentalną pokutą i doskonałą skruchą? „Niechajże doświadczy samego siebie człowiek, upomina Paweł św., a tak niech je z chleba tego i z kielicha tego pije; albowiem kto je i pije niegodnie, sąd sobie je i pije nie rozsądzając ciała Pań-

skiego“ (I. Kor. XI. 28, 29). Kogóż te słowa nie przerażą? Podając Komunię św. mówi kapłan: „Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa niechaj strzeże duszy twojej do żywota wiecznego“ — strzedz jej będzie i ustrzeże, ale gdy dusza twoja rozbrat uczyni z grzechem i do stanu grzechowego nie ma woli powracać; jeżeliby zaś grzeszną była i chęć zgrzeszenia po dawnemu żywiła, to jej to ciało Pańskie wyjdzie na sroższy sąd i potępienie. „Żaden z was, wołam ze złotoustym Skargą, z grzechem śmiertelnym nie przystępuj, żaden Judaszem nie bądź, abyś miał pięknie mówić i całować, a w tem zdradzać; żaden z nieczystością i łakomstwem i lichwiarstwem i z pijaństwem i z drapięstwem i z cudzołóstwem i z gniewem a nienawiścią ku bliźniemu nie przystępuj, bo to nieprzyjaciele Chrystusowi, i resztek ich ani chęci do nich najmniejszej nie zostawiaj. Zelżywość Panu uczynisz, gdy Go do Jego nieprzyjaciół wprowadzisz; i owszem zdradzić Go chcesz, gdy w dom prosisz, gdzieś w komorze Jego nieprzyjaciół zamknął; zatoby cię potępieniem skarał i pohańbiłby twarz twoją i wypchnąłby cię od Swego stołu i rzekłby: „A jakoś tu wszedł bez szaty godowej“, bez obmycia sumienia twego przez pokutę i spowiedź? Tej tedy niewielkiej rzeczy Pan chce po was, abyście grzechy wyganiaли i zabijali, których Pan nierad widzi, jako nieprzyjaciół swoich“ (Kaz. VI o Euch.). Spowiedź św., którąśmy dopiero co uczynili, i cała ta praca rekolekcyjna, wszystko to służyć miało do umiencenia i oczyszczenia naszej duszy, iżby się stała wiecznikiem miłym i wdzięcznym Boskiemu gościowi.

Powiesz mi: „Ale skądże ja mogę wiedzieć, że jestem bez grzechu śmiertelnego, że się dobrze wypowiadałem i miałem żal i skruchę potrzebną?“ Na to odpowiada nasz Skarga: „Nie potrzeba, abyś pewnoś miał; ale abyś się wypytywał sumienia swego, ile twoja pilność i ludzkość słaba przemoże. Nie przystąpisz niegodnie, gdy uczynisz, co możesz, grzech z siebie wyganiając... Jeżeli więc którego grzechu śmiertelnego zapamiętasz (zapomniesz), ciało go Chrystusowe, które weźmiesz, odpędzi, bo trwać w nim nie chcesz, i sumieniaś

oń nie miał“. Wiem to, że chciałem się szczerze wypowiadać, i świadomie nie zatailem niczego; czuję to, że szczerze pragnę po spowiedzi być lepszym i życie poprawić — to wystarczy, aby Komunia św. była godnie przyjętą. Co się zaś grzechów powszednich, wad i ułomności naszych dotyczy, to te odpuszczają się i leczą Komunią św., dosyć jeżeli za nie żałujesz i masz chęć, ile możności unikania takowych. Należy chronić się dwóch ostateczności: sumienia zbyt szerokiego, które nawet z grubymi grzechami do Komunii św. pójść się odważy, i sumienia zbyt ciasnego, skrupulatnego, rzekłbym jansenistowskiego, które stawia wymagania niemożliwe, szuka i szpera za grzechami, a gdy ich już znaleźć nie może, bo ich nie ma, powiada, są grzechy, ale ich nie widzę, i ucieka od Komunii św. *In medio virtus*, cnota w pośrodku, i na to ustanowił Chrystus Pan ten Sakrament, i wydał wyraźny mandat, abyśmy pożywaniem jego duszę naszą krzepili, i w walce żywota się posilali; żąda od nas czystości sumienia, wolności od grzechu, ale takiej, do której przy nędzy i słabości ludzkiej dojść możemy; reszty dokona On sam Swoją łaską, gdy w serce nasze wstąpi.

„Znajdziecie, powiada Chrystus, wieczernik wielki, wysłany“. Komnata to była obszerna, i zwyczajem wschodnim dywanami wyścielona i ozdobiona. Przynieśmyż do Komunii św. serce wielkie, „szerokie“, jak mawiał Skarga, miłujące Boga i bliźniego, zdolne do poświęcenia i ofiary; surowe i twarde dla siebie, czułe i wyrozumiałe na nędzę i wady bliźniego, skore do przebaczenia uraz, uczynne a uprzejme i miłosierne. Sakrament to i uczta miłości; miłość go stworzyła, miłość mu też towarzyszy, i od nas wzajemnej miłości wymaga. Samoluby i egoistki, ciasne, skąpe a nienawistne i bezmiłosierne serca, ani znaczenia tych świętych tajemnic nie pojmą, ani korzyści duchownej nie odniosą. Powiesz mi: „Ach księżę, ja znam takich, co niemal codziennie komuniują, a przytem są surowi i niesprawiedliwi w swych sądach, skąpi i nieużyeci, gniewni i kłótlivi, za lada słówko omało oczu nie wydrapią, jakby jadem i żółcią krew mieli

zaprawioną“. Pociesz się, znam i ja takich. Spaczone to i chore umysły, chore na fałszywą dewocję; nie zrażaj się tem, ale patrz raczej na tych — a takich Bogu dzięki nierównie więcej, którzy często komunikując, są przytem i właśnie dlatego pełni uczynków dobrych i miłosierdzia i cnót wszelakich, dusze piękne, zacne, zawsze zrównoważone i spokój dokoła rozlewające. Takim i ty będziesz, tylko z czystym sercem a często do stołu Pańskiego przystępuj.

Kobierce one, którymi usłany wieczernik dla Zhawiciela, to cnoty zdobiące duszę. A przedewszystkiem pokora oparta na poczuciu własnej nędzy i szkarady grzechowej i niegodności. Nie dla formy tylko, zanim poda Komunię św., woła kapłan: „Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego“, ale abyś czuł i znał się do tego, że niewysłowiony zaszczyt i wielka łaska cię spotyka, a ty obojga niegodny. *Unde hoc mihi?* Skąd mi to, że Pan Bóg mój zstępuje do ubogiej i nędznej chałupki duszy mojej? „Pan bogaty, powiada Skarga, gdy do kmiecia ubogiego idzie na obiad, nieść za sobą swoje potrawy i swoje dostatki i ochędóstwa każe. Kmieciami Twój i ubogi robak i poddany Twój Boże Jezu Chryste, a Ty do mnie idziesz; czemuż Cię uczęstuję? Moja kapusta i słonina stołu Twego niegodna, przynies z sobą co rad jadasz, bogatyś Pan mój“ (Kaz. VI, o Euch.). Najsmaczniejszą zastawą dla Chrystusa: „*cor contritum et humiliatum*, serce skruszone i uniżone“, przejęte żalem za grzechy, i zawstydzone własną niemocą i przewrotnością. Wielce się „wyniszczył i upokorzył“ Pan, gdy pod osłoną odrobiny chleba chce stać się pokarmem mej duszy — słuszną i sprawiedliwą, abym i ja stary grzesznik odplacił Mu się upokorzeniem siebie: „Żałuję z całego serca za wszystkie grzechy moje, żem nimi obraził Ciebie. Boga najlepszego; Boże bądź miłościw mnie grzesznemu“.

Do tej żywej wiary i szczerego żalu dodajmy gorące pragnienie połączenia się z Chrystusem. Jan św. opowiadając ostatnią wieczerzę Pańską, rozpoczyna od słów: „Umiłowawszy swe, którzy byli na świecie, do końca je umiłował“ (XIII. 1), a jako

zadatek tej „miłości do końca“ dał nam Zbawiciel Pan samego Siebie do pożywania. A z jakim upragnieniem wyczekiwał tej chwili, gdzie nie już wszechobecnością Swą Boską i łaską, ale materyalnie i najściślej spełnić miał oną Swoją obietnicę: „Nie zostawię was sierotami, przyjdę do was... ja będę z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata“ (Jan r. XIV. 18) — o tem świadczą Jego własne słowa: „Pożądaniem Pożądałem pożywać tej paschy z wami, pierwszej niżbym cierpiał“ (Łuk. XXII. 15). Trzy razy przedtem, przez trzy Wielkienoce, pożywał z uczniami onego Baranka, a nigdy nie mówił: „Pożądaniem pożądałem“ t.j. bardzo pragnąłem; mówi to tym razem dlatego, że na tej czwartej wieczerzy wielkanocnej ustanowić miał Najśw. Sakrament. W onej Swojej testamentarnej mowie po wieczerzy ostatniej zdaje się nie mieć dosyć słów, wyrazów dosyć, aby okazać, jak bardzo leży Mu na sercu to połączenie się Jego Boskiego Serca z nami ludźmi. Żadna najczulsza matka nie żegna się tak rzewnie z ukochanem dzieckiem i tyle słodczy matczynej nie wylewa na nie, jak ten Boski Zbawiciel rozstając się z Swymi uczniami. „Niech się nie trwoży serce wasze, mówi do nich, idę gotować wam miejsce, przyjdę zasię i wezmę was do Mnie samego, iżbyście gdzieś Ja jest i wy byli... Jam jest winna macica, wyście latorośle; kto mieszka we Mnie a Ja w nim, ten przynosi owocu siła, bo bezemnie nie czynić nie możecie... Jako Mnie umiłował Ojciec i Ja umiłowalem was: trwajcież w miłości mojej. Na świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie, Jam zwyciężył świat“ (Jan XIV. 1, 3, XV. 5, 9, XVI. 33). Mowę tę kończy Zbawiciel modlitwą do Ojca Swego niebieskiego, i znów w tej modlitwie pamięta o uczniach: „Jać za nimi proszę, nie za światem proszę, lecz za tymi, któreś mi dał, bo twoi są... a nie tylko za nimi proszę, lecz i za tymi, którzy przez słowo ich uwierzą we Mnie, aby wszyscy byli jedno, jako Ty Ojcze, we Mnie, a ja w Tobie, aby i oni w Nas jedno byli... Ojcze, któreś mi dał, chcę, aby gdzieś Ja jest i oni byli ze Mną“ (Jan XVII, 9, 20, 24).

Za miłości tyle, za serca tyle, jakże się nie odplacić uczuciem głębokiej miłości, pragnącej jak najściślej i jak naj-

częściej połączyć się z umiłowanym Zbawicielem. „*Deliciae meae esse cum filiis hominum*, rozkoszy moje, mieszkać z syny ludzkimi“ (Przyp. VIII. 31), woła Chrystus Pan do mnie — a ja mam uciekać od Niego, latami całemi od ciała i krwi Jego przyjmowania stronić, albo, zbliżywszy się już raz do przyjęcia tych świętych tajemnic, przyjmować je obojętnie, ze znudzeniem i wstrętem prawie? Nie dopuść Boże tej niewdzięczności na mnie. Przeciwnie, pragnę Cię przyjąć, o Panie Jezu mój, z taką gorącością i czystością serca, jak Ciebie przyjmowała w objęcia swe Najśw. Marya Panna i Matka Twoja, jak one wielkie, mężne serca pierwszych chrześcijan męczenników, lub one święte serafickie dusze wybranych Twoich a naszych patronów: one Stanisławy Kostki, one Salomee, Bronisławy i Kunegundy — z taką czystością i taką gorącością serca i takim upragnieniem pragnę Cię i ja niegodny grzesznik przyjąć; nie dozwoł Panie, abym się kiedy odłączył, oderwał od Ciebie, *nec permittas me separari a Te*.

Takiemi uczuciami ożywieni przystąpmy do stołu Pańskiego. A przyjąwszy tak wielkiego Pana, nie uciekajmy od Niego, jak gdyby kto gorącą wodą nas parzył. Wielka to niewdzięczność i znak złego wychowania religijnego, wprost od ołtarza, gdzie się Komunię św. dopiero co przyjęło, spieszyć do domu na filiżankę herbaty lub kawy. Gość, gdy w dom twój wejdzie, to go przecie powitasz, porozmawiasz z nim, ugościsz; byłbyś chyba obrany z rozumu albo nieokrzesany prostak, gdybyś zaprosił, a nie powitał, lecz obróciwszy się na pięcie, zostawił gościa na środku izby, i odszedł do zwykłych zajęć. Tak niemądrze i niegrzecznie postępujemy często z tym wielkim gościem Chrystusem Panem, udając się zaraz po Komunii św. do codziennych zatrudnień i zabaw. Zaniechać nam koniecznie tej nieprzyzwoitości; na dziękczynienie po Komunii św. przeznaczyć należy pół godziny, a przynajmniej kwadrans czasu. Ty więc, skoro Komunię św. przyjmiesz, powróć na swoje miejsce, i ukłękawszy, podziękuj w pokorze serca, żeś dostał tak wielkiej łaski i takiego szczęścia, jakiego Aniołom i Świętym w niebie odmówiono. Przyzwij chóry

anielskie, aby ci w pochwalnem pieńu dopomagały, śpiewając z tobą: „Święty, święty, święty Pan Bóg zastępów, pełne są niebios a i ziemia chwały Jego“. Zaproś i Matkę Bożą, i razem z Nią zanuć w duchu ów hymn: *Magnificat* „Wielbij duszo moja Pana, albowiem rozradował się duch mój w Bogu Zbawicielu moim. Albowiem wejrzał na niskość sługi swego, bo odtąd słusznie zwać się mogę błogosławionym między narodami ¹⁾).

A nadziękowawszy się do woli, nie przychodź do tak wielkiego Pana z próżnemi rękami, ale dar mu swój ofiaruj. Królowi ziemskiemu, gdy wjeżdża do miasta, chleb i sól ofiarują, klucze bram miejskich przynoszą, na znak, że wszystko co mają i całą władzę w ręce jego składają. Do króla jego-mości, powiada Skarga, gdy przyjdzie ubogi chłopek, jaj lub jabłek kopę mu przynosi na znak poddaństwa. Ty cóż temu Królowi królów w ofierze przyniesiesz? „Synu, córko oddaj Mi serce twoje“. Jak to, to moje biedne, nędzne, namiętnościami przepalone na popiół, brudne i grzeszne serce mam oddać Panu? Tak, bo stoi w Piśmie: „Serca skruszonego i uniozonego Boże nie wzgardzisz“ (Ps. LI. 9). Serce Mu twoje oddaj, aby niemoc jego ciałem Swojem uleczył i wzmocnił, aby grzechy jego krwią Swoją obmył; „omyjesz mnie a będę nad śnieg wybielony“ (Ps. LI. 9), aby wszelką ziemską, namiętą i występłą miłość ogniem miłości Boskiego Swego Serca strawił. Serce Mu oddaj i mów: „Panie, w prostocie i szczerości serca oddaję się dziś Tobie na służbę wiecznego, abym Ci wiecznie był posłusznym i wiecznie Cię chwalił. Przyjm mnie z tą świętą ofiarą twojego drogiego ciała, którą dziś składam Ci wobec aniołów, niewidomie otaczających Twój ołtarz, i spraw, aby ta ofiara służyła ku zbawieniu memu i całego ludu Twojego“ (O naślad. Chr. ks. IV. 9).

Cóż Mu jeszcze oddasz? Grzechy twoje i wszystkie występstwa twoje, które popełniłeś w obliczu Jego i świę-

¹⁾ Jest zwyczaj w niektórych zgromadzeniach zakonnych, że zaraz po przyjęciu Komunii św. śpiewają chórem *Magnificat*. Myśl w tem piękna i głęboka, i niepodobna śpiewu tego słuchać bez rozrzewnienia.

tych Aniołów Jego, od dnia, w którym pierwszy raz zgrzeszyłeś aż do tej godziny; ażeby ogniem miłości Swojej zniszczył wszystkie razem złości twoje i ze wszelkiej zmaży duchowej, ze wszelkiej winy oczyścił sumienie twoje, a wszystko ci przebacząc i przyjmując cię na łono pokoju i miłosierdzia Swojego, aby ci wrócił łaskę Swoją, którą przez grzech utraciłem. „Odpuść mi Boże, odpuść grzechy moje dla chwały świętego imienia Twego: zbaw duszę moją, którą odkupiłeś przynajdroższą krwią Twoją“ (Tamże).

Co Mu jeszcze oddasz? „Ofiaruję Ci także wszystkie dobre uczynki moje, chociaż bardzo nieliczne i niedoskonałe, abys Ty je ulepszył i uświęcił; abys je godnymi Ciebie i Tobie przyjemnymi uczynił; abys mnie zawsze ku coraz lepszemu ciągnął, i mnie leniwego i nieużytecznego człowieka do błogosławionego i chwalebego końca doprowadzić raczył“ (Tamże).

Mając tak potężnego a tak miłosiernego Pana w domku duszy naszej, nie omieszkajmyż prosić Go, co nam potrzeba; wszechpotężny jest, wszystko dać może; miłosierny jest, wszystko dać chce. Nie potrzeba uczyć żebraka, jak ma prosić o jałmużnę; *mendicus ego et pauper* (Ps. LX. 19), żebrakiem ja i ubożuchnym; niechajże wyskarżę przed tak dobrym Panem nędzę moję; „żem jeszcze tak cielesny i światowy, tak nieuskromiony w namiętnościach, tak pełny pożądliwości. Tak mało czuwającym nad zmysłami, tak często zajęty próżnemi marzeniami. Tak pochopny do rzeczy ziemskich, tak niedbały w rzeczach duchowych. Tak skory do śmiechu i rozrywek, tak ciężki do płaczu i skruchy. Tak chętny do rozkoszy i wygod ciała, tak leniwy do życia twardego i żarliwego. Tak ciekawy słyszeć nowości i oglądać osobliwości; tak bojący się wszelkiego upokorzenia i wzgardy. Tak checiwym bogactw; tak skąpy w jałmużnach, takim sknerą we wszystkim. Tak nierozważnym w mówieniu, tak nietrwałym w milczeniu. Tak niesfornym w obyczajach, tak cierpkim w obcowaniu. Tak niewstrzemięźliwym w jedzeniu; tak głuchym na słowo Boże. Tak skwapliwym do spoczynku; tak opieszalym do pracy. Tak czujnym i żwawym w zabawach, tak niedbałym

we wszelkiej modlitwie; tak oziębłym we Mszy św., tak oschłym przy Komunii św. Tak łatwo roztargnionym; tak rzadko skupionym w sobie. Tak porywczym do gniewu; tak skorym do obrażania. Tak pochopnym w sądzeniu; tak ostrym w napominaniu. Tak zbyt radoującym się w szczęściu; tak małodusznym w przeciwnościach. Tak obfitym w doborze postanowienia, a tak ich mało do skutku przywodzącym* (O naślād. Chryst. ks. IV 7). Oto Panie, biedy i nędzy moje; oplakuję i wyznaję je przed Tobą z żalem i zawstyżeniem — ulecz te niemoce duszy mojej, oto którego miłujesz, choruje“ (Jan XI 3). Pierwszą naszą prośbą po Komunii św. powinna być ta modlitwa: „Nie dopuść Panie, abym Cię ponownie grzechem ciężkim obraził, raczej tysiąc razy mi umrzeć, jak raz zgrzeszyć“.

A potem przedstawić możemy dobremu Panu potrzeby doczesne i modlić się o zdrowie i powodzenie i błogosławieństwo w pracach i sprawach naszych, o zdobycie stanowiska i karyery, o szczęśliwe zamążpójście lub ożenienie się, bo On nas sam tego nauczył, każąc nam modlić się: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj“.

Zwróć potem myśl twoją do najbliższych twoich, i proś dla nich naprzód o dobra duchowe, a potem i o doczesne, a więc, aby Boga żadnym grzechem ciężkim nie obrazili, aby byli pobożni, czyści i zacni, aby im się wiodło pomyślnie, zdrowo i wesoło.

Jest jeszcze ktoś, kogo w dziękczynieniu po Komunii św. przepomnąć się nie godzi. Są to dusze w czyścju cierpiące. I za nie przed tron Boży niech idzie modlitwa twoja; zasługi, jakie tą Komunią św. zebrałeś, i odpusty, jakie przez nią uzyskałeś, ofiaruj jako zadośćuczynienie na rzecz dusz czyścjoych. Dla pozyskania zaś odpustu zupełnego, nadanego tym, którzy przynajmniej czterech nauk rekolekcyjnych wysłuchali, spowiedź św. odprawili i Komunię św. przyjęli, odmów pobożnie i klęcząco pięć razy *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Marya* na intencją Ojca św. i za potrzeby Kościoła.

Tak więc ów kwadrans, przeznaczony na dziękczynienie, upłynie ci szybko z wielką chwałą Bożą i wielkiem duszy

twojej pokrzepieniem i uweseleniem. Wyjdiesz od tej Komunii św. jakby odrodzony, duży i silny na duchu i z tem przeświadczeniem, żeś milej Bogu i wdzięcznej oczom ludzkim rzeczy dokonał.

IV.

Jakie są owoce i skutki Komunii św.? Pod postacią chleba przyjmujemy najśw. Sakrament; otóż czem chleb dla ciała, tem Komunia św. dla duszy. Chlebem nie można karmić umarłego, ale żyjącego: Komunii św. nie może przyjmować umarły na duszy, tj. w grzechach śmiertelnych pogrążony, ale żywy na duszy, tj. mający łaskę poświęcającą. I dlatego przed Komunią św. spowiadamy się z grzechów i pokutujemy za nie, i dopiero kapłańskim rozgrzeszeniem usprawiedliwieni, mając już w sobie łaskę poświęcającą, zbliżamy się do stołu Pańskiego. Chleb posila i wzmacnia; najslabszy i wątłego zdrowia człowiek, wzięty na „dobry chleb“, odzyskuje wnet siły, zdrowia i życia mu przybywa. Komunia św. potęguje i pomnaża życie i zdrowie duszy, łaskę poświęcającą pomnaża; i to jest pierwszy jej owoc i skutek. Dlatego ci, którzy często a godnie komunikują, latami całemi wolni zostają od grzechów śmiertelnych, i dochodzą do takiej pełni życia i siły duchowej, że prawie moralnem niepodobieństwem dla nich Boga ciężko obrazić, bo sprawdzić się muszą słowa Chrystusa: „Kto pożywa Mego ciała, we Mnie mieszka, a ja w nim: kto pożywa tego chleba, żyć będzie na wieki“ (Jan VI 57, 59).

Chleb, jak każdy zdrowy pokarm, usuwa złe soki i mniejsze choroby, a rozwija i wzmacnia soki zdrowe żywotne. Komunia św., zwłaszcza często a godnie przyjmowana, umarza i przytępia wszystkie złe skłonności, zwłaszcza zmysłowość i cielesność, bo to „chleb anielski“, a karmiony nim człowiek zapomina swej zwierzęcości, duchowniej i Aniołom podobnym się staje. Natomiast wszystkie dobre skłonności wzmacnia i potęguje; w rozum wlewa światło, iż prędzej i jaśniej poznaje wzniosłe tajemnice wiary św.; wolę zaprawia dziwną jakąś mocą i tęgością, iż łamie trudności i rwie się ochotco

do czynów abnegacyi i poświęcenia; co więcej, grzechy powszednie, drobniejsze uchybienia i błędy odpuszcza, bo obok takiej świętości jak ciało i krew Zbawiciela, żadna niedoskonałość ostać się nie może.

Oto drugi owoc Komunii św.; a trzeci to ściśle, najściślej połączenie się nie tylko duchowe, moralne, ale fizyczne z Chrystusem Panem, „kto pożywa ciała Mego, we Mnie mieszka a Ja w nim“ (Jan VI 56), iż się niejako uczestnikami Jego Boskiej natury stajemy według słów św. Pawła: „Żyję ja, już nie ja, ale Chrystus we mnie“ (Galat. II 20). Prześlicznie to połączenie i jakby zlanie się dwóch natur Bosko-ludzkiej Chrystusa i naszej w jedno objaśnia Skarga: „Kto pożywa Mego ciała, *we Mnie*, prawi, *mieszka*; toć w bardzo mocnym zamku na wysokiej skale zbudowanym, a kto go dojdzie i zwojuje? *we Mnie mieszka*; toć w bardzo bogatym pałacu, w którym wszystkie bogactwa i dostatki złożone są. *We Mnie mieszka*: toć pod wielką obroną i opatrnością; toć może mówić: „Pan ucieczką moją, wybawiciel mój, obrońca mój i w nim mam nadzieję“ (Ps. XLIV, 1). *We Mnie*, prawi, *mieszka*: toć w niebie mieszka; bo mieszkanie twoje na prawicy u Ojca, niebo przybytek twój i pałac twój szeroki. Prawieć dobrze rzekł Chryzostom św.: „Gdy tu nam ciało Swe zostawił, niebo nam i ziemię uczynił, bo gdzie król jest, tam dwór i wszystek dostatek i bogactwa jego“.

„Przydaje jeszcze Pan Jezus: *a ja w nim mieszkać będę*; wielkie szczęście nasze. Szczęśliwa trzcina, w której żelazo mieszka, żaden jej wiatr ani moc nie przełomie. Szczęśliwy ołów, w którym srebra pełno, każdy go poszanuje. Szczęśliwy dom ubogiego, w którym Pan bogaty mieszka, oddali ubóstwo jego i ozdobi wzgardzony stan jego... O Jezu mój, czegoż się ja innego spodziewać mam, gdzie Ty nietylko w domu, ale i we mnie i w sercu mojem mieszkasz? A nie tak mieszkasz jako gość, który się łącznie z domu wyprowadza, ale jako pokarm, który się w moją krew obraca, z którym ciału trudne rozstanie... Ty Pan wszystkiej ziemi i nieba, tak nietylko z nami, ale w nas przemieszkować chcesz; ustaje duch

mój w rozmyślaniu i rozważaniu takiej łaski, ustaje język mój, ale chęć do sławy twojej i służby i poddaństwa na wieki wieków nie ustanie“ (Kaz. V o Euch.).

Jest wreszcie Komunia św. zadatkiem dla nas szczęśliwej wieczności i chwalebnego zmartwychwstania; upewnia o tem Zbawiciel: „Kto pożywa ciała Mego i pije Moją krew, ma żywot wieczny, a Ja go wskreszę w ostatni dzień“ (Jan VI 55). I nie może być inaczej; częsta bowiem i godnie przyjmowana Komunia św. wymaga życia czystego, wolnego od grzechu, a więc życia według przykazań Bożych; zachowanie zaś przykazań Swoich zobowiązał się Bóg wynagrodzić niebem, a więc wieczną szczęśliwością i chwalebnem zmartwychwstaniem.

Na tem zamykam cykl konferencyj i nauk rekolekcyjnych. Nie wyczerpują one przedmiotu, ale pragnąłem dostarczyć z niego tyle, ile choćby nieco uprzedzonej ale nie złej i nie przewrotnej woli człowiek potrzebuje, aby wszedł sam w siebie, pojął jakkolwiek i zrozumiał cel swój i zadanie na ziemi, obowiązki i powinności swoje względem Boga, ludzi i siebie zrozumiał i wypełnił; aby rozpatrzył się w obecnym stanie i gospodarstwie swej duszy, i począł pracować nad sobą, wyrwał i wyrzucił z niej to co przeciwne kodeksowi prawa Bożego, zaszczerpił w nią i wsadził to co z tem prawem zgodne — a więc wiarę żywą, modlitwę i Sakramenta i ćwiczenie się w cnotach chrześcijańskich, obywatelskich i domowych.

Bogu i najświętszej Pannie poruczam tę maluczką i nędzną pracę, moją, aby sprawiła to, czego pragnę i uczyniła każdego czytającego te karty, lepszym, a przynajmniej skłonniejszym do zupełnego nawrócenia się do Boga.

SPIS RZECZY.

Słowo do Czytelnika	Str. 3
-------------------------------	--------

Wstęp.

Co to są konferencye	7
Cel rekolekcyj	15
Z jakim przygotowaniem należy do nich przystąpić	19

Konferencya I.

Po co i na co człowiek na tej ziemi	25
Systemy nowych i starych filozofów sprzeczne z sobą i niemądre	25
Zbiorowy rozum ludzki kwestyi tej nie rozwiąże	36
Potrzebna pomoc rozumu wyższego, objawionej wiary	36
Służba i cześć oddawana Bogu jest celem i zadaniem człowieka na ziemi	37
Środkiem do celu spełnienie prawa Bożego	47
Nagrodą za to, częściową tu na ziemi, spokój sumienia. Zupełna nagroda w życiu pozagrobowym	48

Konferencya II.

Czy jest Bóg?	53
Przyczyny ateuszostwa	53
Dowodem istnienia Boga moralna natura ludzka, celowość i byt tego świata	56

Konferencya III.

O nieśmiertelności duszy ludzkiej Darwin i Büchner	90
Pomiędzy duszą ludzką a duszą zwierzęcą zachodzi różnica jakościowa, istotna, a nie ilościowa tylko	101

	Str.
Dowody o niematerialności czyli duchowości duszy ludzkiej . .	108
Duch ludzki nie może być rozłożony na pierwiastki, nie może też być zniszczony	117
Żyje poza grobem, jest nieśmiertelny	123

Konferencya IV.

Od celu i końca naszego odprowadza grzech	130
Filozoficzne pojęcie grzechu, jego istota	138
Jego skutki	143

Konferencya V.

Zasadnicze pojęcie prawa	154
Co jest podstawą moralności	157
Rozbiór trzech pierwszych przykazań Bożych	159
Wiara a wiedza	159
Liberalizm religijny wobec rozumu	161
Co to jest Index	164
Wiara w sny niedorzecznością	168
Obowiązek zewnętrznego kultu religijnego	169
Czem się bezcześci imię Boże	171
Potrójny cel niedzieli i świąt. Obowiązek słuchania Mszy św. i kazań	173
Wyplaty i sesye gospodarskie podczas Mszy św.	177
Otwieranie sklepów	178
Przykłady święcenia dni świątecznych	179

Konferencya VI.

Obowiązki rodziców	181
Wady domowego u nas wychowania	185
Prawa rodziców w wyborze stanu swych dzieci	187
Obowiązki panów względem sług	190
Powinność dzieci względem rodziców	192
Obowiązki względem Kościoła, kraju i państwa	195

Konferencya VII.

Dokończenie rozbioru dekalogu	202
Przykazanie V. Grzechy nie miane za grzechy	203
Pojedynek wobec zasad moralności i rozumu	205
Samobójstwo nie jest aktem odwagi. Jego moralna przewrotność	208
Zgorszenie, jego rodzaje i stopnie	210
Przykazanie VI i IX	212

Różnica moralności chrześcijańskiej a pogańskiej. Myśli złe, kiedy są grzechem	214
Grzechy przeciw VII i X przykazaniu	215
Obowiązek jałmużny i miłosierdzie masonskie	219
Ofiarność dla celów religijnych	222
Przykazanie VIII. Kłamstwo i zastrzeżenie myślnie	225
Obmowa, potwarz i obelga	228

Konferencya VIII.

Następstwem grzechu śmierć, a po niej sąd Boży	236
Co to jest śmierć?	238
Jest ruiną człowieka	239
Odarciem ze wszystkiego	240
Koncem cierpienia i zasługi	243
Progiem do wieczności	244
Surowość sądu Bożego	245
Kto będzie moim sędzią?	246
Z czego będę sądzony?	249
Dwa trybunały: sprawiedliwości i miłosierdzia	253

Konferencya IX.

Zarzuty przeciw spowiedzi św. i ich geneza	255
Na czym właściwie polega istota pokuty	258
Spowiedź św. jest instytucją Chrystusową	262
Koniecznym obowiązkiem katolika	266
Odpowiada potrzebie serca ludzkiego	270
Jest czynnikiem moralno-cywilizacyjnym	272
Odpowiedź na zarzuty	274
Wnioski loiczne	283

Konferencya X.

Sankcją prawa kara i nagroda	285
Czy jest piekło?	286
Na czym polega kara piekła	291
Czy jest niebo?	301
Istota nagrody niebieskiej	306

Konferencya XI.

O naśladowaniu Chrystusa Pana	316
Chrystus Pan jest prawdziwym Bogiem	317
Jest wzorem do naśladowania	328

	Str.
Noty charakterystyczne Chrystusa Pana w stosunku do Ojca Swego niebieskiego	328
Do otoczenia Swego	333
Do tłumów ludu i maluczkich u świata	336
Do grzeszników i nieprzyjaciół	340

Konferencya XII.

O miłości Bożej w najśw. Sakramencie Ołtarza	346
Dowody o obecności Chrystusa Pana w najśw. Sakramencie	347
Obowiązek Komunii św. wielkanocnej	355
Przygotowanie do niej	358
Dziękczynienie	364
Jej skutki	368
Domówienie	370





